

IAN RANKIN

SPRAWY WEWNĘTRZNE

Rankin nie ma sobie równych wśród brytyjskich autorów kryminałów

THE TIMES



IAN RANKIN SPRAWY WEWNĘTRZNE

Z angielskiego przełożył
WITOLD KALINOWSKI



Tytuł oryginału:
THE COMPLAINTS

Copyright © John Rebus Ltd. 2009
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Witold Kalinowski 2011

Redakcja: Anna Magierska

Ilustracja na okładce: Matthias Kulka/Corbis/FotoChannels

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-532-0

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp. k.-a.
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl



Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



2011. Wydanie I

Druk: Opolgraf S.A., Opole

Piątek, 6 lutego 2009

1

Gdy Malcolm Fox wszedł do pokoju, rozległy się ciche oklaski.

– Nie wysilajcie się – powiedział, rzucając wytartą aktówkę na biurko stojące najbliżej okna. W biurze byli już dwaj inni kontrolerzy. Wrócili do swojej pracy, zanim Fox zdążył zdjąć płaszcz. Tej nocy w Edynburgu spadło prawie osiem centymetrów śniegu. Tydzień wcześniej podobna warstwa śniegu sparaliżowała cały Londyn, ale tutaj Foxowi udało się jakoś dotrzeć do pracy, podobnie jak wszystkim innym. Świat zewnętrzny wydawał się gruntownie odświeżony, przynajmniej chwilowo. W ogrodzie Foxa były ślady, Malcolm wiedział, że w pobliżu mieszka rodzina lisów; jego ogród przylegał do komunalnych terenów golfowych. Fox w komendzie policji miał ksywę Lisek, ale sam wcale tak o sobie nie myślał. Bardziej odpowiadało mu określenie „człowiek niedźwiedź”, jakiego używał któryś z jego poprzednich szefów. Powolny, spokojny i tylko czasami groźny.

Tony Kaye ruszył w jego stronę z pękatym segregatorem pod pachą, obszedł biurko i ścisnął ramię Foxa, przy czym jakoś udało mu się niczego nie upuścić.

- Mimo wszystko nieźle – mruknął.
- Dziękuję, Tony – odparł Fox.

Komenda Policji Lothian i Borders mieściła się przy Fettes Avenue. Z niektórych północnych okien widać było wieżyczkę Fettes College. Paru funkcjonariuszy Wydziału Spraw Wewnętrznych było absolwentami prywatnych szkół, ale żaden nie uczęszczał do ekskluzywnej Fettes. Sam Fox kształcił się głównie w szkołach bezpłatnych – najpierw Boroughmuir, potem Heriot Watt. Kibicował klubowi piłkarskiemu Hearts, chociaż ostatnio niewiele miał na to czasu. Nie chodził na mecze rugby nawet wtedy, gdy jego miasto było gospodarzem Turnieju Sześciu Krajów. Turnieje odbywały się w lutym, a to oznaczało obecność w mieście przez cały weekend hord walijskich kibiców przebranych za smoki i noszących na głowach

wielkie nadmuchiwane pory. Fox wołał więc oglądać mecze w telewizji albo nawet wyrwać się do pubu. Wprawdzie już od pięciu lat stronił od picia, ale przez ostatnie dwa lata parę razy pozwalał sobie na wizytę w pubie. Oczywiście tylko wtedy, kiedy był w dobrej formie i czuł, że nie zabraknie mu silnej woli.

Powiesił płaszcz, zdjął też marynarkę, odsłaniając szelki. Niektórzy koledzy z komendy uważali szelki za coś pretensjonalnego, on jednak, choć mocno już odchudzony, nadal nie lubił pasków. Szelki nie były zbyt krzykliwe; granatowe, ostro odcinały się na tle gładkiej jasnoniebieskiej koszuli. Z koszulą kontrastował też ciemnoczerwony krawat. Fox powiesił marynarkę na oparciu krzesła, przyglądał ją na ramionach i usiadł. Otworzył zamki aktówki i wyjął z niej papiery dotyczące Glena Heatona. To Heaton był przyczyną oklasków, które przywitały Foxa w biurze kontrolerów. To był ich sukces. Fox i jego zespół już prawie od roku gromadzili materiały w tej sprawie; teraz przejęło ją biuro prokuratora okręgowego, a Heaton, który usłyszał zarzuty i został przesłuchany, miał stanąć przed sądem.

Glen Heaton – piętnaście lat służby, w tym jedenaście w WDK, Wydziale Dochodzeń Kryminalnych. Od sześciu lat systematycznie naruszał prawo dla osobistych korzyści. Ale przebrał miarę, kiedy zaczął sprzedawać informacje nie tylko swoim kumplom w prasie, lecz także przestępcom. I to na nowo zwróciło na niego uwagę Wydziału Spraw Wewnętrznych.

Pracujący tu gliniarze śledzili innych gliniarzy. Nazywano ich Brygadą Miękkich Kapci albo Gumowymi Flekami. W obrębie Wydziału Spraw Wewnętrznych działał mniejszy zespół – ZKW, Zespół Kontroli Wewnętrznej. O ile pozostali pracownicy wydziału zajmowali się sprawami pospolitymi – skargami na radiowozy parkujące na miejscach dla inwalidów albo na sąsiadów gliniarzy nadających zbyt głośną muzykę – o tyle ZKW określano czasami jako „mroczną stronę” wydziału. Węszyli w sprawach rasizmu i korupcji. Tropili łapówki i świadome zaniechania w śledztwie. Działali cicho i z determinacją i mieli tyle swobody, ile potrzebowali do sprawnego wykonywania tej pracy. ZKW to byli Fox i jego koledzy. Stanowili jedną czwartą Wydziału Spraw Wewnętrznych i pracowali na innym piętrze niż reszta funkcjonariuszy. Od wielu miesięcy obserwowali Heatona, założyli podsłuchy w jego domu, monitorowali rozmowy komórkowe, systematycznie badali dyski jego komputerów – wszystko bez jego wiedzy. Śledzili i fotografowali każdy jego krok, aż w końcu Fox wiedział o Heatonie więcej niż jego własna żona: także o

striptizerce, z którą Heaton miał romans, i o jego synu z poprzedniego związku.

Wielu policjantów zadawało kontrolerom to samo pytanie: jak możesz to robić? Jak możesz zbierać haki i kapować na swoich? To przecież ludzie, z którymi pracowałeś albo możesz pracować w przyszłości. To przecież – powtarzano nieraz – „dobre chłopaki”. Ale właśnie na tym polegał problem, bo co to właściwie znaczy „dobry”? Nad tym głowił się też nieraz Fox, zwłaszcza kiedy gapił się w lustro po drugiej stronie baru, sącząc powoli kolejnego bezalkoholowego drinka.

Oni czy my, Lisku... czasami każdy musi iść na skróty... nigdy ci się to nie zdarzyło? Jesteś bielszy od bieli, nieskazitelnie czysty?

Nie, na pewno nie. Czasami miał wrażenie, jakby wpadł w to wszystko, w ZKW, wbrew własnej woli. Jakby wchodził w pewne układy i szybko z nich wypadał. Wcześniej tego ranka, kiedy odsłonił okno w sypialni i patrzył na padający śnieg, miał ochotę zadzwonić do biura i zęłgać, że go zasypało. Kiedy jednak samochód sąsiada przebrnął przez zaspę, zrezygnował z kłamstwa. Przecież przychodził do biura codziennie, bo to była jego praca. Przychodził, żeby śledzić gliniarzy. Teraz Heaton był już „podejrzany” – choć wciąż jeszcze na pełnym etacie – a dokumenty przesłano prokuratorowi.

– Wszystko gotowe, prawda? – przed biurkiem Foxa pojawił się drugi kolega z rękami jak zwykle w kieszeniach spodni. Joe Naysmith, od sześciu miesięcy w tej służbie, ciągle był bardzo gorliwy. Miał dwadzieścia osiem lat – bardzo mało jak na kontrolera. Tony Kaye uważał, że Naysmith traktuje tę pracę jako szybką drogę do stanowisk kierowniczych. Chłopak potrząsnął gwałtownie głową, próbując się uporać z opadającą na oczy grzywką.

– Na razie tak – zgodził się Fox. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni spodni i głośno wytarł nos.

– No to chyba wypijemy za ciebie wieczorem?

Siedzący przy swoim biurku Tony Kaye nadstawił ucha. Odchylił się na krześle i nawiązał kontakt wzrokowy z Foxem.

– Oczywiście nic mocniejszego niż koktajl mleczny, chyba że włoży długie spodnie.

Naysmith odwrócił się gwałtownie i wysunął dłoń z kieszeni, ale tylko na tyle, by pokazać Kaye'owi środkowy palec. Kaye skrzywił się i wrócił do lektury.

– Nie jesteście w piaskownicy! – Zagrzmiał nowy głos od strony drzwi. Stał tam nadinspektor Bob McEwan. Podeszedł wolno do

Naysmitha i lekko pukał go w czoło. – Do fryzjera, Joseph, nie mówiłem?

– Tak jest – mruknął Naysmith i wrócił do swojego biurka.

McEwan spojrział na zegarek.

– Dwie godziny byłem na tym cholernym zebraniu!

– Pewnie dużo zrobiliście przez ten czas, Bob.

McEwan odwrócił głowę w stronę Foxa.

– Naczelnny mówi, że są jakieś problemy w Aberdeen.

– Coś konkretnego?

– Na razie nie. Nie będę szczęśliwy, jeśli to trafi do mojej teczki.

– Bo co? Masz przyjaciół w Grampian?

– Nigdzie nie mam przyjaciół, Lisku, i dobrze mi z tym. –

Nadinspektor przerwał, jakby coś sobie nagle przypomniał. – A Heaton? – spytał, patrząc, jak Fox kiwa w milczeniu głową. – No pięknie, pięknie.

Powiedział to w taki sposób, że Fox wyczuł rezerwę. Wiedział, że dawno, dawno temu szef pracował razem z Glenem Heatonem. McEwan oceniał go jako solidnego pracownika, który zasługiwał na kolejne awanse. W sumie jako dobrego oficera...

– Pięknie – powtórzył McEwan z jeszcze większym dystansem.

Wzruszył ramionami, jakby odrywając się od swoich myśli. – Co tam jeszcze mamy dzisiaj?

– Same drobiazgi – odparł Fox i znowu wytarł nos.

– Ciągłe masz ten katar?

– Chyba mnie lubi.

McEwan ponownie spojrział na zegarek.

– Już po lunchu. Może by tak skończyć dzisiaj wcześniej?

– Słucham, szefie?...

– To przecież piątek, Lisku. Do poniedziałku może się zdarzyć coś nowego, więc lepiej naładować akumulatory. – McEwan zauważył, że Fox się czegoś domyśla. – Nie chodzi o Aberdeen – wyjaśnił.

– A o co?

– Tracę impet pod koniec tygodnia. – McEwan znowu wzruszył ramionami. – Pogadamy w poniedziałek. – Ruszył, jakby chciał odejść, ale się zatrzymał. – A co powiedział Heaton?

– Rzucił mi tylko jedno z tych swoich sławnych spojrzeń.

– Widziałem już, jak przed tym spojrzeniem ludzie uciekają, gdzie pieprz rośnie.

– Ja nie ucieknę, Bob.

– Pewnie, ty nie. – Twarz McEwana zmarszczyła się w uśmiechu,

kiedy ruszył w stronę odległego kąta pokoju, gdzie stało jego biurko.

Tony Kaye znów odchylił się wraz z krzesłem. Ten człowiek miał słuch jak najlepsze urządzenia elektroniczne.

– Gdybyś wybierał się do domu, to zostaw mi dziesiątkę.

– Na co?

– Jesteś nam winien te drinki: parę kufli dla mnie i koktajl mleczny dla dzieciaka.

Joe Naysmith sprawdził, czy szef nie patrzy, i znowu pokazał Kaye'owi „va fangulo!”.

Malcolm Fox nie poszedł do domu, przynajmniej nie od razu. Jego ojciec przebywał w domu opieki na wschodnim przedmieściu w pobliżu Portobello. W swoim czasie było to całkiem porządne miejsce. Można było wylegiwać się na plaży albo spacerować długą nadbrzeżną promenadą. Były tam lody w waflowych rożkach, „jednoręcy bandyci” i smażone ryby z frytkami. I zamki z piasku tuż nad wodą, gdzie piasek był lepki i plastyczny. Ludzie puszczała latawce albo rzucali swoim psom patyki na spienione fale. Woda była tak zimna, że przez pierwsze sekundy po wejściu trudno było oddychać, ale potem wcale nie chciało się wychodzić. Rodzice siedzieli na pasiastych leżakach, czasem osłoniętych od wiatru wbitymi w piasek parawanami. Piknik przygotowany przez mamę: smak zapiaszczonych kanapek z mięsem i ciepłej barr-coli. Uśmiech i ciemne okulary taty, który miał na sobie spodnie z podwiniętymi nogawkami.

Już od kilku lat Malcolm nie zabierał taty na wybrzeże. Niekiedy w czasie weekendu miał takie zamiary, ale na zamiarach się kończyło. Zresztą staruszek niezbyt pewnie trzymał się na nogach, tak przynajmniej sam twierdził. W istocie nie chciał, aby ludzie gapili się na nich; na topniejące w słońcu lody spływające po jego dłoni; na niezdatną ucieczkę z pomocą syna ku najbliższej ławce. Kiedy wreszcie siadali, Malcolm ścierał chusteczką roztopione lody z mokasynów ojca, a potem z poplamionej siwej brody.

Dzisiaj zresztą nie o to chodziło. Dzisiaj było po prostu za zimno.

Fox płacił za ten zakład opiekuńczy więcej, niż wynosiła rata jego kredytu hipotecznego. Kiedyś poprosił siostrę, aby dzieliła z nim ten ciężar; powiedziała, że zapłaci wtedy, kiedy będzie mogła. Zakład był prywatny. Fox oglądał kilka placówek państwowych lub komunalnych, ale wszystkie były ponure i kwaśno cuchnęły. Lauder Lodge był lepszy. Część pieniędzy, jakie tu Fox wpłacał, szła na takie luksusy, jak nowe tapety lub odświeżacze powietrza. Zawsze też wyczuwał aromat talku kosmetycznego, a brak jakichkolwiek przykrych zapa-

chów z kuchni świadczył o dobrej wentylacji.

Znalazł jakieś miejsce do zaparkowania obok budynku i przedstawił się na portierni przy drzwiach frontowych. Był to stojący osobno wiktoriański budynek, przed ostatnim kryzysem wart pewnie siedmiocyfrową kwotę. Przed prowadzącymi na górę schodami znajdowała się obszerna poczekalnia, ale któraś z opiekunek powiedziała mu, że może sam pójść do pokoju ojca.

– Zna pan drogę, panie Fox? – zaszczębiotała. Przytaknął ruchem głowy i zapuścił się w dłuższy z dwóch korytarzy. Znalazł się w aneksie dobudowanym do pierwotnej konstrukcji jakieś dziesięć lat temu. Na ścianach było trochę drobnych pęknięć, a na niektórych podwójnych oknach pojawiała się para, ale pokoje były jasne i przewiewne: to określenie przyszło mu do głowy już podczas pierwszej wizyty w tym miejscu. Jasne, przewiewne, a co najważniejsze, bez schodów; no i z łazienką – choć tylko dla niektórych szczęśliwców. Na wąskiej karcie przyklejonej do drzwi wydrukowane było nazwisko jego ojca.

„Pan M. Fox”. M jak Mitchell, co pochodziło od panieńskiego nazwiska babki Malcolm. Mitch: tak nazywali tatę wszyscy. To było dobre, mocne imię. Fox odetchnął głęboko, zastukał i wszedł do środka. Tata siedział przy oknie z rękoma złożonymi na kolanach. Wyglądał trochę bardziej mizernie, trochę mniej rześko niż podczas poprzedniej wizyty. Był porządnie ostrzyżony i miał chyba świeżo umyte włosy: srebrne, ale wciąż mocne, ze schodzącymi nisko baczkami, tak jak zawsze nosił.

– Cześć, tato – powiedział Fox, zatrzymując się przy łóżku. – Jak się miewasz?

– Nie narzekam.

Fox uśmiechnął się, czego najwyraźniej oczekiwano. Uszkodziłeś sobie kręgosłup w fabryce, w której pracowałeś, i przez wiele lat byłeś inwalidą; zachorowałeś na raka i leczyli cię niezbyt skutecznie, za to boleśnie; ledwie się z tego wszystkiego wykaraskałeś, umarła twoja żona, a w końcu dopadła cię starość.

Ale nie narzekasz, bo byłeś głową rodziny, prawdziwym panem domu.

Małżeństwo twojego syna rozpadło się po niespełna roku; już wtedy miał problemy z alkoholem, które potem się nasiliły. Twoja córka odleciała daleko od rodzinnego gniazda i rzadko dawała znać o sobie, wreszcie wróciła do domu, lecz z jakimś antypatycznym facetem na uwięzi.

Ale nie możesz narzekać.

W końcu przecież twój pokój nie cuchnie szczynami, a syn odwiedza cię tak często, jak tylko może. On też nieźle się urządził, jeśli wziąć wszystko pod uwagę. Nigdy nie pytałeś, czy lubi to, czym się zajmuje. Nigdy nie podziękowałeś za pieniądze, które wydaje na twoje utrzymanie.

- Zapomniałem przynieść ci czekoladę.
- Dziewczyny przyniosą, jak poproszę.
- „Delicje tureckie”? Nie tak łatwo je teraz znaleźć.

Mitch Fox powoli pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

- Była tutaj Jude?
- Chyba nie. – Tata zmarszczył brwi. – Ostatnio widziałem ją...
- Na Boże Narodzenie? Nieważne, spytam w recepcji.
- Myślę, że była tutaj... tydzień albo dwa temu.

Fox zdał sobie sprawę, że już od pewnego czasu trzyma w ręku komórki. Udawał, że przegląda SMS-y, w rzeczywistości jednak sprawdzał godzinę. Od momentu kiedy zamknął samochód, minęły zaledwie trzy minuty.

– Zakończyłem ostatecznie tę sprawę, o której ci opowiadałem. – Zatrzasnął klapkę telefonu. – Widziałem się rano z prokuratorem, wygląda na to, że będzie proces. Chociaż ciągle nie wszystko jest jasne...

- Dziś jest niedziela?
- Nie, tato, piątek.
- Ciągłe słyszę dzwony.
- Tuż za rogiem jest kościół; może to jakiś ślub. – Fox wiedział, że to nieprawda. Przed chwilą, kiedy przejeżdżał przez plac przed kościołem, było tam całkiem pusto. Dlaczego ja to robię? – zadał sobie w myślach pytanie. Dlaczego go okłamuję?

Znał odpowiedź: bo tak jest najłatwiej.

– Jak się miewa pani Sanderson? – spytał, sięgając znowu do kieszeni, tym razem po chusteczkę.

– Nabawiła się jakiegoś kaszlu. Nie zagląda tutaj, nie chce mnie zarazić. Ty też nie powinieneś tu być z tymi swoimi zarazkami... – Mitch Fox przerwał, najwyraźniej zastanawiając się nad czymś. – Jest piątek i ciągle jest widno... Chyba powinieneś być w pracy?

– Dostałem trochę wolnego za dobre sprawowanie. – Malcolm wstał i zaczął spacerować po pokoju. – Masz tu wszystko, czego potrzebujesz?

Popatrzył na stosik niezbyt nowych książek w papierowych

okładkach piętrzący się na biurku: Wilbur Smith, Clive Cussler, Jeffrey Archer – literatura, jaką podobno lubią faceci. Wyboru dokonał zapewne personel; ojciec nigdy nie był namiętnym czytelnikiem. W kącie wisiał telewizor – na stelażu pod sufitem, tak wysoko, że trudno było go oglądać inaczej niż z łóżka, z pozycji leżącej. Podczas którejs z poprzednich wizyt telewizor był włączony i nadawano transmisję wyścigów konnych, którymi ojciec nigdy się nie interesował; znów z pewnością był to wybór personelu. Drzwi do łazienki były uchylone; Fox otworzył je szeroko i zajrzał do środka. Nie było tu wanny, tylko kabina prysznicowa wyposażona w składane krzesło. Poczł zapach szamponu Vosene, tego samego, którym mama myła włosy jego i Jude, kiedy byli dziećmi.

– Ładnie tutaj, prawda? – zapytał głośno, nie na tyle jednak, by ojciec mógł usłyszeć.

Powtarzał tę sztukę zawsze, odkąd zabrali ojca z domu na Morningside. Początkowo było to pytanie retoryczne; teraz nie był już tego taki pewien. W pewnym momencie trzeba było opróżnić stary rodzinny dom. Dużo mebli wyładowało w garażu Foxa, a jego strych zapełniały pudła z fotografiami i innymi pamiątkami, do których on sam nie był szczególnie przywiązany. Przez jakiś czas przywoził więc trochę tych rzeczy przy każdej wizycie. Szybko jednak stało się to kłopotliwe dla ojca, który nie bardzo wiedział, gdzie je umieścić. Jeszcze większą przykrość sprawiało mu to, że zatarły się w jego pamięci imiona związane z tymi przedmiotami – imiona, które we własnym odczuciu powinien był pamiętać. Spoglądał na przedmioty, które utraciły znaczenie, a w jego oczach pojawiały się łzy.

– Masz ochotę na coś? – spytał Malcolm.

– Niespecjalnie.

– Może włączę telewizor? Albo zaparzę herbatę?

– Nie, nie, wszystko w porządku. – Nagle utkwil wzrok w synu. –

A ty, jak się miewasz?

– Lepiej niż kiedykolwiek.

– Dobrze ci idzie w pracy?

– Jestem ceniony i szanowany przez wszystkich, którzy mnie znają.

– Masz jakąś dziewczynę?

– Chwilowo nie.

– Ile to już minęło od rozvodu z...? – Ojciec znowu zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć imię. – No, mam na końcu języka...

– Elaine – odpowiedział Malcolm. – To stara historia, tato.

Mitch Fox skinął głową i przez chwilę pogрузzył się w myślach.

- Musisz być ostrożny, wiesz?
- Wiem.
- Ta maszynaria... nie można jej ufać.
- Nie pracuję przy maszynie, tato.
- Ale... mimo wszystko...

Malcolm ponownie zaczął udawać, że sprawdza coś w telefonie.

– Potrafię dbać o siebie – zapewnił ojca. – Nie musisz się o mnie martwić.

– Powiedz Jude, żeby do mnie wpadła – rzekł Mitch Fox. – I żeby bardziej uważała na tych swoich schodach...

Malcolm oderwał wzrok od telefonu.

– Tak, powiem jej – obiecał.

• • •

O co chodzi z tymi schodami? – zastanawiał się przy samochodzie. Było to srebrne volvo S60 z niespełną pięcioma tysiącami kilometrów na liczniku. Siostra odebrała telefon dopiero po sześciu próbach, jakby wcześniej prowadziła inną rozmowę.

– Pewnie odwiedzałeś Mitcha – odgadła.

– Tak, pytał o ciebie.

– Byłam tam w zeszłym tygodniu.

– Po tym, jak spadłaś ze schodów?

– Nic się nie stało, mam tylko parę siniaków.

– Pewnie na twarzy, Jude?

– Gadasz jak typowy gliniarz, Malcolm. Po prostu znosiłam jakieś rzeczy z góry, potknęłam się i upadłam.

Fox milczał przez chwilę, obserwując ruch na ulicy.

– A poza tym co słycać?

– Szkoda, że nie udało nam się spotkać przy Wigilii. Czy podziękowałam ci za kwiaty?

– Przysłałaś SMS-a na sylwestra. Napisałaś: „Rzeczyliwego Nowego Soku”.

– Ta moja komórka jest beznadziejna, guziki są stanowczo za małe.

– A może przedtem coś wypitaś?

– To też możliwe. A ty, ciągle na odwyku?

– Już pięć lat o suchym pysku.

– Nie musisz się tym chełpić. Co tam u Mitcha?

Fox miał już stanowczo dosyć rześkiego powietrza, otworzył

drzwi i wsiadł do samochodu.

- Mam wrażenie, że za mało je.
- Nie każdy może mieć taki apetyt jak ty.
- Nie sądzisz, że powinienem przysłać mu lekarza?
- A byłby ci za to wdzięczny?

Sięgnął po rulon miętówek leżący na fotelu pasażera i wepchnął jedną do ust.

- Powinniśmy spędzić jakiś wieczór razem.
- Na pewno.

– To znaczy tylko ty i ja... – Czekał na odpowiedź, licząc na to, że siostra wspomni o swoim partnerze. Gdyby to zrobiła, doszłoby może do rzeczowej rozmowy – tej, wokół której oboje tańczyli:

- *A Vince?*
- *Nie, tylko my dwoje*
- *Dlaczego?*
- *Bo wiem, że on cię bije, Jude, i zawsze mam ochotę mu za to przyłożyć.*

- *Mylisz się, Malcolm.*

– *Mylę się? To pokaż te siniaki i te schody, z których rzekomo spadłaś.*

Ale ona powiedziała tylko:

- Okay, spotkajmy się.

Pożegnali się, Fox wyłączył telefon i rzucił go na siedzenie obok. Kolejna zmarnowana okazja. Uruchomił silnik i ruszył w stronę domu.

Był to parterowy domek w Oxfords. Kiedy kupowali go wraz z Elaine, sprzedawcy twierdzili, że to Fairmilehead, a doradca prawny – że Colinton; oba te sąsiednie przedmieścia Edynburga były wtedy cenione wyżej, ale Fox uznał, że Oxfords też jest w porządku. Są tu i dobre sklepy, i puby, i biblioteka. Załedwie kilka minut do obwodnicy miejskiej, tyle samo do dwóch wielkich supermarketów. Regularna komunikacja autobusowa.

Fox nie mógł mieć pretensji do ojca, że zapomniał imienia Elaine. Ich narzeczeństwo trwało sześć miesięcy, małżeństwo dziesięć, a wszystko skończyło się już sześć lat temu. Znali się jeszcze ze szkoły, ale potem nie widzieli się przez parę lat. Spotkali się ponownie na pogrzebie kolegi. Poszli razem na lunch, potem na drinka, a w końcu wylądowali w łóżku upojeni alkoholem i wzajemnym pożądaniem; „pasją życia” – jak powiedziała Elaine. Miała wtedy świeżo za sobą długotrwały związek z jakimś facetem; „w odstawce” – takie try-

wialne określenie przyszło Foxowi do głowy po weselu. Zaprosiła byłego partnera na uroczystość, a on przyszedł elegancko ubrany i z uśmiechem na twarzy.

Miesiąc po podróży poślubnej (Korfu, oboje spalili się na brąz) zdali sobie sprawę z błędu. To ona postanowiła odejść. Zapytał, czy chce zachować bungalow, ale ona uznała, że to jego dom, więc został w nim, wykańczając strych i urządzając dom po swojemu. „Kawalerski beż” – jak to określił któryś z przyjaciół, dodając przy tym przestrogę: „Uważaj, aby twoje życie nie stało się takie samo”. Wjeżdżając na obwodnicę, Fox zastanawiał się, co takiego złego jest w beżu. Przecież to tylko kolor jak każdy inny. Wtedy jednak przemasował frontowe drzwi na żółto. Zainstalował też dwa lustra, jedno w holu, drugie na górnym podejściu schodów. Obrazy w drogich ramach uświetniły zarówno salon, jak i jadalnię. W kuchni srebrzył się toster. Kapa na łóżku była jaskrawozielona, a trzyczęściowy komplet mebli ciemnoczerwony. Jak najdalej od beżu, mruknął pod nosem.

Już w holu przypomniał sobie, że zostawił teczkę w bagażniku. Pierwsze przykazanie pracowników Wydziału Spraw Wewnętrznych to: nie zostawiaj niczego na zewnątrz. Wrócił więc po teczkę; potem położył ją na blacie kuchennym i wlał wodę do czajnika. Na razie planował tylko herbatę, tosty i wygodną kanapę. W zamrażalniku czekało lasagne, ale to na później. Niedawno na wyprzedaży u Zawiego kupił kilka filmów na DVD; teraz mógłby obejrzeć jeden albo dwa, jeśli nie będzie nic ciekawszego w telewizji. Kiedyś w dzisiejszym Zawim działała sieć Virgin. Ale ich sklepy splajtowały, podobnie jak sklepy Woolwortha przy Lothian Road; tam Fox bywał regularnie, niemal z nabożeństwem kupując słodczyce i zabawki jako dzieciak, a potem single i longplaye jako nastolatek; jako dorosły przejeżdżał tamtędy setki razy, ale jakoś nigdy nie miał powodu, by się zatrzymać i wejść do środka.

Wyjął z teczki dzisiejszą gazetę: coraz gorsze wiadomości gospodarcze. Może to właśnie tłumaczy, dlaczego co dziesiąty człowiek bierze leki antydepresyjne, mnożą się objawy nadpobudliwości u dzieci, a w co piątej szkole podstawowej uczniowie mają nadwagę i skłonność do cukrzycy. Szkocki parlament uchwalił budżet już w drugim podejściu, ale komentatorzy twierdzą, że zbyt wiele miejsc pracy powstaje w sektorze publicznym. Można było odnieść wrażenie, że gorzej jest już tylko na Kubie. Zbiegiem okoliczności jedną z płyt, które ostatnio kupił, był *Buena Vista Social Club*. Może puści ją dzisiaj: będzie odrobina Kuby w Oxgangs. Odrobina prawdziwego

wypoczynku.

Inna informacja w gazecie dotyczyła Litwinki zamordowanej w Brechin; jej zwłoki poćwiartowano i wrzucono do morza; potem fale wyrzucały kolejne części na plaże w okolicach Arbroath. Głowę znalazły jakieś dzieci. Zarzut morderstwa postawiono parze imigrantów. Takie sprawy żywo interesują większość policjantów. Fox w czasie całej swojej wcześniejszej pracy w Wydziale Dochodzeń Kryminalnych miał do czynienia tylko z paroma morderstwami, ale pamiętał wszystkie szczegóły zbrodni i autopsji zwłok. Uczestniczył wtedy w przekazywaniu wiadomości rodzinom ofiar, towarzyszył im przy identyfikacji bliskich. Wydział Spraw Wewnętrznych był bardzo daleko od takich spraw, toteż inni gliniarze często mówili, że Fox i jego koledzy mają łatwe życie.

– Dlaczego więc nie jest mi łatwo? – spytał sam siebie głośno, obserwując grzanki wyskakujące z tosterka. Zabrał wszystko – łącznie z gazetą – do salonu i położył na stoliku przy kanapie. Tego wieczoru miało być sporo ciekawych rzeczy w telewizji, na razie jednak leciały jeszcze wiadomości BBC. Jego wzrok powędrował na kominek, na którym stały fotografie w ramkach. Na jednej z nich byli rodzice, przypuszczalnie podczas wakacji, gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych.

Na drugiej był on sam, może dziesięcioletni, na sofie, obejmujący ramieniem młodszą siostrę. Zdjęcie zrobiono zapewne w domu którejś z ciotek, ale nie mógł sobie przypomnieć której. Chłopiec szczyrzy się do kamery, natomiast Jude najwyraźniej interesuje się tylko bratem. To przywołało inny obraz – Jude staczająca się ze schodów we własnym domu. Co takiego niosła? Może puste kubki, może kosz z bielizną. Ale potem na dole podniosła się bez żadnych obrażeń. Naprzeciwko stał Vince, zaciskając pięść. A może uderzył ją już wcześniej, na górze. Jude powie pewnie, że to ona uderzyła pierwsza, albo coś w tym rodzaju. Wszystko jedno: *to już się nie powtórzy...*

Fox stracił ochotę na jedzenie, a herbata śmierdziała, jakby wlał za dużo mleka. Odezwała się komórka: sygnał nowego SMS-a. To był Tony Kaye. Siedział w pubie razem z Joem Naysmithem. Pocałujcie mnie gdzieś, mruknął do siebie Fox.

Pięć minut później sięgnął po kluczyki samochodu.

Poniedziałek, 9 lutego 2009

2

Rankiem szukał miejsca przed komendą policji niemal równie długo, jak tutaj jechał. Tony Kaye i Joe Naysmith byli już w biurze. Jako „junior” Naysmith zagotował dzbanek kawy i otworzył karton mleka. W każdy piątek mieli się zrzucać na tę kawę i mleko. Czasami się zrzucali, czasami nie, więc Naysmith ciągle utrzymywał, że coś mu się należy.

– Zalegasz mi funta – stwierdził tym razem, stając przed biurkiem Foxa z rękami w kieszeniach.

– Rachunki reguluję pod koniec tygodnia – odparł Fox.

Za oknem był jasny, słoneczny dzień, na jezdniach ani śladu lodu. W ogrodach, które Fox mijał po drodze ze swojej posiadłości, tylko niewielkie białe plamy pozostały po wczorajszych śnieżnych bałwanach. Zdjął marynarkę, odsłaniając ciągle te same granatowe szelki. Czerwony krawat był jeszcze bardziej jaskrawy niż ten, który nosił w piątek. Mało co miał w teczce, ale jednak ją otworzył. Naysmith wrócił do stolika z kawą.

– Trzy łyżeczki cukru – przypomniał mu Kaye, otrzymując w odpowiedzi znany i przewidywany gest.

– Bob się nie odezwał? – spytał Fox.

Naysmith potrząsnął czupryną przypominającą mop (nie zaliczył fryzjera w czasie weekendu) i pokazał palcem biurko Foxa.

– Tam powinna być jakaś wiadomość.

Fox rzucił okiem na blat, ale niczego tam nie zobaczył. Odsunął krzesło i zajrzał pod biurko. Na podłodze leżała jakaś kartka, teraz już z brudnym odciskiem jego buta. Podniósł ją, obrócił i przeczytał notatkę McEwana: „Inglis – CEOP – 10.30”.

CEOP oznaczało: Ochrona Dzieci, a dokładniej: Zespół Ochrony Dzieci przed Molestowaniem Internetowym – Child Exploitation and Online Protection – co gliniarze przeważnie wymawiali jako „czop”. A pokój 2.24 na końcu korytarza w narożniku budynku nazywano Chop Shop. Fox był tam zaledwie parę razy w życiu, ale na samą myśl

o tym, co tam widział, żołądek podchodził mu do gardła.

– Mówi wam coś nazwisko Inglis? – spytał głośno.

Nie odpowiedzieli, najwyraźniej nic im nie mówiło. Fox spojrział na zegarek: do 10.30 miał ponad godzinę. Naysmith hałaśliwie mieszał kawę w kubku. Kaye rozparty wygodnie w fotelu przeciągał się i ziewał. Fox złożył kartkę na pół i wsunął ją do kieszeni. Potem wstał i włożył marynarkę.

– Wyjdę na chwilę – powiedział.

– Jesteśmy na warcie, jakby co – zakpił Kaye.

Na korytarzu było nieco chłodniej niż w biurze kontrolerów. Fox szedł bez pośpiechu, ale i tak wystarczyło parę chwil, żeby dotrzeć do ostatnich drzwi oznaczonych numerem 2.24 – o tyle niezwykłych, że opatrzonych solidnym zamkiem i interkomem. Nie było tabliczki z nazwiskami; w przeciwieństwie do Wydziału Spraw Wewnętrznych Chop Shop istniał jakby wyłącznie dla siebie. Był natomiast intrygujący napis: „Dźwięki i obrazy w tym pokoju mogą być szokujące. W pracy przy ekranach powinny uczestniczyć zawsze co najmniej dwie osoby”. Fox wziął głęboki oddech i nacisnął guzik. Z głośnika odezwał się głos mężczyzny.

– Tak?

– Inspektor Fox. Mam się tu spotkać z Inglisem.

Zapadła cisza, potem głos odezwał się znowu.

– Za wcześniej.

– Jak to?

– Było ustalone: dziesiąta trzydzieści, prawda?

– Powiedzieli mi, że dziewiąta trzydzieści.

Znów chwila ciszy, a potem:

– Zaczekaj.

Czekał, przyglądając się czubkom swoich butów. Kupił je na George Street miesiąc temu i ciągle obcierały mu pięty. Chociaż to bardzo porządne buty; tak przynajmniej zapewniała młodociana sprzedawczyni: „Wytrzymają do dnia Sądu Ostatecznego... albo do dnia, gdy puszcza tu tramwaj... zależnie od tego, co nastąpi wcześniej”. Bystra dziewczynka, miała poczucie humoru. Fox spytał ją, dlaczego nie chodzi do szkoły.

– Po co? – odparła tamta. – I tak nie dostanę dobrej pracy, chyba że bym wyemigrowała.

To przypomniało Foxowi czasy, kiedy sam był nastolatkiem. Wielu jego rówieśników też marzyło o wielkich zarobkach za granicą. I niektórym nawet się udało, ale tylko nielicznym.

Drzwi otworzyły się nagle. Naprzeciw niego stała kobieta ubrana w bladozieloną bluzkę i czarne spodnie. Była o jakieś dziesięć centymetrów niższa od niego i chyba z dziesięć lat młodsza. Wyciągnęła dłoń na powitanie.

– Jestem Inglis – przedstawiła się.

– Fox – odpowiedział, uśmiechając się. – Malcolm Fox.

– ZKW – raczej stwierdziła, niż spytała, ale Fox odruchowo przytaknął.

Pokój za jej plecami był zagrożony jeszcze bardziej niż kiedyś. Pięć biurków, a między nimi tylko tyle miejsca, żeby się jakoś przecisnąć. Przy ścianach regały z aktami i głębsze metalowe półki pełne komputerów. Niektóre procesory pozbawiono obudowy, by odsłonić mechanizm. Inne, owinięte w folię i opatrzone etykietkami, przechowywano tu jako dowody rzeczowe. Jedyne wolne kawałki ściany zapełniały fotografie twarzy. Nie były to takie same twarze. Byli tam młodzi i starzy, wąsaci, brodaczy i gładko ogoleni. Niektórzy mieli wzrok mętny, uciekający, inni patrzyli w kamerę bez śladu skruchy.

W pokoju była jeszcze tylko jedna osoba: mężczyzna, który przedtem rozmawiał z Foxem przez interkom. Teraz siedział przy biurku, bacznie obserwując gościa. Fox skinął głową, tamten odwzajemnił się tym samym.

– To Gilchrist – przedstawiła go Inglis. – Proszę, wejdz i rozgość się.

– Czy to na pewno możliwe? – spytał Fox.

Inglis rozejrzała się po pokoju.

– No cóż, robimy co w naszej mocy.

– Pracujecie tu tylko we dwójkę?

– Chwilowo tak – przyznała. – Ludzie się wykruszają.

– Zresztą większość spraw przekazujemy do Londynu – dodał Gilchrist. – A tam mają stuosobowy zespół.

– Sto osób to nie za dużo? – zdziwił się Fox.

– Nie masz pojęcia, ile mają roboty – odparła Inglis.

– Mam do ciebie mówić: Inglis? Chyba masz jakieś imię...?

– Annie... – powiedziała. Wskazała mu wolne krzesło przy sąsiednim biurku.

– Uśmiechnij się, Anthea – mruknął Gilchrist. Z min obojga Fox wynioskował, że to jakiś dowcip z brodą.

– Bruce Forsyth? – próbował zgadnąć. – *The Generation Game*?

– Tak – przyznała Inglis. – Dali mi imię po tej wspaniale

krzywiącej gębę prezydentce.

– Ale wolisz: Annie?

– Stanowczo wolę Annie, a jakbyś chciał bardziej oficjalnie, to detektyw sierżant Inglis.

– Wystarczy mi Annie. – Fox usiadł i zajął się zbieraniem pyłków z nogawek spodni. Wolał nie patrzeć na akta rozłożone na biurku, opatrzone sygnaturą „Mundurek szkolny”. Przełknął ślinę.

– Mój szef powiedział, że chcesz ze mną rozmawiać.

Inglis potwierdziła skinieniem głowy. Siedziała już przed swoim komputerem; na pudle procesora niebezpiecznie kiwał się dodatkowy laptop.

– Co wiesz na temat CEOP? – spytała.

– Wiem, że ścigacie zbrodniców.

– Dobrze powiedziane – skomentował Gilchrist, nie przestając bębnić w klawiaturę.

– Podobno kiedyś było łatwiej – rzekła Inglis. – Teraz wszystko jest cyfrowe. Nikt nie oddaje już swoich zdjęć do wywołania. Nikt nie musi kupować świerszczyków, nikt nawet nie trzusi się robieniem wydruków, chyba że na własny użytek. Możesz flirtować z dzieckiem gdzieś na drugim końcu świata i dopaść go, jak tylko czujesz, że jest gotowy.

– Zwarty i gotowy – powtórzył echem Gilchrist.

Fox przesunął palec pod kołnierzykiem koszuli. W pokoju było piekielnie gorąco, a nie mógł zdjąć marynarki, bo ciągle czuł nastrój spotkania urzędowego, więc konieczność sprawienia dobrego wrażenia i tak dalej. Choć oczywiście widział, że żakiet Annie Inglis wisi na oparciu krzesła. Był bladoróżowy i wyglądał na bardzo modny. Ona sama miała krótko przystrzyżone włosy, niemal jak chłopiec z tradycyjnego orszaku panny młodej, ciemnobrażowe i lśniące; zastanawiał się, czy nie są farbowane. Jej makijaż był skromny, tylko tyle, ile trzeba. I żadnego lakieru na paznokciach.

Ponownie rozejrzał się po pokoju i dopiero teraz spostrzegł, że szyby w oknach są matowe w odróżnieniu od wszystkich innych na tym piętrze budynku.

– Gorąco tutaj – stwierdziła. – To przez te wszystkie włączone procesory. Zdejmij marynarkę, jeśli masz ochotę.

Uśmiechnął się blade. Przez cały czas usiłował ją rozszyfrować, tak jak – zdawał sobie z tego sprawę – ona próbowała rozszyfrować jego. Zdjął marynarkę i położył ją na kolanach.

Inglis i Gilchrist wymienili spojrzenia, wiedział, że chodzi o jego

szelki.

– Kolejny problem z naszymi „klientami” – zaczęła – polega na tym, że stają się coraz sprytniejsi. Znają hardware i software lepiej niż my. Ciągłe musimy ich gonić. Oto przykład.

Popchnęła myszkę leżącą na biurku. Pusty dotychczas ekran komputera ożył, ukazując rozmazany obraz.

– Nazywamy to wirem – wyjaśniła. – Przestępcy przesyłają sobie nawzajem obrazki, ale dopiero po ich uprzednim zaszyfrowaniu. Musimy więc najpierw wymyślić program pozwalający to odwirować.

Kliknęła i chaos plam zaczął się układać w obraz mężczyzny obejmującego ramieniem chłopczyka o azjatyckich rysach.

– Rozumiesz? – spytała.

– Tak.

– A jest jeszcze cała masa podobnych trików. Na przykład ukrywanie obrazu pod innym obrazem. Jeżeli nie wiesz, że to właśnie taki przypadek, możesz w ogóle niczego nie zauważyć. Widzieliśmy też twarde dyski ukryte we wnętrzu innych twardych...

– Wszystko już widzieliśmy – dodał z naciskiem Gilchrist.

Inglis odwróciła głowę w jego stronę.

– Z wyjątkiem tego, czego nie widzieliśmy. Każdy tydzień przynosi coś nowego, coraz bardziej bulwersującego. Codziennie, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Siedzisz sobie w domu przy komputerze, szukasz ciekawostek albo czegoś do kupienia, a jesteś tylko o jedno kliknięcie od piekła.

– Albo od nieba – wtrącił się Gilchrist, nie odrywając wzroku od swojego ekranu. – Zależy od gustu. Zdarzają się rzeczy, od których stają włosy na jajach.

Fox wiedział, że ludzie z Chop Shop uważają się za specjalną rasę, odmienną od wszystkich innych policjantów z komendy Fettes; twardzi, gruboskórni, zahartowani w ciężkiej pracy. Typ macho. Zastanawiał się, ile trudu musiała sobie zadać Annie Inglis, aby się do tego dopasować.

– Ciekawe rzeczy mówicie – stwierdził sucho.

Inglis dotknęła ekranu końcem długopisu.

– Tego faceta – rzekła, wskazując mężczyznę z małym Azjatą – już znamy. I sporo o nim wiemy.

– To gliniarz?

Spojrzała na niego uważnie.

– Dlaczego tak myślisz?

- A po co byście mnie tu wzywali?
Pokiwała powoli głową.
- No dobrze, masz rację. Tyle że to Australijczyk, pracuje w Melbourne.
- I...?
- I jak powiedziałam, dużo o nim wiemy.
Otworzyła skoroszyt i wyjęła kilka kartek.
- Prowadzi stronę dla takich jak on. Żeby się tam dostać, trzeba zapłacić wpisowe.
- Raczej: wnieść udział – poprawił Gilchrist. – Co najmniej dwadzieścia pięć obrazków.
- Obrazków?
- Zdjęć ze swoimi dziećkami, wszystkie udziały równe...
- Ale jest też opłata pieniężna płatna kartą – dodała Inglis.
Podawała Foxowi dwie pierwsze kartki z nazwiskami i liczbami. – Znasz kogoś z nich?
- Fox dwukrotnie przebiegł listę wzrokiem. Było na niej prawie sto nazwisk. Pokręcił powoli głową.
- AJ. Breck? – zasugerowała Inglis. – J. jak Jamie.
- Jamie Breck... – To nazwisko rzeczywiście coś mu mówiło. – Policja Lothian i Borders?
- Tak – przyznała Inglis.
- Jeśli to ten sam Jamie Breck.
- Sygnał karty kredytowej wskazuje na Edynburg, na bank, w którym Jamie Breck ma konto.
- Sprawdziliście to już?
- Sprawdziliśmy.
- Okay. To do czego ja jestem potrzebny?
- Na razie mamy tylko tę jego kartę. Nie wysłał jeszcze zdjęć i może nie ma zamiaru wysłać.
- Ta strona jest wciąż aktywna?
- Tak. Mamy nadzieję, że nas nie wyczują, dopóki nie będziemy gotowi.
- Członkowie grupy są w kilkunastu krajach – włączył się Gilchrist. – Nauczyciele, działacze młodzieżowi, księża...
- I żaden z nich nie domyśla się, że ich śledzicie?
- Nie tylko my, także kilkanaście innych służb specjalnych z całego świata.
- Kiedyś – dodała Inglis – oddział w Londynie zatrzymał lidera takiej bandy i przejął prowadzenie jego strony. Dopiero po dziesięciu

dniach członkowie grupy zaczęli coś podejrzewać...

– A przez ten czas – wtrącił się znowu Gilchrist – uzyskano przeciwko nim mnóstwo dowodów.

Fox ponownie spojrzął na dziewczynę.

– Co ma do tego ZKW?

– Normalnie przekazalibyśmy tę robotę do Londynu, ale ta sprawa jest lokalna, więc... – przerwała, wpatrując się intensywnie w Foxa. – Chcemy, żebyście sporządzili dla nas portret. Musimy wiedzieć więcej o Jamiem Brecku.

Fox popatrzył na ekran.

– A nie jest to jakaś pomyłka?

Kiedy znów skierował wzrok na Annie Inglis, ta wzruszyła ramionami.

– Nadinspektor McEwan powiedział nam, że zapuszkowałeś Glena Heatona. Breck pracuje w tym samym komisariacie.

– Więc?

– Więc możesz z nim pogadać.

– O Heatonie?

– On może myśleć, że chodzi o Heatona. A potem nam o nim opowiesz.

Fox pokręcił sceptycznie głową.

– Nie bardzo mnie lubią w tamtych rejonach. Wątpię, czy Breck poświęci mi chociaż chwilę. Ale jeśli jest upaprany...

– Tak?

– Możemy mu się przyjrzeć.

– Inwigilacja?

– Jeśli okaże się to konieczne.

Spostrzegł, że Inglis słucha go bardzo uważnie, a i Gilchrist ode-
rwał się od swojej roboty.

– Możemy sprawdzić, co ma w swoim komputerze. Możemy też zbadać jego życie osobiste. – Fox przerwał i potarł palcami czoło. – Te karty kredytowe to wszystko, co macie?

– Na razie tak.

– Zawsze może powiedzieć, że ktoś inny użył jego karty.

– Właśnie dlatego potrzebujemy czegoś więcej – Inglis obróciła się na krześle, tak że jej kolana znalazły się o milimetr od jego kolan. Pochyliła się, oparła łokcie na udach i splótła dłonie. – Ale on nie może niczego podejrzewać. Jeśli się zorientuje, ostrzeże wszystkich innych. I zgubimy ich.

– I te dzieci też – dodał Fox cicho.

- Co?
- Przecież tu chodzi o dzieci, prawda? O ochronę dzieci?
- Oczywiście – odezwał się Gilchrist.
- Oczywiście – powtórzyła jak echo Annie Inglis.

Dopiero tuż przed drzwiami zespołu kontroli Fox zauważył, że wciąż trzyma w ręku marynarkę. Przystanął, włożył ją i odruchowo wygładził palcami kłapy. Jego myśli zaprzętała detektyw sierżant Anthea Inglis, która woli, by mówić do niej Annie, i jej kolega Gilchrist, którego imienia i rangi nie poznał. Myślał też o całej działalności Chop Shop. Jego zespół, ZKW, nazywano niekiedy „mroczną stroną”, ale miał wrażenie, jakby Inglis i Gilchrist codziennie zaglądali w mrok znacznie głębszy niż ten, z którym on miał kiedykolwiek do czynienia. Tak czy inaczej, mieli się czym chełpić. Funkcjonariusze ZKW czuli, że wszyscy ich nienawidzą. Ale ludzie z CEOP budzili autentyczny lęk. Bano się ich znacznie bardziej niż ekipy ZKW. Za drzwiami pokoju 2.24 czały się koszmary i straszyci.

– Malcolm? – Dobiegł go głos z tyłu. Odwrócił się i zobaczył Annie Inglis. Podeszła bliżej ze wzrokiem utkwionym w niego. – Proszę – powiedziała, wyciągając w jego kierunku niewielki przedmiot. Była to wizytówka. – Jest tu mój numer telefonu i e-mail, gdybyś czegoś potrzebował.

– Dzięki – odpowiedział, udając, że czyta wydrukowany tekst. – Właśnie...

– Właśnie tu stałeś i zastanawiałeś się nad tym wszystkim – odgadywała.

Sięgnął po portfel i wyciągnął swoją wizytówkę. Przyjęła ją z lekkim skinieniem głowy, odwróciła się i odeszła w głąb korytarza. Elegancko się porusza, pomyślał. Kobieta pewna swoich umiejętności, z wiarą we własne siły i na pewno ze świadomością, że Fox ją obserwuje. Tyłek też niezły.

W biurze ZKW było teraz znacznie głośniejsze niż rano. Bob McEwan siedział przy swoim biurku zajęty rozmową telefoniczną. Spozstrzegł powracającego Foxa i nawiązał kontakt wzrokowy, dając skinieniem głowy do zrozumienia, że jest okay. Biurko McEwana było uprzątnięte, ale Fox wiedział, że szef jak zwykle zwałił wszystko do sześciu przepastnych szuflad. Tony Kaye szukał tam kiedyś czegoś na ból głowy i natychmiast wezwał Foxa i Naysmitha, żeby sobie popatrzeli.

- To jak wykopaliska archeologiczne – zauważył wtedy Nays-

mith. – Warstwa na warstwie.

McEwan odłożył telefon i zaczął coś notować swoim sławnym, nieomal nieczytelnym pismem.

– Jak poszło? – spytał cicho.

Fox oparł się knykami o biurko i pochylił nad szefem.

– Dobrze – powiedział. – Całkiem dobrze. Ale... jesteś pewien, że to ja powinienem się tym zająć?

– Zależy, co masz na myśli.

– Badanie tła na początek, a potem inwigilacja, jeśli będzie trzeba.

– Włamiesz się do jego komputera?

Fox wzruszył ramionami.

– Najpierw to, co najważniejsze.

– Chcą, żebyś z nim porozmawiał?

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Może to kumpel Heatona.

– Też tak pomyślałem – przyznał McEwan – dlatego ostrożnie zapytałem.

Fox zmrużył oczy.

– Kogo?

– Kogoś znajomego. – Widząc, że Fox usiłuje odczytać zapisaną kartkę, McEwan odwrócił ją na drugą stronę. – Breck i Heaton są raczej rywalami niż kumplami. To ci daje wytłumaczenie.

– Sprawa Heatona jest już skończona i zamknięta.

– Na razie tak, ale kto wie...?

– A pomożesz mi? Zwolnisz z papierkowej roboty?

– Wszystko, co chcesz. Uprzedziłem już DCC.

Za tym skrótem krył się Adam Traynor, zastępca komendanta głównego, którego autoryzacja była wymagana dla każdej, nawet najdrobniejszej tajnej operacji. Zadzwoił telefon McEwana; szef położył rękę na słuchawce, gotów ją podnieść, wciąż jednak patrzył na Foxa.

– Zostawiam to do twojego uznania, Lisku.

A kiedy tamten już się wyprostował, by odejść, dodał niespodziewanie:

– Dobrze się bawiłeś w czasie długiego weekendu?

– Dwie udane noce w Monako – odparł Fox.

Przechodząc obok biurka Tony'ego Kaye'a, zaczął się zastanawiać, co też ten człowiek radar zdołał wychwycić z jego rozmowy z szefem. Kaye wyglądał na bardzo zajętego klawiaturą, na której wystukiwał

jakąś notatkę.

– Jest coś ciekawego? – spytał Fox.

– Mógłbym zadać to samo pytanie – odparł Kaye, rzucając spojrzenie na biurko szefa.

– Może byłaby szansa na awans dla ciebie – powiedział Fox z namysłem, drapiąc się jednocześnie pod brodą.

– Daj mi znać, gdybyś mnie potrzebował, Lisku.

Fox pokiwał głową w roztargnieniu. Naysmith szykował kolejny dzbanek kawy.

– Potrójny cukier dla mnie! – zawołał Kaye.

Naysmith wykrzywił usta, co oznaczało poważne ostrzeżenie. Machnął w stronę Foxa pustym kubkiem, ale ten podziękował ruchem głowy.

3

Wydział Kadr nigdy nie był zachwycony wizytami ludzi z Wydziału Spraw Wewnętrznych. Kadry oznaczają po prostu personel, toteż Fox wolał nazywać ten wydział „personalnym”. Woleliby tę nazwę także pracownicy kadr; Fox i jego koledzy nie mogliby się wałęsać tu jak po własnym podwórku. Teraz mieli wręcz nieograniczony dostęp – przywilej, którego nie miał nikt inny. Był oczywiście potrzebny telefon od McEwana zapowiadający wizytę Foxa, a potem także pismo potwierdzające konieczność przejrzenia akt personalnych. Ale w piśmie nie było żadnych nazwisk ani wskazań, o które akta chodzi – i właśnie to najbardziej wkurzało pracowników kadr, bo sugerowało, że nie można im ufać. Że gdyby wiedzieli, kogo śledzi Wydział Spraw Wewnętrznych, mogliby przekazać tę informację dalej i spalić śledztwo już na starcie. W istocie zdarzyło się to już kiedyś – przeszło dziesięć lat temu; zmieniono wtedy zasady postępowania, aby funkcjonariusze Wydziału Spraw Wewnętrznych mogli tu pracować w całkowitej dyskrecji.

W tym celu szefowa kadr musiała oddać swój gabinet do dyspozycji prowadzącego śledztwo: udostępnić swój komputer, aby Fox mógł z niego korzystać, dać mu klucze do szaf z aktami personalnymi w wielkiej głównej sali, a potem już tylko stać z założonymi rękami i z bezsilną złością obserwować, jak tamten buszuje w jej gospodarstwie.

Fox, który uczestniczył w tej procedurze już wiele razy początkowo starał się zachowywać uprzejmie, a nawet pojednawczo. Ale pani Stephens nie dawała się udobruchać, więc szybko zrezygnował. Najwyraźniej sprawiało jej przyjemność utrudnianie życia „takim jak on”: wystawione przez nadinspektora pisma polecające czytała długo, skrupulatnie i z najwyższą uwagą, a czasem nawet jeszcze raz dzwoniła do McEwana, aby wszystko ponownie sprawdzić. Potem żądała od Foxa okazania pełnomocnictwa i przepisywała jego dane do swojego formularza, który on musiał następnie podpisać. Później spraw-

działa, czy ten podpis zgadza się z podpisem na legitymacji. W końcu z ciężkim westchnieniem przekazywała mu swoje klucze, komputer, biurko i cały gabinet.,

– Dziękuję pani – odpowiadał sucho i z reguły były to pierwsze i ostatnie słowa, jakie wypowiadał przy takiej wizycie.

Wydział Kadr mieścił się na parterze budynku komendy. Policja Lothian i Borders nie jest największą jednostką w Szkocji, więc Fox często zastanawiał się, czym ten wydział się zajmuje. Pracował tu personel cywilny, głównie kobiety. Gapiły się na niego sponad ekranów swoich komputerów. Czasem któraś puszczała do niego oko lub przesyłała całuski. Rozpoznawał twarze niektórych – widywał je często w kantine. Nigdy jednak nie dochodziło do konwersacji, nie proponowano mu nawet kawy lub herbaty; pani Stephens bardzo dbała, aby takie rzeczy się nie zdarzały.

Fox upewnił się, że nikt nie widzi, jak wyjmuje z szafy teczkę Jamiego Brecka. Przycisnął ją do piersi, aby nie można było odczytać napisanego na okładce nazwiska, zamknął na klucz szufladę i wszedł do gabinetu pani Stephens. Zamknął za sobą drzwi i usiadł przy biurku. Krzesło było jeszcze ciepłe, ale niewiele mu to przeszkadzało. Cienkateczka zawierała szczegółowe dane o wykształceniu i karierze zawodowej Brecka. Miał dwadzieścia siedem lat, w policji był od sześciu lat, z czego przez dwa pierwsze szkolił się i pełnił służbę mundurową, po czym został przeniesiony do Wydziału Dochodzeń Kryminalnych, WDK. W rankingach wypadł bardzo dobrze, niemal celująco. Nie było informacji o sprawach, które prowadził, ale nie było też wzmianki o jakichkolwiek kłopotach czy problemach dyscyplinarnych. „Wzorowy funkcjonariusz” – tylko takie określenia pojawiały się od czasu do czasu. Foxa zaciekała informacja, że Breck mieszka w tej samej co on części miasta. Adres wskazywał na nowe osiedle w pobliżu supermarketu Morrisons. Fox obejrzał sobie to osiedle zza szyb samochodu, kiedy zastanawiał się nad przeprowadzką do jakiegoś większego domu.

Świat jest mały, pomyślał.

Także dane z komputera niewiele przyniosły. Breck czasami chorował, ale nie było to nic poważnego; nie potrzebował badań czy konsultacji lekarskich. Jego szefowie na Torpichen Place – gdzie od trzech lat pracował – nie narzekali na niego. Czytając między wierszami, Fox doszedł do wniosku, że Breck jest człowiekiem sukcesu. Był stosunkowo młody jak na detektywa sierżanta i najwyraźniej miał szansę na inspektora jeszcze przed trzydziestką. Sam Fox doszedł do

tej rangi w wieku trzydziestu siedmiu lat. Breck kształcił się prywatnie w George Watson's College; grał w rugby w drugiej drużynie szkoły. Potem zrobił licencjat na Uniwersytecie Edynburskim. Rodzice nadal żyją, oboje są lekarzami rodzinnymi. Starszy brat Colin wyemigrował do USA i pracuje tam jako inżynier.

Fox wyciągnął z kieszeni chusteczkę, znalazł jakiś suchy kawałek i głośno wytarł nos. Wystarczyło to, by wzbudzić czujność pani Stephens, której twarz pojawiła się w wąskim okienku obok drzwi. Skrzywiła się z niesmakiem: będzie tu rozsiewał swoje zarazki, profanując jej udzielne księstwo. Fox, choć nie miał już takiej potrzeby, wysmarkał się raz jeszcze, równie hałaśliwie.

Zamknął wszystkie przeglądane pliki. Pani Stephens dobrze wiedziała, że za chwilę zamknie też cały system, by jak najlepiej usunąć z komputera ślady swoich poszukiwań. Zanim rzeczywiście to zrobił, wpisał do wyszukiwarki jeszcze jedno nazwisko: Anthea Inglis. Było to na pewno niezgodne z przepisami, a jednak zrobił to. Potrzebował tylko paru chwil, by się dowiedzieć, że nie jest i nigdy nie była zamężna.

Że wychowywała się na farmie w okręgu Fife.

Że uczyła się w miejscowym liceum, zanim przeniosła się do Edynburga.

Że przed wstąpieniem do policji zajmowała się różnymi pracami.

Że jej personalia w pełnym brzmieniu to: Florence Anthea Inglis.

Drugie imię z *The Generation Game*, pierwsze – tak też być mogło – z innego programu telewizyjnego, *Magiczna karuzela*. Wyłączając komputer, Fox z trudem dławiał śmiech. Wyszedł z gabinetu, pozostawiając drzwi otwarte na oścież, i odniósł teczkę na jej miejsce w szafie; zadbał o to, by w żaden sposób nie wyróżniała się spośród pozostałych. Zadowolony z efektu swoich starań wsunął szufladę, zamknął ją na klucz i zamierzał oddać klucze do rąk własnych pani Stephens. Ta jednak z założonymi wciąż rękami balansowała całym swym ciężarem na krawędzi biurka koleżanki, więc rad nierad położył klucze na biurku tuż koło niej.

– Do zobaczenia następnym razem – powiedział i odwrócił się. Jedna z kobiet mrugnęła do niego, gdy koło niej przechodził, a on odwzajemnił się tym samym.

– Jest wiadomość dla ciebie – powitał go w biurze kontrolerów Naysmith.

– A gdzie ją znajdę? Na biurku czy pod biurkiem? – spytał złośliwie. Tym razem notatka leżała jednak tam, gdzie trzeba, przy

telefonie. Tylko nazwisko i numer telefonu.

– Alison Pettifer? – Spojrzał pytająco na Naysmitha, ale ten bezradnie wzruszył ramionami. Fox podniósł więc słuchawkę i wystukał numer z notatki. Przedstawił się jako inspektor Fox.

– Ach tak... – odezwała kobieta po drugiej stronie. Przez chwilę jakby się wahała.

– Dzwoniła pani do mnie – powiedział z naciskiem.

– Pan jest... bratem Jude?

Na moment głos zamarł mu w gardle.

– Co się stało?

– Ja... ja mieszkam obok – zająknęła się kobieta. – Ona mi kiedyś mówiła, że pan jest z policji. Dlatego mam pański numer...

– Co się stało? – powtórzył Fox; zdawał sobie sprawę, że Naysmith i Kaye przysłuchują się uważnie.

– Jude miała drobny wypadek...

• • •

Próbowała zatrzaskać mu drzwi przed nosem, ale popchnął je mocno, więc ustąpiła. Odeszła w stronę salonu. Domy w dzielnicy Saughtonhall stały w zabudowie szeregowej. Fox nie potrafił ustalić, w którym mieszka Alison Pettifer – w żadnym z sąsiednich okien nie poruszyła się firanka. Wszystkie domy przy tej ulicy chełpiły się antenami satelitarnymi; telewizor Jude był nastawiony na jakiś tandetny plotkarsko-kuchenny show. Wyłączyła go, kiedy brat wszedł do pokoju.

– No więc? – powiedział i zamilkł.

Jej oczy były zaczerwienione od płaczu. Na lewym policzku miała niewielkiego siniaka, a lewą rękę w gipsie i na temblaku.

– Znowu te schody? – spytał.

– Trochę wypięłam.

– Oczywiście.

Rozejrzał się po pokoju, który śmierdział alkoholem i papierosami. Na podłodze koło sofy stała pusta butelka po wódce. Obok dwie popielniczki, po brzegi wypełnione petami. Kilka zmiętych opakowań po papierosach. Wysoki bufet oddzielał przestrzeń rekreacyjną od niewielkiej kuchni. Piętrzyły się tam brudne naczynia i kartony po fast foodach. I dużo więcej pustych butelek po piwie, cydrze, tanim winie. Dywan pilnie potrzebował odkurzacza. Na stoliku do kawy zalegała gruba warstwa kurzu. Brakowało mu jednej nogi, którą zastąpiły cztery cegły ułożone jedna na drugiej. Przypomniał sobie: Vince

pracuje w branży budowlanej.

– Pozwolisz, że usiądę? – spytał.

Próbowała wzruszyć ramionami, ale przychodziło jej to z trudem. Fox doszedł do wniosku, że najbezpieczniej będzie przysiąść na oparciu sofy. Wciąż trzymał ręce w kieszeniach płaszcza. Pokój najwyraźniej nie był ogrzewany. Ale Jude miała na sobie tylko koszulkę z krótkimi rękawami i workowate drelichowe spodnie. Jej stopy były bose.

– Wyglądasz nieźle – powiedział.

– Dziękuję.

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, by wytrzeć nos.

– Ciągłe nie pozbyłeś się tego kataru? – skomentowała.

– A ty ciągle nie pozbyłaś się tego drania! Gdzie on jest?

– Pracuje.

– Nie widziałem, żeby ktoś tu coś budował.

– Były przymusowe urlopy, ale nie zwolnili go.

Fox pokiwał głową. Jude nadal stała przed nim, kołyszac lekko biodrami. Znał ten odruch. Robiła tak jako dziecko, ilekroć na czymś ją przyłapano. Popisywała się przed ojcem, by uniknąć bury.

– A ty? Nie masz teraz roboty?

Pokręciła głową. Pośrednik, który ją zatrudnił, nie miał dla niej pracy już od Bożego Narodzenia.

– Kto ci powiedział? Sąsiadka?

– Mam swoich informatorów – wywinął się.

– To nie ma nic wspólnego z Vince'em – oświadczyła.

– Słuchaj, Jude, to nie jest posterunek policji, jesteśmy tu tylko we dwójkę.

– To nie on – powtórzyła stanowczo.

– No to kto?

– Byłam w kuchni w sobotę...

– Wychyliłaś się za bufet i spadłaś na podłogę w pokoju – zakpił.

– Nie. Jak wracałam, uderzyłam się o kant pralki.

– Tak powiedziałaś na pogotowiu?

– To oni ci powiedzieli?

– A jakie to ma znaczenie?

Popatrzył na kominek. Po obu jego stronach stały regały wypełnione filmami na VHS i DVD – prawdopodobnie wszystkie odcinki *Seksu w wielkim mieście*, *Przyjaciół*, *Mamma mia* i paru innych seriali. Ziewnął i potarł rękami twarz wokół ust i nosa.

– Wiesz, co myślę?

- To nie jest wina Vince'a.
- Prowokował cię.
- Prowokowaliśmy się nawzajem, Male.

Tyle już wiedział; mógł jej powtórzyć to, co powiedziała sąsiadka – że często słyszała ordynarne kłótnie. Ale nie powtórzył, bo Jude odgadłaby, kto do niego zadzwonił.

– Jeśli złożymy na niego skargę – tylko raz, tylko ten jeden raz – to może się skończyć. Zażądamy, żeby się leczył.

– O, Vince'owi na pewno się to spodoba. – Zdobyła się na drwiący uśmiech.

– Jesteś moją siostrą, Jude...

Popatrzyła na niego, silnie mrugając oczami, ale bez płaczu.

– Wiem – powiedziała, a potem wskazała wzrokiem na rękę w gipsie. – Myślisz, że mogę z tym odwiedzić tatę?

– Lepiej daj spokój.

– A nie powiesz mu?

Pokręcił głową, po czym jeszcze raz rozejrzał się po pokoju.

– Chcesz, żebym tu trochę posprzątał? Pozmywał naczynia?

– Poradzę sobie.

– Czy on cię chociaż przeprosił?

Potwierdziła ruchem głowy, patrząc mu prosto w oczy. Fox nie wiedział jednak, czy może jej wierzyć i czy ma to jakiegokolwiek znaczenie. Wstał, spojrzął na nią z góry, potem pochylił się i cmoknął ją w policzek.

– Dlaczego musiał to zrobić ktoś obcy? – szepnął do jej ucha.

– Zrobić co?

– Zadzwonić do mnie – wyjaśnił.

Na dworze znów padał śnieg. Wsiadając do samochodu, zastanawiał się, czy dzień roboczy Vince'a Faulknera będzie skrócony. Faulkner pochodził z Enfield, północnego przedmieścia Londynu. Kibicował Arsenalowi i nie miał dobrej opinii o futbolu za północną granicą. To były jego pierwsze słowa, kiedy się poznali. Nie miał ochoty przeprowadzać się do Szkocji, ale „to ona mnie wiąże i ciągnie za uszy”. Miał przy tym nadzieję, że w końcu, jej” się to znudzi i wróci na południe. „Ona”. W ustach Vince'a bardzo rzadko pojawiała się jej imię. Tylko „ona” lub „jej” rzeczy. Czasem jednak „moja druga połowa”, a nawet „ptaszyna”. Malcolm zabębnił palcami po kierownicy, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Faulkner mógł pracować na którejś z trzydziestu budów aktualnie prowadzonych w mieście. Recesja przypuszczalnie wstrzymała budowę nowych mieszkań w

Granton, podobnie jak w Quatermile. Zapowiadana od dawna inwestycja w Caltongate w ogóle jeszcze nie ruszyła, a zdaniem lokalnej gazety deweloper miał poważne kłopoty finansowe.

Z motyką na słońce... – mruknął do siebie. Wibracja komórki zasygnalizowała nowego SMS-a. Tony Kaye napisał: „śmy u Mintera”.

Spojrzał na zegarek: minęła dopiero czwarta. Najwyraźniej McEwan zamknął już kramik i zwolnił chłopaków. Fox wyłączył telefon i przekręcił kluczyk w stacyjce. U Mintera, bar na Nowym Mieście z cenami staromiejskimi, znajdował się na uboczu i tylko wtajemniczeni umieli do niego trafić. Trudno było tam znaleźć miejsce do zaparkowania, ale Fox dobrze wiedział, jak sobie z tym poradził Kaye – po prostu za przednią szybą samochodu zatknął dużą tabliczkę: POLICJA. Czasem to pomagało, czasem nie, zależnie od humoru strażnika miejskiego. Przez chwilę zastanawiał się, jak wrócić do centrum, omijając roboty drogowe na Haymarket, ale szybko zrezygnował. Ktoś, kto umiałby rozwiązać ten problem, zasługiwałby na Nagrodę Nobla. Zanim ruszył, zerknął jeszcze raz w prawo, ale nie dostrzegł żadnego ruchu ani w oknie Jude, ani w oknach sąsiadów. Co powinien zrobić, jeśli Vince Faulkner wróci do domu wieczorem? Próbował przypomnieć sobie imię bohatera *Ojca chrestnego*, który dopadł szwagra brutala i wrzucił go do pojemnika na śmieci.

Sonny? Chyba Sonny? Tak właśnie byłoby najlepiej – przytrzasnąć tę wredną gębę pokrywą śmietnika i zagrozić: *Nie waż się dotykać mojej siostry!*

Tak, tak właśnie powinien postąpić.

• • •

U Mintera było pustawo. Tak było już od paru lat; właściciel lokalu początkowo tłumaczył to zakazem palenia, a ostatnio także recesją. Być może tak było naprawdę: na Nowym Mieście mieszkało dużo ludzi ze sfer bankowych, którzy w tych trudnych czasach woleli się nie pokazywać.

– Kto poza bankierami mógłby sobie pozwolić na dom w tej okolicy? – rzucił Tony Kaye, stawiając na stoliku przed Foxem szklankę coli z lodem.

Siedzieli w kącie baru. Naysmith pił jasne piwo, Kaye ciemne. Właściciel z zawiniętymi rękawami koszuli gapił się na jakiś kwiz w telewizji. Dwaj goście wyszli na zewnątrz na papierosa. W przeciwległym kącie sali siedzieli kobieta i mężczyzna. Kaye zamówił dla niej brandy z wodą sodową, potem wyjaśnił Foxowi i

Naysmithowi, że to jego znajoma.

– Twoja kobita też ją zna? – spytał Joe Naysmith.

Kaye pogroził mu palcem, po czym tym samym palcem wskazał siedzącą w kącie kobietę.

– Nazywa się Margaret Sime. Jak tu kiedyś będziecie beze mnie, nie zapomnijcie postawić jej drinka... Zaparkowałeś jakoś? – zwrócił się do Foxa.

– W połowie drogi pod tę cholerną górę – poskarżył się Fox. – Jak widzę, ty nie miałeś żadnych kłopotów.

Samochód Kaye'a, nissan x-trail, stał oczywiście naprzeciw wejścia do baru na podwójnej żółtej linii, z tabliczką POLICJA zatknietą za przednią szybą. Kaye zdobył się na błądy uśmiech i wzruszenie ramion, potem rozluźnił się i jednym haustem pochłonął piwo, które zostało w jego kufle. Starł smużkę piany z górnej wargi i wlepił wzrok w Foxa.

– Vince znowu był niegrzeczny?

Fox popatrzył na niego zdziwiony, ale z wyjaśnieniem pospieszył Naysmith:

– Jak tylko wyszedłeś, Tony jeszcze raz zadzwonił do tej kobiety.

– Powiedziała mi, że Jude miała „wypadek”.

Kaye pokiwał tylko głową.

– Nie wtrącaj się w to, dobrze? – przestrzegł go Fox. Ale Kaye nadal tylko kiwał głową. I znów pierwszy odezwał się Naysmith:

– Tony przyjrzał się Vince'owi Faulknerowi.

– Przyjrzał się? – Fox zmrużył oczy.

– Korzystając z KRKP – powiedział Naysmith i z głośnym siorbaniem pociągnął ze swojego kufła.

– Krajowy Rejestr Komputerowy Policji, dostępny tylko dla kolegów z Anglii – stwierdził Fox.

Tony Kaye znowu wzruszył ramionami.

– Mam tam kumpla, więc podałem mu nazwisko i miejsce urodzenia – Enfield, prawda? Pamiętam, że mi to mówiłeś.

– Masz kumpla w Anglii? Myślałem, że nie cierpisz Angoli.

– Nie wszystkich – poprawił Kaye. – Słuchaj, stary, chcesz wiedzieć czy nie?

– Wątpię, czy zdołam cię powstrzymać od gadania, Tony.

Kaye zrobił obrażoną minę i skrzyżował ręce. Naysmith chciał się wtrącić, ale Kaye powstrzymał go ostrzegawczym spojrzeniem. Dwaj palacze wracali właśnie do baru. Knajpiarz walnął obiema dłońmi w bufet i jęknął w stronę telewizora:

– Toż każdy dzieciak by to wiedział!
– Nie bądź taki pewny, Charlie, nie w naszych czasach – powiedział jeden z palaczy.

– Był już notowany – wypalił Naysmith, próbując mówić cicho. Kaye potoczył wzrokiem po suficie i szeroko rozłożył ręce, potem sięgnął po swój kufel i opróżnił go.

– Twoja kolejka, mały.

Naysmith popatrzył na niego wściekłym wzrokiem, ale po chwili ruszył w stronę bufetu z pustym kuflem Kaye'a.

– Notowany? – spytał Fox. Tony Kaye pochylił się ku niemu i rzekł cicho:

– Parę drobnych kradzieży jakieś dziewięć, dziesięć lat temu. Parę burd ulicznych. W sumie nic poważnego. Jude mogła nawet o tym nie wiedzieć. A co z nią?

– Ma rękę w gipsie.

– Rozmawiałeś z Faulknerem?

– Nie, nie było go. – Fox pokręcił głową.

– Coś trzeba z tym zrobić, Malcolm. Czy Jude złoży skargę?

– Nie.

– Możemy to zrobić za nią.

– Ona nie chce go stracić, Tony.

– W takim razie sami musimy z nim pogadać.

Naysmith, który zdążył już zamówić piwo, był z powrotem przy stoliku.

– Dokładnie tak – potwierdził – powinniśmy pogadać.

– O czymś zapomnieliście – rzekł Fox. – Jesteśmy z Wydziału Spraw Wewnętrznych. Rozejdzie się wiadomość, że latamy wkoło i zastraszamy jakichś brudasów. – Jeszcze raz pokręcił głową. – Nie możemy tak.

– No to nie będzie zabawy – podsumował Kaye, opuszczając ręce. Naysmith ponownie pomaszerował w stronę bufetu i przyniósł piwo dla Kaye'a. Fox uważnie obserwował obu kolegów. Obu przyjaciół, poprawił się w myślach.

– Mimo wszystko dziękuję – rzekł. A potem ściszywszy głos, kontynuował: – Myślę jednak, że trochę zabawy możemy mieć.

Obejrzał się i sprawdził, czy nikt ich nie obserwuje.

– McEwan dał mi sprawę gliniarza, niejakiego Brecka...

– Jamiego Brecka? – przerwał Kaye.

– Znasz go?

– Znam ludzi, którzy go znają.

– Co to za jeden? – spytał Naysmith, sadowiąc się przy stoliku. Z jego kufla ubyło dotychczas tylko trochę.

– Wydział Dochodzeń Kryminalnych na Torphichen – wyjaśnił Kaye, po czym zwrócił się do Foxa: – Jest umoczony?

– Prawdopodobnie.

– To po to byłeś dziś rano w Chop Shop?

– Nic się przed tobą nie ukryje, Tony.

– A w kadrach po południu?

– Jak wyżej.

Fox się wyprostował. Nie był pewien, czy dobrze robi. Udział Kaye'a i Naysmitha w tej sprawie na pewno nie zaszkodzi, ale czy rzeczywiście mają tu cokolwiek do roboty? Na razie wiedział tylko, że musi jakoś okazać im wdzięczność, a to był równie dobry sposób jak każdy inny. Dodatkowym plusem było to, że teraz będą mówić raczej o wspólnej pracy, a nie o Jude. Zastanawiał się jednak, co ma zrobić z informacjami, jakie przynieśli mu na temat Vince'a Faulknera. Nie ruszać tego? Nie wyobrażał sobie, że mógłby sam powiedzieć o tym Jude. Oskarżyłaby go o szpiegowanie, o wtrącanie się w jej życie.

Moje życie, Malcolm, to moja sprawa... Tak by to zapewne wyraziła. Dla policjantów najgorsze są zawsze sprawy, które dotyczą rodzin policjantów. Fox też szczerze nie znosił udziału w takich sprawach, ponieważ rzadko kończyły się dobrze, nie dawały satysfakcji ofiarom i nie poprawiały ich sytuacji. Tak też przyjęłaby Jude ewentualne działania jego kolegów.

Dwaj palacze nadal stali przy barze. Jeden z nich popijał whisky. Fox czuł jej zapach, czuł także miłe łaskotanie w gardle. Miał na nią coraz większy apetyt.

– No to mów – przerwał milczenie Tony Kaye. Joe Naysmith znowu pochylił się nisko nad stolikiem.

Z obrazem siostry w myślach i aromatem alkoholu w nozdrzach zaczęła opowiadać kolegom o sprawie Jamiego Brecka.

Wtorek, 10 lutego 2009

4

Następnego ranka Fox zadzwonił do Jude, ale telefon nie odpowiadał. Tak samo było w nocy. Prawdopodobnie zablokowała jego numer. A z całą pewnością nie chciała z nim rozmawiać. Zjadł śniadanie i pojechał do pracy. Kaye i Naysmith czekali tu już niecierpliwie na jego „plan działań”. Fox miał nadzieję, że spotka się z nimi Annie Inglis, ale w pokoju 2.24 nie było nikogo. Wysłał jej więc SMS-a, prosząc, aby oddzwoniła.

– Zaczekamy – powiedział do kolegów. – Nie pali się.

Byli już z powrotem przy swoich biurkach, kiedy zadzwonił telefon Foxa. Podniósł słuchawkę, jakiś głos zapytał, czy to Malcolm Fox.

– A kto mówi? – odpowiedział pytaniem.

– Detektyw sierżant Breck.

Fox zdętywał, ale nic nie powiedział.

– Czy mówię z inspektorem Malcolmem Foxem?

– Tak.

– Panie Fox, dzwonię w imieniu pańskiej siostry.

– Czy ona tam jest? Co się stało.

– Pańska siostra ma się dobrze. Ale niestety musimy się wybrać do kostnicy. Zapytałem ją, czy kogoś zawiadomić, a ona...

Głos brzmiał profesjonalnie, ale bez urzędowej oschłości.

– Niech pan powie, co się stało.

– Chodzi o partnera pańskiej siostry, panie Fox. Wie pan, gdzie jest kostnica miejska... ?

•••

Oczywiście wiedział: to było przy Cowgate. Nierzucający się w oczy ceglany budynek, koło którego przejeżdżasz, nawet nie podejrzewając, co jest w środku. Jechał strasznie wolno, niemal wszędzie były roboty drogowe. Nie tylko przebudowa linii tramwajowych, także nowa instalacja gazowa, a na Grassmarket

wymiana jezdni. Fox miał wrażenie, że na ulicach jest więcej słupków ostrzegawczych niż przechodniów. W biurze Kaye proponował mu swoje towarzystwo, ale odmówił. Vince Faulkner był martwy i tylko tyle Jamie Breck mógł mu powiedzieć. Breck – opanowany i ważący słowa. Breck – czekający na niego w kostnicy razem z Jude...

Zaparkował swoje volvo przy rampie i wszedł do środka. Wiedział, gdzie będą na niego czekać; sala oględzin znajdowała się na pierwszym piętrze. Po drodze pokazywał swoją legitymację wszystkim mijanym funkcjonariuszom, choć nie okazywali najmniejszego nawet zainteresowania. Wszyscy nosili krótkie zielone gumki i sięgające kolan fartuchy. Wszyscy albo właśnie myli ręce, albo zabierali się do tego. Jude usłyszała jego kroki i wybiegła mu naprzeciw. Była zapłakana, jej ciało drżało, a przez łzy widać było przekrwione oczy. Przytulił ją do siebie, uważając jednak na złamaną rękę. Dopiero po dłuższej chwili otworzył oczy i spojrzał nad jej ramieniem tam, gdzie stał detektyw sierżant Jamie Breck.

Tylko nie Jamie, przecież nie znasz jego imienia, przypomniał sobie Fox. Przez telefon przedstawił się jako detektyw Breck. Tymczasem Breck szedł już w ich kierunku. Fox zdołał odsunąć trochę Jude; zrobił to najdelikatniej, jak umiał. Wyciągnął rękę na powitanie. Breck był bardzo uprzejmy, niemal onieśmielony.

– Przepraszam – rzekł – powinienem był zauważyć, że to numer z Fettes. – Pańska siostra powiedziała, że jest pan detektywem inspektorem.

– Tylko inspektorem – sprostował Fox. – W Zespole Kontroli Wewnętrznej nie używamy określenia „detektyw”.

– Zespół Kontroli Wewnętrznej, czyli Wydział Spraw Wewnętrznych?

Fox przytaknął. Potem znów zajął się Jude.

– Tak mi przykro – powiedział, ściskając jej dłoń. – Trzymasz się jakoś?

Jedyną odpowiedzią był szloch. Spytał więc Brecka, czy nastąpiła już identyfikacja.

– Dwie minuty temu – powiedział Breck, udając, że patrzy na zegarek. Fox wiedział, co działo się za tymi drzwiami: zawsze przygotowywali ciało tak, aby można było je pokazać. Widoczna była tylko twarz, chyba że należało rozpoznać jakiś tatuaż albo znamię.

– Gdzie go znaleźli? – spytał.

– Na budowie przy kanale.

– Tam gdzie burzą browar?

– Nie pracował tam! – stwierdziła Jude z drzeniem w głosie. – Nie mam pojęcia, co mógł tam robić.

– Kiedy go znaleźli? – Fox zwrócił się do Brecka, jednocześnie nieco mocniej ścisnął dłoń siostry.

– Dzisiaj wczesnym rankiem. Grupa joggerów, biegli ścieżką holowniczą nad kanałem. Jeden dostał kolki, więc i inni się zatrzymali. Może gimnastykowali się przy płotku, nie wiem. W każdym razie wtedy go zobaczyli.

– I jest pan pewien, że...

– Było kilka kart kredytowych w kieszeni. Przekazałem pannie Fox opis zmarłego i jego ubrania...

Jamie Breck miał jasne, lekko kręcone włosy, twarz usianą piegami i jasnoniebieskie oczy. Był parę centymetrów niższy od Foxa i prawdopodobnie o jedną trzecią szczuplejszy w pasie. Miał na sobie ciemnobrązowy garnitur, marynarka była zapięta na wszystkie trzy guziki. Fox spróbował przypomnieć sobie wszystko, co już o nim wiedział: szkoła George'a Watsona... rodzice lekarze... mieszka na nowym osiedlu koło supermarketu... nie osiągnął jeszcze wymaganego minimum dwudziestu pięciu obrazków...

Nagle zdał sobie sprawę, że odruchowo głaszcze Jude po włosach.

– Bili go – powiedziała łamiącym się głosem. – Bili go, a potem zostawili, żeby umarł.

Fox spojrzał na Brecka, by uzyskać potwierdzenie.

– Obrażenia na to wskazują – stwierdził lakonicznie Breck.

Ktoś otworzył drzwi za jego plecami. W głębi sali leżało na wózku ciało, całe owinięte z wyjątkiem twarzy. Przykryte były także uszy i włosy. Twarz była poobijana, ale do rozpoznania, nawet z tej odległości. Fox spostrzegł ją wcześniej niż siostra.

– Jude – ostrzegł ją – jeśli chcesz, mogę to zrobić za ciebie.

– Muszę to zrobić – odparła. – Muszę...

• • •

– Zechce pan odwieźć ją do domu? – spytał Breck.

Obaj trzymali w rękach plastikowe kubki z herbatą. Znajdowali się w poczekalni dla rodzin. Sterta książek dla dzieci leżała na jednym z foteli, na ścianie przyklejony był plakat ze słonecznikiem. Jude siedziała o parę kroków od nich, też z kubkiem w dłoni; wzięła tylko wodę. Czekali na protokół, który ona musiała podpisać. Poobijane ciało Vince'a Faulknera było już w drodze do sali sekcji, gdzie komunalny zespół patologów miał wykonać swoją pracę, a potem

zawinać zwłoki i nakleić etykietkę.

– O której godzinie go znaleźli? – spytał cicho Fox.

– Tuż po szóstej.

– O szóstej jest jeszcze ciemno.

– Paliły się latarnie.

– Napadli go tam czy tylko podzucili?

– Tego jeszcze nie wiemy, inspektorze, to może potrwać... Na pewno wolałby pan teraz być z siostrą.

Fox spojrzał na Jude.

– Jest tam sąsiadka – odezwał się bardziej do siebie niż do Brecka. – Alison Pettifer. Może ona mogłaby zabrać Jude do domu i zostać z nią trochę.

Breck nienaturalnie wygiął ramiona do tyłu.

– Z całym szacunkiem, inspektorze, wiem, że ma pan wyższą rangę, ale...

– Chcę po prostu zobaczyć to miejsce. Czy to w czymś panu przeszkadza, sierżancie Breck?

Breck jakby zastanawiał się przez chwilę, potem rozluźnił ramiona.

– Proszę mówić do mnie Jamie – zaproponował.

Co najmniej dwadzieścia pięć obrazków – pomyślał Fox.

Minęła jeszcze godzina, zanim ukończono protokół i zanim radiowóz przywiózł Alison Pettifer. Fox serdecznie uścisnął jej dłoń i jeszcze raz podziękował za to, że wczoraj zadzwoniła.

– No, a teraz to... – skomentowała krótko. Była wysoka, szczupła, miała około pięćdziesięciu lat. Lekko pociągnęła Jude ku sobie, próbując ją jakoś pocieszać.

Ale oczy Jude nadal wydawały się nieprzytomne, kiedy Fox przytulił ją i ucałował w oba policzki.

– Wróć jak najszybciej – powiedział. Na zewnątrz przy radiowozie czekał na obie kobiety umundurowany policjant. Wyglądał na lekko znudzonego. Fox chciał się z nim przywitać, zamiast tego jednak sprawdził swoją komórkę. Były tam dwie wiadomości od Tony'ego Kaye'a, a ściślej – jedno pytanie dwukrotnie powtórzone: *Potrzebujesz mnie?*

Fox wystukał w odpowiedzi krótkie „nie”, ale potem poprawił to na „jeszcze nie”. Kiedy wysyłał odpowiedź, z drzwi budynku wyszedł Jamie Breck.

– Nie musi pan być przy sekcji?

– Mogą to przełożyć na później. – Breck spojrzał na zegarek. –

Czyli mogę tam z panem pojechać, jeśli pan chce.

- Mam tu samochód.
- To będzie pan kierowcą.

Po czterech minutach jazdy Breck stwierdził, że chyba piechotą byłoby szybciej. Droga była prosta – przez Cowgate, West Port i Fountainbridge – ale ruch znowu niemal stanął: przyczyną były długie odcinki ruchu wahadłowego kierowanego przez robotników w odblaskowych kamizelkach z czerwonymi i zielonymi sygnalizatorami.

– To może człowiekowi zawrócić w głowie – powiedział Breck.
– Tyle władzy naraz.

Fox przytaknął ruchem głowy.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, że o coś zapytam?

Fox miał, i to sporo, ale tylko wzruszył ramionami.

- W jaki sposób pańska siostra złamała rękę?
- Upadła w kuchni.

Breck zrobił minę, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Pan Faulkner pracował na budowach?
- Tak.

– Strój nie wskazuje na robotnika budowlanego – eleganckie spodnie, koszulka polo, skórzana marynarka. Marynarkę dostał w prezencie świątecznym od panny Fox.

- Rzeczywiście?
- Zamierzali się pobrać?
- Musi pan o to zapytać Jude.
- Nie jest pan z nią blisko?

Dłonie Foxa mimowolnie zacisnęły się na kierownicy.

- Owszem, jesteśmy blisko – odparł.
- A pan Faulkner?
- Co pan Faulkner?
- Lubił go pan?
- Niespecjalnie.
- Dlaczego?

- Nie było szczególnego powodu.
- Albo zbyt dużo, żeby je wymieniać?

Breck się zamyślił.

– Wie pan, na przykład przyjaciel mojego brata... Też za nim nie przepadam.

- Przyjaciel?
- Tak, mój brat jest gejem.
- Nie wiedziałem.

Breck rzucił na niego badawcze spojrzenie.

– Niby skąd miał pan wiedzieć?

Prawda, nawet nie powinienem wiedzieć. Tak jak nie powinienem wiedzieć, że ten brat jest inżynierem w Ameryce...

Fox przełknął ślinę.

– No i co pan o tym wszystkim sądzi?

Breck dość długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– W pobliżu miejsca, gdzie znaleziono ciało, płotek jest wylamany. A naprzeciwko jest uliczka, na której mógł być zaparkowany samochód.

– Podrzucili ciało?

Breck podciągnął ramiona i zaczął: gimnastykować mięśnie karku.

– Spytałem pannę Fox, kiedy ostatnio widziała pana Faulknera.

– No i?

– Powiedziała, że w sobotę. – Kręcił głową intensywnie, Fox mógł słyszeć zgrzytanie chrząstek w jego karku. – Ten gips wygląda na dosyć świeży...

– To się stało w sobotę – potwierdził Fox, nie zmieniając tonu. Skoncentrował się na drodze przed sobą: jeszcze dwa skrzyżowania ze światłami, jedno rondo i będą na miejscu.

– Czyli ona idzie na pogotowie, a pan Faulkner wychodzi sobie na miasto. – Breck skończył gimnastykę i pochylił się lekko do przodu, by nawiązać kontakt wzrokowy z Foxem. – Przewróciła się w kuchni?

– Tak mi powiedziała.

– A pan mi to przekazuje w dobrej wierze... Ale skrzywił się pan trochę, jak o tym mówił.

– Uważa się pan za jakiegoś Columbo?

– Tylko obserwuję, inspektorze Fox. Następna w lewo.

– Wiem.

– I znowu to skrzywienie – mruknął Breck wystarczająco głośno, żeby Fox to usłyszał.

Na miejscu wciąż jeszcze był kordon, ale jeden z policjantów podniósł taśmę, aby mogli pod nią przejść. Było tam też dwóch dziennikarzy z lokalnej prasy, obaj wystarczająco starzy i doświadczeni, by wiedzieć, że ich pytania pozostaną bez odpowiedzi. Parę osób gapiło się ze ścieżki holowniczej, chociaż nie było czego oglądać. W furgonetce laboratorium był już komplet zdjęć pokazujących ciało *in situ*. Breck zgarnął kilka za stolika laboranta i podał je Foxowi. Vince'a Faulknera znaleziono leżącego na brzuchu z rękami

wyciągniętymi do przodu. Czaszka była zmiażdżona jakimś ciężkim przedmiotem, włosy zlepione krwią. Na wewnętrznej części dłoni i na palcach widać było otarcia charakterystyczne dla kogoś, kto próbuje się bronić.

– O wewnętrznych obrażeniach dowiemy się dopiero po przeprowadzeniu sekcji – skomentował Breck.

Fox rozejrzał się po okolicy. Widok był ponury: hałdy ziemi i gruzu po zburzonym browarze. Pozostały magazyny – puste, z wytłuczonymi oknami. Po drugiej stronie ulicy trwały prace ziemne pod budowę „wielofunkcyjnego budynku socjalnego”, jak napisano na wielkiej tablicy informacyjnej; miały się tu znaleźć sklepy, biura i apartamenty (nikt już, jak się zdaje, nie lubił staroświeckiej nazwy „mieszkanie”). Policjanci w pelerynach szli przez teren tyralierą, próbując znaleźć narzędzie zbrodni. Były dziesiątki tysięcy możliwości: cegły, kamienie, odłamki betonu.

– Przecież mogli to wrzucić do kanału – mruknął Fox.

– Wezwaliśmy już pletwonurków – odparł Breck.

– Nie ma zbyt wiele krwi na ziemi – stwierdził Fox, przyglądając się jeszcze raz fotografiom.

– Nie ma.

– To dlatego sądzi pan, że go tu podrzucili?

– Tak.

– A więc nie musiał to być napad.

– Bez komentarzy. – Breck popatrzył w niebo i westchnął głęboko.

– Wiem – powiedział Fox, uprzedzając wypowiedź Brecka – nie powinienem się w to wtrącać. Na pewno nie osobiście.

– To prawda. – Breck wziął zdjęcia z ręki Foxa. – Czy chce mi pan coś więcej powiedzieć o partnerze pańskiej siostry?

– Nie.

– To on złamał jej rękę, prawda?

– Musi pan o to zapytać Jude.

Breck popatrzył na niego w milczeniu, potem kopnął niewielki kamyk, który potoczył się po ziemi.

– Jak długo pańskim zdaniem będzie trwała ta budowa?

– Kto wie?

– Podobno grupa bankowa HBOS chce tu przenieść swoje główne biuro.

– Na razie raczej tego nie zrobią.

– Mam nadzieję, że nie ma pan ich akcji.

Fox zaśmiał się, potem wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Dziękuję, że pozwolił mi pan tu przyjechać. Doceniam to.

– Proszę być pewnym, inspektorze, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, i to nie tylko dlatego, że jest pan naszym kolegą. – Breck mrugnął porozumiewawczo, puszczając jego dłoń.

Minimum dwadzieścia pięć obrazków... – pomyślał Fox. Lubisz przyglądać się dzieciakom, detektywie Breck, i muszę to z ciebie wycisnąć...

– Dziękuję raz jeszcze – powiedział. – Podrzucić pana z powrotem do kostnicy?

– Zostanę tu jeszcze chwilę. – Breck zrobił pauzę, jakby nad czymś się namyślał. – Zespół kontroli – powiedział w końcu – przemaglował ostatnio moją koleżkę.

– Nie tylko zespół kontroli zajmował się maglowaniem Glana Heatona.

– Ale badał pan tę sprawę?

– Dlaczego pan pyta?

– Bez specjalnego powodu.

– Nie jest pan jego osobistym przyjacielem, prawda?

Breck spojrział na niego uważnie.

– A dlaczego pan o to pyta?

– Bo jestem z Wydziału Spraw Wewnętrznych, detektywie Breck. Z natury rzeczy chcę wiedzieć wszystko.

– Biorę to pod uwagę, inspektorze.

Zaledwie Fox znalazł się w samochodzie, zadzwonił do biura i poprosił Tony'ego, aby się wstrzymać w sprawie Brecka. Kaye spytał oczywiście dlaczego.

– Prowadzi sprawę Faulknera.

Kaye gwizdnął ze zdumienia, ale zanim skończył, Fox przerwał rozmowę. Jego telefon odezwał się niemal natychmiast. Fox rzucił bez namysłu:

– Daj spokój, Tony, wszystko ci powiem później.

Po tamtej stronie przez chwilę panowała cisza, a potem odezwał się kobiecy głos:

– Mówi Annie Inglis. Masz chwilę?

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo, Annie.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie, ale dziękuję za ofertę.

– Dostałam wiadomość od ciebie...

Zawył klakson samochodu jadącego za nim, kiedy Fox skręcił w

ulicę przeznaczoną tylko dla taksówek i autobusów.

- Sprawa się komplikuje. Nie żyje przyjaciel mojej siostry.
- Szczerze współczuję...
- Nie trzeba, to był marny typek. Ale właśnie przed chwilą poznałem oficera prowadzącego śledztwo. To detektyw Jamie Breck.
- O!
- Tak więc sprawę, którą chcieliście mi powierzyć, musi zapewne poprowadzić ktoś inny. Zresztą wtajemniczyłem już dwóch kolegów z mojego biura.
- Rozumiem. – Przerwała na chwilę. – Gdzie teraz jesteś?
- W drodze do domu siostry.
- Jak ona się czuje?
- Właśnie po to tam jadę, żeby się dowiedzieć.
- Daj mi znać, dobrze?

Fox popatrzył w lusterko. Za nim jechał policyjny radiowóz, migając niebieskimi światłami na dachu.

- Muszę kończyć – powiedział i wyłączył telefon.

Dobre pięć minut zajęło mu tłumaczenie się przed policjantami z patrolu. Próbował okazać im legitymację w taki sposób, by nie zauważyli, że jest z Wydziału Spraw Wewnętrznych, ale chyba i tak to wiedzieli. Czy zdaje sobie sprawę, że wykonał nieprzepisowy manewr? I czy pamięta, że prawo drogowe zabrania kierowcy używania telefonu w czasie jazdy? Próbował być grzeczny i ani słowem nie wspominał, dokąd jedzie i po co – nie widział żadnego powodu, żeby wtajemniczać tych gnojków. W końcu wypisali mu mandat.

– Nikt nie stoi ponad prawem – pouczył go starszy. Fox podziękował i wsiadł z powrotem do samochodu. Tamci zrobili to, co zawsze robią w takich sytuacjach – jechali za nim jeszcze kilkaset metrów, potem skręcili gdzieś w prawo. Oto, co wynika z pracy w Wydziale Spraw Wewnętrznych – nie masz szans na życzliwość gliniarzy. Wręcz przeciwnie. Te refleksje znów doprowadziły go do Jamiego Brecka...

Znalazł jakieś miejsce do zaparkowania niedaleko domu Jude. Drzwi otworzyła Alison Pettifer. Wcześniej opuściła żaluzje w oknach salonu i kuchni. Zapewne dla „poszanowania majestatu śmierci”, pomyślał Fox.

- Gdzie jest Jude? – spytał.
- Na górze. Zrobiłam jej herbatę, bardzo słodką.

Fox rozejrzał się po pokoju. Odniósł wrażenie, że pani Pettifer sporo już uporządkowała. Podziękował jej i ruszył w stronę schodów,

by zobaczyć się z siostrą. Pani Pettifer ścisnęła ostrzegawczo jego ramię. Nic nie powiedziała, ale jej oczy mówiły wyraźnie: *proszę traktować ją delikatnie*. Poklepał jej dłoń i poszedł na górę. Schody były strome i wąskie. Osłonięty barierką podest prowadził do łazienki i dwóch sypialni. Pierwsza sypialnia, otwarta, stanowiła królestwo Vince'a Faulknera: stały tu skrzynki z różnymi rupieciami, stary zestaw hi-fi, półki z płytami rockowymi, a także biurko z tanim komputerem. Drzwi były uchylone, więc zajrzał głębiej. Żaluzje były szczelnie zamknięte. Na podłodze leżało kilka magazynów dla mężczyzn; okładki pokazywały niemal identyczne blondynki osłaniające ramionami obfite piersi. Fox zapukał do następnych drzwi i nacisnął klamkę. Jude nie spała. Na stoliku przy łóżku stała nietknięta herbata, obok pusta szklaneczka. W pokoju unosił się słaby zapach wódki.

– Jak się czujesz, siostrzyczko?

Usiadł na łóżku. Widział tylko jej głowę i białe stopy. Poglądził jej włosy delikatnym ruchem od czoła ku tyłowi głowy. Pociągnęła nosem i usiadła. Okazało się, że leżała pod pierzyną kompletnie ubrana.

– Ktoś go zabił – załkała.

Nic lepszego nie mogło się zdarzyć, pomyślał. Ale głośno powiedział tylko:

– To straszne.

– Czy oni uważają, że...?

– Że co?

– Że ja mogę mieć z tym coś wspólnego?

Pokręcił głową przecząco.

– Ale będą chcieli z tobą rozmawiać. Nie przejmuj się, to normalna procedura.

Ponownie dotknął jej włosów.

– Kiedy widziałas go po raz ostatni, Jude?

– W sobotę.

– Tego samego dnia, kiedy on... – pokazał gipsowy opatrunek.

– Gdy wróciłam ze szpitala, już go tu nie było.

– Dzwonił później?

Westchnęła głęboko, potem pokręciła głową.

– Prawdę mówiąc, nie było w tym nic niezwykłego. Czasami zniknął na całą noc. Siedział u kumpli, a później opowiadał, że przespał się na kanapie albo na łóżku polowym.

– Próbowalas dzwonić do niego w czasie weekendu?

– Wysłałam parę SMS-ów.

- Nie było odpowiedzi?
Zaprzeczyła.
- Myślałam, że wróci w niedzielę, ale... – Spojrzała na złamaną rękę. – Może czuł się bardziej winny niż zwykle.
- A ostatniej nocy? – naciskał.
Jeszcze jeden głęboki oddech.
- Ostatniej nocy... nie wiem, byłam mocno zmartwiona.
- Albo znieczulona. – Wskazał na pustą szklankę. Zareagowała gwałtownym wzruszeniem ramion.
- A gdy tu byłem wczoraj – ciągnął – dlaczego mi nie powiedziałaś?
- Nie chciałam, żebyś wiedział.
- Próbowałem dzwonić w nocy... nie odpowiadałaś.
- Byłam, jak powiedziałeś, znieczulona.
- Rano też?
- Spojrzała na niego badawczo.
- Przysłali cię, żebyś mnie przesłuchał?
- Pytam tylko o to, o co oni na pewno zapytają.
- Nigdy go nie lubiłeś – skomentowała.
- Nie przeczę.
- Może nawet cieszysz się z jego śmierci – przybrała ton oskarżycielski. Fox podniósł palcem jej podbródek, aby spojrzała mu w oczy.
- To nieprawda – skłamał. – Ale to nie był człowiek, na którego zasługujesz.
- Był taki, jakiego miałam, Malcolm. Dla mnie to było bardzo dużo.

5

Spotkał się z Annie Inglis w kantynie przy Fettes. O tej porze było tu pusto, tylko parę osób personelu. Usiadł przy stoliku blisko okna, ale Annie postanowiła jeszcze przynieść coś do picia.

– Nie jestem inwalidą – powiedział z uśmiechem, kiedy postawiła przed nim kubek z kawą.

– Słodzisz? – Rzuciła na stół kilka saszetek cukru. Zaprzeczył i czekał, aż Annie przysunie sobie krzesło. Dla siebie przyniosła czekoladę, teraz zamieszała ją, dotknęła palcem powierzchni płynu i oblizała palec. Dopiero wtedy spojrzała na Foxa.

– No? – zagadnęła.

– No – zgodził się.

– Masz jakiś pomysł, jak to się stało?

– Jest budowa nad kanałem, ktoś go załatwił.

– Jak sobie radzi twoja siostra?

– Ma na imię Jude, zdrobnienie od Judith. Nie wiem, czy sobie radzi.

– Miałaś być u niej.

– Byłem. Leżała ubrana w łóżku z butelką wódki.

– Nie zazdroścę...

– Jude ma problemy z alkoholem.

Zajrzał do swojego kubka. Miało to być cappuccino, ale nie było pianki. Inglis uśmiechnęła się blado, przeciągając chwile milczenia.

– A więc – spytała w końcu – poznałeś sierżanta Brecka?

– Pewnie i tobie się to zdarzy – mruknął.

Zignorowała to.

– Jakie zrobił na tobie wrażenie?

– Chyba jest dobry w swoim fachu. A w rozmowie nic nie wskazywało na jego skłonność do zabaw z dziećmi.

Zjeżyła się, ale tylko na moment.

– Malcolm – rzekła cicho – ja tylko pytam...

– Przepraszam.

- A powód jest taki, że Gilchrist i ja rozmawialiśmy...
- Gilchrist jest twoim szefem?
- Gilchrist? – otworzyła szeroko oczy. – Jest moim asystentem.
- Jest starszy od ciebie.
- I dlatego pomyślałeś, że także starszy rangą?

Od konieczności udzielenia odpowiedzi uratował Foxa dzwonek jej telefonu. Sięgnęła po aparat i spojrzała na ekran.

- Muszę odebrać – powiedziała – to mój syn.

Przyłożyła telefon do ucha.

– Cześć, Duncan. – Słuchała prawie minutę ze wzrokiem utkwionym w widok za oknem. – Dobrze, ale przed siódmą masz być w domu. Zrozumiałeś? No to cześć.

Odłożyła telefon na stolik, ale nie wypuściła go z dłoni.

- Nie wiedziałem, że jesteś mężatką – odezwał się Fox.
- Bo nie jestem. – Namyslała się przez chwilę. – Ale dlaczego...?

Długo przełykał ślinę. Wiedział o niej rzeczy, których nie powinien był wiedzieć.

– Nie nosisz obrączki – wymyślił w końcu. Potem, chyba trochę za szybko, zapytał: – Ile lat ma Duncan?

- Piętnaście.
- Musiałaś być bardzo młoda.
- Ostatni rok w szkole. Mama i tata byli wściekli, ale zaopiekowali się nim.

Fox pokiwał głową ze zrozumieniem. Nie było wzmianki o synu w teczce osobowej. Przeoczenie? Wypił łyk kawy.

- Poszedł gdzieś do kolegów – wyjaśniła Annie Inglis.
- To chyba nie takie łatwe: samotna matka i nastoletni chłopak...
- W porządku – stwierdziła tonem wskazującym, że dość już na ten temat.

Fox podniósł kubek do ust i ponad nim rzucił:

- Zaczęłaś mówić, że rozmawialiście z Gilchristem...
- Tak. Pomyśleliśmy, że ta sprawa może być przydatna.
- Masz na myśli mnie i Brecka?

Przytaknęła.

– Nie jesteś objęty tym śledztwem, a więc nie ma mowy o konflikcie interesów.

- Chcesz powiedzieć, że w czasie, gdy Breck zajmuje się morderstwem, ja mam się zająć nim?
- Poznaliście się już... i masz świetny pretekst do dalszych kontaktów.

– I to jest konflikt interesów?
– Prosimy cię tylko o materiał, Malcolm, a do Londynu przekazujemy konkluzje. Nic z tego, co robisz, nie trafi do sądu.
– Skąd możemy mieć pewność?
Zastanawiała się przez chwilę.
– Gilchrist skonsultował to z twoim przełożonym i z zastępcą szefa.

– Czy to nie powinno być twoje zadanie?
Wzruszyła ramionami i popatrzyła mu w oczy.

– Wolałam porozmawiać z tobą.
– Jestem szczerze wzruszony.
– Podejmiesz się tego, Malcolm? Muszę to wiedzieć.

Fox przypomniał sobie rozmowę na rumowisku. *Zrobimy wszystko, co w naszej mocy...*

– Podejmę się – powiedział.

Kiedy wrócił na górę, w jego biurze nie było nikogo. Siedział przy biurku dobre pięć minut, obgryzając koniec taniego długopisu; jego myśli zaprzętały Vince Faulkner, Jude i Jamie Breck. Nagle drzwi, przez cały czas lekko uchylone, otworzyły się na oścież i do pokoju wszedł Bob McEwan. Ubrany był w długi płaszcz, w rękę trzymał aktówkę.

– Wszystko w porządku, Lisku? – spytał, stając przed biurkiem Focha na szeroko rozstawionych nogach.

– Dziękuję, tak.

– Słyszałem o twoim szwagrze... wyrazy współczucia, jeśli ci na nich zależy.

– Nie był członkiem rodziny – sprostował Fox. – Ot, facet, w którym zakochała się moja siostra.

– Wszystko jedno...

– Odwiedzam ją, gdy tylko mogę. – Te słowa przypomniały mu o ojcu. Trzeba przecież powiedzieć Mitchowi.

– A Chop Shop? – zmienił temat McEwan. – Myślisz, że nadal będziesz mógł im pomagać?

– Nie uważasz, że jest z tym pewien problem?

– Traynor nie widzi problemu.

Adam Traynor był zastępcą szefa policji w Edynburgu.

– Właśnie mówiłem z nim o tym.

– Skoro tak, to w porządku – zgodził się Fox, odkładając na biurko pogryziony długopis.

• • •

Po pracy pojechał do Lauder Lodge. Ktoś z personelu powiedział mu, że ojciec jest w pokoju pani Sanderson. Dotarł pod jej drzwi i przystawił ucho, ale nic nie usłyszał. Zapukał; po chwili kobiecy głos zaprosił go do środka. Mitch siedział przy kominku naprzeciw pani Sanderson. Kominek pełnił tylko funkcję ozdoby. Na nieużywanym ruszcie stał wazon z suchymi kwiatami. Fox był już raz w pokoju pani Sanderson; ojciec zaprowadził go tam, by go przedstawić „swojej nowej, drogiej przyjaciółce”. Teraz uczynił to ponownie:

– Audrey, to jest mój syn.

Pani Sanderson zaśmiała się dźwięcznie.

– Wiem, Mitch, poznałam już Malcolma.

Brwi Mitcha Foxa zmarszczyły się, kiedy próbował sobie to przypomnieć. Malcolm pochylił się nad panią Sanderson i pocałował ją w policzek. Pachniała pudrem, a jej twarz wyglądała z bliska jak pergaminowa, podobnie jej ręce. Prawdopodobnie zawsze była szczupła, ale teraz skóra na twarzy dosłownie oblepiała kości. Mimo wszystko była to ładna kobieta.

– Lepiej się pani czuje? – spytał.

– Znacznie lepiej, mój drogi. – Poklepała jego dłoń, zanim ją puściła.

– Dwa razy w ciągu paru dni? – odezwał się ojciec. – Czy wyglądam już na takiego, co go trzeba rozpieszczać? A kiedy pojawi się ta twoja siostrzyczka?

Nie było miejsca, na którym Fox mógłby usiąść, z wyjątkiem łóżka, więc nadal stał. Z tej pozycji nienaturalnie górował nad obojgiem siedzących. Pani Sanderson poprawiła kraciasty koc podróżny, który okrywał jej kolana.

– Mam złą wiadomość od Jude – rzekł Malcolm.

– Och!

– Chodzi o Vince'a. Został zabity.

Pani Sanderson patrzyła na niego z otwartymi w przerażeniu ustami.

– Zabity? – powtórzył jak echo Mitch Fox.

– Może wolicie, żebym...? – Pani Sanderson wstała.

– Usiądź – rozkazał. – To przecież twój pokój. Wygląda na to, że poszedł w jakieś podejrzone miejsce – próbował wyjaśnić Fox – i dostał baty.

– Na nic lepszego nie zasługiwał.

– Nie możesz tak mówić, Mitch! – zaprotestowała pani Sanderson. Potem zwróciła się do Malcolma. – Jak Jude to znosi?

– Trzyma się jakoś.

– Na pewno będzie potrzebowała pomocy. – Spojrzała na Mitcha.

– Powinieneś ją odwiedzić.

– A co to da?

– Trzeba okazać jej troskę. Malcolm cię podwiezie... – Popatrzyła na Foxa, oczekując potwierdzenia. Udało mu się wykonać jakiś niejasny gest. Jej głos złagodniał. – Malcolm cię podwiezie – powtórzyła, pochylając się w stronę Mitcha i wyciągając rękę. Po chwili Mitch zrobił to samo: ich palce spotkały się i splotły.

– Może jeszcze nie dzisiaj – zastrzegł się Fox, mając w pamięci opatrunek z gipsu. – Nie jest gotowa na takie odwiedziny... Na razie dużo śpi.

– No to jutro – zdecydowała pani Sanderson.

– Jutro – rad nierad zgodził się Fox.

W drodze do domu chciał początkowo odwiedzić Jude, ale w końcu postanowił, że tylko zadzwoni do niej wieczorem. W czasie ostatniej wizyty przekazał Alison Pettifer namiary na kilka osób zaprzyjaźnionych z Jude, a sąsiadka obiecała, że zatelefonuje do nich, by ustalić kolejność dyżurów.

– Nie będzie sama – zapewniła go Pettifer na koniec rozmowy.

Zastanawiał się też, co robi teraz Annie Inglis. Kazała synowi wrócić do domu przed siódmą. Właśnie była siódma. Fox pamiętał jej adres z dokumentów działu personalnego. Mógł tam dojechać w ciągu dziesięciu, piętnastu minut, tylko po co? Intrygowało go to wczesne dziecko. Próbował sobie wyobrazić, czym było dla uczennicy wyznanie tej nowiny ojcu farmerowi. *Mama i tata byli wściekli... ale zaopiekowali się nim.* Oczywiście, tak zawsze postępują rodziny. Trzymają się razem, okopują się.

Ale w naszych aktach nie ma Duncana, Annie.

Stojąc przed następnymi światłami, zagapił się na wystawę sklepu z alkoholem. Małe halogenowe lampy plastycznie wydobywały z mroku poszczególne butelki. Zastanawiał się, czy przyjaciele Jude też są pijakami. Czy będą przychodzić na „dyżury” z torbami pełnymi butelek i z bagażem ponurych wspomnień, które wypełnią ich rozmowy.

A może by tak filiżankę herbaty, Lisku, powiedział do siebie, kiedy sznur pojazdów zaczął wolno pełznąć przez skrzyżowanie.

Na dywanie w holu leżała typowa poczta: rachunki, reklamy i

wyciąg z banku. To dowodziło, że przynajmniej Royal Bank of Scotland wciąż jeszcze działa jak trzeba. W kopercie był tylko wyciąg – żadnych przymilnych i przypochlebnych listów ani „polecania się łaskawej pamięci Szanownych Klientów”. Z konta ubyła kolejna opłata miesięczna za dom opieki Lauder Lodge. Resztę stanowiły, jak się zdaje, wydatki na benzynę i żywność. Zajrzał do lodówki, szukając pomysłu na szybki obiad. Nie znalazł, więc zanurkował do kredensu, skąd wydobyl tylko puszkę chili i słoiczek jalapeños. Był jeszcze długoziarnisty ryż w słoju na blacie kuchennym. Włączył radio; było nastawione na Classic FM, ale zmienił kanał na coś, co niedawno odkrył. Stacja nosiła nazwę Birdsong i rzeczywiście nadawała głosy ptaków. Podszedł z powrotem do lodówki i wyjął z niej butelkę napoju jabłkowego; usiadł ze szklanką przy stole i otarł dłońmi policzki i czoło. Zastanawiał się, kto zapłaci za jego pobyt w domu opieki, gdy przyjdzie taki czas. Miał nadzieję, że i na niego będzie tam czekać jakaś pani Sanderson.

Kiedy posiłek był gotowy, zaniósł go do salonu i włączył telewizor. Z kuchni dobiegał ciągle śpiew ptaków; czasami zdarzało mu się zostawiać te głosy włączone na całą noc. Przepstrykał długą listę Freeview Channels, zanim znalazł Dave. Szły tu same powtórki, ale wciąż jeszcze do oglądania: *Fifth Gear*, potem *Top Gear*, następnie jeszcze jeden *Top Gear*.

Ciekawe, czy wytrzymam takie tempo, pomyślał.

Zadzwoiła komórka pozostawiona z włączoną ładowarką na blacie w kuchni. Przez chwilę miał ochotę nie odbierać. Przelknął trochę jedzenia, zaklął cicho i odstawił tacę na dywan. Telefon już milczał, ale na ekranie widniały litery: TK. Czyli Tony Kaye.

Fox odłączył aparat od ładowarki, wystukał numer kolegi i wrócił na kanapę.

– Gdzie jesteś? – spytał Kaye.

– Nie przyjdę dzisiaj do pubu – zastrzegł Fox. W tle słyszał gwar rozmów. U Mintera albo w innym podobnym miejscu.

– Przyjdiesz – stwierdził Kaye. – Mamy problem. Jak szybko możesz tu być?

– Jaki problem?

– Dzwonił twój przyjaciel Breck.

– Niech zadzwoni do mnie do domu.

– Nie szukał ciebie, tylko mnie.

Fox ponownie zagłębił widelec w potrawkę z chili, ale tym razem już go tam zostawił.

– Co to może oznaczać?
– Sam będziesz musiał sprawdzić, Lisku. On ma tu być o równej godzinie.

Fox odsunął słuchawkę od ucha, by spojrzeć na zegarek. Siedemnaście minut.

– Będę za dwadzieścia minut. – Podniósł się z kanapy i wyłączył telewizor. – Czego on chce od ciebie?

– Chce wiedzieć, dlaczego prosiłem kumpla z Anglii o sprawdzenie papierów Vince'a Faulknera.

Fox zaklął w duchu.

– Za dwadzieścia minut – powtórzył, chwytając płaszcz i kluczyki od samochodu. – I nic niemów, dopóki nie przyjadę. U Mintera, tak?

– Tak.

Zaklął ponownie i zakończył rozmowę. Wychodząc, trzasnął wściekle drzwiami.

• • •

Dwaj goście, ci sami co poprzednio, dyskutowali z właścicielem przy barze o kolejnym teleturnieju. Jamie Breck poznał Foxa z daleka i skinął mu na powitanie. Zajął miejsce przy stałym stoliku Tony'ego Kaye'a. Naprzeciw niego siedział Kaye z ponurym wyrazem twarzy.

– Co dla pana? – spytał Breck.

Fox uściśnął jego dłoń i usiadł. Zauważył, że Kaye pije sok pomidorowy, a Breck lemoniadę.

– Jak się miewa pańska siostra? – kontynuował Breck.

Fox skinął na znak podziękowania i zakołysał ramionami.

– W porządku, nie mówmy już o tym.

Breck popatrzył na niego.

– Sądzilem, że docenicie to, że chcę wam pomóc.

– Pomóc? – Tony Kaye nie wyglądał na przekonanego.

– Chciałem o czymś uprzedzić. Nie jesteśmy idiotami, sierzancie Kaye. Zaczęliśmy od zebrania informacji o zabitym. I okazało się, że w krajowym rejestrze ktoś ostatnio o niego pytał. Pański kumpel w wydziale kryminalnym w Hull.

– Ładny mi kumpel – mruknął Kaye, splatając dłonie.

– Trzeba mu oddać, że nie spieszył się z podaniem pańskiego nazwiska, sierzancie. Jego szef musiał w tym celu użyć trochę siły.

– Co wykazała sekcja? – przerwał Fox. Breck odwrócił głowę w jego stronę.

– Uraz tępy, obrażenia wewnętrzne... Mamy już pewność, że był martwy, kiedy go tam podrzucili.

– Kiedy umarł?

– Dobę, półtorej doby wcześniej.

Breck przerwał i obrócił szklankę na podstawce.

– Poprzedniego dnia przeprowadzono tę kwerendę w krajowym rejestrze komputerowym. Zdaje się, że zobaczył pan Jude ze złamaną ręką tego samego dnia?

– Tak – potwierdził Fox.

– Szukał pan Faulknera?

– Nie.

Breck uniósł brew, ale jego wzrok nadal był utkwiony w stojącą przed nim szklankę.

– Ten człowiek złamał pańskiej siostrze rękę, a pan nie miał ochoty się z nim rozmówić?

– Miałem ochotę, ale nie zamierzałem go szukać.

– A pan, sierżancie Kaye?

Kaye otworzył usta, by odpowiedzieć, ale Fox powstrzymał go ruchem ręki.

– Sierżant Kaye nie ma z tym nic wspólnego – oświadczył. – Prosiłem go jedynie o informacje na temat przeszłości Faulknera.

– Po co?

– Chodziło o argumenty. Gdyby coś tam było, może zdołałbym przekonać Jude.

– Żeby go rzuciła?

Fox przytaknął ruchem głowy.

– I powiedział jej pan to?

– Nie miałem okazji. Ponownie spotkałem ją już po śmierci Faulknera, prawda?

Breck nie odpowiedział. Fox nieznacznym spojrzeniem dał znak Kaye'owi, że wszystko idzie po jego myśli. Gdyby pojawiły się problemy, sam przejmie inicjatywę.

– Pamięta pan, jak zapytałem, czy chce pan powiedzieć mi coś więcej o zamordowanym? – Breck wbił wzrok w Foxa. – Dlaczego nie wspomniał pan wtedy o tej jego przeszłości?

– Bo w istocie niewiele wiedziałem – odparł Fox, wzruszając ramionami.

– Co jeszcze pan odkrył?

– Nic.

– Ale wiedział pan, że to niegrzeczny chłopiec?

– Tu, na północy, zachowywał się grzecznie, tak to przynajmniej wyglądało.

– Oczywiście, przez jakiś czas... Musiał najpierw nabrać pewności siebie na nowym terenie. Jak długo był w tym mieście?

– Rok, może półtora – odparł Fox. Ten aromat znów był w jego nozdrzach; barman nalał właśnie whisky do dwóch szklanek.

– Jak poznała go pańska siostra?

– To ją musi pan zapytać.

– Na pewno to zrobimy. – Breck zerknął na zegarek. – Jak powiedziałem, przyjechałem tu, żeby was uprzedzić, ale chyba już za późno.

– Co to znaczy?

Breck zatrzymał wzrok na twarzy Malcolma Foxa.

– To nie ja stanowię dla was problem, pamiętajcie o tym.

Wszyscy trzej odwrócili głowy, kiedy drzwi otworzyły się na oścież z łoskotem. Człowiek, który wtoczył się do pubu, był niemal równie szeroki jak wysoki. Mimo dotkliwego chłodu miał na sobie tylko sportową kraciatą marynarkę, a pod nią rozpiętą koszulę. Fox rozpoznał go natychmiast: był to nadinspektor William Giles – Wściekły Billy Giles. Sądząc z mocno już pomarszczonej twarzy, kruczoczarna barwa falistych włosów musiała być efektem użycia farby, choć nikt nie śmiałby wytknąć tego Gilesowi. Jego oczy były zimne, krystalicznie niebieskie.

– Duże jasne! – rzucił do barmana, kierując się w stronę ich stołu.

Breck zerwał się na nogi, ale dość długo zwlekał z prezentacją.

– Nie trzeba, znam ich – warknął na niego Giles. – Trzy godziny mnie grillowali. Trzy godziny życia straciłem i już ich nie odzyskam.

– Glen Heaton nie zasłużył aż na taką ofiarę z pańskiej strony – skomentował Fox.

– Wy potraficie każdego rzucić na deski – parsknął Giles. – Rzecz w tym, jak szybko wstanie. A Glen Heaton nie da się łatwo wyliczyć, nie takim jak wy.

Krzesło, na którym przedtem siedział Breck, zatrzeszczało niebezpiecznie, kiedy zwałił się na nie Giles. Przeskakiwał wzrokiem z Kaye'a na Foxa i z powrotem.

– Ale teraz mam was – stwierdził z ponurą satysfakcją.

Billy Giles nie był naczelnikiem wydziału kryminalnego na Torphichen, nie był też bezpośrednim przełożonym Jamiego Brecka. Był za to szefem Glena Heatona i jego starym przyjacielem. Fox sięgnął pamięcią do tego trzygodzinnego przesłuchania. Przypomniał sobie przy okazji wszystkie kije, które Giles wtykał w szprychy

śledztwa prowadzonego przez ZKW.

– Teraz was mam – powtórzył Giles, a wyraz zadowolenia nie ustępował z jego twarzy.

Fox spojrział w stronę Brecka, który podszedł do bufetu po piwo, i napotkał jego spojrzenie: *To nie ja stanowię dla was problem, teraz rozumiesz?...*

Przytaknął tym samym nieuchwytnym dla innych skinieniem, które przedtem kierował do Tony'ego Kaye'a. Potem znowu przeniósł wzrok na Gilesa.

– Na razie jeszcze nie – powiedział, kładąc taki sam, silny nacisk na wszystkie słowa. Wstał i gestem skłonił Kaye'a, aby zrobił to samo. – Jak będzie pan nas potrzebował, to wie pan, gdzie nas szukać.

– Teraz też jest dobra pora.

Ale Fox stanowczo pokręcił głową i dopiął płaszcz.

– Wie pan, gdzie nas szukać – powtórzył. – Tylko proszę wcześniej zapowiedzieć wizytę. Mamy zawsze dużo roboty w Wydziale Spraw Wewnętrznych.

– Jesteście gnidy, wy dwaj!

Nawet stojąc, Fox był niewiele wyższy niż siedzący Giles. Pochylił się jednak nad nim.

– Nie jesteśmy gnidy. Jak sam pan był łaskaw zauważyć, jesteśmy facetami z ringu, którzy powalili pańskiego kumpla Heatona. I – jak ostatnio sprawdzałem – on tam ciągle leży.

Potem wyprostował się, obrócił się na pięcie i wyszedł. Przy drzwiach dogonił go Tony Kaye; starannie zawiązał swój kraciasty szal, kiedy znaleźli się na ulicy.

– No i co teraz, cholera, zrobimy? – spytał.

– Nic nie musimy robić. Będzie, jak będzie.

– Powinniśmy jednak powiedzieć McEwanowi.

Fox przytaknął ruchem głowy.

– Giles będzie chciał nas przesłuchać na Torphichen. Trzymajmy się mojej wersji. Może dostanę za to nagane, ale nic więcej.

Kaye myślał nad tym przez chwilę, potem pokręcił głową.

– Giles nie odpuści. Dla niego to szansa odwetu.

– Niewiele może zyskać, Tony.

Kaye znowu pogrążył się w myślach.

– Ten cholerny głupek w Hull!

Fox wzruszył ramionami.

– Powinniśmy się byli z tym liczyć: każdy zostawia ślady, nawet w komputerze.

Kaye westchnął głęboko.

- No więc, co teraz?
- Podwieźć cię? Bo nie widzę twojego nissana...
- Zaparkowałem legalnie za parę groszy. Kilka ulic dalej.
- Nie chciałeś, żeby ci z Torphichen mieli na ciebie jeszcze jednego haka, co?

Kaye puścił te uwagę mimo uszu.

- Jak ty to robisz, Lisku, że zachowujesz spokój?
- Bo nic innego się nie zdarzy; będzie, jak będzie.

Kaye spojrzał w kierunku drzwi pubu.

- Lepiej zabierzmy się stąd, zanim on wyjdzie.

– Ma ten kufel do wypicia, a potem może następny. Ale przy okazji, jak oceniasz Jamiego Brecka?

Kaye potrzebował zaledwie sekundy na wydanie werdyktu.

- Wygląda na porządnego faceta.

Fox przytaknął ruchem głowy. Tak, wygląda...

Środa, 11 lutego 2009

6

W środę rano telefon zadzwonił, kiedy Fox mył zęby. Aparat na górze wymagał naładowania; Fox pomyślał, że nie zdąży do salonu na dole, zanim potencjalny rozmówca się wyłączy, więc pozostał tam, gdzie był. Obudził się tego dnia wcześniej, mając wciąż w głowie wczorajsze słowa Tony'ego Kaye'a: *wygląda na porządnego faceta*. Kaye miał zapewne na myśli to, że Breck potrafi pomóc koledze. Co nie musiało oczywiście oznaczać, że zawsze jest porządny... Kiedy wycierał usta, usłyszał ciche brzęczenie komórki. Leżała na komodzie w sypialni, wszedł tam więc, rzucając po drodze ręcznik na łóżko.

- Fox – powiedział, przyciskając słuchawkę do ucha.
- Panie Fox, tu Alison Pettifer.

Poczuł ucisk w gardle.

- Jak tam Jude?
- Zabrali ją.
- Kto?
- Jacyś policjanci. Z wydziału K, tak powiedzieli.

Czyli kryminalny, Torphichen. Spojrzał na zegarek: wpół do siódmej.

- To zwykła rutyna... – próbował wyjaśnić.
- To samo oni powiedzieli: „Rutynowe przesłuchanie”. Wolalam jednak, żeby pan o tym wiedział.
- To bardzo ładnie z pani strony.
- Sądzi pan, że powinnam tu zostać?

Nie był pewien, o co jej chodzi: czy ona też pojechała na Torphichen?

- Żeby patrzeć im na ręce – wyjaśniła.

Fox odsunął telefon od ucha i popatrzył na ekran. Dzwoniła z domowego telefonu Jude.

- To oni tam jeszcze są.
- Tak, paru zostało.
- A mają nakaz rewizji?

- Kazali Jude coś podpisać – stwierdziła sąsiadka.
- Gdzie pani jest w tej chwili, pani Pettifer?
- Na dole, przy schodach.

Usłyszał słowo „przepraszam”, kiedy ktoś przeszedł koło niej, a potem czyjeś ciężkie kroki na podeście.

- Chyba nie podoba im się, że tutaj sterczę.
- A co z tymi innymi przyjaciółmi Jude, którzy mieli przyjść?
- W nocy była Joyce, ale musiała iść do pracy na szóstą trzydzieści. Zaraz po jej wyjściu pojawiła się policja, więc ubrałam się i...

– Dziękuję za wszystko, pani Pettifer. Może już pani wrócić do domu.

– Jacyś reporterzy byli tu wczoraj wieczorem, ale odprawiłam ich.

– Dziękuję i za to.

– No... to mogę już pójść do siebie, jeśli pan sądzi, że tak będzie najlepiej.

Fox zakończył rozmowę, wziął z wieszaka czystą koszulę, ale uznał, że wczorajszy krawat będzie dobry i dzisiaj. Schodził już na dół, kiedy ponownie odezwał się telefon stacjonarny. Podniósł słuchawkę i przycisnął ją do ucha.

- Fox – rzekł.
- Tu McEwan.
- Dzień dobry, szefie.
- Jesteś jakiś przygnębiony.
- Nie, szefie, tylko właśnie wychodziłem.
- Czyli będziesz tu za pół godziny?
- Tak naprawdę to muszę jeszcze gdzieś wpaść.
- Nie radziłbym.
- Nie rozumiem, szefie?

– Ci z Torphichen powiedzieli mi, co się stało. Zadzwonili jakieś pół godziny temu. Trzeba będzie trochę pracy, żeby odkręcić to, co namotałeś w Krajowym Rejestrze Komputerowym.

– Właśnie chciałem to panu wyjaśnić, szefie. – Zrobił krótką przerwę. – Chodzi o to, że wzięli moją siostrę na przesłuchanie. Ktoś powinien przy niej być.

- Ale nie ty, Malcolm. Ty powinieneś być tutaj.
- Oni wiedzą, że to moja siostra, Bob. I nie lubią mnie za to, co zrobiłem z ich kumpłem Heatonem.
- Mam swoich ludzi na Torphichen, Malcolm. Dopilnuję, żeby

wszystko było jak trzeba.

– Tak jest, szefie.

– Czyli za pół godziny. Utniemy sobie małą pogawędkę: ty, ja i Tony Kaye...

Telefon w rękę Foxa zamilkł.

Przejazd zajął mu więcej czasu, niż spodziewał się McEwan. Usprawiedliwienie było zwykle i wiarygodne: remonty trakcji tramwajowej. W rzeczywistości pojechał pod dom Jude w Saughtonhall. Drzwi frontowe były otwarte. Przy krawężniku stała furgonetka laboratorium kryminalnego. Ktoś z załogi był pewnie przed chwilą w pobliskim sklepie – teraz wszyscy popijali coś z plastikowych kubków i żuli herbatniki. Dostrzegł jeszcze dwóch policjantów w cywilu, pamiętał ich twarze z wizyt na Torphichen. Nie zauważył jednak ani Billy'ego Gilesa, ani Jamiego Brecka. Sąsiadka z naprzeciwka stała w oknie z założonymi rękami. Fox zatrzymał się na chwilę, ale nie wyłączył silnika; wiedział, że nie ma po co wchodzić do środka. W końcu włączył kierunkowskaz, by odjechać. Nadjeżdżający kierowcy chętnie zahamowali, by wpuścić go przed siebie. Mieli więcej czasu, by się pogapić.

•••

– Będą tam moje odciski palców – powiedział Fox do McEwana. Spotkali się poza biurem, McEwan znalazł jakąś wolną salkę konferencyjną. Owalny stół, przy nim osiem albo dziewięć krzeseł. Biała tablica stała na trójnogu, na niej napisane były markerem trzy słowa:

WIDOCZNOŚĆ

WIARYGODNOŚĆ

WSZECHSTRONNOŚĆ

Tony Kaye zajął jedyne krzesło na kółkach, jeździł wciąż do tyłu i do przodu.

– Przeszkadza mi to – zwrócił uwagę McEwan.

– Co zrobimy z tym Wściekłym Billym? – spytał Kaye, nie przestając jeździć.

– Dla ciebie to on jest detektyw nadinspektor Giles, sierżancie Kaye, i pozwólmy mu wykonywać jego robotę.

Odwrócił się w stronę Foxa.

– Dobrze mówię, Malcolm?

Fox przytaknął.

– Tylko tyle powinniśmy robić. Jak będziemy ich kasać, to ich rozdrażnimy.

McEwan westchnął głęboko.

– Tyle razy wam mówiłem: nasze biuro musi być poza wszelkim podejrzeniem!

– Powtarzam, szefie, kwerenda w sprawie Vince'a Faulknera w bazie danych to wyłącznie mój pomysł.

McEwan spiorunował go wzrokiem.

– Gówno prawda. To Tony podjął decyzję o kwerendzie. Zgadza się, sierzancie?

– Tak, szefie – przyznał Kaye.

– Wczoraj powiedzieliśmy Gilesowi co innego – przypomniał Fox.

– No i tego się trzymajcie – warknął McEwan. – Jak on was złapie na jednym kłamstwie, zacznie szukać innych...

Przerwał w pół zdania i popatrzył na nich.

– A są inne?

– Nie ma, szefie – odpowiedzieli unisono.

Mac Ewan zastanawiał się przez chwilę.

– Billy Giles to skorupa z żółci i przechwałek. Jeśli trochę poskrobiesz, to zobaczysz, że nie ma w nim nic takiego, czego można by się bać. – Podniósł palec w górę. – Ale to nie znaczy, że wolno go lekceważyć.

Fox sięgnął po chusteczkę i głośno wytarł nos. Potem stwierdził:

– Uznali dom Jude za miejsce zbrodni.

– Możliwe miejsce zbrodni – poprawił McEwan.

– Niczego tam nie znajdują.

– Przed chwilą powiedziałeś chyba, że znajdują twoje odciski.

– Byłem tam w poniedziałek i wczoraj też.

– Lepiej im to powiedzieć.

Fox przytaknął, a McEwan przeniósł wzrok na Kaye'a.

– Tony, jak Boga kocham, jeśli natychmiast nie przestaniesz się wiercić na tym krześle...

Kaye zerwał się gwałtownie, a odepchnięte krzesło potoczyło się aż pod tablicę. Podszedł do okna i popatrzył na parking.

– To nie wygląda dobrze – mruknął i pokręcił głową. – Lisek zaczyna badać sprawę Jamiego Brecka i natychmiast wydział kryminalny depcze nam po piętach. A może Wściekły Billy dowiedział się o tej nowej sprawie i doszedł do wniosku, że stracił już dosyć zgniłych jabłek...

- I co zrobił? – przerwał McEwan. – Zamordował z zimną krwią jakiegoś człowieka? Poważnie tak myślisz?
 - Nie powiedziałem, że... – Kaye nie był w stanie dokończyć zdania. Zamiast tego wydał tylko przeciągłe warknięcie.
 - Czy powinienem sam się zgłosić na przesłuchanie? – spytał Fox spokojnie.
 - Już napisali, że z przyjemnością się z tobą zobaczą.
 - Kiedy chcą mnie widzieć?
 - Jak tylko skończymy tutaj – wyjaśnił McEwan.
- Fox spojrzał nań zaskoczony.
- To aż tak?
 - Bo jesteście durnie, obydwaj. Nikt rozsądny nie szuka danych w rejestrze bez ważnego powodu.
 - Mielśmy ważny powód – powiedział Kaye z naciskiem.
 - Mielście powód osobisty, Tony, a to nie to samo.
 - Uczestniczył w sprawie rodzinnej – brnął dalej Kaye. – Miał pierwszeństwo w dostępie do danych.
 - Możesz sobie tak mówić – stwierdził McEwan z wymuszonym uśmiechem.
 - Szeffie? – odezwał się Fox, jakby czekając na rozkazy.
 - Tak, idź już – powiedział Bob McEwan.

• • •

- Wszystko w porządku z moją siostrą?
- Chcesz się z nią widzieć? – spytał Giles. Miał na sobie te same rzeczy co poprzedniego wieczoru, ale z dodatkiem w postaci krawata. Tłusty kark przelewał się nad kołnierzykiem, a nad rozluźnionym węzłem krawata widać było odpięty górny guzik koszuli.
- Gdzie ona jest?
- Niedaleko.

Znajdowali się w jednym z pokoiów przesłuchań na Torphichen. Całe to miejsce przypominało Dzielnicę 13 ze starego amerykańskiego filmu – odrapane, zapuszczone domy w otoczeniu niekończących się robót drogowych. Niewiele tu było do zobaczenia dla turystów, gdyby przypadkiem jacyś zapuścili się na zachód od skrzyżowania Princes Street i Lothian Road. System jednokierunkowych ulic przeprowadzał ruch autobusów, taksówek i ciężarówek wokół tego obszaru, ale nie był to teren przyjazny dla pieszych. W budynku policji dominował odór pleśni i beznadziei. Pokój przesłuchań nosił liczne ślady bitewne – podrapane ściany, porznęte nożem biurko,

graffiti na drzwiach. Przedtem trzymano Foxa dobre pół godziny w poczekalni, gdzie mogli mu się przyjrzeć przechodzący policjanci, zarówno w mundurach, jak i po cywilnemu. Kiedy w końcu szedł korytarzem za Gilesem do pokoju przesłuchań, spoza otwartych drzwi dobiegały liczne gwizdy i przekleństwa.

– No więc co z nią? – nalegał Fox.

Giles spojrział mu w oczy – po raz pierwszy, odkąd Fox tu przyszedł.

– Tortur jeszcze nie zaczęliśmy, jeśli o to pytasz. Była herbatka, biszkopty i policjantka do towarzystwa, kiedy tam ostatnio zaglądałem.

Giles pochylił się, opierając łokcie o blat stołu.

– To kiepsko wygląda – stwierdził. Fox tylko pokiwał głową. – Kiedy widziałeś ostatnio pana Faulknera?

– Przed świętami, chyba w listopadzie.

– Nie interesowałeś się nim zbyttnio.

– Nie.

– Chociaż wiedziałeś, że używa twojej siostry jako worka bokserkiego?

Fox patrzył na niego, ale nie odpowiadał.

– Widzisz, gdyby tu chodziło o moich krewnych, to zamieniłbym tego gnojka w kupę gówna.

– Rozmawiałem z nią, powiedziała, że ta ręka to był wypadek.

– Na pewno jej nie uwierzyłeś. – Giles wyprostował się i wsadził ręce do kieszeni marynarki. – Dlaczego więc nie dałeś mu w mordę?

– Nigdy nie miałem okazji.

– Albo jesteś cykor... – rzucił prowokacyjnie Giles.

Ponieważ Fox nie zareagował, Giles ponownie otworzył usta.

– Do złamania ręki doszło w sobotę, prawda?

– Tak twierdzi moja siostra.

– A kiedy ty się o tym dowiedziałeś?

Jakiś hałas rozległ się na korytarzu. Młody, sądząc z głosu, człowiek nie całkiem chciał współdziałać z policjantami w marszu do celi.

– To pewnie Mollison – wyjaśnił Giles. – Cienias od małych napadów. Jak tylko tu skończę, pójdę zamienić z nim parę słów.

– Ma coś wspólnego z...?

Giles zaprzeczył ruchem głowy.

– Mollison może się włamać do samochodu albo do domu, ale na pewno nie zatłucze człowieka na śmierć. Żeby to zrobić, trzeba wpaść w szal, oszaleć z bólu.

- Nie spotkałem Faulknera od listopada.
- A wcześniej wiedziałeś?
- Co?
- Że bije żonę.
- Jude nie była jego żoną.
- Wszystko jedno, wiedziałeś? – Małe oczka Gilesa osadzone głęboko w mięsistej twarzy świdrowały Foxa. Choć potrafił się temu oprzeć, niecierpliwie poruszył się na krześle.

- Wiedziałem, że ich relacje są burzliwe.

Giles parsknął.

- Burzliwe! To nie jest redakcja jakichś pieprzonych romansideł.
- Jude zawsze mówiła, że odpłaca pięknym za nadobne.
- Nie mówiła prawdy, inspektorze. A ty, wydaje mi się, wolałeś się nie wtrącać. Nigdy nie powiedziałeś Faulknerowi ani słowa.
- Zrobiłbym to po tej złamanej ręce, gdybym miał okazję.
- No to wracamy do pierwszego pytania: kiedy się dowiedziałeś?
- Sąsiadka zadzwoniła do mnie w poniedziałek po południu.
- Pani Pettifer... – stwierdził Giles.

Oczywiście, pomyślał Fox, ekipa śledcza na pewno ją przesłuchała.

- Przypuszczam, że potem zacząłeś go szukać – kontynuował Giles.

- Nie. – Fox popatrzył na swoje dłonie złożone na kolanach.
- Nie? – W głosie Gilesa zabrzmiało niedowierzenie.
- Jakie to może mieć znaczenie, przecież nie żył już wtedy, prawda?

- Posłuchaj, Fox, wiesz przecież, że moment zgonu jest zawsze niepewny... parę godzin w jedną albo w drugą stronę.

- A przyszedł do pracy w poniedziałek rano?

Giles zwlekał z odpowiedzią, najwyraźniej zastanawiając się, co może, a czego nie może powiedzieć Foxowi. W końcu pokręcił głową.

- No to co w tym czasie robił? Gdzie się ukrywał od soboty? Ktoś musiałby go widzieć.

- Na pewno widział go ten, kto go zabił.

- Nie może pan o to posądzać Jude.

Giles wyduł wargi, wyciągnął dłonie z kieszeni i splótł je z tyłu głowy. Koszula opięła się na jego ciele, a w szczelinach między guzikami można było zobaczyć biały siatkowy podkoszulek. Dopiero teraz Fox poczuł, że w pokoju jest ciepło. Domyślał się, że celowo utrzymują taką duchotę, żeby podejrzani nie czuli się tu zbyt dobrze.

Poczuł swędzenie i pot na głowie, ale nie otarł czoła ani się nie podrapał, bo Giles mógłby pomyśleć, że to skutek przesłuchania.

– Widziałem Faulknera w prosektorium – mówił dalej Giles. – Kupa mięśni. Nie sądzę, żeby władająca jedną ręką alkoholiczka, ważąca nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, mogła go tak załatwić.

Giles czekał na reakcję, a ponieważ się nie doczekał, postawił kropkę nad i:

– Ale ktoś mógł jej pomóc.

– I zamierza pan go znaleźć w tamtym domu?

Gdzieś daleko trzasnęły drzwi. Pracujący za oknem na jałowym biegu silnik ciężarówki czy autobusu wprawiał szybę w nieprzyjemną wibrację.

– Jest tam mnóstwo dowodów niechlujnego trybu życia – kontynuował Giles. – Mimo że ktoś posprzątał.

– To ta sąsiadka, jest bardzo uczynna.

– Nie twierdzą, że ktoś próbował zatrzeć ślady. – Giles uśmiechnął się chłodno. – A przy okazji, jak się posuwa twoja sprawa przeciwko Glenowi Heatonowi?

– Byłem ciekaw, jak długo pan...

– Właściwie to on ma fajnie – siedzi sobie teraz, w domu z pełną pensją, a my musimy codziennie trząść się na mrozie i skrobać szyby samochodu. – Giles położył mięsiste dłonie na stole i pochylił się nad nimi. – A w końcu i tak będzie uwolniony od zarzutów.

– Ja będę dobry dla Heatona, a pan odczepi się od mojej siostry?

Giles przybrał ton drwiny i oburzenia zarazem:

– Tak powiedziałem? Nie wydaje mi się, żebym coś takiego powiedział. – Przerwał na chwilę. – Ale nie mogę wyjść z podziwu dla twojego poczucia... jak by to nazwać? Ironii? Poetycznej sprawiedliwości?

– Zginął człowiek. Mówię to, bo może pan zapomniał.

– O nie, nie zapomniałem, inspektorze. Tego możesz być całkiem pewien. Moi ludzie zbadają każdy detal z życia Faulknera. A twoja siostra będzie musiała odpowiedzieć na pytania. Na bardzo dużo pytań. Sprawą interesują się także media. Może chciałyby ochrony przed nieproszonymi gośćmi i telefonami?

– Do tego jej nie zmusicie.

– Bo co? Złożysz na nas skargę?

– Skończyliśmy już? – Fox się podniósł.

– Na razie tak, chyba że coś jeszcze chcesz mi powiedzieć.

Fox rzeczywiście chciał mu jeszcze powiedzieć parę słów, ale pokręcił tylko głową.

Wracając korytarzem, zaglądał w otwarte drzwi, ale w żadnym pokoju przesłuchań nie było Jude. Na końcu korytarza znajdowała się ciasna poczekalnia komisariatu, za nią wyjście na ulicę. Zaraz za drzwiami na schodach zobaczył znajomą postać.

– Przejdziemy się? – spytał Jamie Breck, kończąc rozmowę, którą prowadził przez komórkę.

– Mam tu samochód. – Fox wskazał ruchem głowy.

– Mimo wszystko... – Breck wykonał zapraszający gest i ruszył w stronę najbliższych światel. – Jak poszło z nadinspektorem Gilesem?

– A skąd pan wie, że byłem u niego?

Breck pochylił głowę.

– Przypuszczam, że sam pan chciał wiedzieć, jak sprawy stoją.

– Tak to działa? Giles obrabia mnie jako „zły glina”, a potem pan się pojawia jako „dobry”?

– Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że z panem rozmawiam. – Breck obejrzał się, kiedy skręcali w stronę Morrison Street.

– No więc co pan tu robi?

– Nie akceptuję polityki: my po jednej stronie, wy po drugiej. – Breck przyspieszył kroku. Był to chód młodego, stanowczego i energicznego człowieka, marsz, który w przyszłości doprowadzi do jasnego celu. Próbując za nim nadążyć, Fox poczuł, że poci się aż po czubki włosów.

– Gdzie jest moja siostra? – spytał.

– W drodze do domu, jak sądzę.

– Poza protokołem: co pan myśli o Glenie Heatonie?

Breck zmarszczył nos.

– Parę razy widziałem, jak pojechał po bandzie.

– Wjeżdżał na każdy krawężnik, jaki zobaczył.

– Taki ma styl, dość skuteczny przy tym.

– Wydaje się, że pański szef właśnie próbował ubić ze mną interes.

– Jakiego rodzaju?

– Heaton za moją siostrę... – Breck aż gwizdnął z podziwu. – Ale ponieważ moja siostra nic złego...

– Oczywiście odrzucił pan? – domyślił się Breck.

– Nie wygląda pan na zdziwionego jego ofertą.

Breck wzruszył ramionami.

– Bardziej się dziwię, dlaczego mówi pan to mnie.

– Kiedy przyszpiliłmy Heatona, zwolni się etat detektywa inspektora.

– I co z tego.

– Nie jest pan człowiekiem ambitnym?

– Jasne, że jestem ambitny, każdy jest. A pan nie?

– Niespecjalnie.

Przeszli w milczeniu parę kroków.

– No to jak było z Wściekłym Billym? – wrócił do rozmowy Breck.

– Widzi to śledztwo jako okazję do zapolowania na mnie, a to może zakłócić jego osąd... albo poprowadzić go na różne złe drogi.

Breck przytaknął.

– Powiedział panu o monitoringu?

Fox spojrział na niego badawczo.

– O co chodzi?

– Byłem pewny, że nie powie. – Breck wziął głęboki oddech. – Jest pub na Gorgie... Faulkner nie jest tam stałym klientem, ale czasami wpada. Mają tam kamery nadzoru w środku i na zewnątrz.

– No i?

Breck zatrzymał się nagle i popatrzył badawczo na Foxa.

– Nie jestem pewien, ile mogę panu powiedzieć.

– Jak się ten pub nazywa?

– Marooned. Zna go pan? – Nadal uważnie obserwował Foxa, ten jednak zaprzeczył.

– Otwarto go niedawno, chyba w zeszłym roku.

– Kamera uchwyciła Vince'a Faulknera?

– W sobotę wieczorem. Było tam paru kibiców rugby, Walijszców. Doszło do sprzeczki i wyciągnęli go na dwór.

– Pobili go?

Breck pokręcił głową.

– Z tego fragmentu, który widziałem, wynika, że to najpierw on pchnął jednego z nich i dostał blachę w czoło. Trzech na jednego... Faulkner wziął to pod uwagę i poprzestał na paru pożegnalnych wyzwiskach.

– Nie poszli za nim?

– Nie. Ale to nie znaczy, że nie natknął się na nich później.

– Nie znaczy... – Fox się zamyślił.

– Pańska siostra mówi, że on nie miał żadnych krewnych na południu. To prawda?

Fox wzruszył ramionami.

– Na pewno wie to lepiej niż ja. Ale ona nie ma z tym nic wspólnego.

Breck pochylił głowę z namysłem.

– A jednak... to może być przedmiotem gry.

– Przewrócą do góry nogami jej dom?

– Prosiłem szefa zespołu, który bada miejsce, o delikatne działanie.

– Niczego nie znajdują.

Ruszyli dalej. Kiedy skręcili w lewo i dotarli do Dewar Place, Fox zdał sobie sprawę, że obeszli prawie cały kwartał. Jeszcze tylko jedna uliczka w lewo i będą z powrotem przed budynkiem komisariatu, przy samochodzie Foxa.

– Mieszka pan blisko mnie – powiedział Breck. Fox otworzył usta, by odpowiedzieć, ale tylko przełknął ślinę. O mało nie wyrwało mu się: „wiem”.

– Naprawdę? – odparł w końcu.

– Tak się składa – wyjaśnił Breck ze wzruszeniem ramion. – Mieszkam na osiedlu za Morrisonem.

– Jest pan żonaty?

– Mam dziewczynę.

– To coś poważnego?

– To dopiero parę miesięcy, nawet się do mnie nie przeprowadziła. A pan?

– Byłem kiedyś żonaty – odparł Fox.

– Życie rodzinne nie jest łatwe, kiedy jest się gliną – zawyrokował Breck.

– No, nie jest – zgodził się Fox. Pomyślał o tej dziewczynie. Zboźczyńcy i przestępcy seksualni często miewają stałe partnerki. To daje niezłą przykrywkę: „normalne rodzinne życie”. Tylko niewielką część czasu poświęcają swojej utajonej jaźni. Z drugiej strony jest prawdopodobnie mnóstwo mężczyzn oglądających strony internetowe, których wcale nie chcieli oglądać, a jednak to robią... i nie wiedzą dlaczego. Coś ich wciąga.

Ilu z nich sięgnie w końcu po kartę kredytową?

– I tylko tyle na razie wiecie? Marooned i paru walijskich kiboli?

– Mniej więcej.

– Nikt go nie widział w niedzielę ani w poniedziałek?

– Dopiero zaczynamy, inspektorze.

Nowa myśl przyszła Foxowi do głowy.

– Gdzie on pracował?

- Nie wie pan?
- Wiem, że był robotnikiem...
- Miał krótkoterminowy kontrakt na Salamander Point.
- Myślałem, że oni zbankrutowali.
- Nie całkiem.

Doszli już prawie do końca Dewar Place Lane. Breck dotknął ramienia Foxa.

- Lepiej, żebyśmy się tu rozstali.
- Tak. Dziękuję za rozmowę.

Breck uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie.

7

Fox zadzwonił do Lauder Lodge z samochodu. Zapytali, czy chce rozmawiać z ojcem, ale on poprosił tylko o przekazanie wiadomości: nie będzie mógł dzisiaj zabrać Mitcha do Jude.

Marooned znajdował się mniej więcej w połowie drogi między Torphichen Place i Saughtonhall, przy bocznej ulicy w pobliżu stadionu Heart of Midlothian. Fox nie wysiadł z samochodu, jedynie zatrzymał się na chwilę, by się zorientować w okolicy. Parterowy budynek z cegły musiał powstać w latach siedemdziesiątych. Wcześniej było tu zapewne puste miejsce albo garaż lub skład budowlany. Po obu stronach pubu stały czteropiętrowe bloki mieszkalne; nieco dalej, po drugiej stronie ulicy, jeszcze jeden taki blok. Na tablicy ustawionej na lewo od wejścia do pubu kredowy napis obiecywał wieczory z konkursami, karaoke i gorącymi potrawami oraz dwa drinki za cenę jednego. Tylko jedna kamera przemysłowa umocowana wysoko na ścianie i chroniona drucianą klatką. Fox wiedział, że może wejść do środka, machnąć legitymacją, zażądać pokazania zapisu kamery. Ale co by to dało? A gdyby dowiedział się o tym Billy Giles... Zawrócił więc i pojechał w stronę Saughtonhall.

Drzwi otworzyła nieznajoma kobieta. Przedstawił się jako brat Jude.

– Sandra – odpowiedziała. – Sandra Hendry.

Była mniej więcej w tym samym wieku co Jude; jej twarz pokrywały plamy, a czarne oczy zdradzały zmęczenie. Miała na sobie fabrycznie podarte i połatane dżinsy i górę tak krótką, że odstaniała talię, co zapewne pasowałoby do osoby o połowę młodszej i o dwadzieścia kilogramów chudszej. Jej włosy przypominały watę cukrową ciemniejącą przy skórze. W uszach dyndały duże złote obręcze, a w nosie i języku tkwiły kolczyki.

– Jude jest w łóżku – powiedziała, wpuszczając go do środka. – Chce pan iść na górę?

– Za chwilę.

Weszli do salonu. Było tu względnie czysto. Sandra usiadła na fotelu i założyła nogę na nogę. Telewizor był włączony, ale z ledwie słyszalnym dźwiękiem. Na ekranie jakiś opalony mężczyzna próbował tresować niesfornego psa.

– Uwielbiam to – skomentowała Sandra. Fox zauważył, że na jej kolanie wytatuowany jest skorpion.

– Jak ona się czuje? – spytał i zaczął krążyć po pokoju.

– Dopiero wróciła z gestapo... – Sandra przerwała i popatrzyła na niego przestraszona, bo dopiero teraz przypomniała sobie, w jaki sposób brat Jude zarabia na życie.

– Słyszałem już gorsze określenia – uspokoił ją.

– Była wykończona. Uznała, że przyda się jej drzemka.

Fox pokiwał głową ze zrozumieniem. Podniósł pokrywę kosza na śmieci w kuchni i stwierdził, że wyjęto wewnętrzną torbę. Biegli sądowi z komisariatu na Howdenhall mają pewnie teraz kupę roboty przy tych śmieciach.

– To ładnie, że troszczy się pani o nią.

Wzruszyła ramionami.

– Moja zmiana zaczyna się dopiero o czwartej.

– Gdzie pani pracuje?

– W markecie Asda przy Chesser Avenue.

Poczęstowała go gumą do żucia, ale nie wziął. W salonie nie było już pustych butelek i puszek, a popielniczki zostały wyczyszczone. Tylko na bufecie stało kilka brudnych kubków i karton po pizzy.

– Znała pani Vince'a? – spytał.

– Czasem chodziliśmy gdzieś razem we czwórkę.

– Pani i pani partner?

– Pracuje z Vince'em. – Przerwała i wypluła gumę. – Znaczy: pracował.

– Na budowie, prawda?

– Tak, jest tam brygadziścią.

– To pani partner wciągnął tam Vince'a?

– Nie partner, tylko mąż. Szesnaście lat; nie trzeba aż tyle, żeby chcieć kogoś zamordować, jak mawia Ronnie.

– Chyba ma rację. Pani i Ronnie znaleźcie Vince'a dość dobrze, prawda?

– Tak przypuszczam.

– Chodziliście czasem w miejsce zwane Marooned?

– Do tej zaszrannej dziury? Nie, chyba że nie można było inaczej.

Przy lepszej pogodzie chłopcy woleli Golf Tavern, bo mogli tam

pograć w pitch'n'putt* na Bruntsfield Links.

* Pitch'n'putt – uproszczona odmiana golfa.

– A pani i Jude nie grałyście?
– Ruletka i blackjack przy kolacji w kasynie to mi bardziej pasuje.

– W którym kasynie?

– Oliver.

– To przy Dworcu Morskim?

Skończył oględziny i stanął na środku pokoju naprzeciw Sandry, która wciąż gapiała się w telewizor.

– Tak, właśnie to.

– Czyli niedaleko od Salamander Point.

– Bardzo blisko.

– Jak pani go oceniała, Sandro?

Na dźwięk swojego imienia oderwała oczy od telewizora i spojrzała na Foxa.

– Ma pan na myśli Vince'a?

Zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Był w porządku. Nawet zabawny, jeśli w dobrym nastroju.

– To znaczy, że czasem nie był w dobrym nastroju?

– Miał ostry charakter. Ale i Jude nic nie brakowało pod tym względem.

– A to, że złamał jej rękę?

– Ona twierdzi, że upadła.

– Oboje wiemy, że było inaczej.

– Moja zasada była taka: nie wtrącać się, bo to ich jeszcze bardziej rozżłości.

Znów przestała zwracać na niego uwagę. Treser na ekranie czynił wyraźne postępy.

– Ale jest pani jej przyjaciółką... musiała pani chyba... – przerwał pod naporem natrętnej myśli: ty jesteś jej bratem, a też nic nie zrobiłeś.

– Pójdę na górę – uciał.

Sandra skinęła w roztargnieniu.

– Zrobiłabym panu herbaty, ale się skończyła.

Drzwi do jaskini Vince'a były szeroko otwarte. Brakowało komputera – z pewnością zabrała go ekipa śledcza. Drzwi sypialni Jude były lekko uchylone. Zapukał i wszedł do środka. Siostra siedziała na łóżku pośród stosu ubrań. Szafa w ścianie była w połowie pusta, tak samo jak szuflady komody. Wszystkie wyciągnięte ubrania

należały do Faulknera – jego dzinsy, koszule, skarpetki i slipy. Jude trzymała w rękach koszulkę polo, mnąc tkaninę palcami. Pociągała nosem, polykając łzy.

– Wciąż jeszcze go czuję, w tej pościeli, w poduszkach... Jakaś jego część tu została.

Milczała przez chwilę, potem podniosła wzrok na brata.

– Wiesz, co mi powiedzieli, Malcolm? Powiedzieli, że nie możemy go pochować. Muszą zatrzymać ciało. Może nawet na parę tygodni. Nikt nie wie, jak długo to potrwa.

Był kawałek wolnego miejsca w rogu łóżka, więc usiadł, ale milczał.

– Sandra mówi, że powinniśmy przekazać te wszystkie rzeczy właściwym służbom. Ale co wtedy z tego zostanie?

Znów pociągnęła nosem i otarła łzy przedramieniem.

– Zadawali mi tyle pytań... Oni myślą, że ja to zrobiłam...

– Nie myślą tak – zapewnił ją i lekko uściśnił jej ramię.

– Ten człowiek... Giles, tak się nazywa... chciał, żebym przyznała, że Vince znęcał się nade mną. Tak, takiego słowa użył: „znęcał się”. Powiedział, że Vince miał już wyroki, bo dopuszczał się przemocy. I stwierdził, że nikt by mnie nie winił, gdybym mu oddała. Ale to nieprawda, Malcolm, nie było tak.

– Giles to wie, Jude, i wszyscy oni wiedzą.

– No to dlaczego wciąż powtarza takie rzeczy?

– Bo to chuj, siostrzyczko.

Te słowa wywołały na jej twarzy przelotny uśmiech. Nagle spojrziała na jego dłoń zaciśniętą na jej ramieniu.

– To boli – powiedziała. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to złamana ręka.

– O Boże, przepraszam.

Następny słaby uśmiech.

– Był tam jakiś sympatyczniejszy detektyw... chyba nazywa się Breck. Tak, zapamiętałam, bo jak byliśmy dziećmi, to kiedyś w czasie wakacji czytaliśmy książkę...

– *Porwany za młodu* – przypomniał jej Fox. – Bohater nazywał się Alan Breck. Chciałaś, żebym ci to czytał.

– Do poduszki... – potwierdziła. – Każdego wieczoru przez dwa tygodnie. A teraz, popatrz... – Odwróciła twarz w jego stronę, łzy płynęły po jej policzkach. – Ja go kochałam, Malcolm.

– Wiem.

Zaczęła ocierać łzy koszulką, którą trzymała w rękach.

– Bez niego nie dam sobie rady.
– Dasz radę, Jude... uwierz mi. Mogę coś teraz dla ciebie zrobić?
– Może zbudujesz wehikuł czasu?
– To mogłoby trochę potrwać... Sandra mówi, że kończy się herbata i kawa. Skoczę do sklepu.

– Nie. Ona przyniesie wszystko wieczorem, jak będzie wracać z Asdy. Powiedziała, że mają tam zniżkę dla pracowników.

– Mówiła mi, że bywaliście we czwórkę w kasynie. Nie wiedziałem, że lubisz hazard.

Jude wzięła głęboki oddech.

– Nie tyle ja, ile tamci troje. Smakowało mi tam żarcie i drinki... To były zawsze fajne wieczory.

Przerwała, potem zmieniła temat.

– Ci ludzie, wiesz, splądrowali tutaj wszystkie nasze rzeczy. Niektóre zabrali, musiałam im podpisać. To dlatego... – Wskazała gestem rozrzucone wokół ubrania. – A skoro szuflady były już wyciągnięte, pomyślałam, że mogłabym...

Fox skinął ze zrozumieniem.

– Zostawię cię z tym, jeśli naprawdę nic nie mógłbym...

– Czy Mitch już wie? – przerwała.

– Tak. Chciał tu przyjechać.

– Odwiedzę go, tak będzie łatwiej, nie sądzisz?

– Mogę cię tam zabrać, tylko trochę później. O trzeciej, czwartej, jak wolisz?

– A nie powinieneś być w pracy?

Wzruszył ramionami.

– No dobrze – zgodziła się Jude. Brat wstał i ruszył do wyjścia. Był już w drzwiach, kiedy coś sobie przypomniała. – W poniedziałek wieczorem ktoś tu przyszedł.

Fox zatrzymał się z ręką na klamce.

– Pytał przez domofon o Vince'a – ciągnęła Jude. – Powiedziałam, że nie wiem, gdzie jest, i to wszystko.

– Nie znasz tego człowieka?

– Nie. Wysoki chłopak, ciemne włosy. Podeszłam do okna i patrzyłam, jak odchodzi, ale widziałam już tylko plecy.

– Wsiadł do samochodu?

– Możliwe...

– Mówiłaś o tym Gilesowi?

– Nie. Był wściekły, nie mogłam się skoncentrować. Może ty mógłbyś mu to powiedzieć?

– Oczywiście. Tylko jedno, Jude...

– Co?

– Czy Vince miał jakieś kłopoty? Jakieś spięcia?

Zastanawiała się, trzymając wciąż jego koszulkę przy twarzy.

– Vince był, jaki był. Dla mnie jest i będzie. Ale, Malcolm...

– Tak?

– Wiedziałeś o tych wyrokach?

Skinął głową na potwierdzenie.

– Nie powiedziałeś mi tego.

– Dowiedziałem się dopiero po jego śmierci.

– Mimo wszystko trzeba mi było powiedzieć. Wolałabym to usłyszeć od ciebie niż od tego drania.

– Masz rację – przyznał Fox – przepraszam. Ale ty... naprawdę tego nie wiedziałaś?

Zaprzeczyła ruchem głowy, a potem przenosząc uwagę na koszulkę zmarłego kochanka, powiedziała tylko:

– To nie ma znaczenia. Teraz nic już nie ma znaczenia.

• • •

W komendzie przy Fettes czekała na niego kartka z wiadomością, że Inglis chce się z nim widzieć.

– Sama ją tu przyniosła – zakpił Tony Kaye. – Niezłe ciało...

– Gdzie jest szef? – przerwał Fox.

– Wyszedł wcześniej; powiedział, że ma jakąś mowę do napisania. – A kiedy Fox podniósł wzrok z zaciekawieniem, dodał: – Jakaś konferencja w Glasgow.

– „Metody nadzoru i dopuszczalna interwencja w wypadku niepokojów publicznych” – wyrecytował Joe Naysmith. – Pewnie w związku z kryzysem kredytowym.

– Klienci będą linczować bankierów – dodał Kaye.

– Co to ma wspólnego z naszym wydziałem? – spytał Fox.

– Jeśli chłopcy będą za ostrzy wobec protestujących, mogą trafić do nas – wyjaśnił Kaye. Wstał od biurka i podszedł do Foxa. – Miło widzieć cię w dobrym stanie. Tak trzymaj.

– Ten Wściekły Billy to jakaś parodia Torquemady.

– A czego się spodziewałeś? Jak to zniosła twoja siostra?

– Dobrze, przynajmniej na razie. Byłem u niej po wizycie na Torphichen.

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Faulknerr miał sprzeczkę z jakimiś fanami rugby w sobotę

wieczorem.

– O!

– A potem zniknął. Nikt go już później nie widział.

– A Jude? Przesłuchiwali ją? – spytał Kaye.

– Obaj: i Giles, i Jamie Breck.

– Powiedziała im coś nowego?

– Nie sędzę. – Fox szczyptał czubek nosa. Wolałby, żeby ten katar wreszcie się skończył albo rozwinął w prawdziwą chorobę. Na razie ciągle nękał go jak natrętna, ale nieśmiała wielbicielka.

– Zamierzasz się zobaczyć z tą gwiazdą?

Fox podniósł na Kaye'a zdumiony wzrok.

– Z tą cizią z Chop Shop. – Kaye wskazał na notatkę. – Chętnie cię wyręczę, mogę być gońcem.

– Dobra, dobra – rzekł Fox, wstając. Kaye wzruszył ramionami i odszedł.

– Hej, ty tam, Starbucks! – zawołał w stronę Joego Naysmitha. – Podaj kawę...

Fox pokonał niewielki dystans dzielący go od biura CEOP i naciśniętą dzwonek. Drzwi otworzyła Annie Inglis – najpierw zaledwie uchyliła, by się upewnić, że to on. Uśmiechnęła się i wpuściła go do środka. Aspirant Gilchrist skinął zza biurka na powitanie. Żaluzje były zamknięte dla ochrony przed porannym słońcem.

– Nie mam dużo czasu – zastrzegł Fox.

– Chciałam tylko wiedzieć, jak się rzeczy mają. – Wskazała mu to samo krzesło, na którym siedział w czasie poprzedniej wizyty. Usiadł naprzeciw niej, ich kolana zetknęły się na moment. Ubrana była w spódnice, czarne rajstopy i białą bluzkę z dużym wycięciem; jej szyję oplatał sznur pereł, które wyglądały na stare – pewnie je odziedziczyła.

– Rzeczy mają się dobrze – odpowiedział. Odwrócony tyłem do nich Gilchrist zdejmował obudowę z komputera.

– Nasi partnerzy w Melbourne są w gorącej wodzie kąpani – stwierdziła Inglis.

– Co masz na myśli?

– Gliniarz stamtąd, jeden z tych, których ci pokazywałam... – Spojrzała na monitor. – Obawiają się, że ma przyjaciół u nas, którzy mogą go ostrzec, że zajmujemy się tą sprawą.

– Chcą go przesłuchać?

– Tak, a wtedy stracilibyśmy namiary na niektórych jego brytyjskich klientów.

– Takich, którzy wyłożyli już gotówkę – dodał Gilchrist, nie odwracając głowy – ale nie wnieśli wkładu rzeczowego. To byłby dla nich znak ostrzegawczy.

– Breck też nie wysłał jeszcze obrazków?

– Nie. – Inglis pokręciła głową. – Nie napisał też niczego nowego na ich forum. Takie rzeczy już się zdarzały: przecieka informacja i mają mnóstwo czasu, żeby zniszczyć dowody i zatrzeć ślady.

– Ale ty przecież masz te dowody. – Teraz Fox spojrzał na monitor.

– Zdrapaliśmy tylko zewnętrzną warstwę, Malcolm.

– Wierzchołek góry lodowej – potwierdził Gilchrist, wymontowując panel z dyskiem. – Tak naprawdę... – mówił jakby do siebie – chodzi o dostęp do domowego komputera osoby podejrzaney.

Fox popatrzył na Inglis, ta odpowiedziała spojrzeniem.

– Rzecz w tym – powiedziała – że musielibyśmy przeprowadzić rewizję. Breck ma zapewne kogoś znajomego w systemie, kto miałby ochotę go ostrzec.

– Ty natomiast – dodał Gilchrist na pozór pochłonięty swoją pracą – mógłbyś zrobić małe włamanie i sprawdzić, co on ma na biurku. Wydział Spraw Wewnętrznych ma większe możliwości niż my, zwykli śmiertelnicy.

– Sądziłem, że badacie tylko ogólne tło sprawy.

– Trochę dowodów też by się przydało – rzekła z zadumą Inglis.

– Dostalibyśmy medal z Londynu – dorzucił jej kolega.

– Ach, więc o to chodzi. Zrobić wrażenie na starszych braciach.

– A wołałbyś, żeby wszystkich nas z północy uważali za amatorów?

Inglis czekała na odpowiedź, która jednak nie nastąpiła.

– On może mieć całą masę zdjęć albo na twardym dysku, albo na karcie – kontynuowała spokojnie, ale stanowczo. Nawet jeśli się ich pozbędzie, pozostaną ślady.

– Ślady? – zdziwił się Fox.

– Tak, Malcolm, tak jak przy zwykłych zbrodniach. Każdy zostawia jakiś ułamek śladów wykrywalny dla biegłych.

– Albo ślad ułamków – dodał Gilchrist. Najwyraźniej był to jego stary dowcip. Oczywiście Inglis posłała koledze uśmiech uznania. A Fox natychmiast przypomniał sobie o śladzie, jaki Tony Kaye pozostawił w centralnym komputerze policji.

– Niezłą reklamówkę tu sobie ułożyliście – powiedział. – To specjalnie dla mnie czy wypróbowana praktyka?

- Nieważne, ważne, że tak jest – stwierdziła Inglis.
- Rzecz w tym – odparł – że my nie możemy tak po prostu wejść do czyjegoś domu bez wcześniejszej akceptacji.
- Akceptację można uzyskać także *ex post* – przypomniała Inglis.
- Tak, ale trzeba przedstawić uzasadnienie komisarzowi nadzoru.
- Ostatecznie tak – podjęła polemikę Inglis. – Ale o ile się na tym znam, w nagłych wypadkach można najpierw podjąć działanie, a dopiero potem to konsultować.
- Nie w tym wypadku – spokojnie zaprzeczył Fox. – To nie ja prowadzę śledztwo w sprawie Brecka. Można raczej powiedzieć, że to on mnie śledzi... Jak by to więc wyglądało?
- Przez dłuższą chwilę w pokoju panowała cisza.
- Niezbyt dobrze – odezwała się w końcu Inglis. Słaby błysk nadziei zniknął z jej oczu. Spojrzała na Gilchrista, ale w odpowiedzi otrzymała tylko wzruszenie ramion.
- Musimy spróbować – zwróciła się do Foxa.
- Nie możemy go zgubić – dodał Gilchrist, rzucając śrubokręt na biurko.
- Może byłby jakiś sposób – zaproponował Fox. – Owszem, na włamanie potrzebna jest zgoda komisarza nadzoru... ale jeśli Breck używa domowego komputera, możemy umieścić przed jego domem furgonetkę z podsłuchem i namierzyć jego klawiaturę.
- Nie trzeba na to zezwolenia sądu?
- Nie. Wystarczy akceptacja zastępcy komendanta, nawet *ex post*.
- Dobrze, zastępca jest po naszej stronie – ucieszyła się Inglis. Przesunęła leżącą na biurku myszkę. Ekran komputera ożył, ukazując tę samą co poprzednio fotografię – policjanta z Melbourne z małym Azjatą.
- Wiesz, jak oni się bronią? – spytała. – Nazywają to „zbrodnią bez ofiar”, bo przecież tylko wymieniają między sobą zdjęcia. W większości wypadków rzeczywiście tak jest, nikogo nie molestują.
- Ale to nie znaczy, że nie ma przestępstwa – stwierdził Gilchrist. Fox ziewnął niezbyt dyskretnie.
- Słuchajcie, bardzo szanuję waszą robotę...
- To przychodzi ci bez trudności – przerwała Inglis.
- Zobaczę, co da się zrobić – kontynuował Fox niezrażony. – Furgonetka z podsłuchem to całkiem realna opcja, jeśli to, co o nim mówicie...
- Jeśli? – Gilchrist podniósł głos. Patrzył twardo na Foxa.

Ale Inglis uspokoila go ruchem ręki.

– Dziękuję, Malcolm, wszystko może być przydatne.

– No to dobrze – powiedział Fox, wstając. – Zajmę się tym.

Po powrocie do wydziału wezwał Tony'ego Kaye'a ruchem palca wskazującego. Kaye podszedł do jego biurka.

– Co byś powiedział na noc spędzoną w furgonetce?

Kaye parsknął i uśmiechnął się szeroko.

– A co dostaniesz od niej w zamian?

Fox pokręcił karcąco głową.

– Pytam, co ty byś powiedział – powtórzył.

– Pewnie bym kłął i narzekał. Chodzi o to, żeby przyłapać Brecka na oglądaniu pornosów w Internecie?

– Tak.

– To nie nasza działka, Lisku.

– Może się okazać nasza, jeśli robi to, o co podejrzewa go Chop Shop.

– Czyli wspólna operacja?

– Uważam, że sierżant Inglis albo jej kolega powinni się znaleźć w tej furgonetce.

– A ten jej kolega jest równie apetyczny jak ona?

– Nie całkiem. – Fox zerknął w stronę stolika z kawą. – Naturalnie będziesz potrzebował także Naysmitha.

Kaye wyglądał, jakby uleciało z niego powietrze.

– Niestety, to prawda.

Naysmith najchętniej z nich potrafił się posługiwać techniką podsłuchu.

– Ale kiedy on będzie tam zasuwał, ty będziesz miał mnóstwo czasu, żeby czarować sierżant Inglis.

– Też prawda – przyznał Kaye, rozjaśniając się na nowo. – A gdzie ty wtedy będziesz?

– Ja nie mogę w tym uczestniczyć, Tony.

Kaye skinął głową ze zrozumieniem.

– Dzisiaj? – spytał.

– Im szybciej, tym lepiej. Furgonetka nie jest zajęta?

– Nie. Tyle że szykuje się zimna noc, zły czas na taką robotę. Trzeba się będzie ciepło ubrać.

– Myślę, że sierżant Inglis będzie to odpowiadać. Przekaż to Naysmithowi, a ja zawiadomię Chop Shop.

Fox obserwował odchodzącego Kaye'a, potem podniósł słuchawkę i wystukał numer CEOP. Odpowiedziała Annie Inglis; Fox osłonił

dłonią usta, aby Kaye nie mógł go słyszeć.

– Możemy to zrobić dziś w nocy. Będzie tam dwóch moich ludzi, Kaye i Naysmith.

– Noce są...

Fox wiedział, co powie, dlatego przerwał:

– Ciężkie? Toteż sierżant Kaye będzie się czuł dużo lepiej w towarzystwie funkcjonariusza mężczyzny.

– Dobrze, przyślę Gilchrista – zdecydowała Inglis. Potem z pewną irytacją spytała: – A dlaczego Kaye miałby być niezadowolony z towarzystwa funkcjonariusza kobiety?

– Chodzi w ogóle o kobiety, Annie – wyjaśnił Fox dwuznacznie.

– O! – wykrzyknęła. Kaye i Naysmith zbliżali się już do jego biurka, więc Fox zakończył rozmowę.

– Załatwione – powiedział do nich.

Kaye zatarł tylko ręce i uśmiechnął się szeroko.

8

Wieczorem w drodze do domu Fox zatrzymał samochód przy chińskiej restauracji. Miał zamiar usiąść przy stoliku, ale lokal był całkiem pusty, tylko on i personel. Zamówił więc danie na wynos, żeby zjeść je w domu. Piętnaście minut później był już w samochodzie z torbą na fotelu pasażera, w środku był kurczak ze świeżym imbirem i młodą cebulką, makaron sojowy i warzywa po chińsku. Właściciel proponował mu jeszcze chipsy z krewetek do przygotowania w domu, ale Fox nie chciał. Znalazłszy się w kuchni własnego domu, przełożył całą zawartość torby na talerz, lecz stwierdził, że to za dużo na jeden raz, i odłożył połowę potrawy z powrotem do pojemnika. Usiadł przy kuchennym stole z serwetką zatknięą za kołnierzyk koszuli. W jego telefonie nie było nowych wiadomości, nie czekała też na niego żadna poczta. Dwa psy hałaśliwie „rozmawiały” na sąsiedniej ulicy. Bliżej przejechał jakiś motocykl, ewidentnie za szybko. Fox nastawił radio na Birdsong, napełnił szklankę sokiem jabłkowym i wrócił myślami do Lauder Lodge.

Zabrał tam Jude, tak jak się umawiali, około czwartej. Niewiele rozmawiali po drodze. Pracownicy domu opieki z trudem udawali, że nie patrzą na Jude. Przedmiotem ich ciekawości nie była bynajmniej ręka na temblaku. Czytali gazety i oglądali lokalne wiadomości, wiedzieli zatem, kim jest i co się zdarzyło.

– Zapomniałam chyba o czarnej woalce – szepnęła do brata, kiedy szli korytarzem w stronę pokoju ojca.

Mitch czekał na nich. Uparł się, że wstanie, więc mógł ją serdecznie uścisnąć. Kiedy wszyscy usiedli, przyszły dwie pielęgniarki i zaproponowały herbatę. Mitch uznał, że to dobry pomysł. Ale gdy herbatę już podano, jeszcze jedna osoba z personelu wetknęła głowę do pokoju, by zapytać, czy nie mają ochoty na ciasteczka. Malcolm doszedł do wniosku, że tego już za wiele, wstał i zamknął drzwi. Jednak niemal natychmiast rozległo się stukanie. Tym razem była to wiadomość dla pana Foxa, że zaraz po kolacji zaczniesz się wieczór

wista.

– Tak, wiem! – krzyknął Mitch. – A teraz spieszajcie i zostawcie nas w spokoju.

Spojrzał ponownie na córkę.

– Jak się czujesz, Jude?

– Dobrze.

– Nie wyglądasz na to. Wszystko przez tego cholernego faceta.

– Ma na imię Vince, tato.

– Cholerny facet – powtórzył Mitch Fox, wpatrując się w jej rękę na temblaku.

– Przepraszam, tato – odezwał się Malcolm. – Powinienem ci powiedzieć...

– Co się stało?

– Upadłam w kuchni – wypaliła Jude.

– Tak, upadłaś – mruknął ojciec.

Ta wizyta nie była jednak całkiem nieudana. Mitch zdołał jakoś ograniczyć komentarze do: „A nie mówiłem?” i „On nigdy nie postępował z tobą właściwie”. A jej udało się nie obrazić ojca.

– A ty milczysz – stary Fox zgañił syna. Malcolm wzruszył tylko ramionami, ostentacyjnie koncentrując się na trzymanej przed nosem filiżance herbaty.

Potem odwiózł Jude do domu. Po drodze spytał, czy potrzebuje towarzystwa. Potrząsnęła głową i powiedziała, że wieczorem przyjdzie Alison. Przed wyjściem z samochodu cmoknęła go w policzek.

Siedząc przy stole i wracając myślą do tej chwili, Fox zastanawiał się, dlaczego ten gest tak bardzo go zaskoczył. Może dlatego, że w ich rodzinie, jak zapewne w wielu innych, rzadkie były takie objawy czułości. Zdarzały się jakieś pocałunki czy uściski na Boże Narodzenie. I oczywiście z okazji pogrzebów. Ale w czasie ostatnich świąt nie spotkał się z Jude, a ostatni rodzinny pogrzeb – pewnej starej ciotki – zdarzył się poprzedniego lata.

– Dziękuję – powiedziała Jude, wysiadając. Obserwował ją, póki nie zamknęła za sobą drzwi; potem w salonie zapaliło się światło, ale Jude nie podeszła do okna, by machnąć ręką na pożegnanie.

Jeszcze wcześniej, w Lauder Lodge, Mitch zapytał, czy ma zadzwonić do pani Sanderson. – Na pewno chętnie by cię zobaczyła. – Ale Jude poprosiła, żeby tego nie robił, a Fox miał wrażenie, że i sama pani Sanderson wolałaby się trzymać z daleka i nie wtrącać w sprawy rodzinne.

Wyrzucając do kubła resztki z talerza, Fox zastanawiał się, co

myśli o nim ojciec. Mitch mógł tu właściwie mieszkać, miejsca było dosyć. Problemem mogły być tylko schody – tym argumentem przekonywał Fox sam siebie, kiedy podejmował decyzję o losach ojca. Poza tym w Lauder Lodge staruszek znalazł nowych przyjaciół. Prawda, że mógł to mieć i w Oxfords; przy parafii był dom pobytu dziennego dla starszych ludzi. A jednak nie... Lauder Lodge oferował najlepsze warunki i cieszył się najlepszą opinią. Tak, Lauder Lodge to był właściwy wybór.

Zaczął robić sobie herbatę, ale zrezygnował; czuł jeszcze w gardle smak herbaty, którą pił w Lauder Lodge, i wolał nie powtarzać tego doświadczenia. W lodówce było sporo soku jabłkowego, lecz nie przepadał za nim. Właściwie nie wiedział, czego chce. Przechodząc przez salon przejrzał wszystkie kanały telewizyjne i nie znalazł ani jednego, na który warto by było tracić czas. Przyszło mu do głowy, że mógłby wcześniej pójść spać z jakąś lekturą do poduszki, ale dochodziła dopiero dziewiąta. Za dwie godziny rozpocznie się podśpuch Brecka. Przypomniał sobie ostatnie pytanie Naysmitha: – Czy wszystko jest w porządku?

Chodziło oczywiście o papiery, o formalną zgodę z góry. Naysmith – jak zawsze ostrożny i skrupulatny. Fox zapewnił go, że papiery są „w drodze”, co w skrócie oznaczało „zajmiemy się tym później”. Kaye powiedział młodszemu koledze, aby się o to nie martwił, kołtuniąc mu przy tym włosy na głowie. Mieli dobre usprawiedliwienie: nieobecność McEwana. Poza tym Chop Shop zastrzegł, że sprawa jest bardzo pilna.

– Będziemy w porządku – podsumował Fox.

Wszystko będzie w porządku.

A DVD?... Może mógłby obejrzeć sobie jakiś film? Ale nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy. Pomyślał o płytach DVD w pokoju Jude, z których żadna nie mogła być w guście Vince'a Faulknera: romantyczne komedie, marzenia o innym, trochę piękniejszym życiu. Próbował sobie przypomnieć, jakie miała ambicje w czasach, kiedy oboje byli dziećmi, lecz niczego nie pamiętał. A on sam – czy zawsze chciał być detektywem? Tak, nawet bardzo. Nie marzył o karierze gwiazdy futbolu czy ekranu. Lubił za to mówić kolegom: ja będę gliną, rozkoszując się brzmieniem tych słów i wrażeniem, jakie robiły na niektórych ludziach.

Glina, pies.

Śmieć, świnia.

Wyzywano go jeszcze gorzej przez wszystkie te lata, a czasem ro-

bili to tacy sami jak on, koledzy, którzy zrobili coś złego, a on ich przyłapał. Wyobraził sobie Jamiego Brecka – pozornie gładkiego i czystego – jak wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi. Zasuwa rolety. I już sam, pewny, że nikt go nie widzi, rozgrzewa komputer, pozwalając wyjść na powierzchnię swojej sekretnej drugiej jaźni. Nieświadomy obecności urządzeń podsłuchowych w samochodzie za oknem, rejestrujących każde dotknięcie klawisza, każdą stronę, na którą wchodzi. Wszystko, co widzi na ekranie, widzą również ludzie w furgonetce. Fox obserwował już, jak to działa. I zawsze przechodził go dreszcz, kiedy ta maszyna ujawniała afery miłosne, potwierdzała przestępcze koneksje, demaskowała wielkie oszustwa i pospolite słabości.

Sprawia ci to frajdę? Podglądać, jak Tom się pieprzy...

Czasem mówili jeszcze gorzej. *Porąbany gnojek... kapuje własnych kumpli... gorszy od szamba...*

Najgorszy z najgorszych. Ale i tak lepszy niż ty – to jedyna możliwa odpowiedź.

I tak lepszy niż ty.

Poruszył ustami, by wypróbować brzmienie tych słów, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Spojrzał na zegarek: było wpół do dziesiątej. Przez chwilę stał w przedpokoju, nasłuchując. Gdy dzwonek odezwał się ponownie, lekko uchylił drzwi.

– Cześć – przywitał się Jamie Breck.

Fox otworzył drzwi na oścież. Rozejrzał się w lewo i w prawo.

– A to niespodzianka! – Tylko tyle przyszło mu do głowy.

Breck nieznacznie się uśmiechnął.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że po prostu przejeżdżałem w pobliżu, ale na swój sposób to jednak prawda. Czasem spaceruję wieczorami, tak sobie, żeby rozjaśnić umysł. Jak zobaczyłem tabliczkę z nazwą pańskiej ulicy, zdałem sobie sprawę, gdzie jestem. Może zresztą od samego początku chciałem tu przyjść. – Wzruszył ramionami. – Podświadomość czyni cuda.

– Naprawdę? – Fox zastanawiał się, co robić dalej. – Proszę, niech pan wejdzie. – Zdecydował w końcu.

– Tylko jeśli nie przeszkadzam...

Fox poprowadził Brecka do salonu.

– Napije się pan czegoś?

– A ma pan coś?

– Ja nie piję.

– Chyba nie wiedziałem.

– No to teraz może pan to dodać do mojego dossier.

Breck przyjął te słowa z uśmiechem.

– Żadnego alkoholu w domu, nawet dla gości? – Obserwował, jak Fox kręci głową. – Czyli nie ufa pan sobie w tej kwestii, mam rację?

– W czym mogę panu pomóc, sierżancie Breck?

– To nie jest oficjalna wizyta, Malcolm. Mów mi Jamie.

– A więc co mogę dla ciebie zrobić, Jamie?

Breck usiadł na kanapie, Fox na fotelu na prawo od niego. Breck obrócił się w jego stronę. Był ubrany inaczej niż w pracy: czarne sztruksowe spodnie, fioletowa koszulka polo, dżinsowa kurtka.

– Ładnie tu – powiedział, rozglądając się po pokoju. – Moje mieszkanie jest mniejsze, za to nowsze; chyba teraz w ogóle budują mniejsze...

– Tak – odparł Fox, czekając, kiedy wreszcie Breck zdradzi, po co naprawdę przyszedł.

– Zbadaliśmy starannie film sprzed pubu. – Spełnił te oczekiwania Breck. – Nie ma wielkich nadziei na identyfikację uczestników sprzeczki. Można by to pokazać policji walijskiej na wszelki wypadek... Rzecz w tym, że już parę minut później ci fani rugby byli z powrotem w Marooned, bawili się wesoło i popijali.

– Kto tak twierdzi?

– Dwaj stali bywalcy. Walijszczyki postawili im kolejkę. I nawet przepraszali, że tak naskoczyli na Faulknera. – Przerwał. – No i oczywiście w barze też jest kamera: wszystko się zgadza. Jeśli zatem nie natknęli się na niego później...

– Wykluczasz ich?

– Nie wykluczamy niczego, Malcolm.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

– Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć. Oczywiście wszystko zostaje między nami, sam rozumiesz...

– A co miałbyś dostać w zamian?

– No... ten dom jest czysty? Wolałbym mieć pewność.

Fox zdobył się na uśmiech i odchylił się nieco w fotelu.

– Jest jedna rzecz – odezwał się w końcu – o której Jude nie powiedziała Billy'emu Gilesowi, bo nie podobały jej się jego maniery...

– Tak? – zachęcił go Breck i z zaciekawieniem pochylił się w jego stronę.

– W poniedziałek wieczór ktoś przyszedł i pytał o Faulknera.

– Jeśli patolog się nie myli, to Faulkner już wtedy stygł.

Fox przytaknął.

– To zapewne nic ważnego. Zresztą potrafiła tylko powiedzieć, że ten ktoś był mężczyzną.

Teraz z kolei uśmiechnął się Breck.

– Dobrze i to. Mężczyzna? To oczywiście zawęży obszar poszukiwań.

Przez moment obaj siedzieli w milczeniu. Pierwszy odezwał się Breck.

– Nie wiem, po co instalują te kamery – oświadczył.

– Pewnie dla odstraszenia – zasugerował Fox.

– Albo dla komfortu psychicznego – odparł Breck. – Wielu ludzi instaluje kamery we własnych domach, żeby czuć się bezpieczniej. A w praktyce? Parę miesięcy temu było włamanie do prywatnego domu w Merchiston. Glen Heaton zabrał mnie tam na oględziny. Film był tak nieostry, że włamywacze nie bardzo wyglądali na ludzi. Zabrali biżuterię i antyki warte pół miliona. Wiesz, co Glen powiedział właścicielom? Wyrzucicie te kamery i kupcie sobie psa.

Fox kiwnął głową, miał podobne zdanie.

– Oczywiście dużego psa i trzymajcie go o głodzie.

– Często z nim pracowałeś?

– Prawie nigdy. Pewnie właśnie dlatego nie przesłuchiwałeś mnie w tej sprawie.

– Mieliśmy wystarczająco dużo materiałów.

– A jednak przegrillowałeś Billy'ego Gilesa.

– Tylko dla rozrywki.

– Nie wiedziałem, że termin „rozrywka” istnieje w słowniku Wydziału Spraw Wewnętrznych.

Breck namyślał się przez chwilę.

– Ośmieliłbym się twierdzić, że wiesz teraz o Glenie Heatonie więcej niż ja. Jak długo go obserwowaliście?

– Wiele miesięcy. – Fox poruszył się w fotelu, który nagle wydał mu się dziwnie niewygodny.

– Czy w ogóle możemy o nim rozmawiać? – spytał chytrze Breck.

– Prawdopodobnie nie. Ale teraz, kiedy już wiesz, że łamał wszystkie reguły gry, jak go oceniasz?

– Według tego, co mówi Billy Giles, Heaton łamał reguły tylko wtedy, kiedy zależało mu na konkretnym rezultacie. Handlował informacjami z kryminalistami, ale w zamian dostawał informacje o wielu brzydkich sprawach.

– I to go usprawiedliwia?

Breck wzruszył ramionami. Fox odetchnął głęboko i powiedział:

– Zmieńmy temat. Jest coś jeszcze w sprawie Vince'a Faulknera?

– Nadal nie mamy żadnych informacji z soboty i niedzieli.

– I żadnej kałuży krwi na tej budowie obok?

Breck pokręcił przecząco głową.

– Billy Giles uważa, że mogli go zabić już w sobotę i gdzieś trzymali... A w poniedziałek wpadli w panikę i podrzucili ciało nad kanał.

Fox pochylił głowę i wpatrywał się w dywan.

– No i ostatnia rzecz – ciągnął Breck. – Widziano, jak dwóch chłopaków kłóciło się z trochę starszym facetem na przystanku autobusowym na Dairy Road, niedaleko od Marooned – jakies trzydzieści, czterdzieści minut po wyjściu Faulknera z pubu.

– To znaczy o której?

– Około dziewiątej trzydzieści.

– Opis pasuje?

– Trudno to nazwać opisem. Jakaś kobieta widziała tę scenę z okna swojego mieszkania po drugiej stronie ulicy: drugie piętro i pięćdziesiąt metrów. To taka typowa wścibska praworządna obywatelka, więc przyszła do nas z informacją.

– Co tam się wydarzyło według niej?

– Dwóch młodszych wymyślało starszemu. Prawdopodobnie czekał na autobus, oni przyszli później. Doszło do pyskówki. Przejeżdżała taksówka, ten starszy ją zatrzymał i wsiadł. Jeden z tamtych kopnął zderzak, kiedy taksówka odjeżdżała.

– W którą stronę.

– W stronę Haymarket.

Fox się zamyślił.

– Które autobusy tamtędy jeżdżą?

– To szukanie igły w stogu siana, jest ich dużo. Na zachód w stronę Corstorphine i Gyle, na północ do Barnton, na wschód w okolicy Dworca Morskiego...

– Vince często odwiedzał kasyno w pobliżu Dworca Morskiego – rzekł z namysłem Fox. – W towarzystwie swojego majstra, jego żony i mojej siostry...

– Mówisz o kasynie Oliver? – zapytał z zainteresowaniem Breck.

– Tak. A dlaczego pytasz?

– Bez szczególnego powodu. Byłeś tam kiedyś?

– Nie.

– Ja też nie – powiedział w zamyśleniu, najwyraźniej coś chodziło mu po głowie. Potarł podbródek wierzchem dłoni.

– Próbujecie znaleźć tego taksówkarza? – spytał Fox.

– Tak.

– Nie powinno to być trudne. Na pewno zapamiętał, że mu skopali samochód.

– Hmm... – Breck nadal się nad czymś zastanawiał, klepiąc dłońmi po kolanach. – Naprawdę mam ochotę na drinka, Malcolm. Napijesz się ze mną?

– Ja nie piję.

– Miałem na myśli: czy wybierzesz się ze mną do pubu?

– Oczywiście – odparł Fox po chwili wahania. Spojrzał na zegarek. Na pewno już wzięli vana... teraz sprawdzają aparaturę. Zanim ruszą, ustalą taktykę. – Tylko robi się trochę późno.

Teraz z kolei Breck spojrział na zegarek. Uniósł brwi.

– Nie ma jeszcze nawet dziesiątej.

– Dobrze, ale tylko na jednego.

– Zgoda, na jednego. Możemy wziąć twój samochód?

– A gdzie chcesz jechać?

– Do Olivera. Chyba mają tam jakiś bar?

Fox zmrugał oczy. Zastanawiał się nie tyle nad miejscem, ile nad konsekwencjami.

– Dlaczego tam?

– Moglibyśmy spytać, czy Vince Faulkner był tam w sobotę wieczorem.

– To nie całkiem zgodne z przepisami, Jamie. Twój szef wpadnie w szal, gdy się dowie.

– Przepisy są po to, żeby je łamać, Malcolm.

Fox pogroził palcem.

– Uważaj, do kogo to mówisz.

Breck roześmiał się i wstał.

– Zaryzykujesz? – spytał.

– Trochę daleko jak na jednego drinka...

Breck nie poruszył się ani nie odezwał. Fox westchnął ciężko, oparł dłonie na poręczach fotela i wstał.

• • •

Obszar wokół Dworca Morskiego był mozaiką zaniedbanych terenów portowych, domów towarowych w starych magazynach i nowych budynków. Sam Dworzec Morski był w istocie wielkim

centrum handlowo-kinowym, w którym główną atrakcją turystyczną był królewski jacht „Britannia” zacumowany trwale przy nabrzeżu. Stojący w pobliżu duży lśniący budynek mieścił całą armię urzędników miejskich – a jeśli nie armię, to przynajmniej kilka batalionów. Było tu też kilka renomowanych restauracji, zapewne liczących na pasażerów statków turystycznych, które od czasu do czasu zawijały do portu w Leith. Budynek kasyna Oliver miał kształt rotundy, pozwalający się domyślać, że kiedyś rezydował tu dowódca portu. Fox nie był pewien, czy wpuszczą ich do kasyna, bo Breck miał na nogach adidas. Ten jednak usunął wszelkie wątpliwości, mówiąc, że w razie czego okaże legitymację.

– Akceptowana w całym kraju – zażartował, machając legitymacją przed nosem kolegi. Staęli na parkingu między mercedesem i sportową toyotą. Portierzy w liberii pełnili straż przy jasno oświetlonym wejściu. Breck pokazał Foxowi kamerę przemysłową, którą jednak Fox zauważył już wcześniej. Zastanawiał się, czy nie wysłać Kaye'owi SMS-a z sugestią, że dzisiejsza wachta nie ma sensu. Z drugiej strony, jeśli mieli tu zostać tylko na jednego drinka...

– Dobry wieczór – odezwał się jeden z portierów. Brzmiało to bardziej jak ostrzeżenie niż powitanie.

– Jak leci? – spytał Breck. – Pewnie ciasno?

– Dopiero się zjeżdżają. – Mężczyzna przyjrzał mu się dokładnie, zatrzymując wzrok na dzinsowej kurtce. – Chcemy sobie popatrzeć, co?

Breck poklepał się po kieszeni.

– Mam tu trochę gorącej kasy.

Drugi portier uważnie przyglądał się Foxowi.

– To gliniarz – poinformował kolegę. – Dałbym głowę.

– A gliniarze po robocie nie mogą wejść? – spytał Fox, podchodząc o krok bliżej, tak że znalazł się twarzą w twarz z portierem.

– Dopóki wyglądacie jak menele, to nie.

– Możemy zapłacić za wstęp – zapewnił go Breck.

– Lepiej uważajcie – ostrzegł portier i wpuścił ich.

Breck zostawił swoją kurtkę w szatni, co pozwoliło mu choć trochę upodobnić się do innych gości. Lokal na pierwszy rzut oka wyglądał na burdel, ale to podobieństwo było przypadkowe: przy paru stołach grali mężczyźni o wyglądzie biznesmenów, przy innych ich żony lub dziewczyny. Wokół stało też paru widzów obserwujących przebieg gry. Jeden z nich wydał się Foxowi podobny do kelnera, który parę godzin wcześniej obsługiwał go w chińskiej restauracji; potwierdziło

się to, kiedy tamten uśmiechnął się do niego, pomachał ręką i lekko uklonił.

W kasynie były automaty do gry, karty, kości, ruletka, a także jaszkrawo oświetlony bar. Każdego krupiera obserwowała osoba z dyrekcji kasyna – na wszelki wypadek. Fox słyszał już o krupierach kręcących kołem ruletki w dziwnie regularny sposób, tak aby kulka zatrzymała się w określonym kwadrancie, co oczywiście naruszało zasadę równych szans. W ostatnich latach paru gliniarzy wpadło w kłopoty z powodu długów hazardowych i w rezultacie znalazło się w polu zainteresowań Wydziału Spraw Wewnętrznych. No cóż, nie każdy potrafi przewidzieć rozkład kart lub obroty koła ruletki.

Kręcone schody, których każdy stopień był przemyślnie podświetlony, prowadziły na antresolę. Breck ruszył na górę, Fox w ślad za nim. Był tu jeszcze jeden bar, a także restauracja; duże słowo, jeśli zważyć, że znajdowało się tam tylko sześć wysokich stołów barowych, a w kącie cztery zwykłe stoliki, z których teraz jednak nikt nie korzystał. Zajęte były za to wszystkie stołki przy barze, a kilku dalszych gości stało przy barierce z drinkami w ręku, obserwując z góry grających.

– Co ci postawić? – spytał Breck.

– Sok pomidorowy.

Breck skinął głową i wcisnął się między dwóch gości siedzących na wysokich stołkach. Barman wlewał właśnie jakiś koktajl do antycznego kielicha od szampana. Fox zbliżył się do barierki i popatrzył w dół. Niewątpliwą atrakcją tego miejsca było to, że od czasu do czasu można było zajrzeć za dekolty którejs z dam. Stoły jednak były osłonięte i oświetlone w taki sposób, że nie dało się dostrzec zawartości kart. Człowiek stojący obok Foxa skinął nieznacznie na powitanie. Wyglądał na sześćdziesiąt parę lat, miał mocno pomarszczoną twarz i zażawione oczy.

– Stół numer trzy jest dzisiaj szczęśliwy – powiedział półgłosem. Fox zacisnął wargi, jakby zastanawiał się nad tą informacją.

– Dziękuję – odrzekł. Miał w kieszeni trzy dwudziestofuntowe banknoty i pamiętał, że jeden z nich musi zostawić, by zrewanżować się Breckowi drinkiem. Cała nadzieja w tym, że Breck odmówi i szybko wróci do domu. Fox nie miał oczywiście zamiaru grać, nawet na szczęśliwym stole numer trzy.

– Virgin Mary – zażartował Breck, podając mu szklanekę z sokiem. Fox podziękował i wypił trochę. Sok był bardzo ostro przyprawiony: sosem Worcestershire, tabasco i pieprzem. Fox poczuł, że

drętwieją mu wargi.

– Pomyślałem, że taki właśnie lubisz. Zdrowie!

Breck trzymał w rękę niską, szeroką szklankę napełnioną jakąś ciemną mieszaniną.

– Rum z colą? – próbował zgadnąć Fox. Tamten przytaknął.

– To był ulubiony drink mojego ojca.

– Był?

– Teraz, tak samo jak ty, trzyma się z dala od wody. Jako lekarz zbyt często miał do czynienia ze zniszczonymi wątrobami.

Stojący obok człowiek przysłuchiwał się ich rozmowie.

– To nie zabija – powiedział. Podniósł wysoko w geście toastu szklankę whisky, a potem szybko wlał jej zawartość do gardła; kostki lodu zagrzecgotały w szkle.

– Ten pan – powtórzył Fox Breckowi – uważa, że dzisiaj szczęśliwy jest stół numer trzy.

– Ten po prawej? – spytał Breck, wyglądając za barierkę. Grano tam w blackjacka. – Co o tym sądzisz? – zwrócił się do Foxa.

– Wystarczy mi mój drink – odparł Fox, pociągając kolejny ognisty łyk. – Ale nie krępuj się mną...

Dopiero jednak po drugiej – „i ostatniej” – kolejce, którą teraz postawił Fox, Breck oświadczył, że „czuje wenę”. W ciągu niespełna kwadransa przegrał prawie trzydzieści funtów. Fox jedynie obserwował go z boku.

W końcu Breck odszedł od stołu z bolesnym westchnieniem. Fox odpowiedział jękiem współczucia. Powoli przeszli w rejon automatów.

– Po co właściwie tu przyszliśmy, Jamie? – spytał Fox.

Breck rozejrzał się wokół.

– Nie bardzo wiem – przyznał. Potem spoglądając na pustą szklankę Foxa, rzucił: – A może by tak jeszcze po jednym przed odjazdem?

Fox odmówił ruchem głowy.

– Wracamy do domu – uciął.

W drodze powrotnej Breck zaczął mówić o szansach śledztwa i stwierdził, że w gruncie rzeczy nie wierzy w sukces.

– Biorąc pod uwagę, jak marnie nam idzie, chyba trzeba będzie to zostawić.

– Tak sądzisz?

– A ty nie?

Fox wzruszył ramionami.

– No cóż, cała ta sprawa toczy się własnym trybem, niewiele możemy zdziałać.

Breck przyglądał mu się uważnie.

– Znasz grupę Elbow? Śpiewają, że kiedy jesteś szczęśliwy albo tylko pijany, zaczynasz wierzyć, że możesz kształtować świat wokół siebie.

– Przecież to iluzja.

– Niekoniecznie, Malcolm. Myślę, że robimy to zawsze: to my wybieramy, w jaki sposób toczy się nasze życie. Dlatego tak kręcą mnie gry.

– Gry?

– Tak, komputerowe, online, zwłaszcza RPG. Jest taka jedna, nazywa się *Quidnunc*, często w nią grywam. Wcielam się w postać, która przemierza galaktykę w poszukiwaniu przygód.

– Ile ty masz lat?

Breck się roześmiał.

– Nie sądzę, abyśmy mieli jakikolwiek wpływ na świat – kontynuował Fox. – Mój ojciec jest w domu opieki: on nie ma już wpływu nawet na swoje codzienne życie. Przychodzą jacyś ludzie i robią wszystko wokół niego – tak jak politycy czy nasi przełożeni załatwiają wszystko wokół nas. To oni kierują naszym życiem. Reklamy podpowiadają nam, co mamy kupić, rząd mówi, jak żyć, technika koryguje nas, kiedy coś źle zrobimy.

Żeby to zademonstrować, odpiął pas bezpieczeństwa. Zapaliła się lampka ostrzegawcza z głośnym pikaniem alarmu. Wsunął z powrotem klamrę w gniazdo i spojrzął na Brecka.

– Używałeś kiedyś komputera, który by cię nie pytał, czy potrzebujesz pomocy?

Breck uśmiechnął się szeroko.

– Wolna wola przeciw determinizmowi – skonstatował.

– Czekam na odpowiedź.

– Założyłbym się, że nie masz strony na Facebooku ani niczego w tym rodzaju.

– O Boże, rzeczywiście nie mam.

– A na Friends Reunited?

Fox pokręcił głową.

– Trudno mi znaleźć czas na jakiegokolwiek życie towarzyskie.

– Moja dziewczyna lubi Twittera. Wiesz, co to jest?

– Słyszałem i wygląda mi to na piekło.

– A więc jesteś tylko obserwatorem życia, Malcolm.

– I to mi wystarcza... – Fox przerwał na chwilę. – Nie spytałeś personelu o Vince'a Faulknera.

– Może innym razem – mruknął Breck, wzruszając ramionami.

Fox zdał sobie sprawę, że nadszedł czas decyzji. Najchętniej zostałby Brecka na głównej ulicy, aby ostatnie kilkaset metrów przeszedł sam. Nie chciał, aby spostrzegła go trójka kolegów obserwujących dom Brecka. Jeśli jednak nie będzie chciał podwieźć Brecka pod dom, ten może zacząć coś podejrzewać. A jak zacznie podejrzewać, to może zauważyć furgonetkę. Na szczęście

Breck sam podjął decyzję. Kiedy skręcali w Oxfords Road, powiedział, że chciałby tu wysiąść.

– Mogę cię podzucić bliżej domu...

Breck odmówił.

– Muszę dokończyć swój wieczorny spacer – wyjaśnił.

Kiedy Fox zaciągał ręczny hamulec, zauważył dłoń Brecka wyciągniętą na pożegnanie.

– Dziękuję – powiedział Breck.

– Nie, Jamie, to ja dziękuję.

Tamten uśmiechnął się i otworzył drzwi. Ale kiedy stał już na jezdni, ponownie wsunął głowę do wnętrza.

– To zostaje tylko między nami, zgoda? Inaczej nic dobrego dla nas obu z tego nie wyniknie.

Fox wolno pokiwał głową. Breck wyprostował się, ale natychmiast znów zanurkował do wnętrza.

– Jedną rzecz powinienes wiedzieć – rzekł. – Nie wszyscy jesteśmy tacy jak Glen Heaton albo jak Wściekły Billy Giles. Na Torphichen wielu się ucieszyło, jak go przydupiełeś. Dziękuję ci za to, Malcolm.

Zatrzasnął drzwiczki i klepnął dłonią dwa razy w dach samochodu. Fox włączył kierunkowskaz i zwolnił hamulec. Ruszył w stronę swojego domu z głową pełną myśli, które wirowały i nijak nie chciały się poskładać.

Czwartek, 12 lutego 2009

9

Fox był już w biurze trzy godziny, kiedy pojawił się Tony Kaye z zaczerwienionymi z niewyspania oczami.

– No – powiedział – straciłem bezpowrotnie kawał życia.

– Co się stało? – spytał Fox, przerywając pisanie. Sporządzał notatkę ze spotkania z dwoma prawnikami z biura prokuratora okręgowego. Uprzedzili go, że przygotowanie materiałów przeciwko Glenowi Heatonowi zajmie „niemało czasu”. Oboje – mężczyzna i kobieta – byli młodzi. Sądząc po tym, jak byli ubrani, jak mówili i jak się poruszali, mogli nawet być rodzeństwem. W każdym razie zachowywali się tak, jakby spędzili z sobą wiele lat. Fox spytał w końcu, czy są parą.

– Parą? – Kobieta najwyraźniej nie zrozumiała.

– Nie jesteśmy – stwierdził jej kolega, a jego kark poczerwieniał.

– Co się stało? – Tony Kaye wyraźnie przedrzeźniał Foxa, jednocześnie z ulgą uwolnił się z ciężkiego płaszcza. – Nic się nie stało, Malcolm. Ten gnojek wrócił do domu dopiero po północy. Nie wiedzieliśmy, że go nie ma, bo zostawił zapalone światło na górze. W końcu przychodzi i natychmiast włącza komputer. No, myślimy, dobra nasza, mamy go. No i zgadnij, co on robi? – Kaye powiesił płaszcz na wieszaku, a dużą skórzaną teczkę postawił obok biurka.

– Co?

– Zaczyna się bawić w jakieś RPG. Wiesz, co to takiego?

– Gra fabularna.

Kaye podniósł wzrok zdumiony erudycją kolegi.

– Mnie musiał to wytłumaczyć Joe Naysmith – przyznał. – No więc facet gra tak dobrą godzinę, a potem zaczyna odbierać e-maile – fascynujący materiał, rozmówki z bratem i jego dziećmi.

– Myślałem, że jego brat jest pedałem.

Kaye znów spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Sam mi to powiedział, przypomniał sobie Fox. Wolął jednak nie

zdradzać Kaye'owi, jak intymne były niektóre jego rozmowy z Breckiem, więc poprawiwszy się na krześle, stwierdził, że taka informacja była w teczce personalnej Brecka.

– To się nazywa fachowe rozpoznanie... Ten facet z Chop Shop powiedział, że może on się do nich zaleca, ale to bzdura. – Kaye przerwał nagle i wbił wzrok w Foxa dla wzmocnienia efektu. – Jest inna sprawa, o której musimy pogadać, przyjacielu. Nie pojawiła się tam sierżant Inglis, musiała podobno ukołysać synka, a zamiast niej przyszedł jakiś okropny nudziarz. I wyobraź sobie, natychmiast zaprzyjaźnił się z Naysmithem. Domyślasz się dlaczego?

– Bo obaj lubią gry komputerowe.

– Bo kochają gry komputerowe. I wszystkie te gadzety, technologie, bla, bla, bla... Po dziesięciu minutach zaczęli sobie nawzajem pokazywać komórki z bajerami. A potem modemy, empetrójki i jak się tam całe to cholerstwo nazywa. Cztery godziny musiałem to znosić. – Kaye ziewnął i zerknął w stronę martwego ekspresu do kawy. – Tylko mi nie mów, że Naysmith jeszcze się wyleguje.

Fox wytarł głośno nos.

– Nie widziałem go dzisiaj – przyznał.

– A McEwan ciągle na tej swojej konferencji – ciągnął Kaye. – Może lepiej ułożę tu sobie na biurku pierzynę.

– Proszę bardzo.

– Breck poszedł spać koło drugiej. Czekaliśmy jeszcze trochę, bo mógł zabrać laptop do łóżka. Ale nie było już sygnału, więc zwinęliśmy kramik.

– Ci z Chop Shop chcą ponowić próbę?

Kaye wzruszył ramionami.

– Wcałe bym się nie dziwił, gdyby Gilchrist i Naysmith chcieli jeszcze porównać zawartość swoich tunerów. – Znowu ziewnął. Nie usiadł jednak, przeciwnie, podszedł do biurka Foxa i pochylił się nad nim.

– Tak? – zachęcił go Fox.

– Jest jeszcze jedno... On googlował twoje nazwisko.

Fox poruszył brwiami.

– On co?...

Kaye zlekceważył pytanie.

– I to doprowadziło go do paru stron prowadzonych przez media. Nie oglądał ich zbyt długo, więc pewnie nie czytał online, tylko kopiował albo drukował.

– Dużo tam nie zobaczył.

– Pewnie. Ale googlował także hasło „Wydział Spraw Wewnętrznych”. Wszystko, co zauważyły media przez ostatnie parę lat... – Zawiesił głos. – W tym oczywiście sprawa Heatona.

– Po co miałby to robić?

Kaye znowu wzruszył ramionami.

– Może po prostu cię lubi.

Fox zastanawiał się, czy powiedzieć koledze o niezapowiedzianej wizycie Brecka w jego domu i o wspólnym wypadzie do Olivera, ale na razie dalej mówił Kaye.

– Z drugiej strony... facet, który bił twoją siostrę, został znaleziony martwy. Billy Giles wszędzie szuka podejrzanych.

– I używa Brecka jako węszącego psa? – Fox się zamyślił. – Odniosłem wrażenie, że ci dwaj nie przepadają za sobą.

– To mogą być pozory. Może Breck chce, żebyś tak myślał.

Fox pokiwał głową w zadumie.

– Widziałeś go ostatnio? – spytał Kaye.

– Kogo? Brecka? – Fox sięgnął do kieszeni po chusteczkę, by znowu starannie wytrzeć nos i zyskać trochę czasu do namysłu. Szczęśliwie właśnie w tym momencie drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wszedł Joe Naysmith. W jednej ręce trzymał notebook, w drugiej gazetę.

– Piszą tutaj – zaczął bez jakichkolwiek wstępów – że śledczy czynią postępy.

Artykuł na trzeciej stronie „The Scotsman” rzucał się w oczy. Nic dziwnego: Edynburg wcale nie był stolicą zbrodni, zdarzało się tu co najwyżej jedno morderstwo miesięcznie, zwykle szybko wyjaśniane. Kiedy zbrodnia była trudniejsza do wyjaśnienia, lokalne media zajmowały się nią intensywnie i długo. W gazecie zamieszczono duże zdjęcie z wizji lokalnej z nieostrą wklejką uśmiechniętej twarzy Vince'a Faulknera i mniejszą fotką Billy'ego Gilesa, który wyglądał tu równie groźnie jak w naturze.

– Oczy jak lasery – zauważył Naysmith.

– Skąd wziąłeś tę gazetę? – spytał Kaye. – Myślałem, że jesteś czytelnikiem „Guardiana”.

– Helen powiedziała, że już ma go dosyć.

– Helen?

– Ta z biura kadr... pierwsze biurko przy drzwiach...

Kaye potoczył wzrokiem po suficie.

– Coś się nam należy o tej porze, a ten mi tu o jakichś panienkach w biurze kadr. – Pogroził palcem Naysmithowi. – Pewnie teraz po-

wiesz, że pani Stephens wyczyściła ci buty, kiedy trzymałeś nogi pod jej biurkiem.

– Ona jest fajna – mruknął Naysmith, podchodząc do stolika z ekspresem. – Wszystkie...

– Trzy łyżeczki cukru! – przerwał władczo Kaye.

– On to już wie – wtrącił się Fox.

– Nigdy nie posłodzi jak trzeba.

Kaye odwrócił się w stronę Foxa.

– Co tam piszą?

– Niewiele. Zwracają uwagę na Marooned. Proszą ludzi, aby się zgłaszali, jeśli widzieli gdzieś Vince'a w czasie weekendu.

– Ludzie mają krótką pamięć – skomentował Kaye. – Co to jest Marooned?

– Taki pub na Gorgie, Vince miał tam awanturę z paroma Walijszykami.

Fox przerwał i jeszcze raz przebiegł wzrokiem cały tekst.

– Nic nie mówią o tym przystanku autobusowym... – powiedział do siebie, ale dostatecznie głośno, by Kaye to usłyszał.

– Jakim przystanku?

– Po tej historii z kibolami Vince poszedł na Dairy Road. Wygląda na to, że chciał tam złapać autobus, ale skończyło się na kolejnej pyskówce z jakimiś dziećmi.

Kaye zmrużył badawczo oczy.

– No i odjechał taksówką – dokończył Fox.

– A skąd pan to wszystko wie, inspektorze Fox?

– Mam swoje źródła, sierżancie Kaye.

– Od Brecka?

Fox nie mógł zaprzeczyć, więc milczał. Kaye znów przewrócił oczami.

– Właśnie o tym mówiliśmy. On ci pokazuje robaki na haczyku, a ty nie widzisz, że wędkę trzyma Giles!

– Ładnie powiedziane! – wykrzyknął Naysmith.

– Zamknij się, Joe – zgasił go Kaye. Oparł się dłońmi o biurko Foxa i pochylił się nad nim. – Powiesz pewnie, że to wiesz. Że potrafisz go przejrzeć.

– Oczywiście – odparł Fox, choć w rzeczywistości niczego już nie był pewien. Zagryzł koniec długopisu, który trzymał, i poczuł, jak pęka plastik oprawki.

Tuż przy markecie Asda przy Cheeser Avenue był klub fitness. Fox znał to miejsce, bo na warunkach promocyjnych zapisał się do klubu, kiedy ten powstawał. Nigdy natomiast nie był w sąsiednim supermarkecie i zdumiały go jego rozmiary. Wziął ręczny koszyk i wrzucił do niego trochę towaru, potem podszedł do kasy. Kobieta stojąca przed nim w kolejce pokazała mu inną kasę, przy której nie będzie musiał długo czekać. Właśnie wypakowywała na taśmę obfitą zawartość swojego wózka, podczas gdy jej synek ssał sumiennie lizaka. Siedział w wózku, a wystającymi stamtąd nogami próbował dosięgnąć koszyka Foxa.

– Nie spieszę się – rzekł Fox do kobiety. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem, po czym znowu zaczęła wyładować towary na taśmę. Zakończywszy transakcję, zapłaciła nie kartą, ale plikiem banknotów wyjętych z portmonetki. Kasjerka przeliczyła pieniądze i dała klientce paragon, który długością przypominał raczej wydruk z telegrafu. Potem rzuciła Foxowi urzędowy uśmiech i mechanicznie spytała: „Jak się pan miewa?”.

– Nie najgorzej, Sandro – odpowiedział.

Sandra Hendry przeskanowała jego zakupy i dopiero wtedy spojrzała na jego twarz.

– Ach, to pan – stwierdziła. – Dzisiaj kolacja po hindusku?

Rzucił okiem na towary, które kupił: długi ryż basmati, sos Madras.

– Tak – zgodził się.

– Jak tam Jude? – Nikt nie stał za nim, więc Sandra, żeby wyglądało, że coś robi, sięgnęła za kasę, wzięła leżącą tam ściereczkę i zaczęła wycierać taśmę.

– W porządku – odparł Fox.

– Zajrzę do niej później.

– Będzie jej miło – powiedział i zamilkł na chwilę. – Mówiła pani, że czasem chodziliście do Olivera? Była tam pani z mężem w ostatnią sobotę?

– W sobotę? – Zastanawiała się przez moment. – W sobotę spotkałam się z siostrą. Całą paczką wybraliśmy się wieczorem do miasta.

– Ale nie do Olivera?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– To dla Maggie za daleko od centrum. Woli okolice George Street.

– Pani mąż też był z wami?

– Ronnie? Na damskim wieczorze? – Parsknęła. – Chyba pan żartuje?

– Czyli został w domu?

Przestała wycierać taśmę i spojrzała na niego poważnie.

– O co chodzi?

Fox miał przygotowaną odpowiedź.

– Nie wykluczamy, że Vince wybrał się w sobotę do Olivera. Jeśli jeszcze żył.

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę, najwyraźniej wydało jej się to przekonujące.

– Czy on miał jeszcze jakichś innych znajomych odwiedzających to kasyno? – spytał Fox.

– Nie mam pojęcia.

Z tonu jej głosu wywnioskował, że ją traci: za dużo pytań. Przestał być dla niej bratem Jude, stał się gliną.

– A kiedy tam bywaliście, nie zdarzyło mu się spotkać kogoś znajomego?

Wzruszyła ramionami i odwróciła się z uśmiechem do kolejnego klienta, który właśnie zaczął wyjmować swoje towary z wózka. Był to jakiś niechlujnie ubrany i nieogolony mężczyzna z przekrwionymi oczami. Kupił tyle alkoholu, że starczyłoby na sylwestra i Nowy Rok razem wzięte. Sandra spojrzała na Foxa i zmarszczyła nos. Mogło to znaczyć tylko jedno: to jej typowy klient, choć na pewno nie ulubiony.

– Ronnie jest teraz w pracy? – spytał pospiesznie.

– Jeżeli znowu go nie zwolnili... Dzisiaj nikt nie jest bezpieczny.

Fox przytaknął i wziął swoje zakupy.

– Dziękuję za wszystko – powiedział na pożegnanie.

• • •

Kiedy Fox dojeżdżał do parkingu przed Asdą, trzydzieści metrów za nim jechał czarny vauxhall astra. Teraz, wyjeżdżając z parkingu, dostrzegł w lusterku wstecznym ten sam samochód. Był za daleko, by odczytać tablicę rejestracyjną. Aż do wyjazdu na główną drogę Fox włókł się kilkanaście kilometrów na godzinę, ale astra ani trochę się nie zbliżyła. Zadzwonił telefon, więc sięgnął po aparat.

– Gdzie jesteś? – spytał Kaye.

– W korku.

– Chcesz usłyszeć nowinę?

– Dobrą czy złą?

– Vince Faulkner rzeczywiście odjechał taksówką. Kierowca pa-

mięta, że przerwał jakąś rozrobę, a jego samochód ma po tym dziury.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– Nie tylko ty masz swoje źródła, zresztą w Edynburgu niewiele jest stowarzyszeń taksówkarzy. Chłopcy Gilesa wpadli na to godzinę przede mną.

– Ten taksiarz pamięta, gdzie zawiózł Vince'a?

– Do kasyna przy Dworcu Morskim. Kierowca wysiadł tam na chwilę, żeby obejrzeć szkody.

– Widział, jak Vince wchodzi do Olivera?

– Gadasz, jakbyś już wszystko wiedział...

– Z grubsza biorąc, wiem, ale potwierdzenia bardzo się przydadzą.

Fox pożegnał się i zakończył rozmowę; uśmiechnął się do siebie z satysfakcją. Nie bardzo wiedział, skąd przyszło mu do głowy przypuszczenie, że Vince mógłby pojechać do Olivera, ale okazało się ono trafne. Nie należał do ludzi polegających na biologicznym instynkcie; zawsze, na każdym kroku, opierał się na empirycznych dowodach. Często myślał nawet, że to właśnie jest przyczyną niemal znakomitych wyników pracy wydziału. Ale tu okazało się, że instynkt też się liczy.

Kiedy dojeżdżał do centrum, stracił astrę z pola widzenia. Może gdzieś skręciła. Przejazd w okolicach Haymarket był jak zwykle okropny. Plakaty na dwustronnej tablicy przed kioskiem z gazetami reklamowały artykuł wstępny z „Evening News”, na temat sporu między radą miasta i niemiecką firmą budującą sieć tramwajową. Niemcy chcieli więcej pieniędzy w związku z osłabieniem funta.

– Z najlepszymi brytyjskimi życzeniami – mruknął Fox, czekając, aż na kolejnym odcinku ruchu wahadłowego zapali się dla niego zielone światło. Pomyślał, że mógłby wybrać inną drogę – przez południową część miasta. Ale i tam były wąskie gardła. Naprawdę wyglądało na to, że wszyscy rządzący tym miastem ciężko pracują nad tym, by zatrzymać wszelki ruch. Aby zająć się czymś choć trochę bardziej pożytecznym, sięgnął po leżącą na siedzeniu pasażera komórkę i wystukał numer Jamiego Brecka. Czekając na odpowiedź, spojrzął mimochodem w lusterko. Znajomo wyglądająca czarna astra znów była trzy samochody za nim.

– Halo?

– Jamie? Tu Malcolm Fox.

– Witaj, Malcolm. Jeszcze raz dziękuję, że zgodziłeś się być wczoraj moim szoferem.

– Nie ma sprawy. Chciałem tylko zapytać, czy jest coś nowego.
– Taksówkarz pamięta Vince'a Faulknera. Zostawił go przed Oliverem.
– A więc porozmawiasz z obsługą?
– Ktoś z zespołu porozmawia. Ja na razie jestem zajęty czymś innym.

– Nie przeszkadzam ci?

– Nie, ale nie mogę długo rozmawiać. Masz coś jeszcze?

Fox uświadomił sobie, że raczej nie: w istocie chciał się tylko przekonać, czy Breck wtajemniczy go w sprawę taksówki, i Breck przeszedł pomyślnie ten test. Zresztą na jezdni zrobiło się luźniej i teraz był blisko celu podróży. Astra chyba na dobre już gdzieś odjechała, za to zaczął go intrygować zielony ford ka. Niewątpliwie jechał już jakiś czas za nim, ale od jak dawna?

– Nie, nic poza tym – odpowiedział z opóźnieniem na ostatnie pytanie Brecka. Zakończył rozmowę, na pierwszych światłach skręcił w prawo i zatrzymał się przy krawężniku. W lusterku zauważył zielonego forda: nie skręcił za nim, przejechał przez skrzyżowanie na wprost. Chyba wpadasz w paranoję, Malcolm, mruknął do siebie.

Drogę do Salamander Point wskazywały potencjalnym nabywcom liczne billboardy. Na razie było tu tylko parę ukończonych bloków i tylko w nielicznych oknach widać było żaluzje, a na niektórych balkonach rośliny w donicach. Ale teren przeznaczony pod budowę był rozległy i położono już fundamenty pod cztery następne wysokościowce. Długie banery na płocie zapowiadały rychłe powstanie w tym miejscu „miasta w mieście nad morzem”. Dużymi literami wyróżniono modne w reklamie słowa, takie jak KOMFORT, JAKOŚĆ, PRZESTRZEŃ; dryfowały one niczym białe chmurki po lazurowym niebie, pod którym artysta namalował uśmiechniętych ludzi przechadzających się przed kawiarnią, gdzie inni ludzie delektowali się dymiącymi napojami. To miał być ich STYL ŻYCIA – na razie jednak rzeczywistość była trochę inna. Krajobraz Salamander Point przypominał Foxowi raczej pole bitwy z pierwszej wojny światowej: błoto i okopy, hałas i dym z silników. Na skraju tego pola znalazło się obozowisko robotników: dziesięć lub dwanaście kontenerów mieszkalnych ustawionych piętrowo; dostęp do górnego poziomu zapewniały rusztowania i drabiny. Mężczyźni w odbłaskowych kamizelkach i żółtych kaskach studiowali wielkie płachty planów, wodząc po nich palcami. Koparki zgodnie ze swą nazwą kopały, dźwigi wolno opuszczały na właściwe miejsce beto-

nowe płyty i rury instalacji. Jedyny gotowy już chodnik prowadził do drzwi tymczasowego biura sprzedaży. Przez okno Fox zauważył młodą kobietę siedzącą przy biurku. Nie miała klientów, a telefon najwyraźniej nie dzwonił. Jej szkliste, znudzone spojrzenie wskazywało, że jest to dla niej sytuacja codzienna.

Nikt niczego nie kupował.

Za chwilę Fox ruszy chodnikiem w stronę kontenera, ona go zauważy i na moment jej wzrok się rozjaśni, by znowu przygasnąć, kiedy on się przedstawi i zapyta o brygadzystę. Zamknął samochód. Jakaś ciężarówka przetoczyła się obok, wzniesając tuman kurzu. Fox odruchowo osłonił dłońmi oczy i usta. Kiedy kurz opadł, wszedł na chodnik. W tym momencie zadzwonił telefon.

– Fox – rzucił krótko.

– Nie chciałbyś mi czegoś powiedzieć, Malcolm? – To był głos Brecka.

– A o co chodzi, Jamie?

– Spójrz w lewo, w stronę tych pakamer.

Z telefonem przy uchu Fox odwrócił głowę, dobrze już wiedząc, co zobaczy. Na rusztowaniu stał Breck. Miał na głowie kask, podobnie jak stojący przy nim mężczyzna. Breck pomachał ręką.

– Podejdź tutaj...

Zanim ruszył, dostrzegł, że dziewczyna z biura sprzedaży patrzy na niego. Wstała nawet zza biurka gotowa go przywitać. Zdobył się na wzruszenie ramionami i przepaszający uśmiech i zapuścił się na nierówny, zdradliwy teren. Kiedy wspiął się po drabinie, Breck przedstawił mu swojego rozmówcę.

– To jest pan Howard Bailey, a to – szerokim gestem pokazał teren budowy – jego teatr.

Potem zwrócił się do Baileya:

– Pozwoli pan, że chwilę porozmawiam z kolegą?

– Przyniosę mu tymczasem kask.

– Nie zostanie tu długo.

Bailey skinął ze zrozumieniem i poszedł w stronę drzwi na drugim końcu podestu. Breck wsunął dłonie do kieszeni i popatrzył na Foxa.

– Miałeś dość czasu, by wymyślić jakieś wiarygodne wyjaśnienie? – spytał.

– Dobrze wiesz, po co tu jestem. Z tego samego powodu co ty.

– Niezupełnie, Malcolm. Ja jestem tutaj jako członek zespołu prowadzącego śledztwo. A ty się niepotrzebnie wtrącasz.

– Miałem tylko ochotę na małą rozmówkę z Ronniem, kumplem

Vince'a.

– Dokładniej: z Ronniem Hendrym, brygadzystą Vince'a. Skądinał pan Bailey już mi powiedział, że oni się przyjaźnili także poza pracą.

– Będziesz z nim rozmawiał?

Breck skinął głową.

– I zadam mu pewnie te same pytania, które ty byś zadał. – Westchnął i spojrzął na swoje zabłocone buty. – A gdyby tu zamiast mnie był Billy Giles? Miałby gotowy raport na ciebie. I to taki, myślę, którym twój szef nie byłby zachwycony.

– Moja siostra straciła faceta. Przyszedłem więc pogadać z jego przyjacielem. Na przykład omówić przygotowania do pogrzebu... poprosić Ronniego, żeby pomógł nieść trumnę.

– Naprawdę myślisz, że Giles dałby się na to nabrać?

Fox wzruszył ramionami.

– Naprawdę to ten Giles mało mnie obchodzi.

– Powinien cię obchodzić, dobrze wiesz.

Fox odwrócił się i oparł dłonie na słupie rusztowania. Spostrzegł, że magazyny po drugiej stronie ulicy też czekają na przebudowę. Ich okna były zabite deskami, a na omszałym dachu w najlepsze rosło sobie małe drzewko. Ulicą przejechał samochód – czarna astra.

– Nie śledziłeś mnie przypadkiem? – spytał Brecka.

– Nie.

– A mógł to robić Billy Giles bez twojej wiedzy?

– Chyba nie mamy dość ludzi do takiej roboty. A zresztą po co on miałby cię śledzić?

– Czarny vauxhall astra? Zielony ford ka?

Breck pokręcił głową.

– Chociaż... jest coś dziwnego...

– Co?

– Gdy wracałem do domu wczoraj wieczorem, stał tam jakiś spory van. A kiedy się położyłem, to słyszałem, że odjeżdża.

– No i co z tego? – Fox nadal udawał, że rozgląda się po okolicy, ale jego dłonie nerwowo zacisnęły się na słupie.

Breck zdjął kask i przeganiał ręką włosy.

– Wszyscy robimy się nerwowi – powiedział.

Pod rusztowaniem w ich polu widzenia pojawił się jakiś człowiek. Był w ubraniu roboczym: poplamione drelichowe spodnie, których nogawki wetknął pod szare wełniane skarpetki; te z kolei kryły się w wysokich, podkutych butach. Kask miał zsunięty na tył głowy, a pod

odblaskową kamizelką nosił dżinsową kurtkę, podobną do tej, którą poprzedniego wieczoru miał na sobie Breck. Fox wiedział, że to Ronnie Hendry. Jeszcze raz zwrócił się do Brecka.

– Pozwól mi tu zostać.

Breck popatrzył na niego. Hendry dotarł już do drabiny i zaczął się wspinać.

– Proszę – powtórzył Fox.

– Tylko nic nie mów – ostrzegł Breck. – Ani jednego słowa. Spotkałeś go już kiedyś?

Fox pokręcił przecząco głową.

– Ale sam powiedziałeś – ciągnął Breck – że spotkasz się z nim na pogrzebie, a może i wcześniej. Wtedy zorientuje się, że już cię gdzieś widział... – Podrapał się po nosie, najwyraźniej wciąż miał wątpliwości. Kiedy jednak głowa Hendry'ego wyłoniła się z otworu w podeście, rzucił w stronę Foxa tylko jedno słowo, to właśnie, które Fox chciał usłyszeć: – Okay.

Fox odsunął się na bok, gdy Breck witał się z Ronniem Hendrym. Hendry ściągnął przedtem skórzane rękawice robocze i wetknął je do kieszeni.

– Pan Bailey pozwolił, aby przy tej rozmowie był mój kolega z policji – wyjaśnił Breck, otwierając najbliższe drzwi.

Zaprosił obu do środka, nie dając Hendry'emu czasu na przyjrzenie się twarzy Foxa. Weszli do typowo roboczego, ascetycznie wyposażonego pomieszczenia: był tam tylko duży stół, na którym leżał papierowy plan przyciśnięty na rogach kawałkami cegieł, trzy składane krzesła, przenośny grzejnik elektryczny i nic ponadto. Hendry zbliżył dłonie do grzejnika, potem roztarł je energicznie, by się rozgrzać.

– Trudno o robotę przy tej pogodzie? – zaczął przyjaźnie Breck.

Hendry przytaknął i zdjął z głowy kask. Z tyłu kasku dużymi literami było wypisane jego imię; podobnie, o ile Fox mógł to dostrzec, były oznaczone rękawice. Krótko przystrzyżone włosy Hendry'ego siewały na skroniach. W ocenie Foxa zbliżał się do czterdziestki. W przeciwieństwie do Vince'a Faulknera był niski i krępy. Nad pobrużdżoną i dziobatą twarzą dominowały gęste czarne brwi. Siedział teraz przy stole naprzeciw Brecka; Fox wołał stanąć w kącie i jak najmniej zwracać na siebie uwagę.

– Chciałem zapytać o Vince'a Faulknera – powiedział Breck.

– Paskudna sprawa. – Głos Hendry'ego był szorstki i nieprzyjemny.

– Byliście przyjaciółmi.

- Zgadza się.
- Nie widział go pan w ostatnią sobotę?
Hendry pokręcił głową.
- Ale po południu dostałem od niego SMS-a.
- Tak?!
- Tylko jakieś uwagi w przerwie meczu.
- Nie rozmawiał pan z nim wtedy?
- Nie.
- A potem miał pan od niego jakieś wiadomości?
- Nie. Pierwszą rzeczą, jaką potem o nim usłyszałem, była wiadomość o jego śmierci.
- To musiał być dla pana szok?
- A jak, taki kumpel!
- Pracowaliście też razem.
- Czasami. To zależało od firmy. Vince był solidnym robotnikiem, więc go popierałem.
- Miał jakąś specjalność?
- Układał cegły, mieszał cement... Był wyszkolonym układaczem, ale mógł robić również inne rzeczy.
- Był Anglikiem – zmienił temat Breck. – Nie było z tym żadnych problemów?
- Jakich?
- Chłopaki nie traktowali go ostro?
- Gdyby spróbowali, dałby im wycisk.
- Czyli sam był ostry?
- Powiedziałem tylko, że umiał się bronić.
- Słyszał pan kiedyś, że bił swoją dziewczynę?
- Jude? – Hendry zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział. – Sandra mówi, że ona ma złamaną rękę.
- Nie dziwi to pana?
- Oboje mieli charakterek. Często to właśnie Jude zaczynała. Warczała na niego, aż w końcu się wkurzał.
- Znam takie kobiety. – Breck pokiwał głową ze zrozumieniem. – Potrafią robić wiele hałasu o nic...
Fox poruszył się nerwowo i przygryzł dolną wargę, ale natychmiast się zreflektował: przecież on to robi zawodowo, podpuszcza tego człowieka, żeby się otworzył...
- Czyli możliwe jest, że w sobotę wieczorem wdał się w jakąś bójkę?
- Tak przypuszczam.

– A w poniedziałek rano, kiedy nie przyszedł do pracy, co pan pomyślał?

– Miałem strasznie dużo roboty, nie bardzo mogłem myśleć o innych sprawach. Chciałem do niego zadzwonić, ale czy zadzwoniłem?... Nie, chyba tylko wysłałem SMS-a.

– Tak – potwierdził Breck – znaleźliśmy ten tekst w jego komórce. Ale nikt go przedtem nie czytał. Przejrzeliśmy wszystkie zapisane wiadomości. Było tam kilka od pana i do pana.

– No i?

– Są tam wzmianki o jakimś Oliverze...

– To kasyno. Blisko, tu obok. Czasem wpadaliśmy tam z żonami.

– Lubił grać?

– Nie lubił przegrywać – odparł Henry z bladym uśmiechem.

– Wydaje nam się, że pojechał tam w sobotę wieczorem. Czy to do niego podobne, samotna wizyta w kasynie?

– Po awanturze z Jude... jeśli jeszcze wypię... tak, to możliwe.

– A pan, panie Hendry, co pan robił w sobotę wieczorem?

Hendry nadął policzki, potem wydał głośnie „puff”.

– Długo spałem rano, jak zawsze... potem zakupy w Gyle z Sandrą, też jak zwykle... trochę wiadomości z ligi, a wieczorem mecz na Sky TV. Konkretnie na Indian Sky.

Znów przerwał, jakby coś sobie przypomniał.

– Zaraz, rzeczywiście... Sandra wyszła na jakiś wieczór z siostrą i paroma koleżankami. A ja zżarłem curry za siebie i za nią i zasnąłem przed telewizorem.

– A w niedzielę?

– Podobnie.

– Czyli nie miał pan jakichś nadgodzin w czasie weekendu?

– W pierwszym etapie tej budowy to się zdarzało, ale nie ma nabywców, więc w drugim etapie nikt się nie spieszy. Jeszcze tydzień, dwa i cały ten interes stanie.

– Niezbyt to miłe dla ludzi, którzy już tu mieszkają.

– Fakt, gdyby chcieli to sprzedać, dostaną dwie trzecie albo i połowę tego, co zapłacili.

– A więc teraz można się targować?

– Jeśli jest pan zainteresowany, niech pan idzie do Heleny do biura sprzedaży. Pewnie z radości odstawi taniec erotyczny.

– Rozważę to. – Breck zdobył się na uśmiech.

– Powiem panu, co tak naprawdę martwi szefów – ciągnął Hendry. – Że nie wiedzą, jak z tego wybrnąć. Miasto wzięło za grunt

prawie sześć milionów. Dobrze, jeśli zwróci się jedna trzecia.

Breck westchnął ze współczuciem.

– No, jest jeden sposób na załatwienie tej sprawy. Chłopcy mówią, że budujemy ten wysokościowiec tylko po to, żeby deweloper mógł wejść na górę i skoczyć.

– Jak się ten deweloper nazywa? – spytał Breck

– Charlie Brogan. Chcecie przyspieszyć jego samobójstwo?

– A myśli pan, że powinniśmy?

Hendry roześmiał się głośno.

– Poczekajcie, aż nam zapłaci.

Breck obdarzył go jeszcze jednym uśmiechem i zdecydował się zmienić temat.

– Wiedział pan, że Vince Faulkner był notowany za przestępstwa?

– Jak wielu chłopców z tej budowy.

– A więc wiedział pan?

– Nigdy nie robił z tego tajemnicy, zresztą napisał to w podaniu o pracę.

– Ale jego dziewczyna chyba o tym nie wiedziała?

– Jude? – Hendry wzruszył ramionami. – Nie wiem, to była tylko ich sprawa.

– A on nigdy nie prosił pana, żeby przy niej o tym nie mówić?

– Co za różnica, czy prosił, czy nie. To jakieś strasznie stare historie.

Teraz z kolei Breck wzruszył ramionami.

– No dobrze, powiedzmy, że doszło do przepychanki z tą dziewczyną. Ona ma złamaną rękę i idzie na pogotowie. Vince nie chce z nią iść, za to gdzieś się wypuszcza. Trafia do Olivera i przegrywa trochę forsy... Co robi potem, jak pan myśli, panie Hendry?

– Nie mam pojęcia.

Hendry wciąż siedział z założonymi rękami. Najwyraźniej przyjął pozycję obronną. Fox doszedł do wniosku, że przyda się jego interwencja.

– Ta dziewczyna mówi, że czasem znikał z domu na całą noc, podobno nocował u przyjaciół...

– No... tak, zdarzyło się to parę razy.

– Zatem mogło się zdarzyć i tej nocy? – spytał Breck.

– Ale nie u mnie.

– To gdzie?

– Wy mi powiedzcie. Podobno umiecie myśleć.

• • •

Samochód Jamiego Brecka stał na placu budowy tuż obok paka-
mer. Była to czerwona mazda RX8, bardzo niska, o zdecydowanie
sportowym wyglądzie. Breck oparł łokcie na jej dachu, kiedy
obserwował wracającego do swoich zajęć Hendry'ego.

– Nie zapomniałem go o coś zapytać?

Fox pokręcił głową.

– Nie sędzę.

– Co o nim myślisz?

– Chyba rozumiem, dlaczego Faulkner go lubił. To człowiek,
który pomoże ci w walce, ale jednocześnie jest dostatecznie mądry,
żeby do tej walki w ogóle nie dopuścić.

– Nie wyglądał na szczególnie zmartwionego, nie sądzisz?

– To chyba typowo szkockie.

– Zdusić w sobie, zapamiętać – odgadł Breck intencje Foxa. Po-
tem zgodził się skinieniem głowy.

– Przepraszam, że się wtrąciłem.

– W porządku, to był właściwy moment. Nie wiedziałem, że
Faulkner miał przegody na boku.

– Jude nigdy nie wspominała o innych kobietach – zauważył Fox.

– A przy okazji, zrobiliście coś w sprawie tego tajemniczego gościa
przed domem Jude?

– Jest już zapis w protokole.

– I co dalej? – spytał Fox. – Oliver?

Breck popatrzył na niego uważnie.

– I pewnie chcesz się tam ze mną ścigać?

– Mogę. Kto przegra, ten jest ostatnim łachudrą.

Ale zanim wsiadł do swojego volva i zawrócił na trzy tempa,
Breck był już o sto metrów z przodu. Kiedy wjeżdżał na parking przy
kasynie, Breck stał przy drzwiach budynku z taką miną, jakby był tu
od trzech godzin.

– Cześć, łachudro – powitał Foxa. – Nie śledziła cię jakaś podej-
rzana astra?

– Nie – stwierdził krótko Fox i otworzył drzwi, przepuszczając
Brecka przed sobą.

Choć kasyno było już otwarte, żadnych gości jeszcze nie było. Nie
było też nikogo w szatni, a jedyna krupierka stała przy stole
blackjacka, uprawiając się w swojej sztuce naprzeciw trzech pustych
krzesel. Dwie drobne, wyglądające na cudzoziemki kobiety w fartu-

chach bez rękawów polerowały mosiężne okucia i poręcze. Barman z parteru robił chyba remanent; na kartce przypiętej do podręcznej tabliczki odfajkowywał kolejne artykuły.

Z antresoli dobiegał odgłos odkurzacza.

– Jest szef? – zwrócił się Breck do krupierki. Dziewczyna miała blond włosy spięte w koński ogon, a ubrana była przepisowo: czarna kamizelka, a pod nią biała bluzka z niebieską muszką.

– Proszę porozmawiać z Simonem – wskazała ręką barmana.

– Dziękuję – odparł Breck.

Ruszył w stronę baru, wyciągając z kieszeni legitymację.

– Chcemy zamienić parę słów, Simon.

– O! Tak? – Barman nie podniósł wzroku znad swojej roboty, ale Fox był pewien, że zauważył legitymację i rozpoznał ją.

– Pan tu zarządza? – spytał Breck.

– Szef powinien być za jakiś kwadrans.

– Zechciałby pan łaskawie spojrzeć na mnie, kiedy pan mówi? –

Breck użył gładkich słów, ale jego głos brzmiał twardo.

Simon spełnił jego życzenie dopiero po dłuższej chwili.

– Dziękuję – powiedział Breck. – Rozumiem, że mogę już scharżować legitymację. Jest pan pewnie zadowolony, że rozmawia pan z detektywem, a nie z jakimś lokalnym głupkiem.

Barman skwitował to wymuszonym uśmiechem, ale nie odwracał już wzroku od Brecka. Fox zauważył, że jego kolega świadomie przybrał bardziej szorstki i gardłowy ton głosu.

– Jeśli chodzi o licencję czy podobne rzeczy – odezwał się Simon – to musi pan pogadać z szefem.

– Ale szefa nie ma, więc to pan mi odpowie na parę pytań.

Breck ponownie wyjął legitymację, ale razem z jakąś fotografią, którą trzymał w tej samej kieszeni. Było to zdjęcie Vince'a Faulknera. Fox przypomniał sobie, że widział je wcześniej w domu Jude.

– Ten facet jest tu stałym gościem – powiedział Breck – więc pewnie go pan zna.

Barman spojrzał na fotografię i wzruszył ramionami.

– W gruncie rzeczy – ciągnął Breck – chciałem powiedzieć, że on był tu stałym klientem. Nieszczęsny gnojek dał się zabić w czasie weekendu po wizycie w tym miejscu.

– Którego dnia?

– W sobotę.

Barman przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Breck postanowił go wyręczyć.

– Zastanawia się pan, co się bardziej opłaci, tak? Powiedzieć prawdę czy skłamać? A to z pewnością oznacza jedno: był pan tutaj w sobotę wieczorem.

– Było dużo ludzi – przyznał barman z jeszcze jednym wzruszeniem ramion.

– Ale on też był. – Breck zamachał fotografią. – I to w nietypowej sytuacji, bo ilekroć widział go pan tutaj przedtem, zawsze był w większym towarzystwie.

– No to co?

Fox ostentacyjnie popatrzył w narożniki pod sufitem.

– Będą nam potrzebne nagrania – powiedział – z kamer waszej ochrony...

Breck nieznacznie się skrzywił; był już na fali, a Fox mu przerwał. Mimo to stwierdził stanowczo:

– Mój kolega ma rację.

– Zwróćcie się do szefa.

– Zrobimy to – zapewnił Breck. – Ale najpierw: pamięta pan Vince'a Faulknera?

– Nie znam tego nazwiska.

– Zna pan. Wie pan z gazet, że nie żyje.

– Może tak – przyznał Simon z wyraźną niechęcią. Położył palec wskazujący na tabliczce, jakby w nadziei, że zrozumieją aluzję i zostawią go w spokoju. Akurat, pomyślał Fox.

– Widział go pan tutaj w sobotę wieczorem?

– Nie pamiętam.

– Przyszedł około dziesiątej.

– O tej porze tutaj kipi.

– Ale pan Faulkner miał swoje ulubione miejsce, założyłbym się, że na jednym z tych stołków. – Breck klepnął dłonią w obicie sąsiedniego stołka.

– Jest jeszcze jeden bar, na górze.

– A jednak... – Breck postanowił grać na zmęczenie.

– Był mocno podcięty, gdy tu przyszedł – przyznał w końcu Simon. – Portierzy nie powinni go byli w ogóle wpuszczać.

– Narobił jakichś kłopotów?

– Nie. Ale wyglądał na ciężko przegranego.

– A to psuje atmosferę – próbował się domyślić Breck.

– Po prostu siedział ponury, tam, przy końcu baru.

– Ile wypił?

– Nie mam pojęcia.

– A co pił?
– Jakąś szybką wódkę... tylko tyle pamiętam. Tamtej nocy pracowaliśmy tu w trójkę.
– Spotkał się z kimś? Z kimś rozmawiał?
– Nie wiem. – Jego palce przebiegały teraz nerwowo po tabliczce, wydając odgłos podobny do tętentu koni w pełnym galopie.
– Widział pan, jak wychodził?
Simon pokręcił przecząco głową.
– A co w niedzielę i poniedziałek?
– Nie wiem, nie było mnie tu.
Breck spojrział na zegarek.
– Pański szef się spóźnia.
– Tak to bywa z szefami.
Breck uśmiechnął się i po raz pierwszy odwrócił głowę w stronę Foxa.

– Simon lubi uchodzić za sprytnego.
Ale kiedy znowu spojrział na barmana, na jego twarzy nie było już ani śladu dobrego humoru.
– No to wysił swój spryt, Simon, i przypomnij sobie, co jeszcze mógłbyś nam powiedzieć na temat tego sobotniego wieczoru i w ogóle na temat Vince'a Faulknera.

Schowwał zdjęcie i wyciągnął wizytówkę.
– Weź – powiedział. Barman usłuchał. – Ile ty masz lat, Simon?
– Dwadzieścia trzy.
– Dawno jesteś w tej branży?
– Zacząłem pracę przy barze, kiedy byłem na uniwerku.
– Co studiowałeś?
– Niczego nie studiowałem długo. W tym problem.
Breck skinął głową ze zrozumieniem.
– Były tu kiedyś jakieś kłopoty?
– Nie.
– A przed lokalem nigdy goście nie rozrabiali? Jacyś przegrani?
– Zanim zamknę bar, sprzątnę wszystko i policzę kasę, gości już dawno nie ma.
– Dyrekcja zapewnia ci taksówkę do domu? – Breck z uwagą czekał na odpowiedź.

Barman pokiwał twierdząco głową.
– No, to już coś – powiedział Breck, zbierając się do wyjścia. – Notuj wszystko, co sobie przypomnisz, i dzwoń do mnie. Daj też mój numer szefowi. Jeżeli nie oddzwonicie przed zamknięciem lokalu, to

jeszcze dzisiaj będzie tu parę radiowozów i dużo mundurowych. Zrozumiałeś?

Simon wbił wzrok w wizytówkę.

– Tak, panie Breck – powiedział cicho.

Wyjście z głębokiego mroku kasyna, do którego nie docierało światło dzienne, pod zachmurzone, ale mimo to pełne blasku niebo Edynburga nie było przyjemnym przeżyciem. Jamie Breck natychmiast nałożył ciemne okulary. Zachował się podobnie jak po spotkaniu z Ronniem Hendrym: stanął przy swojej mazdzie i oparł łokcie na dachu. Fox ścisnął palcami czubek nosa i zmrzył oczy, chroniąc je przed światłem. To było dobre przedstawienie, a Breck wypadł całkiem naturalnie: właściwa dobremu policjantowi mieszanka władczości i empatii. Jakiegokolwiek przegięcie w jedną lub drugą stronę, a barman zacząłby się spoufalać albo – przeciwnie – całkiem by się zamknął...

Lubię cię, pomyślał Fox. Nawet jeśli coś tam knujesz za moimi plecami. Nawet jeśli nie jesteś taki, na jakiego wyglądasz...

– Świetnie wszedłeś w rolę – skomplementował Brecka. – Podołała mi się zwłaszcza ta zmiana głosu.

– Nauczyłem się tego w grach fabularnych. Trzeba się wcielać w awatary, w kogoś innego, niż jesteś naprawdę.

– Dobry trening do pracy detektywa – powiedział Fox. I do czegoś innego też, pomyślał. – Co teraz?

– Nic szczególnego. Wracam do bazy, spisuję to, co usłyszałem. Mogę pominąć parę kłopotliwych szczegółów – Breck spojrzał wymownie na Foxa.

– Przepraszam, że znowu się wciąłem – przyznał Fox. – Nie dotrzymałem słowa...

– I tak bym wspomniał o tych kamerach, Malcolm, we właściwym czasie.

– Wiem.

Obaj odwrócili głowy, słysząc specyficzny odgłos silnika zbliżającego się samochodu. To był Bentley GT w wersji nazywanej potocznie „baby”. Lśniaca czarna karoseria i mocno przyciemnione szyby. Samochód stanął, otworzyły się drzwiczki kierowcy. Fox dostrzegł skórzaną tapicerkę w kolorze burgunda. Kobieta, która wysiadła z auta, miała buty na szpilkach, czarne rajstopy i czarną, przylegającą do ciała spódnicę sięgającą kolan. W wycięciu białej jedwabnej bluzki można było dostrzec drogi naszyjnik. Do tego kremowej żakiet z lekko podwyższonymi ramionami. Jej kasztanowe

włosy były gęste i faliste; musiała odgarnąć je z twarzy, kiedy uderzył w nią nagły podmuch wiatru. Usta miała umalowane jaskrawoczerwoną szminką, a kiedy zdjęła wielkie okulary słoneczne, mogli zauważyć ciemny cień na powiekach i tusz na rzęsach. Przyjrzała się im badawczo i szybko ruszyła w stronę drzwi kasyna.

– Simon wszystko pani powie! – krzyknął Breck w jej stronę. Zignorowała go i weszła do środka. Fox odwrócił się do Brecka.

– Nie powinniśmy z nią porozmawiać?

– Przecież ma do mnie zadzwonić.

– Ona jest z dykcji, tak?

– Potem o tym pogadamy.

– Nie masz ochoty sprawdzić, kim ona jest?

Breck się uśmiechnął.

– Ja wiem, kim ona jest, Malcolm.

Wskazał ręką na szyld nad drzwiami kasyna. Była przy nim tablica informująca, że lokal ma licencję na sprzedaż alkoholu wystawioną na nazwisko J. Broughton.

– A kto to jest J. Broughton? – spytał Fox.

Breck otworzył drzwiczki mazdy i wsiadł.

– Zajmij się raczej tropieniem policjantów, Malcolm. I zostaw nam prawdziwą robotę...

10

– Mówi ci to coś?

Fox wrócił do biura kontrolerów i stał przy biurku Tony'ego Kaye'a.

Kaye parę razy wymamrotał nazwisko. Swoim zwyczajem odchylił się razem z krzesłem, a potem zaczął się regularnie kołysać.

– Nie był to ten znany łajdak? – powiedział w końcu. – Mam na myśli wybitnego lokalnego biznesmena, którego skomplikowanych powiązań ze szkocką policją nigdy nie udało się rozwikłać. – Kaye przerwał. – Ale... on musiałby podchodzić pod osiemdziesiątkę. Już ładnie parę lat o nim nie słyszałem.

– Chyba będzie gdzieś w systemie. – Fox wskazał wzrokiem komputer Kaye'a.

– Mogę sprawdzić, tylko powiedz mi po co?

– W sobotę wieczorem Vince był w kasynie Oliver. Licencja jest wystawiona na nazwisko J. Broughton.

– Jack Broughton – uzupełnił Kaye i popatrzył poważnie na kolegę. – Ale przecież Vince to nie twój rewir, Lisku. Czy nie powinieś raczej popracować z kolegami z urzędu skarbowego nad Glenem Heatonem? Albo pisać raport o Brecku dla Chop Shop?

– No to zajmij się tym, dobrze?

Fox odwrócił się i poszedł w stronę ekspresu do kawy. Wciąż dręczyły go słowa Brecka: *zostaw nam prawdziwą robotę...* Wiedział, że większość tych z kryminalnego myśli podobnie; uważali, że Wydział Spraw Wewnętrznych to miejsce dla nudziarzy, nieudaczników, niesprawdzających się w roli prawdziwych detektywów. Że to w najlepszym razie „podglądacze z odznakami policyjnymi”.

Joe Naysmith otworzył właśnie nową paczkę kawy i z lubością wsadził nos do środka. No nie, Naysmith na pewno nie pasował do tego stereotypu; Tony Kaye też nie...

– Kocham ten zapach! – rzekł Naysmith.

– Powiedz mi, Joe, dlaczego wybrałeś właśnie zespół kontroli?

Naysmith podniósł na niego wzrok.

– Pół roku czekałeś, żeby mnie o to zapytać.

– No to teraz pytam.

Naysmith zastanawiał się przez chwilę.

– Pasuje mi tutaj – rzekł w końcu. – Chyba wszyscy jesteśmy tu z tego powodu.

– Pan Bóg raczy wiedzieć – mruknął Fox, szczypiąc się w nos.

Potem spytał Naysmitha, czy planuje następną noc w furgonetce.

– Konstał Gilchrist uważa, że powinniśmy.

– A ja nie – oświadczył Fox. – Na tyle, na ile czuję sprawę, tracicie tylko czas. Może więc przejdź się na drugi koniec korytarza i powiedz mu to.

– Na razie parzę kawę...

Fox wyrwał mu z ręki paczkę.

– Nie teraz. Najpierw skocz tam. – Szarpnął gwałtownie głową w kierunku drzwi, by wzmocnić polecenie.

Kiedy Naysmith wyszedł, Fox wsypał kawę do pojemnika ekspresu, zamknął go, wlał wodę, postawił szklany dzbanek na podgrzewaczu i uruchomił urządzenie.

– Ja bym wolał, żeby Joe to robił – skarcił go Kaye. Wstał z krzesła i podszedł do wspólnej drukarki, która właśnie wypluwała kolejne kartki. – Jest wiadomość, że więcej można znaleźć w DFW.

DFW, czyli Dead Files Warehouse, Magazyn Akt Martwych. Dokumentacja gromadzona we wszystkich komisariatach policji w Edynburgu i okolicy była systematycznie archiwizowana. Starsze akta dotyczące zamkniętych już spraw łądowały po odkurzeniu w wielkim magazynie w strefie przemysłowej Dumbryden. Fox musiał już parę razy odwiedzić to miejsce. Zgodnie z przepisami wszystkie te stare dokumenty od dawna powinny mieć kopie cyfrowe – tak mówiło oficjalne zarządzenie komendanta głównego – ale jak zawsze zabrakło kasy. Kiedy Kaye podał Foxowi trzy kartki formatu A4, ten najpierw zajrzał na ostatnią. Znajdowały się tam odsyłacze do Magazynu Akt Martwych, do dokumentów z 1968, 1973 i 1973 roku. Komputer odnotował też późniejsze podejrzenia konfliktu z prawem – z 1984 i 1988. Pierwsza z tych spraw dotyczyła pomocy w ucieczce z więzienia. Nigdy nie trafiła do sądu. W drugiej chodziło o posiadanie przedmiotów pochodzących z kradzieży – ten zarzut też odrzucono. Jack Broughton urodził się w 1937 roku, miał więc teraz prawie siedemdziesiąt dwa lata.

– Już ponad dwadzieścia lat nie jest notowany – zauważył Fox. –

A jest w tym samym wieku co mój tata.

Kaye czytał raport z za pleców Foxa.

– Pamiętam, że kiedy dopiero byłem na stażu, któryś ze starszych gliniarzy mówił mi o nim. Wtedy ten gość był sławny.

– W kasynie była jakaś kobieta około trzydziestki. Myślę, że gra tam pierwsze skrzypce.

– Byłeś tam? – zdziwił się Kaye.

Fox spojrzał na niego wilkiem.

– Żadnych pytań!

Zaczął czytać następną stronę. Jack Broughton miał córkę i dwóch synów, ale ci już dawno nie żyli; jeden zginął w wypadku samochodowym, drugi w niefortunnej dla niego bójce w jakimś barze.

– Może to ta córka?...

– Powinni to wiedzieć w urzędzie wystawiającym licencje – zasugerował Kaye. – Chcesz, żebym się do nich wybrał?

– A znasz tam kogoś?

– Może i znam. – Kaye odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę swojego biurka. – Przyniesiesz mi kawę, kiedy się zaparzy?

– Trzy łyżeczki cukru? – spytał Fox z rozbawieniem.

– Czubate – potwierdził Kaye.

Ale zanim ekspres skończył swoją pracę, do pokoju wrócił Joe Naysmith. Najwyraźniej obawiał się, że pod jego nieobecność z ekspresem może się stać coś złego.

– Jak ci poszło z Gilchristem? – spytał Fox.

– Sierżant Inglis chce z tobą pogadać.

– Po co? Co ja takiego zrobiłem?

– Powiedziała tylko, że chce porozmawiać.

– Lepiej idź tam, Lisku – rzekł Kaye z ręką na słuchawce telefonu. – A przedtem zajrzyj może do Internetu...

Fox nie zdążył jednak spytać po co, bo w drzwiach ich biura stała już Annie Inglis. Ruchem głowy wywołała go na korytarz. Fox oddał Naysmithowi pusty kubek, który od dłuższego czasu trzymał w ręku, potem wyszedł, starannie zamykając drzwi za sobą.

– Dlaczego? – spytała bez żadnych wstępów.

– Dlaczego co?

– Dlaczego nie chcesz dalej śledzić Brecka?

– Bo ta noc obserwacji nic nie dała.

Zmrużyła oczy.

– Spotkałeś się z nim, prawda?

– Śledziła mnie pani, sierżant Inglis.

- Odpowiedz na pytanie.
- Najpierw ty odpowiedz na moje.
- Nie, nie śledziłam cię.
- On prowadzi śledztwo dotyczące mojej rodziny, pamiętasz chyba. Chcę mieć na to oko, więc tak, rozmawiałem z nim.
- Z tego, co mówią, robi jak najlepsze wrażenie: sumienny, sympatyczny, życzliwy...
- No i co?
- Wszyscy oni robią dobre wrażenie, Malcolm. Tym zyskują zaufanie dzieci, a czasem nawet ich rodziców. Właśnie dlatego nieczęsto ich łapiemy. Znakomicie udają, że są dokładnie tacy sami jak ty czy ja...
- On nie jest taki jak ja – stwierdził Fox.
- I to cię pociąga?
- Nic mnie nie pociąga. – W jego głosie można było wyczuć irytację.

Inglis spuściła głowę i westchnęła głęboko.

- Spędził tej nocy co najmniej godzinę na fabularnej grze komputerowej *Quidnunc*. Ma swojego awatara. Wiesz, co to jest?
 - Wiem.
 - To postać, którą kreuje, by się za nią ukryć. Pozwala mu się stać kimś innym.
 - Robi tak parę milionów innych graczy.
- Spojrzała na niego badawczo.
- On ci o tym powiedział?
 - Tak.

Inglis pogrążyła się na chwilę w myślach. Odgarnęła włosy z czoła, by dodatkowo zyskać na czasie.

- Czy on może wiedzieć, że się nim interesujemy?

Fox przypomniał sobie słowa Brecka – o stojącym przed jego domem vanie, który odjechał, kiedy on poszedł spać.

- Nie sądzę – skłamał.
- Bo jeśli wie, to zacznie zacierać ślady.
- Nie sądzę, żeby wiedział – powtórzył Fox.

Znów zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

– To by pasowało do charakterystyki przestępcy – powiedziała w końcu spokojniejszym już tonem. – Ci ludzie wchodzą na portale społecznościowe, przedstawiają się tam jako osoby trzynasto-, czternastoletnie, a potem proszą o przysłanie fotografii...

- Rozumiem – przerwał Fox.

– Dobrze umiemą grać swoje role. A doskonałą tę umiejętność właśnie w grach fabularnych. Czasem zresztą natykają się na siebie nawzajem.

– Chcesz, żeby Gilchrist i Naysmith dzisiaj też tam pojechali?

– Oni nie mają nic przeciwko temu.

Fox pochylił głowę.

– Czy mogą zaparkować trochę dalej? Postawienie vana znowu w tym samym miejscu może wzbudzić podejrzenia.

Inglis skinęła twierdząco i dotknęła dłonią jego ramienia.

– Dziękuję – powiedziała i odwróciła się, by odejść.

Ale zatrzymała się.

– A ten chłopak twojej siostry, masz jakieś wiadomości?

Fox pokręcił tylko głową. Patrzył, jak Annie odchodzi, potem wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do Jude. Miał wyrzuty sumienia, że nie zrobił tego wcześniej. Nie było jednak odpowiedzi, więc wysłał tylko krótką wiadomość i wrócił do swojego biura.

– Spędzisz kolejną noc w furgonetce – powiedział do Naysmitha.

– Powiedz, że mnie to nie dotyczy. – Kaye złożył dłonie w błagalnym geście. Właśnie odłożył słuchawkę telefonu i trzymał teraz w ręku jakąś kartkę.

– To dla mnie? – spytał Fox.

– To jest właśnie nazwisko, którego szukałeś. – Kaye pomachał kartką.

– W porządku – rzekł Fox. – Nie musisz się dzisiaj opiekować Joem.

– Za to będziesz miał Gilchrista, Joe. – Kaye uśmiechnął się złośliwie. Złożył kartkę w gołębia i rzucił w stronę Foxa. Gołąb wylądował na podłodze, więc Fox musiał się schylić, by go podnieść. Na kartce wydrukowane było nazwisko Broughton, ale imię, choć też na „J”, nie brzmiało Jack, lecz Joanna. Joanna Broughton. Córka.

Fox przypomniał sobie kobietę, która wysiadła z bentleya przed Oliverem. Nawet nie zapytała, co robią na jej parkingu – doświadczenie, którego nabyła na kolanach tatusia, pozwalało jej wyczuć gliniarzy na milę.

Joanna Broughton. Fox sięgnął po komórkę i zadzwonił do Jamiego Brecka.

– J jak Joanna, prawda? – spytał bez żadnych wstępów.

Usłyszał cichy śmiech Brecka.

– Szybki jesteś.

– Przypuszczam, że wiesz, kim ona jest.

- Córka Jacka Broughtona? – Breck udawał, że zgaduje.
- Przejęła zarządzanie kasynem?
- Sądzisz, że kobieta, którą tam widzieliśmy, to właśnie Joanna

Broughton?

– Nic nie sądzę – zniecierpliwził się Fox. – Ale myślę, że ty to po prostu wiesz. Jaka jest zatem jej rola w Oliverze? Coś ukrywasz przede mną, Jamie?

– Zrozum, Malcolm. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa. Czasem nie mogę o wszystkim mówić otwarcie.

- To właśnie taki przypadek?
- Może powiem ci później. Na razie muszę wracać do pracy.

Breck się rozłączył, więc i Fox odłożył komórkę na biurko. Zdjął marynarkę i wygodnie usadowił się na krześle. Poluzował szelki, które wrzynały mu się w ramiona. W jego głowie kołatały się wciąż słowa Annie Inglis: *sumienny, sympatyczny, życzliwy... I to cię porciąga?* Kiedy zadzwonił telefon, Fox uważnie popatrzył na wyświetlacz. To była Jude.

- Cześć, siostrzyczko, miło, że oddzwoniłaś...

Przez chwilę nie słyszał nic, potem stłumiony dźwięk, jakby łkanie.

- Malcolm... – Jej głos się załamał.

– Co się stało?

– Oni tu kopiają, w ogrodzie.

– Co?!

– Policja, twoja banda, oni są... – Znów przełknęła łzy.

– Jadę tam – zdecydował Fox. Wyłączył telefon i z powrotem włożył marynarkę. Kaye zaczął pytać, co się stało.

– Muszę wyjść – uciął Fox. W samochodzie, który niedawno pozostawił na parkingu, wciąż jeszcze było ciepło.

•••

Niektórzy sąsiedzi Jude obserwowali wydarzenia ze swoich okien. Trzy radiowozy, dwie białe furgonetki. Drzwi frontowe domu Jude były otwarte na oścież. Nie było śladu jakichkolwiek działań w ogródku od strony ulicy. Do ogrodu na tyłach można było dotrzeć wyłącznie przez kuchnię. Też nie był duży, jakieś sześć na osiemnaście metrów, w większości przykryty płytami chodnikowymi, pomiędzy których wyrastały chwasty. Drzwi frontowych pilnował policjant w mundurze, przepuścił jednak Foxa, gdy ten pokazał legitymację. We wnętrzu było bardzo zimno, okna od frontu i od tyłu

były szeroko otwarte i niewiele mogły tu zdziałać ciepłe grzejniki.

– Kto cię tu wpuścił?! – ryknął na powitanie nadinspektor Giles. Stał w kuchni z kubkiem herbaty w jednej ręce i nadgryzionym batonem Mars w drugiej.

– Gdzie jest moja siostra?

– U sąsiadki obok – stwierdził Giles i odgryzł kolejny kawałek batona. Fox tymczasem wszedł już dostatecznie głęboko, by zobaczyć, co się dzieje za oknem. Pracowała tam pilnie grupa ludzi z łopatami i kilofami. Kopali jednocześnie w paru miejscach, odsuwając na bok kolejne płyty. Podłoga we wnętrzu, niedawno starannie doczyszczona przez Alison Pettifer, teraz była kompletnie zdeptana. Ktoś z ekipy śledczej schodził po schodach przy ścianie salonu z wykrywaczem substancji, zapewne szukając mikrośladów krwi.

– Jeszcze tu jesteś?! – ponownie ryknął Giles, rzucając na podłogę zmięte opakowanie po marsie.

– Co ty grasz, Giles?

– Nic nie gram, ja jestem gliną. – Spojrzał na Foxa z wściekłością w oczach. – Twoja paczka nie chce tego zrozumieć. Zaczynam myśleć, że to zwykła zazdrość.

– A ciebie co tu sprowadza: strach czy desperacja?

– Mieliśmy telefon od sąsiada – odparł Giles. Jego głos był ostry, chrapliwy. – Słyszał odgłosy kopania w ogrodzie w niedzielę w nocy. Roboty ogrodowe w środku nocy? Takie są zwyczaje w twojej rodzinie?

– Ten sąsiad podał nazwisko?

Giles nie odpowiedział, więc Fox się roześmiał.

– Słuchacie wszystkich świrów, którzy do was dzwonią? Próbujecie ich namierzyć? – Przerwał na chwilę. – Mam nadzieję, że macie przynajmniej jego numer?

– Dzwonił z pubu na Corstorphine – powiedział Giles. Potem gwałtownie odwrócił głowę w stronę drzwi do ogrodu, w których pojawił się ktoś z grupy roboczej. – Jest coś?

– Tylko parę kostek... leżą tu od wielu lat. Phil mówi, że to kot albo szczeniak.

– A co spodziewałeś się znaleźć? – spytał Fox, korzystając z chwili milczenia. – Przecież nie przysłali cię tu po koty czy szczeniaki... masz tu znaleźć coś, czego nie ma.

Giles wyciągnął w jego stronę pulchny palec.

– Ten człowiek psuje mi śledztwo! – wrzasnął. – Zabrać go stąd! Fox poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Chciał ją strącić, ale

odwróciwszy głowę, zauważył, że to Jamie Breck.

– Idziemy – rzekł Breck surowym tonem i poprowadził Foxa w stronę frontowych drzwi.

Dopiero za drzwiami zaczęli rozmawiać ściszym głosem.

– Cholerne świństwo – syknął Fox.

– Może i tak, ale mamy obowiązek sprawdzić wszystkie tropy.

Wiesz o tym, Malcolm.

– Giles próbuje się dostać do mnie i do moich ludzi, Jamie.

Przecież o to chodzi. A ty jeszcze zaciskasz tę jego smycz.

Breck uniósł w zdumieniu brwi.

– Ja?

– A kto jeszcze bierze udział w tej hecy?

– Wydawało mi się, że potrafisz współpracować... – Breck przerwał, bo z okna sąsiedniego domu dobiegł ich odgłos gwałtownego stukania. – Czekają tam na ciebie.

Fox odwrócił głowę i zobaczył za szybą Alison Pettifer; ruchem ręki zaprosiła go do środka. Fox podniósł dłoń, dając znak, że zaraz przyjdzie, ale jeszcze raz spojrzął na Brecka.

– Zaciskasz jego smycz – powtórzył, ruszając w stronę drzwi sąsiedniego domu.

• • •

Spędził tam prawie godzinę, opróżniwszy dwa kubki herbaty w towarzystwie obu kobiet. Siedziały obok siebie na kanapie, a Pettifer od czasu do czasu uspokajająco gładziła dłoń Jude. Spytał sąsiadkę, czy może otworzyć drzwi do ogrodu. Chciał zajrzeć przez płot i sprawdzić, czy podnoszą następne płyty.

Giles zauważył go i zmierzył wściekłym wzrokiem, ale nic nie mógł zrobić.

– Nie możesz ich powstrzymać? – pytała go wciąż Jude. – Na pewno możesz...

– Nie sądzę – odpowiadał bezradnie, czując, że nie brzmi to przekonująco.

Ale nie mógł przecież powiedzieć, że to jego wina; że Giles, nie mogąc się dostać do niego samego, mści się na jego bliskich. Fox wiedział, że może złożyć formalną skargę u McEwana, ale wyszedłby na głupka. Zresztą Giles bez trudności odparłby zarzuty: *popelniono morderstwo... musimy zbadać każdą ścieżkę... nie do wiary, że kolega policjant tego nie rozumie...*

Nie, stanowczo nie mógł z tym iść do McEwana. Zastanawiał się

nad wynajęciem adwokata dla Jude, ale aż nazbyt dobrze wiedział, z jaką oceną spotka się coś takiego: wszyscy gliniarze, także pracownicy Wydziału Spraw Wewnętrznych, żywili do adwokatów głęboką niechęć. A więc i na to nie mógł sobie pozwolić, a Giles dobrze o tym wiedział. W końcu, nie wiedząc, co powiedzieć, Fox pożegnał się, pocałował Jude w policzek i uściśnął rękę Alison Pettifer. W samochodzie przez dobre pięć minut zastanawiał się, czy wracać jeszcze do komendy przy Fettes, czy też nie. Ostatecznie pojechał do supermarketu w Oxgangs, zrobił wielkie zakupy, przytaskał to wszystko do domu, a potem przez prawie pół godziny układał towary w lodówce, studiując daty przydatności do spożycia – te, które mogły poleżeć dłużej, lokował głęboko; te, które trzeba było zjeść wcześniej, ułożył najbliżej. Na ten wieczór zostawił na wierzchu makaron i sos pesto. W supermarkecie znalazł się przez chwilę w dziale z napojami i zastanawiał się, czy nie kupić paru butelek bezalkoholowego piwa. Potem przy półkach z winami i mocniejszymi trunkami zauważył, że ceny są teraz niższe niż w czasach, kiedy takie rzeczy kupował. Na droższych butelkach zamocowane były dobrze widoczne plomby alarmowe, by odstraszać potencjalnych złodziei. Lepiej trzymaj się od tego z daleka, powiedział do siebie.

Po posiłku próbował oglądać telewizję, ale nie było niczego, co przykułoby jego uwagę. Jeszcze raz popłynął w myślach przez wydarzenia tego dnia. Kiedy telefon zasygnalizował SMS-a, szybko sięgnął po niego. Tony Kaye zapraszał go do Mintera. Aż pięciu sekund potrzebował na podjęcie decyzji.

• • •

– Wygląda na to, że obaj nie wiemy, co z sobą zrobić – powiedział, sadwiąc się przy ich stałym stole.

Tym razem za kontuarem stał inny barman – znacznie młodszy, ale równie zagapiony w kwiz na ekranie telewizora. Przy barze stali dwaj klienci; Fox nie rozpoznawał żadnego z nich. Margaret Sime, znajoma Kaye'a, siedziała przy swoim stoliku; skinęła mu głową na powitanie. Jadąc z powrotem do miasta, Fox minimalnie zboczył, by przejechać przed domem Jamiego Brecka. Nie było tam żadnego ruchu ani żadnej furgonetki w najbliższym otoczeniu.

– Twoje zdrowie – rzekł Kaye, unosząc w górę świeżo napełniony kufel.

Fox postawił swoją szklanekę z sokiem pomidorowym na podkładce i zsunął z ramion sportową marynarkę. Zdażył zostawić w

domu krawat, ale nadal miał tę samą koszulę, spodnie i szelki.

– No więc co się dzieje u Jude? – spytał Kaye.

– Wściekły Billy kazał swoim ludziom kopać w ogródku. Dostał podobno anonimowy telefon, że działo się tam coś podejrzanego w niedzielę w nocy.

– To pewnie tylko wymysł Billy'ego – uspokoił go Kaye. – Mam nadzieję, że nie zostawiłeś żadnych śladów w tym miejscu, Lisku? Gdyby znalazł taki pretekst, rzuciłby się na ciebie z kłami i pazurami.

– Wiem.

– Skurwiel cholernie ufał Glenowi Heatonowi... Bronił go do upadłego.

Fox spojrzał nań ze zdziwieniem.

– Myślisz, że Giles nie wiedział, co wyprawia Heaton?

Kaye wzruszył ramionami.

– Nie można mieć pewności. Mam tylko wrażenie, że strasznie go to wszystko zabolowało.

– Jeśli nadal będzie dręczyć moją siostrę, to go rzeczywiście zaboli.

Kaye zachichotał do kufla. Fox dobrze wiedział, co ten chichot oznacza: *nie masz ani siły, ani ochoty na taką walkę, Lisku*. Może nie mam, a może mam, pomyślał i wypił trochę soku.

– Gdybyś do tego dodał odrobinę wódki, tobyś umarł? – zakpił sobie Kaye. – Czuję się jak pijak, kiedy tak siedzę z tobą.

– To ty mnie tu zaprosiłeś.

– To prawda. Chciałem tylko powiedzieć...

– Pierwszy kieliszek mnie nie zabije – przerwał mu Fox. – Ale to byłby początek. A takim jak ja, Tony, wystarczy tylko zacząć.

Kaye zmarszczył nos.

– Nie jesteś alkoholikiem, Malcolm. Widziałem prawdziwych alkoholików, odwiedzałem ich cele w czasie stażu.

– Ale wódka mnie nie lubi, Tony. Zresztą... – Znow łyknął soku.

– To mi daje przewagę moralną.

Przez dłuższą chwilę popijali w milczeniu. W pubie pojawiły się tymczasem trzy nowe osoby. Fox odwrócony plecami do drzwi zauważył, jak Kaye taksuje wzrokiem nowych gości. Nie było w tym nic dziwnego, raczej odruch każdego policjanta, by obserwować drzwi wejściowe dla uniknięcia kłopotów. Problemem mógł być gość, którego kiedyś aresztowałeś; albo gość, którego krewnym i znajomym postawiłeś kiedyś zarzuty; albo gość, który kiedyś za twoją namową stał się konfidentem, dzięki czemu uratował własną skórę. W mieście

o rozmiarach Edynburga trudno czasem uniknąć takich konfrontacji z własną historią, ze sprawami i ludźmi, z którymi miałeś do czynienia. Ale tym razem Kaye spokojnie wrócił do swojego drinka, najwyraźniej nie było powodów do niepokoju. Fox na wszelki wypadek rzucił okiem na trzech mężczyzn. Garnitury, krawaty – biznesmeni po pracy, wpadli tu na piwo, potem może pójdą na kolację do hinduskiej restauracji.

Drzwi ponownie się otworzyły, tym razem Fox zauważył na twarzy Kaye'a zdziwienie, więc natychmiast odwrócił głowę. To był Joe Naysmith, ubrany na długą zimną noc w furgonetce. Gruba budrysówka, pod nią kamizelka, pod kamizelką sweter, pod swetrem wełniana koszula. Zrzucał kolejne warstwy po drodze do ich stolika.

– Straszny tu upał – poskarżył się. Rozpiął koszulę, pod którą miał jeszcze gładki czarny T-shirt.

– Pokłóciłeś się ze swoim chłopcem? – spytał chytrze Kaye.

Naysmith zignorował zaczepkę i spytał, co piją.

– To, co zwykle – odparł Kaye, a Fox potwierdził to skinieniem głowy. Popatrzył w oczy młodszego kolegi.

– No to co się stało?

– Właśnie kończyliśmy sprawdzanie vana. Gilchrist miał jakiś telefon, a potem powiedział, że już nie musimy tam jechać... – Naysmith przerwał i ruszył w stronę bufetu.

– Kto do niego dzwonił? – próbował zatrzymać go Fox.

Ale Naysmith tylko wruszył ramionami i poszedł po drinka.

– Jak myślisz, co mogło się stać? – spytał Kaye.

– Nie jestem jasnowidzem, Tony.

– To dobry pretekst, żeby zadzwonić do sierżant Inglis i wyciągnąć ją z domu na jakąś nocną balangę...

– Ona ma dziecko pod opieką.

– No to zaproponuj spotkanie u niej, weź jakąś butelkę... – Kaye przerwał i potoczył wzrokiem po suficie. – Zapomniałem, że ty nie pijesz.

– To prawda.

– A więc jakiś sok dla ciebie i duży bacardi dla damy.

Wrócił Naysmith z pełnymi kufkami w obu rękach.

– Zapakowałem sobie kanapki – żalił się dalej. – Nawet załadowałem parę filmików do komórki, żeby mu pokazać...

– I nie powiedział ci, kto do niego dzwonił i o czym mówili?

Naysmith tylko pokręcił głową.

– Nie słyszałeś nic z tej rozmowy? Nawet tego, co on mówił?

– Nie. Siedziałem w wanie z tyłu, a on był na zewnątrz przed samochodem.

– To było w garażu przy Fettes?

Naysmith przytaknął i pochłonął pierwszy haust z kufła, odetchnął z ulgą, po czym kciukiem i palcem wskazującym otarł pianę znad ust.

– Ale przedtem Inglis bardzo nalegała na tę robotę – stwierdził Fox.

– Może w końcu przekonały ją twoje argumenty.

– Może – zgodził się Fox. – A gdzie jest teraz Gilchrist?

– Powiedział, że nie przepada za drinkami.

Milczeli przez dłuższą chwilę, a kiedy wznowili rozmowę, zajęli się innymi tematami, w szczególności tym, jak się teraz „doksztalca” McEwan.

– Tam jest godzina dyskusji przy herbatce i ciasteczkach, a potem cztery godziny na polu golfowym – rzucił Kaye.

– To McEwan gra w golfa? – zdziwił się Fox. Wstał, żeby zamówić następną kolejkę. Zastanawiał się, czy warto tu zostać. Może tylko kupi dwa piwa dla Kaye'a i Naysmitha i powie im, że musi iść. Ale kiedy czekał na piwo, spojrzął kątem oka w telewizor. Kwiz już się skończył i nadawano lokalne wiadomości. Reporterzy trzymali mikrofony przy ustach. Potem pojawiła się nieruchoma fotografia: mężczyzna i kobieta stojący na pokładzie jachtu, ubrani jak spod igły, wyszczerzeni w stronę kamery i obejmujący się ramionami. Fox miał wrażenie, że widział już tę kobietę.

– Daj głośniej – poprosił barmana.

Ale zanim barman znalazł pilota, w telewizorze mówili już o czymś innym. Fox wziął pilota z ręki barmana i przełączył na tekst. Dość długo przebiegał listę opcji, nim znalazł „Wiadomości regionalne”. Kliknął na Szkocję i czekał na kolejne komunikaty. Już trzeci był tym, którego szukał.

Potentat budowlany zaginął na morzu.

Fox nacisnął przycisk „wybierz” i zaczął przewijać tekst. Charles Brogan, lat 43, milioner z branży deweloperskiej... wypłynął swoim jachtem z Edynburga... opuszczony, dryfujący jacht znaleziono u ujścia zatoki Firth of Forth...

– O co tu chodzi? – spytał Kaye. Stał za plecami Foxa, wpatrując się w ekran.

– To ten gość, który buduje na Salamander Point. Słyszałem, że jego firma ma poważne kłopoty, a teraz zniknął z własnego jachtu.

– Harakiri? – domyślił się Kaye.

Fox odłożył pilota na kontuar i zapłacił za napoje. Okazało się, że barman bez pytania nalał mu także kolejną szklankę soku. Zabrali drinki i wrócili do stolika.

– Coś ciekawego w telewizji? – spytał Naysmith.

– Nic, co mogłoby zmartwić twoją śliczną małą główkę – odparł Kaye, czochrając mu włosy. – Nie powinienes pójść do fryzjera, zanim wróci nasz Tiger Woods?

– Strzygłem się miesiąc temu.

Fox ponownie wstał z krzesła.

– Muszę zadzwonić – wyjaśnił. – Wrócę za chwilę.

Wyszedł na ulicę i poczuł dotkliwy chłód. Pomyślał, że może warto wrócić do środka po marynarkę, ale oparł się tej pokusie. Górę wzięła inna pokusa. Szybko wystukał numer komórki Jamiego Brecka.

– Zastanawiałem się, jak długo wytrzymasz – odezwał się Breck.

– Zobaczyłem to dopiero przed chwilą w dzienniku.

– Ja też.

– Nie wiedziałeś wcześniej? – zdziwił się Fox.

– Wygląda na to, że żona zadzwoniła najpierw do swojego agenta

PR.

– To on wydał oświadczenie?

– Tak. Nazywa się Gordon Lovatt. Jak Lovatt, Meikle i Meldrum.

– Nie słyszałem o takich.

– To duża firma PR. Zajmują się też lobbingsiem.

– Widzę, że przeprowadziłeś rozpoznanie.

– Natknąłem się na nich już wcześniej przy innej okazji...

Głos Brecka odpłynął, Fox usłyszał dźwięk syreny. Odsunął na chwilę słuchawkę od ucha, by się upewnić, skąd ten dźwięk pochodzi.

– Jesteś na ulicy? – spytał.

– Tak, jadę na Torphichen.

– Po co?

– Tak sobie, bez powodu.

– A może z powodu Joanny Broughton? Odezwała się w sprawie tego zapisu z kamery?

Fox musiał się odsunąć na bok, kiedy dwaj goście wyszli z baru na papierosa. Głośno pokastywali i ciągnęli jakąś zaczetą we wnętrzu rozmowę.

– Co to za pub? U Mintera? – spytał Breck.

– Pytałem o Joannę Broughton. Dlaczego ją też pokazali w tym dzienniku?

- Bo jest żoną Charliego Brogana. Nie zmieniła nazwiska, ale są małżeństwem od trzech albo czterech lat.
 - Znalaziono już jego ciało?
 - Przecież jest ciemno, nie zauważyłeś. Straż Przybrzeżna rozpocznie poszukiwania o świcie.
 - A jednak już teraz jedziesz na komendę – raczej stwierdził, niż spytał Fox.
 - Tak – przyznał Jamie Breck.
 - Dasz mi znać, jak coś znajdziecie?
 - Jeśli będzie to miało związek z naszą sprawą. Na pewno porozmawiamy sobie jutro w ciągu dnia... czy mi się to podoba, czy nie. Tymczasem, inspektorze, korzystaj z wolnego wieczoru.
 - Dziękuję, skorzystam.
 - No to staraj się – zakończył rozmowę Breck.
- Fox wrócił do pubu, rozcierając po drodze zziębnięte dłonie.
- Jest dobra wiadomość – powiedział do Naysmitha. – I tak byście marnowali czas w tym vanie.
 - Brecka nie ma w domu? – domyślił się Kaye.
 - Ma robotę w biurze – potwierdził Fox.
 - To dlatego Gilchrist odwołał akcję – rzekł Naysmith. – Myślisz, że mógł już coś wiedzieć?
 - Wątpię – odpowiedział Fox po dłuższym namyśle.

Piątek, 13 lutego 2009

11

Następnego ranka przyjechał do komendy wcześniej, ale w pokoju 2.24 nikogo jeszcze nie było. Zszedł po schodach do kantyny i tam znalazł Annie Inglis. Piła kawę; odsunęła na bok ledwie napoczętą porcję jajecznicy.

– Wyglądasz na zmęczoną – powiedział, przysuwając sobie krzesło.

– Duncan – mruknęła lakonicznie.

– Co takiego zrobił?

– W gruncie rzeczy nic takiego. Jest po prostu w takim wieku...

– Buntuje się przeciw mamie?

Zareagowała wymuszonym uśmiechem.

– Późno wraca do domu, później, niżbym chciała. W końcu zawsze wraca...

– A ty czekasz na niego.

Przytaknęła.

– I jeśli następnego dnia ma szkołę, to łatwiej byłoby obudzić umarłego.

– Podejrzewasz jakieś złe towarzystwo?

Zdobyła się na jeszcze jeden błady uśmiech.

– Wiesz, dla matki każde towarzystwo jest złe.

– To prawda.

– Myślę, że trochę piją... trochę ćpają. Duncan wydaje się czasami trochę... – Szukała właściwego słowa. – Lekko podcięty. A w dodatku w szkole mówią, że się zaniedbuje w nauce, nie odrabia prac domowych.

– W przyszłym roku skończy gimnazjum?

– Teraz nazywają to szkołą standardową.

Wypiła duszkiem resztę kawy, jakby szukając pobudzenia.

– To już trzecia dzisiaj – powiedziała.

– Chcesz czwartą? – zaproponował, ale odmówiła.

– On spotyka się ze swoim ojcem? – spytał Fox.

Najwyraźniej nie miała ochoty odpowiedzieć, bo zmieniła temat.

– Ma pan do mnie jakąś sprawę, inspektorze?

– Tak, ale to może zaczekać.

– Powiedz. Może to rozrusza mi umysł.

– Wiesz, że odwołano wczorajszy podsłuch?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Nie – powiedziała.

– Pytam... bo wiem, że ci na tym zależało. Zastanawiałem się, skąd ta zmiana.

– Nie widziałam dziś jeszcze Gilchrista.

– Szykowali vana do wyjazdu. Gilchrist odebrał jakiś telefon, a potem powiedział mojemu chłopakowi, że nie jadą.

– Zapytam, jak tylko go zobaczę. Może wydarzyło się coś ważniejszego.

– Może – zgodził się Fox.

– Zapytam go – powtórzyła Annie.

– Okay. – Fox wstał. – Na pewno nie chcesz tej kawy? Na gorze mamy lepszy towar: cztery gwiazdki.

– Czujemy to, ile razy przechodzimy koło waszych drzwi.

– No to wpadnij spróbować.

– Dziękuję... Malcolm, to, co powiedziałam o Duncanie...

– Milczę jak ryba – zapewnił ją. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

W pokoju kontrolerów okazało się, że McEwan już wrócił.

– Przywiozłeś nam jakąś pamiątkę? – zagadnął Fox.

McEwan parsknął śmiechem, potem spytał, czy było tu spokojnie pod jego nieobecność.

– Jak w grobie – oświadczył Fox, podchodząc do ekspresu.

W puszcze nie było już kawy. Chciał ponownie zejść do kantyny, ale zrezygnował. Było parę torebek herbaty, a wodę mógł zagotować. Zabrakło jednak i mleka. Spojrzał na zegarek. Nic nie usprawiedliwiało spóźnienia Naysmitha – przecież odwołano wczorajszą obserwację, więc powinien tu być co najmniej od kwadransa.

– W Royal Bank of Scotland mają specjalnych pracowników do parzenia kawy – rzucił McEwan, jakby czytając w jego myślach.

– Nie jesteśmy RBS – odparł Fox.

– Dzięki przynajmniej za dobre chęci.

– Jak wypadła konferencja?

– Nuda...

– Rzeczywiście będą w lecie rozruchy?

– Paru mędrców tak uważa. Rosnące bezrobocie... niezadowolone-

nie... ludzie pełni obaw o przyszłość... napięcie, które trzeba jakoś rozładować... I masa ekstremistów gotowych do działania.

– Rozruchy w Edynburgu, to byłoby ciekawe – zakpił Fox, wracając do biurka.

– W przeszłości często się zdarzały, Malcolm, i naprawdę trzeba się było bać tłumu.

Fox pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Ale nie w naszych czasach. Nawet jeśli protestują przed domem prezesa RBS, to wypisują swoje hasła na billboardach, żeby nie uszkodzić elewacji. Taki jest ten twój groźny tłum w Edynburgu, Bob.

– Obyś miał rację...

McEwan trzy razy potężnie kichnął, po czym sięgnął po telefon.

– A na domiar wszystkiego złapałem od ciebie katar.

– Z przyjemnością się podzieliłem – odparł Fox. – Z tym że mój katar jest trochę łagodniejszy.

Odwrócił wzrok w stronę drzwi, w których pojawił się Joe Naysmith. Trzymał w ręku foliową torbę, w której – co za ulga! – była i kawa, i mleko. Fox powitał go przyjaznym gestem: podniósł w górę obydwa kciuki. Odpowiedzią też był gest: Naysmith wyciągnął w jego stronę otwartą dłoń, najwyraźniej domagając się pieniędzy. To był piątek, dzień rozliczeń za kawę. Fox udał, że nie widzi gestu Naysmitha, i zabrał się do swojej pracy. Zaczęły już napływać od prawników z urzędu skarbowego kopie dokumentów dotyczących Glena Heatona; niemal do każdej strony dołączone były pytania i komentarze. Fox postanowił przekazać część dokumentów Naysmithowi i Kaye'owi, a dla siebie zachować tylko te najsmakowitsze. Pół godziny później do biura wkroczył majestatycznie Tony Kaye; na widok McEwana szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

– Jak ci się zdaje, która jest godzina? – skarcił go McEwan.

– Przepraszam, szefie – powiedział Kaye, sięgając po kawę, którą podał mu Naysmith.

Wyciągnął z kieszeni płaszcz gazetę i rzucił ją na biurko Foxa.

– Trzecia strona – powiedział. – Niestety, nie ma zdjęć topless...

To był poranny „Scotsman”. Artykuł zajmował całą stronę. Były tam zdjęcia Brogana, jego jachtu, Joanny Broughton i jej ojca Jacka. Żadne z tych zdjęć nie wyglądało na szczególnie nowe z wyjątkiem jednego, przedstawiającego Gordona Lovatta podczas konferencji prasowej. Tekst szeroko opisywał tło sprawy i bardzo mało mówił o samym wydarzeniu. Firma Brogana posiada wiele terenów i nieruchomości w mieście. Jej problemem jest zadłużenie. Brogan był

„zapalonym żeglarzem niedzielnym”, a jego jacht wart milion funtów cumował przy South Queensferry. Jego żona jest właścicielką dobrze prosperującego kasyna Oliver, a jej ojciec „zamożnym, emerytowanym już biznesmenem znanym z ekstrawaganckich zachowań”. Fox lekko się uśmiechnął, czytając te słowa. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Kaye wciąż mu się przygląda.

– Niewiele to wnosi – ocenił Fox.

– Może dlatego, że niewiele tu jest do powiedzenia. Oglądałeś telewizję rano?

– Tak. Nadal nie wiadomo, gdzie jest ciało.

– Na pokładzie znaleziono pustą butelkę po drogim winie i trochę tabletek nasennych, jakie zażywała jego żona.

Kaye przerwał i pochylił się, by jeszcze raz zajrzeć do gazety.

– Niezła laska. Ciekawe, co ją pociągało w tym brzuchatym, łysiejącym typie.

– Podobno mieszkają w penthousie w którymś z jego domów.

– Trzy górne piętra nowego budynku przy parku Inverleith – potwierdził Kaye. – Pisali o tym kiedyś w gazetach. To najdroższe mieszkanie w całej Szkocji.

– Ale to było przed kryzysem.

– Wątpię, czy musi je sprzedawać. Tatuś wyciągnie ją z kłopotów.

– Pytanie tylko, dlaczego nie wyciągnął z kłopotów zięcia.

– Plotkujecie jak kasjerki w sklepie nad najnowszym numerem „Heat” – wtrącił się Naysmith.

Zadzwoił telefon na biurku Foxa. Malcolm szybko podniósł słuchawkę.

– Korytarz na drugim. – Usłyszał głos Annie Inglis.

Tylko tyle.

Odłożył słuchawkę i głośno poklepał leżące przed nim stosy papierów.

– Który dla mnie? – spytał Kaye. Fox klepnął przeznaczoną dla Kaye'a stertę.

– A dla mnie? – odezwał się Naysmith. Kolejne klepięcie.

– Dla siebie zostawiłeś najmniej – zauważył Kaye z typowym dla niego grymasem.

– Tak jakby – potwierdził Naysmith.

– Takie jest życie – rzekł Fox i wstał.

Annie Inglis czekała już na korytarzu. Oparta plecami o ścianę skrzyżowała stopy i założyła ręce do tyłu.

- Odwołano akcję – powiedziała.
- Tyle już wiem.
- Nie będziemy badać sprawy sierżanta Brecka.

Jej twarz była równie kamienna jak jej głos.

- Dlaczego?
- Taki rozkaz.
- Czyj?

– Malcolm... – Skupiła wzrok na jego twarzy. – Wszystko, co powinieneś wiedzieć, to że nie potrzebujemy już współpracy Zespołu Kontroli Wewnętrznej.

- Tak ci to powiedziano? Takimi słowami?
- Malcolm...

Zrobił krok w jej stronę, ale ruszyła już w kierunku swojego biura. Śledził ją wzrokiem, szła z nisko opuszczoną głową. Musiała wiedzieć, że ją obserwuje, i wiedziała też, że będzie to dla niego wyraźny znak.

Kobieta, która właśnie zrobiła coś, z czego nie jest zadowolona, i która chce, aby on o tym wiedział.

• • •

Okolo południa oświadczył w biurze, że wychodzi do miasta. Po drodze zajrzał do kantyny, licząc na to, że zastanie tam Inglis, ale jej nie było. Wyjeżdżając z terenu komendy, modlił się, by po powrocie znalazło się wolne miejsce na parking; z doświadczenia wiedział, że szanse będą bliskie zera. Nawykowo już sprawdzał w lusterku, kto jedzie za nim, lecz nie dostrzegł żadnej czarnej astry ani zielonego ka. Dziesięć minut później zaparkował przed Oliverem. W kasynie za barem znowu rezydował Simon, rozmawiając z jedną z krupierek, podczas gdy druga przy stole blackjacka tasowała właśnie karty dla dwóch graczy, jedynych w tym momencie klientów kasyna.

– Już mówiłem panu, że lepiej porozmawiać z szefem – powiedział Simon, rozpoznając Foxa.

– Ścisłe biorąc, powiedział to pan mojemu koledze, więc spytaliśmy panią Broughton. Bałem się tylko, że kasyno będzie dziś nieczynne z powodu żałoby.

– Tylko wojna atomowa byłaby powodem, żeby zamknąć kasyno.

– No to dobrze się składa. – Fox mocno oparł się dłońmi o kon-tuar. Simon przyglądał mu się uważnie.

– Powiedziała, że możecie obejrzeć taśmy?

– Te z soboty – potwierdził Fox i dodał: – Niech pan ją zapyta.

Dobrze wiedział, że Simon ani myśli dzwonić do Joanny Broughton. Po pierwsze, ona teraz miała na pewno inne sprawy na głowie. Po drugie, Simon nie mógł tego zrobić w tej chwili, bo stojąca naprzeciw niego krupierka, smukła blondynka, mogłaby za dużo usłyszeć. Zgodził się więc i pozwolił Foxowi wejść do biura na zapleczu. Fox podziękował, gratulując sobie w duchu, że dobrze rozszyfrował młodego barmana, i zapewnił, że nie chce zabierać ich cennego czasu.

Biuro było ciasne. Simon usiadł przy biurku, by uruchomić odtwarzanie. Obraz można było obserwować na ekranie komputera.

– To zapis na twardym dysku – wyjaśnił Simon.

Fox rozejrzał się po pokoju. Dwa krzesła, trzy szafy z dokumentami i długi rząd monitorów telewizyjnych obsługujących kilkanaście kamer.

– Można tym wylapać kanciarzy?

– Od tego mamy personel w sali. Czasami ktoś z naszych ludzi staje przy stole i udaje zwykłego gracza. Każdy z nich jest też wyszkolony do obsługi tych monitorów.

– Zdarzało się, że ktoś was oszachrował?

– Owszem, raz czy dwa – przyznał Simon, nawigując kursorem po ekranie. W końcu znalazł to, czego szukał, i zamienił się miejscami z Foxem. Zapytał, czy są jakieś nowe wiadomości na temat „pana Brogana”.

– Znał pan go? – odpowiedział pytaniem Fox.

– Przychodził tu dość często. Przeważnie nie grał, raczej rozmawiał z Joanną.

Simon wyglądał na znudzonego tematem, więc Fox powiedział, że może wracać do pracy.

Młody człowiek wahał się przez chwilę, ale potem przypomniał sobie chyba o krupierce blondynce, skinął głową i wyszedł. Fox pochylił się nad ekranem i kliknął „play”. W prawym górnym rogu wyświetlany był czas nagrania: w tym momencie była to sobota, 21.00. Przewinął szybko do dziesiątej. W tym czasie kamery najeżdżały parę razy na poszczególnych graczy, a nawet na ich ręce. W lokalu panował duży ruch, ale brak dźwięku i zgaszone kolory dawały dość widmowy efekt. Wyglądało na to, że kamery obserwują głównie stoły. Mniej uwagi zwracano na wejście, na hol czy nawet na bufet. Fox nie widział nigdzie Vince'a Faulknera. Poprzednim razem Simon mówił Breckowi, że Vince przyszedł pijany i siedział na stołku baro-

wym w kącie bufetu na parterze, ale Fox nie mógł go znaleźć. Kiedy ktoś zastukał do drzwi, syknął ze złości.

– Zaraz! – krzyknął. – Jeszcze nie skończyłem!

Drzwi uchyliły się wolno.

– A, tutaj jesteście! – Zacharczał znajomy głos. Na progu stał nadinspektor Billy Giles, wypełniając swoim ciałem całą szerokość drzwi. – No to wpadłeś!

• • •

Komisariat na Torphichen.

Nie ten sam pokój co poprzednio, raczej jeden z właściwych pokoiów przesłuchań. I wyposażony do właściwego przesłuchania. Pod sufitem kamera skierowana pionowo na stół; jej czerwone światelko zacznie migać, kiedy rozpocznie się nagrywanie. Przy ścianie podłączony do gniazdka magnetofon. Mikrofon na krótkim statywie na środku stołu. Wyczyszczone ściany udekorowane jedynie napisami „Palenie zabronione pod karą grzywny”, którymi jednak nie przejmował się nikt z użytkowników, bo w pokoju utrzymywał się zastarzały odór.

Zostawili tu Malcolma Foxa samego, żeby gryzł się własnymi myślami. Żadnej propozycji herbaty czy choćby wody. Giles chciał mu odebrać komórkę, ale Fox powiedział mu, żeby się wypchał.

– Ciekawe, co byście mi tam podłączyli.

W pokoju został z nim umundurowany policjant, który stał przy drzwiach. Z pewnością wybrano go ze względu na szczególnie dobrą pamięć; mieli co najmniej jednego takiego w każdym komisariacie. Dlatego używając komórki, Fox wołał pisać SMS-y, niż rozmawiać. Był jednak pewien problem... do kogo właściwie miałby zadzwonić? Kto pomoże mu się wygrzebać z bagna, w które sam się wpakował? Naciskał więc przypadkowe guziki, mając nadzieję, że choć trochę uspokoi w ten sposób skołatane nerwy. Upłynęło co najmniej dziesięć minut, zanim drzwi ponownie się otworzyły. Wszedł Giles, a za nim dwoje innych detektywów, w tym kobieta około trzydziestki. Fox miał wrażenie, że spotkał ją tutaj już wcześniej, kiedy pracował nad sprawą Glena Heatona, ale nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska.

Mężczyzną był Jamie Breck.

Zadaniem kobiety było czuwanie nad taśmami magnetofonu i prawidłowością nagrania. Sprawdziła, czy miga czerwone światelko kamery, potem dała Gilesowi skinieniem głowy znak, że mogą zaczynać. Giles usiadł naprzeciw Foxa. Na stole przed sobą położył

segregator i dużą kopertą. Fox powstrzymał się od okazania jakiegokolwiek zainteresowania.

– Detektywie Breck – powiedział Giles i ruchem głowy wskazał krzesło stojące obok Foxa.

Breck usiadł ostrożnie, unikając kontaktu wzrokowego z Foxem, który nagle uświadomił sobie, że obydwaj znaleźli się w tym samym bagnie. Siedzieli obok siebie, a naprzeciwko nich Giles jak dyrektor szkoły rozprawiający się z dwoma wagarowiczami. Kobieta przy magnetofonie zastąpiła poprzedniego policjanta w funkcji woźnego.

– Od czego to ja powinienem zacząć? – mruknął Giles niby do siebie. Przebiegł palcami po segregatorze i po kopercie. Potem raptownie podniósł wzrok, jakby przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. – Może najpierw zdjęcia. Kamera nigdy nie kłamie... Wysypał na stół zawartość koperty: kilkadziesiąt zdjęć. Pochodziły z drukarki komputerowej i nie były najlepszej jakości.

Wystarczająco dobre jednak, by zadowolić Gilesa.

– Na każdym możecie zobaczyć datę i godzinę – powiedział Giles, odwracając zdjęcia tak, by mogli im się lepiej przyjrzeć. – Tutaj jesteś ty, sierżancie Breck. Odwiedzasz inspektora Foxa w jego domu. Potem wybraliście się razem na krótką wycieczkę do kasyna.

Giles przerwał dla wzmocnienia efektu.

– Przypadkiem jest to to samo kasyno, które odwiedził Vince Faulkner ostatniego wieczoru przed zniknięciem.

Podniósł właściwą fotografię. Była ziarnista, najwyraźniej zrobiona z użyciem teleobiektywu z dużej odległości. Przedstawiała Foxa i Brecka w rozmowie z dwoma portierami przed wejściem do Olivera.

– A co tutaj mamy? – Giles ponownie przerzucił zdjęcia. – Wy dwaj na Salamander Point. Sierżant Breck był tam, żeby zebrać informacje o ofierze morderstwa. – Znowu przerwa. – Ale nie jestem pewien, co pan tam robił, inspektorze Fox. Nie bardzo pasuje to do pańskich zadań w Wydziale Spraw Wewnętrznych.

Pociągnął lekko nosem. Celebrował każdą sekundę, grając swoją rolę przed kamerą i mikrofonem. Fox przypomniał sobie samochód – dwa samochody. Teraz znał już odpowiedź. Nawet jeśli trochę wpadasz w paranoję, to nie znaczy, że cię nie śledzą.

– Usiłował pan wpłynąć na przebieg śledztwa, inspektorze Fox? – spytał Giles. – I wtrącać się w wizję lokalną?

– Dom mojej siostry nie jest miejscem zbrodni – wypalił Fox.

– Dopóki ja tego nie stwierdzę, to jest. – Głos tego potężnego

mężczyzny brzmiał teraz tak łagodnie, jakby wdychał on prozac zamiast tlenu.

– Czyli jesteś aroganckim kutasem. – Teraz Fox zrobił przerwę dla wzmocnienia efektu, po czym dodał: – To oczywiście do protokołu.

Giles potrzebował dobrych paru chwil, by stłumić emocje.

– Co pan robił w momencie zatrzymania, inspektorze?

– Wykonywałem czynności policjanta.

– Był pan w biurze kasyna Oliver i przeglądał pan zapisy z kamer z tego wieczoru, w którym zaginał Vince Faulkner.

Kątem oka Fox dostrzegł, że ta wiadomość poruszyła Brecka.

– Z czyjego upoważnienia pan tam poszedł?

– Z niczyjego.

– Czy detektyw Breck powiedział panu, że to będzie w porządku? Byliście tam razem już wcześniej, nie raz, ale dwa razy. – Wyciągnął jeszcze jedno zdjęcie: Breck i Fox w świetle dziennym przy samochodzie Brecka tuż przed pojawieniem się Joanny Broughton.

– Detektyw Breck nie ma z tym nic wspólnego – powiedział Fox. – Pojechałem na Salamander Point z własnej inicjatywy. To przypadek, że on tam akurat był.

Giles odwrócił głowę w stronę Brecka.

– Ale ty pozwoliłeś inspektorowi brać udział w rozmowie z panem Ronaldem Hendrym?

– Tak – przyznał Breck.

– Jestem starszy rangą – wtrącił się Fox. – To był mój rozkaz.

– Był albo nie był, sprawdzimy... – Giles otworzył segregator i wyjął zadrukowaną kartkę. – Detektyw sierżant Breck nie wspomina o tym w swoim zeznaniu.

Rzucił kartkę na stół.

– A tego wieczoru, kiedy przyszedł do pana, to też na pański rozkaz? – Giles pozwolił pracować ciszy. – Zdaje mi się, że wy dwaj jesteście trochę za bardzo zaprzyjaźnieni.

Wbił wzrok w Brecka, jednocześnie wskazując palcem Foxa.

– On jest w kręgu podejrzeń! Wiedziałeś o tym! Od kiedy to zaprzyjaźniamy się z podejrzanymi?

– Glen Heaton robił to dość często – rzucił Fox półgłosem.

W oczach Gilesa zapaliły się płomienie. Z trudem panował nad głosem.

– Patrzcie na tego hipokrytę! – warknął. Potem odchylił się wraz z krzesłem, dziwnie przy tym kręcąc ramionami i szyją. – Rzeczywi-

ście, nie wygląda to dobrze. Może w swoim czasie trzeba było działać bardziej stanowczo... – Westchnął głęboko, udając zatroskanie. – Ale żeby przy tych wszystkich dzisiejszych numerach udawać świętoszka... Trzeba znać proporcje, inspektorze Fox...

Bezradnie wzruszył ramionami. Wybawiło go pukanie do drzwi. Otworzyła je funkcjonariuszka obsługująca magnetofon. Do pokoju weszli dwaj mężczyźni. Jednym z nich był nadinspektor Bob McEwan. Drugi, w mundurze, trzymał pod pachą służbową czapkę.

– Taki wstyd! – zawołał umundurowany człowiek od progu.

Giles zerwał się na równe nogi, tak samo poderwali się Breck i Fox. Cóż innego można zrobić, kiedy do pokoju wchodzi zastępca komendanta głównego policji we własnej osobie. A to był właśnie on. Człowiek, który wybrał służbę w lokalnej szkockiej policji, odrzucając proponowane mu prestiżowe stanowiska w centralnych służbach państwowych. Trwał tutaj, mimo że pozostawał wciąż zastępcą, a funkcję głównego obejmowali kolejno albo jego dotychczasowi podwładni, albo spadochroniarze z Londynu. Nazywał się Adam Traynor. Miał rumianą twarz, stalowe oczy, był wysoki i barczysty. „Gliniarz nad gliniarze” – co do tego panowała powszechna zgoda – podziwiany zarówno przez zwykłych posterunkowych, jak i przez najwyższych rangą oficerów. Fox spotkał go już parę razy. To właśnie on podejmował decyzje w większości wypadków naruszenia dyscypliny. Tylko najgrubsze sprawy korupcyjne trafiały na biurko prokuratora okręgowego.

– Taki wstyd – powtarzał Traynor już ciszej, jakby do siebie.

McEwan tymczasem patrzył tylko na swego grzesznego pracownika. Fox przypomniał sobie poranną rozmowę w biurze. *Było tu spokojnie pod moją nieobecność?* – spytał wtedy McEwan, a on odpowiedział: *Jak w grobie.*

Uwaga Traynora skupiła się teraz na osobach McEwana i Gilesa.

– Ci wasi ludzie – powiedział stanowczym głosem – muszą być zawieszani aż do końca tego śledztwa.

– Tak jest – mruknął McEwan.

– Tak jest – przytaknął Giles.

– Nie martwcie się – rzucił Traynor w stronę Foxa i Brecka. – Będziecie dostawać pełne wynagrodzenie.

Także Giles patrzył teraz na Foxa, a ten natychmiast odgadł myśl swojego prześladowcy: *Dokładnie tak jak Glen Heaton.*

– Przepraszam – przerwała agentka – ale nadal nagrywamy.

– To proszę natychmiast wyłączyć! – wrzasnął Traynor.

Kobieta uczyniła to, przedtem jednak powiedziała do mikrofonu, że przesłuchanie zakończyło się o drugiej pięćdziesiąt siedem po południu.

– Śledztwo wewnętrzne, panie komendancie? – spytał Bob McEwan.

– Trochę na to za późno, Bob. Już od czterech dni śledzą twojego człowieka koledzy z Aberdeen, z Grampian Police. – Traynor zaczął przerzucać leżące na stole fotografie. – Oni i tak mogli wywlec wszystko na wierzch, my zresztą wyświadczamy im taką samą przysługę, kiedy role są odwrócone.

McEwan zmarszczył brwi.

– Mój oficer był śledzony?

Zastępca głównego spojrział nań surowo.

– Twój pracownik był niegrzeczny, Bob.

– I nikt mi o tym nie powiedział – stwierdził gorzko McEwan.

– To temat na inną dyskusję.

Traynor znów spojrział groźnie na McEwana, ale ten patrzył w inną stronę, na Foxa, a wymowa tego spojrzenia była jednoznaczna: *Co tu się, kurwa, dzieje?*

– No dobrze – powiedział Traynor. Wyprostował się i dotknął kciukiem daszka czapki tkwiącej wciąż pod jego pachą. – Czy wszystko jest jasne?

– Mam materiały w pewnej sprawie, chciałbym to dokończyć – odezwał się Breck.

– Nie ma mowy – warknął na niego Traynor. – Nie próbuj fałszować dokumentów!

Kark Brecka spurpurowiał.

– Z całym szacunkiem, panie komendancie...

Ale zastępca głównego był już w drodze na korytarz.

– Oddajcie legitymacje i przepustki – powiedział Billy Giles, wyciągając rękę. – Jak stąd wyjdziecie, nie możecie już wracać do swoich biur nawet po kurtkę czy torbę. Wracacie prosto do domów i tam zostajecie. Ci z Aberdeen z pewnością mają was na oku. Zresztą zna pan na pamięć te przepisy, inspektorze Fox...

McEwan wybiegł z pokoju w ślad za Traynorem, jakby chciał go jeszcze dogonić; nawet nie obejrzał się za siebie. Ale Fox miał zaufanie do swojego szefa. Z pewnością będzie go bronił, stanie w jego narożniku.

– Legitymacje – upomniał się Giles nadal z wyciągniętą ręką, jego palce wyraźnie drżały. – Potem wyprowadzą was stąd pod

eskortą bez żadnych ceregieli.

– W związku mamy prawników... – pisnęła funkcjonariuszka. Giles spojrzał na nią wściekłym wzrokiem.

– Dziękuję, Annabel – powiedział Jamie Breck, rzucając legitymację tak, aby Billy Giles nie zdołał jej złapać.

12

Przy skrzyżowaniu ulic znajdowała się sala bilardowa i było to bodaj pierwsze miejsce, w którym mogli usiąść na chwilę i ocenić sytuację. Wyglądało na to, że właściciel sali zna Brecka.

Wytarł starannie stolik przy oknie i podał kawę.

– Poczęstunek od firmy – powiedział.

– Nie, nie, zapłacimy za nią – podziękował Breck, wyciągając z kieszeni garść monet, a kiedy właściciel odszedł, dodał: – Dla jednego to poczęstunek, dla innego łapówka.

Popatrzyli na siebie i obaj zdobyli się na ostrożny uśmiech.

– To może nie aż tak wielkie zmartwienie – zaczął Fox – ale Annabel ma rację: powinniśmy to skonsultować z prawnikami.

Breck wzruszył ramionami.

– Ty przynajmniej miałaś rację, mówiąc, że cię śledzą. To by mogło tłumaczyć także tego vana przed moim domem...

– Tak – zgodził się Fox skwapliwie.

– No i co teraz? Powiedziałbym, że to ty jesteś ekspertem od takich spraw.

Fox nie od razu odpowiedział. Wsłuchał się w dźwięki dobiegające z otoczenia: odgłosy zderzających się bil, ciche przekleństwa graczy, stłumiony szum ruchu ulicznego. Teraz jesteśmy na tej samej łódce, pomyślał.

– Ten jacht Brogana... – spytał. – Słyszałeś coś nowego?

– Mamy się nie zajmować takimi sprawami, Malcolm. Zostaliśmy zawieszeni w czynnościach.

– Jasne. – Wzruszył ramionami Fox. – Ale jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Annabel należy chyba do tego zespołu? A więc mógłbyś mieć oko na wszystko.

– A jeśli to dotrze do Billy'ego Gilesa?

– Co jeszcze gorszego może nam zrobić? Już i tak mamy problem z policją Grampian. – Podniósł do ust swoją kawę i lekko dmuchnął na parującą powierzchnię. Wiedział, że to najtańszy gatunek

rozpuszczalnej i że filiżanka nie jest tak czysta, jak powinna być. Ale wiedział też, że na zawsze zapamięta jej smak, jej zapach i desę na filiżance.

– Teraz jesteśmy cywilami, Jamie – podjął rozmowę. – To zwiększa, a nie zmniejsza nasze pole manewru.

– Nie bardzo rozumiem...

– Słyszałem, że lubisz ryzykować, Jamie, kształtować własny los, wpływać na to, jak toczy się twoje życie.

– Ty akurat deklarowałeś coś wręcz przeciwnego.

Do sali weszło kilku nowych graczy. Mieli z sobą futerały ze składanymi kijami. Z kieszeni jednego z nich wystawała zwinięta gazeta, „Evening News”. Kiedy zdejmował marynarkę i wieszal ją na wieszaku, Fox podszedł do niego.

– Mogę zajrzeć? – spytał. Mężczyzna skinął głową.

Fox wrócił do stolika z gazetą. Prezentowała fotografię Charliego Brogana na pierwszej stronie, ale niewiele tu było wiadomości.

– Pamiętasz, Jamie? Powiedziałeś, że Joanna Broughton poszła przypuszczalnie najpierw do swojej agencji PR. Media wiedziały o tym zaginięciu wcześniej niż policja. Jak to skomentujesz?

– Że ta pani ma dziwne priorytety. – Zastanawiał się przez chwilę. – A co ty o tym myślisz?

– Nie jestem pewien... na razie.

– Pójdiesz teraz do domu i będziesz się wylegiwał?

– Chyba nie.

– Myślisz, że przestaną cię teraz śledzić?

– Bardziej mnie interesuje, od kiedy to robią.

– Dlaczego?

– Bo kolejność zdarzeń jest tu najważniejsza, Jamie – popatrzył uważnie na Brecka. – Naprawdę nie wiedziałeś, że mnie obserwują?

Breck stanowczo pokręcił głową.

Traynor powiedział, że od czterech dni, czyli od poniedziałku.

– Ciało Vince'a znaleziono dopiero we wtorek.

– No właśnie – powiedział Fox. – Tym bardziej chciałbym wiedzieć, co zarejestrowały kamery Olivera.

– Wątpię, czy to się na coś przyda.

Fox się wyprostował.

– Myślę, że mógłbyś mi już powiedzieć, skąd tak dobrze znasz to miejsce.

Breck zastanawiał się przez chwilę, jakby szukając właściwych słów.

– To było parę miesięcy temu – zaczął ostrożnie. – Po prostu ktoś, kogo mieliśmy na oku...

– Kto?

– Radny miejski. Podejrzewaliśmy, że to niegrzeczny chłopiec. Dostaliśmy wiadomość o jakimś jego spotkaniu w Oliverze, więc poprosiliśmy Joannę Broughton o parę nagrań.

– No i?

– Nie było ich, gdy tam pojechaliśmy.

– Zostały skasowane?

– Powiedzieli nam, że była w tym czasie jakaś awaria.

– Ale ja widziałem nagrania z soboty i wiem, że tam są.

– Chyba że znowu zdarzy się awaria. Oliver to duma i szczęście Joanny Broughton: jej sposób powiedzenia światu, że potrafi sobie radzić sama.

– Sama? Znaczy: bez pomocy taty Jacka?

Breck przytaknął.

– Nie chce, żeby uważano to kasyno za miejsce podejrzanych spotkań. Zwłaszcza ostatnich spotkań późniejszych ofiar morderstw...

– To dlatego korzysta z tej agencji PR?

– Lovatt, Meikle, Meldrum – wyrecytował Breck.

Fox myślał przez chwilę.

– Tego wieczoru, kiedy pojechaliśmy do Olivera, powiedziałaś, że nigdy wcześniej tam nie byłaś.

– Skłamałam.

– Po co?

– Empatia. Bałem się, że źle to przyjmiesz.

Breck wziął gazetę i otworzył ją na stronie komentarzy redakcyjnych.

– Widziałeś to? – spytał. Potem zaczął czytać. – „Wartość terenów budowlanych na nabrzeżach edynburskich spadła w ciągu ostatniego roku o dwieście dwadzieścia milionów funtów... Cena terenów w centrum spadła z dwóch milionów funtów za akr do jednej czwartej tej kwoty... Zagrożona jest inwestycja Fountain Brewery... Tak samo Caltongate i nowy projekt przy Shawfair. Osiemdziesiąt procent działek w Edynburgu nie ma w tej chwili żadnej wartości sprzedażnej...”.

Położył gazetę na stoliku przed Foxem.

– Żadnej wartości sprzedażnej – powtórzył. – Wydaje mi się, że Charlie Brogan był na dobrej drodze do bankructwa.

– Trudno się nie zgodzić – powiedział Fox i pochylił się nad

artykułem. – Fountain Brewery... to tam, gdzie znaleziono Vince'a.

Breck potwierdził skinieniem głowy.

– Czy Brogan uczestniczył w tej inwestycji?

– Bardzo możliwe.

– Setki milionów funtów rozpląnęło się w powietrzu – skomentował Fox.

– Grunt jest tam nadal – odparł Breck. – Ulotniło się tylko zaufanie. Banki przestały pożyczać, wszystko się rozchwiało.

Myślał przez chwilę, potem zapytał:

– Co więc zamierzasz teraz robić, Malcolm?

– Może pojedę do Jude, zobaczę, jak się miewa. A ty?

– Już dawno nie mogłem poświęcić całego dnia na *Quidnunc*... – Przerwał i zmienił temat. – Ani trochę nie żałuję tego, co zrobiłem.

– Daj spokój, wszystko to moja wina, nie twoja. Przypomnij sobie, jak było: to ja cię w to wciągnąłem, wykorzystałem swoją wyższą rangę, może nawet cię okłamałem...

Niewiele brakowało, by powiedział: *choć nie tylko ja tutaj jestem podejrzany*. W porę ugryzł się w język i tylko głęboko westchnął.

– Ale o kasynie i o tym radnym mogłeś mi powiedzieć.

Breck wzruszył ramionami.

– A jednak Giles miał rację: nie powinienem był dopuszczać cię do tej sprawy. Przypuszczalnie jest bardziej wściekły na mnie niż na ciebie. Ty jesteś tylko wrogiem, ja okazałem się... Judaszem.

– Myślę, że Judasz też miał swoje dobre strony.

Roześmiali się obydwoj cicho. Wstali, nie dopijając kawy. Pożegnali się uściskiem dłoni. Fox zwinął gazetę, wsunął ją do kieszeni marynarki bilardzisty i machnął mu ręką w podziękowaniu. Kiedy odwrócił się w stronę drzwi, Brecka już nie było.

•••

Tony Kaye opuścił budynek Komendy Głównej Policji z wytartą teczką w ręku. Pogwizdywał przez zęby, obserwując parking. Kiedy usłyszał klakson, poszedł w tamtym kierunku. Drzwi pasażera w volvie były już otwarte, wszedł więc, zamknął je i oddał teczkę jej właścicielowi.

– Co się stało? – spytał.

– Nie wpuściliby mnie – wyjaśnił Fox. – Na pewno dostali już wiadomość, że jestem radioaktywny.

– McEwan miał twarz jak chmura gradowa.

– Co powiedział?

– Ani pisał. Poszedł na zebranie do biura zastępcy, a potem ma zaplanowane jakieś inne. – Kaye przerwał, a następnie dodał: – W całej firmie słysząc jakiś dziwny akcent...

– Policja Grampian – wyjaśnił Fox. – Ich kontrolerzy, jak sadzę. Wzięli mnie pod obserwację.

Kaye wyduł wargi, by jak najgłośniej gwizdnąć.

– Kontrolerzy z Aberdeen? O co tu chodzi, Lisku?

– Sam się w to wpakowałem, Tony. Nikogo innego nie można winić.

– A może to Breck zakablował?

Fox myślał przez chwilę, potem pokręcił głową.

– Nie. Obserwowali mnie, zanim w ogóle go poznałem.

– Może i obserwowali wcześniej, ale mógł im pomagać, odkąd się włączył. A dlaczego chodzili za tobą wcześniej? Może czegoś nie wiem?

Fox nie miał na razie nawet pomysłu na odpowiedź. Otworzył swoją teczkę i zajrzał do środka.

– Gdzie są pytania z urzędu prokuratora?

– Nie wiem. Ale wcześniej grzebał w tym już McEwan.

– Myślisz, że przyjmie teraz kogoś nowego?

– Tylko tymczasowo, dopóki nie staniesz na nogi.

– A kto powiedział, że nie stoję na nogach? – oburzył się Fox. Potem spytał: – Kto to ma być?

– Gilchrist.

Fox popatrzył na niego uważnie.

– Gilchrist z Chop Shop?

Kaye pokiwał głową.

– Teraz będę go słyszał z jednej strony, a Naysmitha z drugiej, próbujących przekrzyknąć się nawzajem tymi swoimi nudziarstwami. Rozumiesz chyba, co to znaczy.

– Co?

– Znaczący, że masz obowiązek skończyć z tą sprawą, zanim ja zwariuję.

Fox uśmiechnął się blade.

– Dziękuję za zaufanie.

– Ależ mnie chodzi wyłącznie o moje zdrowie, Lisku.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc w przestrzeń za szybą. Potem Kaye wyduł z siebie przeciągłe westchnienie.

– Myślisz, że wszystko pójdzie dobrze?

– Nie wiem.

- Mogę ci jakoś pomóc?
- Miej ucho na wszystko. Dzwon do mnie raz dziennie, żebyś wiedział, co się dzieje. – Przerwał, po czym dodał: – Czyj to był pomysł, żeby wziąć Gilchrista?
- Na pewno Naysmith dobrze o nim mówił...
- Ale w ten sposób Chop Shop traci pracownika. Inglis zostanie tam sama.

Kaye wzruszył ramionami.

– Nie twój problem, Lisku. – Otworzył drzwi samochodu. – Wpadniesz wieczorem do Mintera? Przecież to piątek, nie zapomniałeś?

– Nie wiem, czy będę w nastroju.

Kaye stał już obok samochodu, ale zawahał się i wsadził z powrotem głowę do wnętrza.

– Przy okazji, Joe kazał mi przypomnieć, że już trzy tygodnie zalegasz ze składką na kawę.

– Powiedz mu, żeby obciążył tego nowego.

– Podoba mi się twój dobry humor, inspektorze Fox – rzekł Kaye z uśmiechem. – I tak trzymaj...

• • •

Zamiast wrócić prosto do domu, Fox podjechał jeszcze pod dom Jude. Nie było tu śladów żadnej aktywności – ani vanów policyjnych, ani gliniarzy. Nacisnął dzwonek i usłyszał jej głos z głębi domu:

- Kto tam?
- Twój brat.

Otworzyła drzwi i wpuściła go.

- Dziennikarze się tu nie kręcą? – spytał.
- Owszem, chcieli wiedzieć, dlaczego twoi kołesie zrobili sobie w moim ogrodzie kopalnię.

Pocałował ją w policzek, potem weszli do salonu. Musiała przed chwilą palić: niedopałek tlił się jeszcze w popielniczce. Nic jednak nie wskazywało, by piła, chyba że kawę. Otwarty nowy słoik stał na bufecie śniadaniowym, obok dzbanek, kubek i łyżeczka.

– Masz ochotę? – spytała, widząc, że patrzy w tamtą stronę, ale pokręcił przecząco głową.

– Ten gips wygląda jakoś inaczej – zauważył.

Podniosła nieznacznie rękę.

– Założyli mi dzisiaj nowy opatrunek. Trochę mniej przeszkadza. No i mogłam się nareszcie dobrze podrapać, kiedy zdjęli ten stary.

Roześmiał się.

- Miałaś chyba kiedyś złamaną drugą rękę.
- Tylko pęknięty nadgarstek. Ciekawe, że to pamiętasz.
- Mama wzięła mnie z sobą do szpitala, gdy ci zdejmowali gips. Jude zagłębiła się w swoim ulubionym fotelu i sięgnęła po kolejnego papierosa.

– Dopiero co skończyłaś poprzedniego – przypomniał z wyrzutem Fox.

- No to czas na następnego. A ty nie palisz?
- Nie, odkąd skończyłem szkołę.

Usiadł naprzeciw niej na kanapie. Telewizor był włączony, ale bez dźwięku. Wyglądało to na jakiś film przyrodniczy.

- Wydaje się, że to tak dawno, całe życie – powiedziała Jude.
- To było całe życie.

Przytaknęła i spochmurniała nagle, Fox zrozumiał, że to przypomniało jej Vince'a.

– Nadal nie chcę mi powiedzieć, kiedy wydadzą cię – rzekła półgłosem.

– Zastanawiam się nad czymś – powiedział Fox, pochylając się lekko do przodu. – Chyba nigdy mi nie mówiłaś, jak się poznaliście.

Spojrzała na niego.

- Myślałam, że cię to nie interesuje.
- Teraz tak.

Zaciągnęła się papierosem, mocno mrużąc oczy dla ochrony przed dymem. Obróciła się na fotelu i przewiesiła nogi przez oparcie. To przypomniało Foxowi, że jego siostra ma ładną figurę. Obcisłe dzinsy podkreślały smukłą linię ud i bioder. Tylko wokół pasa zaczynał się rysować wałek tłuszczu. Nie można było rozpoznać stanika pod T-shirtem, którego krótkie i luźne rękawki odsłaniały częściowo jej piersi. Pamiętała, że w szkole uczyła się dobrze, nawet uchodziła za kujona. Bunt nastąpił później, ujawnił się wraz z pierwszym tatuażem – czerwoną różą na ciernistej łydźce na lewym ramieniu. Fox przypomniał sobie, że także Sandra Hendry mogła się pochwalić tatuażem – skorpionem w okolicach kostki. A ramiona Vince'a nosiły ślady po prymitywnych igłowo-atramentowych zabiegach z wczesnej młodości.

– Vince... – zaczęła Jude, dziwnie przeciągając to imię. – Vince popijał z przyjaciółmi na West Endzie. Była sobota wieczór i wybrałam się do miasta z koleżanką z biura, Melissą; szczerze mówiąc, za plecami mówiliśmy na nią Szkarada. Tego dnia były jej urodziny i

zaprosiła parę osób z biura na ten wieczór. Przyjęłam zaproszenie, choć potem okazało się, że wszyscy inni wymówili się pod takim czy innym pretekstem. Spotkałyśmy się więc tylko we dwójkę, a to miało swoje dobre strony.

– W jakim sensie?

– W towarzystwie Szkarady całą uwagę skupiałam ja.

– Piękna i Bestia?

– Wcale nie była taka brzydka, Malcolm – powiedziała Jude, ale nie zabrzmiało to zbyt szczerze. – Tak czy owak, wyładowałyśmy w jakimś pubie przy St Martin's Lane czy gdzieś tam... Nie znasz Londynu, prawda?

Pokręcił głową.

– Nie spodobałby ci się, jest zbyt wielki, przeładowany...

Wydawało się, że zagubiła się w myślach, ale powróciła do przerwanej wątku.

– Vince był tam w towarzystwie paru kolegów. Wcześniej tego dnia był jakiś mecz i oni chyba ciągle jeszcze świętowali sukces. Koniecznie chcieli nam postawić drinka...

Znów przerwała i pogrążyła się w myślach.

– Vince był taki sam jak oni wszyscy, a jednak inny. Jadł i pił mniej niż jego kumple, był cichszy, prawie nieśmiały. Zapisał mi na dłoni swój numer telefonu, powiedział, że decyzja należy do mnie.

– Zostawił ci inicjatywę?

– Tak myślę...

– A więc to ty zdecydowałaś?

Jude zaprzeczyła ruchem głowy.

– Rano wzięłam prysznic i numer się zmył. Dla mnie zresztą ciągle był jeszcze przypadkowym znajomym z sobotniej popijawy. Ale jeden z tych chłopaków umówił się z Melissą. Tydzień później przyszedł po nią do biura...

– A Vince razem z nim?

Uśmiechnęła się.

– Chciał wiedzieć, dlaczego nie zadzwoniłam.

– I wybraliście się gdzieś we czwórkę.

– I wybraliśmy się we czwórkę – potwierdziła. – Melissa z Garethem zmyli się około północy.

W jej oczach pojawiły się łzy, ale rozproszyła je, mrugając intensywnie.

– Nie myślałam wtedy, że to będzie trwałe.

Otarła oczy kolejno oboma rękawkami T-shirta. Na przodzie ko-

szulki był obrazek z napisem z trasy koncertowej jakiegoś zespołu rockowego. Fox przypomniał sobie, że Vince Faulkner często zabierał Jude na koncerty. Nieraz wyjeżdżali w tym celu daleko, nawet do Paryża lub Amsterdamu.

– Nigdy go w gruncie rzeczy nie poznałeś – powiedziała. – Nawet nie próbowałeś.

Fox mógł jedynie przytaknąć.

– Vince nie we wszystkim dał się lubić, Jude.

– Dlatego, że miał kłopoty z prawem? – Spojrzała na niego uważnie. – W tym cały problem, Malcolm. Ludzie tacy jak ty nie potrafią o tym zapomnieć. To przecież jakaś zamierzchła historia, a jednak ten typ Giles ciągle do tego wracał, no bo to wciąż jest w jego papierach.

– Ale ukrywał to przed tobą, Jude. Nie chciał, żebyś o tym wiedziała.

– Bo to nie był już ten sam człowiek. – Nagle zaczęła krzyczeć. – I nie mów, że mnie bił! Nie chcę tego słuchać! To też znalazło się w papierach. A kto ten cały kit wymyślił? Ludzie z twojej bandy!

– To nie moja banda – mruknął. – Już nie.

• • •

Sporą część wieczoru spędził na wyciąganiu książek z półek i układaniu ich na stoliku do kawy. Miał zamiar ustawić je w porządku alfabetycznym z podziałem na dwie grupy: te, które już czytał, i te, których jeszcze nie znał. Potem jednak zaczął się zastanawiać, czy nie oddać niektórych na akcję dobroczynną. I czy wśród tych, które wrócą na półkę, wyodrębnić beletrystykę.

Na kolację przygotował sobie kurczaka w curry, używając przypraw kupionych w markecie Asda tego dnia, kiedy rozmawiał z Sandrą Hendry. A kurczak pochodził ze sklepu, do którego wstąpił po drodze od Jude. Teraz czuł się dość marnie, pewnie z przejedzenia.

– Może i wszystkie mógłbym oddać – powiedział do siebie, patrząc na sterty książek. Mógłby się wtedy pozbyć półek i zyskać więcej przestrzeni. Ale właściwie po co? Większy telewizor, system kina domowego? Skończyłoby się na oglądaniu jeszcze większej ilości szmiry niż dotychczas. Kiedy zaszczebiotała komórka, z radością po nią sięgnął. To był SMS od Annie Inglis z zaproszeniem na lunch w niedzielę. Był tam jeszcze jej adres, a na końcu najprostsze z możliwych pytań:

„Okay?”

Fox przeganiał palcami włosy i zauważył, że spocił się od tej ro-

boty z książkami. Nigdy nie był mistrzem w pisaniu SMS-ów. Wykonał aż trzy próby, zanim mógł być zadowolony z osiągniętego rezultatu. Dopiero wtedy nacisnął „wyślij”. Odpowiedź brzmiała:

„Okay”.

Znak zapytania nie był już potrzebny.

Sobota, 14 lutego 2009

13

W sobotę Fox obudził się późno, bo też długo, aż do drugiej w nocy, nie mógł zasnąć. O jedenastej rano usiadł przy stole w kuchni z trzema wyjętymi ze skrzynki gazetami: „Scotsman”, „Herald” i porannym wydaniem „Evening News”. Liczył na materiały o postaci Charliego Brojana i jak się okazało, szkoccy dziennikarze dobrze spełnili te oczekiwania. Pochodzący z robotniczej rodziny Brogan wychowywał się i uczył w Falkirk. Jego ojciec był stolarzem. Charlie liźnął trochę wiedzy, zanim wyrzucono go ze szkoły. Jego CV było obszerne i obejmowało rozliczne zajęcia, od układania wykładzin po sprzedaż obwoźną. W końcu połączył te dwie specjalności, zakładając firmę, która sprzedawała wykładziny do fabryk i biur. W wieku dwudziestu trzech lat miał już dość zaoszczędzonych pieniędzy, by rzucić się na coś większego: kupował mieszkania i albo je wynajmował, albo remontował w celu korzystnej sprzedaży. Koniunktura była dobra, więc i Brogan dobrze prosperował; wkrótce zajął się wielkimi operacjami deweloperskimi, co dało mu awans do świata ludzi bogatych i wpływowych. Bywał gościem bankierów i innych wielkich biznesmenów, romansował z najbardziej pożądanymi kobietami Szkocji, a w końcu poznał Joannę Broughton i ożenił się z nią.

Gazety zamieściły sporo zdjęć Joanny. Była świetną laską, ale w jej rysach i spojrzeniu kryło się coś twardego. Nawet kiedy się uśmiechała, dawała tym uśmiechem fotografowi sygnał, kto tu rządzi. Zdjęcie z wnętrza apartamentu przy Inverleith pokazywało ściany obwieszane od góry do dołu drogimi dziełami sztuki. Jedna z gazet opublikowała komentarz zawodowego psychologa, który ostrzegał, że obecny kryzys kredytowy może spowodować więcej takich tragedii w środowiskach wielkiego biznesu.

Jedyną dużą porażką w całej karierze Brojana było odrzucenie jego kandydatury do rady nadzorczej klubu Celtic Glasgow. Jeden z jego przyjaciół tak wspominał ten incydent:

„Charlie nie przywykł do tego, by mu odmawiano. Zabolało go to

tak bardzo, że chciał nawet poprzeć rywali z Ibrox Stadium. Taki to był człowiek”.

W gorącej wodzie kąpany, pomyślał Fox. Niezdolny do przełknięcia takiego afrontu. Pewnie zresztą także zastój gospodarczy traktował jako osobisty afront. Chociaż to zdanie o Ibrox nie wskazywało na skłonność do rezygnacji, raczej na wolę walki... Psycholog skupił się na załamaniu gospodarczym, a nie zajął się sprawą znacznie ważniejszą: czy Charlie Brogan był typem samobójcy? Nie pozostawił żadnej notatki pożegnalnej, nie było też żadnej informacji o jakimś przedśmiertnym porządkowaniu spraw. Może zatem wypłynął na morze, by na chwilę oddalić się od swoich problemów, dodatkowo łyknął na uspokojenie pigułki i sporo alkoholu, potem wyszedł na pokład, potknął się czy pośliznął i wypadł za burtę. A może taka sekwencja zdarzeń dopiero w ostatniej chwili podsunęła mu właściwe zakończenie sprawy. Śmierć nie samobójcza, ale przychodząca w odpowiednim momencie.

Nie było komentarzy ze strony rodziny, jeśli nie liczyć początkowego oświadczenia wydanego przez Gordona Lovatta. Fox jeszcze raz spojrzął na fotografię Joanny Broughton.

– Chciałaś zapewnić sobie przychylność mediów – powiedział do niej – zanim zawiadomiłaś kogokolwiek innego.

Czy była to tylko chłodna kalkulacja? Czy też typowo kobieca intuicja i spryt? Patrzył na nią i patrzył, lecz nie miał pewności. Rozprostował plecy i przeciągnął się. Teraz dopiero w głębi salonu zobaczył książki zwalone na stoliku do kawy. Jeszcze więcej leżało ich na podłodze przed półkami, natomiast same półki były całkiem ogołoczone. W powietrzu unosił się kurz. Na razie znalazł tylko kilka książek, które ocenił jako nieprzydatne; ogromną większość stanowiły takie, które miałyby ochotę przeczytać ponownie. Kiedy zadzwonił telefon, musiał go długo szukać, wreszcie znalazł między dwoma stosami książek.

– Malcolm Fox – odezwał się urządowo.

Dzwonił ktoś z Lauder Lodge. Ojciec chciał wiedzieć, czy Malcolm przyjdzie dziś lub jutro. Chciał się z nim zobaczyć. Fox miał już zaproponować spotkanie w niedzielę, ale w porę przypomniał sobie lunch u Annie Inglis. Spojrzął na zegarek, potem poprosił rozmówcę, by powiedzieć ojcu, że już tam jedzie.

Wybrał drogę przez obwodnicę; z ronda Sheriffhall pojechał przez The Wisp, przeciął Niddrie i w ten sposób dotarł do domu opieki w niespełna dwadzieścia minut. Mitch siedział w holu ubrany w ciepły

płaszcz, szalik i kapelusz.

- Chciałbym wyjść – powiedział na widok syna.
- Jasne – zgodził się Fox. – Przyprowadzę auto bliżej.
- Jeszcze mi się nogi całkiem nie zastały – obruszył się ojciec.

Poszli więc do kolejnej przecznicy, gdzie Fox zostawił samochód. Pomógł ojcu zapiąć pas i ruszyli w krótką podróż do Portobello. Zatrzymali się w bocznej ulicy tuż przy promenadzie nadmorskiej.

- Trzeba było zaprosić panią Sanderson.
- Audrey spędzi ten dzień w łóżku – powiedział Mitch. – Przeziębiła się.

Potem, kiedy Malcolm odpinał jego pas, zmienił temat.

- Prosiłem, żeby połączyli mnie z Jude, ale jej telefon nie odpowiada.

– Pewnie nie odbiera, bo ma dosyć tych dziennikarzy. Albo poszła do sąsiadki.

- A jak ona się czuje?
- Jakoś to znosi.
- Wiecie już, kto mógł to zrobić?
- Nie prowadzę tej sprawy, tato.
- Wiem, ale myślałem, że będziesz miał na nią oko.

Fox pokiwał głową z namysłem.

- Na razie nie ma większych postępów...

Świeciło słońce, więc na promenadzie było sporo ludzi. Spacerowali też po plaży, niektórzy z psami, inni z dziećmi. Dzieciaki korzystały także z oddzielnej betonowej ścieżki dla rolkarzy. Od zatoki Firth of Forth ciągnął ostry wiatr. Fox zaczął się zastanawiać, czy z tego miejsca mógłby być widoczny jacht Charliego Brogana. Według gazet odprowadzono go do portu North Queensferry, co oznaczałoby, że do śledztwa prowadzonego przez edynburską policję przyłączy się także policja okręgu Fife. Komendanci obu służb będą się spierać, który ma dowodzić: wygra pewnie ten z Edynburga, ale za to gliniarze z Fife spędzą wiele miłych dni w stolicy.

- O czym myślisz? – spytał ojciec. Stali przy murku oddzielającym promenadę od plaży, patrząc w dal.

- Weekend to nie jest czas na myślenie – odparł Fox.
- Ale myślisz wciąż o swojej pracy.

Fox nie mógł zaprzeczyć.

- Rzeczywiście jest dużo roboty – przyznał.
- Powinieneś wziąć urlop.
- Miałem dłuższą przerwę w czasie Bożego Narodzenia.

– A wykorzystałeś ją? Mam na myśli porządne wakacje w jakimś ciepłym kraju, z basenem przy hotelu i posiłkami na tarasie. Na pewno możesz sobie na to pozwolić, jeśli tylko moje rachunki za bardzo cię nie obciążają.

Fox spojrzał na ojca.

– Lauder Lodge to prawdziwy dar niebios, tato. Nie żałuję ani jednego wydanego na nich pensa.

– Założę się, że twoja siostra się nie dokłada.

– Nie musi. Stać mnie na to.

– Ale robi się cienko, prawda? Przecież wiem, ile ten pokój kosztuje i ile ty zarabiasz...

Fox roześmiał się cicho, ale nic nie powiedział.

– A co będzie, jeśli poznasz jakąś miłą dziewczynę i wyjedziecie gdzieś daleko?

– Co ci przychodzi do głowy? – spytał Fox z uśmiechem.

– Nie pożyję już długo, Malcolm, obaj o tym wiemy. A chciałbym mieć pewność, że moje dzieci mają się dobrze.

– Mamy się całkiem dobrze, tato. – Położył dłoń na rękawie płaszcza ojca. – A ty nie powinienesz tak mówić.

– To chyba moje prawo.

– Pewnie tak, ale jednak...

Fox wytarł nos i rozejrzał się po promenadzie.

– Chodźmy coś zjeść – zaproponował.

Zjedli rybę z frytkami na tekturowej tacce, siedząc na murku nad plażą.

– Na pewno nie jest ci zimno? – spytał Fox.

Stary człowiek pokręcił przecząco głową.

– Ten zapach zawsze przypomina mi wakacje i te wspaniałe czasy.

– Tak, te uczyły w sobotę wieczorem – zgodził się Mitch Fox. – Tyle że twoja matka nie przepadała za rybą. Dla niej musiał być kurczak albo stek.

– Jak się nazywała ta buda koło nas? – Malcolm zmarszczył brwi z wysiłku, usiłując sobie przypomnieć. Ojciec nie był w stanie mu pomóc.

– Nie pamiętam – powiedział.

– Chyba powinienem zapytać w Lauder Lodge o jakiś pokój dla mnie.

– Zapytaj.

– O pokój czy o nazwę tej smażalni?

Mitch Fox uśmiechnął się na te słowa. Był już najedzony, więc zaproponował resztę swojej porcji Malcolmowi, ale ten też nie chciał. Wstali i ruszyli na spacer. Mitchowi szło to początkowo ciężko, ale starał się tego nie okazywać. Ludzie, których mijali, często kłaniali się albo wołali: „Hello!”. Kręciło się wokół nich wiele mew, lecz Fox zdążył już wyrzucić resztę jedzenia do kosza.

- Hearts grają dziś u siebie czy na wyjeździe? – spytał Mitch.
- Nawet nie wiem, z kim grają.
- Lubieś chodzić na mecze, gdy byłeś mały.
- Najbardziej lubiłem, kiedy przeklinali. A na meczu to już chyba cały rok nie byłem.

Ojciec patrzył przez chwilę na morze, potem zapytał:

- Naprawdę wszystko w porządku?
- Naprawdę... to nie wszystko.
- Możesz mi powiedzieć coś więcej?

Ale Malcolm mógł jedynie pokręcić głową.

Zobaczyli jakiś pub i weszli do środka. Mitch poszukał wolnego stolika, a Malcolm zamówił napoje: gazowaną wodę i małe piwo hinduskie. Przy stoliku ojciec spytał, jak dawno już Malcolm nie pił „prawdziwego” drinka, i wyznał, że Audrey Sanderson trzyma w swoim pokoju zapas brandy. Fox przez dobrą minutę milczał, po czym ciężko westchnął.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego przestałem pić?
- Bo zdałeś sobie sprawę, że to cię może zabić? – próbował zgadnąć ojciec. Malcolm jednak zaprzeczył.

– Gdy Elaine odeszła, bardzo to przeżywałem. Dręczyłem ją telefonami do tego stopnia, że gdyby chciała, to mogłaby mnie oskarżyć o nękanie. Któregoś wieczoru spotkałem się z nią. Byłem już mocno wlany i uderzyłem ją.

Zamilkł, jakby czekając na reakcję ojca, ale ten nic nie mówił.

- Oczywiście mogła mnie oskarżyć. Moja kariera byłaby skończona. Kiedy zadzwoniłem, żeby ją przeprosić... no, nie od razu chciała ze mną rozmawiać, w końcu powiedziała tylko: „Przestań pić”. Zrozumiałem, że ma rację.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – spytał Mitch cicho. – Dlaczego właśnie teraz?

- Z powodu Vince'a – odparł syn. – Zawsze go nienawidziłem za to, jak traktował Jude, ale teraz, kiedy nie żyje...

Mitch czekał, aż syn spojrzy mu w oczy.

- Nie jesteś taki jak on. Nawet nie próbuj tak myśleć.

Przesiedli się, żeby oglądać futbol w telewizji. Przesiedzieli tak do końca meczu. Była już piąta i prawie ciemno, kiedy wyszli z pubu. Fox w milczeniu odwiózł ojca do Lauder Lodge. Tu natknęli się na srogie miny personelu. W końcu okazało się, że „pan Fox spóźnił się na kolację”.

– Ma pan szczęście, zatrzymaliśmy ją dla pana – powiedziała dyżurna.

– Wątpliwe szczęście – mruknął Mitch i wyciągnął rękę do syna. Malcolm uściśnął ją serdecznie.

W drodze do domu pomyślał o kwiatkach dla Annie Inglis. Przypomnił sobie, że wczoraj Annie podała mu SMS-em swój adres, nieświadoma, że on już go zna. Zastanawiał się też, czy kupić coś dla jej syna. Tylko co? A kwiaty mogą zwiędnąć przez noc. Zatem prosto do domu na kolejną kolację z lodówki i dalsze sortowanie książek. Wrócił myślą do rozmowy w pubie. *Nie jesteś taki jak on... Nawet nie próbuj tak myśleć...* Kiedy otwierał drzwi, zauważył jakąś kartkę w skrzynce. Była od Jamiego Brecka.

ZADZWOŃ DO MNIE, GDY WRÓCISZ.

Wyjął z kieszeni telefon, ale się zawahał i przez chwilę postukiwał komórką o zęby. Potem zamknął drzwi domu i wrócił do samochodu. Pięć minut później zaparkował na ulicy przed domem Brecka. Domy miały tutaj własne podjazdy i garaże, co sprawiało, że było mnóstwo miejsca przy krawężnikach. Zdał sobie sprawę, że van z podsłuchem musiał się w tej sytuacji rzucać w oczy. Kiedy zamykał pilotem samochód, z domu Brecka wyszła jakaś młoda kobieta. Po drodze poprawiała płaszcz i owijała szyję szalikiem. Podeszła do mazdy Brecka, ale spostrzegła Foxa i najwyraźniej go rozpoznała. Uśmiechnęła się i pozdrowiła go ruchem dłoni.

– Jadę po pizzę. Dla pana też?

Fox skinął twierdząco głową i zatrzymał się na ścieżce prowadzącej do domu.

– Pani Annabel, prawda?

Przytaknęła i otworzyła drzwi kierowcy.

– Otworzyliśmy butelkę wina – poinformowała go i jeszcze raz machnęła ręką, zanim odjechała. Fox zadzwonił do drzwi i czekał.

– Czegoś zapomniałaś? – spytał Breck, otwierając drzwi. Sze-roko otworzył oczy ze zdumienia. – O, to ty.

Miał na sobie T-shirt i dżinsy, był na bosaka. Z wnętrza dochodziła muzyka; Fox uznał ją za brazylijską.

– Nie chciałbym przeszkadzać... – zaczął Fox.

– Annabel właśnie pojechała po pizzę... – Breck przerwał. – Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

Cholera, dobre pytanie... – pomyślał Malcolm.

– Chyba zapamiętałem ulicę – wyjaśnił. – A jak już tu wjechałem, miałem szczęście. Zobaczyłem Annabel wychodzącą z domu i przypomniałem ją sobie z Torphichen.

– No to mój grzeszny sekret się wydał.

– Jest twoją dziewczyną?

– Tak.

– A Giles o tym wie?

– Na pewno podejrzewa, zresztą to nie tajemnica państwowa. Tyle że będą nam docinać, kiedy się wyda.

– Jaki ona ma stopień?

– Konstabl detektyw, a nazywa się Cartwright, żeby już było całkiem miło i formalnie... – Breck znowu przerwał. – Wejdz, proszę.

Fox wszedł za nim do środka. Mieszkanie miało bardzo nowoczesny rozkład i równie nowoczesnie było urządzone. Muzykę zapewniał system MP3, a na ścianie wisiał duży płaski telewizor. Światła były przyćmione, ale Breck je rozjaśnił. Na podłodze przy sofie stała butelka wina i dwa kieliszki, leżały tam też buty i skarpetki Brecka.

– Posłuchaj, naprawdę nie chciałbym wam przeszkadzać – powtórzył Fox.

– Nie przeszkadzasz, Malcolm. Ja chyba ciągle jestem w szoku po wczorajszym. A ty?

Fox przytaknął i schował ręce do kieszeni płaszcza.

– Chciałeś mi coś powiedzieć? – zachęcił.

Breck opadł na sofę. Sięgnął po swój kieliszek z winem i zbliżył go do ust.

– Chodzi o twojego przyjaciela Kaye'a – odparł i wypił łyk.

– Co takiego?

– Annabel powiedziała mi to dzisiaj. Najpierw chciałem do ciebie dzwonić, ale pomyślałem, że lepiej załatwić to osobiście. Podjechaliśmy pod twój dom, a ponieważ cię nie było, wrzuciłem tę kartkę do skrzynki.

– Co z Tonym Kaye'em...?

Breck poruszył kieliszkiem, by wprawić wino w ruch wirowy.

– Pamiętasz, że mówiłeś mi o jakimś tajemniczym gościu twojej siostry w poniedziałek wieczorem? – Obserwował Foxa ponad brzegiem kieliszka.

– To Kaye? – spytał Fox.

– Jakiś „zaniepokojony obywatel” zawiadomił policję o samochodzie nieprawidłowo zaparkowanym na jej ulicy z kołami na chodniku. Na pewno kochasz tę armię dobrowolnych stróżów parkingowych w Edynburgu. – Breck zdobył się na słaby uśmiech. Wziął z sofy pilota i przyciszył muzykę. – Tak czy owak, sprawa została zgłoszona, więc musieli to zanotować. Jak się okazało, ten zaniepokojony obywatel zapisał sobie część numeru rejestracyjnego, a także model samochodu: Nissan X-Trail.

– Tony Kaye rzeczywiście takim jeździ.

– A i numer rejestracyjny pasuje.

– Część numeru – przypomniał Fox z naciskiem.

– Część – zgodził się Breck. – Ale to wystarczy Billy'emu Gile-sowi.

Fox zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

– Przecież to nic nie znaczy.

– Może i nie. – Breck wypił następny łyk wina. – Ale pomyśla-łem, że powinieneś o tym wiedzieć, zwłaszcza jeśli Kaye sam ci tego nie powiedział.

Fox nie wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko pokiwał głową.

– Czy on wie, że go namierzyli?

– Został już wezwany na jutro na Torphichen.

– Zespół Gilesa pracuje w niedzielę?

– On uważa, że budżet to wytrzyma. Zostaniesz z nami i zjesz trochę pizzy?

– Nie mogę... Dziękuję, że mnie zawiadomiłeś, ale nie chciałbym sprawiać kłopotów Annabel.

– Annabel jest mądrzejsza niż my obaj razem wzięci i sprytniej-sza.

– Jeszcze raz przepraszam, że się tu wpakowałem... – zaczął Fox, ale Breck zbył to machnięciem ręki. Otworzył drzwi frontowe i stał w nich, obserwując, jak Fox idzie ścieżką w stronę ulicy.

– Malcolm! – zawołał nagle. Fox zatrzymał się i odwrócił głowę w jego stronę. – Skąd znałeś nazwę mojej ulicy? Kiedy mnie podwiozłeś, wcale ci tego nie mówiłem.

Nie czekając na odpowiedź, zamknął drzwi. Parę sekund później z domu odezwała się znowu głośna muzyka. Malcolm Fox ciągle tkwił w tym samym miejscu.

– Szlag by to! – powiedział do siebie i sięgnął do kieszeni po tele-fon.

Tony Kaye był w jakiejś restauracji z żoną. Przeprosił ją i odszedł

od stołu, w słuchawce można było usłyszeć głosy mijanych po drodze kelnerów i gości. Fox zdążył w tym czasie dojść do samochodu. Siedział teraz za kierownicą, ale nie włączył silnika.

– Powiedz lepiej od razu, co ci przyszło do głowy? – spytał. – I kiedy zamierzałeś mnie o tym zawiadomić?

– A ty mi odpowiedz na znacznie ciekawsze pytanie, Lisku. Kto, do ciężkiej cholery, powiedział to tobie?

– Nieważne – uciął Fox. – Czy to prawda?

– Co mianowicie?

– Kręciłeś się koło domu Jude w poniedziałek wieczorem.

– No i co z tego?

– Na litość boską, po coś tam łąził? – Fox nerwowo pocierał palcami grzbiet nosa.

– Lisku, przecież sam mi powiedziałeś, że ten facet złamał rękę twojej siostrze.

– To mój problem, nie twój.

– Ale obaj dobrze wiemy, że sam nic byś z tym nie zrobił!

– A co ty zamierzałeś „z tym zrobić”, Tony? Przywalić mu?

– Czemu nie? Może to by go nauczyło.

– A oni oboje by myśleli, że to ja cię nasłałem!

– Jakie to ma znaczenie? – Kaye podniósł głos. – I tak nie było go w domu.

Fox westchnął głęboko.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

– Twoja siostra była pijana, pomyślałem, że nie będzie tego pamiętać.

– Za to teraz Giles zmiażdży ci jaja.

– Będzie jakaś odmiana, zwykle robi to żona.

– To nie jest temat do żartów, Tony. Giles będzie chciał wiedzieć o wszystkim, co robiłeś w poniedziałek. Jeśli o czymś zapomnisz, od razu będziesz podejrzany. A McEwan już stracił jednego człowieka, Tony...

– No, wiem...

– Giles bardzo by chciał rozwalić nasz zespół.

– Przyjąłem do wiadomości i zrozumiałem.

Fox milczał przez chwilę. Potem zapytał:

– W której knajpie jesteś?

– Cento Tre przy George Street.

– Jakaś szczególna okazja?

– Świętujemy, bo przez cały tydzień udało nam się nie pozabijać

nawzajem. Tak jak w każdy weekend. Widziałeś może, jak grali Hearts?

– Bądź ostrożny jutro.

– Masz na myśli Torphichen? Niedziela poza domem... a dla mnie to i tak święto i kumulacja w lotto.

Odgłosy tła się zmieniły, najwyraźniej Kaye wyszedł na ulicę. Było słychać wrzaski i chichot jakiejś pijanej kobiety oraz klakson samochodu.

– Że też ludzie nie mają wstydu się bawić... – skomentował Kaye.

– Nie zdają sobie sprawy, że to dno kryzysu kredytowego?

– Bądź ostrożny jutro – powtórzył Fox, obserwując, jak agentka o wdzięcznym imieniu Annabel wraca z pizzą samochodem Brecka. – I odezwij się potem.

Niedziela, 15 lutego 2009

14

Annie Inglis mieszkała na ostatnim piętrze wiktoriańskiej kamienicy w Merchiston. Jej nazwisko było przy domofonie, a kiedy Fox nacisnął dzwonek, odezwał się męski głos.

- Kto tam?
- To Duncan, prawda? Jestem Malcolm Fox.
- Okay.

Fox pchnął drzwi i znalazł się na klatce schodowej wyłożonej glazurą. Tuż przy wejściu stały dwa rowery. Wspiął się wolno po schodach w stronę szklanej kopuły, przez którą wlewało się mocne południowe światło słoneczne. Jego program tego ranka obejmował kawę, zakupy i dalsze czytanie gazet. Teraz miał z sobą torbę, w której była butelka wina, bukiet wczesnych żonkili dla gospodyni i kupony iTunes dla jej syna. Duncan czekał na niego na górze przed drzwiami mieszkania. Fox próbował zignorować trudy wspinaczki.

- Dobrze robi na formę! – powiedział.

Duncan tylko mruknął coś pod nosem. Był wysoki i chudy, a proste ciemne włosy opadały mu na oczy. W jego starannie dobrane dzinsy i T-shirt zmieściłby się zapewne ktoś dwa razy cięższy. Wszedł do środka i kiwnął palcem, by Fox podążył za nim. Długi i wąski korytarz dawał dostęp do sześciu pomieszczeń. Stara, zapewne oryginalna podłoga była świeżo wycyklinowana i polakierowana. Kask rowerowy leżał obok telefonu na jedynym stoliku, nad którym na haczykach wkręconych w ścianę wisały różne klucze.

– Mama jest... – Duncan wskazał niejasno palcem i zniknął za drzwiami swojego pokoju.

Widniała na nich nalepka: ZALEGALIZOWAĆ MARIHUANĘ, a z wnętrza dochodził charakterystyczny szum wentylatorów komputera. Otwarte drzwi na końcu korytarza prowadziły do salonu. Był przestronny, z dużym wykuszowym oknem dającym widok na las nasad kominowych – aż do centrum miasta i pewnie dalej na północ. Zanim jednak Fox mógł to sprawdzić, usłyszał dźwięki z

pomieszczenia po prawej stronie. Drzwi kuchni były lekko uchylone, mógł więc zajrzeć do środka. Annie Inglis właśnie mieszała coś w garnku. Miała zaczerwienioną twarz i wyglądała na podenerwowaną. Postanowił nie przeszkadzać i wszedł do salonu. Pod oknem stał stół nakryty dla trzech osób. Fox postawił na nim swoją torbę i rozejrzał się wokół. Sofa, fotele, telewizor i system hi-fi, półki pełne książek, płyt CD i DVD. Były też fotografie w ramkach, a na nich Annie i Duncan oraz para starszych ludzi (zapewne jej rodzice); nic jednak nie wskazywało na to, by w życiu tej rodziny jakąś rolę odgrywał ojciec Duncana.

– Jesteś... – Pojawiła się w drzwiach z trzema kieliszkami do wina.

– Duncan mnie wpuścił.

– Nie słyszałam cię.

Postawiła kieliszki na stole i zauważyła torbę.

– To dla ciebie – powiedział. – I coś dla Duncana.

Zajrzała do środka i się uśmiechnęła.

– To miło z twojej strony.

– Jeśli masz robotę w kuchni, to nie przejmuj się mną, znajdę sobie jakąś rozrywkę. Albo mogę ci w czymś pomóc...

Pokręciła głową.

– Już prawie gotowe – powiedziała, zabierając torbę. – Tylko daj mi jeszcze dwie minuty.

– Oczywiście.

– Zrobić ci drinka?

– Prawdę mówiąc, nie piję.

– No to może sok z żurawin? To jedyne źródło witamin, jakie Duncan toleruje.

– Tak, sok z żurawin chętnie.

– Dwie minuty – powtórzyła i wyszła.

Fox wrócił do oglądania pokoju. Jej ulubioną gazetą niedzielną był „Observer”. Lubiła powieści Iana McEwana i filmy z napisami. Jej upodobania muzyczne rozciągały się od Alana Stivella do Erica Bibba. Wszystko to nie uczyniło Foxa ani trochę mądrzejszym. Podszedł do okna i natychmiast pozazdrościł jej widoku: na miasto i na zatokę aż po jej północny brzeg.

– Mama kazała mi podziękować. – Tym razem w drzwiach salonu stał Duncan. Wymachiwał kuponem o wymiarach karty kredytowej.

– Nie byłem pewien, czy ściągasz nagrania – powiedział Fox.

Duncan kiwnął twierdząco głową, potem machnął kuponem jeszcze raz i odszedł. Piętnaście lat – Fox próbował sobie przypomnieć, jaki on sam był w tym wieku. Klócił się z Jude, nawet często. Potrafił się z nią drażnić, doprowadzając ją niemal do płaczu. Czasem nawet ciskała w niego różnymi przedmiotami. Piętnaście lat... już wtedy zaczynał pić. Cydr w parku z kolegami. Najtańsze wino, butelka whisky na czterech.

– Proszę!...

To była znowu Annie Inglis z sokiem z żurawin w wysokiej szklance. Rozejrzała się po pokoju.

– Prosiłam Duncana...

– Zrobił to. Wygląda na grzecznego chłopca.

Podąła mu szklankę.

– Usiądź. Zaraz wezmę i sobie coś do picia.

Przyniosła szklaneczkę białego wina i przelała je do właściwego kieliszka, który wzięła ze stołu. Potem usiadła na sofie z kieliszkiem w rękę.

– Na zdrowie – powiedziała i stuknęła kieliszkiem w jego szklankę.

– Na zdrowie. I dziękuję za zaproszenie.

– Zwykle nie gotujemy obiadu w niedzielę. – Otworzyła szerzej oczy, jakby się jej coś przypomniało. – Mam nadzieję, że nie jesteś wegetarianinem?

– Nawet nie wymawiaj tego słowa.

– Bo zrobiłam wieprzowinę w jabłkach. I hamburgera dla Duncana.

– Nie jada wieprzowiny?

– Wybrzydza.

Wypiła duży łyk wina, potem odetchnęła z ulgą.

– No, teraz już lepiej. – Uśmiechnęła się do niego. – To nie znaczy, że muszę.

– Twoje tajemnice są u mnie bezpieczne.

– Gilchrist... Wiesz już?

– Właśnie miałem cię zapytać o to samo.

– Zastanawiam się, co takiego ma Wydział Spraw Wewnętrznych, czego nie ma CEOP.

– Przecież to tylko tymczasowe.

– Ale zgodził się dosyć skwapliwie.

– Myślisz, że powinni to byli zaproponować raczej tobie?

– Nie przyjąłabym – ucięła natychmiast. – Nie tylko dlatego, że

to twoja praca... A ty, jak się czujesz?

– Dziękuję, świetnie. Ale przypomniałem sobie ten napis na drzwiach CEOP: że przy prowadzeniu prac muszą być jednocześnie obecne co najmniej dwie osoby...

– Tak, przyglądanie się temu w samotności może powodować problemy.

– Nie wiem, jak można to wytrzymać nawet we dwójkę.

– Jest na to sposób: nie koncentrować się na tym, co widzisz na pierwszym planie, tylko badać tło, szukać elementów umożliwiających identyfikację miejsca.

– Ale musi cię to denerwować. Ty też przecież masz dziecko.

– Dlatego pracę przy komputerze ograniczamy do dwóch godzin dziennie. Poza tym trzy razy do roku przechodzimy badania, obowiązkowe badania z konsultacją psychologiczną. To działa: kiedy wracam do domu, zupełnie zapominam o biurze.

– Mimo to musi być ciężko.

– Taka praca – powiedziała i znów wypila tęgi łyk wina. – A co z tobą, Malcolm? Co dalej?

Wzruszył ramionami i podniósł do ust swoją szklankę.

– Co zamierzasz zrobić ze sprawą Brecka?

– A co ja mogę zrobić?

– Możesz przynajmniej coś o tym powiedzieć?

Pokręcił stanowczo głową.

– Dlaczego?

Spojrzała na niego błagalnie, więc uniósł ręce do góry w geście kapitulacji.

– Zobaczą, co tam z mięsem – powiedziała i wstała. Była ubrana w czarne obcisłe sztruksowe spodnie i kremowy wełniany sweter. Fox obserwował ją z przyjemnością, gdy wychodziła z pokoju.

Obiad okazał się znakomity. Duncan prawie się nie odzywał ukryty za kurtyną swoich długich włosów. Wieprzowina przybrana masą warzyw była bardzo delikatna. Duncan oprócz swojego hamburgera zjadł jeszcze kawałek pieczeni z dwoma gotowanymi ziemniakami. Na deser był biszkopt z owocami i bitą śmietaną. Duncan zapytał, czy może zabrać ciastko do swojego pokoju, na co matka wydała głębokie dramatyczne westchnienie, ale się zgodziła. Po deserze Fox pomógł jej sprzątnąć stół. W kuchni było oczywiście dużo brudnych naczyń, lecz uparła się, że pozmywa później.

– Duncan mi pomoże, zapewniam cię.

Potem znowu usiedli na sofie z kawą i domowej roboty tabletem*.

* Tablet – cukierki waniliowe produkowane z cukru i mleka, podobne do polskich krówek.

Kwiaty, które przyniósł Fox, stały w wazonie na stoliku.

– Byłeś kiedyś żonaty, prawda? – spytała.

– Zgadza się.

– Ale nie masz dzieci?

– To nie trwało zbyt długo.

– Dlaczego?

– Chyba związaaliśmy się z sobą bez dobrych powodów.

– Tak...?

– Nie chcę cię nudzić szczegółami. – Założył nogę na nogę. – Co

Duncan myśli o twojej pracy?

– Potrafi o nią nie pytać.

– To wygodne, ale przecież wie, co robisz, i pewnie mówi o tym kolegom...

– Nigdy dużo o tym nie rozmawialiśmy. – Zsunęła buty i podciągnęła nogi pod siebie. Gdzieś z bliska dał się słyszeć dźwięk jakiegoś instrumentu dętego.

– To Duncan? – spytał Fox.

– Nie. To któryś z dzieciaków z dołu. Jego matka powiedziała mi, że to tuba. Z kolei za tą ścianą – wskazała na półki z książkami – mieszka perkusista.

– A Duncan?

– Dostał gitarę elektryczną na urodziny w zeszłym roku, ale nie bierze lekcji.

– Ze mną było podobnie: rodzice kupili mi komplet kijów do golfa i uznali, że sam się nauczę.

– Chłopcy w tym wieku bywają uparci. Twoi rodzice żyją?

– Ojciec tak.

– A co u twojej siostry? Chyba niedługo będzie pogrzeb, prawda?

– Może to jeszcze trochę potrwać, zanim wydadzą ciało.

– I nadal nic nie wykryto? Dlatego zacząłeś swoje własne śledztwo...

– W rezultacie posłano mnie na dobrze płatne wakacje...

– Masz zamiar gdzieś pojechać?

– Muszę siedzieć w domu. – Zamilkł na chwilę. – Czy jest możliwe, żebym zadał parę pytań Gilchristowi?

Spojrzała na niego, potem powiedziała:

– Nie sądzę, Malcolm. Przecież ty na pewno rozumiesz, co znaczy „zawieszenie”.

– Oczywiście.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Nie sądziłam, że masz taką buntowniczą naturę.

– Pewnie dlatego, że noszę szelki.

Roześmiała się głośno.

– Może i tak.

W drzwiach pojawiła się głowa Duncana.

– Wychodzę.

– Gdzie? – spytała.

– Na Princess Street.

– Umówiłeś się z kimś?

Wzruszył tylko ramionami.

– No dobrze. Pożegnaj się z Malcolmem.

– Cześć – powiedział Duncan. – I dziękuję za te...

– Może się jeszcze zobaczymy – odparł Fox. Siedzieli oboje w milczeniu, dopóki nie zatrzasnęły się frontowe drzwi.

– Podobno miał ci pomóc w kuchni? – rzekł Fox.

– Zrobi to, kiedy wróci.

– To musi być trudne... Mam na myśli życie z dala od ojca. Twoi rodzice nadal ci pomagają?

– Czasami odwiedzamy ich w weekendy.

– Ciągłe mieszkają w Fife?

Spojrzała na niego badawczo.

– Nigdy ci nie mówiłam, że spędziłam dzieciństwo w Fife.

– Na pewno mówiłaś.

Ale ona pokręciła spokojnie głową, ani na chwilę nie spuszczać go z oczu.

– Znalazłeś to w mojej teczce, prawda?

– Bardzo cię lubię, Annie...

– I dlatego grzebałeś w moich aktach osobowych. Znalazł pan coś ciekawego, inspektorze Fox?

– Tylko to, że nie ma tam żadnej wzmianki na temat Duncana.

Jej głos stał się twardy.

– Nie chcę, aby traktowano mnie, po pierwsze, jako pannę z dzieckiem, a po drugie, jako gliniarza.

– Potrafię to zrozumieć.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie kontrolowałaś!

– To mój zawód, Annie – powiedział, a potem się poprawił: – To był mój zawód.

– Nie w tym wypadku, Malcolm.

Próbował sklecić jakieś wytłumaczenie, ale Annie już wstała.

- Myślę, że powinienś już pójść.
- Annie, chciałem po prostu więcej o tobie wiedzieć...
- Dziękuję jeszcze raz za wino i kwiaty... – Rozejrzała się, unikając kontaktu wzrokowego, po czym ruszyła w stronę drzwi. – Muszę posprzątać w kuchni.

Patrzył, jak wychodzi z pokoju. Wciąż stał przy stoliku z filiżanką kawy w ręku. Odstawił ją i włożył marynarkę. Tymczasem ona zamknęła za sobą drzwi kuchni. Podeszedł bliżej i usłyszał, jak się tam krząta. Dotknął palcami klamki, nie dość mocno jednak, by otworzyć drzwi. Stał tak jeszcze dobrą minutę, marząc o tym, by wyszła. Ale ona włączyła radio. Classic FM – ta sama stacja, której i on czasami słuchał.

Nie w tym wypadku, Malcolm...

Mógł oczywiście otworzyć drzwi i przeprosić. Zamiast tego powlókł się przez długi korytarz i wyszedł. Na chodniku przed domem podniósł wzrok. Nikt nie obserwował go ani z wykusza na ostatnim piętrze, ani z sąsiedniego okna. Jakiś człowiek mył swój samochód zaparkowany przed jego volvem.

– Nareszcie ładny dzień – zagadnął wesoło do Foxa. Ten jednak nie odpowiedział, wsiadł do samochodu i odjechał.

Był w połowie drogi do domu, kiedy zadzwoniła komórka. Chwycił ją natychmiast, spodziewając się usłyszeć głos Annie. Ale to był Tony Kaye.

- Czego chcesz? – spytał Fox.
- Sam prosiłeś, żebyśmy zadzwonił w niedzielę – poskarżył się Kaye. – No to dzwonię, a ty mnie pytasz, czego chcę. Dziękuję!

Dopiero teraz Fox sobie przypomniał: Torphichen.

- Przepraszam, Tony. Jestem trochę zdekoncentrowany.
- Wściekły Billy chce mnie zrobić w sprawę śmierci Faulknera. Bardzo tego chce, ale wie, że nic z tego nie będzie i że połamałby na tym zęby.

– No i?

– Inny scenariusz jest taki, że to ty wałnąłeś Faulknera, a ja byłem jedynie chłopcem na posyłki. Powiedział, że może to nie był mój pomysł ani nawet twój, tylko Jude cię do tego nakłoniła. – Kaye zrobił przerwę. – Rzeczywiście tak było?

– Posłuchaj, Tony. Przed chwilą byłem na obiedzie w domu Annie Inglis.

– Fajnie!

– Skończyło się źle. Zorientowała się, że widziałem jej akta personalne.

– O Chryste! A kiedy je widziałeś?

– Gdy byłem w kadrach w sprawie Jamiego Brecka...

– I postanowiłeś przy okazji lepiej poznać Annie. Dla mnie to jasne.

– Dla niej nie.

– Wygląda mi to na nadwrażliwość.

Fox też tak myślał, ale nie zrezygnował ze swojej prośby.

– Chciałbym, żebyś jej jedną rzecz powiedział.

– Jaką?

– Że nie jestem natrętem.

– Dobrze, chociaż mam w tej sprawie tylko twoje oświadczenie...

– Przynajmniej będziesz miał co robić rano, kiedy Naysmith i ten nowy poczują się zbyt swobodnie.

Kaye wciągnął powietrze z głośnym świstem.

– O rany, zupełnie zapomniałem, że mamy na karku Gilchrista.

– Gdy te techniczne papużki nierozłączki zaczną szczebiotać, możesz się przejść do Chop Shop.

– Interweniować w twojej sprawie? Mam wrażenie, że Annie Inglis to w tej chwili najmniejsze z twoich zmartwień.

– Nie mogę sobie teraz mnożyć wrogów, Tony.

– Dobry argument. Okay, masz to załatwione. Ale jeśli ona zwróci uwagę na moje wdzięki zamiast na twoje...

– To nie omieszkać powiadomić twojej żony.

– Ty wstrętny łajdaku! – Roześmiał się Kaye. – Znam cię, na pewno byś tak zrobił.

– Skończyłeś już na Torphichen?

– Podejrzewam, że Giles wezwie mnie tam znowu. No i pewnie policja Grampian będzie chciała ze mną pogadać.

– Ich kontrolerzy?

– Giles wypaplał im wszystko o mojej wizycie u twojej siostry. Skoro badają twoje wystęпки, to w tej sytuacji zajmą się i mną.

– Coraz lepiej, prawda?

– Ale są też jaśniejsze strony. W tej wczorajszej restauracji zapomnieli mi policzyć za drugą butelkę wina.

Fox uśmiechnął się blade, potem jeszcze raz przypomniał Kaye'owi, by porozmawiał z Annie Inglis.

– Spokojnie! – odparł Kaye. – A jakie masz plany na resztę dnia? Może spotkamy się u Mintera?

- Mam robotę w domu.
- Jaką?
- Chcę poukładać książki alfabetycznie na półkach – odpowiedział Fox i zakończył rozmowę. Dojechał do domu przez nikogo już nie niepokojony.

W domu jednak na niczym nie mógł się skoncentrować. Stosy książek pozostały nietknięte. Nie przejrzał też półek z gazetami. Telewizor mało go bawił, a z okna mógł zobaczyć co najwyżej taki sam dom jak jego własny po drugiej stronie ulicy. Około ósmej ktoś nagle zadzwonił do jego drzwi. Szybko przywołał w myślach możliwych gości: Jamie, Tony Kaye, Annie Inglis...?

To była Jude. Taksówka, która ją tu przywiozła, właśnie odjeżdżała. Z ręką wciąż na temblaku Jude mogła jedynie zarzucić swój krótki płaszcz na ramiona.

- Miło cię widzieć – powiedział. Cmoknął ją w policzek i wprowadził do środka.

- Wyprowadzasz się? – spytała, zobaczywszy bałagan w salonie. Fox zaprzeczył ruchem głowy.

- Kawał czasu tutaj nie byłeś – zauważył.

- Chyba nigdy nas nie zaprosiłeś. – Strząsnęła z ramion płaszcz. Fox poszedł do kuchni i napełnił czajnik.

- Nadinspektor Giles dzwonił do mnie – wyjaśniła, stając na progu. – Mówi, że człowiek, który przyszedł do mnie w poniedziałek wieczorem, to wasz kolega.

- Tak, pracuje ze mną.

- Giles myśli, że to ty go wysłałeś.

- To nieprawda.

- Wysłałeś go, żeby zrobił za ciebie brudną robotę – ciągnęła dalej. – Nazywa się Kaye... Mam wrażenie, że mówiłeś mi o nim wcześniej. Skąd znał mój adres, Malcolm?

Fox odwrócił twarz w jej stronę.

- Posłuchaj, Jude... Ten typ Giles próbuje wszystkich trików, żeby mnie wkopać.

- Powiedziałeś Kaye'owi, gdzie mieszkam?

- Kiedyś pewnie wspomniałem. Ale nie wiedziałem, że wybiera się do ciebie.

- Szukał Vince'a. A tylko od ciebie mógł się dowiedzieć, co się stało... z moją ręką.

- No i?

Zamrugła oczami, by usunąć łzy.

- Nadinspektor Giles uważa, że mogłeś kazać zabić Vince'a.
- Nie zrobiłem tego.
- To dlaczego wysłałeś swojego kolegę?
- Nie wysłałem go. Szukał Vince'a, to prawda. Ale Vince już wtedy nie żył, Jude. Kaye o tym nie wiedział, więc nie ma z tym nic wspólnego.

Ból pęczniał w jego skroniach. Otworzył szufladę i wyjął pudełko paracetamolu. Połknął dwie tabletki i popił wodą z kranu.

Jude czekała, aż znowu będzie mógł jej poświęcić całą uwagę.

– Giles twierdzi, że Vince mógł zostać zabity w poniedziałek wieczorem. Mówi, że te testy mają zawsze duży margines błędu.

– Kłamie. Badanie patologiczne wykazało, że Vince umarł w sobotę lub w niedzielę.

Pojedyncza łza spłynęła po lewym policzku Jude.

– Chciałabym, żeby to się wreszcie skończyło – powiedziała załamującym się głosem. Fox podszedł bliżej i delikatnie położył ręce na jej ramionach.

– Wiem – powiedział, gdy wtuliła twarz w jego pierś.

Spędzili razem jeszcze półtorej godziny, rozmawiając spokojnie w salonie. Wypiła herbatę, którą dla niej zaparzył, lecz nie chciała nic jeść. Obiecała mu, że za to jutro zje porządne śniadanie. Fox wziął z kuchni nową paczkę płatków i kazał jej zabrać do domu. Kiedy zaproponował także karton mleka, roześmiała się i powiedziała, żeby aż tak nie panikował. Ale on miał wrażenie, że w gruncie rzeczy było jej przyjemnie.

Wezwał taksówkę i wcisnął jej w garść dziesięciofuntowy banknot. Potem jeszcze raz cmoknął ją w policzek, zamknął za nią drzwi taksówki i pomachał ręką na pożegnanie, gdy odjeżdżała. Wcześniej, jeszcze w salonie, spytała, czy był ostatnio u ojca, a on skłamał: nie chciał, żeby czuła się pominięta. Następnym razem, kiedy odwiedzi Mitcha, zabierze ją oczywiście z sobą. Powinna być na tych spotkaniach tak samo jak on. Są przecież rodziną.

Zrobił sobie jeszcze jedną herbatę i poszedł do łóżka. Dochodziła dopiero dziesiąta, ale nie był już w stanie o niczym myśleć.

Poniedziałek, 16 lutego 2009

15

Budzik obudził go jak zwykle o siódmej. Był już pod prysznicem, kiedy zdał sobie sprawę, że nie ma żadnej potrzeby, by wstawać tak wcześnie. Nie musiał się też ubierać w świeżą koszulę z nowym krawatem, w garnitur i szelki. Świadomość ta nie powstrzymała go jednak od zrobienia wszystkich tych rzeczy. Kiedy jadł śniadanie, zadzwonił telefon. Kobieta, która przedstawiła się jako Stoddart z Zespołu Kontroli Wewnętrznej policji Grampian, „zaprosiła” go na rozmowę w komendzie przy Fettes Avenue.

- Powiedzmy o trzeciej po południu?
- Doskonale – zgodził się Fox.

Dzień był chłodny i pochmurny. W ogródku od frontu zaczęły się pojawiać śnieżyczki, a w Meadows i innych parkach miejskich pewnie zaczęły wychylać już głowy pierwsze odważne krokusy. Postanowił przejechać przez Meadows po drodze do Leith. Nadkładał w ten sposób drogi, ale nagrodą był długi przejazd przez Holyrood Park. Zresztą wcale się nie spieszył.

Kilka lat wcześniej Fox i jego ludzie prowadzili śledztwo w sprawie oficera z komisariatu na Leith. Brał łapówki i przymykał oko na grzechy ofiarodawców. Zeznawał przeciwko niemu jego pracownik, choć pod warunkiem zachowania anonimowości. Spotkania odbywały się w taniej garkuchni w pobliżu doków i tam właśnie wybrał się Fox dzisiaj. Bar nazywał się The Marina, z zewnętrznych ścian schodziła farba, a w środku wszystko było tłuste od oparów oleju. Znajdowało się tu zaledwie kilka stolików z blatami z laminatu i parapet pod oknem, przy który, można było stanąć i coś zjeść, jeśli ktoś miałby na to ochotę. Właścicielką była potężna kobieta o czerwonej twarzy; zajmowała się głównie kuchnią, a gości obsługiwała kelnerka – młoda dziewczyna ze wschodniej Europy. Fox siedział tam już piętnaście minut z kubkiem piekielnie mocnej herbaty w dłoniach, kiedy do baru wszedł Max Dearborn. Od ostatniego spotkania przybyło mu co najmniej pięć kilogramów i kolejny podbródek. Wciąż

miał młodzieńczy trądzik wokół ust, ale jego czarne, gładko przylizane włosy wydawały się mocno przerzedzone. Jeszcze bardziej niż dawniej mógł uchodzić za szkockiego krewniaka Olivera Hardy'ego.

– Cześć, Max – powitał go Fox.

Dearborn opadł ciężko na krzesło naprzeciw Foxa i odpowiedział zachrypniętym głosem:

– To jakiś fantastyczny zbieg okoliczności?

Fox pokręcił przecząco głową. Podeszła kelnerka, zamówił roladę z bekonu.

– Dla ciebie to, co zwykle, Max? – spytał Dearborna, który bez wahania przytaknął.

Kiedy kelnerka odeszła, Fox odezwał się cicho:

– Słyszałem, że jesteś już sierżantem. Gratuluję.

Dearborn odpowiedział wykrzywieniem ust. Fox pamiętał go z czasów, kiedy pracował jako szeregowy detektyw; był policjantem z powołania i miał żelazne zasady, ale nie lubił się narażać kolegom. Tony Kaye nazywał go Serpico.

– Czego chcesz? – spytał Dearborn. Rozejrzał się uważnie, jakby szukał ewentualnych wrogów lub szpiclów.

– Pracujesz przy sprawie tego topielca, Charliego Brogana?

Fox poczuł nagle, że się poci, a jego serce bije stanowczo za szybko. Ta herbata miała dość taniny, by powalić wołu. Odstawił kubek na bok.

– To jeszcze nie topielec – poprawił go Dearborn. – A co ci do tego?

– Ciekawi mnie to po prostu. Uznajmy, że rewanżujesz mi się za przysługę.

– Przysługę?

– Trzymałem twoje nazwisko w ukryciu.

– To jakiś rodzaj szantażu?

Fox pokręcił głową. Kelnerka przyniosła kawę dla Dearborna. Wsypał dwie łyżeczki cukru i hałaśliwie zamieszał.

– Jak powiedziałem: po prostu interesuje mnie to. I chciałem się dowiedzieć czegoś więcej.

– Akurat ode mnie? – Dearborn spojrzał mu prosto w oczy. – A mogę wiedzieć, skąd to zainteresowanie?

– Brogan może być zamieszany w inną sprawę.

– Coś dla kontrolerów? – Ton głosu Dearborna stał się nagle znacznie bardziej przyjazny.

– Być może. Na razie mało wiemy, ale gdyby coś się wyjaśniło,

potrafię się odwdziaczyć. – Fox przerwał na chwilę. – Wiesz, że mój szef miał co nieco do powiedzenia przy twoim awansie?

– Myślę, że to możliwe.

– Mogłoby się to znowu zdarzyć, Max... – Fox pozwolił wybrzmieć ostatnim słowom.

Dearborn siorbnął trochę kawy, potem jeszcze raz i zagłębił się w myślach. Fox czekał spokojnie z dłońmi na kolanach, bo nie chciał, by jakakolwiek część jego ubrania dotykała stołu.

Kelnerka powróciła z zamówionymi daniami: roladą z bekonu dla Focha i fry-up* dla Dearborna. Talerz młodego człowieka był kopiasty; Dearborn uśmiechnął się z wdzięcznością do kucharki, a ta odwzajemniła uśmiech. Fox rozwinął swoją roladę, bekon wydawał mu się niedosmażony i łykowany. Zawinał ją z powrotem i odsunął talerz. Dearborn natomiast obficie polał burym sosem plastry bekonu, sadzone jajko, kielbasę, fasolę i grzyby.

* Fry-up – obfite danie śniadaniowe (w Anglii zwane także po prostu English breakfast, śniadanie angielskie), na które składają się jajka, bekon, mięso, kielbaski, fasola, pieczarki, pomidory – a wszystko, zgodnie ze szkodłą nazwą, smażone.

– Wygląda niezłe – powiedział Fox.

Dearborn tylko skinął głową i zabrał się do jedzenia, nie spuszczać przy tym wzroku z Focha.

– Ciągłe nie ma ciała – powiedział.

– To coś niezwykłego? – spytał Fox.

– Nie, o ile się na tym znam. W tej zatoce prądy są zmienne. Mogły go wynieść na otwarte morze. A mogła go też przerobić na miazgę śruba jakiegoś statku. Straż Przybrzeżna pracuje od świtu do nocy. Mamy też patrole na obu brzegach, południowym i północnym.

– Słyszałem, że policja z Fife chce przejąć śledztwo.

Dearborn pokręcił głową. Po obu stronach jego ust były już ślady żółtka.

– Nic z tego nie będzie. Poprosiliśmy ich o pomoc, ale to jest w gestii naszego wydziału D, bezdyskusyjnie.

– A więc gdzie jest teraz jacht?

– W Dalgety Bay.

– O ile wiem, to w hrabstwie Fife.

– Jeszcze dzisiaj zostanie przyholowany do Leith.

– Rozumiem, że już go sobie wstępnie obejrzeliscie.

– Zespół śledczy tak – potwierdził Dearborn.

– Znaleźli alkohol i prochy... – powiedział Fox.

– Widzę, że jesteś dobrze poinformowany. Nie było żadnego listu

od samobójcy, ale to się podobno często zdarza. Parę dni wcześniej kontaktował się jednak ze swoim notariuszem w sprawie jakichś szczegółów testamentu.

Fox zmrużył oczy.

- Kiedy dokładnie?
- We wtorek po południu.
- Chciał coś zmienić?

Dearborn pokręcił głową.

- Przypuszczam, że wszystko dostanie wdowa – rzekł Fox.
- To zależy od tego, czy znajdziemy ciało. Dopóki nie znajdziemy, będzie musiała czekać. Takie jest prawo.

Dearborn skoncentrował się na swoim daniu. Potem nagle postanowił się podzielić z Foxem jeszcze jedną wiadomością.

– Znalaziono jego buty. Nazywają to butami pokładowymi. Ta-
plały się w wodzie przy Inchcolm Island. – Przerwał. – Zakładając, że
to ma coś wspólnego z twoją robotą, cokolwiek to jest, czy mógłbym
w tym brać udział tak, żeby nikt z moich nie wiedział o tej rozmowie?

– Jest na to sposób – odparł Fox. – Zaufaj mi.

Kiedy Dearborn opróżnił talerz, podeszła kelnerka i spytała Foxa,
czy coś jest nie tak z jego roladą.

– Nie, po prostu nie mam apetytu – odparł. Potem spojrzął na
Dearborna. – Ja zapłacę.

– Twoje pieniądze tutaj nie idą.

– Jak to?

– Było tu włamanie parę miesięcy temu. Zadbalem o to, żebyśmy
zbadali ten lokal trochę staranniej...

– Jesteś pewien, że powinieneś mówić o tym facetowi z Wy-
działu Spraw Wewnętrznych?

Max Dearborn mrugnął porozumiewawczo i z pewnym wysiłkiem
wstał z krzesła. Postanowił, że wyjdzie pierwszy. Fox odprowadzał go
wzrokiem i zastanawiał się nad jego nieodległą przyszłością:
nadciśnienie, cukrzyca, a może choroba wieńcowa? Jakiś rok temu
jego własny lekarz przepowiadał mu to samo. Od tego czasu zrzucił
kilka kilogramów i rzeczywiście czuł się trochę lepiej. Wyszedł przed
bar i słuchał krzyku mew. Potem ruszył pieszo w stronę komendy
wydziału D przy Queen Charlotte Street. Podobnie jak komenda na
Torphichen wyróżniała się sztywną, ponurą wiktoriańską fasadą, za to
wnętrze w odróżnieniu od Torphichen zachowało ślady dawnego
majestatu: marmurowe posadzki, rzeźbione drewniane balustrady,
ozdobne kolumny. Dearborn był już pewnie w środku. Kończąc roz-

mowę z Foxem, obiecał, że będzie w kontakcie. Fox dał mu numer komórki. „Tak najłatwiej mnie znaleźć” – powiedział. Ostatnia rzecz, jakiej mógł sobie życzyć, to telefon Dearborna do biura przy Fettes, gdzie usłyszałby, że inspektor Fox wypadł z gry. Wieść natychmiast by się rozniosła i Billy Giles dowiedziałby się o tym telefonie. Tymczasem Dearborn mógł być bardzo przydatny. Już to, co przekazał do tej pory, dawało Foxowi dużo do myślenia.

Wtorek rano – znaleziono ciało Vince'a Faulknera.

Wtorek po południu – Charlie Brogan odwiedza swojego notariusza.

Czwartek – znaleziono jacht Brogana, właściciel zaginął.

Zaginiony przypuszczalnie nie żyje.

Nawet nie zauważył, jak przeszedł czterysta metrów i znalazł się przed komisariatem policji dzielnicy Leith. Doszedł jeszcze do narożnika Constitution Street, po czym zawrócił. Przechodził właśnie przed głównym wejściem budynku, kiedy wyszła stamtąd jakaś kobieta; już na ulicy szybko osłoniła twarz dużymi ciemnymi okularami. Nie była ubrana na czarno, lecz w różnych odcieniach brązu. Zatrzymała się, wyjęła z torebki papierosa i zapalniczkę, ale silny wiatr udaremniał kolejne próby zapalenia papierosa.

– Pozwoli pani – powiedział Fox, osłaniając ją szeroką klapą swojego płaszcza. Zapaliła papierosa i podziękowała skinieniem głowy. Fox uśmiechnął się i odszedł. Szybko dotarł do swojego samochodu i podjechał pod komisariat. Stała nadal w tym samym miejscu, spoglądając to w jedną, to w drugą stronę. Fox zaparkował tuż koło niej i opuścił lewą szybę.

– Pani Broughton, prawda?

Potrzebowała chwili, by rozpoznać go jako swego nikotynowego zbawcę, potem pochyliła się lekko do otwartego okna.

– Domyślam się, że rozmawiała pani tutaj z moimi kolegami – powiedział.

– Tak – odparła. Jej głos był znacznie mniej ostry, niż to sobie wyobrażał.

– Potrzebuje pani taksówki? Jadę właśnie w tym samym kierunku.

– Skąd pan wie, dokąd chcę jechać?

Fox wzruszył ramionami.

– Kasyno czy Inverleith, dla mnie i tak, i tak po drodze.

Przyglądała mu się przez moment.

– A mogę palić w pańskim samochodzie?

– Oczywiście – powiedział z uśmiechem i otworzył drzwi. – Proszę.

Przez dwa pierwsze skrzyżowania przejechali w milczeniu. Kiedy zatrzymali się na trzecim pod czerwonym światłem, zwróciła uwagę, że jej okno jest nadal otwarte.

– To chyba nie z powodu mojego papierosa? – zagadnęła, strzepując popiół za okno.

– Gdzie panią podwieźć? – spytał.

– Jadę do domu.

– Za parkiem Inverleith?

– Tak. SeeBee House*.

* SeeBee – zabawna gra słów. Przy takim zapisie inicjały C.B. – Charlie Brogan – można rozumieć jako pszczoła morska. Stąd dalej nazwa: Rezydencja Pszczoła Morska.

Fox domyślił się natychmiast.

– To od inicjałów pani męża?

Ponownie skinęła głową.

– Nagle uświadomiłam sobie – zaczęła, odwracając się na fotelu tak, że patrzyła teraz prosto na niego – że uwierzyłam na słowo, iż jest pan oficerem policji. Właściwie powinnam poprosić o jakiś dowód.

– Jestem tu inspektorem. Czego chcieli od pani moi koledzy?

– Nowe pytania... – Westchnęła ciężko. – Dlaczego nie można tego zrobić przez telefon?

– Bo najwięcej mówi o nas twarz, to ona nas zdradza. Domyślam się, że nie rozmawiała pani z sierżantem Dearbornem?

– Nie.

– No jasne, przecież w tym samym czasie rozmawiał ze mną.

Skinęła głową, jakby w ten sposób ostatecznie uwiarygodnił się w jej oczach. Zadzwoiła jej komórka, więc wyciągnęła ją z torebki. To był jakiś SMS, na który natychmiast odpowiedziała szybkimi, wprawnymi ruchami kciuka.

– Długie paznokcie pomagają – zauważył Fox. – Moje palce są zbyt puszyste do pisania SMS-ów.

Nie odpowiadała, dopóki nie wysłała tekstu. Ledwie otworzyła usta, telefon zadzwonił ponownie. Fox uświadomił sobie, że ten dźwięk przypomina staroświecki dzwonek z recepcji hotelowych. Broughton znowu zajęła się wystukiwaniem tekstu.

– To wiadomości od przyjaciół? – spytał.

– I od wierzycieli – mruknęła. – Zdaje się, że Charlie tych ostatnich miał więcej.

– Wie już pani, że morze wyrzuciło jego buty?

Kątem oka dostrzegł jej złe spojrzenie.

– Przepraszam – dodał – to nie jest właściwe słowo...

– Powiedzieli mi w komisariacie.

Powróciła do swojego SMS-a. Za chwilę jednak w jej torebce odezwał się inny dzwonek. Długo szukała, zanim znalazła aparat – dostatecznie długo, by Fox mógł rozpoznać melodyjkę z jakiegoś starego westernu.

– Przepraszam – powiedziała do niego, a potem już do telefonu: – Nie mogę teraz rozmawiać, Simon. Powiedz tylko, czy wszystko w porządku.

Przez chwilę słuchała.

– Powinam tam być między szóstą a siódmą. Jeśli się z tym nie uporasz do tego czasu, możesz już pisać rezygnację.

Skończyła rozmowę i wrzuciła telefon z powrotem do torebki.

– Problemy z personelem? – spytał Fox.

– To moja wina, nie mam tam właściwie zastępcy.

– Nie może pani kogoś wyznaczyć?

– Nie... Chyba pana skądś znam.

Zsunęła okulary z nosa i przyjrzała mu się uważnie. Dzięki temu mógł dostrzec, że przy dzisiejszym porannym makijażu jej ręka nie była zbyt pewna. Teraz zauważył też, że kolor jej włosów był efektem farbowania: barwnik nieco już wyblakł. Na jej szyi rysowały się zmarszczki.

– Dużo ludzi mi to mówi. – Znalazł wreszcie dobrą odpowiedź. – Zmartwiłem się, kiedy usłyszałem o pani mężu, i nie tylko ja. Mój znajomy pracował u niego... i zawsze dobrze o nim mówił.

– Jak się nazywa?

– Vince Faulkner. Powiedziałem, że pracował u pani męża. Tak naprawdę to na budowie na Salamander Point.

Joanna Broughton przez dłuższą chwilę nic nie mówiła.

– Mnóstwo ludzi lubiło Charliego – potwierdziła w końcu. – Ła-two było go polubić.

– Dopiero kiedy ktoś wpada w kłopoty, widać, kto jest prawdziwym przyjacielem.

– Tak mówią... – Ponownie odwróciła się w jego stronę. – Chyba nie znam pańskiego nazwiska.

Fox niemal natychmiast postanowił, że nie skłamię.

– Inspektor Malcolm Fox.

– Zatem, inspektorze Fox, czy i pan chce coś ze mnie wyciągnąć?

– Jak może pani tak mówić? – Fox próbował udawać urażonego.
– Ja naprawdę nie wiedziałam, że Charlie chce coś takiego zrobić. I na pewno się do tego nie przyłożyłam. Mimo wszelkich pozorów jestem zrozpaczona. Wszystko to wielokrotnie już wam powtarzałam...

Spojrzała za okno.

– Proszę mnie tutaj zostawić.
– To jeszcze tylko pięć minut jazdy.
– Przejdę się.
– Na tych obcasach?... Przepraszam, ma pani rację. Jak się jest gliniarzem, to trudno wyłączyć pewne odruchy. Nie będę o nic więcej pytał, zgoda? Ale niech mi pani pozwoli odwieźć się do domu.

Zastanawiała się.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – To się nawet dobrze składa. Pańscy koledzy chcą zobaczyć kalendarz Charliego. Weźmie go pan i oszczędzi mi fatygi.

– Oczywiście – zgodził się Fox. – Z przyjemnością.

Rezydencja Pszczoła Morska była pięciopiętrowym apartamentowcem zbudowanym głównie ze stali i szkła. Budynek stał na terenie ogrodzonym murem z cegieł, z bramami z kutego metalu. Broughton miała z sobą pilota, którym otworzyła bramę. Był tu parking podziemny, powiedziała jednak Foxowi, żeby podjechał przed główne wejście. Zgasił silnik i wszedł za nią do wnętrza budynku. Hol był niemal równie duży jak cały parter jego domu. Przy jednej ze ścian znajdowały się dwie windy, ale Broughton podeszła do przeciwległej ściany, gdzie była jeszcze jedna, mniejsza winda.

– Penthouse ma swoją własną – wyjaśniła, kiedy do niej wchodzili.

Istotnie, kiedy drzwi windy rozsunęły się ponownie, znaleźli się w ciasnym korytarzyku z miękką wykładziną, który prowadził do jednych tylko drzwi. Broughton otworzyła je i weszli do środka.

– Mówią, że mieszkanie jest trzypiętrowe – skomentowała, zdejmując płaszcz i przesuwając okulary na czubek głowy. – Ale to tylko takie gadanie: ostatnie piętro to wyłącznie tarasy.

– I tak jest fantastyczne – powiedział Fox.

Z trzech stron otaczało go szkło – od podłogi aż do umieszczonego na podwójnej wysokości sufitu. Na wprost mógł zobaczyć ogród botaniczny, a dalej zamek, na lewo nadbrzeżną dzielnicę Leith i morze, na prawo widok sięgał aż do Corstorphine Hill.

– Cieszę się, że się panu podoba.

- Wygląda na całkiem nowe.
- To jedna z zalet tego, że nie mamy dzieci.
- To prawda... Są też inne zalety.
- Co ma pan na myśli?
- Że nie trzeba niczego im tłumaczyć... – Fox obserwował ją, oczekując oznak zrozumienia. – Ten zmarły robotnik też nie miał dzieci...

- Jaki robotnik?
- Mój przyjaciel, ten, o którym pani mówiłem. Pani mąż o nim nie wspominał?

Zignorowała pytanie. Poprosiła go, by chwilę zaczekał, bo musi przynieść kalendarz. Fox patrzył, jak wchodzi po szklanych schodach na wyższe piętro, potem rozejrzał się po pokoju. Był z grubsza biorąc taki, jaki zapamiętał z fotografii w gazecie. Otwarta przestrzeń w kształcie litery L z jasną kamienną posadzką i nowoczesnymi meblami. Część kuchenna zajmowała cały narożnik. Nad nią znajdowała się antresola mieszcząca zapewne sypialnię i gabinet.

Tylna ściana salonu – jedyna zrobiona z czegoś solidniejszego niż szkło – pozbawiona była dzieł sztuki, które pokazywano na fotografiach. Pozostały jedynie ślady w postaci haków albo dziur po hakach. Fox przypomniał sobie artykuł z gazety, który przedstawiał Brogana jako „kolekcjonera”.

Cofnął się o krok, by wygodnie obserwować Joannę Broughton schodzącą po schodach bez pośpiechu, z dłonią na poręczy. Nawet w domu chodziła na wysokich obcasach. Dodawało jej to co najmniej pięć centymetrów wzrostu – i chyba o to właśnie chodziło.

- Proszę im to zanieść – powiedziała, podając mu dużą książkę w skórzanej oprawie.

- Nie wie pani, po co im to potrzebne? – spytał Fox.

- Miałam nadzieję, że pan mi to powie, przecież jest pan detektywem.

Mógł na to zareagować jedynie wzruszeniem ramion.

- Może po prostu chcą być sumienni – próbował zgadnąć. – Sprawdzić, czy były jakieś nietypowe zdarzenia, zanim pani mąż...

Połknął koniec zdania.

- Ma pan na myśli stan jego ducha? Mogę to jeszcze raz powtórzyć: był absolutnie spokojny, kiedy stąd wychodził. Niczego nie mogłam podejrzewać.

- Proszę pani... powiedziałem, że nie będę już zadawał pytań...

- Ale?

– Ale zastanawiam się... czy nie uderza pani to, że nie zostawił żadnej notatki?

Namyślała się.

– Też chciałabym wiedzieć dlaczego, oczywiście że bym chciała. Kłopoty finansowe, ale mimo wszystko... mogliśmy sobie z nimi poradzić. Gdyby tylko poprosił, mogliśmy to razem przemyśleć.

– Może był zbyt dumny, żeby poprosić?

Pochyliła głowę i opuściła bezradnie ręce.

– Sprzedał wszystkie swoje obrazy? – spytał Fox.

Przytaknęła. Na dźwięk domofonu podeszła do drzwi.

– Tak? – spytała.

– Joanna? Tu Gordon. Jest ze mną Jack.

Jej twarz rozjaśniła się na chwilę.

– Chodźcie na górę – powiedziała do domofonu, potem odwróciła się do Foxa. – Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie, chyba bym tam tkwiła do tej pory.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Wyciągnęła dłoń na pożegnanie. Kalendarz był zbyt duży, by zmieścić go w kieszeni, Fox trzymał go więc w ręku, gdy wychodził na korytarz. Kiedy rozsunęły się drzwi windy, pierwszy wyszedł z niej Gordon Lovatt. Przez chwilę był wyraźnie zaskoczony widokiem stojącego naprzeciw niego mężczyzny. Miał na sobie elegancki trzyczęściowy garnitur, przypuszczalnie szyty na miarę. Z kieszonki kamizelki zwisał złoty łańcuszek zegarka. Jedwabny krawat zawiązany był w jakiś ekstrawagancki węzeł, a fryzura Lovatta wyglądała tak, jakby właśnie wyszedł od fryzjera. Skinął na powitanie, ale potem zdecydował się na więcej.

– Gordon Lovatt – przedstawił się. Wymienili uścisk dłoni.

– Wiem, kim pan jest – powiedział Fox, unikając autoprezentacji.

Mężczyzna towarzyszący Lovattowi był znacznie starszy, ale ubrany w jeszcze elegantszy garnitur. Także on wyciągnął dłoń, by się przywitać z Foxem.

– Jack Broughton – oznajmił.

Fox jedynie skinął głową i przecisnął się między nimi, spojrzał na nich ponownie, dopiero gdy był w windzie. Nacisnął guzik parteru i czekał, aż drzwi się zamkną. Jack Broughton chyba już się nim nie interesował; wszedł głębiej do mieszkania, by powitać pocałunkiem swoje jedyne pozostałe przy życiu dziecko. Lovatt natomiast do końca stał na korytarzu, gapiąc się na Foxa świdrującym spojrzeniem.

– Jedziemy w dół – odezwał się kobiecym głosem automat

windy. Drzwi się zasunęły i Fox mógł wreszcie odetchnąć z ulgą.

• • •

Przed domem nie było samochodu agenta PR, co znaczyło, że albo postawił go na podziemnym parkingu, albo przyjechał tu taksówką. Jeśli na parkingu, to musiał mieć możliwość wjazdu na teren posesji. Ale to samo dotyczyło przyjazdu taksówką – musiał przecież jakoś pokonać bramę wjazdową. Może więc po prostu Joanna dała ojcu jednego pilota...

Wsiadł do swojego samochodu i położył kalendarz Charliego Brogana na fotelu pasażera. Spojrzał na niego jeszcze raz i dopiero teraz zadał sobie pytanie, co powiedzieliby o jego dzisiejszych poczynaniach kontrolerzy z Grampian Police. Przez cały ranek był bardzo ostrożny – obserwował jadące za nim samochody i twarze napotkanych ludzi. Kontrolerom łatwiej było mieć go na oku w poprzednim tygodniu, bo nie zdawał sobie z tego sprawy. Teraz, kiedy wiedział już, że jest śledzony, mógł się przed tym lepiej chronić. Jeśli jednak będzie robił takie numery jak z tym kalendarzem... Podjęcie decyzji zajęło mu trzy, cztery minuty, w końcu sięgnął po kalendarz i otworzył go.

Zaczął od poprzedniego poniedziałku, lecz nie znalazł tam nic szczególnie ciekawego. Brogan bynajmniej nie szyfrował swoich notatek, ale – jak prawie wszyscy – używał inicjałów i skrótów. W zapisie „8 p.m.-J-Kitchin” J oznaczało zapewne Joannę Broughton, a Kitchin modną restaurację w Leith prowadzoną przez faceta, który nazywał się Kitchin. Zapiski dotyczyły różnych spotkań, chociaż nie był to pod tym względem szczególnie wypełniony tydzień. W styczniu na przykład Brogan był znacznie bardziej zajęty. W lutym zanotował głównie terminy programów telewizyjnych, które zamierzał obejrzeć. Na wielu kartkach widniał tylko skrót „TV”.

Po kwadransie Fox odłożył kalendarz i przekręcił kluczyk w stacyjce. W drodze powrotnej do komendy dzielnicy Leith zatrzymał się dwa razy. Najpierw przy sklepie z materiałami piśmiennymi, gdzie kupił kopertę, dostatecznie dużą, by pomieścić kalendarz, a potem przy sklepie z telefonami, w którym kupił nową komórkę wraz z pakietem pre-paid. Jeśli nadal go śledzili, ten nowy telefon uchroni go przed namierzeniem... choć pewnie nie na długo.

Pewne natomiast, że rozwścieczy to kontrolerów, kiedy w końcu zauważą, co zrobił.

Zatrzymał samochód przed komendą policji tylko po to, by zosta-

wić kopertę w portierni. Napisał na niej nazwisko: Max Dearborn. Mogło to zaskoczyć Maxa, ale tym Fox już się nie przejmował. Zaledwie znalazł się z powrotem w samochodzie, zaczęła dzwonić jego stara komórka. Fox spojrzął na numer na wyświetlaczu i nie odebrał rozmowy. Kiedy dzwonek ustał, sięgnął po nowy telefon i wystukał numer Tony'ego Kaye'a.

– Kto mówi? – spytał Kaye, który oczywiście nie mógł rozpoznać numeru.

– Toja, Malcolm. Od tej chwili szukaj mnie tutaj.

– Zmieniłeś telefon?

– Na wypadek gdyby mnie namierzali.

– Zwariowałeś chyba. – Kaye na chwilę zamilkł. – Chociaż to nie taka głupia myśl. Sądzisz, że ja powinienem zrobić to samo?

– A rozmawiali już z tobą? Ci z Grampian?

– Nie. Co tam u ciebie?

– Później ci opowiem. Po co dzwoniłeś?

– Chciałem tylko ponarzekać. Poczekaj chwilę...

Fox usłyszał, jak Kaye wychodzi z pokoju kontrolerów na korytarz.

– Ci dwaj doprowadzają mnie do szału. Nawijają, jakby się znali od piaskownicy.

– A poza tym Gilchrist już się jakoś oswoił?

– Nie podoba mi się, że siedzi przy twoim biurku.

– To się z nim zamień.

– No nie, mojego biurka nie dostanie!

– No to klops. McEwan przychodzi?

– Tak, ale nie odzywa się do mnie.

– Nakarmiliśmy go niezłym gównem – przyznał Fox.

– I nawet nie zawiązaaliśmy serwetki pod szyją – podchwycił metaforę Kaye. – Czy dzisiaj będziesz grillował z damą, która nazywa się Stoddart?

– Tak, a co mi radzisz?

– Azbestowe rękawice, Malcolm.

– Wspaniale, dziękuję. – Fox myślał przez chwilę. – Możesz mi dać Naysmitha?

– Co?!

– Chcę z nim zamienić dwa słowa, ale tak, żeby Gilchrist nie słyszał.

– Przyrowadzę go tutaj. – Teraz z kolei Kaye zamilkł na parę sekund, jakby na coś czekał. – Taki jesteś twardziel czy już o tym

zapomniałeś?

Fox natychmiast zrozumiał, o co mu chodzi.

– Udało ci się z nią pomówić?

– Nie było jej rano. Gilchrist musiał wziąć coś ze swojego biurka w Chop Shop, więc poszedłem za nim i zajrzałem do środka. Spytałem go, czy poszła na jakieś zebranie, ale nie wiedział.

– Dobrze, dziękuję, że przynajmniej próbowałeś.

– I nadal będę próbował. Joe! – Fox zorientował się, że Kaye stoi w otwartych drzwiach ich biura.

– Już tu idzie – powiedział znów do niego Kaye, a po chwili zwrócił się do kogoś obok: – To Lisek, do ciebie.

– Malcolm? – zaczął Naysmith.

– Cześć, Joe. Słyszałem, że świetnie się dogadujesz z Gilchristem.

– Tak przypuszczam.

– Czyli mógłbyś zaprosić go na drinka po robocie?

– Nooo... – Naysmith przeciągnął słowo ponad zwykłą miarę.

– Powiedzmy, że zaproponujesz Mintera, o piątej trzydzieści.

– No doooobra. – Znów słowo przybrało gumiąstą postać.

– I nie trzeba mu mówić, że to mój pomysł.

– O co tu chodzi, Malcolm?

– O nic, Joe. Po prostu zaprosz go na drinka – zakończył rozmowę

Fox.

Miał jeszcze mnóstwo czasu do zabicia przed spotkaniem na Fettes. Kupił w kiosku „Evening News”, rogalika z sałatką i butelkę wody mineralnej, potem pojechał znowu w stronę Inverleith i zaparkował przy ogrodzie botanicznym. Wyszukał w radiu Classic FM i zjadł rogalika, przerzucając jednocześnie gazetę. Nie było nowych wiadomości na temat Charliego Brogana, na temat Vince'a Faulknera też nie. Ludzi pasjonowała teraz wysokość odprawy i emerytury ustępującego prezesa Royal Bank of Scotland. Spór o tramwaje dochodził do zenitu, bo rada miejska twardo powiedziała wykonawcom, że nie ma już kasy. No i to: w poważne kłopoty finansowe popadło Dunfermline Building Society. Fox przypomniał sobie, że obecny premier pochodzi z Dunfermline... Nie, z Kirkcaldy, ale Dunfermline też było jego bazą wyborczą. Rodzice Foxa zainwestowali kiedyś w akcje DBS – ciekawe, czy Mitch wciąż je ma? Sam Malcolm trzymał swoje pieniądze w banku spółdzielczym. Wybrał go kiedyś głównie dlatego, że nigdy przedtem o nim nie słyszał. Do dziś nie wiedział, czy jest to bank wiarygodny, czy nie.

Muzyka w radiu się skończyła, a spiker poinformował, że był to utwór Bacha. Fox znał tę muzykę, znał na pamięć większość utworów nadawanych w Classic FM, choć nie potrafił podać ani ich tytułów, ani nazwisk kompozytorów. Spojrzał znowu na zegarek, głównie po to, by sprawdzić, czy nie stanął.

– Niech to diabli ! – zaklął. Złożył gazetę i przekręcił kluczyk. Musiał się punktualnie stawić na swoją golgotę.

16

Funkcjonariusz w dyżurce – Fox znał go od ładnych paru lat – miał dość przyzwoitości, by przeprosić go, że będzie musiał trochę poczekać. Fox skinął głową ze zrozumieniem.

– To nie twoja wina, Frank – powiedział.

Usiadł więc na krześle i udał zainteresowanie własną gazetą. Wciąż wchodzili albo wychodzili inni policjanci. Większość rzucała na niego ukradkowe spojrzenia, niektórzy otwarcie się gapili – no cóż, sprawa była już powszechnie znana. Tylko jeden lub dwóch zatrzymało się przy nim z wyrazami sympatii.

Stoddart pojawiła się w towarzystwie dwóch krępych osiłków. Ona sama miała długie jasne włosy, była wysoka i elegancko ubrana. Gdyby ktoś powiedział Foxowi, że ta kobieta jest członkiem rady nadzorczej banku czy korporacji, uwierzyłby bez trudności. Na szyi miała zawieszoną przepustkę gościa; poprosiła Franka o wydanie takiej samej dla Foxa. Fox tymczasem wstał, złożył gazetę, zwinął ją w rulon i wsadził do kieszeni. Stoddart nie podała mu ręki, nie zadała też sobie trudu, by przedstawić siebie i swoich pacholków. Wręczyła Foxowi przepustkę, odwróciła się na pięcie i ruszyła.

– Idziemy – powiedziała.

Nie uszli daleko. Fox nie wiedział, do kogo należy zarekwirowany przez nią pokój. Nie rozjaśniały tej kwestii ani przedmioty na biurku, ani tablica z informacjami. Na środku stał okrągły kawiarniany stolik i kilka krzeseł zapewne wypożyczonych z kantyny. Na biurku leżał laptop i jakieś kartonowe teczki. Drugi laptop spoczywał na okrągłym stoliku. Umieszczona na wysokim trójnożu kamera wideo skierowana była na biurko.

– Siadajcie – rozkazała Stoddart i obeszła biurko, by się za nim usadowić.

Jeden z jej zbirów usiadł przy stoliku, drugi zajrzał w wizjer kamery, by dobrze ustawić obraz, potem podał Foxowi miniaturowy mikrofon.

– Proszę to przypiąć do klapy – polecił.

Mikrofon połączony był przewodem z kamerą. Agent nasunął na uszy słuchawki i jeszcze raz sprawdził urządzenia.

– Próba mikrofonu, próba mikrofonu – powiedział Fox.

Tamten uniósł w górę kciuki na znak, że wszystko w porządku.

– Zanim zaczniemy – odezwała się Stoddart – niech pan zwróci uwagę, w jak niezręcznej jesteśmy sytuacji. Nie lubimy, kiedy ktoś składa skargę na kogoś z naszych...

– A kto złożył skargę? – przerwał Fox.

Zignorowała to i ze wzrokiem utkwionym w ekran laptopa mówiła dalej.

– Niemniej jednak musimy to zrobić zgodnie z przepisami. Proszę więc nie liczyć na żadne ułatwienia, inspektorze Fox.

Dała znak człowiekowi obsługującemu kamerę, by włączył nagrywanie. Przez chwilę milczała, jakby zbierając myśli, potem podała datę i godzinę.

– Przesłuchanie wstępne – mówiła dalej. – Mówi inspektor Caroline Stoddart, a w przesłuchaniu uczestniczą sierżant Mark Wilson i agent Andrew Mason.

– Który jest który? – przerwał znowu Fox.

Stoddart rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Agent Mason obsługuje kamerę – odpowiedziała. – Teraz proszę podać swoje dane.

– Jestem inspektor Malcolm Fox.

– I pracuje pan w Wydziale Spraw Wewnętrznych policji Lothian i Borders?

– Zgadza się.

– Konkretnie w Zespole Kontroli Wewnętrznej?

– Tak.

– Jak długo jest pan w tym zespole?

– Cztery i pół roku.

– A przedtem?

– Byłem przez trzy lata na St Leonard's, a wcześniej na Livingston.

– To było w czasie, kiedy pan pił?

– Już pięć lat jestem trzeźwy. Nie wiedziałem, że moje pijaństwo zostało odnotowane.

– Nie zaglądał pan nigdy do swojej teczki personalnej? – W jej głosie brzmiało powątpiewanie.

– Nie – powiedział twardo, zakładając nogę na nogę.

Wypadła mu przy tym z kieszeni na podłogę zrolowana gazeta. Schylił się, by ją podnieść, naciągając przewód mikrofonu do tego stopnia, że odłączył się od kamery.

– Poczekajcie – powiedział Mason, zdejmując słuchawki.

Fox przeprosił i wyprostował się, potem spojrział prosto w oczy Caroline Stoddart.

– Bawi to pana? – spytała.

– Pyta pani do protokołu czy poza protokołem? – odciął się Fox.

Wykrzywiła wargi i wróciła do oglądania czegoś, co miała na ekranie swojego komputera.

– Pańska siostra też lubi pić, prawda?

– To przesłuchanie nie dotyczy mojej siostry.

– Gotowe – oznajmił Mason.

Stoddart znowu potrzebowała chwili do namysłu.

– Porozmawiajmy na temat Vince'a Faulknera – odezwała się wreszcie.

– Bardzo dobrze. Znaleziono go martwego w zeszłym tygodniu we wtorek rano. A kiedy dostaliście sygnał, żeby mnie śledzić?

– Mieszkał z pańską siostrą? – ciągnęła Stoddart, ignorując jego pytanie.

– Zgadza się.

– A ostatnio dowiedział się pan, że doszło między nimi do jakiejś sprzeczki, w wyniku której miała złamaną rękę?

– Tak, dowiedziałem się o tym tydzień temu.

– Czym pan się wtedy zajmował w biurze?

– Niewiele miałem roboty. Mój zespół skończył właśnie duże śledztwo w sprawie detektywa inspektora Glena Heatona z wydziału kryminalnego.

Stoddart przebiegła wzrokiem ekran.

– Miał pan jeszcze jakieś inne zadania?

– Polecono mi, abym się komuś przyjrzał...

– Chodzi o detektywa sierżanta Jamiego Brecka?

– Zgadza się.

– Też zatrudnionego w wydziale K?

– Tak.

– Jakie były okoliczności tego polecenia?

– Mój przełożony, nadinspektor McEwan, dostał sygnał z Zespołu Ochrony Dzieci. Detektyw Breck znalazł się w polu ich radarów i chcieli go sprawdzić.

Stoddart sięgnęła po leżącą na wierzchu teczkę i otworzyła ją. Były

tam zdjęcia z inwigilacji, te same, które miał Giles na Torphichen.

– Wygląda to na konflikt interesów – zaczęła rozważać Stoddart.
– Śledzi pan Brecka, podczas gdy on szuka zabójcy partnera pańskiej siostry.

– Wiedziałem o tym.

– I nie próbował się pan wycofać ze sprawy?

– Z której?

– Z obu, moim zdaniem.

Fox wzruszył ramionami.

– Co słyhać w Aberdeen? – spytał.

Ta zmiana tematu nie wywarła na pozór żadnego wrażenia na Stoddart.

– Nie o tym mamy rozmawiać – powiedziała, cedząc słowa.

Ruchem obu rąk zsunęła włosy za uszy.

– Zdaje się, że bardzo szybko zaprzyjaźnił się pan z detektywem sierżantem Breckiem?

– Nasze relacje mają charakter zawodowy.

– Dlatego przyszedł do pana we wtorek wieczorem? A potem pojechaliście razem do kasyna?

– To też miało związek z naszą pracą. Z drugiej strony CEOP prosił mnie o obserwowanie sierżanta Brecka.

– Owszem, stał nawet van kontrolerów przed jego domem. Dlaczego nie uprzedził ich pan, że daremnie tracą czas?

– Przecież w końcu wrócił do domu.

– Czy powiedział im pan o tej wyprawie do kasyna?

– Nie – przyznał Fox.

– A więc pańscy koledzy marzli w wozie podsłuchowym w lutą noc...

– Taka jest nasza praca.

Spojrzała na niego, potem znowu na ekran. Fox przez moment zabawiał się myślą, że mógłby go przebić pięścią. Obejrzał się i zobaczył, że Wilson też się gapi w swój komputer.

– Układacie pasjanse czy gracie w sapera? – skierował pytanie do obojga. Wilson się nie odezwał.

– Detektyw Breck – powiedziała Stoddart – pojechał do kasyna, bo Vincent Faulkner mógł je odwiedzić tej nocy, kiedy zginął.

– Nie „mógł”, ale odwiedził – skorygował Fox.

– Był tam w sobotę po tym, jak złamał rękę pańskiej siostrze.

– Tak, ale ja dowiedziałem się o tej złamanej ręce dopiero w poniedziałek.

- A ciało pana Faulknera znaleziono we wtorek?
- Zgadza się.
- W poniedziałek wieczorem odwiedził pańską siostrę jeden z pana kolegów...
- Sierżant Kaye.
- Wiedział pan wtedy o tym?
- Nie.
- Mówił mu pan o tej ręce?
- Tak.

Zadzwoił jakiś telefon i Stoddart zorientowała się, że to jej komórka. Dała znak Masonowi, by przerwał nagrywanie, potem sięgnęła do kieszeni żakietu.

- Sekundę – rzuciła w przestrzeń, wstała i ruszyła w stronę drzwi. Kiedy wyszła, Fox napiął mięśnie karku, aż zachrząściły kręgi.
- Ciekawe... – powiedział. – Teraz dla odmiany ona zbiera baty. No więc co się dzieje w Aberdeen? Macie dużo roboty?

Dwaj funkcjonariusze Grampian Police spojrzeli po sobie. Odezwiał się Wilson.

- W Aberdeen teraz raczej spokojnie.
- W takim razie macie trochę rozrywki w tej Gomorze. Dali wam porządny hotel?
- Niezły.
- To pewnie będziecie chcieli tu zostać jak najdłużej.

Na twarzy Masona pojawił się uśmiech, ale natychmiast zgasł, bo do pokoju wróciła Stoddart. Po drodze schowała komórkę do kieszeni i znów zajęła miejsce za biurkiem.

- Gotowe – zameldował Mason.
- Stoddart wbiła wzrok w Foxa i sformułowała następne pytanie:
- Co właściwie robił pan w domu kobiety, która nazywa się Joanna Broughton?

Fox potrzebował chwili, by pozbierać myśli.

- Podwiozłem ją. Stała przed komendą policji Leith, a ja akurat przejeżdżałem tamtędy i poznałem ją. Nieszczęśliwa kobieta, straciła właśnie męża. Wyglądała na nieco zagubioną, więc zaproponowałem jej pomoc.

Przez chwilę w pokoju panowało milczenie, wreszcie Stoddart spytała:

- Myśli pan, że w to uwierzę?
- Fox wzruszył tylko ramionami, choć w myślach miał już ułożoną bogatą wiązanekę.

– Ona zatrudnia agencję PR, to oni dzwoniли. Oskarżają pana o natręctwo.

– Zapewniam, że nie byłem ani trochę natrętny, zresztą możecie ją samą zapytać.

Wiedział, co Stoddart na to powie – to samo, co on by powiedział, gdyby był po jej stronie biurka. I nie pomylił się.

– To ja będę to oceniać, inspektorze. – Potem dodała: – Mówi pan, że po prostu pan przejeżdżał koło komendy w Leith? To chyba dość daleko?

– Niespecjalnie.

– A jeśli pojedę tam i zapytam, to nikt z funkcjonariuszy nie powie, że rozmawiał z panem rano?

Patrzyła, jak Fox kręci głową, potem przeniosła wzrok z powrotem na komputer.

Potrzebowała jeszcze trzech kwadransów, zanim zdecydowała się zrobić przerwę do następnego dnia.

– Nie ma pan zamiaru wyjechać? – spytała, zamykając laptop. – Odpocząć gdzieś poza miastem?

– Na pewno nie wyjadę z kraju – zapewnił ją, podczas gdy Mason odpinał jego mikrofon. – Jutro o tej samej porze?

– Zawiadomimy pana.

Fox wstał, podziękował wszystkim i ruszył do drzwi. Zatrzymał się z ręką na klamce.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Sierżant Breck nie ma pojęcia, że był przez nas śledzony. Jeżeli to do niego dotrze, wszyscy troje będziecie podejrzani...

Wyszedł i zamknął drzwi za sobą. A skoro już był w tym budynku, wdrapał się po schodach na drugie piętro. Po drodze zdjął z szyi przepustkę i wepchnął ją do kieszeni. Minął drzwi kontrolerów i dotarł do pokoju 2.24. Ale tu nadal nikogo nie było, wrócił więc na swoje stare śmieci. Najpierw uchylił drzwi nieznacznie, by się upewnić, że nie ma McEwana, potem zabębnił głośno we framugę, anonsując swoje przybycie. Gilchrist siedział obok Naysmitha przy biurku tego ostatniego; Naysmith pokazywał mu coś na komputerze. Kaye siedział jak zwykle odchylony wraz z krzesłem z rękami za głową. Fox starał się nie patrzeć na swoje biurko, nie mógł jednak nie zauważyć rozrzuconych na nim rzeczy Gilchrista.

Kaye podskoczył na równe nogi.

– No nie!

– Coś się tak zerwał? Tyłek cię rozbolał?

Kaye roześmiał się, potem sięgnął po marynarkę.

– Chodźmy do kantyny – powiedział.

Ledwie wyszli na korytarz, chwycił Foxa za rękaw.

– Ten Gilchrist mógłby zanudzić całą Szkocję. – Rozpaczliwie przewrócił oczami. – No to jak ci poszło?

– Nie mieli nic, czego bym się nie spodziewał. Chyba wiedzą o moim demonie z butelki.

– To na pewno jest gdzieś w twoich papierach.

– Znaczący, że któryś z moich poprzednich szefów musiał to zauważyć...

– Ale nic nie powiedział? – Kaye wydał dźwięk przypominający gdakanie. – Może w nadziei, że problem sam się rozwiąże.

– Może...

– Próbowali ci wmówić, że jesteś pijak?

– Nie jestem pewien. Być może kazano im o to zapytać.

– A co myślisz o tej Stoddart?

– Jest jak Królowa Lodu.

– Masz zamiar ją roztopić?

Dotarli do kantyny. Tylko parę osób siedziało przy stolikach, większość bezmyślnie gapiła się w przestrzeń, przeżuując swoje przekąski.

– Na pewno chcesz, żeby cię widzieli ze mną? – spytał Fox.

– Może spłynie na mnie trochę twojej buntowniczej sławy.

Kaye wziął tackę i postawił na niej dwa kubki.

– Nadal ani śladu sierżant Inglis. Coś ty jej zrobił?

Fox zignorował pytanie. Zadzwoił jego stary telefon, więc dał Kaye'owi znak, że go odbierze, odszedł parę kroków w stronę okna i nacisnął przycisk.

– Malcolm Fox – przedstawił się.

– Mówi Dearborn.

– Max? Rozumiem, że masz coś dla mnie.

– Mój szef wpadł w szal. Zadzwoił do niego Gordon Lovatt i poskarżył się na agenta z wydziału D, niejakiego Foxa. Jedyne Fox, jakiego tu znamy, to ty. Kiedy Lovatt usłyszał twój opis, powiedział: „Bingo!”.

– Bo wcześniej mieliśmy małą pogawędkę – wyjaśnił Fox. – Na ulicy zobaczyłem Joannę Broughton, która rozglądała się za nieistniejącą taksówką. Wyglądała na kompletnie rozkojarzoną, więc zaproponowałem, że ją podrzucę. Chyba wzięła mnie za kogoś z personelu Leith.

- Czyli to tobie dała kalendarz męża?
- Cieszę się, że mogłem pomóc, Max.

Fox usłyszał głębokie westchnienie Dearborna. Tymczasem Kaye zaniósł tackę na stolik, dokupiwszy jeszcze czekoladowe batony. Teraz łakomie rozpakowywał jeden z nich.

– Masz coś jeszcze? – rzucił Fox pytanie do telefonu. – Jakies wieści o Charliem Broganie?

– Spadaj! – warknął Dearborn i przerwał połączenie. Fox zadzwonił do niego jeszcze raz.

– Ostatnia sprawa – powiedział ostrzegawczym tonem. – Policja Grampian mogła coś wywęszyć. Lepiej, żebyś im nie mówił o naszym śniadaniu.

- Wkurzasz mnie, Fox.
- Opowiesz mi o tym później.

Udało mu się zakończyć rozmowę, zanim zrobił to Dearborn. Po-tem podszedł do stolika, przy którym siedział Kaye, i usiadł naprzeciw niego. Zastanawiał się, czy wziął dla siebie kawę, czy herbatę. Kolo-rem i zapachem niespecjalnie się różniły.

Nagle Kaye przestał gryźć baton. Patrzył na coś ponad ramieniem Foxa. Ten odwrócił głowę i natychmiast zrozumiał. Do kantyny we- szli właśnie Mason i Wilson.

- Kurza twarz! – zaklął Kaye z ustami pełnymi czekolady.

Ale Fox machnął przyjaźnie ręką w stronę wchodzących. Tamci przez chwilę chyba rozważali, co z tym fantem zrobić, a później wybrali stolik jak najdalej od Foxa. Każdy wziął butelkę niegazowa-nej wody i coś z owoców.

- Będą musieli to powiedzieć Stoddart – skomentował Kaye.
- Nikt nie zabronił nam rozmawiać z sobą, Tony. Nie mamy też zakazu pojawiania się w miejscach publicznych ani niczego w tym rodzaju. Zawsze możesz powiedzieć, że byłeś już tutaj, kiedy przysze- dłem... że to tylko przypadkowe spotkanie.

- Ona w to nie uwierzy.
- Ale będzie musiała to zaakceptować. My też byśmy musieli, gdybyśmy byli na jej miejscu.
- Pewnie zaraz znajdę się na tej samej ławce rezerwowych co ty.
- Nie zrobiłeś nic złego, Tony.
- Ale jestem w tej samej sytuacji, Lisku. Uznany za winnego, dopóki nie udowodni, że nie jest wielbłądem. A wszystko dlatego, że nas tu nie cierpią.

- Chcesz jeszcze? – spytał Fox, podsuwając mu drugi batonik.

Kaye wziął go i schował do kieszeni. – I powiedz mi wreszcie: co, do cholery, my tutaj pijemy?

Kaye zajął do swojego kubka.

- Myślałem, że to herbata.
- Ale nie jesteś pewien?
- Może wziąłem kawę...

• • •

Oddał przepustkę Frankowi z dyżurki i wyszedł na parking. Minął jednak swoje volvo i poszedł dalej. W najdalszej części parkingu, przy boisku, były miejsca oznaczone napisem: „Goście”. Zobaczył tam czarną astrę i zielonego ka, stojące jeden przy drugim. Nalepki na tylnych szybach wskazywały, że oba samochody kupiono u dilerów w Aberdeen. Na metalizowanym lakierze forda widać było świeże otarcie. Fox nie bez satysfakcji pomyślał, że powstało na ulicach Edynburga.

Wrócił do swojego samochodu, wyjechał z parkingu i w żółtym tempie jechał pod górę, aż dotarł na Queen Street. Miał tu swoją siedzibę duży dom aukcyjny; Fox pamiętał, że specjalizują się w malarstwie. Bez trudu znalazł miejsce parkingowe w zatoczce. Właściciele samochodów albo żalowali grosza na parkometry, albo zrezygnowali z wizyt w centrum ze względu na uciążliwą budowę linii tramwajowej. Wrzucił funta do parkometru, przykleił nalepkę na przedniej szybie i wszedł do budynku. W głównym holu znajdował się długi kontuar, a na jego końcu dwa okienka przypominające kasy w banku. Przy jednym z nich stał klient wypisujący czek za dokonany przed chwilą zakup.

- Mogę w czymś pomóc? – spytała kobieta stojąca za kontuarem.
- Mam nadzieję – odparł Fox. – Jestem z policji.

Zamiast legitymacji podał jej służbową wizytówkę. Była nieaktualna już od trzech lat, ale wyglądała porządnie i urzędowo.

– Mam pewien problem, może któryś z waszych ekspertów mógłby mi pomóc.

Kobieta przeczytała uważnie wizytówkę, potem poprosiła, by poczekał, a ona zaraz kogoś przyprowadzi. Mężczyzna, który się pojawił, był znacznie młodszy, niż Fox oczekiwał. Miał na sobie koszulę w paski i bładożółty krawat, uścisnął energicznie dłoń Foxa i przedstawił się jako Alfie Rennison. Jego akcent wskazywał na dobrze wyedukowanego Szkota. W rewanżu on także dostał służbową wizytówkę Foxa.

- Co mogę dla pana zrobić? – spytał Rennison.
- Sprawa dotyczy pewnych obrazów.
- Współczesnych czy klasycznych?
- Współczesnych, jak sądzę.

Rennison ściszył głos.

- Fałszerstwo? – szepnęła.
- Nie, nie to – zapewnił go Fox.

Młody człowiek przyjął to z wyraźną ulgą.

– Wie pan, ludzie próbują zwać na nas takie sprawy. Proszę za mną.

Poprowadził Foxa na zaplecze, gdzie znajdowały się schody. nTylko gruby czerwony sznur bronił wstępu do położonego niżej magazynu. Rennison odpiął sznur i przepuścił Foxa. Zeszli do trzewi budynku, znacznie mniej przestronnych niż dostępny publicznie lokal na parterze. Musieli się przeciskać między licznymi płótnami opartymi o ściany i lawirować pomiędzy popiersiami, statuami i staroświeckimi zegarami.

– Zbliża się aukcja – wyjaśnił Rennison. – W przyszłym tygodniu wystawimy to wszystko.

Dotarli do jego biura, które składało się z dwu połączonych z sobą pomieszczeń. Fox myślał do tej chwili, że są już poniżej poziomu gruntu, jednak były tam okna z matowego szkła, przez które prześwitywały grube kraty.

– To był kiedyś dom mieszkalny – powiedział Rennison. – Przypuszczam, że tutaj znajdowały się kuchnia, pralnia i pomieszczenia dla służby. Na czterech górnych piętrach panuje nadal georgiańska elegancja, tu umieszczono maszynię.

Uśmiechnął się i gestem zaprosił Foxa, by usiadł. Biurko Rennisona prezentowało się raczej banalnie. Fox natychmiast rozpoznał składaka z Ikei. Na biurku leżał laptop połączony z laserową drukarką. W całym pokoju był tylko jeden obraz. Miał wymiary około piętnastu na dziesięć centymetrów i wisiał na ścianie za fotelem Rennisona.

– Przepiękny, prawda? – zauważył Rennison, widząc, że Fox gapi się na obrazek. – Francuska *plage* Peploego. Trudno mi będzie się z nim rozstać.

Fox nie wiedział prawie nic o sztuce, ale spodobały mu się tłuste wiry farby. Przypominało mu to topniejącą porcję lodów.

– On też idzie na aukcję?

Rennison skinął głową.

– Powinien uzyskać pięćdziesiąt do sześćdziesięciu.

– Tysięcy? – Fox popatrzył na obraz z większym respektem, ale i z przekonaniem, że coraz trudniej mu zrozumieć ten świat.

Rennison splótł dłonie i oparł łokcie na biurku.

– Niech pan powie o tych obrazach.

– Słyszał pan o człowieku, który nazywa się Charles Brogan?

– Niestety, tak. Najnowsza ofiara wyzwania finansowych naszych czasów.

– Ale czy znał go pan za życia?

Rennison przytaknął.

– Jest kilka domów aukcyjnych w mieście, inspektorze. Musimy ciężko pracować, by zachować klientów.

– To znaczy, że kupował u was?

– I w niektórych innych galeriach – uznał za niezbędne dodać Rennison.

– Widział pan jego kolekcję?

– Większość widziałem.

– Czy zaczął ją sprzedawać?

Rennison popatrzył na niego badawczo, opierając brodę na końcach kciuków.

– A mogę spytać, dlaczego to pana interesuje?

– Szukamy ewentualnego powodu samobójstwa. Wspomniał pan o finansach; sprzedaż obrazów mogłaby pasować do tej teorii.

Rennison pokiwał głową, przyjmując to wyjaśnienie.

– Niektóre rzeczy wysłał do Londynu, niektóre sprzedał tutaj. Trzy albo cztery obrazy miały być wystawione na naszej najbliższej aukcji. Oczywiście wycofamy je, dopóki nie otrzymamy nowych decyzji od spadkobiercy.

– Ile było w sumie tych obrazów?

Rennison szybko policzył w myślach.

– Czternaście albo piętnaście.

– Wartych... – zasugerował Fox.

Rennison wyjął policzki.

– Może około pół miliona. Przed recesją to mogło być nawet siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

– Rozumiem, że nie kupował drogo.

– Niestety, przeważnie tak. Sprzedawał z dużą stratą.

– Czyli desperacko?

– Też bym tak to określił.

Fox namyślał się przez chwilę, potem spytał:

– Spotkał pan kiedyś żonę pana Brogana?

– Raz była z nim na aukcji. Nie sądzę, żeby miała ochotę powtórzyć to doświadczenie.

– Nie była miłośniczką sztuki?

– Nie aż taką.

Fox roześmiał się i wstał.

– Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać, panie Rennison.

– Cała przyjemność po mojej stronie, inspektorze.

Kiedy wymieniali uścisk dłoni, Fox jeszcze raz rzucił okiem na obrazek Peploego.

– Myśli pan o rozpuszczających się lodach? – odgadł Rennison.

Potem, spoglądając na twarz Foxa, dodał: – Nie pan pierwszy.

– Za pięćdziesiąt kawałków można kupić mnóstwo lodów – rzekł Fox.

– Może tak, ale ile zarobiłby pan na odprzedaży, inspektorze?

Odprowadził Foxa z powrotem na parter.

17

Fox czekał w samochodzie zaparkowanym pięćdziesiąt metrów od Mintera, kiedy pojawili się Naysmith i Gilchrist. Przyjechali tak-sówką, najwyraźniej z zamiarem wypicia nieco więcej niż jednego drinka; żaden nie chciał ryzykować powrotu do domu za kierownicą. Po następnych dwudziestu minutach przyjechał także Kaye, zaparko-wał swoim zwyczajem na środku ulicy na podwójnej linii i zatknął za szybę tabliczkę z napisem POLICJA. Przed wejściem do pubu odczytywał jeszcze wiadomości na komórce. Fox słuchał tymczasem stacji Radio 2, bębniąc palcami po kierownicy w takt muzyki. Kiedy jednak zapowiedziano kwiz, w którym dwaj słuchacze mieli rywalizo-wać o tytuł gwiazdy, zmienił kanał. Trafiał na wiadomości lokalne, więc postanowił posłuchać, ale niewiele się dowiedział: nowe pro-blemy finansowe, nowe problemy z tramwajami, a na osłodę zapo-wiedź poprawy pogody w niedługim czasie. W komunikacie o ruchu drogowym ostrzegano przed korkami na moście Forth i na wschodnim odcinku obwodnicy.

A w centrum jak zawsze w godzinach szczytu kompletny chaos – za-kończył spiker. W zaparkowanym samochodzie Fox czuł się bez-pieczny, odgradzony od tych przykrych zjawisk. Nadszedł jednak czas, by wyłączyć radio i wysiąść. Pół godziny wcześniej odważył się wysłać SMS-a do Annie Inglis:

Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Że będziemy kumplami.

Z tymi „kumplami” to nie był pewien. Chyba pociągał ją jako męż-czyzna, ale wiedział, że nie ma szczęścia do kobiet. Wyjątkiem była Elaine, ale i to w końcu okazało się pomyłką. Być może fascynowała go nie sama Annie, lecz kombinacja kobiecości ze szczególnym zawodem, jaki wybrała. Przez te pół godziny miał nadzieję, że odpo-wie na SMS-a albo zadzwoni. Kiedy zbliżał się do drzwi pubu, jego stary telefon rzeczywiście się odezwał. Wyciągnął aparat z kieszeni i przycisnął do ucha.

– Halo?

- To ja – powiedziała.
- Annie... Dziękuję, że oddzwoniłaś.

Zszedł z chodnika, by ustąpić jakiemuś przechodniowi.

– Słuchaj, chciałem ci tylko powiedzieć, że strasznie mi przykro z powodu tej sprawy. Wiem, że postąpiłem głupio...

– To ja przepraszam, że tak na ciebie napadłam. Chyba nie myślałam wtedy spokojnie. Jak zwykle Duncan wyprowadził mnie z równowagi.

Fox czekał na więcej, ale najwyraźniej zamknęła już ten temat.

– To nie zmienia faktu, że nie byłem w porządku – przerwał milczenie. – I naprawdę wielką przyjemność sprawił mi ten obiad i spotkanie z tobą... wszystko. Może mógłbym się zrewanżować?

– Masz na myśli: ugotować coś dla mnie?

– „Ugotować” to za duże słowo...

Roześmiała się, a jemu ciężar spadł z serca.

– Ale jestem prawdziwym specem od tutejszych dań na wynos.

– No dobrze – powiedziała. – Zobaczymy.

– W tym tygodniu wszystkie wieczory mam wolne.

– Dam ci znać, Malcolm... – Przerwała w pół zdania. – To chyba

Duncan wraca do domu.

– Szukałem cię dzisiaj, chciałem osobiście przeprosić – powiedział Fox.

– Na Fettes? Myślałam, że jesteś zawieszony.

– Kontrolerzy z policji Grampian wezwali mnie tam na przesłuchanie.

– Masz za dużo spraw na głowie, Malcolm. Może powinniśmy odpuścić ten tydzień?

– Bardzo mi na tym zależy, Annie. Naprawdę.

– Dobrze, zastanowię się. Teraz muszę już lecieć.

– Pozdrów Duncana ode mnie. Powiedz mu, że jestem ciekaw, jaką muzykę kupuje za te kupony.

– Uwierz mi, nie chciałbyś jej słuchać.

Telefon zamilkł. Fox popatrzył na maleńki, świecący wciąż ekran i się uśmiechnął. Potem ekran zgasł, a on odetchnął głęboko i przybrał właściwą minę, zanim wszedł do pubu.

Pierwszy zobaczył go Tony Kaye. Nie siedział przy swoim zwykłym stole, ale przy sąsiednim. Tamten okupowali Naysmith i Gilchrist, a wolał pozostawać w pewnej odległości od nich. Kaye czytał jakąś wieczorną gazetę, lecz najwyraźniej bez większego zainteresowania. Uniósł brwi na widok Foxa, po czym wstał i ruszył w

stronę bufetu, by tam go powitać.

– Pozwól, że tym razem ja postawię.

– Tak bardzo ucieszył cię mój widok? – spytał Fox.

– Zgadłeś. Czuję się tu jak zbędny kutas podczas orgii. – Wskazał głową stół w kącie sali. – Połowy z tego, co oni brzęczą, nie rozumiem, a druga połowa nudzi mnie śmiertelnie.

– Prawdę mówiąc, chciałem pogadać z Gilchristem.

Kaye zrobił myślącą minę.

– To po to był ci potrzebny Naysmith? Kazałeś mu zastawić pułapkę?

Fox tylko wzruszył ramionami i poprosił właściciela o sok pomidorowy. Tamten skinął głową i przyniósł butelkę z oszklonej lodówki, potrząsając nią energicznie po drodze.

– Widzieliście wczoraj *Grasz czy nie grasz?* – zapytał, nie czekając na odpowiedź. – Facet sprzedał walizkę za siedemnaście i pół, a w środku było sto tysięcy.

Pokręcił głową, zastanawiając się nad głupotą niektórych ludzi.

– Bardzo mi się podoba, jak przegrywają – skomentował Kaye i zamówił dla siebie małe piwo.

– Pamiętaj, że prowadzisz – skarcił go Fox.

– Więcej niż dwa małe nie wypiję. No, może trzy.

– Tylko nam tego brakuje, żebyś teraz ty wpadł na głupim alkomacie. McEwana pewnie szlag by trafił. A przy okazji: jesteś pewien, że Gilchrist nie zakapuje?

Kaye parsknął lekceważąco, ale zmienił zamówienie na lemoniadę. Naysmith i Gilchrist obserwowali ich, gdy szli do stolika, każdy z drinkiem w ręku. Kaye zabrał ze stołu gazetę i usiadł. Fox zajął miejsce blisko Gilchrista.

– Wszystko w porządku, chłopaki? – spytał. Zauważył, że Gilchrist już prawie wypił swój gin z tonikiem. – No i jak, oswoiłeś się już trochę?

– Jakoś to głupio wyszło... – zaczął niepewnie Gilchrist.

Fox przerwał mu ruchem ręki.

– Wszystko w porządku. Przecież to nie twoja wina, prawda?

Brzmiało to jak pytanie retoryczne, ale oczy Foxa mówiły co innego. Gilchrist wytrzymał to spojrzenie, potem spokojnie pokręcił głową.

– Nie – powiedział w końcu.

– Nie – powtórzył jak echo Fox. – No to nie ma sprawy. Chociaż musi to być poważne utrudnienie dla sierżant Inglis... – Upił trochę

soku pomidorowego.

– Owszem – zgodził się Gilchrist.

– Tak z dnia na dzień wyrwali cię z Chop Shop – kontynuował myśl Fox.

– Już wcześniej wiedzieli, że chętnie spróbuję czegoś innego – powiedział Gilchrist, a po chwili dodał: – To zresztą tylko tymczasowe.

– Jasne! – odezwał się z naciskiem Kaye, a Naysmith przytaknął zdecydowanym ruchem głowy.

Fox uśmiechnął się, dostrzegając to poparcie, ale patrzył ciągle na Gilchrista.

– A co w sprawie Jamiego Brecka? – spytał. – Australijskie dochodzenie zaczęło się kruszyć?

– Z tego co wiem, oni sądzą, że mają już dosyć materiałów.

– Rozumiem, że mogą już postawić przed sądem głównego podejrzanego. Ale co z jego klientami?

Gilchrist wzruszył ramionami.

– Mogę trochę poszperać, jeśli chcesz.

Fox wyciągnął rękę i klepnął Gilchrista w udo.

– Nie warto. Teraz jesteś u nas, a tu są inne rybki do złowienia. Jeszcze raz to samo? – spytał, wskazując na niemal puste już naczynie.

– Chętnie, Malcolm, dziękuję – powiedział Naysmith, lecz Gilchrist pokręcił głową.

– Wpadłem tylko na jednego – wyjaśnił ku wyraźnemu zdumieniu Naysmitha. Opróżnił do końca swoją szklankę, po czym zbierając się do wyjścia, dodał: – Mam jeszcze spotkanie w mieście... Zobaczymy się jutro, tak?

– Ze mną nie – przypomniał Fox.

– No, fakt... Ale życzę szczęścia.

– Sądysz, że go potrzebuję?

Gilchrist nie odpowiedział. Włożył swoją puchową kurtkę. Fox chwycił go za rękę.

– Kto przejął śledztwo w sprawie Brecka? To do ciebie był telefon wtedy w garażu, kto był po drugiej stronie linii?

Gilchrist wyrwał się i odszedł, nie otworzywszy ust. Machnął tylko ręką na pożegnanie Naysmithowi.

– Uzyskałeś to, co chciałeś? – spytał Kaye Foga.

– Nie jestem pewien.

Naysmith popchnął w stronę Foga pusty kufel.

- Kronenberg, jeśli można.
- Sam sobie kup – warknął Fox. – Mały Quisling!

• • •

- Może przychodzę nie w porę? – spytał Fox.

Była dziewiąta wieczór, stał przed drzwiami domu Jamiego Brecka. Ten właśnie je otworzył, stając w progu w rozchełstanej koszulce polo, zielonych płóciennych spodniach, w skarpetkach, ale bez butów.

- Jeśli przeszkadzam... – kontynuował Fox gasnącym głosem.
- W porządku – odparł po chwili milczenia Breck. – Annabel nocuje dziś u siebie.

Odwrócił się i poczłapał przez krótki korytarz do salonu. Zanim i Fox tam dotarł, Breck włączył kilka lamp. Telewizor był wyłączony, system audio też.

- Siedziałem w Internecie – uznał za stosowne wyjaśnić Breck. – Trochę mnie to już znudziło, szczerze mówiąc.

- Grasz w *Quidnunc*?
- Skąd wiesz? Tak, dzisiaj już cztery, pięć godzin... – Spojrzał na zegarek. – A może nawet dłużej...

Fox pokiwał głową ze zrozumieniem i usiadł na sofie. Był przedtem w domu, gdzie próbował zjeść jakieś przywiezione gotowe danie, ale zrezygnował, nie zjadłszy nawet połowy.

- Miałem dziś rozmowę z kontrolerami z policji Grampian – powiedział.

- Jak poszło?
- Jako tako.
- Chcą mnie zobaczyć jutro rano... Kobieta o nazwisku Stoddart.
- Dasz sobie radę.

Breck opadł ciężko na fotel.

- Jesteś pewien?
- Czy Annabel coś znalazła?
- Masz na myśli sprawę Vince'a Faulknera? – Breck wykrzywił usta. – Chyba nic z tego nie będzie. Zamiast posuwać się dalej, Giles kręci się w kółko i tylko sprawdza, czy czegoś nie przeoczono.

- Strategia leniwca – skomentował Fox.
- Obejrzeli nagrania z kamer w kasynie...
- I?

Breck wzruszył ramionami.

- Nie ma tam ani śladu Faulknera. Ale ciekawa rzecz: w tych

nagraniach są luki.

– Ktoś przy nich majstrował?

– Były jakieś „krótkie spięcia” według zarządzających.

– Tak, jak przewidywałeś. Joanna Broughton wyjaśniła coś w tej sprawie?

– Nie mogli jej znaleźć. Był za to ten chłopak z baru; najwyraźniej awansował tam na kogoś ważniejszego. I ktoś z firmy Lovatt, Meikle, Meldrum.

– A oni tam po co?

– Klientka poprosiła ich o obecność. Mówiłem ci już, Malcolm, ona nie życzy sobie niczego, co mogłoby popsuć reputację Oliverowi. Breck przerwał, jakby coś sobie nagle przypomniał.

– Powinienem być zapytać, czy nie masz ochoty na drinka.

– Dziękuję, niczego mi nie trzeba.

Przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu.

– Mogę cię o coś spytać? – odezwał się w końcu Breck z cieniem uśmiechu.

– No?

– Coś cię gryzie.

Fox popatrzył na niego uważnie.

– Nie wiem, czy mogę ci zaufać.

Breck wzruszył ramionami.

– Mam wrażenie, że potrzebujesz kogoś, komu mógłbyś zaufać.

Fox podrapał się w czoło. Już od półtorej godziny myślał tak samo.

– Może jednak poproszę o coś do picia – powiedział, grając na zwłokę. – Wystarczy woda.

Breck wstał i wyszedł z pokoju. Fox rozejrzał się dookoła, ale z tego, co widział, niewiele do niego docierało. Miał za sobą długi dzień. Dearborn i Broughton, Stoddart i Gilchrist...

Breck wrócił z napelnioną szklanką. Fox przyjął ją z wdzięcznością. Miał wrażenie, jakby jego żołądek był pełen kwasu, oczy piekły go przy każdym mrugnięciu, a w skroniach czuł uporczywe pulsowanie.

– Nie chcesz aspiryny albo czegoś w tym rodzaju? – spytał Breck. Fox pokręcił przecząco głową. – Bo wyglądasz na mocno rozbitego. Mam nadzieję, że to nie z powodu tej Stoddart?

– Jest coś, co muszę ci powiedzieć – wypalił nagle Fox. – Chociaż nie wiem, jak to przyjmiesz.

Breck miał właśnie usiąść, ale zatrzymał się oparty całym ciężarem na poręczy fotela.

– Powiesz, kiedy zechcesz.

Fox łyknął jeszcze trochę wody. Miała lekko słodkawy posmak, jak woda z kranu, którą pił w dzieciństwie, kiedy ganiał w upale z kolegami i wracał zmęczony do domu.

– Byłeś inwigilowany – stwierdził, unikając kontaktu wzrokowego. – Łącznie z podsłuchem.

Breck myślał przez kilka sekund, potem wolno pokiwał głową.

– Ten van? – powiedział. – Tak, podejrzewałem to, ciebie zresztą też.

Dopiero teraz Fox spojrzał mu w oczy.

– Wydawało mi się – ciągnął Breck – że trochę za dużo o mnie wiesz, Malcolm. Pamiętasz, jak powiedziałem, że mój brat jest gejem? Stwierdziłeś, że nie wiedziałeś o tym, ale to oznaczało, że wiedziałeś o czymś innym, że w ogóle mam brata. A gdy tu pierwszy raz przyszedłeś, nie potrafiłeś wyjaśnić, skąd znasz nazwę ulicy. – Zrobił przerwę. – I prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że coś mi o tym powiesz.

– No więc mówię...

– Sądziłem, że chcecie mnie powiązać ze sprawą Glena Heatona.

– Nie, nie o to chodziło.

– A o co? – Breck nie ukrywał ciekawości.

– Twoje nazwisko pojawiło się na pewnej liście, Jamie. Wśród subskrybentów pewnej strony internetowej.

– Jaka to strona?

Fox przechylił głowę do tyłu, tak że patrzył teraz prosto w sufit.

– Nie powinienem tego mówić – mruknął.

– Lepiej późno niż wcale – powiedział Breck. – A więc jaka to strona?

– Taka, o której na pewno nie powinna wiedzieć Annabel.

– Pornosy? – Breck ściszył głos. – Sado-maso? Zabójstwa online?

– Nieletni.

Breck przez chwilę milczał, potem wybuchnął śmiechem, jakby nie mógł uwierzyć.

– Zapłaciłeś kartą kredytową – wyjaśnił Fox. – Wtedy Zespół Ochrony Dzieci zlecił nam sprawdzenie.

– Kiedy to się wszystko zaczęło?

– Na początku ubiegłego tygodnia. Próbowałem się z tego wycofać, gdy się poznaliśmy...

Breck zsunął się wreszcie z oparcia fotela na siedzenie.

– Moja karta kredytowa? – spytał.

Zerwał się i wybiegł z pokoju, a po niespełna minucie wrócił z jakąś teczką. Położył ją na stoliku przy sofie, przykucnął i zaczął starannie przeglądać zawartość. Były tu wyciągi bankowe, rachunki, listy hipoteczne i raporty operacyjne karty kredytowej. Fox nie mógł nie zauważyć, że oszczędności Brecka opiewają na solidną pięciocyfrową sumkę. Breck wyciągał na wierzch kolejne raporty operacyjne.

– Przelew w dolarach australijskich, prawdopodobnie – zasugerował Fox.

– Nic tu nie ma... – Breck przesuwiał palcem po kolejnych rubrykach.

Używał karty bardzo często: w supermarketach, na stacjach benzynowych, w restauracjach, w sklepach odzieżowych, a także płacąc za Internet i telewizję.

– Poczekaj chwilę – powiedział.

Jego palec zatrzymał się na przelewie dolarowym.

– To amerykańskie dolary, nie australijskie. Dziesięć dolarów za osiem funtów.

Fox popatrzył na wskazaną pozycję.

– SEIL Ents – przeczytał.

– Nigdy nie zwróciłem na to uwagi... – Breck mówił teraz właściwie do siebie. – Czasem kupuję w Stanach całe pakiety do ściągnięcia... Myślisz, że to to?

– Kupowałeś ostatnio coś innego za dolary? Może być nawet pięć tygodni temu.

– Przysięgam na Boga, Malcolm...

Breck otworzył szeroko oczy. Przestał się wpatrywać w zadrukowaną kartkę i wstał.

– Chodź, pokażę ci coś.

Znów wyszedł z pokoju. Fox ruszył za nim. Znaleźli się w pomieszczeniu, które miało zapewne być jeszcze jedną sypialnią. Teraz pełniło funkcję gabinetu Brecka. Komputer był włączony, z aktywnym wygaszaczem ekranu. Breck popchnął myszkę. Pojawiła się tapeta: duża fotografia Annabel.

– Siadaj – wskazał Foxowi obrotowe krzesło – i sam zobacz. Strony pornograficzne otwierałem parę razy w życiu, ale nigdy czegoś takiego...

– Posłuchaj, Jamie...

Breck odwrócił twarz w jego stronę.

– Nie mam z tym nic wspólnego! – krzyknął.

– Wierzę ci – powiedział cicho Fox.

Breck popatrzył na niego.

– Jasne, bo trzymałeś tego vana przed moim oknem.

Przeganiał ręką włosy.

– Plądrowaliście mój system... Wiem, nie ty osobiście, bo byłeś wtedy ze mną w Oliverze. Ale twoi chłopcy, prawda? I pewnie jeszcze ktoś z CEOP?

– Tak. Nazywa się Gilchrist. Urzęduje teraz przy moim biurku w pokoju kontrolerów.

Breck trawił tę informację przez chwilę, mrużąc oczy.

– Musimy z nim porozmawiać, wyjaśnić, jak mogło do tego dojść.

– Próbowałem dzisiaj zamienić z nim parę słów, ale nie był zbyt rozmowny.

– Koniecznie muszę to wyjaśnić – powtórzył Breck. Potem wbił wzrok w Foxa. – Przez cały ten czas... naszych spotkań... myślałeś, że jestem pedofilem?

Fox nie potrafił nic wymyślić w odpowiedzi. Breck podszedł do okna i wyrzwał na ulicę, odchylając żaluzje.

– To była tylko jedna noc. Planowaliśmy następną, ale CEOP odwołał akcję.

Breck znowu spojrzał na niego uważnie.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Zrozumieli, że to pomyłka?

Fox wzruszył ramionami.

Breck ponownie podszedł do okna.

– To jakiś cholerny koszmar – rzekł. – Przecież spotkałeś tu Annabel. Ja mam dziewczynę, zrozum.

– Tamtym też się to zdarza.

– Jakim tamtym? Pedofilem?

Fox zauważył, że umysł Brecka zaczyna się gotować.

– Postawiliście vana, żeby mnie śledzić! To jak gestapo albo i gorzej.

– Aparatura vana coś jednak wykryła...

Breck spojrzał na niego ostro.

– Co?!

– To, że szukałeś informacji o mnie.

Breck zastanawiał się przez chwilę, potem spuścił głowę.

– To prawda – przyznał.

Usiadł i w milczeniu wpatrywał się w ekran komputera.

– Jak się ta strona nazywa? – spytał nagle. – Musimy tam zajrzeć, zobaczyć, o co chodzi.

– To ostatnia rzecz, jaką powinieneś robić – ostrzegł Fox.

– Znają numer mojej karty. Jak to możliwe?

– Możliwe – wyjaśnił Fox. – Przecież sam powiedziałeś: kupowałeś rzeczy w Internecie. Pewnie tak opłaciłeś subskrypcję na *Quidnunc*? Wtedy dane karty powędrowały dalej.

– To jakiś koszmar – powtórzył Breck, wpatrując się tępo w ścianę. – Muszę się napić...

Wyszedł pospiesznie z gabinetu, zostawiając Foxa samego. Ten odczekał chwilę, a potem starannie przejrzał ikony na ekranie komputera. Nie znalazł nic nadzwyczajnego. Otwarty program *Quidnunc* był zminimalizowany do ikony na dolnym pasku, Fox rozwinął go do rozmiarów pełnego ekranu. Awatarem Brecka był muskularny jasnowłosy wojownik uzbrojony w jakiś skomplikowany wielofunkcyjny karabin. Stał pośrodku doliny otoczonej górami, nad którymi pojawiały się rozbłyski eksplozji, a od czasu do czasu przelatywały pojedyncze odrzutowce lub rakiety. Włosy wojownika rozwiewał wiatr, poza tym jednak czekał on całkiem nieruchomo na powrót Brecka do gry. Fox ponownie zredukował obraz do rozmiarów ikony i opuścił gabinet.

Jamie Breck był w kuchni. Panował tu idealny porządek, ale Fox miał wrażenie, że miejsce to było niedawno używane. Misa na owoce pełna pomarańczy i śliwek była przykryta deską do krojenia, na której leżała połówka razowego chleba. Breck miał już w szklance kilka kostek lodu i nalewał na nie whisky.

– Są takie sytuacje – powiedział lekko drżącym głosem – w których pomagają tylko stare domowe sposoby.

Podniósł butelkę w stronę Foxa, ale ten pokręcił głową. To była Highland Park, kiedyś często ją pijał. Łagodna mieszanka aromatów torfu i piany morskiej... Breck wypił jednym haustem pół szklanki. Zamknął oczy, otworzył usta i głośno chuchnął. Nozdrza Foxa się rozszerzyły. Tak, to był ten zapach, który tak dobrze pamiętał.

– To niemożliwe – odezwał się Breck. – Naprawdę dobrze mi szło, jeszcze rok, a byłbym inspektorem.

– To samo wynika z twojej teczki.

Breck pokiwał smutno głową.

– To stąd wszystko o mnie wiedziałeś. – Zatrzymał wzrok na twarzy Foxa. – Dlaczego więc teraz się przyznajesz, Malcolm?

Fox nalał sobie jeszcze jedną szklanę wody z kranu.

– Sam to powiedziałaś, Jamie. Potrzebuję kogoś, komu mógłbym zaufać.

– I myślisz, że to właśnie ja? – Breck wyraźnie czekał na potwierdzenie. – Dzięki przynajmniej za to. A może to znaczy, że jestem twoją ostatnią nadzieją?

– Rzecz w tym, Jamie, że dzieje się wiele spraw, których w ogóle nie jestem w stanie zrozumieć. I myślę, że może ty mógłbyś mi pomóc.

– Chcesz powiedzieć, że ci nie przeszkadza to, że jestem podejrzany o pedofilię i że współniczką tej zbrodni może być moja dziewczyna?

Fox się uśmiechnął.

– Tak właśnie myślę.

Breck zaśmiał się głośno, wpatrując się w swoją szklanę.

– No to przynajmniej wiemy, na czym stoimy. Może powinienem się skontaktować z firmą od tej karty? Oni na pewno mogą przesledzić całą transakcję.

– Tak, myślę, że warto spróbować.

– Tymczasem sprawdzę SEIL Ents.

– Z tym ostrożnie. Facet kryjący się za tą stroną to gliniarz z Australii. Tamci go śledzą, ale stanowczo nie chcą, żeby się o tym przedwcześnie dowiedział. Jeśli się zorientuje, zwinie cały interes...

– Czyli ktoś mógłby pomyśleć, że to ja mu dałem cynk? – Breck się zamyślił. – Ile im jeszcze trzeba, żeby go zamknąć? Mógłbyś się jakoś dowiedzieć?

Fox potwierdził skinieniem głowy.

– A ja się postaram, żeby Annabel miała oko na Billy'ego Gilesa i wszystko, co on robi. To uczciwy układ?

Fox przytaknął, ale Breck miał jeszcze jeden warunek. Podniósł w górę palec wskazujący.

– Annabel nie może wiedzieć o mojej sprawie.

– Ode mnie niczego nie usłyszysz – obiecał Fox.

– Czy Stoddart wie?

– Tak.

– Ale w żadnym razie nie powinna wiedzieć, że ja wiem.

– To zależy tylko od ciebie, Jamie.

– Bo domyśliliby się, że to ty mi powiedziałeś. A to by jeszcze pogorszyło naszą sytuację.

– Masz rację.

Breck odwrócił się i oparł plecami o bufet z czarnego marmuru. Nadal trzymał w ręku szklankę, w której zostało tylko trochę płynu.

– No i patrz, co się z nami stało – powiedział z jeszcze jednym wymuszonym uśmiechem. Potem wznosił szklanką toast. – Ale dziękuję, że mi zaufałeś, Malcolm. Lepiej późno niż wcale.

Wypił resztę whisky i wyrzucił lód do zlewu.

– A zatem – powiedział, ocierając wargi dłonią – masz już jakiś plan w głowie?

– Ja jestem z tych, co myślą, że różne rzeczy po prostu nam się przytrafiają, pamiętasz? To ty uważasz, że możemy kształtować nasz los.

– Pamiętam, ale coś mi się wydaje, że zaczynasz zmieniać poglądy.

– Jeśli już o zmianach mowa... – Fox wyjął z kieszeni wizytówkę i podał ją Breckowi. – Kupiłem sobie nową komórkę.

– Myślisz, że też powinienem to zrobić? – Breck przyglądał się wizytówce, na której skreślony był stary numer Foxa i dopisany długopisem nowy. – Sądzisz, że kontrolerzy założyli mi podsłuch?

– To nie takie proste. Ale mogą przechwytywać zapisy rozmów, zarówno wychodzących, jak i przychodzących.

– Powiedziałeś „mogą”, a nie „możemy”...

Fox nic na to nie odpowiedział. Breck zamyślił się głęboko, potem rzekł:

– Dlaczego mnie w to wkręcili? – spytał cicho. – I kto to robi? Jakiś australijski pornomaniak internetowy? Przecież to nie ma sensu.

– Może ma, zobaczymy – stwierdził Fox, prostując ramiona. – Musimy tylko nad tym popracować.

Wtorek, 17 lutego 2009

18

We wtorek rano Fox czekał na Annie Inglis przed jej domem. Najpierw pojawił się Duncan, garbiąc się w swojej codziennej drodze do szkoły pod ciężarem plecaka. Dziesięć minut później przyszła kolej na Inglis. Fox siedzący w samochodzie po drugiej stronie ulicy nacisnął klakson i pomachał jej ręką. Ruch był duży: ludzie jadący do pracy lub podrzucający dzieci do szkoły. Jakiś strażnik miejski na skuterze zatrzymał się przy samochodzie Foxa, ale widząc, że ktoś jest za kierownicą, pojechał dalej. Annie Inglis musiała odczekać dłuższą chwilę, a kiedy w końcu przeszła na drugą stronę, nie od razu wsiadła do auta.

Fox zobaczył jej twarz w oknie od strony pasażera, więc opuścił szybę.

– Co tu robisz? – spytała. Podał jej wizytówkę, na której zapisany był numer jego nowej komórki.

– To na wypadek, gdybyś chciała mnie znaleźć – wyjaśnił. – Ale zachowaj to dla siebie.

Po chwili dodał:

– Możesz mi wyświadczyć przysługę, Annie?

– Daj spokój, Malcolm...

– Będzie łatwiej rozmawiać, jeśli wsiądziesz. Mogę cię też podrzucić.

– Nie potrzebuję.

Nie odpowiedział, więc w końcu westchnęła i otworzyła drzwi. Fox zabrał z siedzenia kierowcy opakowanie po cukierkach. Ona z kolei podniosła z podłogi samochodu mapę i podała mu. Rzucił jedno i drugie na tylne siedzenie.

– To ma jakiś związek z Jamiem Breckiem? – spytała.

– Gilchrist nie bardzo chce współpracować.

– Jesteś zawieszony, Malcolm! Współpraca z tobą nie należy do jego zadań.

– A jednak...

Znów ciężko westchnęła.

– Czego chcesz?

– Kontakt z Australijczykami, z kimś z tamtego zespołu. Nazwisko, telefon, e-mail... cokolwiek.

– A mogę wiedzieć po co?

– Jeszcze nie.

Spojrzała na niego uważnie. Jej twarz „do biura” wyglądała nieco inaczej niż w domu, było na niej trochę więcej makijażu, co zaostrzało jej rysy.

– Dowiedzą się, że to ja – stwierdziła sucho. Na pewno nie miała na myśli Australijczyków. Myślała o ludziach z Fettes.

– To zaprzeczę.

– Oczywiście, przecież w gruncie rzeczy nie mają żadnego powodu, żeby ci nie wierzyć.

– Żadnego powodu – odpowiedział z uśmiechem.

Annie Inglis otworzyła drzwi i obróciła się, by wysiąść. Nadal trzymała w ręku jego wizytówkę.

– Co się stało z twoim starym telefonem? – spytała. Zawahała się jednak. – Nie, właściwie wcale nie chcę wiedzieć.

Wysiadła, zatrzasnęła drzwi i wróciła na drugą stronę ulicy, otwierając po drodze pilotem własny samochód.

Tylko pięciu minut potrzebował Fox, by dojechać do kafejki przy Morningside Road, ale następne pięć zajęło mu szukanie miejsca parkingowego. Wrzucił do parkometru dostatecznie dużo monet, by starczyło na godzinę, i poszedł do kawiarni. Jamie Breck już tam był. Wybrał stolik w kącie, bo do gniazdka na ścianie mógł podłączyć laptop.

– Jakoś tu trafiłem – powiedział Foxowi na powitanie.

– Jak się czujesz?

– Nie za bardzo mogłem spać... przez te twoje wyznania.

Fox skrzywił się na to słowo. Zrzucił płaszcz i spytał Brecka, czego chce się napić.

– Amerykańską lurę z odrobiną mleka.

Fox zamówił napoje, dla siebie wziął cappuccino.

– Zjesz coś? – spytał Brecka.

– Może rogalika.

– To dwa – rzucił Fox do kelnerki.

Breck tymczasem przekręcił laptop tak, by poranne słońce nie świeciło na ekran. Fox postawił swoje krzesło obok Brecka. Ta kafejka to był pomysł Foxa. Teraz obserwując innych klientów, mógł

uznać go za dobry. Nawet gdyby w pobliżu stał van z podsłuchem – a choć mocno się rozglądał po drodze, niczego podejrzanego nie zauważył – to i tak było tu co najmniej sześciu innych klientów korzystających z Internetu dzięki darmowej sieci wi-fi. Wyglądali na studentów albo handlowców. Naysmith powiedział mu kiedyś, że bardzo trudno jest przy takim tłoku sygnałów odnaleźć konkretnego użytkownika.

– No to czego właściwie szukamy? – spytał Breck.

Zabrzmiało to całkiem rzeczowo, jakby szok wczorajszych rozmów został zamortyzowany i zamknięty w odrębnej klatce mózgu Brecka.

– Tego, o czym niedawno mówiłeś – zaczął Fox, pochylając się ku niemu. – Wspominałeś o tej firmie PR.

– Lovatt, Meikle, Meldrum – przypomniał Breck. – Zajmują się też lobbingiem.

Wpisał w wyszukiwarce nazwę firmy i wszedł na jej stronę główną. Po kilku kolejnych kliknięciach pokazał Foxowi fotografię. Widoczny na niej mężczyzna był łysy, pewny siebie, uśmiechnięty.

– Paul Meldrum, główny stręczyciel polityczny LMM. Mówiłem ci o tym lokalnym radnym. To przez Meldruma zająłem się tą sprawą, występowałem jako przedstawiciel rady.

– Jak się nazywał ten radny?

– Ernie Wishaw.

– Nie słyszałem...

– Ma firmę transportową przy centrum handlowym Gyle.

– Co mu zarzucano?

– Jeden z jego kierowców przewoził o kilka paczek za dużo...

– Narkotyki?

Breck potwierdził ruchem głowy.

– Zajął się nim DEA, Urząd do Walki z Narkotykami. Zasługiwał na pięć lat. Ale oni chcieli sprawdzić, jak daleko sięga siatka. Wishaw miał spotkanie ze szwagrem tego kierowcy w kasynie Oliver. W DEA doszli do wniosku, że chodzi o pieniądze na ucieszenie żony kierowcy. Gdyby to się udało, to i kierowca nie mówiłby za dużo.

– Jak zostałeś włączony do tej sprawy?

– DEA potrzebowała informacji środowiskowych. Szef urzędu znał osobiście Gilesa, więc zwrócił się do nas.

Fox zmarszczył brwi.

– Glen Heaton też przy tym pracował?

– Tak. Wówczas nie miałem powodu mu nie ufać.

– A co się stało, że potem zmieniłeś zdanie?

Breck wzruszył ramionami.

– Myślę, że oni od początku coś przed nami ukrywali. Nie pytaj dlaczego, takie po prostu miałem wrażenie.

– Dlatego nie zdziwiłeś się, gdy niczego nie znaleźliście w nagraniach z Olivera?

– Tak – zgodził się Breck.

Fox wypił łyk kawy.

– Mówisz, że kiedy toczyła się ta sprawa?

– Najważniejsza część sześć miesięcy temu.

– Ciekawe... bo nigdy nie wyszła na jaw.

Breck popatrzył na niego tak, jakby nie całkiem rozumiał. Fox wyjaśnił:

– Badaliśmy sprawę Glena Heatona przez cały rok, ale o tym słyszę po raz pierwszy.

Breck znowu wzruszył ramionami.

– Nic złego nie zrobił.

– Mogłeś wspomnieć o swoich podejrzeniach.

– Wydaje mi się, że sam też sobie nieźle poradziłeś. A jak powiedziałem, nie miałem czym ich poprzeć.

Breck sięgnął po swój kubek, ale zmienił zamiar i zaczął od rogalika. Okruchy francuskiego ciasta poleciały na jego spodnie, więc zaczął je strzepywać. Fox tymczasem przypatrywał się fotografii Paula Meldruma.

– Handel narkotykami nie ma nic wspólnego z działalnością rady – stwierdził Fox. – Skąd się tam wziął LMM?

– Dobre pytanie.

– A zadałeś je wtedy?

– Parę lat wcześniej Ernie Wishaw kupił jakąś konkurencyjną firmę. Wyglądało to dosyć paskudnie, więc zatrudnił LMM, by przekabacić media.

Obaj skierowali wzrok ku drzwiom, kiedy pojawiła się w nich nowa klientka. Pchała przed sobą wózek z dzieckiem, więc przestali się nią interesować. Ale gdy znów spojrzeli na siebie nawzajem, wymienili porozumiewawczy uśmiech. Lepiej dmuchać na zimne...

– Może pracowali raczej dla samego Wishawa niż dla rady? – zasugerował Fox.

Jamie Breck mógł jedynie znowu wzruszyć ramionami.

– Tak czy owak, skończyło się na niczym. DEA umorzył sprawę, a nam podziękowali za współpracę.

Fox zajął się swoim śniadaniem, ale po chwili postanowił jeszcze o

coś zapytać.

– Nie tylko ty byłeś śledzony, Jamie. Zastępca głównego wygadał się przecież, że obserwowali mnie już od poniedziałku ubiegłego tygodnia, chociaż ciało Vince'a znaleziono dopiero we wtorek rano. Trzeba trochę czasu, by zdecydować, że policjant mógł złamać przepisy i że należy go śledzić.

– A ile czasu ty potrzebowałeś, by zdecydować, że zasługuję na vana z podsłuchem?

– Niewiele – przyznał Fox. – Ale to nie to samo. Ja byłem śledzony, zanim jeszcze cokolwiek podejrzanego zacząłem robić.

– Widocznie jest coś, co skutecznie przed wszystkimi ukrywałeś.

– Byłem czysty, to jasne jak słońce, sierżancie Breck.

– Jest zima, inspektorze Fox, i słońce wcześniej zachodzi.

Fox nie podjął tematu.

– W czasie tego przesłuchania na Torphichen, kiedy Traynor się wściekał, a Billy Giles zacierał ręczki z radości, zauważyłem spojrzenie mojego szefa...

– McEwana?

– Tak. Nie jestem pewien, czy wiedział o tym wcześniej. Chyba bardzo późno został wtajemniczony. Miał minę, jakby pytał: co tu się dzieje?

– Może on mógłby się czegoś dowiedzieć dla ciebie.

– Może.

– Nie ufasz mu?

– Trudno powiedzieć. Tu właśnie jest problem: ten ogon za mną zbiega się w czasie z nowym zadaniem, jakie dostałem.

– To „zadanie” to ja?

– Tak.

Kofeina wreszcie podziałała, Fox czuł, jak rozchodzi się po jego ciele. Kiedy zadzwoniła komórka, nie od razu rozpoznał sygnał. Po raz pierwszy ktoś telefonował do niego pod nowy numer.

– Halo? – odezwał się.

– Mam coś dla ciebie – rzekła Annie Inglis. Mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał. Zatkał drugie ucho palcem.

– Jest tam ktoś z tobą? – spytał.

– Nie.

– To dlaczego szepczesz?

– Chcesz to usłyszeć czy nie? – spytała najwyraźniej zirytowana. Potem nie czekając na odpowiedź, wyrecytowała numer telefonu.

– Zaczekaj – powiedział, szukając długopisu i strzepując płatki

francuskiego ciasta z papierowej serwetki na talerzyk. Powtórzyła numer, a on go zapisał.

– Nazywa się Dawlish, Cecilia Dawlish – powiedziała i rozłączyła się, zanim Fox zdążył podziękować.

– Jaki jest kierunkowy do Australii? – spytał Brecka. Ten potrzebował trzydziestu sekund, by znaleźć numer w komputerze.

– Zero-zero-sześć-zero – powiedział. – I tam jest osiem do dziesięciu godzin później niż u nas.

Fox spojrzął na zegarek.

– To oznacza wieczór. Cholernie drogie połączenie. – Podniósł nowy telefon. – Jest na kartę – wytłumaczył.

– Na mój koszt – zaproponował Breck, podając mu swoją motocykl.

– Mogą namierzyć twój numer – ostrzegł Fox, ale Breck tylko wzruszył ramionami.

– Nie ja jeden tam dzwonię, prawda? – odparł.

Okazało się, że numer podany przez Inglis to komórka. Dawlish jechała właśnie samochodem.

– Mówi detektyw Gilchrist – wyjaśnił Fox, obserwując ruch na ulicy za oknem kawiarni.

– Tak?

– Zespół Ochrony Dzieci w Edynburgu. Prosilicie nas o sprawdzenie naszego agenta, niejakiego Brecka.

– Tak.

– Czy możemy teraz rozmawiać?

– Wracam właśnie do domu, detektywie Gilchrist. Czym mogę służyć?

– Zlecono mi uzupełnienie danych w formularzu.

– Dobrze, tylko proszę pamiętać o tym, co mówiliśmy na początku. Im więcej osób o tym wie, tym trudniej zachować tajemnicę.

– Rozumiem. – Fox zrobił krótką przerwę. – Czyli jeszcze go nie zatrzymaliście?

– Damy wam znać, kiedy to się stanie.

– Dobrze – powiedział Fox, przenosząc wzrok na słuchającego uważnie Brecka. – Co mamy teraz zrobić z Breckiem?

– Po prostu informujcie nas o wszystkim, czego się dowiecie. Przejdźmy do tego cholernego formularza.

– Chciałem się tylko upewnić, czy mam panią wpisać jako główny kontakt w tej sprawie?

– Oczywiście.

– I właśnie ten numer telefonu?
– Chyba tylko ten wam dałam.
– Tak, chyba tak. – Fox namyślał się przez chwilę. – Udało nam się sprawdzić jego dom.

– Tak?

– Komputer jest czysty, ale w wyciągu z karty kredytowej jest przelew na rzecz SEIL Ents.

– To właśnie on.

– Ten skrót coś znaczy?

– Inicjały tego bydlaka. Nazywa się Simeon Edward Ian Latham.

Dla przyjaciół Sim.

– Przelew był w dolarach amerykańskich.

– Ma konto na Karaibach. Prowadzi ten interes od wielu lat. Nie wiedzieliśmy o tym, bo używał różnych wypróbowanych trików i sam wymyślał nowe. – Dawlish się zawahała. – Czy to jest bezpieczna linia, panie Gilchrist?

– Absolutnie – zapewnił ją Fox. – Dziękuję za pomoc.

– Te formalności nas wykończą – jęknęła i się rozłączyła.

Fox długo patrzył na Jamiego Brecka.

– Dla Australijczyków nadal jesteś w kręgu podejrzeń.

– Dziękuję, że nie powiedziałeś tego dosadniej.

– Rzecz w tym, Jamie, że prowadziliśmy podsłuch przez jedną noc, a druga sesja została odwołana. Można było pomyśleć, że Australijczycy już cię nie potrzebują albo wykreślili twoje nazwisko z listy podejrzanych. Kiedy wczoraj rozmawiałem z Gilchristem, też coś w tym rodzaju powiedział: że sprawę skierowano już do sądu.

– A nie skierowano?

– Dawlish mówi, że śledztwo trwa.

– Dlaczego więc Gilchrist powiedział ci co innego?

– Może jego powinniśmy zapytać?

– Mogę to załatwić solo – powiedział Breck – jeśli wolałbyś się nie angażować.

Ale Fox stanowczo pokręcił głową. Potem zaatakował resztkę rogalika.

– To już wszystko? – spytał Breck, dotykając pokrywy laptopa, jakby chciał ją zamknąć. Fox zerknął na zegarek: jeszcze piętnaście minut pozostało na parkometrze.

– Ostatnia rzecz – powiedział. – I ten twój komputer może się jeszcze przydać.

Otarł okruszki z warg.

- Pytałem cię o coś w sali bilardowej.
- Tak?
- Pytałem, czy Charlie Brogan mógł być jednym z inwestorów na Fountain Brewery.
- Możemy sprawdzić – powiedział Breck i pochylił się nad klawiaturą. Po paru minutach miał już dość informacji, by stwierdzić, że w skład konsorcjum prowadzącego budowę wchodzi spółka CBBJ.
- CB to Charles Brogan – skomentował Fox. – Ale kim jest BJ?
- Może Broughton Joanna? – próbował odgadnąć Breck.
- To by pasowało, jak sądzę. – Fox wpatrywał się w ekran. – Zajrzałem do jego kalendarza...
- Co? – Breck spojrział na niego z zainteresowaniem.
- Kalendarz Brogana. Joanna Broughton poprosiła mnie, żebym go podrzucił do komisariatu w Leith. – Zamilkł na chwilę. – To dłuższa historia.

Breck założył ręce.

- Mam dużo czasu, wspólniku.
 - Rozpoznałem ją, kiedy stała na chodniku przed komisariatem. Powiedziałem, że mogę ją podwieźć do domu.
 - Do tego sławnego piętrowego penthouse'u?
 - Tak. Trzypiętrowego, ściśle biorąc.
 - Byłeś w środku? A ona wiedziała, że jesteś gliną?
- Fox znowu przytaknął.
- Ci z Leith chcieli zobaczyć kalendarz spotkań Brogana. Zapytała, czy mógłbym im go zawieźć.

Breck zachichotał.

- Powinieneś się wystrzegać takich rzeczy. Nie wierzę, że ci to uszło na sucho.
- Nie uszło. Kiedy wychodziłem, nadziałem się na Gordona Lovatta. Powiedziała mu, kim jestem, on doniósł na Leith, a oni poinformowali inspektor Stoddart i jej paziów.

Breck gwizdnął cicho, potem namyślał się przez chwilę.

- Ten kalendarz był przynajmniej tego wart? – spytał w końcu.
- Nie za bardzo. Praca męczyła Charliego Brogana. Zanotował tam więcej programów telewizyjnych do obejrzenia niż spotkań roboczych. – Fox przerwał, by zebrać myśli. – Ale popatrz na to szerzej. Vince Faulkner pracuje na budowie Brogana. Ostatnio widziano go w kasynie, którego właścicielką jest żona Brogana. Ktoś morduje Vince'a, a ciało podrzuca w miejsce, które też należy do Brogana. Na koniec, żeby to wszystko ubarwić, Brogan idzie popły-

wać w zatoce i nie ma ochoty wypłynąć na powierzchnię.

Breck podrapał szczecinę na podbródku.

– Powinieneś z tym pójść do Billy'ego Gileasa.

– Tak, oczywiście – odparł Fox. – Na pewno nadinspektor Giles potraktuje mnie poważnie.

Breck otworzył usta, ale Fox powstrzymał go ruchem ręki.

– Tym bardziej ty nie możesz mu tego powiedzieć, bo dla niego jesteś nędznym Judaszem. Krótko mówiąc, nic by nam to nie dało.

Breck milczał. Fox ponownie spojrzął na zegarek.

– Muszę dorzucić do parkometru – powiedział.

– To może na tym zakończmy i pojedź z tobą. – Breck zabrał się do wyłączania laptopa. Fox zauważył, że kawa Brecka pozostała niemal nietknięta.

– Gdzie chcesz jechać?

– Jeszcze raz na Salamander Point.

• • •

Skorzystali z tej samej pakamery co poprzednio. Breck spytał kierownika budowy, co będzie dalej, skoro właściciel nie żyje.

– Będziemy nadal pracować, chyba że dostaniemy polecenie zatrzymania budowy albo skończą się pieniądze na wynagrodzenia.

Malcolm Fox zauważył jednak pewne zmiany. Biuro sprzedaży było zamknięte naглуcho. A kiedy wspięli się po drabinie na górne piętro, zobaczył, że w odległej części placu budowy toczy się zaimprovizowany mecz piłki nożnej: słupki ustawione z cegieł zastępowały bramki. Kiedy w końcu w pakamerze pojawił się Ronnie Hendry, był spocony i zdyszany.

– Czekamy na dowóz płynnego betonu – wyjaśnił, zdejmując kask i ocierając rękawem pot z twarzy.

Breck wskazał mu miejsce przy stole. Wszyscy trzej usiedli tak jak poprzednim razem. Fox zachowywał milczenie.

– Tylko parę uzupełniających pytań – zwrócił się Breck do Hendry'ego. – Jakie nastroje panują w firmie, odkąd Charlie Brogan opuścił okręt?

Hendry popatrzył na niego niepewnie, nie wiedząc, jak zareagować na kalambur*, ale Breck zachował kamienną twarz.

* W oryginale Breck używa wyrażenia *Jumped ship**, co dosłownie znaczy „wyskoczył z okrętu”, ale ma też potoczne znaczenie przenośne: „odszedł” – w każdym sensie tego słowa, a więc zarówno „opuścił ten padół”, jak i „porzucił firmę”.

– Ludzie martwią się, co będzie w dniu wypłaty.

– To samo powiedział pański szef.
– On ma więcej do stracenia: sporą forszę, którą dostaje tylko za to, że stoi tu cały dzień z chujem w ręku, a nawet myśleć nie musi.

– Nieźle to pana wkurza.

Hendry wiercił się na krześle.

– Nie za bardzo – powiedział, ale skrzyżował ręce na piersi, co Foxowi wydało się gestem defensywnym. – Dowiedzieliście się już, kto zabił Vince'a?

– Najpierw powinniśmy ustalić, dlaczego zabił. Ale wróćmy do pana Brogana.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Choćby to, że skończył podobnie jak Vince Faulkner... – powiedział Breck cichnącym głosem.

– Ale nie ma żadnego związku – stwierdził Hendry. Jego spojrzenie wędrowało od jednego detektywa do drugiego. – Prawda?

– Nie mamy pewności w tej sprawie. Przypuszczam, że pan Brogan odwiedzał Salamander Point.

– Tak, lubił wszystko sprawdzać osobiście.

– Jak często pan go widywał?

– Może raz na tydzień, czasem dwa razy. Kierownik będzie to pamiętał lepiej.

– Ale na razie pytam pana. Czy tylko siedział tutaj nad planami przy herbatce?

Hendry pokręcił przecząco głową.

– Lubił zaglądać we wszystkie kąty budowy.

– I wtedy go pan spotykał, tak?

– Tak, kilka razy z nim rozmawiałem. Zawsze miał parę pytań. Wyglądał na równego chłopca. Nie wszyscy deweloperzy są tacy.

– Co pan przez to rozumie?

Hendry znów zaczął się wiercić na krześle.

– Czasem pracowałem u takich, co przychodzili w garniturach w prążki i lakierkach. W CBBJ też się tacy zdarzali. Ale pan Brogan... tutaj był zawsze w roboczych butach i dżinsach. I zawsze podawał rękę ludziom, nie bojąc się, że ją pobrudzi. – Hendry pokiwał głową w zadumie. – Tak, tak jak powiedziałem, równy chłop.

– Vince Faulkner też tak uważał?

– Nigdy nic innego nie mówił, przynajmniej mnie.

– On też spotykał się z Broganem?

– Tak. Pan Brogan znał wielu chłopaków po imieniu. I pamiętał, kto jest kto. Pamiętał nawet jakieś szczegóły osobiste.

– Może brał je z waszych teczek? – wtrącił się Fox.

Hendry odwrócił głowę w jego stronę.

– Może – powiedział.

– Oni się często spotykali: Faulkner i Brogan? – Przypomniął o swojej obecności Breck.

Hendry zastanawiał się przez kilka sekund.

– Nie wiem – powiedział w końcu.

– Rozumie pan, do czego zmierzam? – nalegał Breck.

– Nie za bardzo.

– Jeśli oni się znali... Inaczej: czy skojarzyłby pan śmierć Vince'a Faulknera z jakimiś faktami z życia pana Brogana...

– A potem idzie i sam kończy z sobą, tak? – Hendry najwyraźniej natychmiast zrozumiał sugestię Brecka. Wzruszył lekceważąco ramionami; jego ręce wciąż pozostawały skrzyżowane.

– W czasie poprzedniej rozmowy – ciągnął Breck – powiedział pan, że czasami spędzaliście wieczory razem, coś zjadaliście i piliście w kasynie Oliver.

– Zgadza się.

– Wiedział pan, że to kasyno należy do żony pana Brogana?

– Oczywiście.

– Widział go pan tam kiedyś?

– Prawdopodobnie tak.

– Ale nie ma pan pewności?

Hendry opuścił ręce i oparł obie dłonie na kolanach, pochylając się, jakby zamierzał wstać.

– Muszę wracać do pracy – powiedział.

– Skąd ten pośpiech?

– Nie mam nic do powiedzenia o Charliem Broganie ani o tym, dlaczego postanowił z sobą skończyć.

Był już na nogach i sięgnął po swój żółty kask, by go z powrotem nałożyć na głowę. Breck też wstał od stołu.

– Chyba jeszcze nie skończyliśmy – powiedział.

– Błądźcie po omacku – rzekł Hendry. – Nie udało wam się nic wyjaśnić w sprawie Vince'a, to przerzuciliście się na Brogana. Nie ma żadnego związku między tymi sprawami.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie.

– Co czyni pana takim ekspertem, panie Hendry?

Hendry spojrzał na niego ze złością. Wyglądało na to, że ma na końcu języka pół tuzina stosownych odpowiedzi, ale nie udzielił

zadnej. Z chłodnym uśmiechem na twarzy otworzył drzwi i wyszedł z pomieszczenia.

Fox zamknął drzwi i oparł się o nie plecami ze wzrokiem utkwionym w Brecka.

– No i? – spytał Breck.

– Jeszcze trzy czwarte drogi przed nami...

Breck pokiwał głową.

– Na początku wydawał się bardziej rozmowny.

– Ale potem się zamknął. Zastanawiam się dlaczego.

– Może byłoby inaczej, gdybyśmy rozmawiali z nim na Torphichen. Gdybyśmy go trochę postraszyli... Ale nie możemy tego zrobić, prawda?

Fox nie miał co do tego wątpliwości. Wyszli z pokoju na drewniany podest. Zobaczyli, jak Hendry, klucząc między fundamentami i stertami rur i kabli, wraca do grających w piłkę kolegów. Przed chwilą wyszło słońce i niektórzy rozebrali się do pasa.

– Patrz, jacy dzielni – ocenił Fox. – Na termometrze tylko parę stopni, ale wystarczy promyk słońca...

– Prawdziwi Szkoci – zgodził się Breck i zaczął schodzić po drabinie.

Opuszczali już teren budowy, kiedy podjechał samochód i wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Breck zaklął pod nosem.

– Dickson i Hall – mruknął.

– Znam te gęby – potwierdził Fox.

Dickson i Hall pracowali na Torphichen w wydziale kryminalnym, obaj byli ludźmi Wściekłego Billy'ego Gilesa. Podeszli z uśmiechem na twarzach, bez śladu jakichkolwiek pretensji.

– No, no – powiedział Dickson, starszy i cięższy. Jego kolegę ojciec Foxa określiłby zapewne jako „szczeniaka”, ale i on wyglądał dość poważnie, a to dzięki ogolonej na łyso głowie i wielkim ciemnym okularom.

– Co was tu sprowadza? – spytał Breck, stosując taktykę, którą zalecał Fox: udawać głupiego.

Dickson zachichotał i wsadził ręce do kieszeni spodni.

– Jest więcej niż mnóstwo powodów, Jamie. Ale skoro pytasz...

Teraz przyszła kolej na Halla.

– Billy Giles wysłał nas za wami. Obawia się, że mogłeś coś pominąć w raportach albo coś przekreślić. – Odwrócił lekko głowę w stronę Malcolma Foxa. – Z niewielką pomocą obecnego tu inspektora Foxa...

- Traciecie czas – stwierdził Breck.
- A jednak jesteście tutaj, Jamie... obaj tu jesteście – rzekł Dickson, pochylając się mocno do przodu. Foxowi przypomniały się „wstańki”, zabawki dla dzieci, które można przechylać w różne strony, ale nie można ich przewrócić.
- A wy oczywiście o tym zameldujecie – powiedział Breck.
- Sądzisz, że nie powinniśmy? – spytał Hall, udając zdziwienie. – Słyszałem, że obydwaj jesteście zawieszeni.
- I co z tego?
- To, że musimy zapytać, co robicie właśnie tutaj.
- Kręcę się po rynku, szukam mieszkania – wtrącił się Fox. – A jeśli oglądaliście kiedyś programy na ten temat w telewizji, to wiecie, że dobrze jest to robić z przyjaciółmi. Mogą zauważyć coś, co ja bym przeoczył.
- Billy Giles mówi, że cholerni z was spryciarze.
- Dickson pochylił się jeszcze bardziej do przodu, nie poruszając stopami.
- Nie pamiętasz mnie, Fox? Zadałeś mi parę pytań o Glena Heaton...
- A ty chciałeś wyświadczyć mu przysługę i nie odpowiedziałeś na ani jedno.
- Grymas złośliwej satysfakcji rozlał się po twarzy Dicksona.
- Zgadza się.
- Rzecz jednak w tym – powiedział Fox tonem poufnego zwierzenia – że taka postawa jego przyjaciół utwierdza nas w przekonaniu, że coś z nim nie tak.
- Odwrócił się do Brecka.
- Spadamy stąd.
- Ale kiedy przechodził koło Dicksona, tamten zatrzymał go ręką. Fox chwycił ją i szarpnął w dół. Spokojnie patrzył, jak Dickson wali się na ziemię. Błoto było wyschnięte na wierzchu, lecz pod tą skorupą bardzo wilgotne. Hall pomógł koledze wstać.
- Dickson, klnąc i prychając, zaczął wycierać sobie twarz.
- Spadamy – powtórzył Fox.
- Ruszył w stronę samochodu, nie oglądając się na Brecka. Wiedział, że tamten idzie za nim.

19

Przez pierwszy kilometr jechali w milczeniu: Fox za kierownicą, Breck na fotelu pasażera. W końcu Breck znalazł właściwą formę dla tego, co chciał powiedzieć.

- O co właściwie chodziło?
- Co masz na myśli?
- Ciebie i Dicksona.
- Chciałem tylko sprawdzić, gdzie on ma środek ciężkości, Jamie. Nie sądziłem, że tak łatwo się przewróci. – Spojrzał na Brecka i mrugnął.

Breck uśmiechnął się, ale jednocześnie pokręcił karcąco głową.

- To nie jest dobry sposób na Dicksona i Halla. Teraz masz w nich wrogów na całe życie.

- Ale warto było – stwierdził Fox.

- Nagle się okazało, że jesteś Action Man.

- Nie wszyscy mamy awatary, za którymi możemy się schować.

Breck przeniósł wzrok na ulicę za szybą.

- Dokąd jedziemy?

- Do mojej siostry.

- Czy ona mieszka w jakimś schronie podziemnym?

- Mieszka w Saughtonhall.

- To może być niezbyt bezpieczne. Billy Giles będzie chciał z nami mówić.

- Powiedz raczej: opieprzać nas.

- Tak, ale gotów nas ściągnąć siłą, jeżeli sami wcześniej nie przyjdziemy.

- Podobno lubisz ryzykować i brać sprawy we własne ręce...

- Właśnie to zrobiłeś przed chwilą?

- Byłem pasywny?

- Niezupełnie. – Breck zaśmiał się krótko. – Po co więc jedziemy do twojej siostry?

- Zobaczysz.

Kiedy jednak tam dotarli, nie zastali Jude w domu. Fox zadzwonił do sąsiednich drzwi, otworzyła mu Alison Pettifer. Miała na sobie fartuch i wycierała ręce ręcznikiem.

– Przepraszam – rzekł Fox. – Czy jest u pani Jude?

– Poszła na zakupy. – Pettifer spojrzała w jedną, potem w drugą stronę ulicy. – O, właśnie wraca.

Jude zobaczyła ich z daleka, ale nie mogła pomachać na powitanie: jedną rękę wciąż miała w gipsie, w drugiej dźwigała torbę pełną zakupów. Fox podziękował pani Pettifer i ruszył w stronę siostry, by wziąć od niej torbę.

– Co ty tam masz? – spytał. – Węgiel?

– Tylko trochę żarcia. – Uśmiechnęła się do niego. – Doszłam do wniosku, że czas już, żebym sama wszystko nosiła.

Fox namyślał się przez chwilę.

– Jak stoisz z pieniędzmi?

Spojrzała na niego.

– Daj spokój, już i tak płacisz za pensjonat taty.

– Jeszcze trochę mam, jeśli tylko potrzebujesz.

– Na razie sobie radzę. – Ale przytuliła głowę do jego ramienia, co niewątpliwie oznaczało: „dziękuję”. Potem szepnęła: – Ja chyba go znam...

Ruszyli alejką prowadzącą do drzwi jej domu, gdzie czekał już Jamie Breck.

– Detektyw sierżant Breck – przedstawił go Fox. – Był w zespole śledczym.

– Był?

– Długo by o tym mówić.

Breck powitał Jude nieznacznym skinieniem głowy. Otworzyła drzwi.

– Na szczęście mam trochę kawy – powiedziała. – Wejdźcie, proszę.

Fox zaproponował, że pomoże jej wypakować zakupy, ale przegoniła go.

– Poradzę sobie – powiedziała.

I rzeczywiście, poradziła sobie. Napełniła czajnik i włączyła go, a przyniesione produkty umieściła w lodówce i w szafce. Potem nasy-pała łyżeczką kawy do trzech kubków i napełniła je wrzątkiem, dodając trochę mleka.

Dopiero kiedy już wszyscy troje siedzieli w starannie wysprzątanym salonie, Fox spytał ją, jak się czuje.

– Jakoś daję sobie radę, jak widzisz.

Fox pokiwał głową z uznaniem. Wiedział, że ludzie w rozmaity sposób reagują na nieszczęścia i zmartwienia. Zajęcie się rutynowymi domowymi czynnościami było niezłym sposobem, ale mogło spowodować problemy później, gdyby miało się przerodzić w odcięcie od świata i ludzi. Brak śmieci i pustych butelek wróżył jednak dobrze.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy trochę porozmawiali o sprawach Vince'a – spytał.

– To zależy – odparła, zapalając papierosa. – Są jakieś postępy?

– Niewielkie – odezwał się Breck.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Pamiętam pana – powiedziała, wydmuchując dym nosem. – Był pan tutaj tego dnia, kiedy oni kopali w ogródku.

Breck skinął głową, potwierdzając ten fakt. Fox odkaslnął, chcąc z powrotem zwrócić na siebie uwagę siostry.

– Słyszałaś kiedyś o Charliem Broganie? – spytał.

– Było w gazetach. Wpadł z jachtu.

– Wiesz, że był mężem Joanny Broughton?

– Tak, czytałam w gazecie.

– A wiesz, że to ona jest właścicielką Olivera?

Jude potwierdziła ruchem głowy i zdjęła okruh tytoniu z języka.

– Pokazywali jej zdjęcia, rozpoznałam ją.

– Z waszych wizyt w kasynie?

– Czasem tam była. Zawsze wyglądała olśniewająco.

– A jej mąż? Widziałas go kiedyś?

– Tak, raz albo dwa. Przysłał nam do stolika butelkę szampana.

– Charles Brogan kupił dla was szampana? – spytał Breck, jakby chciał się upewnić.

– Właśnie to powiedziałam.

Jude wypila łyk kawy.

– W przyszłym tygodniu zdejmą mi gips – poinformowała brata.

– Dlaczego? – spytał z naciskiem.

– Typowy bajzel państwowej służby zdrowia. Okazuje się, że to tylko pęknięcie, mniej groźne niż złamanie.

– Pytam, dlaczego Charles Brogan przysłał wam butelkę szampana.

Spojrzała na niego.

– No... Vince i Ronnie pracowali przecież u niego, prawda?

– Niezupełnie.

Zaczęła się nad tym zastanawiać.

– Okay – zgodziła się – niezupełnie. Ale spotykał ich na budowie, wiedział, kim są.

– Czy to był dobry szampan?

Tym razem pytanie zadał Breck, więc Jude odwróciła twarz w jego stronę.

– To był moët... albo coś w tym rodzaju. Sandra powiedziała, że w Asdzie to kosztuje trzydzieści funciaków albo i więcej.

– W kasynie tyle kosztuje tonik.

– Przecież to jest kasyno jego żony, nie? Na pewno nie zapłacił z marżą.

Fox zdecydował się na interwencję.

– Tak czy owak, miły gest. Podszedł do was i się przywitał?

– Wtedy nie.

– A kiedy indziej?

Potwierdziła skinieniem głowy. Ale przyjaciel Vince'a, Ronnie, nie chciał, żebyśmy o tym wiedzieli, pomyślał Fox.

– Kupił dla Sandry i dla mnie chipsy warte dwadzieścia funciaków, to znaczy dla każdej za dwadzieścia! – Zamilkła na chwilę. – Myślę, że szpanował.

– Vince też tak myślał?

– Vince mówił, że facet ma klasę. Kiedy dostaliśmy tego szampana, Vince poszedł się przywitać i podziękować. Ale Brogan tylko poklepał go po ramieniu, że to niby nic wielkiego. – Wzruszyła ramionami. – Może rzeczywiście dla niego to nic wielkiego nie było.

Zadzwonił telefon Brecka. Jamie przeprosił, wyjął aparat z kieszeni i popatrzył na wyświetlacz. Podniósł wzrok na Foxa, a ten już wiedział: Billy Giles.

– Nie odpowiadaj – powiedział Fox, ale Breck już trzymał telefon przy uchu.

– Po południu, panie inspektorze – powiedział. A po chwili: – Tak, jest ze mną. – I parę sekund później: – Dobrze... tak... zrozumiałem... Tak, byłem tam, kiedy to się zdarzyło, ale to jakiegoś nieporo...

Breck przerwał w pół słowa i słuchał dalej. Fox nie mógł zrozumieć, co mówi Giles, ale ton wskazywał na silną irytację. Breck odsunął zresztą aparat od ucha, mimo że diatryba wciąż trwała.

– Chyba jest wściekły – szepnęła Jude do brata.

Fox potwierdził skinieniem głowy. Zanim rozmowa dobiegła końca, kark i policzki Brecka nabiegły krwią.

- No? – spytał Fox, gdy tylko Breck wyłączył telefon.
- Mamy się stawić na Torphichen – powiedział Breck – najdalej za pół godziny. Jeśli nie przyjedziemy do tego czasu, będą na nas polować radiowozy.

Jude spojrzała na brata przestraszona.

- Co wyście zrobili?... Czy to ma coś wspólnego z Vince'em?
- To nic ważnego – zapewnił ją Fox, wymieniając spojrzenie z Jamiem Breckiem.
- Zawsze byłeś okropnym kłamcą, Malcolm – zauważyła jego siostra.

•••

Torphichen: tym razem nie pokój przesłuchań, ale sanktuarium samego Wściekłego Billy'ego Gilesa. Biuro pozbawione było jakichkolwiek oznak prywatności. Żadnej rodzinnej fotki na biurku, żadnej dewizy czy dyplomu na ścianach. Niektórzy gliniarze próbowali w jakiś sposób ubarwić szare biurowe otoczenie, ale Giles nie należał do tej kategorii. Niczego nie można było powiedzieć o użytkowniku tego wnętrza poza tym, że najwyraźniej nie nadązał z porządkowaniem swoich papierów. Stały tu w nieładzie pudła z dokumentami nieodstawione na swoje miejsca, a wysokie prawie na metr przyzmy papierów wychylały się niebezpiecznie z górnej półki jedyne regału.

– Przytulnie tutaj – powiedział Fox, torując sobie drogę do biurka.

Za biurkiem siedział Giles, kołyszając się lekko na krześle, z piórem w ręce wymierzonej w przybysza jak sztylet. Bliżej regału siedział Bob McEwan z dłońmi na kolanach. Obok niego stała z założonymi rękami Caroline Stoddart. W pokoju byli także Dickson i Hall. Dickson zdążył się już umyć i przebrać w czyste ubranie, jednak było widać, że jest ono rezultatem zbiórki przeprowadzonej wśród innych funkcjonariuszy komendy. Za luźne brązowe sztruksy nijak nie pasowały do różowej koszulki polo, która z kolei gryzła się z zieloną wiatrówką. Do tego miał tenisówki na nogach. Wściekłym wzrokiem śledził każdy krok Foxa.

Breckowi udało się wcisnąć do pokoju za Foxem, ale nie powiodła mu się próba zamknięcia drzwi. Giles rzucił pióro na biurko i spojrzał na McEwana.

– Jeśli pozwolisz, Bob...

Pozwolenie zostało udzielone minimalnym skinieniem głowy i

Giles znowu mógł się zająć Foxem i Breckiem.

– Jeden z moich funkcjonariuszy chce złożyć na was skargę. Jak się zdaje, został przewrócony na ziemię.

– To nieporozumienie, panie inspektorze – powiedział Breck. – Bardzo nam przykro z tego powodu. Opłacimy koszty prania i wszystkie inne uzasadnione wydatki.

– Zamknij się, Breck – warknął Giles. – To nie ty masz się tłumaczyć.

Fox wyciągnął rękę w stronę Dicksona.

– On zaatakował mnie pierwszy – oświadczył. – Nie mam zamiaru przeproszać za to, co się stało. – Odczekał chwilę dla wzmocnienia efektu. – Nie spodziewałem się, że się zwali jak worek kartofli.

– Ty chuju! – ryknął Dickson, robiąc pół kroku w jego kierunku.

– Dickson! – skarcił go Giles. – To mój pokój i ja tu rządzę.

Potem znowu do Foxa:

– Przede wszystkim chcę wiedzieć, co ty i ten Cudowny Chłopiec robiliście w tym miejscu.

– Już to powiedziałem Dicksonowi i Hallowi – odparł Fox spokojnie. – Byłem wcześniej na Salamander Point i bardzo mi się spodobało. Jest tam biuro sprzedaży mieszkań, więc postanowiłem utargować coś dla siebie. A że teraz nie mam nic innego do roboty...

– I zabrałeś z sobą sierżanta Brecka?

– Tylko że – włączył się Hall – wcale tak nie było. Chciałeś rozmawiać z panem Ronaldem Hendrym. Nie był szczęśliwy, że go oderwałeś od futbolu, a jeszcze mniej szczęśliwy, kiedy ja zrobiłem to samo dziesięć minut później.

Obdarzył Foxa chłodnym uśmiechem. Giles pozwolił, aby przez chwilę panowała cisza, po czym nagle chwycił swoje pióro i wymierzył je w kierunku Stoddart.

– Myślę, że rozsądniej będzie – powiedziała, korzystając ze swojej kolejki – jeśli przesunę termin mojej rozmowy z sierżantem Breckiem.

– Na kiedy? – spytał Breck.

– Zaraz po zakończeniu tego spotkania.

Wzruszył ramionami.

– Zgoda.

– Twoja zgoda nie ma tu żadnego znaczenia! – wrzasnął Giles. – Poza tym od tej chwili zakazuję wam dwoóm dalszych kontaktów.

– A jak zamierzasz to wyegzekwować? – spytał Fox. – Za-

mkniesz nas? A może zarządzisz stały nadzór?

Mówiąc te słowa, spoglądał kątem oka na McEwana.

– Użyję wszelkich metod, jakie uznam za niezbędne – zacharczał Giles. A potem pod adresem Brecka: – Marne perspektywy sobie szykujesz, synku. Najwyższy czas, żebyś to zrozumiał.

– Tak jest, panie inspektorze! – odpowiedział Breck. – Dziękuję.

Fox popatrzył na niego, ale Breck najwyraźniej nie chciał nawiązać kontaktu. Stał z rękami założonymi do tyłu na lekko rozstawionych stopach, z głową pochyloną dla okazania skruchy.

– I powtarzam, panie inspektorze – ciągnął – jestem gotów udzielić sierżantowi Dicksonowi wszelkiej rekompensaty za doznane przezeń niedogodności.

Wychylił się przed Foxa i wyciągnął rękę do Dicksona. Ten gapił się na nią, jakby była w niej bomba.

– Bądź rozsądny – rzekł Giles, by zachęcić Dicksona do pojednania, jednocześnie złowrogo spoglądał na Foxa.

– No dobrze... – powiedział, wstając zza biurka. – Chyba że nadinspektor McEwan chce jeszcze coś dodać?

Ale McEwan nie chciał, nie chciała też Stoddart. Powiedziała tylko Breckowi, że jej samochód czeka przed budynkiem. Ich pogawędka miała się odbyć na Fettes.

Giles kazał Dicksonowi i Hallowi wrócić do pracy.

– Mamy dziś pewną sprawę do wyjaśnienia – przypomniał.

Fox czekał na ewentualne dalsze pouczenia, lecz Giles zajęty był już tylko zbieraniem papierów z biurka. Fox miał wrażenie, że chce przez to powiedzieć: *Dla mnie nie jesteś wcale taki ważny*. Kiedy wychodził z gabinetu Gilesa, Jamie Breck pożegnał go tylko nieznacznym skinieniem głowy.

Opuścił szybko budynek komendy, nie chcąc ryzykować, że dopadną go tutaj Dickson i Hall. Na chodniku przed drzwiami czekał na niego McEwan, wiążąc na szyi kolorowy szalik.

– Jesteś ciężkim idiotą – powiedział.

– Trudno zaprzeczyć – zgodził się Fox, chowając dłonie w kieszeniach płaszcza. – Ale coś w tym wszystkim jest. Nie mów mi, że tego nie widzisz.

McEwan popatrzył na niego, potem wolno, bardzo wolno pokiwał głową.

– Wtedy w pokoju przesłuchań – powiedział z naciskiem Fox, wskazując wzrokiem budynek komendy – był taki moment, kiedy obaj zdaliśmy sobie z tego sprawę. Zastępca głównego powiedział, że

byłem śledzony od początku tygodnia. A to oznacza, że rozpoczęto akcję, zanim zaczęła się ta druga sprawa. Dlatego cię pytam... Jak dużo wiesz na ten temat?

McEwan spojrzał mu w oczy

– Niewiele – przyznał, zaciskając węzeł szalika.

– Nie za ciasno, Bob – doradził Fox. – Jeśli się tym szalikiem udusisz, oni na pewno oskarżą o to mnie.

– Nie zadbałeś, żeby było inaczej, Malcolm. Spójrz na to z ich punktu widzenia. Włazisz w ich śledztwo, a kiedy każą ci przestać, jeszcze mocniej naciskasz pedał.

– Kontrolerzy z Grampian łazili za mną już wcześniej – przypomniał Fox. – Masz jakiś sposób, żeby to zbadać? – Przerwał na chwilę. – Wiem, że w tych warunkach...

– Już się tym zająłem – powiedział McEwan stanowczym głosem.

Fox spojrzał na niego zaskoczony.

– Racja... przecież ty masz przyjaciół w kryminalnym w Grampian.

– Tyle razy ci mówiłem, że nigdzie nie mam przyjaciół.

Fox zastanawiał się przez chwilę.

– Załóżmy, że rzeczywiście coś śmierdzi w Aberdeen... Myślisz, że wykonaliby jakieś uderzenie wyprzedzające?

– Wątpię. W tej sprawie, o której wiem, uderzaliby raczej w Strathclyde niż w nas. A zresztą dlaczego mieliby atakować właśnie ciebie? Gdybym ja był na ich miejscu, wybrałbym Tony'ego Kaye'a. To on zajmuje się tamtą sprawą. – Milczał przez chwilę. – Zastosujesz się do tego ostrzeżenia i będziesz się trzymał z dala od Brecka?

– Na to pytanie wolałbym nie odpowiadać, panie inspektorze.

Spostrzegł, że twarz szefa spochmurniała, więc wyjaśnił:

– Myślę, że ktoś go wrabia, Bob. Nie ma ani śladu dowodu, żeby rzeczywiście miał takie skłonności.

– No to skąd wzięło się na tej liście jego nazwisko?

– Ktoś dobrał się do jego karty kredytowej. – Fox wzruszył ramionami. – Może mógłbyś zapytać sierżant Inglis, czy ktoś mógł się zalogować na jego koncie bez jego wiedzy. – Fox przerwał i podniósł rękę w geście ostrzeżenia. – I lepiej, żeby Gilchrist o tym nie wiedział.

McEwan zmrużył oczy.

– Dlaczego?

– Im mniej ludzi wie, tym lepiej – wytłumaczył Fox.

McEwan przestąpił z nogi na nogę.

– Podaj mi choć jeden dobry powód, dla którego miałbym nadstawić za ciebie karku.

Fox zamyślił się, potem jeszcze raz wzruszył ramionami.

– Uczciwie mówiąc, szefie, nie potrafię podać ani jednego.

McEwan wolno pokiwał głową.

– I to jest słowo, na które czekałem – powiedział.

– Które słowo, panie inspektorze?

– Uczciwie – rzucił McEwan i pomaszerował w stronę swojego samochodu.

• • •

W domu czuł się jak w klatce. Zrobił tu właściwie wszystko – z wyjątkiem odcięcia łącza internetowego – by wyeliminować podsłuch. Rzecz w tym, że dawno już minęły czasy pierwszych Bondów. Teraz podsłuchy działały inaczej. Parę miesięcy wcześniej kontrolerzy brali udział w cyklu seminariów w szkole policyjnej w zamku Tulliallan. Pokazano im to i owo z najnowszych technik. Jeśli w rozmowie telefonicznej osoby podejrzanej pojawiło się choć jedno zaprogramowane wcześniej słowo kluczowe, automatycznie uruchamiał się zapis. To samo dotyczyło komputerów: urządzenia w wozie podsłuchowym mogły wyodrębnić sygnał z konkretnego komputera i wyciągnąć z niego wszystkie zapisane informacje.

Fox ciągle podchodził do okien i rozglądał się podejrzliwie. Jeśli tylko usłyszał silnik samochodu, natychmiast był przy oknie. Trzymał w ręku swój nowy telefon, zastanawiając się, do kogo mógłby zadzwonić. Upiekł sobie grzanki, ale wciąż leżały nietknięte, teraz już zimne, na talerzyku. Kiedy ostatnio cokolwiek jadł? Śniadanie? Ciągle nie miał apetytu. Zaczął układać z powrotem książki na półkach, lecz już po pięciu minutach zrezygnował. Męczył go nawet ulubiony kanał Birdsong, wyłączył więc radio. Po zmroku nie zapalił świateł. Po drugiej stronie ulicy stał jakiś nieznany samochód, ale okazało się, że to tylko rodzice przyjechali zabrać synka z wizyty u kolegi w sąsiednim domu. Zdarzało się to także wcześniej, uznał więc, że może to zlekceważyć. Ale znowu... Próbował sobie przypomnieć, czy któryś z okolicznych domów nie był wystawiony na sprzedaż albo do wynajęcia. Bo mogła tam siedzieć w zaciemnionym pokoju ekipa podsłuchowa, obstawiona takim samym sprzętem, jaki pokazywano im w zamku Tulliallan.

Nie wariuj! – upomniał sam siebie.

Robiąc po ciemku herbatę w kuchni, nalał za dużo mleka; musiał

wylać napój z kubka do zlewu. Napój... to był jakiś pomysł. Supermarket na pewno był jeszcze czynny. Mógł z pamięci wyrecytować markowe whisky: Bowmore, Talisker, Highland Park... Macallan, Glenmorangie, Glenlivet... Laphroaig, Lagavulin, Glenfiddich...

O wpół do dziewiątej jego komórka wydała nagle krótki świergot. Spojrzał ze zdziwieniem, ale zrozumiał, że to SMS, a nie rozmowa. Skupił wzrok na wyświetlaczu.

Hunters Tryst 10 min.

Hunters Tryst to był pub w pobliżu. Fox sprawdził tożsamość nadawcy: nieznaną. Tylko garstka ludzi znała jego nowy numer. Pub był oddalony o dziesięć minut marszu, ale obok znajdował się parking. Znowu: lepiej być tam wcześniej, rozpoznać teren i tak dalej. I czy w ogóle powinien tam iść? A co innego miał do roboty?

Kiedy w końcu doszedł do volva, popatrzył w jedną i w drugą stronę ulicy. Potem, już w samochodzie, wykonał rundę wokół swojej posesji, zwalniając na każdym rogu, dopóki nie upewnił się, że nikt za nim nie jedzie.

Powszedni dzień, wieczór w lutym: Tryst nie był obleżony. Wszedł do środka i się rozejrzał. W sporym lokalu była tylko trójka gości: para w średnim wieku, wyglądająca tak, jakby siedzieli tu już od dziesięciu lat, a każde czekało na przeprosiny drugiej strony, i starszy człowiek, którego Fox znał z widzenia. Ten człowiek miał kiedyś psa, z którym wychodził trzy razy dziennie. Kiedy przestali się pojawiać, Fox myślał, że staruszek nie żyje. Teraz zrozumiał, że dotyczy to raczej psa.

Za bufetem stała młoda kobieta. Uśmiechnęła się sztucznie i zapytała, co podać.

– Sok pomidorowy – powiedział. Przebiegł wzrokiem po rzędzie butelek na półce.

– Z lodem? – spytała.

– Nie, dziękuję.

– Jest trochę ciepły – ostrzegła.

– Może być.

Sięgnął do kieszeni po drobne. W tym momencie otworzyły się drzwi. Mężczyzna i kobieta, którzy pojawili się w progu, obejmowali się w pasie. Para w średnim wieku patrzyła na to z widoczną dezaprobatą.

– Popatrz, popatrz, kogo tu mamy – powiedział nowo przybyły i wyciągnął rękę, by się przywitać z Foxem.

– Co za przypadek! – dodała Annabel Cartwright.

Nie była zbyt dobrą aktorką, ale widocznie uważała tę maskaradę za niezbędną.

– Co weźmiecie? – spytał Fox.

– Czerwone wino dla mnie, białe dla Annabel – odparł Breck.

Barmanka na widok nowych gości nieco się ożywiła. Fox ocenił, że naląła im bardzo solidne porcje.

– Znajdźmy jakiś stolik – powiedział Breck, jakby w pubie brakowało miejsc.

Poszli w najodleglejszy kąt, zdjęli kurtki i usiedli przy stoliku.

– Na zdrowie! – Breck podniósł kieliszek. Stuknęli się.

– Jak poszło? – spytał Fox bez wstępów.

Breck doskonale wiedział, o co mu chodzi, ale udawał, że się zastanawia.

– Stoddart odwaliła kawał roboty – powiedział, ścisząc głos. – Ale nie mam najlepszego wyobrażenia o tych dwóch młotach, których przy sobie trzyma. I ona chyba też nie.

Fox przytaknął i wypił trochę soku. Barmanka miała rację. Był jak zupa niedawno zdjęta z ognia.

– A ten SMS? – spytał. – Zmieniłeś numer?

– Telefon też – pochwalił się Breck, podsuwając mu aparat pod nos. – Wypożyczony, wyobraź sobie. Turyści ze Stanów często z takich korzystają. Nie wiedziałem o tym, dopóki nie zacząłem pytać...

– To znaczy zapytał mnie, a ja wiedziałam. – Annabel zamarkowała uderzenie pięścią w ramię Brecka.

– No więc po co ta konferencja? – przerwał te żarty Fox.

– To też pomysł Annabel – odparł Breck.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Chyba przesadzasz.

Breck odwrócił twarz w jej stronę.

– Może, ale to ty masz ważną wiadomość.

– Jaką wiadomość? – spytał Fox.

Cartwright spojrzała na Foxa, później znowu na Brecka.

– Mogę mieć kłopoty z tego powodu.

– To prawda – powiedział Fox. Potem do Brecka: – Ale ty możesz mi powiedzieć, Jamie. W razie czego będziemy mogli z ręką na sercu przysiąc, że Annabel zdradziła to tylko swojemu chłopakowi.

Breck zastanawiał się przez moment, w końcu doszedł do wniosku, że to dobry pomysł. Poprosił Annabel, aby ich na chwilę zostawiła samych, ale odmówiła. Powiedziała, że chce tu siedzieć i dokończyć

drinka. Breck pochylił się więc tylko jeszcze bardziej nad stołem z łokciami opartymi po obu stronach kieliszka.

– Zaczniemy od tego, że jest nowa informacja na temat Vince'a. Zgłosił się inny kierowca taksówki. Czekał przed Oliverem na zapłatę. Twierdzi, że zabrał stamtąd Vince'a około pierwszej w nocy.

– Jest pewien, że to był Vince?

Breck potwierdził.

– Nasi pokazali mu zdjęcia. Prawidłowo opisał też ubranie Vince'a.

– I gdzie go zawiózł?

– Na Cowgate. Gdzie indziej można pojechać, jeśli ktoś chce wypić o tej porze?

– Ale ta dzielnica jest...

– Studencka? Szpanerska? – próbował zgadnąć Breck.

Fox miał jednak na myśli coś innego.

– Cowgate jest chyba zamknięta dla ruchu w nocy?

– Taksówkarz zna wszystkie chytre skróty i uliczki lokalne. Zostawił go przed klubem, który nazywa się Rondo. Znasz go?

– A wyglądam na takiego, co mógłby znać?

Breck się roześmiał.

– Mnie tam kiedyś zaciągnęła Annabel.

Natychmiast wymierzyła mu za karę kuksańca pod żebro. Breck cicho jęknął.

– Muzyka na żywo w tylnej sali, brudne dywany i plastikowe szklanki od frontu – mówił dalej.

– Tam właśnie poszedł?

– Taksówkarz nie jest pewien. Ale na pewno tam wysiadł.

– Czyli żył jeszcze w niedzielę nad ranem.

Breck przytaknął.

– No więc teraz zespół śledczy przeczesuje Cowgate. Jest tam około tuzina klubów i knajp, dużo więcej, jeśli dodać Grassmarket. Rozdają przechodniom ulotki zachęcające do wstąpienia do klubu.

– Może któryś bramkarz go zapamiętał – zastanawiał się Fox. – Przypuszczalnie różnił się od ich typowej klienteli. Czy taksjarski powiedział, w jakim stanie był Vince?

– Mówił niewyraźnie i był zdenerwowany. A w dodatku nie dał napiwku.

– Ciekawe, dlaczego był zdenerwowany.

– Może bał się tego, co go czekało w domu – podsunął Breck. – A może zawsze tak reagował po paru głębszych.

– Chciałbym pogadać z tym taksjarem..
– Chyba będę mogła dać panu protokół – zaproponowała Cartwright.

Fox wyraził wdzięczność skinieniem.

– Pierwsza taksówka wyrzuciła go przed Oliverem około dziesiątej. Znaczący, że był tam całe trzy godziny.

– Niezły kawał czasu – zgodził się Breck.

– Myślę, że posuwamy się do przodu. Pani zasługa, Annabel! – Fox wznosił szklankę w toaście.

Cartwright wzruszyła ramionami.

– Powiedz mu resztę – rozkazała Breckowi.

– Tak, jest jeszcze coś, co Annabel usłyszała od koleżanki z wydziału D.

– D, czyli Leith, czyli Charlie Brogan – domyślił się Fox.

– Zespół śledczy zastanawia się, dlaczego ciało nie wypłynęło na brzeg. Zaczęli dokładniej badać, co się działo przedtem.

– I?

– Brogan sprzedał ostatnio znaczną część swojej kolekcji obrazów.

– Wartą około pół miliona – mruknął Fox.

Teraz odezwała się Annabel Cartwright.

– Zdaje się, że nikt nie wie, gdzie są te pieniądze. A Joanna Broughton nie za bardzo chce współpracować. Obstawiała wszystko dookoła swoimi prawnikami. Gordon Lovatt ma każdemu zwracać uwagę, że to nie poprawi nam opinii, jeśli będziemy niepokoić taką „fotogeniczną wdowę” – tak dosłownie powiedział.

– W Leith myślą, że samobójstwo zostało sfingowane?

– Jamie mówi, że chyba zaczynają tak myśleć.

– Czy zniknęły też inne pieniądze?

– Trudno powiedzieć, dopóki prawnicy bronią dostępu. Potrzebne będzie upoważnienie od sędziego, a do tego trzeba go najpierw przekonać.

– Nie można w żaden sposób sprawdzić, czy ktoś nie korzysta nadal z konta i kart kredytowych Brogana? – spytał Fox. Ale nie liczył na odpowiedź. Podniósł szklankę, lecz zatrzymał ją w pół drogi do ust. – W jej mieszkaniu widziałem na ścianach haki po tych obrazach.

– Był pan w jej mieszkaniu? – zainteresowała się Cartwright.

– Nie widziałem na wierzchu żadnych dokumentów, a potem musiała pójść po kalendarz Brogana na górę. Pewnie tam miał biuro.

– Mógłby jeszcze wyciągać forszę z CBBJ – dodał Breck. – Mamy

biegłych księgowych, którzy potrafiliby to sprawdzić.

– Ale i na to musi być zgoda sędziego – zwróciła uwagę Cartwright.

Fox wzruszył ramionami.

– Jeśli Joanna Broughton i jej prawnicy nadal będą utrudniać śledztwo, pomyślę, że mają po temu bardzo poważne powody.

– Jestem pewien, że będą walczyli wszelkimi dostępnymi sposobami – powiedział Breck, gładząc palcem krawędź kieliszka.

– Są jeszcze jakieś rewelacje? – Fox spojrzał na Annabel.

– Nie – odparła.

– Naprawdę jestem wam wdzięczny. – Fox wstał. – No to idę jeszcze po coś do picia.

– Teraz nasza kolej – powiedział Breck, ale Fox udał, że nie słyszy.

Kiedy składał zamówienie, barmanka uśmiechnęła się i ruchem głowy pokazała ich stolik.

– Fajnie tak spotkać przyjaciół.

– Tak – odwzajemnił uśmiech Fox. – To prawda.

20

O północy stał na końcu Blair Street, obserwując rzęsiście oświetlone wejście do Ronda. Był tam tylko jeden portier. Zwykle pracowali we dwójkę – zapewne więc jego kolega był w środku albo z jakiegoś powodu miał wolne. Ulica wydawała się prawie wymarła, ale na pewno nie jest taka w sobotę. W tamtą sobotę, kiedy zginął Vince, byli dodatkowo w mieście walijscy kibice rugby rozgrzewający się przed niedzielnym meczem. Niektórzy z nich mogli wiedzieć, że okolice Cowgate to dzielnica z nocnymi licencjami na alkohol.

Fox stał na rogu z rękami w kieszeni. To w tym miejscu Vince wysiadł z taksówki. Wjazd na centralną ulicę był zamknięty od dziesiątej wieczór do piątej rano. Fox wiedział, że to z powodu sławnych wąskich chodników Cowgate. Pijani łatwo mogą tu wpaść pod koła samochodów. Te ostatnie przegrały więc z ludzką głupotą. Odkąd jednak wprowadzono ten zakaz, w środku nocy nie było już na Cowgate nikogo trzeźwego.

Dzielnica była mroczna, brudna i wilgotna, ze schroniskami dla bezdomnych i zaśmieconymi zaułkami. W powietrzu unosił się fetor rzygowin i szurzących szczyn. Ale liczne były też takie małe oazy jak Rondo. Rozświetlone neonami, promieniujące ciepłem z elektrycznych grzejników nad drzwiami, kusily wielu naiwnych. Kiedy Fox przeszedł na drugą stronę ulicy, portier kryjący potężne bary pod długim czarnym wełnianym płaszczem zmierzył go wzrokiem.

– Witam, panie Fox – powiedział.

Fox mu się przyjrzał. Słaby uśmiech w kącikach warg, szczecina na brodzie z blizną, ogolony łeb i świdrujące spojrzenie niebieskich oczu.

– Pete Scott – przypomniał portier, widząc, że Fox nie kojarzy.

– Zgoliłeś głowę – zauważył Fox.

Scott przejechał dłonią po czaszce.

– I tak zacząłem łysieć. Kupę czasu się nie widzieliśmy. – Wyciągnął rękę na powitanie.

– Dawno wyszedłeś, Pete? – Fox wreszcie go sobie przypomniał. Sześć lat wcześniej, zanim jeszcze przeszedł do Wydziału Spraw Wewnętrznych, przyczynił się do wsadzenia go za kratki. Włamania do domów i wiele innych przestępstw typowych dla małałatów.

– Już prawie dwa lata temu.

– Przesiedziałeś cztery?

– Trzeba było trochę, żebym zrozumiał swoje błędy.

– Ale teraz sprawujesz się dobrze?

Scott przestąpił z nogi na nogę i udawał, że rozgląda się po ulicy. Do lewego ucha miał przyczepioną słuchawkę bluetooth.

– Nie mam problemów – odezwał się w końcu.

– Masz dobrą pamięć do twarzy i nazwisk.

Scott kiwnął głową.

– Ma pan wolny wieczór? – spytał.

– Raczej roboczy – skorygował Fox. – W zeszłym tygodniu było tu morderstwo.

– Tak, już się tu kręcili. – Scott sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął złożoną kartkę. Fox rozłożył ją i zobaczył, że to fotografia Vince'a Faulknera z paroma najważniejszymi informacjami i numerem telefonu. – Zostawili nam całą kupę takich w barze. Niepotrzebnie.

Fox oddał mu kartkę.

– Dlaczego tak myślisz?

– Tego gościa tu nie było. Stałem przy drzwiach w sobotę wieczorem. Musiałbym go widzieć.

– Może zauważyłeś, jak wysiadał z taksówki?

– Może. Taksówki ciągle przywożą tu jakichś ludzi.

– Nie widziałeś nikogo podobnego?

Scott tylko wzruszył ramionami. Kościsty dziesiętnastolatek, którego kiedyś przesłuchiwał Fox, teraz mocno przytył, natomiast jego oczy zdecydowanie złagodniały.

– Owszem, był jakiś taki koleś, powędrował w tamtą stronę. – Ruchem głowy wskazał wschodnią część Cowgate. – Nie trzymał się zbyt pewnie na nogach, więc nawet się ucieszyłem, że nie próbował wejść do nas.

– Zatrzymałbyś go?

– Tak. – Scott namyślał się przez chwilę. – Ale coś w nim było dziwnego... trudno powiedzieć co. Pomyślałem, że byłby zadowolony.

– Zadowolony, że go wyrzucają?

– Taa...

- Dlaczego?
- Bo miałby pretekst.
- Do bójk, jak myślisz?
- Ten facet był strasznie spięty, panie Fox. Chyba o to chodzi.
- Mówiłeś to tamtym glinom, Pete?

Tamten zaprzeczył.

- Dlaczego?
- Nie pytali o to...

Uwagę Scotta odwróciły dwie zbliżające się nastolatki. Obie miały buty na bardzo wysokich obcasach, minispódniczki i nie żałowały sobie perfum. Jedna była wysoka i chuda, druga niska i pulchna. Fox domyślał się, że marzną, ale starały się tego nie okazywać.

- Cześć, Pete! – zawołała niższa – Jest jakaś gwiazda dzisiaj?
- Cała masa.
- Zawsze tak mówisz. – Poklepała go po policzku, kiedy otwierał drzwi.

- Ta praca ma swoje zalety, panie Fox – powiedział Pete Scott.

Odchodząc, pomyślał ze smutkiem, jak bardzo stał się już niewydzielny. Żadna z tych dziewczyn nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Z drugiej strony miał powód do zadowolenia: Pete nie żywił do niego żadnej urazy. Dobrze też, że miał pracę, jakąkolwiek pracę. Zanim odszedł sprzed Ronda, młody człowiek wyznał, że ma kilkunastomiesięczną córeczkę Chloe. Nadal spotykał się z jej matką, ale nie mieszkał z nią, bo „jakoś się nie układało”. Na pożegnanie ponownie uścisnęli sobie dłonie. To spotkanie wprawiło Foxa w lepszy humor, choć nie potrafiłby właściwie powiedzieć dlaczego.

Poszedł przez Cowgate na wschód. Gdyby konsekwentnie szedł w tym kierunku, wkrótce dotarłby do skrzyżowania z St Mary's Street, a potem w okolice parlamentu Szkocji i centrum nauki Dynamie Earth. Na razie zbliżał się do końca dzielnicy barów i klubów. Mijał też sklepy, ale o tej porze ich witryny były albo puste, albo zakryte żaluzjami. Znalazł się w pobliżu kostnicy miejskiej, lecz nie miał zamiaru jej odwiedzać. Ciało Vince'a z pewnością znajdowało się nadal w chłodni. Po drugiej stronie ulicy stał hotel zbudowany na terenach któregoś kościoła, władze kościoła uznały to za najlepszy sposób pozyskania funduszy na swoją działalność. Hotel, jak się zdaje, zrobił na tym dobry interes; Fox nie był pewien, czy równie dobry interes zrobił kościół.

Postanowił wrócić i dokładniej przyjrzeć się okolicy. Zbyt wiele było jednak dróg, które Vince mógł wybrać: liczne wąskie uliczki,

często wspinające się lub opadające w dół po schodach. Mógł też pójść w stronę Chambers Street albo Royal Mile lub wynająć pokój w hotelu i porządnie się wyspać. Fox zwracał uwagę na miejsca, które mogły być atrakcyjne dla Vince'a. Owszem, działało tu sporo barów, ale równie dużo było ich w pobliżu Lothian Road. Vince musiał sporo zapłacić za taksówkę, która wiozła go tutaj z Leith. Po drodze mijali dziesiątki otwartych jeszcze lokali. Musiał się kierować pod jakiś konkretny adres. Może uda się, pomyślał Fox, porozmawiać z tym taksówkarzem; może Annabel znajdzie jego namiary.

– Może – powiedział do siebie głośno.

Robiło się coraz zimniej. Postawił wysoko kołnierz płaszcza, próbując osłonić uszy. Pomyślał o znajomej frytkarni na Grassmarket, ale była daleko, a nie miał pewności, czy będzie jeszcze otwarta. Postanowił wrócić do samochodu zaparkowanego na Blair Street. Pięć minut marszu i znajdzie się w jego przytulnym wnętrzu.

W tym momencie jednak zobaczył jeszcze jeden neon. Znajdował się w głębi wąskiego zaułka na jego ślepych końcu. Fox nie zauważyłby go, gdyby nie namalowana na narożnym ceglanym murze strzałka z napisem SAUNA. Zastanawiał się, czy ludzie z zespołu śledczego zostawili swoje ulotki także w tym szczególnym miejscu. Zrobił kilka kroków w głąb uliczki, by lepiej się przyjrzeć drzwiom. Były z litego drewna pomalowanego czarnym, lśniącym lakierem, z zaśnieżonym mosiężnym uchwytem i całą galerią podpisów grafficiarzy. Obok drzwi zamontowano wideofon. Edynburski seksbiznes lubił zachowywać dyskrecję, co odpowiadało policji.

Fox miał się już odwrócić i pójść prosto do samochodu, kiedy jakaś potężna siła uderzyła go w kark i rzuciła twarzą na ziemię. W locie zdołał jeszcze przekręcić głowę, dzięki czemu nos nie doświadczył skutków upadku. Wielki ciężar zważył się na niego: ktoś klęczał na jego plecach, wyciskając mu powietrze z płuc. Oszołomiony Fox próbował walczyć, ale wtedy jakiś but trafił go w podbródek. Czarny but, nic szczególnego czy godnego zapamiętania. Jego głowa podskoczyła jak piłka i Fox znalazł się w wirze wciągającym go w ciemność...

• • •

Kiedy po paru mrugnięciach zdołał otworzyć oczy, przed nimi znowu pojawił się but. Szturchnął go w bok. Fox wyciągnął rękę, by go schwytać.

– Obudź się – odezwał się głos nad nim. – Nie możesz tutaj spać.

Fox podniósł się na kolana, potem wstał. Bolały go plecy, kark, szczęka. Stojący naprzeciw człowiek był stary. Fox miał przez chwilę wrażenie, że już go gdzieś widział.

– Za dużo wypiliśmy – powiedział tamten. Odsunął się o krok.

Fox zaczął badać obolałe miejsca. Nie było krwi, zęby też wydawały się nienaruszone.

– Co się stało? – spytał.

– Lepiej wracaj do domu i idź spać.

– Nie jestem pijany. Ja w ogóle nie piję.

– To może jesteś chory?

Fox próbował zapanować nad bólem. Słowa starego docierały do niego zdeformowane, zorientował się, że to krew pulsuje mu w uszach. Widział mętnie.

– Zauważył go pan?

– Kogo?

– Pchnął mnie na ziemię i kopał... – Poglądził obolałą szczękę.

– Zabrał panu coś?

Fox sprawdził kieszenie i pokręcił przecząco głową. Ten ruch wywołał mdłości, Fox omal nie wymiotował.

– To podła dzielnica.

Fox przyjrzał się mężczyźnie. Musiał mieć już ponad siedemdziesiątkę, miał krótko przystrzyżone siwe włosy, a na skórze wątrobiane plamki...

– Pan Jack Broughton, prawda?

Mężczyzna zmrużył podejrzliwie oczy.

– Czy ja pana znam?

– Nie.

Broughton wetknął ręce do kieszeni i przybliżył się tak, że jego twarz znalazła się o kilka centymetrów od twarzy Foxa.

– No i niech tak zostanie – powiedział.

Odwrócił się, by odejść.

– Powinien pan pójść do lekarza – rzucił na pożegnanie jeszcze jedną radę.

Fox odczekał moment, potem powłókł się w stronę ulicy. Pod latarnią spojrzął na zegarek. Zero czterdzieści. Stracił przytomność tylko na parę minut. W drodze powrotnej do Ronda musiał się trzymać muru, by nie upaść. Przy każdym głębszym oddechu plecy przeszywał palący ból. Na jego widok Pete Scott wyprostował się na baczność.

– Miał pan odlot czy jak? – spytał.

- Był tu ktoś, Pete? Jakiś duży facet...
- Było paru takich – powiedział Scott.
- Teraz? Po naszej rozmowie?
- Tak. Są w środku.

Fox pokazał ręką drzwi.

- Wejść zobaczyć – powiedział.
- Zapraszam...

W barze system audio dudnił tak, że flaki się przewracały. Przy bufecie stały trzy rzędy chętnych napitku. Młodzi mężczyźni w koszulkach z krótkimi rękawami, kobiety sączące koktajle przez fosforyzujące słomki. Kiedy przedzierał się przez salę, jego mózg doznawał kolejnych uderzeń od mijanych głośników basowych. W następnej sali estrada była jasno oświetlona, ale nie było na niej orkiestry. Za to jeszcze więcej pijących ludzi, większy gwar, więcej migocących lamp. Fox nie rozpoznał nikogo. Odnalazł męską toaletę i wszedł do środka, co dało mu chwilę wytchnienia od łoskotu. Podłoga była zaśmiecona papierowymi ręcznikami, ale w pojemniku nie został już ani jeden. Nabrał wody w dłoń i zanurzył w niej twarz, potem spojrział na swoje odbicie w lustrze. Miał silne otarcie na brodzie i spuchnięty policzek. Wkrótce pewnie pojawią się siniaki. Piekły go dłonie, na których oparł się, upadając. Jedna kłapa marynarki była oderwana. Zdjął płaszcz i sprawdził, czy nie nosi śladów siły, która go powaliła, ale nic nie znalazł.

Napastnik niczego nie zabrał: karty płatnicze, gotówka, obie komórki – wszystko było na swoim miejscu. Prawdopodobnie przestali też go bić, kiedy stracił przytomność. Jeszcze raz dokładnie obejrzał zęby, potem obmacał szczękę.

- Jesteś cały – powiedział do swego odbicia w lustrze.

Teraz dopiero spostrzegł, że przy spodniach w pasie brakuje jednego guzika. Trzeba będzie go przyszyć, bez tego szelki źle będą pełnić swoją funkcję. Odetchnął głęboko kilka razy, ponownie opłukał dłonie i wytarł się własną chusteczką. Ktoś wszedł i nie zwracając na niego uwagi, podszedł prosto do pisuaru. Fox włożył z powrotem płaszcz i wyszedł. Za drzwiami baru natknął się na portiera. Pete Scott rozmawiał z tymi samymi dwiema dziewczynami co poprzednio. Wyszły na papierosa, narzekały na brak „przystojniaków”. Fox okazał się dla nich jeszcze bardziej niewidzialny niż przedtem. Scott natomiast spytał go, czy rzeczywiście dobrze się już czuje. Fox tylko skinął głową i przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie stał jego samochód. Ktoś zostawił na masce volva resztkę kebabu. Fox zmiótł go do

rynsztoka, otworzył drzwi i wsiadł.

Podróż do domu ślimaczyła się, światła na wszystkich skrzyżowaniach jakby się sprzysięgły przeciwko niemu. Blokowały drogę taksówki, które snuły się wzdłuż chodników w poszukiwaniu klientów, ale ludzie woleli chodzić pieszo. Nastawił radio na Classic FM. Doszedł do wniosku, że Broughton go nie rozpoznał. Czy w ogóle było to możliwe? Widzieli się – wtedy, w trzypiętrowym penthousie – nie dłużej niż przez dziesięć sekund. O tym, że napotkany przy windzie człowiek jest policjantem, Broughton dowiedział się dopiero kilka minut później. Czy to sam Broughton był napastnikiem? Wątpliwe: dlaczego miałyby napadać na nieznanego człowieka? Zresztą miał na nogach brązowe buty sportowe, a nie czarne, jak ten, który trafił go w podbródek.

Z drugiej strony Pete Scott... Pete miał na nogach czarne martensy, był też dostatecznie silny... Ale Fox myślał inaczej. Czy Pete opuściłby swój posterunek po to tylko, by wziąć swój mały odwet? Może i istniało jakieś prawdopodobieństwo, lecz Foxowi wydawało się ono znikome.

W domu natychmiast zrzucił z siebie ubranie i przez dobre dziesięć minut stał pod prysznicem, ustawiając się tak, by gorąca woda spływała po jego plecach. Mimo to kiedy się wycierał, nadal odczuwał ból, choć na ile mógł zobaczyć w lustrze, na plecach nie było widocznych obrażeń. Może inaczej będzie to wyglądać jutro, pomyślał. Ostrożnie wciągnął na siebie piżamę i zszedł na dół do kuchni. Wyjął z zamrażalnika nienapoczętą torbę z zielonym groszkiem, owinał ją ściereczką i przyłożył do szczęki. Zagotował wodę na herbatę. W którejś z szuflad znalazł pudełko aspiryny; połknął trzy tabletki, pijając je wodą.

Była już prawie druga, kiedy wreszcie mógł usiąść z herbatą przy stole. Po paru minutach gapienia się na ścianę wstał i przeszedł do salonu. W kącie na biurku stał komputer. Fox uruchomił go i zaczął szukać trzech nazwisk: Joanna Broughton, Charlie Brogan i Jack Broughton. Na temat tego ostatniego nie znalazł wiele, okres jego świetności skończył się przed rozwojem Internetu i jego stale aktualizowanych serwisów informacyjnych.

Foxowi nie przyszło niestety do głowy zapytać Broughtona, co robi w nocy na Cowgate. Ale Jack Broughton nie był typowym siedemdziesięcioletkiem. Przypuszczalnie wciąż mógł konkurować z najtęższymi pijakami.

Fox nie mógł sobie znaleźć wygodnej pozycji. Jeśli pochylał się do

przodu, odczuwał ból; przy odchyleniu do tyłu ból był jeszcze większy. Dziękował Bogu, że w domu nie ma alkoholu, w przeciwnym razie na pewno by sięgnął po ten najszybciej działający lek. Teraz jednak trzymał tylko przy twarzy torbę z lodowatym groszkiem i skupił się na postaci Charliego Brogana. Łatwo znalazł kilka wywiadów zaczerpniętych z biznesowych stron gazet. Któryś z dziennikarzy spytał go, dlaczego został deweloperem.

Bo tu tworzy się prawdziwe pomniki – odparł Brogan. – Dzieła, które przetrwają człowieka.

A to jest dla pana ważne?

Każdy chce jakoś zmieniać świat, prawda? Jednak pozostawia po sobie tylko nekrolog i ewentualnie gromadkę dzieci.

Więc chciałby pan, aby ludzie o panu pamiętali?

Raczej aby dostrzegali mnie już teraz, póki żyję. Biznes, w którym działam, polega na imponowaniu innym.

Fox zastanawiał się, komu Brogan chciał imponować. Joannie Broughton? Czy jej ojcu, człowiekowi sukcesu? Czy mężczyźni zawsze lubią się popisywać przed swoimi teściami? Przypomniawsobnie, jak bardzo się denerwował podczas spotkań z rodzicami Elaine, choć poznał ich już w czasach, kiedy był małym chłopcem. Bywał w ich domu na przyjęciach urodzinowych. I nagle dwie dekady później pojawia się jako chłopak ich córki.

– Elaine powiedziała, że pracujesz w policji – mówiła jej matka.
– Nie miałam pojęcia, że masz takie skłonności...

Ton jej głosu nie pozostawiał złudzeń: nasza ukochana, utalentowana córka mogła trafić dużo lepiej. Duuużo lepiej...

Fox mógł sobie wyobrazić pierwsze spotkanie Brogana z papą Broughtonem. Obaj synowie już wtedy nie żyli, tym bardziej musiała się teraz wykazać Joanna. Późno wyszła za męża. Fox doszedł do wniosku, że jej czuły i troskliwy ojciec przegonił wielu wcześniejszych konkurentów. Ale Charlie Brogan dobrze wiedział, czego chce: chciał Joanny. Była fascynująca, a jej rodzina miała pieniądze. Co więcej, jej ojca otaczała aura władzy. Kiedy wiążesz się z taką kobietą, nazwisko jej ojca jest dla ciebie parasolem ochronnym. Zawsze można je wspomnieć, gdy ktokolwiek lub cokolwiek ci zagraża.

Fox nie sądził zresztą, by cieszyło to Jacka Broughtona.

Kiedy więc firma CBBJ wpadła w kłopoty, ten parasol się zwinął. Może Brogan zwrócił się do starego w tajemnicy (na pewno nie chciał, żeby dowiedziała się o tym Joanna), a jeśli tak zrobił, to dał Jackowi okazję do powiedzenia głośno tego, co od dawna już myślał o

swoim zięciu. *Mówisz, że straciłeś przez ten kryzys wszystkie pieniądze? No, Charlie, nie wiedziałem, że masz takie skłonności.*

A w domyśle: moja ukochana, utalentowana córka mogła trafić dużo lepiej. Duuużo lepiej...

– Biedny gnojek – powiedział Fox do siebie.

W pół godziny uporał się z całą trójką. Znalazł link do *Quidnunc*, ale nie mógł wejść do gry, bo nie miał odpowiedniego oprogramowania. Patrzył więc tylko na stronę startową z jej barwną, krzykliwą grafiką. Kilku mięśniaków próbowało załatwić jakiegoś potwora.

W Tobie też drzemie wojownik! – głosił napis na pasku przesuwającym się pod obrazem. Fox pomyślał o Jamiem Brecku. Nie był szczególnie wojowniczy w biurze Billy'ego Gilesa. Dziwny człowiek ten Breck: zatracą się w świecie fikcji, odkładając na później swoje prawdziwe życie z Annabel. Fox pomyślał teraz, jakiego rodzaju rolę on sam odgrywał w życiu. Czy alkohol był dla niego tym samym, czym dla Brecka gry fabularne – ucieczką od rzeczywistości w jakiś świat wirtualny? Zaczął się też zastanawiać, czy naprawdę wierzy Jamiemu Breckowi. Wydawałoby się, że tak, ale może więcej prawdy było w słowach Brecka: *Może to znaczy tylko, że jestem twoją ostatnią nadzieją?*

Nie znajdując odpowiedzi, przełączył komputer w stan uśpienia i sam też poszedł spać. Leżał na boku, w jedynej pozycji, jaka nie sprawiała mu bólu. Przez żaluzje przeświecała sodowa lampa ulicznej latarni. Groszek rozmrażał się w torebce. Ptaki śpiewały w radiu.

Środa, 18 lutego 2009

21

O siódmej rano komórka – ta stara – zaświergotała, sygnalizując nową wiadomość. Jak się okazało, od Caroline Stoddart. Wzywała go na Fettes na kolejne przesłuchanie o dziewiątej. Fox odpowiedział SMS-em: „Chory, przepraszam, czy możemy przełożyć?”.

Czy słowo „chory” oddawało całą prawdę? Foxowi zdarzały się wcześniej i grypa, i zapalenie ucha, i migreny, ale nigdy jeszcze coś takiego. Czuł się, jakby stoczył trzy rundy walki z niedźwiedziem grizzly. Droga od łóżka do łazienki zajęła mu ponad minutę. Twarz była mocno spuchnięta, a ozdobiona świeżym strupem szczęka odzywała się klującym bólem przy każdym dotknięciu. Poza tym – na tyle, na ile mógł dostrzec w lustrze – siniaki po obu stronach kręgosłupa, czytelne odciski ludzkich pięści. Po dwudziestu minutach spędzonych pod prysznicem znalazł w telefonie kolejną wiadomość od Stoddart: „Dobrze, na jutro”.

Fox zdecydował, że zostanie przez cały dzień w domu. Miał chleb i mleko – wszystko, czego trzeba, by przeżyć. O dziewiątej siedział na kanapie z drugim już kubkiem kawy w dłoniach i oglądał wiadomości w telewizji BBC. Kiedy odezwał się dzwonek u drzwi, miał ochotę nie wstawać. Może to Stoddart chce skontrolować, czy mówił prawdę. Ciekawość wzięła jednak górę i podszedł do okna. Jamie Breck, który odszedł już parę kroków od drzwi, gapił się prosto na niego. Podniósł w górę torbę ze sklepu spożywczego i uśmiechnął się szeroko. Fox ruszył ku drzwiom, by go wpuścić.

– Kupiłem francuskie rogaliki – powiedział Breck wesoło i przeniósł wzrok z torby na twarz Foxa. – Chryste Panie! Co ci się stało?

Fox poczłapał w głąb domu. Ciągle był w pizamie i szlafroku.

– Ktoś na mnie napadł.

– Wczoraj wieczorem? Po drodze z Hunters Tryst? – Breck wciąż nie mógł uwierzyć.

– Na Cowgate – sprostował Fox. Włączył czajnik i sięgnął po czysty kubek dla gościa. – Kawa czy herbata?

– To dlatego, że tam podwiozła Vince'a taksówka? – Breck sam sobie pokiwał głową w odpowiedzi. – Pojechałeś tam na rekonesans? Ale kto ci to zrobił?

– Zaatakował od tyłu, nic nie widziałem. A kiedy się ocknąłem, stał nade mną Jack Broughton.

– Powtórz!

– Dobrze usłyszałeś. No więc herbaty czy kawy?

– Lepiej herbaty. Co Jack Broughton tam robił?

– Nie powiedział.

– Czy to on...?

– Nie sądzę.

Stali w milczeniu co najmniej minutę, dopóki nie zagotowała się woda w czajniku. Kiedy herbata była gotowa, przeszli do salonu. Fox postawił na stoliku dwa talerzyki i zabrali się do croissantów. Breck siedział na brzegu krzesła mocno pochylony do przodu.

– Myślałem, że przynajmniej śniadanie zjemy w spokoju.

– To nadal możemy.

– Robisz wiosenne porządki? – spytał Breck, wskazując na sterty książek.

– Możesz zabrać wszystko, na co masz ochotę. – Fox pochylił się, żeby sięgnąć po swój talerzyk, i ledwie się powstrzymał, by nie syknąć z bólu. Ugryzł kawałek rogalika, potem odezwał się znowu.

– Chciałem cię o coś zapytać...

– Wal śmiało.

– Dlaczego nie chcesz, żeby Annabel o tym wiedziała?

Breck przeżuwał z namysłem, wreszcie przełknął.

– Masz na myśli SEIL Ents i moją kartę kredytową? Ciągle rozważam wszystkie „za” i „przeciw”.

– Jeżeli dowie się tego inną drogą, nie będzie pewnie szczęśliwa – rzekł Fox. – A mogłaby być bardzo pomocna w tej sprawie...

– A więc nie chodzi ci wyłącznie o moje dobro?

– Boże broń!

Breck pobierał okruszki z nogawek spodni.

– To prawda, ona ciągle pyta, dlaczego nie pójde do związku i nie poproszę o prawnika.

– To zasadne pytanie. Dlaczego tam nie idziesz?

Breck nie zdecydował się na odpowiedź. Zadał za to swoje pytanie.

– Co, na litość boską, spodziewałeś się znaleźć na tej Cowgate?

– Byli tam wcześniej ludzie z Torphichen, rozdawali ulotki.

– To przynajmniej wiesz, że coś robią w tej sprawie. Gdzie cię napadli?

– Jest tam taki zaułek z sauną na końcu... – Fox zauważył, że twarz Brecka drgnęła. – Znasz to miejsce?

– Namalowana strzałka z napisem SAUNA...? Wąski, krótki zaułek...? – spytał.

– No, wykrztuś to wreszcie! – przycisnął Fox.

Ale Breck musiał najpierw wypić trochę herbaty. Postawił swój talerzyk na książce leżącej na stoliku, została na nim jeszcze połówka rogalika.

– Byłem tam kiedyś z Glenem Heatonem – przyznał.

– Co?

– Nie w środku – poprawił się Breck. – Pojechaliśmy na Jock's Lodge... pogadać ze świadkiem. W drodze powrotnej Heaton powiedział, żebyśmy przejechali przez Cowgate. Potem wysłał jakiegoś SMS-a i kazał mi się zatrzymać przy tym zaułku. Wysiadł z samochodu, a z tego domu wyszła kobieta. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, ale miałem wrażenie, że nic albo prawie nic pod spodem. Rozmawiali przez chwilę. Na koniec pocałowała go w policzek, on coś jej dał, może pieniądze...

Breck zmarszczył twarz w skupieniu.

– Była malutka, przy tym pocałunku musiała się wspierać na palce. I młodsza od niego, poniżej trzydziestki. Potem ona wróciła do domu, a on do samochodu.

– Wymienił jej imię?

– Nie. Zapytałem, co to za jedna, ale tylko mrugnął i dał do zrozumienia, że to ważny kontakt.

– Konfidentka?

Breck wzruszył ramionami.

– Były sprawy, o które wolałem nie pytać. Glen potrafił to zasugerować bez słów...

– Dawno to się zdarzyło?

– Jesienią zeszłego roku.

Fox zastanawiał się przez chwilę.

– Była mała, mówisz?

– Nie więcej niż metr pięćdziesiąt.

– Blondynka z kręconymi włosami?

Breck popatrzył na niego ze zdziwieniem, więc Fox uznał za stosowne wyjaśnić.

– Śledziliśmy Heatona przez wiele miesięcy, kontrolowaliśmy

jego e-maile, nagrywaliśmy rozmowy telefoniczne, chodziliśmy za nim. Była dziewczyna, z którą się stale spotykał. Tancerka stolikowa z Lothian Road. Takie chuchro. Nazywała się... – Fox wyteżył pamięć, ale nie mógł sobie przypomnieć.

– Pewnie nadal wykonuje obydwu „zawody” – skomentował Breck. Spojrzał na Foxa i spytał: – Nie sądzisz?

Teraz z kolei Fox wzruszył ramionami.

– Ktokolwiek to zrobił, chciał mi wymierzyć karę. Niewielką, ale jednak.

– Glen Heaton miałby motyw – zgodził się Breck.

Fox wystukiwał już na komórce numer Kaye'a.

– Czekałem, kiedy się wreszcie odezwiesz. – Brzmiała odpowiedź. – Sekundkę, dobrze?

Słyszał, jak Kaye wstaje zza biurka i idzie na korytarz.

– Rozumiem, że Gilchrist ciężko pracuje?

– McEwan zajął go paroma nowymi sprawami – potwierdził Kaye. – A ja rozumiem, że to czysto towarzyska rozmowa?

– Chciałbym, żebyś coś dla mnie sprawdził, Tony. Może być potrzebna wizyta w biurze prokuratora okręgowego, jeśli te dokumenty są u nich.

– Mogę przecież do nich zadzwonić...

– Im mniej osób się dowie, tym lepiej – przypomniał Fox.

– To prawda. Co więc mam sprawdzić?

– Informacje o flamie Glena Heatona.

– O tej tancerce.

– Nie pamiętasz przypadkiem, jak się nazywa?

– Chyba nigdy jej nie przesłuchialiśmy. Mogła być jego konfidentką.

– Znajdź wszystko, co możesz, Tony.

– A powiesz po co?

– Później.

Fox rozłączył się i podparł telefonem podbródek, zapominając, że to boli.

– Co mógł tam robić Jack Broughton? – zadał pytanie Breck, bardziej sobie niż Foxowi.

– Może był klientem. Jego żona umarła, a stary skurczybyk pewnie ma jeszcze trochę wigoru. – Fox się zamyślił. – A może jest właścicielem.

– To znaczy alfonsem?

Fox pokręcił głową.

- Raczej właścicielem budynku... albo najemcą. – Podniósł wzrok na Brecka. – Czy Annabel mogłaby poszperać?
- Pod jakim pretekstem?
- Zespół śledczy nie zrobił jeszcze wszystkiego na Cowgate. Mogłaby prowadzić rozpoznanie tła...
- Breck wydał policzki, potem wypuścił powietrze.
- Przypuszczam, że tak – powiedział. – Zadzwoń do niej teraz?
- Czemu nie?
- Breck wyciągnął komórkę i nacisnął klawisz.
- Zastanawiam się...
- Nad czym?
- Tak teraz myślę, dlaczego właściwie Heaton to zrobił? Dlaczego pokazał mi tę kobietę.
- Chciał się popisać – stwierdził Fox. – Po prostu.
- Breck rozważał to przez chwilę, potem pokiwał głową. Jego komórka cicho piknęła, sygnalizując połączenie.
- Hej, Annabel – powiedział, a jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. – Nigdy nie zgadniesz, na co wpadłem...

• • •

Po południu Fox wiedział już parę nowych rzeczy.

Dzięki pomocy Tony'ego Kaye'a poznał nazwisko dziwki: Sonya Michie i jej adres w Sighthill. Była samotną matką dwojga dzieci – oboje w lokalnym przedszkolu. Nie było żadnej wzmianki o jej pracy w saunie ani o zatrzymaniach.

Jeszcze bardziej intrygujące okazały się informacje przekazane przez Annabel Cartwright. Budynek, w którym mieściła się „sauna”, należał do Wauchope Leisure Holdings Limited z siedzibą w Dundee. Firma była właścicielem najrozmaitszych osobliwych domów w mieście, mieszczących głównie sauny i lokale striptizowe. Dziwnym trafem na tej liście znalazł się również budynek z klubem nocnym, w którym prezentowała przy stolikach swoje wdzięki Sonya Michie. Cartwright dostarczyła listę dyrektorów firmy, był wśród nich między innymi niejaki J. Broughton. Na wszelki wypadek Breck poprosił ją o sprawdzenie imienia. Jakąś godzinę później otrzymał potwierdzenie: John Edward Alan Broughton.

- Bardziej znany jako Jack – dodał Fox.
- A więc przynajmniej miał jakiś powód, żeby tam być – stwierdził Breck. – Raczej biznes niż przyjemność.
- W nocy?

Ale to nie był jeszcze koniec wiadomości od Cartwright. Firma Wauchope brała swoją nazwę od nazwiska Bruce'a Wauchope'a, który teraz odpoczywał piętnaście lat na koszt Jej Królewskiej Mości za udział w aferze przemytniczej w regionie północno-wschodnim.

– Łodzie rybackie z okolic Aberdeen – wyjaśniła Annie.

Przyjechała do domu Foxa z grubym plikiem kserokopii, głównie publikacji prasowych na temat Wauchope'a, ale także protokołu z przesłuchania taksjarza, który zawiózł Vince'a na Cowgate. Nie wzbogaciło to szczególnie ich wiedzy.

Prawie minutę zastanawiał się, czy wysiąść – powiedział taksówkarz. – *Myślałem nawet, że zmienił plany...*

Zapytana, czy chce coś do picia, Cartwright zdecydowała się na wodę. Breck pocałował ją. Zarumieniła się, ale wyraźnie ją to zachęciło do dalszej pracy nad powierzonymi zadaniami. Zauważyła obrażenia Foxa, jednak o nic nie pytała, wiedząc, że dowie się, kiedy to będzie niezbędne. Nie wspomniała też o stertach książek przeniesionych ze stolika na podłogę, które w każdej chwili mogły runąć.

– Nikt się nie zorientował, czego szukasz? – Fox wolał się upewnić, ale odpowiedzią był tylko przeczący ruch głowy.

Annabel wróciła do swojej relacji.

– Te łodzie spotykały się na morzu z innymi łodziami, przejmowały narkotyki i dostarczały je na brzeg. Było dużo chętnych nabywców, zwłaszcza wśród rybaków i robotników z platform naftowych...

Fox studiował ziarnistą fotografię Bruce'a Wauchope'a. Mężczyzna patrzący spoде łba w obiektyw miał z wyglądu pięćdziesiąt lat.

– To jakiś kompletny bandzior – rzucił Breck.

– Poczekaj, aż zobaczysz jego syna – powiedziała Cartwright i zaczęła przerzucać kartki.

Zdjęcie, które wyciągnęła, było małe, skopiowane z gazety wraz z obszerną notatką z procesu Wauchope'a.

– Na imię ma Bruce, tak samo jak ojciec; oficjalnie pewnie Bruce junior, ale znany jest pod ksywą Byk.

Kiedy Fox i Breck czytali notatkę, Cartwright dorzuciła parę szczegółów.

– Ma fatalną opinię w Dundee. Wyrzucili go z pół tuzina szkół, zanim skończył piętnaście lat. Kierował lokalnym gangiem. Na pewno ojciec mógł być z niego dumny. Teraz, kiedy Wauchope senior jest wyłączony z gry, wszystkim rządzi Byk.

– Czym konkretnie rządzi?

– W tej kwestii musiałabym pewnie porozmawiać z wydziałem kryminalnym z Tayside, chyba że wy macie tam jakiś kontakt.

– Chyba kogoś znam – przyznał Breck.

– Czy Wauchope ma coś jeszcze w Edynburgu? – spytał Fox, nie odrywając się od lektury.

– To też wymagałoby trochę pracy... – Cartwright zawiesiła głos.

– Dlaczego to jest takie ważne? – spytał Breck.

Pytanie było skierowane do Foxa, ten jednak tylko wzruszył ramionami i nadal przeglądał fotokopie. W pokoju zapadło milczenie. Breck podszedł do okna.

– Nie widzę twojego samochodu – powiedział.

– Zostawiłam go za rogiem – wyjaśniła Cartwright. – Nie chcę, żeby ktoś go tutaj widział.

– Może i rozsądnie – rzucił Fox znad swojej lektury.

Annabel spojrzała na zegarek.

– Muszę wracać. Zwykle kupowanie kanapki zajmuje mi mniej czasu.

– Dziękuję za wszystko.

– Mam nadzieję, że się przyda.

Zarzuciła torbę na ramię. Jamie, który już wcześniej wyszedł z pokoju, otworzył przed nią drzwi. Fox nie zrozumiał słów, ale wyraźnie usłyszał mocny pocałunek, zanim drzwi się zatrzasnęły.

Breck wrócił do pokoju i patrzył na nią przez okno.

– Za dobra jest dla ciebie – rzekł Fox.

– Wiem.

Breck odwrócił się od okna i podszedł do swojego fotela.

– Stałaśby po twojej stronie, jestem pewien – ciągnął Fox. – To znaczy, gdybyś jej powiedział. Nie uwierzyłyby w te głupstwa.

– Zrobię to we właściwym czasie, jeśli pan pozwoli, inspektorze.

Fox przyjął ten sarkazm i podniósł ręce do góry na znak poddania. Breck zatarł dłonie.

– No to – powiedział, przysiadając na oparciu fotela – co robimy dalej?

– Twoje pomysły są równie dobre jak moje. – Fox milczał przez chwilę. – Pytałeś już o tę wypłatę z karty kredytowej?

Breck spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Dlaczego tak nagle o to pytasz?

– Tak mi jakoś przyszło do głowy.

– Byłem u nich. Przelew dla SEIL wykonano z komputera, więc niewiele mogą wiedzieć.

- Mógł to zrobić ktoś, kto miał dane twojej karty?
- Musiałyby znać numer karty i chyba adres oraz kod pocztowy.
- Czyli nie posunęliśmy się ani trochę do przodu?
- Nadal nie mogę udowodnić, że to nie ja, jeżeli o to ci chodzi. –

Breck znowu wstał. – Wciąż dręczą cię wątpliwości, Malcolm?

- Nie.
- Spróbuj to powiedzieć bardziej przekonująco.

Zanim Fox zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Annie Inglis...

- Hej, Annie – rzekł Fox. – W czym mogę pomóc?
- Nic ważnego.

Breck dał znak ręką, że wyjdzie z pokoju, i natychmiast ruszył do drzwi. Fox wcisnął się wygodnie w oparcie fotela, ale rwący ból zmusił go do powrotu do pozycji wyprostowanej.

- Jak idzie robota w Chop Shop? – spytał przez zaciśnięte zęby. –

Dali ci już kogoś na miejsce Gilchrista?

- Nadal pracuję solo.
- To chyba niedobrze?
- Niedobrze.
- A co u Duncana?
- W porządku. A u ciebie, Malcolm?
- Wyleguję się.
- Naprawdę?
- Tak, można tak powiedzieć.

Usłyszał jej śmiech.

- Kiedy wracasz do pracy?
- To zależy od kontrolerów z Grampian.
- Spotkałam inspektora Stoddart. Wygląda na bardzo... sprawną.
- Pytała cię o mnie?
- Tylko mimochodem.
- Miałem dziś przyjść na następną sesję tortur.
- Tak powiedziała.
- Napisałem jej, że jestem chory.
- Ale naprawdę jesteś zdrowy?
- Nie, rzeczywiście to i owo mi dolega.
- Jak wszystkim o tej porze roku.
- Odrobina więcej współczucia by nie zaszkodziła.

Znów się roześmiała.

– Chcesz, żebym wpadła po pracy? Mogę ci przywieźć winogrona i coś na wzmocnienie.

Fox dotknął palcami poobijanej twarzy.

– To kusząca propozycja, ale nie, dziękuję. Za parę dni wyzdrowieję. Posłuchaj, chciałbym cię o coś poprosić. Niedawno wspomniałaś, że policja australijska jest już gotowa zamknąć Simeona Lathama. Pytałem o to Gilchrista i powiedział to samo.

– Tak?

– Policjantka z Melbourne, którą mi nadałaś, mówi co innego.

– Wiesz, że nie mogę z tobą o tym rozmawiać, Malcolm. – Jej głos stał się nagle twardszy.

– Tylko się zastanawiam, kto kłamie, Annie.

Breck wetknął głowę do pokoju i dał znak, że wychodzi. Fox zatrzymał go ruchem ręki, ale po chwili mógł już mówić, bo Inglis się rozłączyła.

– Inspektor Stoddart – powiedział – chce wydusić informacje od Annie Inglis.

– Jest po prostu sumienna, chociaż... – skomentował Brek.

Fox się zamyślił. Ostrożnie dotknął palcami spuchniętej szczęki.

– Nie powinieneś brać w tym udziału, Jamie. Raczej popracuj nad oczyszczeniem swojego nazwiska.

– A jak mam to robić, żeby oni się nie zorientowali, że wiem wszystko od ciebie. Musimy oczyścić najpierw twoje nazwisko, żeby się zabrać do mojej sprawy. No to jakie mamy plany na dzisiaj?

Fox spojrział na wyświetlacz komórki: dawno już minęła trzecia.

– Może by tak obiad? – zasugerował.

– Następny kurs do supermarketu? – domyślił się Brek.

Fox przytaknął i sięgnął do portfela.

– Moja kolej – powiedział. – Ty zapłaciłeś za śniadanie.

Breck wziął dziesięciofuntowy banknot, ale nie ruszył się z miejsca.

– A co dalej?

– Można zacząć od Dundee, ale to też mogę zrobić sam.

Breck wycelował palcem w twarz Foxa.

– Właśnie widzę efekty tych twoich solowych popisów. Pozwolisz więc, że się do nich przyłączę.

Kiedy Brek wyszedł, Fox wstał i podszedł do okna. Przez jakiś czas gapił się na ulicę, nie mogąc zebrać myśli. Potem skierował się do kuchni po kolejną porcję środków przeciwbólowych. W zlewku stała szklanka Annabel, na brzegu pozostał błydy ślad różowej szminki. Czy jej chłopak ma naprawdę tyle dobrej woli? A ona sama? Czy mogłaby wnieść jakieś smaczne kąski do tego śledztwa? Czy

wydałaby Foxa w łapy Billy'ego Gilesa, mając świadomość, że Giles łatwo dzięki temu dopadnie także jej przyjaciela? Fox czuł, że lista osób, którym mógł zaufać, jest bardzo krótka, a jej marginesy upstrzone są licznymi „ale”, „jeżeli” i znakami zapytania.

Wrócił do stolika kawowego i wziął do ręki plik kserokopii – protokół z przesłuchania taksówkarza. Nagle uderzyło go, że Vince mógł mieć dobry powód, by się wahać, zanim wysiadł z taksówki. Był zdenerwowany. Wiedział, gdzie chce iść, ale odczuwał jakiś wewnętrzny opór. Już w Marooned omal nie spowodował bójki. Potem na przystanku autobusowym kolejny konflikt. Bramkarze w Oliverze nie powinni byli go wpuścić, a jednak wpuścili. Dlaczego? Zdaniem Jamiego Brecka Joanna Broughton bardzo dba o reputację kasyna, mimo to pozwolono, by Vince upił się niemal do nieprzytomności. Siedział tam dwie, trzy godziny... Kiedy znaleziono jego ciało, miał w kieszeni tylko parę drobnych banknotów i trochę bilonu. Czy pojechał na Cowgate, by pożyczyć pieniądze, czy dlatego, że właśnie trochę zdobył?

Przeglądając materiały, Fox nagle uświadomił sobie, że Annabel Cartwright wyświadczyła mu wielką przysługę, choć właściwie w ogóle go nie zna. Pomogła mu, bo jest przyjacielem Jamiego...

– To właśnie tobie ufam, Annabel – powiedział do siebie, by po chwili dodać: – No, powiedzmy na osiemdziesiąt procent.

Wszedł do kuchni, aby napełnić szklankę wodą. Wtedy zadzwoniła pozostawiona w salonie stara komórka. Najszybciej, jak umiał w tym stanie, wrócił do stolika kawowego, ale ktokolwiek dzwonił, zdążył się już rozłączyć. Fox sprawdził numer – jakaś inna komórka – i oddzwonił.

– Ktoś telefonował z tego numeru – powiedział. – Nie zdążyłem odebrać.

- Max Dearborn.
- Co tam słyszać, Max?
- Kupa roboty.
- Coś nowego w sprawie zaginionego dewelopera?
- Nic.
- Ale tak go zakwalifikowano, prawda? Raczej zaginiony niż trup?
- To jedna z wielu możliwości.
- Ja potrafię wymyślić tylko pięć, Max. On nie żyje i albo to był wypadek, albo samobójstwo, albo ktoś mu pomógł.
- To dopiero trzy...

– A jeśli żyje, to albo sam upozorował samobójstwo, albo zrobił to ktoś inny, co oznaczałoby uprowadzenie.

– W tym ostatnim wypadku wdowa dostałaby już chyba jakieś żądanie okupu.

– Może dostała, tylko wam nie mówi, Max. Z tego co wiem o Joannie Broughton, ona woli rozwiązywać takie sprawy na swój własny sposób.

– No właśnie – zgodził się Dearborn. – Skoro już o tym mówimy, jej agent PR znowu wkroczył na ścieżkę wojenną.

– Ja nie miałem z nią kontaktu...

– Tym razem wziął na muszkę jakąś dziennikarkę – powiedział Dearborn lekko znudzonym tonem.

Fox zrozumiał, po co Dearborn dzwoni; to nie żadna tajemnicza sprawa, raczej potrzeba pogadania, rozładowania, poplotkowania z kimś spoza zakłętego kręgu radiowozów. Wyobraził sobie Dearborna w wyludnionym biurze wydziału kryminalnego, gdzie nieliczni obecni siedzą oklapli przy biurkach po paru dniach ciężkiej harówki. Czekać na jakiś przełom w śledztwie, ociężali i nieruchawi z powodu zbyt licznych kanapek i batonów. Może Dearborn siedzi teraz na odsuniętym krześle z rozluźnionym krawatem i nogami na biurku.

– A co ta dziennikarka zrobiła?

– Nic wielkiego. Rozpuściła pogłoskę, że Brogan był w coś zamieszany.

– W co?

– Próba przekupienia radnego miejskiego. To ma coś wspólnego z tymi mieszkaniami, które Brogan wybudował. Teraz nikt nie chce kupować. Liczył na to, że miasto kupi.

– A co miasto by z nimi zrobiło?

– Mieszkania socjalne. W tej chwili brakuje ich paru tysięcy, nie wiedziałeś?

– Wygląda na to, że Brogan miał dobre rozwiązanie.

– Jeśli cena była rozsądna...

– W jaki sposób pojedynczy radny mógł przepchnąć tę transakcję?

– Wystarczy, że był w komisji mieszkaniowej rady.

– No tak – mruknął Fox, a po krótkiej przerwie dodał: – Ale nadal nie widzę w tym niczego szczególnie złego.

– Szczerze mówiąc, ja też nie.

– Kto ci to wszystko powiedział? Przecież nie Gordon Lovatt.

– Nie. Dziennikarka.

- A dlaczego mówisz to mnie?
- Bo ty potrafisz pokazać ludziom, gdzie ich miejsce. Gdybyś znowu widział Joannę Broughton albo Gordona Lovatta, to może wspomnij o tej sprawie.
- Liczysz na to, że oni... co zrobią?
- Może nic... a może jednak coś.
- Coś mi się zdaje, że chciałbyś pomóc tej dziennikarce, ale boisz się wychylić. Zamiast ciebie ja miałbym...
- Tak tylko pomyślałem, Malcolm. A tak przy okazji, ta dziennikarka nazywa się Linda Dearborn.
- Co za zbieg okoliczności, Max.
- Byłby, gdyby nie fakt, że to moja młodsza siostra. Dam ci jej numer telefonu...

Kiedy Fox notował numer, usłyszał, że u Dearborna dzwoni inny telefon.

- Muszę kończyć – powiedział Dearborn.
- Jeśli będziesz coś nowego wiedział o Broganie, daj mi znać – przypomniał Fox, ale Dearborn już się rozłączył.

Podrapał się w głowę i próbował uporządkować myśli. O coś jeszcze powinien był zapytać Dearborna. Szybko wysłał mu SMS-a:

„Nazwisko radnego”.

Nie minęło nawet pięć minut, a otrzymał odpowiedź:

„Ernie Wishaw”.

Fox wciąż wpatrywał się w nazwisko na ekraniku, kiedy wrócił Breck z jedzeniem. Ten początkowo nie zwrócił uwagi na jego zasępioną minę. Wypakował z torby na stół sandwicze i chipsy, a także dwie butelki lemoniady. Miał właśnie zapytać Foxa, czy woli sałatkę z krewetek, czy szynkę z sosem musztardowym, kiedy coś zmusiło go do zmiany tematu.

– Ktoś umarł? – spytał.

Fox powoli pokręcił głową.

– Ten twój radny...

– Który?

– Ten od ciężarówek.

– Co z nim? – Breck był wyraźnie zaintrygowany.

– Mógł się kontaktować z Charliem Broganem.

Breck zastanawiał się przez chwilę.

– W sprawie kasyna?

– Jakaś dziennikarka twierdzi, że Brogan proponował łapówkę Erniemu Wishawowi.

Breck powoli rozpakowywał swojego sandwicza. Położył go na tym samym talerzyku, na którym rano trzymał croissanta.

– Brogan – wyjaśniał dalej Fox – chciał sprzedać miastu swoje niechodliwe budynki. Wishaw miał przekonać radę, żeby się za bardzo nie targowała.

Breck wzruszył ramionami.

– To wydaje się możliwe. Co to za dziennikarka?

– Siostra Maxa Dearborna.

– A kto to jest Max Dearborn.

– Detektyw sierżant w Leith. Należy do zespołu badającego sprawę zaginięcia Brogana.

Breck spojrział uważnie na Foxa.

– Zaginięcia? Nie samobójstwa?

Fox zignorował to pytanie.

– Jeżeli ta dziennikarka ma rację, to masz przynajmniej haka na Erniego Wishawa. – Fox zrobił krótką przerwę. – Gdybyś był Broganem i chciałbyś komuś dać w łapę, pewnie najpierw próbowałbyś się przed nim popisać.

– W kasynie Joanny?

– Tak, na przykład podarować stosik żetonów, żeby sobie zagrał...

– Nie sądzę, aby Wishaw był aż tak dziecinny.

– Zależy od tego, co Brogan naprawdę oferował.

Breck ciągle wpatrywał się w niego intensywnie. Trzymał sandwicza w ręku, ale chyba zupełnie o nim zapomniał. Kilka krewetek spadło na talerzyk.

– To tylko pogłoska, prawda? Na razie tylko tyle?

Fox wzruszył ramionami. Rozłożył sandwicza z szynką, obejrzał zawartość, ale nie miał już apetytu. Sięgnął za to po lemoniadę. Kiedy obluzował nakrętkę, płyn wystrzelił z sykiem i utworzył sporą kałużę na stoliku. Wstał i przyniósł z kuchni ściereczkę. Breck jeszcze nie napoczął swojego sandwicza.

– Pewnie niewiele tych krewetek zostało w środku – zwrócił uwagę Fox. Breck spostrzegł, co się stało, i zaczął upychać krewetki na powrót między trójkątnymi kromkami chleba.

– Linda Dearborn – odezwał się wreszcie. – Tak się nazywa, prawda?

– Znasz ją? – spytał Fox wciąż zajęty osuszaniem stołu.

– Teraz ją sobie przypomniałem. Kiedy aresztowano tego kierowcę od Wishawa, który przewoził narkotyki, to ona szperała przy tej

sprawie. Jej teza, ogólnie biorąc, była taka, że Wishaw musiał o tym wiedzieć.

– O ile pamiętam, taka była również twoja teza.

Breck się uśmiechnął.

– Rozmawiałem z nią wtedy tylko raz... – Zawiesił głos.

– Zdaje się, że już wtedy obserwowała pana radnego.

– Tak... Myślisz, że warto z nią porozmawiać?

– Pod warunkiem, że nie wyjdą na jaw nasze nazwiska. Ale i to nie rozwiązuje problemu, bo ona gotowa nas cytować jako „anonimowych informatorów z policji”.

– Co w tym złego?

– W policji jest też jej brat, w dodatku w zespole badającym sprawę Brogana.

Breck pokiwał głową ze zrozumieniem

– Wszyscy będą podejrzewali, że to on.

– A wtedy, jak sądzę, ona skończy z naszą „anonimowością”.

– Myślisz, że właśnie dlatego Dearborn ci o tym powiedział?

– Raczej chciał, abym przekazał to Joannie Broughton.

– Po co?

– Liczy na to, że ona wpadnie w panikę i przy okazji coś jej się wyrwie.

– To się nie uda.

– A z Erniem Wishawem?

– Chyba nie będzie sam siebie oskarżał, prawda?

– Obserwowałeś go przez jakiś czas. Co jest jego najsłabszym punktem?

– Musiałbym nad tym pomyśleć.

– Na razie moglibyśmy mu powiedzieć, że zapomniamy o prezencie, którym zamknął usta żonie kierowcy, jeżeli ujawni, co proponował mu Charlie Brogan.

– Mówisz poważnie? Przecież nie mamy nawet legitymacji.

– To prawda...

Na parę chwil w pokoju zapadła cisza. Przerwał ją w końcu Jamie Breck.

– Ale i tak masz zamiar to zrobić?

– Chyba tak – przyznał Fox.

– Dlaczego?

– Bo Brogan jest kluczem do wszystkiego.

– Jesteś pewien?

Fox zastanawiał się przez chwilę.

– Nie – stwierdził. – W gruncie rzeczy niczego nie jestem pewien.

•••

Wieczorem Fox znalazł się ponownie na Cowgate. Czekał w samochodzie, obserwując przechodniów i wypatrując znajomych twarzy. Rozpoznał tylko dwie: Annabel Cartwright i Billy'ego Gilesa. Zsunął się jak najniżej na fotelu, choć powodowało to dotkliwe ataki bólu w kręgosłupie. Pierwsza pojawiła się Cartwright – rozmawiała z innym agentem z zespołu śledczego. Wyglądało na to, że mężczyzna słucha jej rozkazów. Miał z sobą plik świeżych ulotek. Przeszli koło Foxa chodnikiem i szybko zniknęli z jego pola widzenia. Dziesięć minut później przyszła kolej na Billy'ego Gilesa, szedł dostojnie, jakby był właścicielem tego terenu. W kąciku ust trzymał grube cygaro, rękę zatknął głęboko w kieszeniach. Było pochmurno, dość ciepło i niemal bezwietrznie. Kiedy Giles odszedł w tym samym kierunku co Cartwright i jej kolega, Fox mógł się wynurzyć ze swej kryjówki i trochę rozprostować grzbiet.

Trzy kwadranse później minął go jakiś samochód, oprócz kierowcy siedziała w nim cała trójka detektywów. Giles mówił coś, żywo gestykując, pozostali słuchali znudzeni. Fox odczekał jeszcze trzydzieści minut, potem wysiadł z samochodu i zamknął go. Przed drzwiami Ronda nie było Peta Scotta. Tym razem stali tam dwaj bramkarze, jeden czarny, jeden biały. Nie zwrócili najmniejszej uwagi na Foxa. Jeden pokazywał drugiemu coś zabawnego na ekranie swojej komórki.

– To straszne! – powiedział któryś z nich, choć ton jego głosu sugerował coś wręcz przeciwnego.

Fox poszedł dalej. Nie minęła jeszcze dziesiąta i sam nie bardzo wiedział, po co się tu kręci. Jeśli chciał zrobić cokolwiek sensownego – powtórzyć wczorajszy scenariusz – powinien tu przyjechać po północy. Znajomy zaułek był pusty. Neon wciąż głosił to samo: SAUNA. Fox rozejrzał się i doszedł do wniosku, że nie grozi mu żaden atak. Mimo to lekko odwracał głowę, gdy zagłębiał się w zaułek, by zatrzymać się przed czarnymi drzwiami.

Nacisnął dzwonek i stanął przed obiektywem kamery. A ponieważ nic się nie wydarzyło, zadzwonił jeszcze raz. Nie słyszał żadnych odgłosów ze środka. Nie było tu żadnej szyby, nic, tylko lśniąca oko kamery. Machnął przed nią ręką, przybliżył twarz, nawet popukał palcem. Potem chwycił za klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Zwinął

pięść i uderzył trzy razy, potem jeszcze trzy. Nadal nic.

W końcu odwrócił się, by odejść. Zatrzymał się w miejscu, w którym leżał nieprzytomny niespełna dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Przykucnął i podniósł z ziemi mały okrągły przedmiot – jego własny guzik od spodni. Wstał, schował guzik do kieszeni i ruszył do domu.

Najpierw jednak zafundował sobie objazd, i to dosyć daleki. Szosa A198, meandrująca wzdłuż wybrzeża, za dnia kusila wspaniałymi widokami. Była ulubioną trasą weekendową Foxa i jego byłej żony. Zwykle zatrzymywali się w Aberlady na lunch albo w Gullane, by pospacerować ścieżką na obrzeżach pola golfowego. Nad brzegiem morza znajdowały się parkingi, a nieopodal wulkaniczne wzgórze Berwick Law dla amatorów łagodnej wspinaczki. Ruiny zamku Tantallon, po drugiej stronie North Berwick, były najdalszym miejscem, do którego docierali przed zapuszczeniem się w interior. Czasem zjadali roladę z bekonu przy Muzeum Lotnictwa albo rybę z frytkami w Haddington. Ale Elaine najbardziej lubiła North Berwick. Obserwowała morze przez jeden z teleskopów Sea Life Centre lub wędrowała wzdłuż plaży, wciąż narzekając, że za nią nie nadaża (on wolał spacerować, ona raczej maszerować).

Tej nocy Fox zmierzał właśnie do North Berwick. Znał dobrze trasę, ale jechał wolno. Droga była kręta i trudna do przewidzenia. Mijały go pędzące samochody, przeważnie z ryczącymi, przerobionymi tłumikami; kierowcy wyprzedzali na ciasnych, pozbawionych widoczności łukach, migając długimi światłami. Byli młodzi, podobnie jak ich pasażerowie stłoczeni i wrzeszczący na tylnych siedzeniach. Mogli pochodzić z miasta, ale Fox oceniał ich raczej jako mieszkańców tych okolic. Czy o tej porze nocy istniała jakaś lepsza rozrywka w regionie East Lothian?

W North Berwick skierował się prosto na małą lokalną uliczkę blisko morza. Stał tam dom, przed którym parę razy już parkował, chociaż nigdy własnym samochodem. Dom był parterowy, ale z tarasem na dachu, skąd widać było pobliskie wyspy czy raczej skały przybrzeżne: Fidre, Craigleith, Bass Rock, choć oczywiście nie w nocy. Wzmógł się wiatr, lecz temperatura utrzymywała się na poziomie kilku stopni powyżej zera. Elaine zawsze marzyła o domu na wybrzeżu. Fox miał wtedy tylko jedną obiekcję – nie miał ochoty na dalekie dojazdy do pracy. Najwidoczniej jednak nie przeszkadzało to Glenowi Heatonowi, który już od ośmiu lat mieszkał w tym miasteczku. Kontrolerzy z Wydziału Spraw Wewnętrznych zbadali

okoliczności zakupu domu. Musiał kosztować co najmniej pół miliona funtów. Oficjalne dochody Heatona w żadnym razie nie pozwalały na taki wydatek. Pytano go o to wielokrotnie w czasie przesłuchań. Za każdym razem odsyłał ich do dokumentów. „Nie ma w nich nic podejrzanego” – twierdził. A także: „Zazdrość was zżera, że komuś się trochę lepiej powodzi”.

To właśnie przed tym domem zatrzymał się teraz Fox. Wyłączył silnik, zdając sobie sprawę, że jego dźwięk może zaniepokoić mieszkańców. W sąsiednim domu były pokoje do wynajęcia, a w ogrodzie przekształconym w parking stały trzy samochody. O tej porze roku trudno było przypuszczać, że należą do turystów. Samochód Heatona – alfa romeo – stał zapewne w garażu na tyłach domu. Auto miało dwa lata i kosztowało pewnie około dwudziestu tysięcy funtów. W ciągu roku objętego śledztwem drugie tyle wydał Heaton na wakacje – na Barbados, w Miami i na Seszelach. W jednej z tych podróży korzystał wraz z żoną z business class, w innych – z economy plus. Mieszkali w czterogwiazdkowych lub pięciogwiazdkowych hotelach. Niestety, budżet wydziału kontroli nie pozwalał na śledzenie jego urlopów z bliska.

Jadąc tutaj, Fox złapał w radiu wiadomości. Mówiono o dochodach posłów, nie oskarżano ich o korupcję, ale o bezwzględne dojenie budżetu. Zapewne jeszcze większą wściekłość wywoływały honoraria i premie bankowców. Ale ponieważ do tych ostatnich trudno się było dobrać, uwaga opinii publicznej skupiła się na politykach i ich pełnych korytach.

Zazdrość was zżera...

Zarzut Heatona irytował ich, bo był trafny. Zwłaszcza Tony Kaye gotował się i pienił, kiedy czytał listę wydatków i zakupów Heatona.

– Ciekawe, jak go na to stać z jego pensją? – powtarzał wciąż pytanie. Retoryczne, bo było jasne, że go nie stać. Za wiele rzeczy Heaton płacił gotówką i nie potrafił wytłumaczyć dlaczego.

Fox patrzył na dom i próbował wyobrazić sobie Glena Heatona i jego żonę w łóżku. Potem pomyślał o jego synu, o którym żona pewnie nie wiedziała, chyba że Heaton się przyznał. Syn miał osiemnaście lat i żył w Glasgow u swojej matki. A była jeszcze Sonya Michie, o której żona też nie wiedziała. Chociaż Fox zdawał sobie sprawę, że żony często nie chcą wiedzieć. Podejrzewają... niby się domyślają... ale symulują niewiedzę i godzą się z takim stanem rzeczy.

– Co ty tu właściwie robisz, Malcolm – mruknął do siebie. Wyobraził sobie, że Heaton wychodzi przed dom w szlafroku.

Podchodzi do samochodu i wsiada. A potem mogą porozmawiać. Przypomniał sobie, jak powiedział Breckowi, że w centrum całej tej sprawy jest Charlie Brogan, ale już wtedy dręczyła go inna, niejasna myśl: Heaton. Ten człowiek mógł mieć toksyczny wpływ na życie wielu innych osób, czasem nie do końca świadomych. Na przykład na Sonyę Michie, to jasne. Ale może także, zastanawiał się Fox, na Jacka Broughtona i Byka Wauchope'a. Opuścił szybę: usłyszał morze i poczuł jego zapach. Wokół nie było żywego ducha. Pomyślał: czy warto się przejmować, że świat nie jest do końca uczciwy? Że sprawiedliwość zdarza się rzadko? Że zawsze trafi się ktoś, kto za plik banknotów gotów jest wyświadczyć każdą przysługę? Niektórzy – bardzo liczni – unikają takich refleksji.

– Na szczęście nie jesteś taki – znów powiedział do siebie.

I wtedy zauważył coś nowego. Jakiś ruch przy drzwiach domu Heatona. Drzwi otworzyły się na oścież i na tle oświetlonego korytarza pojawiła się ciemna sylwetka. Mężczyzna był w piżamie i oczywiście zawiązywał pasek od szlafroka. Glen Heaton patrzył w ciemność, w stronę volva Foxa. Ten zaklął półgłosem i przekręcił kluczyk. Miejsce, w którym zaparkował, było ciasne i musiał się trochę pogimnastykować, aby przy wyjeżdżaniu nie uderzyć pojazdów stojących z tyłu i z przodu. Nie miało to zapewne żadnego znaczenia, Heaton stał spokojnie z rękami w kieszeniach szlafroka. Fox włączył od razu długie światła, by choć na chwilę oślepić stojącego człowieka. Ruszył szybko, skręcił w prawo, potem jeszcze raz w prawo i znalazł się na drodze w kierunku Edynburga. Cały czas miał przed oczami ten sam obraz: Glen Heaton wyłania się przed nim jak zły dzinn z baśni, a on, Fox, zamyka go w butelce.

Czwartek, 19 lutego 2009

22

Rano Foxa obudził SMS od Caroline Stoddart:

„Lepsze samopoczucie?”

Tak, czuł się lepiej. Opuchlizna ustępowała, a skóra na dłoniach kłuła tylko wtedy, gdy je pocierał. Broda nie bolała, pod warunkiem że jej nie dotykał. Uznał, że może przez parę dni zrezygnować z golenia tego miejsca. Plecy doskwierały mu nadal, ilekroć pochylał się lub obracał, ale można to było wytrzymać. Odpisał więc:

„Tak”

Jej kolejny i ostatni już SMS wzywał go na Fettes na dziesiątą. Fox wysłał wiadomość do Jamiego Brecka, że będzie zajęty co najmniej do południa. Breck natychmiast oddzwonił.

- To Stoddart?
- We własnej osobie.
- Wiesz już, co zamierzasz mówić?
- Zamierzam powtarzać w kółko, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Vince'a, i ty też nie.
- Niezły plan, jak sędzę. A co potem?
- Pomyślałem, że mógłbym pogadać z Erniem Wishawem.
- Pod jakim pretekstem?
- Jest przecież radnym, prawda? Może mam jakiś problem i chciałbym go prosić o pomoc. – Fox zrobił przerwę. – Nie powinienes przy tym być, Jamie.

Breck parsknął krótko.

- Spróbuj mnie zatrzymać.
- Proszę bardzo: na pewno masz jakiegoś *Quidnunca* do rozegrania.
- Rzecz w tym, że ja sporo wiem na temat Wishawa. Zapomniałeś?
- Ale nie spotkałeś go nigdy?
- Nie.
- To ryzykowne, Jamie. Jeśli dowie się o tym Stoddart albo Gi-

les...

– Jeżeli ty w to wchodzisz, to ja też – oświadczył Breck. – Bez dyskusji.

Najpierw jednak była mała sprawa do załatwienia na Fettes z kontrolerami z Grampian. Trójka agentów – Stoddart, Wilson i Mason – zajęła te same co poprzednio miejsca. Gdy Stoddart zobaczyła twarz Foxa, oderwała się od swoich papierów.

- Co się panu stało?
- Spadłem ze schodów.

Zmrużyła oczy.

- Zdaje się, że tak właśnie mawiała pańska siostra?
- Tak czy inaczej, ma pani dowód, że nie kłamałem wczoraj.

Fox wziął od Masona mikrofon i przypiął go sobie do koszuli. Potem usiadł.

– Nie podejrzewałam pana o to – odparła Stoddart. – A dzisiaj chciałam już nawet panu pogratulować.

– Czego?

– Że od czasu naszego ostatniego spotkania nie przysparza pan sobie kłopotów. Teraz już nie jestem tego taka pewna.

Fox pochylił się lekko do przodu, ból kręgosłupa odezwał się znowu.

– Chce pani powiedzieć, że jestem kłamcą, inspektor Stoddart? – spytał tonem oskarżycielskim.

– Nie – odpowiedziała, przerzucając papiery.

Fox przesunął palcami po krawędzi laminowanej przepustki wiszącej na jego szyi.

– Jest coś nowego w sprawie śmierci Faulknera? – spytał niewinnie.

– Nic na ten temat nie wiem. – Popatrzyła na niego znad papierów. – Dlaczego zaatakował pan sierżanta Dicksona?

– Byłem osłabiony emocjonalnie.

– Może pan powtórzyć?

– Moja siostra straciła właśnie partnera. – Udało mu się znaleźć wyjaśnienie. – To miało wpływ i na mnie, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy. Teraz zresztą myślę, że władza popełniła błąd.

– Władza?

– Powinni na parę dni zwolnić mnie z obowiązków, dać kilka dni urlopu, żebym doszedł do siebie.

Stoddart wyprostowała się na krześle

– Przerzuca pan winę na innych.

Fox wzruszył ramionami.

– Mówię tylko, co myślę. Ale dlaczego pani zaczęła mnie śledzić, inspektor Stoddart? Kto zlecił tę obserwację i jaką historyjkę wymyślili?

Stoddart uśmiechnęła się chłodno.

– To są dane poufne.

– Miło to słyszeć. Tylko jak na mój gust za dużo z nich wycieka.

– Wyprostował się, jakby ją przedrzeźniał.

– Możemy zacząć? – spytała.

– Jestem gotów, kiedy tylko pani zechce – odparł.

Półtorej godziny później oddawał Frankowi na portierni swoją przepustkę, szczęśliwy, że nie natknął się na innych znajomych, co zmuszałoby go do kolejnych kłamstw na temat jego siniaków. Z drugiej strony Tony Kaye, Annie Inglis i paru innych pewnie i tak się o tym dowiedzą. Na Fettes zawsze tak było. Gdy szedł do samochodu, zadzwoniła jego stara komórka. To była Jude, chciała po prostu pogadać.

– Jak się czujesz, siostrzyczko? – spytał.

– Dobrze.

– Przyjaciele nadal ci pomagają?

– Tak, wszyscy są wspaniali.

– To dobra wiadomość.

– A co u taty? Byłeś u niego?

– Chyba u niego też mam krechę.

– Nie mówiłam, że masz u mnie krechę – skarciła go.

– Spróbuję go odwiedzić w czasie weekendu. Może zabierzemy tatę gdzieś za miasto. – Ulokował się za kierownicą. – Wiadomo, kiedy oddadzą ciało?

– Nic mi nie mówią. Może ty mógłbyś szepnąć gdzieś słówko.

– Czemu nie? Wszyscy w tym zespole śledczym kochają mnie do szaleństwa.

– Chyba kpisz, Malcolm?

– Chyba trochę. – Włączył silnik. – Na pewno dajesz sobie radę?

– Myślę, że lepiej niż ty.

– Może i masz rację. Zadzwoń jutro.

Wyłączył telefon i wrzucił pierwszy bieg. Właśnie puszczał sprzęgło, kiedy znów odezwał się dzwonek komórki, tym razem tej nowej. Ciężko westchnął, ale odebrał.

– Gdzie jesteś? – Głos w telefonie był zdyszany.

– To ty, Tony?

- Gdzie jesteś, do cholery?
- Na Lothian Road. – W rzeczywistości dopiero wyjeżdżał z zatoczki parkingowej.
- Łzesz jak pies, Lisku. Znam się na tym, okłamuję żonę już od pierwszego dnia po nocy poślubnej...
- O co ci chodzi?... – Fox omal nie upuścił telefonu, kiedy ktoś wbiegł przed maskę samochodu. Gwałtownie nacisnął hamulec. – Głupi skurwiel! – zaklął.

Tony Kaye wyprostował się i stał z rękami przyciśniętymi do piersi, z wywieszonym językiem, próbując złapać oddech. W prawej dłoni ścisnął komórkę. Fox wysiadł z samochodu, nie wyłączając silnika.

- Już dawno tak daleko nie biegałem – prychnął Kaye. – Chyba w wyścigach z jajkiem na łyżce... w ostatnim roku podstawówki.

Kaye usiłował splunąć, ale osiągnął tylko tyle, że długa nić śliny zwisała mu z ust. W końcu musiał ją wytrzeć chusteczką. Zaczerpnął kilka dalszych potężnych łyków powietrza.

- Zresztą szachrowałem, przyklejałem jajko do łyżki gumą do żucia...

- Już się dowiedziałeś?
- Takie rzeczy szybko się rozchodzą – zdołał wykrztusić Kaye. – No więc kto ci to zrobił i dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Najpierw wyjaśnij, skąd o tym wiesz.
- Natknąłem się w toalecie na tych chłopaków od Stoddart. Kaye zamilkł, a Fox dobrze wiedział, na co tamten czeka.

- Napadli na mnie – ustąpił.

- Kiedy?
- Poprzedniej nocy.
- Gdzie?

- Przed pewną sauną przy Cowgate. W śledztwie wykryto, że taksówka podrzuciła Vince'a Faulknera w tamte okolice. Odtwarzałem jego drogę.

Kaye studiował obrażenia Foxa.

- Ktokolwiek to był, obszedł się z tobą łagodnie. Fox skłonił głowę z uznaniem.
- Wzrusza mnie twoja troskliwość.
- Liczyłem na coś okropniejszego. – Kaye udawał rozczarowanie. – Wiesz... coś takiego, co mógłbym sfilmować i wysłać na YouTube...
- Dziękuję za szczerość, sierżancie Kaye. Stało się coś, o czym

powiniennem wiedzieć?

Kaye się zawahał.

– Zdaje się, że McEwan miałby dla nas jakąś robotę na północnym wschodzie.

– Wspominał mi o tym parę tygodni temu. Przekazali to do Glasgow, do policji Strathclyde, zgadza się?

Kaye się skrzywił.

– Skąd wiesz?

– McEwan mi powiedział... Szczerze mówiąc, szukałem też czegoś, co mogłoby wkurzyć Stoddart i jej chłopaków...

Fox przerwał. Kaye zauważył, że nad czymś się zastanawia.

– Co mianowicie? – spytał.

– Nic takiego – wycofał się Fox.

– Nie kręć.

– Dlaczego nie podoba ci się, że to poszło do Strathclyde?

– Bo to patałachy! Wszyscy to wiedzą. Niedawno sprawdzałem ranking: mamy dwa razy lepsze wyniki od nich.

Fox pokiwał głową.

– To prawda – powiedział.

Przez chwilę stali w milczeniu. Kaye oparł się o błotnik volva.

– To był tylko przypadek? – spytał.

– Ten napad? Na pewno nie chodziło o rabunek. Niczego nie zabrali.

– Może ktoś ich spłoszył?

Fox przygryzł dolną wargę. Przypomniał sobie Jacka Broughtona. Stary nie powiedział przecież, czy kogoś widział, czy nie.

– Pamiętasz ten wieczór w barze – zachichotał Kaye – kiedy jakiś dupek potraktował nas gazem pieprzowym?

– Udało ci się go złapać?

Twarz Kaye'a stężała.

– Gdybym go złapał...

– Wiem. To samo byś zrobił z Vince'em Faulknerem. Przyłożyłbyś mu, aż by się zesrał.

– Czy świat by na tym cokolwiek stracił?

Fox miał ochotę odpowiedzieć „tak”. Ale wtedy Kaye mógłby zapytać: „Co konkretnie?”, a na to Fox nie miałby odpowiedzi...

– Muszę już jechać – zmienił temat.

– O czymś jeszcze powiniennem wiedzieć?

Fox pokręcił przecząco głową, ale pomyślał przez chwilę i zadał pytanie:

- Powiedziałeś, że okłamałeś żonę nazajutrz po nocy poślubnej?
- Tak.
- A co to było za kłamstwo?
- Powiedziałem, że jest naprawdę świetna w łóżku...

• • •

W czasach dzieciństwa Malcolma Foxa nie było przedmieścia Gyle. Istniał oczywiście teren, ale nie było na nim budynków ani dróg. Pamiętał z tamtych lat wyprawę na lotnisko z kolegami, którzy lubili obserwować samoloty. Pojechali na rowerach drogą wzdłuż kanału przez Wester Hailes. To, co mijali dalej, a co przybrało później nazwę Gyle, nie zaznaczyło się w jego pamięci; zapewne były to jakieś ugory. Teraz wyrosło tu właściwie odrębne miasto z własną stacją kolejową, wielkimi biurkami i ogromnym centrum handlowym. Przedsiębiorstwo transportowe Erniego Wishawa znajdowało się w strefie przemysłowej, tuż obok firmy zajmującej się przewozem paczek. Ciągniki tirów stały w równym rzędzie na jasnoszarej betonowej płycie, dalej w takim samym porządku odłączone naczepy. Były tam też stosy palet i niewielka stacja paliw, a także przygotowane do wywózki worki ze śmieciami. Płotu otaczającego bazę – w odróżnieniu od innych w sąsiedztwie – nie oblepiały strzępy plastikowej folii, którymi mógłby targać wiatr. W dużym, dobrze wyposażonym garażu dwóch mechaników pracowało nad czymś, co – sądząc z odgłosów – było systemem hamulca pneumatycznego. Mieli włączone radio, a jeden z nich głośno wtórował radiowym grajkom.

Jamie Breck przyjechał pierwszy, czekał na Foxa przed bazą w swoim samochodzie. Wjechali oboma samochodami na teren bazy i zatrzymali się przed garażem. Na prawo od bramy znajdowały się drzwi z napisem BIURO. Spotkali się przed nimi, witając się skinieniem głowy.

– Jak chcesz to przeprowadzić? – spytał Breck, napinając mięśnie karku. – Może ja zagram złego gliniarza – zaproponował Fox – a ty... też złego gliniarza. – Uśmiechnął się. – Zobaczmy, co będzie miał do powiedzenia.

Nacisnął klamkę. Spodziewał się zobaczyć jakiś ciasny, mroczny pokój, ale pomieszczenie było długie, przestronne i jasno oświetlone. Siedziało tam sześć osób, każda przy swoim biurku i komputerze: cztery kobiety i dwóch mężczyzn. Szumiała duża kserokopiarka, laserowa drukarka wypluwała kolejne kartki, a któryś z faksów emitował charakterystyczny sygnał nadawania. Wejścia w bocznej

ścianie prowadziły do dwóch mniejszych biur. Jedno z nich było puste, w drugim siedziała kobieta, która na widok Foxa i Brecka zdjęła okulary. Wstała, wygładziła spódnicę i podeszła, by się przywitać.

– Jestem inspektor Fox – powiedział Fox i podał jej wizytówkę. – Czy mamy szansę porozmawiać z panem Wishawem?

Kobieta podniosła do oczu okulary zawieszona na łańcuszku na szyi, by móc przeczytać wizytówkę.

– O co chodzi?

– To sprawa, o której musimy porozmawiać z panem Wishawem.

– Jestem jego żoną. Cokolwiek to jest, na pewno będę mogła pomóc.

– Obawiam się, że nie – oświadczył Fox, rozglądając się po pokoju. – Mój kolega dzwonił piętnaście minut temu. Powiedziano mu, że pan Wishaw jest tutaj.

Kobieta spojrzała na Brecka.

– Czy to nie ten maserati przed drzwiami? – odezwał się Breck.

Pani Wishaw przenosiła wzrok z jednego detektywa na drugiego.

– Jest bardzo zajęty – odparła. – Chyba panowie wiedzą, że jest radnym, a jednocześnie prowadzi duże przedsiębiorstwo.

– Potrzebujemy tylko pięciu minut – powiedział Fox, podnosząc w górę dłoń z rozcapierzonymi palcami.

Pani Wishaw dopiero teraz zauważyła, że przy biurkach panuje kompletna cisza. Pracownicy trzymali słuchawki telefonów przy uszach, ale nic nie mówili. Ustał również ruch palców na klawiaturach.

– Jest obok.

– To znaczy w garażu?

Pani Wishaw przytaknęła. Kiedy wyszli z biura, Breck miał dla Foxa dodatkową informację.

– To jego druga żona, kiedyś była jego sekretarką...

– Rozumiem – powiedział Fox.

Dwaj mechanicy właśnie kończyli swoją robotę. Jeden był wysoki, smagły i młody. Zbierał do skrzynki narzędzia, których przed chwilą używali. Drugi był znacznie starszy: faliste siwe włosy rzedniały mu na skroniach. Miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu, a jego niebieski kombinezon roboczy mocno wybrzuszał się w pasie. Był zajęty wycieraniem oleju z rąk jeszcze bardziej zapapraną olejem szmatą.

– Panie Wishaw – powołał go Breck, który wreszcie go rozpoznał.

- Wyglądacie obaj jak gliniarze – stwierdził Wishaw.
- Bo jesteśmy gliniarzami – odparł Fox.

Wishaw spojrział na niego wilkiem spod ciemnych, gęstych brwi, potem zwrócił się do mechanika:

- Aly, idź, napij się kawy czy czegoś innego.

Trzej mężczyźni czekali, aż Aly wyjdzie. Wishaw wepchnął szmatę do kieszeni kombinezonu i podszedł do warsztatu. Leżała tam walizka na narzędzia w kształcie harmonii. Rozciągnął ją, odsłaniając zawartość.

- Znaleźliście tu coś nie w porządku?

– Nie, wszystko jest na swoim miejscu – stwierdził Fox po paru sekundach.

- No właśnie. A wiecie dlaczego?

– Bo jest pan pedantem? – zaryzykował Breck. Wishaw zmierzył go wzrokiem, po czym uznał, że właściwszym rozmówcą będzie Fox.

– W biznesie najważniejsze jest zaufanie. Jeżeli dzisiaj banki marnie stoją, to dlatego, że ludzie przestali im ufać. Jeśli ktoś chce ze mną pracować albo zaproponować jakiś kontrakt, zawsze najpierw zapraszam go tutaj. I każdy widzi od razu dwa w jednym: szefa, który nie boi się ciężkiej pracy, i szefa, który dba, żeby wszystko chodziło jak w zegarku.

- To dlatego ciężarówki stoją w równym rzędku?

– I dlatego też zawsze są dobrze umyte. To samo dotyczy moich kierowców...

– Osobiście rozdaje im pan mydło? – nie mógł się powstrzymać Breck. Wishaw jednak zignorował go.

– Kiedy mają się spóźnić z odbiorem albo dostarczeniem towaru, zawsze dzwonią i wyjaśniają dlaczego. A usprawiedliwienie musi być dwudziestoczyterokaratowe albo i lepsze, bo to do mnie dzwonią.

Wiecie, co następnie robię?

- Telefonuje pan do klienta i przeprosza – domyślił się Fox.

Wishaw potwierdził krótkim skinieniem głowy.

- Właśnie tak to załatwiamy.

- W radzie miasta chyba nie zawsze tak jest? – zagadnął Fox.

Wishaw odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

– Dobrze to wiem. Ciągle walczę z tą górą biurokracji... Siedzę tam godzinami i próbuję przekonywać, ale tylko doprowadza mnie to do szału.

- Jest pan w komisji mieszkaniowej, prawda? – spytał Fox.

Wishaw przez chwilę milczał.

- Tak, a o co chodzi? – spytał.
- Chcieliśmy pana spytać o niejakiego Charlesa Brogana.
- Charlie? – Wishaw pochylił głowę, potem wolno nią pokręcił. –

Paskudna historia.

- Dobrze go pan znał?
- Spotykałem się z nim parę razy, w sprawach miasta przeważnie. A poza tym zapraszali nas na te same przyjęcia i uroczystości.

- Czyli znał go pan raczej dobrze?
- Na tyle, żeby z nim rozmawiać.
- Kiedy ostatnio rozmawialiście?

Wishaw popatrzył w oczy Foxa.

- Na pewno macie billingi, sami możecie sprawdzić.

Fox przełknął ślinę i spróbował ironii.

- Wolałbym, żeby pan to powiedział, łaskawy panie.

Wishaw się namyślał.

- Parę dni przed jego śmiercią – powiedział w końcu. – Tylko pięć minut, mniej więcej.

– Chciałem spytać... Czy pańska firma wykonywała jakieś usługi dla CBBJ? – Fox obserwował reakcję Wishawa. – Nie byli panu winni jakichś pieniędzy?

– Na szczęście nie. – Wishaw wyciągnął brudną szmatę z kieszeni i jeszcze raz sumiennie wytarł palce, co jednak nie przyniosło żadnego skutku.

- Ale to była rozmowa o interesach? – nalegał spokojnie Fox.

– Chyba tak.

– Proponował panu następną łapówkę? – wtrącił się Breck. – Może prosił o coś w rewanżu...

– Co pan powiedział? – Twarz Wishawa zaczęła czerwienić w niewiarygodnym tempie. – Zechce pan to powtórzyć w obecności mojego adwokata?

– Mój kolega chciał tylko... – Fox uniósł dłonie w błagalnym geście.

– Gównu mnie obchodzi, co on chciał! – Twarz Wishawa przypominała już barwę gotowane buraki, a w kącikach ust pojawiły się białe plamy.

– Powie pan, jak to było z Broganem – odezwał się spokojnie Breck – a zapomnimy o tej łapówce, którą pan dał rodzinie kierowcy. Pamięta pan tę sprawę? Prochy w zbiorniku paliwa?

Fox odwrócił się od sapiącego bezradnie Wishawa i stanowczo odprowadził Brecka w kierunku bramy garażu. Kiedy byli już na

zewnątrz, Breck mrugnął nieznacznie:

– Co jest, chyba szło niezłe? – szepnął.

– Tak, ale trochę zmienimy plan – odpowiedział także szeptem Fox. – Ty grasz nadal to samo. Ale ja będę teraz tym dobrym gliniarzem...

Breck został przy bramie, a Fox szybko wrócił do Wishawa.

– Przepraszam. Wie pan, ci młodzi oficerowie nie mają jeszcze odpowiedniej... – Szukał w myślach słowa. – Oglądy.

Wishaw nadal nerwowo wycierał dłonie brudną ścierką.

– To oburzające – powiedział. – Takie oskarżenie... całkiem bezzasadne...

– No, może nie całkiem – rzekł Fox cicho. – Przecież dał pan rodzinie tego kierowcy pewną sumę, a to można różnie interpretować. Mój kolega myli się, prawda?

Milczenie Wishawa mogło być zgodą.

– Oburzające... – powtórzył, ale już o wiele słabiej niż poprzednio.

– Rozmawialiśmy o Charlesie Broganie – przypomniał mu Fox.

Wishaw westchnął głęboko.

– Coś jest w takich ludziach jak Charlie... W całym tym pokoleniu...

Przerwał, a Fox zdał sobie sprawę, że trzeba będzie jeszcze trochę wysiłku. Zaczął udawać, że ogląda garaż.

– Jest pan szczęśliwym człowiekiem, panie Wishaw. Tyle że obaj wiemy, iż tutaj szczęście nie ma nic do rzeczy. Ta flota ciężarówek, ten maserati... to nie kwestia szczęścia, to rezultat ciężkiej pracy.

– Tak – zgodził się Wishaw. To był temat, o którym lubił mówić. – Cholernie ciężkiej pracy. Powiedziałbym nawet, jak w wojsku, że musiałem ciężko smarować, ale mógłby to pan źle zrozumieć.

Fox postanowił nagrodzić ten kalambur głośnym chichotem.

– Wielu ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy – ciągnął Wishaw najwyraźniej wzmocniony na duchu słowami detektywa. – Zapieprzam jak głupi i tu, i w radzie, żeby coś osiągnąć. Ale dzisiaj ludzie woleliby siedzieć wygodnie i czekać, aż pieniądze same do nich przyjdą. Tacy to biznesmeni... – Podniósł do góry palec. – Liczą na łatwe pieniądze.

– Najlepiej z nieba – podpowiedział Fox.

– Tak jakby – zgodził się Wishaw. – Kupić kawałek gruntu, siedzieć beczynnie przez rok, a potem sprzedać z zyskiem. Czy to budynek, czy parę mieszkań. Albo włożyć forszę do banku i brać

dwucyfrowe odsetki bez zastanawiania się, skąd bank bierze na to fundusze. Pieniądze z nieba, tak to widzą. I o nic nie pytają, bo czar mógłby prysnąć.

- Pańska firma jednak przetrwała?
- Z trudem. I nadal ciężko nam idzie.
- Ale jakoś się przez to wszystko przebijacie?

Wishaw pokiwał gorliwie głową.

– Dlatego tak się wściekłem, kiedy ten... kiedy ten... – Pokazał palcem stojącego nadal za bramą Brecka.

– Nie chciał powiedzieć nic złego, proszę pana. Próbujemy tylko odtworzyć pełny obraz Charlesa Brogana. Chcemy zrozumieć, dlaczego to zrobił.

– Charlie... – Wishaw znów zrobił dłuższą przerwę, wpatrując się w pustkę, jakby próbował przypomnieć sobie człowieka, którego znał.

– Charlie był cholernie sympatyczny, prawdziwa dusza towarzystwa. Ale był też produktem swojej epoki. Najkrócej mówiąc: był pazerny. To była istota rzeczy. Uważał, że pieniądze należy zdobywać łatwo, i przez pierwsze parę lat to mu się nawet udawało. Ale takie sukcesy demoralizują, usypiają czujność, czynią człowieka łatwowiernym... – Przerwał na chwilę. – I ogłupiają. Przede wszystkim ogłupiają. Człowiek staje się głupcem, choć jeszcze umie zdobywać pieniądze.

Podniósł dłoń w geście zastrzeżenia.

– Nie twierdzę, że Charlie był najgorszy, nie mieścił się nawet w pierwszej pięćdziesiątce czy setce. On w końcu coś tworzył, budował te domy.

Fox natychmiast przypomniał sobie, że Brogan powiedział niemal to samo w którymś z wywiadów prasowych.

– Ale to właśnie staje się problemem, kiedy tych domów nikt nie chce kupować – podsunął.

Wishaw skrzywił usta.

– Raczej wtedy, kiedy inwestorzy chcą zbyt szybko odzyskać swoje pieniądze. Nawet puste domy mogą być dobrym interesem, jeśli poczekać dostatecznie długo. To samo dotyczy gruntów. Ale nie można na to liczyć, jeśli obiecało się inwestorom szybki zwrot.

Fox słuchał teraz Wishawa z najwyższą uwagą.

– Kim byli inwestorzy pana Brogana?

Wishaw potrzebował aż piętnastu sekund, aby odpowiedzieć, że nie wie.

– Ja tylko dziękuję Bogu, że nie jestem wśród tych, co czekają na

zyski z Salamander Point.

W jego głosie pojawił się ton beztroski, a to był dla Foxa sygnał: właśnie został okłamany.

– Ostatnim razem, kiedy rozmawialiście, to on dzwonił do pana czy pan do niego?

Wishaw zamrugał oczami, potem przyszpilił Foxa wzrokiem.

– Przecież macie to w billingach.

– Chcę tylko potwierdzenia.

Ale już coś się zmieniło w oczach Wishawa.

– Czy nie powinien być przy tej rozmowie mój adwokat?

– Nie sądzę, żeby to było potrzebne.

– A ja zaczynam się zastanawiać. Ten człowiek miał kłopoty finansowe, więc odebrał sobie życie. Ot i cała historia.

– Nie dla policji, panie Wishaw. Jeśli o nas chodzi, to kiedy ktoś nagle znika albo umiera... historia dopiero się zaczyna.

– Może i tak – zgodził się Wishaw. – Ale powiedziałem panu już wszystko, co wiem.

– Z wyjątkiem szczegółów tej ostatniej rozmowy telefonicznej.

Wishaw przymierzał się do odpowiedzi przez następne dziesięć, piętnaście sekund.

– To nie było nic ważnego... – Spojrzał na swój kombinezon. – Muszę się przebrać. Mam spotkanie w interesach po południu, kolejna kłótnia z tym przedsiębiorstwem od tramwajów.

Skinął nieznacznie głową i ruszył, omijając Foxa.

– Na pewno nie prowadził pan nigdy żadnych interesów z Broganem? – spytał Fox. – Nie było nawet próby takiej oferty?

– Nie.

– A czy nie prosił pana o pomoc w sprzedaży paru jego wieżowców miastu?

Wishaw spojrział na niego gniewnie, co wywołało jedynie drwiący uśmiech Foxa.

– Zna pan niejakiego Paula Meldruma, panie Wishaw?

Ta zmiana tematu najwyraźniej zaskoczyła Wishawa.

– Tak – przyznał.

– Pracuje w firmie Lovatt, Meikle, Meldrum – ciągnął Fox. – To firma PR, ale Meldrum jest tam ekspertem od lobbingu.

– Nie bardzo rozumiem, o co chodzi...

– Zastanawiam się tylko, czy to nie Charles Brogan pierwszy skontaktował pana z tą firmą.

– Mogło tak być – zgodził się Wishaw. – Czy to ważne?

– Niespecjalnie, proszę pana. Jeszcze raz dziękuję za poświęcony nam czas.

Fox zamilkł na chwilę, potem pochylił się do Wishawa.

– A następnym razem rzeczywiście może być potrzebna obecność pańskiego adwokata – rzucił półgłosem.

– Pomówienie może drogo kosztować... – Wishaw chciał dodać nazwisko rozmówcy, ale uświadomił sobie, że go nie zna. – Przepraszam, chyba się pan nie przedstawił...

– Zostawiłem wizytówkę pańskiej córce – odparł Fox.

– Mojej...? – Nagle Wishaw zrozumiał. – To moja żona.

– W takim razie to pan się powinien wstydzić, nie ja – rzekł Fox, uznawszy, że to całkiem dobry moment na skończenie rozmowy.

23

– Chyba coś ci powinienem powiedzieć – stwierdził Jamie Breck.

Zostawili samochód Foxa przed jego domem, teraz jechali w stronę północnej części miasta. Fox nawet w najlepszych warunkach był raczej nerwowym pasażerem, a ta RX8 zupełnie mu nie pasowała. Siedział zbyt nisko, a sportowy fotel krępował jego ruchy. Breck – dobre pięć centymetrów niższy i o połowę chudszy – mieścił się w takim fotelu wygodnie, Fox nie. To stanowczo nie był samochód dla ludzi jego formatu, a już nie dla tych z obitym kręgosłupem.

– Co? – spytał.

Jeszcze jedno: co chwila miał wrażenie, jakby mazda najeżdżała na krawężnik albo znowu kierowała się na przeciwny pas ruchu. Breck zawsze do ostatniej chwili zwlekał z korektą kierunku jazdy.

– To dotyczy Erniego Wishawa. Nie do końca przestałem się zajmować jego sprawą.

Fox miał teraz trudny wybór: albo pozwolić Breckowi mówić dalej, albo zażądać, żeby się natychmiast zamknął i skupił na prowadzeniu samochodu. Zwyciężyła ciekawość.

– Co masz na myśli?

– Szperałem dalej, oczywiście tylko w moim prywatnym czasie. I jestem na sto procent pewien, że on ma sporą działkę z przemytu. Jego ciężarówki jeżdżą po Europie według tygodniowego rozkładu. A to zawsze pokusa, żeby chapnąć dodatkowy zysk z jakiejś kontrabandy.

– Kontrabandy? Zwykle oznacza to alkohol i papierosy.

Breck potwierdził ruchem głowy. Nagle dała się odczuć silna wibracja: prawe opony mazdy toczyły się po linii „kocich oczek”, wystających z jezdni światełek rozdzielających przeciwne kierunki ruchu. Breck wrócił na swój pas i zaczął mówić.

– Oczywiście, alkohol i papierosy, ale także pornografia i wszystko, na czym można dobrze zarobić. Jak raz ci się udało i cię nie złapali, to możesz mieć ochotę na grę o wyższą stawkę. A może też się nawinąć ktoś, kto ci zaproponuje naprawdę duży biznes.

Fox się zamyślił.

– Bruce Wauchope siedzi za handel narkotykami...

– No właśnie.

– Myślisz, że jego syn...?

– Na razie nie mam dowodów.

– Ale gdyby rzeczywiście to robił, sądzisz, że zwróciłby się do Erniego Wishawa?

– Wishaw był już bliski życiowej wpadki. Jeden z jego chłopaków siedzi w więzieniu, a bardzo niewiele brakowało, żeby i on tam wylądował.

– Uważasz, że mógłby szmuglować prochy dla Byka Wauchope'a?

– Tak myślę. Wystarczyłoby, że go trochę postraszył.

Tak, pomyślał Fox, groźba, że coś się stanie z jego cenną żoną albo jeszcze cenniejszą flotą ciężarówek...

– Może znajdziemy odpowiedź w Dundee?

– Patrz, jaki szczęśliwy zbieg okoliczności, właśnie tam jechaliśmy.

Rzeczywiście tak było: minęli już Barnton i jechali przez wiejskie okolice porządną dwujezdniową szosą. Wkrótce zostawili też po prawej stronie Dalmeny i South Queensferry. Za chwilę powinni zobaczyć most Forth.

– Dlaczego dopiero teraz mi to mówisz? – spytał Fox.

– Kwestia zaufania, Malcolm. Zapomniałeś już, jak długo mi nie mówiłeś, że jestem podejrzany o pedofilię?

– To co innego, byłeś objęty śledztwem.

– A ty, mój drogi, byłeś podejrzany w sprawie o zabójstwo Vince'a Faulknera. Potrzebowałem trochę czasu, żeby stwierdzić, że Billy Giles się myli...

Teraz Fox potrzebował trochę czasu, żeby to przelknąć. W końcu spytał:

– No więc do czego doszedłeś w tym swoim prywatnym śledztwie w sprawie Erniego Wishawa?

– Rozmawiałem z żoną kierowcy i jej bratem. Sprawdziłem, czy nie ma śladu jakiegś nagłej większej gotówki: nowe kino domowe, samochód czy inne tego rodzaju rzeczy.

– I?

Breck wzruszył ramionami.

– Wybrałem się nawet do więzienia w Saughton „w odwiedzinę”.

– Rozmawiałeś z tym kierowcą?

- Nie puścił pary z gęby.
- Ale wiedział, kim jesteś?

Breck potwierdził skinieniem głowy.

– Czyli mogło to dotrzeć do Wishawa albo do innych zainteresowanych.

- Bardzo możliwe.

Fox się zamyślił.

– Czy kierowca Wishawa mógł pracować także dla Byka Wauchope'a? Wauchope senior siedzi za przemyt prochów łodziami. Może jego syn uznał, że tiry to lepsze rozwiązanie?

– Może – zgodził się Breck. – Pewnie słyszałeś o tym równie często jak ja: urzędnicy portowi czasami „smarują osie”.

- Biorą łapówkę i nie sprawdzają ładunku zbyt starannie?

Breck potwierdził skinieniem. Fox wyjął z kieszeni telefon i małą kartkę z zapisanym numerem siostry Maxa Dearborna.

- Do kogo dzwonisz? – spytał Breck.

- Do przyjaciela, jak sądzę.

Usłyszał sygnał połączenia, a po chwili kobiecy głos.

- Pani Linda Dearborn? – zapytał.

- Tak, słucham.

- Mówi Malcolm Fox. Jestem kolegą Maxa.

- Tak, wspominał o panu. Podobno jest pan zawieszony.

- Dziwne, chyba nie pisali o tym w gazetach.

- Już wiele razy, Malcolm.

Sprawiała wrażenie sympatycznej plotkarki. To była przypuszczalnie jej metoda: gadatliwość, poufałość, może nawet przyjazne uczucia... a potem sprzeda publicznie wszystko, co jej wyznałeś.

- Max mówił, że zajmuje się pani zniknięciem Charlesa Brogana.

– Niezupełnie – skorygowała. – Raczej jego metodami prowadzenia interesów.

- Zwłaszcza tym, czy próbował dać łapówkę radnemu?

- Tak.

– A w rezultacie Joanna Broughton napuściła na panią Gordona Lovatta.

- Hmm... To intrygująca para, Brogan i Broughton.

- Ma pani na myśli Joannę?

Milczała przez chwilę, potem powiedziała:

- Może pan do kompletu dodać ojczulka Jacka.

- Myśli pani, że to sam Brogan nasłał na nas tego pajaca?

– Sam albo za pośrednictwem teścia.
– A jak to możliwe?
– Malcolm – niemal wyśpiewała jego imię – to pan jest detektywem, nie ja. Moja robota to zbieranie odkurzaczem okruszków. Może mnie pan uważać za pomoc domową...
– Nie będzie to łatwe, Lindo, bo znam pani prawdziwą tożsamość.

– Czyli?
– Cwana dziennikarka śledcza. Właśnie dlatego jest mi pani teraz potrzebna.

– Zaintrygował mnie pan.
– Chcę wiedzieć, jak jest zorganizowana firma Brogana. Czy to rodzaj holdingu? Nie znam też zasięgu jego imperium. Ma oczywiście udziałowców, którym był winien pieniądze. Kto to jest, konkretnie?

– Trzeba by zacząć od rejestru spółek... Mam już sporo informacji, łącznie z nazwiskami jego księgowych. Mogłabym ich popytać, chociaż wątpię, czy cokolwiek powiedzą... dziennikarzowi, rzecz jasna. Bo policji będą musieli powiedzieć.

– Niestety, jak słusznie pani zauważyła, zostałem zawieszony w czynnościach.

– No to muszę zapytać: po co to wszystko?

– Choćby po to, żeby skończyć z tym zawieszeniem.

Wjeżdżali już na most. Był jak zawsze imponujący. Na prawo rysowała się skomplikowana kratownica Forth Rail Bridge. Zaczynało się mówić o budowie kolejnego mostu, który odciąży istniejący most drogowy. Ten stary wymagał zresztą remontu: niektóre liny zdradzały już oznaki zmęczenia materiału. Ale czy znajdą się na to pieniądze?

Linda Dearborn oświadczyła, że zobaczy, co da się zrobić.

– Mam jeszcze coś, co może być ciekawe dla nas obojga... – rzekł Fox.

– No, słucham.

– Proszę się przy okazji przyjrzeć, jak daleko sięgają macki firmy Lovatta.

Zakończył rozmowę. Breck znowu trochę podkręcił radio.

– Sądzisz, że możemy jej ufać?

– Aż taki głupi nie jestem.

– Dobrze, bo już myślałem...

Czterdzieści minut później znaleźli się na przedmieściach Dundee. Ta podróż była pomysłem Brecka. Nigdy przedtem nie był służbowo

w tym mieście, ale pewien gliniarz, z którym zaprzyjaźnił się w czasie szkoleń wstępnych, wylądował w wydziale kryminalnym policji Tayside. Teraz wystarczył jeden telefon, by przyjaciel Brecka zgodził się na spotkanie „w tajemnicy”.

– Ile rond może być w jednym mieście? – złościł się Breck, jadąc według drogowskazów wzdłuż wybrzeża.

Kolega powiedział mu, żeby zaparkował przy stacji kolejowej i przeszedł na drugą stronę ulicy na nabrzeże, przy którym zacumowany jest statek „Discovery”.

– Dlaczego postawili go właśnie tutaj? – spytał Fox.

– Chyba został zbudowany w Dundee.

– Shackleton popłynął na nim do Arktyki, prawda?

– Do Arktyki... na Antarktydę... kto to może pamiętać?

Na pewno nie pamiętał tego Mark Kelly. Miał stopień detektywa sierżanta, taki sam jak Breck. Czekał na niego przy metalowym ogrodzeniu przed statkiem. Kiedy dwaj przyjaciele wpadli sobie w ramiona i nawzajem oceniali przyrost wagi oraz ubytek włosów, Fox udawał wielkie zainteresowanie masztami i rejami. Kiedy w końcu Breck spytał o statek, okazało się, że Kelly nie ma pojęcia.

– Wchodzimy na pokład? – spytał Breck.

– Nie, Jamie, wybrałem to miejsce, bo łatwo je znaleźć. Chyba nie byłeś najlepszy w orientacji terenowej, a Dundee to poważny problem dla przybyszów. Chodźmy...

Poprowadził ich z powrotem przez ulicę, potem do następnego ronda. Weszli do kawiarni, której klienci wyglądali tak, jakby zabijali czas przed jakąś dalszą podróżą. Dostali kawę i dopiero wtedy zaczęli poważną rozmowę.

– Zajrzałem do teczki Byka. – Kelly starał się mówić jak najciszej.

– Nie wzięłeś jej z sobą – raczej stwierdził, niż spytał Breck.

– Nie mogłem tego zrobić, Jamie. To by uruchomiło alarm.

– No to miejmy nadzieję, że twoja pamięć jest teraz lepsza niż kiedyś.

Kelly przyjął to z uśmiechem.

– Byk nadal ma szczęście, kule odbijają się od niego... To oczywiście przenośnia.

– A ktoś próbował dosłownie?

– Podobno... Ale Byk chyba nauczył się paru rzeczy od ojca. Bardzo dbał o swoje zdrowie, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

– A teraz?

- Teraz raczej buduje mosty, niż je pali.
- Gadasz jakimś szyfrem – skarcił go Breck. – Nie możemy pójść w jakieś prywatne miejsce, żebyś mógł wywalić kawę na ławę?

Kelly pochylił się w ich stronę nad stolikiem.

- Byk jeździ dniami i nocami po całej Szkocji z zaufanym gorylem i spotyka się z innymi graczami: z takimi, którzy się liczą. Jednego dnia jest w Aberdeen, innego w Lanarkshire.

– Od dawna to trwa? – spytał Fox.

- Od kilku miesięcy... może trochę dłużej. Potrzebowaliśmy sporo czasu, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Myślisz, że zbiera materiały do przewodnika turystycznego? – zakpił Breck.

Tym razem Kelly spojrział na niego ze złością.

– Nadal nie wiemy, co on tam robi.

– Ale możecie próbować się domyślić – rzekł Fox.

Kelly wziął głęboki oddech.

- Być może jeździ jako negocjator w imieniu ojca. Albo chce zapobiec rozwojowi konkurencji w czasie, kiedy stary siedzi.

– Może też rozciągać swoją własną sieć – dodał Fox. – Swoje macki...

Kelly pokiwał głową.

– Tak, chociaż oficjalnie gra uczciwego biznesmena.

– Jasne.

– Tylko że uczciwy biznesmen nie potrzebuje takich mięśniaków jak Terry Vass.

– Jego goryl? – domyślił się Fox.

– Tak. Ma wpis w rejestrze karnym dłuższy niż *Wojna i pokój*...

– Przypuszczam, że to wszystko ma coś wspólnego z narkotykami – przerwał Breck.

– Jestem pewien.

– Ale dowodów nie masz?

Kelly wzruszył ramionami.

– Możecie mi powiedzieć coś więcej?... – Spoglądał niepewnie to na jednego, to na drugiego. – Prawdę mówiąc, Jamie, ten twój telefon był niejasny. Chyba powinienem wiedzieć, o co tu właściwie chodzi.

– To dość skomplikowane... – zaczął Breck, ale Fox przerwał mu.

– Może tu chodzić o morderstwo i o osobę zaginioną.

– Ta osoba zaginiona to Charlie Brogan – dodał Breck.

– Nie słyszałem o takim – powiedział Kelly, mieszając łyżeczką kawę.

- Deweloper z Edynburga... Nie oglądasz dzienników, Mark? Kelly znów wzruszył ramionami.
- Złe czasy dla deweloperów... U nas też niedawno jeden skończył z sobą, parę miesięcy temu. – Nagle przerwał. – Zaraz... chodzi o tego faceta z jachtu?
- Co pan powiedział? – spytał zaintrygowany Fox.
- Spytałem, czy chodzi o tego faceta, który zniknął z jachtu?
- Nie, wcześniej, mówił pan o śmierci tutejszego dewelopera. Kelly potwierdził skinieniem głowy. Nadal mieszał kawę, co doprowadzało Foxa do szału. Jeszcze chwila, a wyrwie mu łyżeczkę i rzuci na drugi koniec kawiarni.
- Nie pamiętam nazwiska – odezwał się wreszcie Kelly. – Ta firma burzyła właśnie stare wieżowce. Skoczył z ostatniego piętra. Kelly zauważył, że Breck i Fox wpatrują się w siebie nawzajem.
- Nie myślicie chyba, że to ma jakiś związek...? Dopiero teraz tamci dwaj odwrócili wzrok w jego stronę.

• • •

Zapał zmrok. Siedzieli w gabinecie Jamiego Brecka. Goniec z chińskiej restauracji przywiózł im coś do jedzenia, ale połowa tego stała już zimna na kuchennym blacie. Breck wziął sobie butelkę piwa z lodówki. Dla Foxa goniec kupił po drodze kilka puszek Irn-Bru. Breck przesunął nieco swoje krzesło, aby zrobić miejsce dla Foxa przed ekranem komputera.

– A my mówiliśmy, że Dundee to jakaś głucha prowincja – powiedział Fox.

Chwilę później Breck znalazł interesującą ich wiadomość. Była tam fotografia ofiary „tragicznego samobójstwa”. Przedstawiała uśmiechniętego mężczyznę, chyba w trakcie jakiegoś wesela: w klapie smokingowej marynarki tkwił wielki goździk. W tekście obok podano, że samobójca miał sześćdziesiąt lat, ale ten na zdjęciu wyglądał na trzydzieści pięć, czterdzieści.

Nazywał się Philip Norquay i przeżył w Dundee całe życie: lokalne liceum, lokalny uniwersytet, lokalny biznes. Do zawodu dewelopera trafił „niemal przypadkowo”: jego rodzice mieli mały sklep, nad którym mieszkali. Ich śmierć zbiegła się w czasie z wielkim ożywieniem w budownictwie, więc i on zaczął szukać dla siebie miejsca w tej branży. Okazało się, że w sąsiedztwie zaplanowano dużą inwestycję budowlaną.

Norquay zwlekał ze sprzedażą nieruchomości po rodzicach, aż

pojawił się przedstawiciel sieci supermarketów, który z przyjemnością zburzył dom i zbudował na działce nowy obiekt, płacąc za nią więcej, niż była warta.

Pozwoliło to Norquayowi zasmakować w tym biznesie. W wieku czterdziestu lat miał już sporo domów czynszowych i mógł się zabrać do naprawdę dużych przedsięwzięć deweloperskich. Stał się sławny dzięki próbie nabycia stadionów obu tutejszych klubów piłkarskich. Zamiast nich miał wybudować na przedmieściach Dundee nowy, wspólny stadion, jednak negocjacje w tej sprawie do niczego nie doprowadziły.

– Charlie Brogan w swoim czasie chciał się wkupić do Celtic Glasgow – przypomniał Fox.

– Zamierzał im wybrukować boisko?

Norquay dał się też poznać jako rzecznik rewitalizacji miasta, a kiedy rada miasta przyjęła propozycję nowych inwestycji na wybrzeżu, wszedł w to bez namysłu.

– Zupełnie jak Brogan – stwierdził Breck.

– Chcieli między innymi zlikwidować te ronda, przez które jechaliśmy – powiedział Fox, wskazując palcem punkty na ekranie.

– I wyprostować jezdnie. Bardzo słusznie – burknął Breck. – Ale czytaj dalej.

Dalsze akapity opisywały historię upadku Norquaya. W pewnym momencie przesadził z wydatkami, kupując najpaskudniejsze z nieruchomości miejskich – duże, złożone z wysokich punktowców blokowisko na peryferiach, zbudowane w latach sześćdziesiątych. Zamierzał zburzyć to wszystko i postawić na tym terenie coś całkiem nowego, ale już na starcie pojawiły się poważne trudności. Budynki były naszpikowane azbestem, a to bardzo poważnie zwiększyło koszty rozbiórki. Potem wykryto w okolicy stare sztolnie górnicze, co oznaczało, że na połowie nabytego terenu nie można budować, chyba że przedtem wyda się fortunę na umocnienie gruntu. Okazało się więc, że w porywie entuzjazmu Norquay zapłacił za teren znacznie powyżej jego wartości. Kiedy załamał się rynek, skończyło się też zaufanie sponsorów.

Samobójstwo Norquaya zaskoczyło jednak wszystkich, którzy go znali. Tego samego wieczoru był na jakimś oficjalnym przyjęciu, sprawiał wrażenie rozluźnionego i wesołego. Także wcześniej żona nie zauważyła żadnych oznak załamania czy depresji. „Filip miał naturę wojownika” – powiedziała pewnemu reporterowi.

– Nie przypomina ci to kogoś innego? – spytał Fox.

– Chyba przypomina – przyznał Breck. – Tyle że Norquay jest rzeczywiście martwy, a nie „nieobecny bez usprawiedliwienia”.

– Ale też nie zostawił żadnej notatki, nie odwiedził notariusza, by zaktualizować testament...

Breck przewinął stronę do końca i kliknął link do „podobnych historii”. Nic to nie dało. Wyszukiwarka podała liczbę trzynastu tysięcy stron związanych z tym tematem. Fox wstał i podszedł do okna. Mimo że prawie nic nie było widać, długo się rozglądał.

– Myślisz, że nas obserwują? – spytał Breck.

– Nie... niekoniecznie – mruknął Fox.

Pociągnął trochę napoju z puszki. Przeszedł go lekki dreszcz i nie wiedział, czy to od cukru i kofeiny zawartych w Irn-Bru, czy od wrażeń z podróży powrotnej z Dundee z Breckiem za kierownicą.

– Nie wierzysz, że to było samobójstwo? – spytał Breck.

– A ty wierzysz?

Breck zastanawiał się przez chwilę.

– Facet szastał forszą na prawo i lewo... prawdopodobnie stracił prawie wszystko... a tu jeszcze ten kompletnie nietrafiony zakup. No to włazi jak najwyżej i skacze.

– Ale wszyscy twierdzą, że nie był takim typem człowieka.

– Może nikt go naprawdę nie znał. – Breck wyprostował się, splatając dłonie za głową. – Zresztą jaka jest inna możliwość?

– Mógł go ktoś wypchnąć. – Fox przygryzł dolną wargę. – Był na przyjęciu... powiedział wszystkim, że wraca prosto do domu... zamiast tego wskazuje do bmw i jedzie do azbestowej dżungli, którą właśnie kupił. Potrafię sobie wyobrazić lepsze sposoby umierania, Jamie.

– Ja też – przyznał Breck. – Mógł być tam z kimś umówiony.

– Albo to, albo ktoś tam za nim pojechał. Możesz się połączyć ze swoim kumplem w Dundee?

– Z Markiem? – Breck sięgnął po wynajętą komórkę. – O co go zapytać?

– Pozwolisz, że to ja porozmawiam?

– Oczywiście.

Breck wystukał numer i wręczył aparat Foxowi. Ten przyłożył go do ucha.

– To ty, Jamie? – odezwał się Mark Kelly.

– Nie, Mark, mówi Malcolm Fox. Jamie jest obok mnie.

– Co pana tak zbulwersowało, Malcolm?

– Przeglądaliśmy właśnie w Internecie materiały na temat Philipa

Norquaya.

– Mam nadzieję, że płacą wam za nadgodziny.

– To nasze prywatne hobby, Mark. Mogłby pan nam pomóc w jednej sprawie...?

– Śmiało!

– Czy ktoś sprawdzał billingi telefoniczne Norquaya?

Kelly zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba nikt na to nie wpadł. Od razu uznano, że gość popełnił samobójstwo, nie było więc żadnego prawdziwego śledztwa. A do czego pan zmierza, Malcolm?

– Zastanawialiśmy się, dlaczego wybrał właśnie to blokowisko... Symbolicznie? Że niby to ta kropla, która przepełniła czarę?

– Myślę, że mógłbym o to spytać wdowę.

– Albo niech pan da jej namiary, to my porozmawiamy – zaproponował Fox. Przez chwilę w słuchawce panowało milczenie. – Mark, jest pan tam?

– Nie wierzycie, że sam skoczył – stwierdził Mark.

– Nie można tego oczywiście wykluczyć, ale w zestawieniu z tym, co wydarzyło się w Edynburgu...

– Czy te sprawy mają jakiś związek?

– Jeszcze raz: nie jestem pewien, czy mają...

– Ale mogą mieć – dokończył Kelly myśl Foxa. Westchnął głęboko. – Myśli pan, że mogliśmy coś przeoczyć?

– Nie mam zamiaru nikogo oceniać...

– Dobrze, niech pan posłucha: jeżeli zdobędę dla was te informacje, a wy coś wykryjecie...

– To pan się dowie pierwszy. To oczywiste, Mark. Kiedy się pan odezwie?

– Zależy od tego, jak bardzo wesoła jest ta wdówka. Na razie – powiedział Kelly i się rozłączył.

Fox oddał aparat Breckowi.

– On się obawia, że możemy ośmieszyć policję Tayside.

– Mogłoby się tak zdarzyć – przyznał Breck.

– Dlatego chce dostawać wszystkie wiadomości jako pierwszy.

– Na pewno nie zaszkodzi to jego karierze. Czy powiedział, jak długo musimy czekać?

– Nie.

– Więc co robimy teraz?

– Myślę, że wrócę do domu.

– Mogę cię podwieźć.

Fox pokręcił głową.

– Spacer dobrze mi zrobi. A ty pewnie będziesz chciał sobie pograć godzinkę albo dwie. – Pokazał ręką komputer.

– Ciekawe – powiedział Breck. – Jakoś mniej mnie to pociąga, odkąd takie interesujące rzeczy dzieją się w realu...

Piątek, 20 lutego 2009

24

O jedenastej rano Fox spotkał się z Lindą Dearborn. Nie była ani trochę podobna do swego brata. Drobna, tryskająca energią, a jej strój mógł oszołomić pastora. Miała na sobie plisowaną minispódniczkę, spod której wystawały gołe, mocno opalone nogi w jasnobrązowych kowbojskich butach. Pod zamszą kurtką miała bluzkę z rozpiętymi czterema górnymi guzikami, co odsłaniało równie jak nogi opalony dekolt. Tylko odrobina makijażu i sięgające ramion włosy koloru słomy.

To ona wybrała miejsce spotkania – herbaciarnię Tea Tree Tea przy Bread Street. Brodaty typ za bufetem cmoknął kilka razy z dezaprobatą, kiedy Fox zamówił kawę. Fox przyszedł tutaj dwadzieścia minut przed umówionym czasem, dzięki czemu mógł przejrzeć gazetę. Do swojego zamówienia dodał jeszcze rożek serowy i rozsiadł się wygodnie przy stoliku obok okna. Wpadające przez okno promienie słońca mocno grzały i dawały nadzieję, że wiosna już blisko. Linda Dearborn nie spóźniła się, przyszła nawet dziesięć minut wcześniej. Uśmiechnęła się do niego, jakby go rozpoznała.

– Linda? – spytał na wszelki wypadek.

– Przykro mi to mówić – roześmiała się – ale pan naprawdę wygląda na policjanta. Może to postawa, może to myszkujące spojrzenie... Zupełnie jak Max.

Położyła ciężką z wyglądu torbę na krześle obok Focha.

– Ja natomiast nie jestem pewien, czy pani wygląda na hienę prasową.

– Mam dziś dzień wolny.

– Odważnie się pani ubrała – powiedział. Nie zrozumiała, więc dodał: – Gołe nogi w zimie?

Spojrzała w dół.

– Nie po to zapłaciłam za tę opaleniznę, żeby ją teraz ukrywać. Niektórzy narzekają dzisiaj na niedostatek sztuki, a przecież moje nogi są dziełem sztuki, przyzna pan?

– Co zamówić dla pani? – spytał.

Ale ona odeszła w stronę bufetu. Właściciel już wcześniej ożywił się na jej widok i zaczął realizować zamówienie – herbata lapsang souchong z plasterkiem cytryny – zanim je usłyszał. Podczas ich rozmowy Fox udawał, że czyta gazetę. Linda oparła się łokciami o kontuar. Palcami zwijiała pasma włosów w loki. Postanowił nie zwracać uwagi na jej urodę. Była przecież siostrą Maxa Dearborna, a co gorsza – dziennikarką.

Właściciel powiedział, że przyniesie jej herbatę do stolika. Podziękowała, nieznacznie marszcząc nos, potem, choć było miejsce naprzeciw Foxa, usiadła na krześle obok niego, zdjawszy przedtem stamtąd swoją torbę. Założyła nogę na nogę, a on tymczasem udawał wielkie zainteresowanie malowidłami na ścianach.

– Fajne miejsce – powiedział.

– Mam tu blisko, mieszkam przy Gardner's Crescent.

Fox pokiwał głową ze zrozumieniem i skierował swoją uwagę na widok za oknem. Po drugiej stronie ulicy znajdował się salon fryzjerski, a obok niego weterynarz. Linda Dearborn schyliła się, żeby znaleźć coś w torbie; wyjęła notebook i położyła go na stoliku, potem spuściła wzrok na swoją rozpiętą bluzkę.

– Chyba rzeczywiście źle się ubrałam – powiedziała przepraszając.

– Ten trik zawsze działa? – spytał Fox, patrząc jej w oczy.

– Przeważnie – przyznała.

– No cóż, ja też to doceniam, może jednak moglibyśmy... – Dotknął palcami pokrywy notebooka.

Dearborn zrobiła obrażoną minę, ale otworzyła pokrywę i włączyła komputer. Odwrócił wzrok, kiedy wpisywała hasło.

Po dwudziestu sekundach i paru kliknięciach odwróciła notebook tak, aby i on mógł widzieć ekran.

– W rejestrze spółek wszystko jest w porządku – zaczęła. – Redakcja ekonomiczna mojej gazety nie przegryzła się jeszcze przez wszystkie księgi pozostawione przez pana Brogana. Ale już teraz wydaje się oczywiste, że początkowo CBBJ utrzymywała się na powierzchni dzięki dużym zastrzykom gotówki, które według naszej wiedzy nie zawsze były dostatecznie udokumentowane.

– To znaczy?

– Nie wiadomo, skąd się brały te pieniądze. Rzecz w tym, że jest tam mnóstwo innych udziałowców.

– Czy jest wśród nich firma o nazwie Wauchope Leisure?

Dearborn przewinęła listę na ekranie.

– Jest coś podobnego – powiedziała i ustawiła kursor na pozycji: *ScotFuture (Wauchope)*.

– Czy ta firma ma przypadkiem siedzibę w Dundee?

Dearborn tylko skinęła głową.

– Prosił pan, żebym zajrzała do bazy klientów agencji Lovatt, Meikle, Meldrum. Im też się zdarzyło pracować dla firmy Wauchope Leisure. O ile mogłam to ustalić, ich zadaniem było wprowadzenie jakiegoś pikantnego symbolu do serii reklam klubów nocnych w całym kraju. Tymczasem jednak szef Wauchope Leisure wylądował w więzieniu...

– Zabawne – mruknął Fox.

Widząc, że nie doczeka się od niego szerszego komentarza, dziennikarka znów skoncentrowała się na liście wyświetlonej na ekranie notebooka.

– Jest tu wiele małych spółek, które nie mają obowiązku dokumentowania wszystkiego. Kolegów z redakcji ekonomicznej zadziwia to, jak wielu przyjaciół miał Charles Brogan w całym kraju: w Inverness, Aberdeen, Glasgow, Kilmarnock, Motherwell, Paisley... i dalej: w Newcastle, Liverpoolu, Dublinie.

– Nie sadzę, żeby te przyjaźnie przetrwały kryzys finansowy – rzekł Fox.

– Myślę, że nie przetrwały. Na przykład wszyscy, którzy zainwestowali w Salamander Point... chyba nie mają już nadziei na odzyskanie więcej niż pięć centów z funta.

– Cholera!

– A nasze barbarzyńskie banki ujawniły jeszcze jeden hit: Brogan zaciągnął kredyty na ponad osiemnaście milionów łącznie i już od dawna zalegał ze spłatami.

– Mogą się tego domagać od wdowy?

– Nie mają szans. Taka jest uroda spółki z ograniczoną odpowiedzialnością.

– Czy nazwisko Joanny Broughton pojawia się w tych papierach? Czy nie była sekretarzem spółki albo kimś w tym rodzaju?

Dearborn pokręciła przecząco głową.

– Co więcej, nie miała ani jednego udziału.

– Ale to przecież jej inicjały są w nazwie?

– Dlatego postanowiłam kopać głębiej. Okazuje się, że kiedyś była jednym ze współników, ale jej mąż odkupił od niej udziały. Mniej więcej w tym samym czasie ona otworzyła kasyno.

- Czy do CBBJ należy choć cząstka Olivera?
- Nie sądzę. – Podparła brodę dłonią. – Wauchope Leisure też nie ma tam udziałów. Jaki z tego wniosek, Malcolm?
- Niech pani mi to powie.
- Myśli pan, że CBBJ korzystała z brudnych pieniędzy?
- Ma pani dar czytania w myślach.

Uśmiechnęła się.

– Tak uważa mój naczelny. Rzecz w tym, że nie mogę znaleźć dowodów w papierach...

– Może gdyby poszperała pani dłużej...

Popatrzyła na niego uważnie. Jej oczy były niemal fiołkowe. Pomyślała nawet, że to barwione szkła kontaktowe.

– Może... – skomentowała lakonicznie, by po chwili zmienić temat. – A przy okazji, jak pan się czuje w stanie zawieszenia?

– Nie skarżę się.

– Zabawne – powiedziała.

– Bo jestem z Wydziału Spraw Wewnętrznych? – domyślił się.

– Mhm – potwierdziła. – Chodzą słuchy, że wdepnął pan w sprawę śmierci pańskiego szwagra.

– On nie był moim szwagrem – odparł Fox. – I w ogóle nie o to chodzi.

– Och, nie o to chodzi! Ale mogłoby. – Wysunęła koniec języka spomiędzy warg.

– „Gliniarz w żalobie grzeszy nadgorliwością”, tak mogłaby to pani zatytułować.

– Teraz jednak cała ta nadgorliwość skupia się na sprawie Charlesa Brogana?

– Teraz pani wykazuje nadgorliwość. Myśli pani, że to coś da?

– Mój naczelny nazywa mnie „uparciuchem”.

– Na razie jednak nie potrafi pani dowieść związków między Broganem i Erniem Wishawem.

– Wiem, że wielokrotnie się spotykali.

– Ale nikt nie widział przekazywania pieniędzy? – domyślił się Fox.

Dearborn przekrzywiła głowę na bok.

– Dziwne, prawda? – spytała. – To, że zginął zaraz po śmierci pańskiego przyjaciela Vince'a. Potrzebowałam tylko kwadransa, żeby to wykryć: Vince pracował na Salamander Point.

Miała teraz minę uczennicy, która dostała najlepszy stopień za wypracowanie.

– Mam rację, prawda, Malcolm? – spytała, a ponieważ Fox nie odpowiedział, dodała jeszcze: – Widzi pan? Nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam.

– Nigdy tak nie myślałem.

– Dolać wrzątku? – huknął głos za ich plecami. Właściciel herbaciarni stał nad nimi z parującym dzbankiem.

• • •

Fox zostawił samochód na żółtej linii. Kiedy wyszedł z herbaciarni, koło auta kręcił się strażnik miejski, najwyraźniej zastanawiając się, czy uszanować zatkniętą za szybą tabliczkę POLICJA, czy też wlepić mandat. Fox spojrział na niego wilkiem, więc strażnik postanowił poszukać łatwiejszego łupu. Linda Dearborn nie przyjęła propozycji podwiezienia, powiedziała, że chętnie się przespaceruje. Wybierała się na George Street, żeby „pogłądać wystawy”. Fox był pewien, że Linda lubi takie spacery, świadoma, że z mijanych okien i przejeżdżających samochodów obserwują ją oczy wielu mężczyzn. Obrócił kluczyk w stacyjce i w tym momencie zadzwoniła nowa komórka. Numer na wyświetlaczu należał do Jamiego Brecka.

– Cześć – przywitał go Fox.

– Przed chwilą dzwonił do mnie Mark Kelly.

– Ma coś dla nas?

– Odwiedził wdowę po Norquayu. Wcale jej nie zdziwiły jego pytania.

– Pokazała mu billingi telefonu męża?

– Mark mówi, że cały dom wygląda jak świątynia. Oprawiła w ramki setki rodzinnych fotografii i rozstawiła je po całym mieszkaniu, zwłaszcza w salonie. Wpuściła Marka do gabinetu męża. Jego papiery pozostały w komplecie, poukładała je tematycznie: wyciągi bankowe, raporty operacyjne z kart kredytowych, rachunki, pokwitowania...

– A billingi telefoniczne? – przypomniał Fox.

– Tak. – Fox usłyszał szelest kartek papieru. – Na szczęście facet zamawiał szczegółowe wykazy, zarówno rozmowy przychodzące, jak i wychodzące. Pod koniec tego ostatniego przyjęcia, na którym był, dzwonił do niego z lokalnego numeru. To automat w barze U Lowthera. Mark mówi, że to dosyć podłe miejsce, ale w samym środku miasta.

– Rozumiem.

– Rozmowa trwała dwie minuty i czterdzieści sekund.

– Wiadomo, w jakim stanie ducha był po tej rozmowie?

- Markowi niestety nie przyszło do głowy o to zapytać.
- Ale przypomniałeś mu teraz?
- Tak, ma pogadać z przyjaciółmi Norquaya, którzy byli na przyjęciu.
- Chociaż nie sądzę, żeby dużo nam to dało.
- Ja też nie... – Breck przeciągnął ostatnie słowo, jakby jeszcze coś chciał powiedzieć.
- Mów śmiało – zachęcił go Fox.
- No więc Mark trochę wie o tej knajpie. Często, zwłaszcza w sobotę wieczorem, zdarzają się tam kłopoty. Ściśle biorąc, nie w samym barze, ale w promieniu stu metrów.
- Na ulicy?
- Jeśli dochodzi do bójki, to zawsze na ulicy.
- Dlaczego? – spytał Fox, choć domyślał się odpowiedzi.
- Nikt nie chce podpaść właścicielom baru.
- Wauchope Leisure Holdings?
- A jak – mruknął Jamie Breck.
- To nie wróży dobrze. Pewnie nikt z gości nie będzie chciał nam nic powiedzieć na temat tego telefonu.
- Pewnie nie – zgodził się Breck. – Ale na pewno Mark się tym zainteresuje.
- Musi uważać na siebie.
- Nie martw się o niego, da sobie radę. A jak się udało twoje spotkanie z Lindą Dearborn? Pytała o mnie?
- Nie, twoje nazwisko w ogóle nie padło.
- Pewnie jest wystrzałowa, co?
- Tak, ale jest też dobra w swoim fachu. Wykryła powiązania między firmami Wauchope'a i Brogana. Myślisz, że w sprawie Norquaya też dojdziemy do Wauchope'a?
- Możemy spróbować... albo raczej Mark może, to działka policji Tayside.
- Dalej: spółka Wauchope'a też korzysta z usług firmy PR...
- Pozwól, że zgadnę: LMM?
- Robili dla niego kampanię reklamową klubów nocnych.
- Pamiętam: reklamy na bokach autobusów. Może powinniśmy pogadać z nimi o tym. Ich centrala jest tuż obok parlamentu.
- Może później – zasugerował Fox. – Połącz się jeszcze raz z twoim kolegą w Tayside. Niech się przyjrzy innym kontaktom Wauchope'a z naszym deweloperem z Dundee.
- Dobra, zajmie się tym. Co dalej w twoim programie, Malcolm?

– Rodzina – odparł Fox i włączył kierunkowskaz.

• • •

Jude otworzyła drzwi, a zobaczywszy, że to on, odwróciła się na pięcie i poszła do salonu; wszedł tam za nią. Jej włosy i ubranie wyglądały niechlujnie, policzki były zapadnięte. Tłący się papieros czekał na nią na krawędzi popielniczki ustawionej na oparciu fotela.

– Myślałam, że nie przyjedziesz przed weekendem – powiedziała. – To nie jest dla mnie dobry dzień na wizytę u taty.

Fox zauważył dwie puste butelki po winie na bufecie śniadaniowym i resztki taniej wódki na kuchennym stole. Jude usiadła i udawała, że patrzy w telewizję, ale jej powieki opadały.

– Dobrze się czujesz, siostrzyczko? – spytał.

– Dlaczego miałabym się źle czuć? – Spojrzała na niego i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. – Co ci się stało?

Fox dotknął twarzy palcami.

– Spadłem ze schodów.

Popatrzyła na niego gniewnie, potem odwróciła twarz w stronę telewizora, wzięła papierosa i zaciągnęła się. Fox wszedł do kuchni i napelnił wodą czajnik. Nie mógł nigdzie znaleźć kawy ani herbaty, nie było też mleka w lodówce. Było tam za to dużo żywności, wyglądało na to, że prawie nic nie zjadła z ostatnich zakupów.

– Twoja przyjaciółka Sandra nie przychodzi?! – zawołał.

– Nie było jej od paru dni. Tylko dzwoni od czasu do czasu, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– A sąsiadka, pani Pettifer?

– Pojechała odwiedzić brata w Hull. Miał udar czy coś w tym rodzaju.

– Czyli musiałaś radzić sobie sama?

– Nie jestem kaleką.

– Ale nie za bardzo o siebie dbasz.

– Odpieprz się, Malcolm. – Przerzuciła nogi przez oparcie fotela, omal nie strącając popielniczki na podłogę.

Fox dał jej parę chwil na uspokojenie.

– Gdy tu byłem parę dni temu, wyglądało, że wychodzisz na prostą... – Otworzył szafkę i wreszcie znalazł nowy słoik kawy rozpuszczalnej. Opłukał dwa kubki, dla Jude wsypał dwie czubate łyżeczki.

– Zadowolisz się czarną? – spytał. Nie odpowiedziała. – Jak stoisz z pieniędzmi?

- Jest jeszcze trochę na koncie.
- Ale pewnie niewiele...
- Kiedy będę już musiała zebrać, to cię zawiadomię.

Na bufecie śniadaniowym leżało sporo listów. W jednym z nich przeczytał, że zmniejszono ratę kredytu hipotecznego w związku z ogólną obniżką stóp oprocentowania.

- Czy Vince miał ubezpieczenie na życie?
- Tak.
- Zrobiłaś coś w tej sprawie?

– Sandra zrobiła... zadzwoniła do nich, potem dała mi wniosek do podpisania.

- No, to już coś.

Fox przrzucił resztę poczty, niektóre listy nie były jeszcze otwarte. Jeden, zaadresowany do Pana V. Faulknera, zawierał miesięczny rachunek za telefon komórkowy w sieci 02. Fox otworzył go szybko, sprawdzivszy przedtem, czy siostra nie patrzy w jego stronę. Skrzywił się, kiedy stwierdził, że rachunek nie zawiera wykazu rozmów. Intrygująca była jednak jego wysokość: sto dwadzieścia funtów.

Zagotowała się woda w czajniku. Fox napełnił kubek Jude i zaniósł go siostrze. Zgasila papierosa i wzięła od niego kawę.

– Mogłabyś pić trochę mleka – powiedział. – Za to mniej alkoholu.

- Nie jesteś moim ojcem.
- Ale następnym, kto chce twojego dobra.

Sięgnął do kieszeni marynarki po portfel. Kiedy to zobaczyła, wyfrunęła z fotela, wpadła do kuchni, wyciągnęła szufladę i wróciła do salonu, wymachując plikiem banknotów. Wyrzuciła je w powietrze przed oczami brata.

– Widzisz? – powiedziała. – Wcale nie potrzebuję twojej cholerne jalużny!

Fox patrzył na pieniądze rozrzucone na dywanie. Jude wróciła na swój fotel i wlepiła wzrok w telewizor, czuła jednak, że brat czeka na wyjaśnienia.

- Znalazłam je. Razem około dwóch tysięcy.
- Znalazłaś? Gdzie?
- Ukryte w pokoju Vince'a na górze. Na szczęście trafiłam na nie, zanim twoi kolesie przewrócili ten pokój do góry nogami. Na szczęście, bo pewnie by zwinęli.
- Skąd te pieniądze?

Jude wzruszyła ramionami.

– Może wygrał w kasynie – powiedziała. – Może tam właśnie bywał przez te wszystkie wieczory, kiedy znikał z domu.

– Na pewno był tam w tamtą sobotę – powiedział Fox cicho. Przykucnął i zaczął zbierać banknoty. – Kiedy wyszedł, wziął tak-sówkę i pojechał na Cowgate...

Nie słuchała go.

– Ten sukinsyn ukrył je przede mną, Malcolm. Schował te pieniądze w swojej parszywej norze z pornosami. Nie chciałam, żeby ludzie wiedzieli, że on jest taki... Dlatego nic nikomu nie powiedziałam. – Znowu popatrzyła na brata. – Co się stało z twoją twarzą?

– Wdałem się w bójkę.

Położył pieniądze na stoliku kawowym.

– Wygrałeś?

– Na razie nie.

To wywołało blady, ale wyczuwalny uśmiech na twarzy Jude. Podniosła kubek do ust i dmuchnęła na powierzchnię płynu.

– Nie jest chyba za gorąca – powiedział Fox. – Dolałem nieco zimnej wody z kranu.

Wypiła trochę i się skrzywiła.

– Za mocna? – domyślił się.

Kiwnęła głową, ale wypila następny łyk.

– Jest w szafce jakaś zupa w proszku... – zaczął.

– Zrobię ją – przerwała, ale on wszedł już do kuchni i sięgnął po garnek. Płyta kuchenna była zupełnie czysta – jeszcze jeden dowód, że od paru dni nikt tu niczego nie gotował. Nie było też talerzy w zlewie, tylko kubki i kieliszki. Fox wsypał supę do garnka i dopiero teraz spojrzał na torebkę: to był krem z kurczaków, taki sam, jakim karmiła ich matka, kiedy byli chorzy.

– Jude! – zawołał. – Policja oddała ci rzeczy osobiste Vince'a, prawda?

– Tak.

– Mógłbym je obejrzeć?

– Duża koperta w szufladzie. – Pokazała ręką regał w salonie. W górnej jego części były otwarte półki, w dolnej szuflady i szafki. Już w pierwszej szufladzie znalazł dużą wyściełaną kopertę. Pod nią leżało kilka świeżych arkuszy kolorowego papieru do pakowania prezentów świątecznych. Fox sięgnął do koperty; interesowała go tylko jedna rzecz: komórka. Była pokryta proszkiem utrwalającym odciski palców, a na krawędziach silnie pobrudzona. Musiała w którymś

momencie leżeć na ziemi. Fox próbował ją uruchomić, ale bez skutku.

- Masz ładowarkę? – spytał siostrę.
- Jest na górze, na podeście.

Zamieszał zupę, potem przyniósł ładowarkę i włączył ją do gniazdka przy czajniku. Kiedy podłączył kabelek do komórki, jej ekranik zaczął pulsować słabym zielonym światłem. Fox zostawił na chwilę telefon, wlał zupę do czarki i znalazł jakąś czystą łyżkę. W leżącej na blacie torbie był chleb, ale zaczynał już pleśnieć. Fox odkroił nadpleśniałe części, a to, co zostało, zatknął na krawędzi czarki.

– Musisz usiąść przy stoliku, żeby to zjeść – powiedział i przesunął stolik kawowy bliżej jej fotela.

- Naprawdę nie jestem głodna – broniła się.
- Mimo to zjesz.
- A jak nie, to co?

– To zostaniesz ukarana, młoda damo! – odparł, nieźle naśladując ich ojca. Jude uśmiechnęła się i posłusznie wzięła do ręki łyżkę.

- Co takiego ważnego chcesz znaleźć w telefonie Vince'a?
- Ciekaw jestem, czy jest jeszcze ktoś, z kim nie rozmawialiśmy.
- My?... Giles i jego banda... wszystko to już sprawdzali.
- Może ja umiem sprawdzić lepiej niż oni.

Wzięła do ust pierwszą łyżkę zupy, potem przez chwilę delektowała się jej smakiem.

- Wiesz, co mi to przypomina? – spytała.

Skinął głową.

- Dokładnie to samo pomyślałem.

Wrócił do kuchni i włączył telefon.

- Jego hasło to cztery zera! – zawołała Jude.

To mogło oznaczać, że Vince był zbyt leniwy, by zmienić fabryczne ustawienie hasła. Albo że niewiele miał do ukrycia przed Jude. Fox wystukał cztery zera. Na wyświetlaczu pojawiła się fotografia z 1966 roku: Bobby Moore unoszący w górę puchar mistrzów świata. Fox potrzebował trochę czasu, żeby się zorientować, jak działa aparat Vince'a, w końcu jednak odnalazł listę połączeń. Było na niej prawie dwieście pozycji. Założył, że zespół Gilesa zbadał tylko połączenia z ostatnich dni, i postanowił przeszukać starsze. Wyjął z kieszeni notes i zaczął zapisywać powtarzające się numery wraz z datą, godziną i czasem trwania rozmowy. Niektórym towarzyszył opis: Jude, Ronnie, mechanik, Marooned, Oliver, ale przy większości opisu nie było.

- Jak tam zupa? – spytał.

– Zjadłam wszystko, jestem grzeczną dziewczynką. – Jude wstała z fotela, zniosła pustą czarkę do kuchni i wstawiła ją do zlewu. Potem pochylała się nad nim i pocałowała go w policzek.

– Za co to? – spytał.

– Tak mi się jakoś podobało.

Popatrzyła na numery w jego notesie.

– Znasz któryś z nich? – spytał.

– Nie, na pewno nie. Myślisz, może tu być ktoś, kto... – prze-rwała, nie mając odwagi dokończyć zdania. Odkaszlnęła i inaczej sformułowała pytanie. – Myślisz, że to był ktoś, kogo on znał?

Fox wzruszył ramionami. Niektóre numery pojawiły się tylko raz. Wybrał jeden na chybił trafił i połączył się z nim z własnego nowego telefonu. Odezwała się jakaś kobieta:

– Wedgwood – powiedziała śpiewnie.

– Przepraszam...

– Restauracja Wedgwood.

Fox rozłączył się i popatrzył na Jude.

– Wedgwood? Mówi ci to coś?

Przytaknęła.

– Byliśmy tam na kolacji w grudniu. – Uśmiechnęła się, widać miłe było to wspomnienie.

– Tylko was dwoje, czy z Hendrym i jego żoną?

– Tylko nas dwoje. Zdarzało nam się życie towarzyskie bez Sandry i Ronniego.

Fox skwitował to mruknięciem.

Jeden numer w telefonie Vince'a powtórzył się od października do stycznia aż jedenaście razy. Fox spytał Jude, czy nie zna tego numeru, ale zaprzeczyła, więc zadzwonił.

– Halo? – Głos był cichy i niepewny. Należał również do kobiety, ale tym razem wydawał się Foxowi znajomy.

– Pani Broughton? – spytał. Nie było odpowiedzi. – Tu inspektor Fox. Pamięta pani, odwoziłem panią z komisariatu policji w Leith...

Minęła jeszcze dłuższa chwila, zanim się odezwała.

– Gordon Lovatt nie był tym zachwycony, inspektorze. Czy kalendarz Charliego dotarł tam, gdzie trzeba?

– Tak.

– A zjrzał pan przedtem do środka?

Fox wziął głęboki oddech.

– Pani Broughton, dzwonię do pani z telefonu Vince'a Faulknera.

– Tak?

- Pamięta pani to nazwisko?
- Wymieniał je pan. A potem był pan w moim kasynie, żeby przejrzeć zapisy z kamer.
- Zgoda, to wszystko po tamtej sobocie. Teraz jednak chciałbym zapytać, dlaczego Faulkner miał pani numer i dlaczego od października do stycznia rozmawialiście z sobą jedenaście razy?

Cisza po tamtej stronie trwała prawie dwadzieścia sekund. Fox spojrzał na Jude, by sprawdzić jej reakcję. Ona jednak położyła dłoń na jego ramieniu, jakby chcąc go uspokoić.

- Pani Broughton? – Przypomniął o swoim istnieniu Fox.
- To nie jest mój telefon – oświadczyła. – To telefon Charliego. Musieli pewnie rozmawiać o sprawach zawodowych.

Fox spojrzał wymownie na siostrę.

- Pan Faulkner nie był nikim ważnym w firmie.
 - Nie znajduję innego wytłumaczenia – powiedziała Broughton.
- Fox namyślał się przez chwilę.
- Trzyma pani włączony telefon męża...? – Znów musiał długo czekać na odpowiedź.

– Tak, na wypadek gdyby ktoś jeszcze dzwonił. Charlie miał wiele kontaktów handlowych. Możliwe, że ktoś z tych ludzi nie wie, co się wydarzyło.

- To wydaje się przekonujące.
- Wydaje się?
- Ale jest coś innego, co nie bardzo pasuje – ciągnął swoją myśl Fox.

– Co mianowicie?

– Dlaczego tego telefonu nie było na jachcie?

– Był na jachcie – warknęła. – Zwrócono mi go po paru dniach. Zdaje pan sobie sprawę, inspektorze, że powtórzę całą tę rozmowę Gordonowi Lovattowi? A on będzie musiał to zinterpretować jako dalsze molestowanie.

– Proszę mu powiedzieć, że może to interpretować, jak mu się podoba. Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać, pani Broughton.

Fox zakończył rozmowę i położył telefon na blacie.

- A więc tak wygląda twoja praca? – odezwała się Jude. Fox wzruszył tylko ramionami. – Ta Broughton to Joanna Broughton? Właścicielka Olivera?
- Tak. Jej mąż chyba dość dobrze znał Vince'a.
- Kiedyś przysłał nam szampana do stołu...

– Rzeczywiście. Widziałaś, by kiedykolwiek rozmawiał z Vince'em?

Jude przytaknęła.

– Rozmawiali tamtego wieczoru w kasynie. Wydaje mi się, że wcześniej też się coś takiego zdarzyło... – Popatrzyła na brata. – A jak ty myślisz, Malcolm, skąd się wzięły te pieniądze? Czy Vince był w coś zamieszany?

Fox uściśnął lekko zdrowe ramię Jude i uśmiechnął się, ale nie odpowiedział na pytanie. Ona zwlekała jeszcze chwilę, potem wróciła do salonu i do swojej telewizji. Fox myślał wciąż o spotkaniu z Joanną Broughton: o penthousie i jego pustych białych ścianach... o spotkaniu przy windzie z Jackiem Broughtonem i Gordonem Lovattem... o lekturze kalendarza Charliego Brogana w samochodzie...

A zajrzał pan przedtem do środka?

Może nie dość starannie. W gruncie rzeczy zapamiętał tylko, że Brogan notował w swoim kalendarzu terminy ulubionych programów TV. Jude oglądała teraz w telewizji coś o ogrzewaniu domów... W telewizji... w skrócie: TV... TV.

– O Chryste! – powiedział nagle. Jude obróciła się w jego stronę.

– Coś ci się stało? – spytała.

Położył dłoń na głowie. Ledwo utrzymywał się na nogach, chwycił się więc blatu drugą ręką.

– Ciężki dureń! – mruknął.

– O co chodzi, Malcolm?

– Jestem durniem, Jude. Tyle i tylko tyle mogę ci powiedzieć.

– Takim samym jak Giles i jego ludzie?

Fox pokręcił gwałtownie głową i natychmiast tego pożałował. Ściany zawirowały, musiał się jeszcze mocniej przytrzymać, by nie upaść.

– Wyglądasz okropnie – powiedziała Jude. – Mogę ci jakoś pomóc? Jadłeś coś ostatnio?

Ale Fox odzyskał już równowagę i ruszył do wyjścia.

– Zadzwoń do ciebie – powiedział. – Teraz muszę już iść.

– Czy to ma coś wspólnego z Vince'em? Powiedz mi, Malcolm.

– Możliwe. – Tylko tyle był w stanie powiedzieć.

25

– Wyluzuj – powiedział Jamie Breck. Był ubrany jak do joggingu, a włosy miał jeszcze mokre po prysznicu. – Wyglądasz, jakbyś przegryzł kabel elektryczny pod napięciem.

Weszli do salonu Brecka. Z systemu hi-fi sączyła się subtelna muzyka. Breck usiadł, wziął do ręki pilota i niemal całkiem ją ściszył. Malcolm Fox ciągle chodził w tę i z powrotem.

– Jak możesz być taki spokojny? – spytał z wyrzutem.

– A co niby miałbym robić?

– Przecież ktoś próbuje zrobić cię w pedofilię.

– Tak, ale jeśli złożę skargę, wszyscy się dowiedzą, że ty mi to powiedziałeś.

– Mimo to powinienesz złożyć skargę.

Breck pokręcił stanowczo głową.

– Dowiedzmy się najpierw, dlaczego tak się dzieje, a wtedy wszystko wróci na swoje miejsce.

Fox się zatrzymał.

– Domyślasz się już czegoś?

Breck skrzyżował ręce.

– To dotyczy nas obu. Wkręcili nas razem, bo wiedzieli, że... nawzajem sobie zaufamy. Ty się zorientujesz, że mnie wrabiają, i być może mi powiesz. Ja z kolei wtajemniczę cię w sprawę Faulknera. Gdyby to się udało – a udało się – to mają haki na nas obu.

– A więc to ktoś z policji, tak? – Fox znowu zaczął wędrować w tę i z powrotem.

– Co ci chodzi po głowie, Malcolm?

– Vince i Brogan często dzwoniли do siebie nawzajem, czyli nie była to tylko relacja szef – pracownik. Tego dnia, kiedy podwoziłem Joannę Broughton do domu, dała mi kalendarz Brogana, żebym dostarczył go na Leith. Zanotował w nim całą masę programów do obejrzenia: „TV – 7.45... TV – 10.00...” i tak dalej.

Fox znowu się zatrzymał i popatrzył na Brecka.

– Pamiętasz, co powiedział Mark Kelly? O tym przybocznym Byka Wauchope'a?

– Terry Vass... – odparł Brek cicho, kiwając głową w zamyśleniu.
– Inicjały TV.

– A więc to nie były programy telewizyjne. Brogan musiał się spotykać z Vassem. A teraz pytanie: po co? Po co Wauchope posyłał swojego goryla do Edynburga?

– Brogan był mu winien pieniądze.

– Brogan był mu winien pieniądze – powtórzył jak echo Fox. – A teraz jeszcze jedno: Joanna Broughton trzyma przy sobie telefon męża. Zadzwoń mi pod ten numer i już po paru sekundach odebrała.

– No i?

– Odpowiedziała, że mogą jeszcze dzwonić różni ludzie, którzy nie wiedzą, co się stało.

– Brzmi to przekonująco. – Brek wzruszył ramionami.

Fox przygryzł dolną wargę, potem wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do Maxa Dearborna.

– Max, tu Malcolm Fox.

– Linda mi mówiła, że z nią rozmawiałeś.

– Tak, dziś rano. Chciałbym jej pomóc, jeśli tylko będę mógł, ale, posłuchaj... na razie mam szybkie pytanie: czy znaleźliście komórkę Brogana na jachcie?

– Tak, zbadaliśmy ją, potem oddaliśmy żonie.

Na twarzy Foxa odmalowało się rozczarowanie. Zasłonił dłonią mikrofon.

– Komórka była na jachcie – powiedział do Brecka.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć? – spytał Dearborn.

– To chyba nic ważnego, Max. Na pewno nic ważnego – powiedział Fox, ale zauważył, że Brek pstryka palcami, by zwrócić na siebie uwagę.

– Zaczekaj chwilę – rzucił do Dearborna i ponownie zakrył dłonią mikrofon.

– Myślisz, że ktoś taki jak Brogan miał tylko jedną komórkę? – spytał Brek cicho, niemal szeptem.

Fox potrzebował tylko chwili, by przetrwać tę sugestię. Ponownie odezwał się do Dearborna:

– Max... znasz może numer tego telefonu?

– Musisz chwilę poczekać.

Dearborn był zapewne w pokoju analiz. Dał się słyszeć szmer, kiedy zatykał słuchawkę między ramieniem i brodą, potem stukot

klawiatury.

- A poza tym jak się sprawa rozwija? – zapytał Fox.
- Nadal nie ma śladu tego faceta, żywego czy martwego.
- Obserwujecie wdowę?
- Myślimy o tym.
- Ona się zorientuje.
- Może... Okay, mam. – Dearborn odczytał numer.
- Dziękuję, Max.

Fox zakończył rozmowę i spojrzał na Brecka.

- Strzał w dziesiątkę – powiedział.
- To nie ten numer? – domyślił się Breck.
- Nie ten.

– A więc telefon, który ona trzyma przy sobie, nie jest tym z jachtu?

- Nie.
- Ale powiedziała ci, że to ten sam?
- Tak powiedziała.
- Może o takiej sprawie warto porozmawiać z nią osobiście?
- Nie wiem, czy to się uda – mruknął Fox.

Nagle Breck gwałtownie się wyprostował.

- Która godzina? – spytał.
- Właśnie minęła pierwsza.

Breck zaklął pod nosem.

- Wezwali mnie na Fettes na wpół do drugiej.
- Trudno będzie zdążyć, chyba że nie będziesz się przebierał.

Breck wstał i przyjrzał się sobie.

- Dobry pomysł – stwierdził.
- Ja mam jeszcze lepszy: pojedę z tobą.

Breck spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Po co?
- Bo może trafi się przy okazji jeszcze ktoś, komu moglibyśmy zaufać.

Breck zmrużył oczy.

- Stoddart?

Malcolm Fox wsunął ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

- Przecież ona jest kontrolerem – zaprotestował Breck.
- Ja też, zapomniałeś? Spróbujmy zaważczyć na tym polu. Jeśli nie jesteś przekonany, mogę nie wysiadać z samochodu.

Nie wysiadł z samochodu. To było jego auto, siedział więc za kierownicą i patrzył, jak Breck idzie w stronę budynku komendy policji. Potem włączył radio i bębniąc palcami po kierownicy w rytm muzyki, wpatrywał się tępo w przestrzeń za szybą. Po pięciu minutach usłyszał jakiś hałas i odwrócił głowę. To wracał Breck, ale nie sam. Inspektor Caroline Stoddart nie wyglądała na zachwyconą. Jej dwaj przybocznicy, Wilson i Mason, obserwowali ją sprzed drzwi komendy. Fox wysiadł z samochodu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Breck wysunął się naprzód i otworzył przed Stoddart przednie drzwi. Ona wbiła wzrok w Foxa.

– Mieliście zaprzestać wzajemnych kontaktów.

– Nie jesteśmy zbyt grzeczni – przyznał Breck.

Stoddart stała przez chwilę w miejscu, potem zanurkowała do wnętrza samochodu. Breck puścił oko do Foxa i usadowił się na tylnym siedzeniu. Fox stał jeszcze przez moment obok auta, obserwując Wilsona i Masona. Obaj odwrócili się i zniknęli we wnętrzu budynku.

– Skończmy już może z tą pantomimą – powiedziała Stoddart, kiedy Fox usiadł za kierownicą i zamknął drzwi. – No dobrze, daję wam pięć minut.

– To może jednak potrwać trochę dłużej – zastrzegł Breck, po czym zwrócił się do Foxa: – Lepiej, żebyśmy stąd odjechali. Nie wiem, czy ściany mają uszy, ale te okna na pewno mają oczy.

Fox spojrział na budynek i zdał sobie sprawę, że Breck ma w stu procentach rację. Włączył silnik.

– Mam się czuć porwana? – jęknęła Stoddart.

– Może pani wysiąść w dowolnym momencie – zapewnił ją Breck. – Ale biorąc pod uwagę, co chcemy pani powiedzieć... proszę mi wierzyć, to nie byłoby najlepsze miejsce.

– Mam po prostu jeździć dookoła? – spytał Fox, patrząc w lusterko. Kątem oka zauważył, jak siedząca obok niego Stoddart starannie obciąża spódnicę na kolanach.

– Jedź, gdzie chcesz, jeśli tylko potrafisz jednocześnie prowadzić i mówić – zakpił Breck.

Malcolm Fox pojechał więc, gdzie chciał.

Ich droga prowadziła po obrzeżach Ogrodu Botanicznego, a potem w górę, w stronę centrum miasta. Jechali coraz wolniej, a Fox niewiele mówił, koncentrując całą uwagę na prowadzeniu. W jego zastępstwie mówił Breck. Wkrótce minęli początek Leith Walk, przez Royal Terrace i Abbeyhill dotarli do Pałacu Holyrood, by następnie

zapaść się w rozległy Holyrood Park. Przy jeziorze św. Małgorzaty wjechali na jednokierunkową drogę opasującą potężny masyw Arthur's Seat. Znaleźli się niemal na pustkowiu. Z niektórych odcinków trasy nie można było dostrzec żadnych ludzkich siedzib, nic, tylko wzgórza i wrzosowiska. Jeździli tam już prawie trzydzieści minut, kiedy Stoddart poprosiła Foxa, by się zatrzymał.

– Raczej nie warto tutaj wysiadać – ostrzegł ją Breck. – Taksówki tędy nie jeżdżą.

Stoddart się rozejrzała.

– Gdzie jesteśmy?

Fox doprowadził samochód nad Dunsapie Loch i zaparkował. W pobliżu przebiegła jakaś para joggerów, nieco dalej odpoczywała na ławce młoda matka z dzieckiem w wózku. Na wysepce na środku jeziora było duże gniazdo. Za parę tygodni zamieszka tu zapewne jakieś ląbędzie stadło.

– Jesteśmy na drugim końcu miasta – wyjaśnił w końcu Breck. – Z przyjemnością będę pani przewodnikiem następnym razem...

Nic nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi i próbowała wysiąść. Zachnęła się, sądząc, że ją przytrzymują, ale to był tylko pas bezpieczeństwa. Odpięła go, wysiadła z samochodu i trzasnęła drzwiami.

– No i co teraz? – mruknął Breck.

Fox zobaczył jego twarz w lusterku wstecznym: robił dobrą minę, ale było widać, że to tylko pozory. W istocie musiał być kłębkim nerwów.

– Dajmy jej minutę – powiedział Fox.

Stoddart stała z założonymi rękami na lekko rozstawionych nogach, wpatrzona w jezioro i w pejzaż za nim.

– A jeśli pójdzie teraz... prosto do mojego czy twojego szefa?

– No to pójdzie – odparł Fox.

Breck popatrzył na nią.

– Pewnie myśli, że wciągamy ją w pułapkę.

– Możliwe.

– Że coś knujemy razem, odkąd nas zawiesili... i że zmyśliliśmy to wszystko! Tak pewnie podejrzewa.

– Jamie, przecież nie możesz wiedzieć, co ona naprawdę myśli – mruknął Fox, przewieszając dłonie nad kierownicą.

– Ale wiem, że przestrzega zasad służbowych, tak samo jak ty do tej pory, Malcolm. Nie będzie chciała łamać procedur.

– Już je złamała. – Fox zrobił krótką przerwę, by pobudzić ciekawość Brecka. – Wsiadła do tego samochodu, tak? I zostawiła

swoich goryli. To nie jest całkiem zgodne z zasadami.

– Tu masz rację – zgodził się Breck. Nagle spytał: – Gdzie ona idzie?

Wspinała się na zbocze, oddalając się od drogi. Zbocze było dość strome, parę razy pośliznęła się niebezpiecznie. Fox zdał sobie sprawę, że za tym wzniesieniem nie ma już nic aż do Duddingston.

Zatrzymała się na szczycie i spojrzała w stronę samochodu.

– Chodźmy zobaczyć, co tam z naszą damą – rzekł Fox i wyciągnął kluczyk ze stacyjki.

• • •

Znalazła suchy, choć omszały po brzegach głaz i usiadła na nim. Siedziała skulona, opierając ręce na kolanach. Wiatr smagał jej włosy. W tej pozycji wyglądała znacznie młodziej. Można by ją uznać za stroskaną nastolatkę.

– Zadał pan dobre pytanie – rzekła do Foxa, który przykucnął przy niej. Breck stał z boku z rękami w kieszeniach polaru. – Kolejność zdarzeń: to jest coś, co mnie dręczy.

– Tylko to? – jęknął Breck z niedowierzaniem.

– Na inne rzeczy, o których mówicie, nie ma na razie żadnego dowodu. Ale faktem jest, że inspektora Foxa mieliśmy na swoich radarach już kilka dni przed śmiercią Vince'a Faulknera. Sama się nad tym zastanawiałam.

– Bravo! – zawołał Breck, lecz Fox dał mu spojrzeniem znak, by się zamknął.

– Ktoś musiał przedstawić uzasadnienie – stwierdził Fox cicho. Stoddart pokręciła głową.

– To nie zawsze tak działa. Zresztą sam pan wie...

Tak, wiedział. Wystarczy, że ktoś z „góry” w odpowiednim momencie skinie albo mrugnie. Potem ktoś dorobi do tego niezbędną dokumentację. A ktoś inny poprowadzi sprawę. Ty masz tylko obserwować i notować to, co zauważyłeś. Był taki przypadek parę lat wcześniej w Anglii. Komendant główny, który podejrzewał pewnego młodego agenta o romans z jego żoną, zlecił inwigilację tego człowieka przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zespół śledczy dostał jakąś fałszywą podkładkę, a boss mógł robić swoje.

– Kto dał pani zlecenie? – spytał Fox.

– Mój przełożony – odpowiedziała po chwili milczenia. – Ale on z kolei dostał rozkaz od DCC.

Czyli od zastępcy komendanta policji Grampian.

– A więc ktoś musiał coś podrzucić DCC – powiedział Breck. Teraz role się odwróciły. To Breck chodził w tę i z powrotem, a Fox zachowywał nienaturalny wręcz spokój.

– Jest tylko jeden problem... – Stoddart przerwała, wznosząc oczy ku niebu. – Mogę mieć przez to duże kłopoty.

– To znaczy, że wierzy nam pani? – spytał Fox.

– Może... – odparła. – Widzi pan, jest taka sprawa... krążyły pogłoski, że coś poszło bardzo źle w sprawie o morderstwo kilka miesięcy temu. Ofiarą było dziecko. Wydział kryminalny szukał wyłącznie w kręgu rodzinnym, tymczasem okazało się, że morderca jest notowany i mieszka zaledwie parę ulic dalej. Była tam cała seria mistyfikacji i próby zakłajstrowania błędów śledztwa.

– Myśli pani, że właśnie temu mieli się przyjrzeć kontrolerzy z Edynburga? – spytał Fox.

Stoddart wzruszyła ramionami.

– Wiem tylko, że ostatecznie sprawa trafiła do policji Strathclyde – powiedziała.

– Przecież wszyscy wiedzą, że ci z Glasgow to partacze.

– Tak, to prawda – zgodziła się Stoddart.

Fox się zamyślił.

– Nie sądzi pani, że to był jakiś handel? Ktoś ważny w Edynburgu zaproponował taki układ: wy zaczniecie śledzić naszego kontrolera, a my będziemy mieć wymówkę, by nie badać mętnej sprawy w Aberdeen.

– Możliwe – przyznała znowu.

Wsunęła złożone dłonie między kolana i zaczęła rytmicznie przytupywać.

– Nie jest pani zimno? Może wróćmy do samochodu.

– Co ja powiem Wilsonowi i Masonowi?

– Zależy, jak dalece im pani ufa – powiedział Breck. Rozgarniał adidasami kępkę trawy. – Zwróciliśmy się do pani w pierwszej kolejności, bo my też nie wiemy, komu możemy ufać.

– Domyślam się... – patrzyła na przemian na Foxa i Brecka. – Co zatem chcecie zrobić?

– Moglibyśmy spróbować pogadać z Terryem Vassem – powiedział Fox.

– A gdyby nas potem znaleźli jako topielców w Tay, to przynajmniej pani wiedziałaby, od czego zacząć – dodał Breck.

Stoddart zdobyła się na uśmiech.

– Rzeczywiście trochę tu chłodno – powiedziała, wstając.

– Chłodniej niż w Aberdeen? – zakpił Fox. Ale ona potraktowała to pytanie serio.

– W jakimś sensie tak.

Wszyscy troje ruszyli z powrotem w stronę samochodu.

– Wiem – kontynuowała – dawno już tu nie byłam, ale jest coś takiego w tym mieście... jakby czegoś brakowało.

– To wina tych tramwajów – zażartował Breck. – Wszyscy tak mówią.

Fox milczał. Miał wrażenie, że wie, co Stoddart miała na myśli. Ludzie w Edynburgu łatwo się obrażają, ale rzadko to okazują, gotują się tylko w środku. Z zewnątrz wyglądają na nieczułych, niepoddających się emocjom. Spojrzał w oczy Stoddart i ze zrozumieniem skinął głową, ale ona zdążyła się już cofnąć do własnej skorupy i nie nawiązała kontaktu. Co powie ludziom na Fettes? W jakie słowa ubierze swoją relację? Może ma do nich żal o to, że wciągnęli ją w swoją sprawę – sprawę, w której nie ma ochoty uczestniczyć?

Kiedy doszli do samochodu, zatrzymała się z dłońią na klamce.

– Chyba jednak się przejdę – powiedziała.

– Na pewno? – spytał Breck.

Ale Fox wiedział, że podjęła już decyzję.

– Tamtędy – powiedział, wskazując ścieżkę w dół. – Dojdzie pani do Holyrood Park Road i dalej do Dalkeith Road. Tam powinny być taksówki...

– Dam sobie radę. – Wsunęła ręce do kieszeni. – Daliście mi dużo do myślenia.

Milczała przez chwilę, potem wbiła wzrok w Brecka.

– Nadal jednak czekam na rozmowę z panem, sierżancie Breck. Powiedzmy: jutro o dziewiątej.

– Jutro jest sobota – jęknął Breck.

– Nie mamy wolnych sobót za pieniądze podatników.

Pomachała ręką i odeszła ścieżką w dół. Breck usiadł na przednim fotelu pasażera i zatrzaskał drzwi.

– Po jaką cholereę ona mnie tam ciągnie na kolejne dwadzieścia pytań? Przecież nakarmiliśmy ją już wszystkimi możliwymi informacjami.

– To dla uspokojenia jej kolegów. Żeby nie podejrzewali więcej, niż już podejrzewają.

Fox uruchomił silnik i zwolnił hamulec. Po chwili zobaczyli ją znowu. Szła ze wzrokiem wbitym w ziemię, nie odwróciła głowy, jakby ten samochód i jego pasażerowie byli dla niej całkiem obcy.

- Czyżbyśmy zrobili właśnie paskudny błąd? – spytał Breck.
- Jeżeli tak – odparł Fox – to zawsze możemy zwalić winę na tramwaje.

26

Wieczorem Breck wybierał się na kolację z Annabel Cartwright. Fox spytał, do której restauracji.

– Do Toma Kitchina. Zarezerwowaliśmy sobie stół, jeszcze zanim to wszystko się zaczęło. – Breck zawahał się przez chwilę. – Myślę, że znajdzie się tam jakieś dodatkowe krzesło...

Ale Fox pokręcił krótko głową.

– Brogan bywał tam z Joanną – powiedział.

– Skąd to wiesz?

– Z jego kalendarza.

Później, przypominając sobie tę wymianę zdań, był wdzięczny Breckowi za zaproszenie na kolację. To był gest przyjaciela, a przynajmniej gest człowieka, który nie chce przed tobą niczego ukrywać. Teraz, przed domem Brecka, Fox spytał go jeszcze, czy jest już gotów powiedzieć Annabel o podejrzanym stronie internetowej.

– Później – odparł tylko Breck.

Fox pojechał prosto do Mintera. Po drodze, korzystając z postoju pod światłami, wysłał do Tony'ego Kaye'a SMS, że już tam jedzie. Kiedy był zaledwie pięć minut od celu, dostał odpowiedź: „Nie mogę, sorry. TK”. A po chwili kolejną: „Mogą tam być Joe i Gilchrist”.

Fox nie był pewien, czy ma ochotę na spotkanie z Naysmithem i jego nowym przyjacielem. Z drugiej strony jednak nie chciało mu się zwracać w trudnym miejscu, a zdecydowało ostatecznie to, że w chwili gdy dojeżdżał do Mintera, jakiś samochód zwolnił dobre miejsce w zatoczce parkingowej. Fox postawił tam swoje volvo i na wszelki wypadek upewnił się, że o tej porze nie musi już brać biletu z parkometru. Zamknął samochód i przeszedł na drugą stronę ulicy do pubu. Nikt nie stał przy bufecie, nie było też kwizu czy programu rozrywkowego w telewizji. Młoda barmanka miała tatuaże na ramionach i ufarbowane na różowo pasemka we włosach. Fox rozejrzał się po sali. Przy stoliku w kącie znajoma Kaye'a rozmawiała z jakąś przyjaciółką. Poznała Foxa i pomachała mu ręką. Wygrzebał z pa-

mięci jej nazwisko: Margaret Sime. Stojący przed nią napój wyglądał na brandy z wodą sodową. Obok w gotowości leżały papierosy i zapalniczka. Fox pozdrowił ją skinieniem głowy i zamówił sok pomidorowy.

– Ma być pikantny? – spytała barmanka. Jej akcent wskazywał, że pochodzi ze wschodniej Europy.

– Tak, proszę – powiedział Fox. – I kolejkę na ten stolik w kącie.

Potem, kiedy barmanka zajęła się przygotowaniem drinków, zapytał:

– Jest pani Polką?

– Nie, Łotyszką.

– O, przepraszam...

Wzruszyła ramionami.

– Często mi się to zdarza. Wy, Szkoci, uważacie Polaków za najeźdźców.

– Słyszałem, że teraz wielu z nich wraca do kraju.

Potwierdziła to skinieniem głowy.

– Funt nie jest już taki mocny, a ludzie są coraz bardziej niezadowoleni.

– Z kursu funta?

Wstrząsnęła butelką soku, zanim ją otworzyła.

– Nie tylko. Miałam na myśli to, że coraz trudniej znaleźć robotę. Nie macie nic przeciwko imigrantom, dopóki nie zaczynają wam kraść pracy.

– A pani odbiera?

Dodała do jego szklanki ostrego sosu tabasco.

– Na razie jeszcze nikt mi tego nie zarzucił. Przynajmniej wprost.

– Co by pani zrobiła, gdyby ktoś tak powiedział?

Zagięła palce wolnej dłoni jak szpony ptaka. Miała długie i chyba bardzo ostre paznokcie.

– Ja też potrafię ugryźć.

Potem podliczyła na kasie należność za napoje. Fox zastanawiał się właśnie, gdzie usiąść, kiedy drzwi otworzyły się na oścież: wszedł Naysmith, a za nim Gilchrist. Fox natychmiast zauważył, że zupełnie zmienił się sposób zachowania Naysmitha. Kiedy szedł, kołysał ramionami, jakby naładowany nową energią i pewnością siebie. Uśmiech, jakim powitał Foxa, pasował raczej do kumpla niż do podwładnego. Idący parę kroków za nim Gilchrist z rękami w kieszeniach był najwyraźniej zadowolony z tej przemiany, którą słusznie sobie przypisywał.

– Cześć, Lisku – rzekł Naysmith głosem znacznie donośniejszym niż dawniej.

– Witaj, Joe – powiedział Fox. – Co dla was zamówić?

– Duże pełne – odparł Naysmith. Gilchrist zdecydował się na szklankę cydru.

Barmanka, która zaniósła drinki pani Sime i jej przyjaciółce, wróciła już za kontuar. Zabrała się do realizacji nowego zamówienia, a Fox sięgnął do kieszeni po pieniądze.

– Jak leci? – spytał Naysmith. Posunął się nawet do tego, że położył dłoń na ramieniu Foxa jakby w geście pocieszenia. Fox wpatrywał się w tę dłoń tak długo, aż Joe ją zabrał. Gilchrist wydał wargi, maskując grymas niezadowolenia.

– Nadal jestem zawieszony – odpowiedział Fox. – Dlaczego Kaye nie przyszedł jak zwykle, żeby coś tyknąć?

– Kryzys w domu. Pani Kaye powiedziała, że jeśli nie będzie spędzał tam więcej czasu, to ona też sobie gdzieś pójdzie.

– No to nareszcie wiemy, kto tam nosi spodnie – odezwał się Gilchrist nad ramieniem Naysmitha. Naysmith roześmiał się i radośnie pokiwał głową.

Fox nie wiedział, śmiać się czy płakać. Wystarczyło parę dni, aby ten intruz okręcił sobie Naysmitha wokół palca. To, że Joe drwił z Tony'ego Kaye'a... że śmiał się z jego domowych kłopotów... że plotkował o koledze w zasięgu słuchu barmanki... Przecież pod nieobecność Foxa to właśnie Kaye był liderem zespołu, a tutaj podważano jego autorytet. Foxowi nie mogło się to podobać. Nie podobała mu się też przemiana, jaką przeszedł Joe Naysmith, ani to, że tak szybko dał się przekabacić.

– Co się stało z twoją twarzą? – spytał Gilchrist.

– Nie twoja sprawa – odparł Fox.

– Usiądźmy gdzieś – zaproponował Naysmith, nie czując tonu dezaprobaty w głosie Foxa.

Ale Gilchrist dobrze go wyczuwał i doskonale rozumiał, skąd się bierze. Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, był krzywy i nieszczerzy. Dziel i rządź – Fox spotykał się z taką postawą już wcześniej w swojej karierze. Rzadko kiedy formalny zespół był naprawdę zespołem. Zawsze był ktoś, kto się sprzeciwiał, miał odrębne zdanie, mącił. Takiego należało albo przekupić, albo przenieść gdzie indziej. Pewien znajomy gliniarz, któremu proponowano awans na wysokie stanowisko w nowym wydziale, zrezygnował i zarekomendował swojego rywala. Dlaczego? Żeby pozbyć się drania i przywrócić

solidarność we własnej ekipie. Fox nie był pewien, czy postąpiłby tak samo. Może teraz już tak, ale jeszcze dwa tygodnie temu nie. Dwa tygodnie temu przyjąłby ten awans i przeniósłby się, zostawiając stary zespół z jego problemami.

– Straszne nudy w biurze – odezwał się Naysmith. – Bob mówił, że czeka nas jakaś naprawdę poważna robota.

– Pewno nie tęsknicie za mną? – spytał Fox.

– Tęsknimy, a jakże!

– Ale gdybym był tam nadal, to ciebie by nie było. – Fox wskazał ręką Gilchrista.

– Praca nie jest aż tak fascynująca, jak się spodziewałem – uzalili się Gilchrist. – Joe mówił mi o niektórych waszych wcześniejszych akcjach. To by mi się podobało!

– Nie licz na zbyt wiele – ostrzegł go Fox. – Mogę któregoś dnia wrócić za swoje biurko.

– Na pewno wrócisz, Malcolm – zapewnił Naysmith. Ale Fox nie patrzył na niego, tylko na Gilchrista, którego twarz bynajmniej nie wyrażała takiej pewności.

Fox wstał, nogi krzesła głośno zazgrzytały o podłogę.

– Joe – powiedział – chciałbym zamienić parę słów z twoim kumplem.

Potem, zwracając się już tylko do Gilchrista, dodał:

– Wyjdźmy.

Zabrzmiało to jak rozkaz, bo tak miało zabrzmieć. Gilchrist się jednak nie spieszył. Wypił kolejny łyk cydru i wolno odstawił szklankę na podłódkę.

– Co o tym myślisz, Joe? – spytał Naysmitha. Ten niepewnie skinął głową.

Fox uznał, że czeka już dostatecznie długo, i pomaszerował w stronę drzwi.

– Do zobaczenia! – zawołała za nim barmanka.

– Na pewno! – odpowiedział.

Wyszedł z pubu i kilka razy głęboko odetchnął. Serce waliło mu mocno i czuł tętnienie krwi w uszach. Gilchrist nie tylko go zdenerwował, to było coś więcej, dużo więcej. Drzwi za jego plecami się otworzyły. Fox chwycił Gilchrista za kłapy, wyciągnął go na zewnątrz, potem przycisnął plecami do kamiennej ściany. Gilchrist patrzył na pięści Focha zaciśnięte na kłapach marynarki. Miał ledwie połowę jego masy i zero jego złości. Nie zamierzał walczyć.

– No, rób swoje – powiedział, podnosząc wzrok tak, by spojrzeć

Foxowi w oczy.

– Jesteś gnidą – powiedział Fox chrypiącym głosem. – A co gorsza, to ty mnie wpakowałeś w gówno. Pytam cię jeszcze raz: kto ci nadał Jamiego Brecka?

– Dlaczego to takie ważne?

– Nie twoja sprawa. Ważne i już.

– Może najpierw mi trochę przyłożysz? Potem będziemy mogli porównać siniaki.

Fox przyciągnął Gilchrista do siebie, potem znów cisnął go na ścianę.

– McEwan będzie zachwycony, jak...

– Mów mu, co ci się podoba – przerwał Fox. – A ja chcę wiedzieć tylko jedno: czyj to był pomysł?

– Przecież już wiesz.

– Nie wiem.

– Myślę, że wiesz... tylko nie chcesz uwierzyć. Chciała się mnie pozbyć, Fox. Nigdy, nigdy mnie nie lubiła. Oczywiście ja też chciałem się przenieść, ale nie miałem żadnego argumentu. Ona miała.

Fox rozluźnił pięści.

– Ona? Mówisz o Annie Inglis?

Teraz Gilchrist popatrzył mu głęboko w oczy.

– A o kim?

– Kłamiesz.

– Jasne... zresztą nieważne. Pytasz mnie, to ci odpowiadam, co wiem. To Inglis powiedziała, że potrzebujemy pomocy kontrolerów, i wymieniła twoje nazwisko, żadne inne.

– Czy to Inglis dzwoniła do ciebie wtedy w nocy, żeby odwołać podsłuch?

Gilchrist się zawahał, a Fox zrozumiał, że cokolwiek tamten teraz powie, nie będzie to prawda.

– Jednak jesteś gnida – powtórzył, nie czekając dłużej na odpowiedź. – I masz się natychmiast odpieprzyć od Joego.

– Odpieprzyć? Nie mogę go tak zostawić! Ty i Kaye musieliście go traktować jak gówno.

Fox rozprostował dłonie i opuścił je luźno.

– Wracam – powiedział cicho.

– I właśnie wtedy mnie przenieśli gdzie indziej – rzucił niespodziewanie Gilchrist i wygładził marynarkę. – Gdziekolwiek, byle nie przy Annie Inglis. Wystarczy ci to?

Fox stanowczo pokręcił głową.

– Nie. Czy to zrobiła Annie Inglis, czy ty, rozkaz musiał przyjść od kogoś z góry.

– Zapytaj więc o to Inglis.

– Na pewno to zrobię... – Fox przerwał, bo coś sobie przypomniał. – Pamiętasz, pytałem cię o Simeona Lathama? Powiedziałeś mi, że Australijczycy przygotowują już jego proces. Ale kiedy spytałem kogoś z tamtego śledztwa, zaprzeczył.

– I co z tego?

– To, że kłamałeś.

– Nie kłamałem. Tak mi powiedziano. Ile razy mam ci to powtórzyć? Idź, zapytaj swoją dziewczynę.

Zmierzył Foxa wzrokiem od góry do dołu.

– Chyba że nie jest twoją dziewczyną, tak? Już nie, bo dostała od ciebie to, co chciała. – Gilchrist uśmiechnął się sztucznie. – Było w tobie coś żalosego, gdy pierwszy raz przyszedłeś do naszego biura z tymi szelkami i czerwonym krawatem, w nadziei, że zwróci na ciebie uwagę. Annie Inglis to profesjonalistka, Fox. Dobrze potrafi udawać kogoś, kim nie jest. Robi to zresztą codziennie w Internecie...

Drzwi pubu otworzyły się znowu. Fox spodziewał się zobaczyć w nich Naysmitha, ale to była Margaret Sime z papierosem w dłoni. Jednym rzutem oka oceniła sytuację.

– Nie róbcie żadnych głupstw, chłopcy – ostrzegła.

– Skończyliśmy? – Gilchrist skierował to pytanie do Foxa.

Fox skinął tylko głową. Gilchrist wrócił do środka.

– Od chwili gdy pierwszy raz zobaczyłam tego młodego człowieka – rzekła Margaret Sime, zapalając papierosa – tylko jedno chodziło mi po głowie.

– Co mianowicie? – Fox czuł, że musi o to zapytać.

– Że należy mu się porządny wycisk.

– Przykro mi, że panią zawiodłem, pani Sime.

• • •

Co najmniej godzinę spędził na kanapie, telewizor był włączony, ale bez dźwięku. Zastanawiał się, jak ma wyglądać jego rozmowa z detektyw sierżant Annie Inglis. Zaprosiła go do domu... najpierw się pokłócili, potem pogodzili. Czy naprawdę zamierzał ją teraz oskarżyć, że go wrobiła? Czy miał przyjąć za dobrą monetę to, co mówił Gilchrist? Jeśli tak, to wrobiła również Jamiego Brecka...

Fox przypomniał sobie zachowanie zastępcy komendanta głównego Adama Traynora podczas konfrontacji, którą na Torphichen

urządził Wściekły Billy Giles. A potem sięgnął pamięcią jeszcze dalej, do rozmowy w biurze kontrolerów, kiedy McEwan zaintrygował go wiadomością: *Komendant uważa, że jest ślad czegoś niezdrowego w Aberdeen...* Po rozmowie ze Stoddart był przekonany, że w tej sprawie zawarto jakiś układ. Ale gdyby wszystko to było pomysłem komendanta głównego, po co miałby on sugerować McEwanowi, że zespół z Edynburga będzie prowadzić śledztwo w sprawie policji Grampian? Nie, w tym układzie główną rolę musiał grać Traynor, właśnie on!

W tym momencie Fox wiedział już, jak sformułować swoje pytanie. Zdjął nogi z kanapy, sięgnął po komórkę leżącą na stoliku i wystukał numer Annie Inglis.

– Halo? – powiedziała bardzo cicho, zaraz więc się poprawiła: – Halo?

– To ja – odezwał się z opóźnieniem.

– Malcolm? Co się stało? Masz dziwny głos...

– Jedno pytanie, Annie. Odpowiedz „tak” albo nie odpowiadaj wcale. Tylko tyle i nie będę ci więcej zawracał głowy.

Milczała przez chwilę. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos był pełen troski.

– Co się stało Malcolm? Chcesz, żebym tam przyjechała?

– Tylko to jedno pytanie, Annie – nalegał.

– Nie wiem, czy mam ochotę je usłyszeć. Jesteś trochę zdenerwowany, Malcolm. Może poczekaj z tym do jutra...

– Annie... Co obiecał ci Traynor? – Przez chwilę słuchał w milczeniu. – Że przeniesie Gilchrista, jeśli ty wrobisz mnie i Jamiego Brecka? Na tym polegał układ? O to chodziło?

– Malcolm...

– Odpowiedz!

– Rozłączam się.

– Zasługuję na to, żeby mi odpowiedzieć, Annie! Ktoś to wszystko zmontował, a nie dałby rady bez ciebie!

Ale jego rozmówcą był już tylko przerywany sygnał. Rozłączyła się. Fox zaklął. Zastanawiał się, czy zadzwonić do niej ponownie, ale doszedł do wniosku, że nie będzie chciała z nim rozmawiać. Mógł też podjechać pod jej dom i nacisnąć dzwonek, ale nie wpuściłaby go. Za mądra była na to.

Zbyt mądra i zbyt wyrachowana.

Dobrze potrafi udawać kogoś, kim nie jest...

Zaczął krążyć po pokoju. Przyszło mu do głowy, by zadzwonić do

Jamiego, ale on był teraz przecież na kolacji z Annabel. Zaraz! To niesprawiedliwe. Dlaczego Jamie nie chodzi teraz w tę i z powrotem po własnym pokoju i nie gryzie się niegodziwością, jaka ich spotkała? Fox chwycił znowu telefon i zadzwonił.

– Zaczekaj sekundkę, wyjdę na zewnątrz – powiedział Breck. Potem do Annabel: – To Malcolm, kochanie.

– Przeprós ją w moim imieniu – powiedział Fox.

– Zrobię to, kiedy wrócę do stołu.

– Przyjemne miejsce?

– Lepiej powiedz, co to za pilna sprawa, która nie może poczekać do jutra rana, Malcolm.

Fox usłyszał odgłosy otwierania i zamykania drzwi. Zmieniło się tło dźwiękowe, Breck był już poza restauracją, a Fox mógł słyszeć odległe dźwięki ruchu ulicznego i nocnego życia miasta.

– Gdyby sprawa nie była pilna, Jamie...

– Rozumiem, że jest, więc słucham.

Fox starał się zrelacjonować sprawę najlepiej, jak umiał, spacerował przy tym nerwowo po przekątnej pokoju. Breck w ogóle mu nie przerywał, z wyjątkiem wtrąconej uwagi, że Gilchrist, skoro tak łatwo zgodził się na pobicie, prawdopodobnie jest masochistą. Kiedy Fox skończył, przez dobre piętnaście sekund trwało milczenie.

– Tak – odezwał się w końcu Breck. – No cóż...

– Przeżyłeś już kiedyś coś takiego? – spytał Fox, zagłębiając się w kanapę.

– Jestem graczem, Malcolm. Wiesz, te gry fabularne... a to właśnie jest coś w tym stylu. Role zostały rozdane i ktoś wiedział, jak się rozwina: ja zacznę cię lubić, a ty zaczniesz mi ufać... i zburzy to karierę każdego z nas. Bo to wynika z naszych charakterów, Malcolm. – Zrobił pauzę. – Ktoś tu nami gra.

– Ktoś z naszych? Na przykład zastępca komendanta głównego?

– Nie sądzę, żeby to było najważniejsze. Znacznie ważniejsze jest pytanie: dlaczego.

– Masz już jakąś koncepcję?

– Jesteśmy znowu w grze, Malcolm. Skasowali nas, ale nas nie docenili. Okazało się, że dysponujemy drugim życiem, i to też należy do naszej natury.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem...

– Nie musisz. Wszystko, co dotychczas zrobiliśmy... – Breck przerwał, by wprowadzić korektę. – Wszystko, co dotychczas zrobiłeś... prowadzi do jednej i tylko jednej rzeczy.

- Mianowicie?
- Do końcówki... – Breck znowu zrobił pauzę. – Będą chcieli zniszczyć nas ponownie i dopiero wtedy dowiemy się, kto i dlaczego.
- Jak możesz to mówić z takim cholernym spokojem?
- Bo tak to czuję. – Breck się roześmiał. Był to śmiech wymuszony, ale jednak śmiech. – Pamiętasz naszą rozmowę w drodze powrotnej z kasyna?
- Pamiętam.
- Nie jesteś już tylko widzem.
- A to na pewno dobrze?
- Nie wiem. Jak sam uważasz?
- Chciałbym, żeby to się wreszcie skończyło w ten czy inny sposób.
- No, to już zupełnie nie przypomina starego, rozważnego Malcolma Foxa.
- Przepraszam, że przerwałem ci kolację, Jamie.
- Na pewno jutro o tym pogadamy, Malcolm. Zadzwońię po wizycie u Stoddart. Na razie czeka na mnie wargacz i carpaccio z małż...
- To nie dla mnie – mruknął Fox, zakończył rozmowę i wszedł do kuchni. Sok jabłkowy... rozmaite herbatki owocowe... Rooibos... kawa bez kofeiny... nie bardzo to wszystko było pociągające. Miał ochotę na coś ostrzejszego, coś bardziej stymulującego. Pomyślał o pikantnym soku pomidorowym, który pił u Mintera, i wyobraził go sobie z dodatkiem dużej dawki smirnoffa.
- Możesz sobie tylko pomarzyć, Lisku – powiedział do siebie. Ale pamiętał jeszcze ten smak – delikatny, gdy płyn docierał do gardła, i coraz bardziej ognisty, gdy spływał przez przelyk do żołądka. Wódka była drinkiem jego dzieciństwa: te łyki, które pociągał ukradkiem z butelek schowanych w kredensie. Jako nastolatek wielokrotnie zmieniał upodobania: rum, mocny likier amerykański Southern Comfort, Glayva – rodzimy kordiał z Leith, whisky, ponowne zaślubiny z wódką i niebezpieczny kontakt z ginem. A potem jeszcze raz wódka, teraz już ta dobrych marek. Zawsze też piwo lub wino, wino lub piwo. Na obiad, na kolację i na małe co nieco. O takich drobiazgach jak szampan na śniadanie z Elaine nie wspominając.
- Kahlua – tak, tego rzeczywiście nigdy nie pił. Nie zaprzyjaźnił się też zbyt z różnymi modnymi napojami o niskiej zawartości alkoholu. Jeśli już chciał mieć lemoniadę w wódce, wołał dolewać ją sam wraz z paroma kroplami angostury. Już jako pięcioletni chłopiec

tytułem eksperymentu wsypał kilka łyżeczek oranżady w proszku do szklaneczki wódki. Ojciec sprzął go za to na kwaśne jabłko i przeniósł cały alkohol na najwyższe półki spiżarni. Jednak i to było za nisko...

Fox wrócił do salonu i postanowił zasunąć kotary w oknach. Wtedy zauważył samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Światła były wyłączone, ale silnik pracował. Ktoś siedział też na fotelu kierowcy. Fox zasunął kotary i poszedł na górę, nie zapalając światła. W sypialni zbliżył się do okna i stanął przy framudze. Samochód, sedan, miał ciemny lśniący lakier. Z tej perspektywy nie mógł dostrzec żadnej z tablic rejestracyjnych. Miał wrażenie, że słyszy muzykę. Tak, dochodziła z samochodu. Nie był jej w stanie rozpoznać, ale na pewno stawała się coraz głośniejsza. Któryś sąsiad z przeciwnej strony ulicy otworzył żaluzje, by popatrzeć na intruza, ale zaraz je zamknął i nie wyszedł na zewnątrz. W pobliżu zatrzymała się czarna taksówka i wysiadło z niej dwoje ludzi. Najwyraźniej wracali ze spóźnionych zakupów. Kobieta niosła kilka toreb pochodzących chyba z drogich sklepów. Z jej mężem – nazywał się Joe Sillars – Fox miał już okazję parę razy rozmawiać. Mieszkali przy tej ulicy dopiero od paru miesięcy. Zauważyli stojący samochód dopiero wtedy, gdy odjechała ich terkocząca taksówka. Wymienili między sobą parę zdań, ale najwyraźniej postanowili nie interweniować. Zachęcony tym kierowca opuścił szybę. I dopiero teraz Fox rozpoznał piosenkę. Nazywała się *The Saints Are Coming* i pochodziła z repertuaru starej grupy punkowej The Skids*. Fox słyszał ją na wielu imprezkach, kiedy był nastolatkiem, ale też całkiem niedawno, w ostatnich tygodniach...

* The Skids – Ćpuny.

To Glen Heaton wspominał o niej podczas przesłuchań:

Fantastyczna piosenka... prawdziwy krzyk rozpaczy...

Fox spytał go wtedy, czy uważa się za jednego z tych świętych z piosenki, ale Heaton tylko rytmicznie boksował powietrze, wykrzykując pierwsze słowa tekstu.

Utwór się skończył, ale po chwili zaczął się od nowa. Ta cholerna maszyna musiała być nastawiona na powtarzanie jednego nagrania. Z otwartego okna kierowcy wyskoczyła pięść boksująca powietrze.

A Glen Heaton znów wrzaskliwie wyśpiewywał cierpienia swojej duszy.

Fox zszedł na dół na niepewnych nogach. Zatrzymał się na progu salonu. Zastanawiał się, co może teraz zrobić, do kogo zadzwonić. Słyszał jeszcze wyraźniej bas i perkusję, bo Heaton podkręcił dźwięk

o kilka dalszych kresiek. Fox chwycił marynarkę i wyszedł przed dom...

Potem ścieżką przez trawnik, wdychając głęboko nocne powietrze...

Otworzył furtkę...

Przeszedł przez jezdnię...

Heaton obserwował go przez cały czas. Pięść znikła, ale wrzaskliwy śpiew trwał nadal. Kiedy Fox był już o kilka kroków od samochodu, muzyka nagle umilkła. Ciszę zakłócał tylko pomruk silnika alfy.

– Wiedziałem, że w końcu skapujesz – powiedział Heaton.

– Co tu robisz?

– Nie tylko tobie wolno się pętać pod cudzymi oknami. Myślisz, że cię nie rozpoznałem? Jak czaiłeś się w ciemności i spieprzyłeś na mój widok?... Ale ja jestem większy niż ty, Fox. Widziałem cię tam, więc teraz jestem tutaj.

– Czego chcesz, Heaton?

– Nie będzie żadnego procesu. Wiesz o tym, prawda?

– Zostaniesz sprawiedliwie osądzony przed sądem, a potem pójdziesz do paki.

Heaton nadął policzki, potem prychnął.

– Niektórzy mówią inaczej.

– Twój kumpel Giles dał ci mój adres? Może chciałeś tylko obejrzeć siniaki?

– Skoro ci na tym zależy... – Heaton przechylił głowę. – Nie bardzo jest co oglądać. Ale i tak postawiłbym parę kolejek temu, kto to zrobił.

– Czyli to nie ty?

Na twarzy Heatona pojawił się uśmiezek.

– Możesz mi wierzyć, ja bym to zrobił lepiej.

– A więc nie odwiedzałeś swojej przyjaciółki w saunie we wtorek wieczorem? – Fox poczuł się pewniej, kiedy zobaczył, jak wielkie wrażenie wywarły te słowa. – Sonya Michie, Heaton, dużo już o niej wiemy, znacznie więcej niż twoja żona. No i ten twój syn...

Drzwi kierowcy otworzyły się gwałtownie. Fox cofnął się, zachowując bezpieczny dystans od Heatona. Byli tego samego wzrostu i zapewne podobnej wagi. Heaton był jednak bardziej umięśniony – kontrolerzy śledzili go także na siłowni – i niemal na pewno bardziej naładowany agresją. Ale byli chyba w podobnej sytuacji. Teraz Heaton zastanawiał się nad następnym ruchem. W końcu zaczął zapalać

papierosa, rzucając zużyte zapalki na asfalt koło butów Foxa.

– Co to za gli niarz? – wycedził. – Łazi, podgląda, grzebie w śmietnikach... węszy za plecami...

Fox miał ochotę założyć ręce, ale nie zrobił tego; wolał być gotów, na wypadek gdyby Heaton próbował jakichś sztuczek.

– Zastanawiam się, dlaczego nigdy nie skojarzyliśmy cię z Jac kiem Broughtonem?

Heaton rzucił wściekle spojrzenie.

– Bo może nie ma żadnych koneksji.

– A Sonya Michie? – Fox obserwował, jak twarz Heatona sztywnieje.

– Uważaj, co mówisz! Zresztą to stara historia.

– Nie taka stara. Jeszcze parę miesięcy temu spotykałeś się z nią. Zatrzymałeś się na randkę przed tą sauną przy Cowgate.

Heaton potrzebował paru sekund, aby to przetrawić.

– Breck ci powiedział. – W jego głosie zabrzmiało szyderstwo.

– Jack Broughton jest cichym współnikiem w tej saunie – ciągnął Fox. – To jeszcze jeden smakowity kąsek do twojej teczki. O to też cię pytają w sądzie.

Heaton powoli założył ręce, jakby dając do zrozumienia, że nie zamierza atakować.

– Już ci powiedziałem, nie będzie żadnego sądu.

– Byłeś kiedyś w tej saunie, Heaton? Tam ją poznałeś? Może tam spiknąłeś się z Broughtonem? A może to było w klubie nocnym przy Lothian Road, którego właścicielem jest Byk Wauchope...

– Nigdy w życiu tam nie byłem – powiedział Heaton, trzymając papierosa w kąciku ust.

– Ale córkę Broughtona znasz?

– Dobrze się trzyma – przyznał Heaton, potakując głową.

– Poznałeś kiedyś jej męża?

– Charliego Brogana? Nie miałem przyjemności.

– A Byka Wauchope'a?

Heaton pokręcił przecząco głową.

– Poza tym ta spółka od sauny nie należy do Byka, tylko do jego starego.

– Ale na razie Byk nią zarządza – stwierdził Fox.

– To może nie potrwać długo. Słyszałem, że Bruce senior wydał ostatnio trochę na adwokatów. Analizują od nowa cały proces i chcą go unieważnić.

– No to Byk długo nie pohula... – Fox się zamyślił.

– Co to wszystko ma wspólnego z tobą, Fox?
– Nie twoja sprawa.
– No to spróbuję się domyślić. – Heaton opuścił ręce, potem wyjął papierosa z ust. – Facet twojej siostry został zabity. Pracował na budowie. Ta budowa doprowadziła Charliego Brogana do bankructwa. A ty kojarzysz sobie Brogana z Bykiem Wauchope'em.

– Oni już się sami skojarzyli – stwierdził Fox.
– Byk to nie jest głupi facet... niektórzy myślą, że jest, a jemu to pasuje, bo to znaczy, że będą go lekceważyć, a on tym łatwiej ich zniszczy.

– Charlie Brogan też go lekcewał?

Heaton uśmiechnął się do siebie.

– Dlaczego miałbym ci cokolwiek mówić?

– Podobno spowiedź leczy duszę. – Fox zrobił pauzę. – A ja mógłbym może zadbać o to, żeby z twojej teczki zniknęły materiały dotyczące Soni Michie.

– Myślisz, że to dla mnie ważne? – Spojrzał groźnie na Foxa, ten jednak tylko wzruszył ramionami. – Przekroczyłeś już pewną granicę, Fox. Trudno ci będzie wrócić do kontrolerów.

– Wątpię, bym tam wrócił.

Heaton wpatrywał się w niego co najmniej ćwierć minuty.

– A kiedy prokurator zapyta cię o moją sprawę?...

– Zawsze mogę powiedzieć, że się myliłem. Mogę też nagle przypomnieć sobie, że pewne procedury sprawdzające nie zostały dotrzymane...

– Wtedy musieliby ją umorzyć... – rozważał głośno Heaton. – A jeszcze parę minut temu mówiłeś, że będzie proces.

Fox tylko pokiwał głową.

– Co się zmieniło?

– Ja – stwierdził Fox. – Ja się zmieniłem. Zrozum, właśnie przed chwilą uświadomiłem sobie, że ty w ogóle nie jesteś tu ważny. W przyszłości i tak się w coś wpieprzysz i wtedy cię przydupią. Na razie nie o ciebie chodzi. Muszę mieć odpowiedzi na inne, ważniejsze pytania.

Heaton zdobył się na blady, ale grzeczny uśmiech.

– A jaką mam gwarancję, że tak zrobisz?

– Żadnej.

– Nawet w takiej sytuacji jak teraz prokurator będzie potrzebował wielu miesięcy albo i lat, żeby doprowadzić do procesu. Tymczasem siedzę sobie z założonymi rączkami, a forsa leci miesiąc w miesiąc na

moje konto.

– To nie twój przypadek, Heaton. Nie do tego jesteś stworzony. Zwariujesz bez pracy.

Heaton się namyślał.

– Na razie stan rzeczy jest taki: ja nie mam gwarancji, że mogę ci zaufać, ty czegoś ode mnie chcesz i nadal nienawidzimy się na śmierć i życie.

– Tak to można najkrócej ująć.

– Mogę wejść do środka? – Heaton wskazał ruchem głowy na dom Foxa.

– Nie.

– W takim razie wsiądźmy do samochodu, tu już mi całkiem jaja zamarzyły.

Nie czekając na odpowiedź, wrócił za kierownicę, zatrzasnął drzwi i zasunął szybę. Nie patrzył na Foxa. Ten stał jeszcze przez chwilę w miejscu, potem obszedł samochód i wsiadł na miejsce obok kierowcy. Wnętrze alfy pachniało nowością: skóra, lakiery, dywaniki.

– Nie palisz w samochodzie – zauważył Fox. – Żona tego nie lubi?

Heaton tylko parsknął.

– No więc mów – przypomniał Fox.

– Miałeś rację, mówiąc, że Byk długo nie pohula. Ale z innego powodu, niż sądzisz. Wymyślił sobie, że będzie działał jako doradca innych bossów. Namówił ich, żeby włożyli swoje brudne pieniądze w różne nieruchomości i inwestycje budowlane.

– Jack Broughton ci to powiedział? – spytał Fox.

Heaton odwrócił głowę w jego stronę.

– Nie. To Charlie Brogan.

– Mówiłeś, że go nie znasz.

– Kłamałem... W tym właśnie rzecz. Każdy, kto za dużo wie w tej sprawie, może skończyć tak jak on.

– Był pewien deweloper w Dundee... – rozważał Fox głośno. – Kiedy utopił trochę pieniędzy Wauchope'a, znaleziono go martwego. Czy to Terry Vass go zabił?

Brwi Heatona uniosły się nieznacznie.

– Zdaje się, że ty cholernie dużo wiesz.

– Staram się. Czyli tak: kiedy się okazało, że Brogan i ten deweloper z Dundee mają ujemne salda, Wauchope chciał odebrać swoje pieniądze, bo w istocie nie należały do niego. Ale co z tym wszystkim miał wspólnego Vince Faulkner?

– Widziałeś kiedyś Charliego Brogana? Nie był szczególnie... masywny.

– Vince był jego... ochroniarzem?

– To może za dużo powiedziane. Ale kiedy się idzie na pewne spotkania, zawsze dobrze mieć kogoś do towarzystwa.

Fox myślał nad tym przez chwilę.

– Parę miesięcy temu, pamiętasz? Jeden z kierowców Erniego Wishawa został złapany z ładunkiem prochów...

– Pamiętam.

– Podobno to ty informowałeś Wishawa.

– Znowu ten Breck – mruknął Glen Heaton.

– Jesteś znany jako człowiek do wynajęcia, zrozum to. A to znaczy, że znasz wielu takich... Pewnie dlatego cię chronią.

– Co masz na myśli?

– Odkąd przekazałem twoją sprawę do prokuratora, ciągle śledzą mnie jacyś ludzie, próbują mnie zrobić albo przestraszyć.

– Nic nie wiem na ten temat.

– A twój stary przyjaciel Billy Giles też nic nie wie?

– Koniec rozmowy, Fox. A teraz spieprzaj z mojego samochodu.

Fox nawet nie drgnął.

– Twoi zwolennicy mówią, że potrafisz działać skutecznie. Wyświadczasz przysługę jakiemuś łajdakowi, a on odpłaca ci smakowitą informacją o konkurentach. Tym razem też tak jest, Heaton? Ktoś cię przysłał do mnie, żeby wsypać Wauchope'a?

Heaton tylko popatrzył na niego z wściekłością.

– Wypieprzaj z samochodu – powtórzył.

Fox wysiadł. Rozległ się znowu jazgot muzyki, a Heaton kilka razy wcisnął ostro pedał gazu, zanim ruszył. Któraś sąsiadka odchyliła żaluzję i patrzyła, co się dzieje. Fox nie zadał sobie trudu, by ją przeprosić. Po co? Wsunął ręce do kieszeni i wrócił do domu.

Sobota, 21 lutego 2009

27

– Dlaczego myślisz, że możesz mu wierzyć? – spytał Jamie Breck.

– Uważasz, że on kłamie? – odpowiedział pytaniem Fox.

Siedzieli w volvie Foxa i rozmawiali o Glenie Heatonie. Była ósma rano. Światło dnia pojawiało się już zdecydowanie wcześniej, zapowiadając zbliżanie się wiosny. Breck nie odpowiedział na pytanie Foxa, zapewne dlatego, że nie znał odpowiedzi. Trzymał obiema dłońmi kartonowy kubek z kawą. Kupili ją w jakimś sklepie z pieczywem i była tyleż słaba, co wychłodzona. Fox zdążył już wylać całą zawartość kubka za okno. Stali naprzeciw bramy z kutego żelaza, czekając, aż się otworzy.

– Dwadzieścia minut – jęknął Breck, spoglądając na zegarek.

– Dzieciaki nie noszą już zegarków, zauważyłeś?

– Co? – Breck odwrócił głowę w stronę Foxa.

– Używają komórek, tak sprawdzają, która godzina.

– O czym ty mówisz?

– Tak tylko, dla podtrzymania rozmowy. Carpaccio na kolację było dobre?

– Znakomite. Mają tam świetnego kucharza.

– Przeprosiłeś Annabel za mój telefon?

– Wybaczyła ci. A jednak nie sądzę, żeby można było ufać Heatonowi.

– Kto powiedział, że zamierzam mu ufać? Ktoś użył go, aby przesłać nam wiadomość. I tylko od nas zależy, jak z niej skorzystamy.

– Przemyślałeś to? – Breck popatrzył na Foxa, po chwili jednak coś odwróciło jego uwagę. – Zaczekaj... co to za hałas?

Cichy warkot silnika mieszał się ze znacznie głośniejszym zgrzytem otwierającej się bramy. Fox obrócił kluczyk w stacyjce i czekał. Rezydencja SeeBee House miała podziemny parking, właśnie stamtąd miał się za chwilę wynurzyć samochód kogoś z mieszkańców. Przez półotwartą bramę widzieli tylko płótek osłaniający wyjazd z

garażu, ale mogli już słyszeć pomruk silnika.

– Porsche – powiedział Breck. – Założę się o każde pieniądze.

Tak, to było srebrzyste porsche, za kierownicą siedział mężczyzna w ciemnych okularach, zupełnie niepotrzebnych o tej porze. Było już wprawdzie widno, ale jeszcze ani śladu słońca. Brama otwierała się bardzo wolno, porsche powarkiwało niecierpliwie, ale musiało trochę poczekać. Wyskoczyło z rykiem na ulicę, gdy tylko odstęp między skrzydłami bramy na to pozwolił. Fox wjechał do środka i zaparkował przed głównym wejściem, tak jak w czasie poprzedniej wizyty. Kiedy wysiadali z samochodu, brama za ich plecami zaczęła się powoli zamykać.

– Zauważyłeś, kto to był? – spytał Breck.

– Masz na myśli kierowcę? Tak, to Gordon Lovatt.

– Trochę wcześniej jak na porady PR, prawda?

Fox też tak myślał. Stał już przy domofonie z palcem na dzwonku penthouse'u. Obserwowała go mała kamera, spojrział prosto w obiektyw.

– Czego pan chce? – odezwał się głos z domofonu.

– Tylko parę słów, pani Broughton.

– W jakiej sprawie?

– To dotyczy pana Brogana. Mamy nowe wiadomości.

– Nie jestem jeszcze ubrana.

– Myślę, że jest pani przyzwyczajona do przyjmowania wizyt w szlafroku.

– Co pan ma na myśli?

– Przynajmniej, że przed chwilą widziałem tu porsche Gordona Lovatta...

Zapadła cisza. Fox popatrzył na Brecka. Ten zrobił minę, jakby gwizdał, ale całkiem bezgłośnie.

– Naprawdę nie można z tym poczekać? – Głos Joanny Broughton zaskrzeczał w metalowym głośniku.

– Naprawdę nie można – odparł Fox.

Zabrzączał – jakby zirytowanym tonem – zamek w drzwiach. Fox pchnął je i otworzył.

Hol był pusty. Fox poprowadził Brecka do prywatnej windy obsługującej trzypiętrowy penthouse i nacisnął przycisk w kasetce. Drzwi windy otworzyły się, weszli do środka i pojechali na górę. Fox przypomniał sobie spotkanie z Jackiem Broughtonem i Gordonem Lovattem w czasie poprzedniej wizyty. Dostali się na teren rezydencji bez niczyjej pomocy. Wtedy Fox myślał, że to Jack Broughton dostał

od córki pilota otwierającego bramę. Teraz jednak miał wątpliwości.

Kiedy winda dotarła na górę, drzwi do mieszkania Joanny Broughton były już otwarte, a ona sama kompletnie ubrana, uczesana i umalowana.

– Szybka pani jest – skomentował Fox.

– Co chciał mi pan powiedzieć? – spytała. Starła się sprawiać wrażenie, jakby bardzo się spieszyła, ale Fox to zignorował.

– Zna pani detektywa sierżanta Brecka? – przedstawił kolegę. Ten machnął dłonią na powitanie, nie patrząc jednak w jej stronę. Był nazbyt zajęty podziwianiem mieszkania.

– Ładne – powiedział. – Bardzo ładne.

– Mogę panu sprzedać za trzy miliony – wypaliła. Założyła ręce i wysunęła jedną stopę do przodu, jakby szykując się do walki.

– Przypuszczam, że pan Brogan też by sprzedał – rzucił Fox, wsuwając ręce do kieszeni. – Ale rynek jest przeciwko niemu i taka kwota byłaby kroplą w morzu.

Przerwał i zatrzymał wzrok na twarzy Joanny Broughton.

– Ile on jest im winien, pani Joanno?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Mam na myśli Byka Wauchope'a i jego syndykat – wyjaśnił Fox. – Pracowaliśmy nad tą kwestią, detektyw Breck i ja. To może być od dziesięciu do stu milionów. CBBJ posiada znacznie więcej nieruchomości, niż nam się wydawało. Badala to także pewna dziennikarka. I znalazła: domy w całej Szkocji, tysiące akrów terenów budowlanych, kilka wysp, duży teren w Dubaju, kilkadziesiąt mieszkań w drogich rezydencjach w Londynie, Bristolu i Cardiff... Wszystko kupione w okresie dobrej koniunktury, której załamania nikt się nie spodziewał. Pan Brogan był właśnie w trakcie tworzenia nowej spółki na Bermudach, prawda? Ta dziennikarka dowiedziała się czegoś jeszcze: wkrótce cały majątek miał zostać wyprowadzony do rajy podatkowego i otoczony najgłębszą tajemnicą. Ale wtedy wszyscy wpadli w panikę i zażądali zwrotu pieniędzy. Tej samej twardej gotówki, którą dali mu do wyprania.

W czasie tej przemowy twarz Joanny Broughton nie zdradzała żadnych emocji. Ale kiedy Fox skończył, odwróciła się i podeszła do jednej z kanap z kremowej skóry. Usiadła, dbając o to, by sięgająca kolan spódnica zakrywała wszystko, co powinna.

– Powiedział pan, że ma pan nowe wiadomości – stwierdziła chłodno. – Na razie ani jednej nie usłyszałam.

– Co robił tutaj Gordon Lovatt?

Zmierzyła go wściekłym wzrokiem.

– Są przecieki informacyjne z policji, głównie do tej dziennikarki, o której pan mówił. Gordon opracowuje naszą reakcję w tej sprawie. – Zrobiła pauzę. – Podejrzewam, że pan także z nią rozmawiał... i sączył jej truciznę do ucha...

– To z *Hamleta*, prawda? – wtrącił się Breck. Stał z rękami założonymi z tyłu, udając, że podziwia panoramę za oknem.

– Kiedy poprzednio byłem u pani – rzekł Fox, przyciągając znowu jej uwagę – i wymieniałem nazwisko Vince Faulkner, nic to pani nie mówiło.

– A powinno?

– Pani mąż zatrudniał go przy pewnych okazjach, takich zwłaszcza, kiedy obawiał się o własną skórę.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– A słyszała pani nazwisko Terry Vass?

Pokręciła przecząco głową, ale nie patrzyła mu w oczy.

– Podejrzewam, że mąż raczej późno powiedział pani o ty wszystkim, i założyłbym się, że była pani na niego wściekła. Nawet nie trzeba było pytać ojca, żeby zrozumieć, jakie głupstwo popełnił i jak dał się wrobić.

Głos Foxa zabrzmiał nieco łagodniej.

– Ale Charlie potrzebował pani pomocy, a pani – wściekła czy nie – tej pomocy udzieliła. Telefon, który miała pani przy sobie... powiedziała pani, że był na jachcie... Okłamała nas pani. To była dziura w waszej historyjce i przez tę dziurę oboje teraz toniecie.

Jej oczy się zaszkliły, odchyliła głowę do tyłu, by zatrzymać łzy w granicach powiek.

– Musimy z nim porozmawiać – ciągnął Fox, starannie ważąc słowa. – Nie udało mu się oszukać śledczych i bardzo mocno wątpię, czy dał się na to nabrać Byk Wauchope. Teraz będą go szukać po całym kraju kryminaliści. Jest całkiem prawdopodobne, że znajdą go szybciej niż my.

Fox pokazał palcem pustą ścianę.

– Zaczął sprzedawać dobra rodzinne, żeby choć trochę uspokoić Wauchope'a. To samo stanie się z całą resztą majątku.

Znów przerwał, ale nie było żadnej reakcji z jej strony. Wydawało się, że skamieniała albo że sumiennie pozuje do portretu.

– Jest jeszcze w kraju? – spytał Fox. – Podejrzewam, że jest, tu najłatwiej zatrzeć ślady. Może nawet mieszka na którymś z niższych pięter... i zakrada się tu nocami... żyje jak termit.

– Idźcie już – powiedziała.

– Jeśli naprawdę chce mu pani pomóc, niech mu pani o nas powie. Nie jesteśmy jego przyjaciółmi, ale jesteśmy jego najlepszą, a może i jedyną szansą. Co powiedziała pani ojcu? Próbowwała pani przynajmniej prosić go o pomoc?

Jej oczy zapaliły się, ale Fox ciągnął spokojnie dalej:

– Zapewne nie. Bo dobrze pani pamięta, że Jack nigdy nie był entuzjastą pani męża... tak to bywa między ojcem i córką.

– Wynoście się – powtórzyła mocniej w nagłym przyplywie energii.

Fox trzymał w palcach wizytówkę.

– Mój numer jest na odwrocie – powiedział, kładąc wizytówkę na oparciu sofy. – Odgadliśmy to, pani Joanno. Wauchope też to odgadnie i przyjdzie tu z pytaniami.

– W tej sprawie ma jeszcze coś do powiedzenia mój tata. Coś o panu.

Fox spokojnie pokręcił głową.

– Jack jest już zmęczony, to widać po jego oczach, po sposobie poruszania się. Wiem, że bardzo go pani szanuje, ale to dlatego, że pamięta go pani z dawnych lat. Może nawet bała się go pani bardziej niż trochę. Ale wszystko się zmieniło. Proszę pomyśleć: gdyby Charlie się go bał, nigdy nie zadawałby się z Wauchope'em i jemu podobnymi... Trzymałby się od nich z daleka, choćby ze strachu przed narażeniem na szwank nazwiska Jacka Broughtona.

Fox przykucnął nieco, by łatwiej spojrzeć jej w oczy.

– Niektóre obecne posiadłości Wauchope'a w Edynburgu były kiedyś częścią imperium pani ojca. Jack Broughton pozwalała mu wykupywać udziały, bo czuje się słaby. Jest już tylko jednym z wielu drobnych udziałowców. Ale Wauchope też wyczuwa tę słabość. I chce dopaść Charliego Brogana. Nie jestem pewien, czy zdoła pani temu zapobiec własnymi siłami.

Tym razem Joanna Broughton nie mogła już powstrzymać łez. Otarła je rękawem bluzki, rozmazując tusz na obu policzkach.

– Idźcie już – powiedziała cicho, niemal szeptem.

– Porozmawia pani z Charliem?

– Wyjdźcie wreszcie! – Rozprostowała ramiona i nabrała powietrza w płuca. Nagle zaczęła krzyżeć. – Precz! Macie się stąd natychmiast wynieść!

– Proszę pamiętać o mojej wizytówce – rzekł Fox.

– Won!

– Idziemy już, idziemy...

Kiedy zjeżdżali windą, Breck pokiwał głową z uznaniem: to była dobra robota. Fox zareagował skromnym wzruszeniem ramion.

– Nie mogło się nie udać. Zastanówmy się raczej, czy to nam cokolwiek da.

Na podwórzu obok volva Foxa stało duże czarne bmw z przyciemnianymi szybami. Kierowca wysiadł i Fox natychmiast go rozpoznał.

– Pan Broughton, prawda? – spytał.

Jack Broughton patrzył na wyciągniętą do niego dłoń, ale nie zdecydował się jej uściśnąć.

– Chyba mnie pan nie poznaje. Byłem w trochę gorszym stanie, kiedy widzieliśmy się ostatnio.

– Jest pan tym gliniarzem... już raz tu pan był.

Fox przytaknął.

– Ale jestem też tym, którego napadli na Cowgate...

Broughton zmrużył oczy i jeszcze raz przyjrzał się twarzy Foxa.

– Mam nadzieję, że nie zdenerwował pan Joanny?

– Broń Boże. Ta sauna przy Cowgate... należała kiedyś do pana?

– Byłem właścicielem budynku, a to, co się dzieje w środku, nie powinno nikogo obchodzić, dopóki jest legalne.

– Jeśli użytkownikiem jest Wauchope, to nadzieje na legalność są raczej marne.

Jack Broughton zastanawiał przez dłuższy moment, ale zaniechał odpowiedzi.

– Zabieram córkę na śniadanie – powiedział i ruszył w stronę drzwi domu. Zatrzymał się jednak blisko Foxa. – Zdradzę panu pewien sekret... coś jednak widziałem tamtej nocy. Było ich dwóch. Widziałem ich tylko z tyłu... ale potem miałem wrażenie...

– Jakie wrażenie?

– Że to gliniarze. Niech ich szlag trafi.

Otworzył drzwi własnym kluczem. Fox odprowadził go wzrokiem. *Było ich dwóch...* Oczywiście: jeden przygniatał go kolanami, drugi kopnął w szczękę. Dwaj gliniarze.

– Próbuje cię kołować – skomentował Jamie Breck. Fox popatrzył na niego.

– Tak uważasz?

Breck spojrział na zegarek.

– Muszę jechać na Fettes na rozmowę ze Stoddart...

– Podrzucę cię. – Fox otworzył samochód i wsiadł, zapiął pas, ale

potem siedział bez ruchu z rękami na kierownicy.

– Masz dużo czasu – przynaglił Breck.

– Przepraszam. – Fox uruchomił silnik i ustawił samochód przodem do bramy, która właśnie zaczęła się otwierać.

– Chyba nie traktujesz tego starego drania poważnie? – spytał Breck.

– Oczywiście. Ale czy mógłbyś...

– Co?

– Zadzwoń do Annabel i zapytaj ją o coś?

Breck wygrzebał telefon z kieszeni.

– Co chcesz wiedzieć?

– Skład zespołu, który roznosił zdjęcia Faulknera we wtorek wieczorem...

– A jednak traktujesz go poważnie.

– Dwóch gliniarzy, Jamie... w tym jeden żądny odwetu...

Breck dopiero teraz zrozumiał.

– Dickson i Hall...

– Dickson i Hall – zgodził się Fox.

• • •

Po południu w komórce Foxa pojawił się SMS. Brecka nie było, pojechał spotkać się przy kawie z Annabel. Musiał się z paru rzeczy wytłumaczyć: zamierzali spędzić ten weekend w Amsterdamie i wrócić do Edynburga dopiero wieczornym lotem w niedzielę, ale Breck postanowił odwołać wyjazd. Wprawdzie Fox powiedział mu, że nie jest to niezbędne, lecz Breck się uparł.

– Muszę przy tym być.

– A jeśli do „tego” w ogóle nie dojdzie? – zakpił Fox.

Jednak doszło. W komórce był tekst: „Waverley 7 wieczorem, kup bilet do Dundee, czekaj przy kiosku WH Smith”. Nie było żadnego nazwiska. Fox oddzwonił pod wyświetlony numer, ale nikt nie odebrał. Miał już jednak pewność. Przez parę minut chodził w tę i z powrotem po salonie, potem zatelefonował do Jamiego Brecka.

– Nadal jesteś z Annabel? – spytał.

– Poszła do toalety. Myślę, że przestaje mnie lubić.

– Wyjaśnicie to sobie później. Jak było u Stoddart?

– Tak jak przewidywałeś. Sądzę, że zrobiła to tylko na pokaz, dla swoich kolegów.

– Nie pytali o tę wycieczkę, którą urządziliśmy ich szefowej?

– Nie dała im szansy: eskortowała mnie przez cały czas, a w

czasie przesłuchania nie wyszła nawet na chwilę.

– To dobrze...

Breck wyczuł z jego tonu, że coś się musiało wydarzyć.

– No, mów – przynaglił.

– Mamy umówione spotkanie. O siódmej wieczorem na dworcu Waverley. On chce, żebyśmy kupili sobie bilety do Dundee.

– Dundee? Może czegoś nie rozumiem, ale to przecież najgorsze miejsce, w jakim mógłby się ukrywać.

– Po drodze jest dużo innych stacji. – Fox uznał milczenie Brecka za zgodę. – Kiedy kupimy bilety, mamy czekać przy kiosku z gazetami.

– Na co?

– Nie wiem.

– Nie spytałeś go?

– To był SMS.

– Próbowalesz oddzwonić?

– Tak, ale nikt się nie odezwał.

– Powinniśmy dać komuś ten numer... żeby go zlokalizowano...

Masz przynajmniej pewność, że to od niego? Podał swoje nazwisko?

– Nie.

– A więc to może być ktoś inny.

– Nie wiem.

– Annabel wraca – powiedział Breck.

– Zabierz ją gdzieś dziś wieczorem...

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Spotkamy się tam o siódmej.

Telefon zamilkł. Fox wsunął go z powrotem do kieszeni i potarł skronie. Wziął jakąś książkę ze sterty na podłodze i umieścił ją na wypełnionej w połowie półce.

– No to zaczynamy – powiedział do siebie.

• • •

Na dworzec przyjechał taksówką. Rozmowa z kierowcą kręciła się oczywiście wokół budowy linii tramwajowej i utrudnień w ruchu.

– Ta rada! Ten zarząd miasta! – narzekał w stylu telegraficznym taksówkarz. – A o bankach to już nawet myśleć nie warto.

Fox nie zamierzał myśleć o bankach, zafrapował go bowiem inny, konkretny problem. Musiał teraz wejść w nową rolę: podróżnego wracającego do domu po ciężkim dniu. Może pracuje w soboty, a może tylko wybrał się do miasta na zakupy. Teraz wysiądzie z tak-

sówki, pójdzie do kasy i kupi bilet. Chyba nieźle się wczuwał, bo taksówkarz zapytał nawet:

– Wraca pan do domu?

Nie był jednak ani trochę zainteresowany odpowiedzią, mówił dalej:

– Nie dziwiłbym się, gdybyś chciał emigrować, kolego... Cały ten kraj to jeden wielki burdel...

Taksówka dotarła do dworca i zatrzymała się w zatoczce. Fox zapłacił kierowcy, dodając napiwek. Przyjął życzenia udanego weekendu i zatrzasnął drzwi. Na dworcowym zegarze była szósta czterdzieści. Mnóstwo czasu... Szczyt powrotów po zakupach wyraźnie już minął, ale w hali dworcowej kręciło się wciąż dużo ludzi. Przed chwilą przyjechał chyba pociąg z Londynu. Na postoju taksówek stała długa kolejka. Fox szczerze współczuł podróżnemu czy turyście, któremu trafi się pożegnany przed chwilą taksówkarz. Przed kasą biletową też była kolejka, obok stały jednak automaty samoobsługowe. Fox użył karty płatniczej i kupił dwa powrotne ze zniżką „poza godzinami szczytu”.

Zostawiasz ślad, uświadomił sobie. Ale gdyby coś miało pójść źle, ten ślad miał też swoje zalety: dałby do myślenia poszukującym go policjantom. Ruszył wolno w stronę wyjścia na perony, minął stoisko z kawą, jakiś bar, Burger Kinga, wreszcie dotarł do kiosku WH Smith. Stało tu parę osób oglądających zawartość witryn. Także Fox spędził kilka minut na czytaniu tytułów książek i czasopism. Nic się nie wydarzyło, ale przecież zostało jeszcze siedem minut.

– Cześć, glino! – warknął głos za jego plecami. Fox odwrócił się i zobaczył wykrzywioną chytrze twarz Jamiego Brecka.

– Musisz ćwiczyć czujność, Malcolm. Jestem tu już parę chwil. – Wyciągnął rękę, w której trzymał bilet. – Masz, to twój.

Zamiast odpowiedzi Fox wyciągnął swoje bilety.

– Fura! – stwierdził ze złością. Potem spytał: – Dawno przyszedłeś?

– Pół godziny temu. Postanowiłem obejrzeć sobie to miejsce. Ty, jak widzę, też.

– Zastanawiam się, dlaczego chciał się z nami spotkać właśnie tutaj? – spytał Fox.

– Rzeczywiście, trochę tu dużo ludzi i spora ekspozycja...

Breck przerwał, bo coś sobie przypomniał.

– Pamiętasz, co powiedziałeś? Że może on mieszka parę pięter niżej, pod penthouse'em...?

– Nie sądzę. To by postawiło Joannę na linii ognia.
– Chyba i tak jest na linii ognia. Skoro on zwiął, to dlaczego ona ciągle tkwi w tym samym miejscu?

– Przecież zarządza kasynem, Jamie. Poza tym gdyby oboje zwiáli, Wauchope jeszcze szybciej by ich znalazł.

Breck pokiwał głową ze zrozumieniem. Spojrzał na wielki cyfrowy zegar nad tablicami odjazdów i przyjazdów.

– Pociąg do Dundee odjeżdża punkt siódma. Jeśli do niego nie wsiądziemy, następny jest za pół godziny. Co robimy?

– Może powinniśmy wsiąść do pociągu o siódmej, a on wskoczy na którejś stacji po drodze albo...

Breck czekał przez chwilę, wreszcie spytał:

– Albo?

– Albo spotkamy się tutaj. Mimo że, jak powiedziałaś, jest to dość ryzykowne.

– Albo będzie się z nami bawił w ciuciubabkę – dodał jeszcze jedną możliwość Breck.

Fox postanowił zmienić temat.

– Annabel już się nie złości?

– Kolacja w środku tygodnia w Prestonfield House, a Amsterdam przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Widzę, że jest ostrym negocjatorem.

– Uznałem, że najlepiej będzie od razu się poddać. Ale skoro już o niej mowa, miałaś rację...

– W sprawie Dicksona i Halla?

Breck skinął głową.

– Roznosili ulotki tej nocy na Cowgate. Planujesz jakiś odwet?

Fox pokręcił przecząco głową. Breck znów popatrzył na dworcowy zegar.

– No, siódma już minęła.

– Tak.

– A my tu stoimy jak głupi przed WH Smith.

– Nie mogę zaprzeczyć.

– I jakoś nic się nie dzieje. – Breck przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

Fox obserwował przechodzących ludzi. Niektórzy na pewno coś już wypili; niewykluczone, że wybierali się na jakiś mecz. Rozmawiali hałaśliwie z przyjaciółmi. To był sobotni wieczór, więc przyjezdni mogli mieć tylko jeden cel. W jednej z rozmów Fox usłyszał nawet nazwę Rondo.

Breck wciąż spoglądał na zegarek.

– Wyluzuj – pocieszył go Fox.
– Wzięłeś coś na uspokojenie? – spytał Breck. – Nie powiesz mi, że się nie denerwujesz.

– Cały jestem w nerwach – przyznał Fox.

Mijali ich następni podróżni, niektórzy biegiem, by zdążyć na pociągi, które miały odjechać o siódmej, ale były spóźnione i wciąż tkwiły przy peronach. Ciągłe o tym informowano przez głośniki. Fox miał wrażenie, że potrafiłby już powtórzyć z pamięci te komunikaty.

– Spóźnia się – powiedział. Breck tylko pokiwał głową.

Nagle telefon w dłoni Foxa zaczął dzwonić. Na wyświetlaczu pojawił się ten sam co poprzednio numer, ale tym razem nie był to SMS, tylko rozmowa. Fox przyłożył telefon do ucha.

– Tak? – zapytał.

Głos, który odezwał się z tamtej strony, był nienaturalnie niski, celowo zdeformowany.

– Wyjdźcie tylnym wyjściem i zatrzymajcie się przy światłach na Market Street.

Telefon zamilkł.

– Przyjąłem i zrozumiałem – mruknął odruchowo Fox. Potem zwrócił się do Brecka: – Idziemy.

– Gdzie?

– On chce, żebyśmy poszli na Market Street – odparł Fox i ruszył w stronę schodów.

– Po co?

– Bo obejrzał za dużo filmów o Bournie.

– Rozpoznałeś głos?

– Jak? Nigdy przedtem z nim nie rozmawiałem.

– A więc może to nie on.

– Gdyby to była gra komputerowa, jak byś teraz postąpił?

– Szukałbym sojuszników.

Fox popatrzył na niego.

– Raczej nie mamy na to czasu.

– Zresztą kto chciałby nam pomagać? – dodał Breck.

– Dobre pytanie...

Kiedy wspięli się na kładkę dla pieszych, Fox musiał stanąć, by zaczerpnąć powietrza.

– A co by było, gdybym jeszcze palił – zdołał wykrztusić.

– Byłbyś o parę kilogramów lżejszy – odparł Breck. – Co mamy robić, kiedy tam dojdziemy?

– Czekać na dalsze instrukcje.
Breck popatrzył na niego karcąco.

– Chyba nie użył takich słów.

Fox ruszył dalej. Na końcu kładki czekały ich kolejne schody prowadzące na chodnik przy Market Street. Po prawej mieli przejście dla pieszych z sygnalizacją świetlną. Fox rozejrzał się w poszukiwaniu ich dręczyciela. Miejskie Centrum Sztuki skrywał mrok. Po lewej piętrzył się wiadukt North Bridge. Stały na nim zderzak w zderzak autobusy czekające na zmianę świateł przy Princess Street.

Breck spojrział na trzymane wciąż w ręku bilety kolejowe.

– Mam nadzieję, że zwróci nam pieniądze.

– Myślę, że jesteśmy na samym końcu bardzo długiej kolejki.

– Chyba masz rację.

Telefon znowu zadzwonił, Fox podniósł go do ucha. Głos się zmienił, jakby mówiący nie potrafił już utrzymać poprzedniego, sztucznego tonu.

– Przejdźcie przez jezdnię i idźcie w stronę Jeffrey Street. Kiedy miniecie most, szukajcie kościoła.

Rozmówca znów się rozłączył. Fox przekazał treść instrukcji Breckowi.

– Myślę, że idziemy tam odpokutować za grzechy – dodał, wchodząc na przejście, na którym właśnie zapaliło się zielone światło.

W gruncie rzeczy nie sądził, aby kościół był otwarty w sobotę wieczorem, więc kiedy doszli przed stary kościół św. Pawła, stanęli i zaczęli się rozglądać. Fox nadal trzymał telefon w dłoni, robiąc parę kroków w lewo i w prawo; w Edynburgu wiele jest miejsc, do których nie dociera sygnał.

– Co teraz? – spytał Breck. – Znowu czekamy?

– Znowu czekamy – potwierdził Fox.

– Cokolwiek się dalej zdarzy, ten chłopczyk dostanie ode mnie klapsa... Myślisz, że nas obserwuje?

– Możliwe.

Breck popatrzył w dół i w górę ulicy.

– Nie ma zbyt wielu kandydatów – dokończył przerwana myśl. Rzeczywiście, było tu dużo spokojniej niż na Market Street. Stał wprawdzie jeden autobus przed hotelem Jurys Inn, ale nie było w nim ani jednego pasażera.

– Myślisz, że jest gdzieś tutaj?

– Chyba tak.

Breck zaklął szpetnie półgłosem. Fox przyglądał się murowi ko-

ścioła. Wisiały na nim dwie tabliczki: jedna informowała, że stary kościół św. Pawła należy do Szkockiego Kościoła Episkopalnego, druga przypominała o historii tego miejsca. Świątynię zbudowano w 1689 roku, a w osiemnastym wieku stała się schronieniem dla jakobitów. Określono ją jako „miejsce dla wszystkich poszukujących wiary”.

– No i amen – mruknął Fox. Chwilę później odezwał się telefon. Fox podniósł go do ucha, ale nic nie usłyszał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to SMS. Na ekraniku widniał krótki napis dużymi literami: WE WNEȚRZU.

Pokazał aparat Breckowi, a ten nacisnął klamkę. Wystarczyło lekkie pchnięcie, by drzwi się otworzyły. Za nimi były strome schody. Fox skorzystał z poręczy. Kiedy wspiał się na górę, znalazł się w nawie znacznie obszerniejszej, niż mogło się wydawać z ulicy. W jednym jej końcu wisiały na ścianie obrazy wyglądające na współczesne, w przeciwnym znajdowały się ambona i ołtarz, a w bocznej ścianie kaplica. Jakiś młody mężczyzna zamiatał podłogę między ławami. Nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, choć Breck natarczywie się w niego wpatrywał. Uwagę Foga przykuła natomiast oświetlona kaplica. Jedną z jej ścian zajmował niemal w całości ogromny obraz. Naprzeciw niego stało kilka składanych krzeseł. Usiadł na jednym z nich i dopiero wtedy spostrzegł, że obraz składa się z czterech kwadratowych płócien przedstawiających razem jakąś zmiętą białą tkaninę. Czy miał to być płaszcz, czy raczej całun? Nie potrafił tego stwierdzić, ale obraz niewątpliwie go fascynował.

– To on? – spytał Breck szeptem, mając na myśli zamiatacza.

– Za młody – zdecydował Fox.

– To jakaś głupota – powiedział Breck, przegarniając palcami włosy.

– Usiądź, zrelaksujesz się trochę – zasugerował Fox.

Breck nie wydawał się przekonany, ale usiadł.

– Jeden z obrazów sprzedanych przez Brogana wyglądał podobnie, tylko był mniejszy. – Fox przypomniał sobie fotografie z penthouse'u opublikowane w którejś gazecie.

– To dlatego nas tutaj ściągnął?

Fox wzruszył tylko ramionami i ponownie wpatrzył się w obraz. Ktoś nowy wchodził po schodach. Kroki brzmiały, jakby buty podbite były papierem ściernym. Breck odwrócił głowę. Im bliżej wejścia do kaplicy, tym kroki stawały się cichsze. Breck wstał i szturchnął Foga, aby zrobił to samo, ale ten nadal kontemplował obraz. Przybysz

przedefilował przed nim i usiadł na sąsiednim krześle.

– Artystka nazywa się Alison Watt – powiedział Charles Brogan.
– Trochę znam się na sztuce, inspektorze.

– Pewnie szkoda było sprzedawać to wszystko... – Fox odwrócił wzrok od obrazu i popatrzył na topielca.

Brogan zdjął z głowy czapkę uszatkę, jego rzednące już włosy były całkowicie zgolone.

– Żona tak pana urządziła? – spytał Fox.

Brogan przejechał dłonią po łysinie. Na dłoniach miał wełniane rękawiczki bez palców. Stracił chyba sporo na wadze, a jego skóra była ziemista. Przestał się gładzić po głowie, za to zaczął drapać palcami brodę. Na pewno nie golił się już od jakiegoś czasu. Czarna robocza kurtka mogła pochodzić z którejś z jego budów. Dżinsy pamiętały dawne czasy, podobnie jak zdarte buty. W sumie dawało to nie najgorszy kamuflaż.

Ale i nie najlepszy.

– Nikt za wami nie szedł – stwierdził Brogan – i nie sprowadziliście kawalerii.

– Nie widzieliśmy pana na Waverley.

– Byłem na górze, na galerii. Kiedy zadzwoniłem i zobaczyłem, że odbieracie, wiedziałem już, że to wy jesteście moimi chłopakami.

– Tyle że nie jesteśmy pańskimi chłopakami – sprostował Breck.

Brogan wzruszył ramionami. Fox spojrział na niego przenikliwie.

– Co się stało z Vince'em Faulknerem? – spytał.

Brogan milczał przez chwilę. Mogło się wydawać, że całą uwagę skupił na obrazie.

– Bardzo mi przykro, że to się stało – powiedział w końcu.

– Wysłał go pan na spotkanie z Terryem Vassem, prawda?

Brogan pokiwał głową.

– A Vass chciał dać panu nauczkę – stwierdził Fox.

– Gdybym to ja poszedł do tej sauny... – Głos Brogana zamarł.

– O to chodziło, prawda? Vass czekał na pana, a zamiast pana zobaczył Vince'a.

Po raz pierwszy myśląc o losie Vince'a, Fox poczuł ból. Brogan znalazł informacje o przestępczej działalności Faulknera i uczynił z niego swojego „żołnierza”. Vince mógł zresztą dobrze czuć się w tej roli. Może nawet prowokował Terry'ego Vassa. Tak czy owak, zginął straszną śmiercią.

– Miał pan papiery Vince'a i wiedział pan o jego kryminalnej przeszłości – mówił dalej Fox. – Mógł pan pożyczyc sobie od Jacka

Broughtona któregoś z jego mięśniaków. Ale wołał pan mieć swojego człowieka, posłusznego tylko panu, więc wybrał pan Vince'a. Przyszedł do pana w sobotę wieczorem. Właśnie pobił swoją dziewczynę i był z tego powodu wściekły na siebie, upił się, próbował zalać robaka. Barman z kasyna mówi, że w tym stanie absolutnie nie powinien zostać tam wpuszczony, ale – jak myślę – pan uprzedził bramkarzy.

Fox przerwał, ale Brogan nie odrywał wzroku od obrazu.

– Był panu potrzebny, żeby iść do Vassa i dostać baty za pana. Był zbyt pijany, by odmówić, i to też panu pasowało.

– Byłem przerażony... – mruknął Brogan.

– Taksiarz, który zawiózł go w okolice sauny, mówi, że Vince też wyglądał na przerażonego. Chyba szybko trzeźwiał i wahał się, czy tam iść.

– To nie powinien był drażnić tego goryla. – Brogan pozwolił sobie na krótkie spojrzenie na człowieka, który go dręczył.

Fox jeszcze raz spróbował się wczuć w sytuację Vince'a Faulknera. Z tą paczką banknotów, którą ukrył w domu, mógł przynajmniej uregulować zaległe rachunki...

– Zabili go w saunie? – wtrącił się Breck. – Może powinni tam wejść biegli sądowi.

Ale Brogan pokręcił przecząco głową.

– Zabrali go gdzie indziej... i tam go trzymali.

– Skąd pan to wie? – Fox nie spuszczał już wzroku z Brogana. Obserwował, jak ten z trudem i wielokrotnie przetyka ślinę, zanim zdecydował się na odpowiedź.

– Dzwonili do mnie. Wsadzili Vince'a do... – Zacisnął powieki, usiłując zatrzymać strumień pamięci. – Nigdy już nie chciałbym czegoś takiego słyszeć.

– Usłyszysz pan. Kiedy przyjdą po Joannę.

Brogan otworzył oczy i spojrzał na Foxa dzikim wzrokiem.

– Zabiję ich! Wiedzą o tym.

– Być może...

– A jeśli nie ja, to Jack.

– To o Jacka tutaj przede wszystkim chodziło, prawda? – spytał Fox. – Robił pan coś, co miało zaimponować pańskiemu teściowi: wielka gra o forszę z wielkimi bossami. Nawet jeśli nie powiedział pan tego Broughtonowi, wiedział pan, że prędzej czy później to do niego dojdzie, a wtedy on zacznie pana choć trochę bardziej szanować.

Twarz Brogana drgnęła i Fox wiedział już, że trafił w czuły punkt.

– Ale tu ma pan problem, Charlie – kontynuował. – Kiedy

przyjdą po Joannę, a na pewno przyjdą, Jack nie ich będzie ścigał. Zacznie polować na pana. Bo tylko i wyłącznie pana będzie za to obwiniał.

Brogan sprawiał wrażenie, jakby głęboko myślał nad tym, co usłyszał.

– Jestem w piekle... – powiedział cicho, wbijając wzrok w obraz.

– Dlatego pan tutaj przyszedł – rzekł Fox. – Dobrze pan wie, że jesteśmy pańską ostatnią szansą.

– Co możecie zrobić? – Brogan pochylił głowę jak do modlitwy.

– Nie wiem.

Brogan nie podniósł głowy, ale obrócił ją tak, by móc spojrzeć w oczy Foxa.

– Naprawdę nie wiem – powtórzył Fox i bezradnie wzruszył ramionami. Potem zwrócił się do Brecka: – Może ty masz jakieś pomysły?

– Mam parę – odparł Breck po chwili namysłu.

– No to już lepiej – stwierdził Fox. – Ale Charlie... musi pan nam najpierw wszystko powiedzieć. Wszystko, co pan wie.

Brogan zastanawiał się przez chwilę.

– Naprawdę myślałem, że to się uda – mruknął bardziej do siebie niż do nich.

Fox parsknął gniewnie.

– Ciało Vince'a znaleziono we wtorek po południu. Parę godzin później całkiem niespodziewanie sprawdza pan testament u swojego notariusza, a w czwartek rozchodzi się pogłoska, że pan nie żyje. – Pokręcił powoli głową. – Nie, Charlie, to nie miało prawa się udać.

– Chociaż te buty pokładowe były niezłym pomysłem – przyznał Breck. – Kiedy się coś takiego tapla w wodzie, to na niejednym robi wrażenie...

– To był pomysł Joanny.

– I ona pomogła panu dostać się na brzeg? – odgadł Fox. – Na pontonie?

– Dopłynąłem. – Brogan z dumą wypiął pierś. – Kiedyś potrafiłem przepłynąć całe ujście.

– No to nieźle – skomentował Breck.

Po chwili namysłu Fox zapytał:

– Pieniądze z tych obrazów... miały wyciągnąć pana z kłopotów, prawda? Czy Wauchope wiedział, że pan je ma? I to właśnie go wkurzyło?

– Ludzie tacy jak Wauchope wkurzają się przy byle okazji.

– Zna pan Glena Heatona, prawda? Kiedy zacząłem się w to wszystko wtrącać, wysłał pan do niego Joannę, żeby napuścił mnie na Byka Wauchope'a?

Brogan uśmiechnął się z rezygnacją.

– Tak jak pan powiedział, inspektorze: jest pan jedyną kartą, jaka mi jeszcze została...

Ktoś odkasznął za ich plecami. Wszyscy trzej obrócili się nerwowo, lecz był to tylko zamiatacz.

– Przepraszam – powiedział – będę już zamykać. Ale nie musicie się bardzo spieszyć, zaczekam chwilę. Ruchem głowy wskazał obraz.

– Piękna rzecz, prawda? Jak w życiu...

– Tak, jak w życiu – zgodził się Fox.

Ale przecież na obrazie był całun, a to przypominało mu martwego Vince'a Faulknera, spoczywającego w szufladzie chłodni w kostnicy miejskiej. Wszystko z powodu tego ogolonego na łyso człowieka, który znowu wpatrywał się w obraz.

Wszystko dlatego, że niejaki Charlie Brogan koniecznie chciał coś udowodnić światu.

• • •

Na Torphichen czekała na nich Annabel Cartwright. Przedtem upewniła się, że Billy Giles i jego zespół pojechali już do domów. W dyżurce siedział jakiś nieznajomy sierżant, ale zajęty był rozmową przez telefon, kiedy wchodzili. Cartwright poprowadziła ich długim korytarzem do pokoju przesłuchań. Dała im taśmy do kamery i do magnetofonu. Kiedy wszystko było gotowe, Fox zauważył, że najlepiej będzie, jeśli Annabel zostawi ich samych. Uznała, że Fox ma rację, i wyszła. Ostentacyjnie nie zwracała uwagi na Jamiego Brecka.

– Moje zobowiązania rosną – powiedział Breck, kiedy zostali sami.

– No to od razu zabierzmy się do roboty – odparł Fox.

Godzinę później mieli już wszystko, czego potrzebowali. Fox schował taśmy do kieszeni, po czym opuścili komisariat, nie rozmawiając z nikim. Na ulicy stał zaparkowany radiowóz. Fox rozejrzał się w lewo i w prawo, przypomniał mu się dzień, kiedy po raz pierwszy spacerowali tutaj z Breckiem.

– Co dalej? – spytał Brogan, poprawiając czapkę na głowie.

– To bezpieczny adres, tam, gdzie pan teraz mieszka? – spytał Fox.

– Tak.

– A Joanna zna ten adres?

Brogan spojrział na niego pytająco.

– Jeśli zna – dodał Fox – to nie jest bezpieczny.

– Ona nie powie...

– Może nie... – Fox nie trudził się dokończeniem zdania. –

Pozostajemy w kontakcie telefonicznym, tak?

Brogan zaakceptował to skinieniem głowy.

– No to w porządku. Niech pan się w ogóle nie pokazuje przez
dobre albo dwie. My tymczasem rozważymy różne opcje.

Brogan ponownie skinął głową. Jakaś taksówka wyłoniła się z za
zakrętu. Brogan wyciągnął rękę i taksówka zatrzymała się przy nich.
Wsiadł do niej bez słowa i zatrzasnął za sobą drzwi. Jaki adres podał
kierowcy – tego już ani Fox, ani Breck nie usłyszeli. Obserwowali
odjeżdżającą taksówkę, dopóki nie skręciła w Morrison Street.

– Co dalej? – spytał Breck.

– Podobno to ty masz pomysły.

– Chyba ci się nie spodobają.

– Jeśli tylko istnieją, chętnie posłucham.

Ruszyli w górę ulicy w stronę skrzyżowania ze światłami. Po
chwili znaleźli jakiś pub.

– Co myślisz o Broganie? – spytał Breck.

– Miałem ochotę dać mu w mordę.

– To by fajnie wyglądało na wideo – powiedział Breck,
uśmiechając się.

– Nie wyglądałoby fajnie – odparł Fox. – Miałem ochotę dać mu
w mordę tam, w kaplicy.

– Przed obliczem Boga?! – Breck udał święte oburzenie.

Fox wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia.

– Twoje pomysły, Jamie...

– Szczerze mówiąc, mam tylko jeden. I na pewno ci się nie spo-
doba.

– Bo jest ryzykowny? – próbował się domyślić Fox.

– Bo jest głupi – sprostował Breck.

Niedziela, 22 lutego 2009

28

Następny wieczór, Dundee. Ludzie na ulicach korzystający z ostatnich godzin rozrywki przed kolejnym tygodniem pracy.

Siedzieli w samochodzie Foxa. Wcześniej, w Edynburgu, Breck proponował skorzystanie z jego mazdy, „dla odmiany”, ale Fox odmówił, tłumacząc, że po prostu nie czułby się wygodnie.

– Nie jestem zbudowany do sportowych aut, Jamie.

Pojechali więc do Dundee volvem Foxa i zaparkowali na ulicy przed barem U Lowthera. Breck zakłócił nieco weekend Markowi Kelly'emu, prosząc o aktualne fotografie Byka Wauchope'a i Terry'ego Vassa. Kopie wydobyte z zasobów wydziału kryminalnego w Dundee leżały teraz w schowku przed pasażerem. Wcześniej obaj przyjrzeni się dokładnie zdjęciom, by zarejestrować twarze oprychów w pamięci. Na razie nikt z wchodzących do Lowthera lub wychodzących z baru nie pasował dokładnie do tych fotografii, choć niektórzy byli podobni.

– Nieszczęśliwe towarzystwo – powiedział Breck, kiedy z baru wyszli na papierosa trzech mężczyzn.

Czytali przy okazji SMS-y na swoich komórkach i pluli gęstą flegmą na chodnik. Jeden drapał się po kroczu, drugi rzucał chrypliwym głosem zaczepki pod adresem wszystkich młodych kobiet, które odważyły się przejść koło nich. Wszyscy trzech mieli na sobie T-shirty opinające się na rozdętych brzuchach. Wszyscy też nosili tatuaże na rękach i złote łańcuchy na szyi i nadgarstkach. Ich włosy były nasączone żelem i ułożone w kolce, twarze błyszczące, tłuste i dziobate.

– To co, wchodzimy? – spytał Breck.

– To twój plan, Jamie, sam sobie odpowiedz.

– Inaczej przesiedzimy tu całą noc.

Wcześniej odwiedzili oficjalną siedzibę Wauchope Leisure Holdings. Był to sklep w szeregowym pawilonie handlowym na północ od centrum. Drzwi wyglądały na solidne, a żaluzje za brudnymi szybami były szczelnie zamknięte. Zapukali, ale nie było żadnej reakcji.

Pozostał im więc tylko Lowther: należący do Wauchope'a pub z automatem telefonicznym. To stąd zadzwonił ktoś, by zwabić pewnego dewelopera w śmiertelną pułapkę, a innego sprowokować do pozorowanego samobójstwa.

Tak, pub U Lowthera był ich ostatnią szansą...

Breck wiedział to dobrze, otworzył więc drzwi samochodu i wysiadł. Fox wyjął kluczyk ze stacyjki i poszedł w jego ślady. Trzej mężczyźni nadal nie zwracali na nich uwagi. Głośno śmiali się z czegoś – z jakiegoś tekstu czy zdjęcia, które jeden z nich pokazywał na swojej komórce. Breck stanął tuż za nimi.

– Można się przyłączyć? – spytał.

Wszyscy trzej natychmiast się odwrócili. Fox stanął obok swego kolegi, choć marnie oceniał ich szanse. Z twarzy oprychów zniknął uśmiech.

– Cuchnie od was bekonem – oświadczył jeden z nich, a drugi splunął na chodnik tuż obok butów Brecka.

– Chcę mówić z Bykiem – powiedział Breck, krzyżując ręce. – Jest w środku?

– Myślisz, że on będzie chciał gadać z takimi dupkami? – Oprych zrobił krok do przodu. – Spierdalaj stąd i zabierz tego pieprzonego Kojaka.

Wskazał ruchem głowy Foxa, a jego kumple zarechotali.

– Nie szukamy kłopotów – ciągnął spokojnie Breck. – Ale wam możemy ich narobić, jeśli będzie trzeba. Wszyscy trzej w jednej celi: trochę ciasno na weekend, nie?

– Już się boję, sram w buty ze strachu.

– Jest w środku czy nie? Tylko o to pytamy.

Fox wspiął się na palce i zajrzał przez okno do pubu. W dolnej części okna szyby były matowe, ale przez górną coś niecoś było widać. Dwaj goście siedzący przy oknie spojrzeli na niego groźnie, lecz on już swoje wiedział.

– Jest w środku – stwierdził, odpowiadając na pytanie Brecka.

Ruszył do drzwi, próbując ominąć oprychów, ci jednak stali ramię przy ramieniu, blokując przejście.

– Byk nie będzie wam za to wdzięczny – powiedział. – Pomyślcie przez chwilę: na razie jest nas tu dwóch i chcemy tylko porozmawiać. Ale jak ściągniemy ekipę, to przyjedzie buda, wyciągną go w kajdanekach i zawiozą na dołek. Posiedzi tam co najmniej do rana. Myślicie, że on rzeczywiście tego chce? To grajcie tak dalej. Moim zdaniem mylicie się, a on będzie dobrze wiedział, komu i jak podziękować,

kiedy przyjadą tu radiowozy na syrenach...

Fox zrobił krok do tyłu i podniósł ręce w geście poddania.

– Przemysłcie to sobie, tylko tyle powiem. Może któryś się kopnie do środka i zapyta go? Będziemy czekać przy samochodzie.

Odszedł w stronę volva, Breck za nim.

– Nieźle to rozegrałeś – skomentował Breck półgłosem.

– To się jeszcze okaże – odparł Fox.

Ale zanim doszli do samochodu, główny pyskacz wszedł do środka i zatrzasnął drzwi za sobą. Fox i Breck czekali spokojnie. W oknie pubu pojawiła się jakaś nieznana im twarz.

– Widziałeś go przedtem? – spytał Breck.

– Tak – potwierdził Fox. – Króluje za barem. Cały upierścieniony. Dziwię się, jak może utrzymać szklankę w ręku.

Minęło jeszcze parę minut, nim drzwi ponownie się otworzyły. Nikt nie pokazał się na progu, lecz dwaj tkwiący jeszcze na ulicy palacze dostali widać jakiś sygnał, bo natychmiast rzucili papierosy i weszli do środka.

– Co teraz? – spytał Breck. – Sterczymy tutaj, a oni się z nas śmieją.

Rzeczywiście, kilka nowych twarzy pojawiło się w oknie. Któryś z mężczyzn, widząc, że Breck i Fox patrzą na niego, pokazał palcami znak „V”.

– Może ta ekipa, o której im mówiłeś, nie byłaby złym pomysłem.

– Dobrze wiesz, że to beznadziejny pomysł – przywołał go do rzeczywistości Fox.

– Tylko mi nie mów, że chcesz tam wejść bez obstawy.

– Czy tak byś zrobił w *Quidnunc*, Jamie? Czekałbyś na posiłki przed następnym ruchem?

– Na tym etapie gry działałbym już w grupie, podobnie jak mój przeciwnik.

– No to mamy dwuosobową grupę... Na razie w samochodzie będzie cieplej.

– Stojąc na zewnątrz, robimy lepsze wrażenie.

– Tego też się nauczyłeś z *Quidnunc*!... Przecież oni gotowi tam siedzieć jeszcze trzy albo cztery godziny.

– To nie potrwa tak długo.

Istotnie, już po paru minutach usłyszeli głośny jazgot silnika. Po chwili zza rogu z piskiem opon wyskoczył samochód i z takim samym piskiem zatrzymał się przy nich. Kierowca nawet nie próbował się

zbliżyć do krawężnika, ustawił samochód na środku ulicy. To był ford sierra z podrasowanym silnikiem i poszerzoną rurą wydechową.

– Wszystko to przez tych z *Top Gear* – skomentował Fox.

Człowiek, który w końcu wysiadł z tylnego siedzenia, był wielki i ponury. Twarz zgadzała się z tą z fotografii. Uwolniona od jego ciężaru sierra podniosła się co najmniej o parę centymetrów. Mężczyzna miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami wielkości dwuosobowego namiotu, workowate dżinsy i białe adidasy. Włosy miał czarne, długie, zgarnięte z czoła na kark i na uszy. Mógł się poszczycić złotym zębem z przodu, nie nosił jednak żadnych błyskotek ani widocznych tatuaży. Jego małe oczka patrzyły bystro i przenikliwie.

– Czego chcecie? – spytał. – A zresztą możecie nie odpowiadać. Do samochodu i spadajcie.

– Nie możemy tego zrobić, Terry – rzekł Fox. – Najpierw musimy porozmawiać z Bykiem.

– Ani słowa więcej! Zabieraj się stąd razem z tym twoim pieprzonym kochankiem!

Zapanowała cisza, którą przerwał Breck jednym tylko słowem.

– Interesujące.

Najwyraźniej zaintrygowało to Vassa.

– Niby co?

Breck wzruszył ramionami.

– Kiedy ktoś rzuca homofobiczne epitety, to często jest oznaka...

Twarz Vassa pochmurniała jeszcze bardziej.

– Oznaka... czego?

Breck znowu wzruszył ramionami i udawał, że szuka w myślach właściwego określenia.

– Podświadomych... skłonności – powiedział w końcu.

Vass rzucił się na niego, ale Breck był szybszy. Zanurkował pod wyciągniętą ręką Vassa i znalazł się za jego plecami. Balansował na palcach gotów do następnego ruchu.

– Terry! – przerwał tę zabawę Fox. – Dość tego. Byk kazał ci zapytać, czego chcemy. To miało być tylko do jego wiadomości, ale jedno mogę ci powiedzieć: mamy Charliego Brogana.

Vass wciąż patrzył wściekle na Brecka, szykując się do następnego ataku, lecz słowa Foxa wywarły skutek. Uspokoił oddech i nieco rozluźnił mięśnie.

– To nie znaczy, że ma go policja – kontynuował Fox. – My go mamy. I chcemy wymiany.

Vass odwrócił twarz w stronę Foxa.

– Czego chcecie?

– Wymiany – powtórzył Fox. – Idź i powiedz to szefowi. Będziemy czekać w samochodzie.

Przy ostatnich słowach otwierał już drzwi. Vass patrzył, jak Fox siada za kierownicą. Potem znów skierował uwagę na Brecka, który ciągle kołysał się na palcach w pół drogi między volvem i sierrą. Z wnętrza wozu Fox nie wszystko widział. Miał nadzieję, że Breck nie będzie więcej prowokował osiłka. Jednak Vass tylko pogroził prowokatorowi ręką i poczłapał w stronę drzwi Lowthera. Breck odczekał kilka sekund, potem wsiadł do volva.

– Straszny typ – ocenił.

– A jednak prowokowałeś go.

– To się często stosuje w grach online – powiedział Breck, a po krótkiej pauzie dodał: – Zresztą zawsze miałem szybki refleks, ale dobrze go przetestować od czasu do czasu.

– Chcesz gumę?

Breck kiwnął głową i sięgnął do paczki, którą podsunął mu Fox. Jego ręka ani trochę nie drżała. Siedzieli przez dłuższy czas w milczeniu, żując gumę i przyglądając się przechodniom. Minęła ich grupka kobiet, najwyraźniej w trakcie babskiego wieczoru. Miały na sobie identyczne różowe T-shirty z napisem: „We Are Four And Twenty Virgins” – cytatem z wulgarniej piosenki biesiadnej. Ciągnęła za nimi grupa miejscowych chłopaków próbujących różnych zaczeppek. Potem pojawiło się kilku nastolatków w czarnych bluzach z kapturami i w bejsbolowych czapkach. Mało kto przejmował się stojącą na środku ulicy sierrą, tylko dwa samochody, które utknęły za nią, daremnie usiłowały wypędzić ją stamtąd klaksonami. Kierowca sierry siedział z rękami przyklejonymi do kierownicy, a silnik mruczał na wolnych obrotach.

– Myślisz, że to robota na pełny etat? – spytał Breck.

Fox nie odpowiedział. Nadal żuł gumę i obserwował ulicę. Drzwi pubu otworzyły się, ale pojawiła się w nich tylko kolejna grupka palaczy. Spoglądali na nich z zaciekawieniem, lecz pozostali po swojej stronie ulicy. Potem drzwi otworzyły się jeszcze raz i stanął w nich jeden z tych trzech, których widzieli na początku. Szybko, niemal biegiem dotarł do volva i pochylił się nad oknem kierowcy. Fox udał, że go nie widzi, więc tamten zastukał w szybę. Fox pozwolił mu czekać jeszcze kilka sekund, zanim wreszcie otworzył okno.

– Byk mówi, żebyście weszli.

– Powiedz mu, żeby się odpierdolił. – Fox zasunął szybę.

Facet gapił się na niego przez dłuższy czas, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom. Zastukał jeszcze raz, ale Fox tylko pokręcił głową. Posłaniec wyprostował się i powoli wrócił tam, skąd przyszedł.

- Myślisz, że uda mu się wyrazić to jakoś inaczej? – spytał Breck.
- Chyba tak.
- Czyli nie masz ochoty tam wchodzić?
- Wolę tutaj.
- Ja też – przyznał Breck i rozparł się wygodnie w fotelu.

Mijały kolejne minuty. W końcu jednak w otwartych drzwiach pubu pojawił się Vass, a za nim Byk Wauchope. Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie Fox wyobrażał, czyli fatalnie. Pod żadnym względem nie dorównywał swojemu ojcu i wiedział o tym. Był masywny, ale w tej masie niewiele było mięśni. Ramiona miał zwiotczałe, a pasek przy dżinsach ledwo dopinał się na ostatnią dziurkę. Krótkie włosy były tłuste, podobnie jak jego cera. Krostowatą skórę na szyi dodatkowo drażniły tandetne złote łańcuszki. Atramentowe tatuaże na wierzchu obu dłoni sprawiały wrażenie własnej roboty, wykonanej prawdopodobnie w czasach szkolnych. Pierścienie prawie na wszystkich palcach – typowa elegancja gracza w strzałki. Wyglądał na rozpieszczonego – ewidentny rezultat życia w poczuciu, że jest kimś nietykalnym dzięki ojcu, którego wszyscy się bali.

Vass trzymał się o dwa kroki za swoim bossem. Fox znowu opuścił szybę.

– Ty – zawołał do Wauchope'a – usiądziesz z tyłu, ale ten goryl nie. Nie chcę, żeby zasmradzał mi samochód.

Wauchope nie zatrzymał się ani na moment, tylko przez ramię rzucił w stronę Vassa:

– Zostań tutaj. – Gwałtownie otworzył na oścież tylne drzwi samochodu, wsiadł i zatrzasnął je za sobą. – Wszyscy mi tu mówią, że jesteście gliniarze. Jeśli to nieprawda, odgryzę Terry'emu kutasa.

- Aż mnie kusi, żeby skłamać – powiedział Fox.
- Macie podsłuch w samochodzie?
- Nie.
- I mam w to uwierzyć?

– Chcę tylko, żebyś jedno wiedział. Znamy miejsce pobytu Charliego Brogana. Już sam się zorientowałeś, że cała ta komedia z jego zaginięciem to właśnie tylko komedia. Gliny też tak myślą, a to znaczy, że go szukają i najdalej jutro, pojutrze znajdą. Czyli nie masz za dużo czasu, Byku.

Zrobił pauzę.

– No, słucham, słucham – przynaglił Wauchope.
– To dobrze, bo teraz rozumiesz, że rozmawiając z tobą, popełniamy przestępstwo. A to ci daje gwarancję, że niczego nic nagrywamy.

– Mów dalej.

– Wiemy, gdzie on jest, i wiemy, że chcesz go mieć. I możemy pohandlować.

– Chcecie pieniędzy?

Fox pokręcił głową.

– Nie jesteśmy tacy jak Glen Heaton. – Przerwał na chwilę. – Chcemy odzyskać życie.

Obserwował w lusterku wstecznym twarz Wauchope'a.

– Wiesz, kim jesteśmy?

– Ni cholery.

– Ja nazywam się Malcolm Fox. A on Jamie Breck. – Fox śledził reakcję Wauchope'a i zauważył, jak tamten skierował wzrok na Brecka. – Ktoś nas paskudnie wrobił i mamy wrażenie, że to ty za tym stoisz. Powiedz, że to nieprawda.

Wauchope ponownie popatrzył w lusterko.

– Słucham dalej – rzekł do odbicia Foxa.

– Chcemy, żebyś powiedział wszystko, co wiesz, a zapomnimy o tobie. Ale chcemy też Glena Heatona. Nie może mu to ujsć na sucho.

– Chyba macie mnie za strasznego waźniaka.

– Ten waźniak to może nie ty, tylko twój tatuś. Ale rzeczywiście tak myślimy.

– Myślicie? Twój koleś nie bardzo się odzywa.

– Odezwę się, gdy będzie trzeba – uciął Breck.

– Próbujecie, palanty, wciągnąć mnie w pułapkę? Nic głupszego w życiu nie widziałem.

– Wybierz dogodnie dla siebie miejsce – ciągnął niezrażony Fox – a my się stawimy. Ale najpierw zadamy ci pytania. Jeśli na nie nie odpowiesz, nie dostaniesz Brogana.

– Jakie pytania?

– Takie, na które potrzebujemy odpowiedzi.

Fox sięgnął za oparcie swojego fotela i wyciągnął stamtąd strzęp papieru z zapisanym numerem komórki.

– Pamiętaj, masz na to jeden dzień, najwyżej dwa. Kiedy złapią Brogana, zaproponują mu układ. I wtedy ciebie będą szukać. Ciekawe, co powiesz swoim inwestorom, jeżeli on nadal będzie żył?

Fox przerwał, dając tamtemu czas na przemyślenie tych słów. Wauchope wziął od Foxa kawałek papieru, ich palce zetknęły się na moment.

- Skończyliśmy? – spytał Wauchope.
- Jeszcze tylko jedno... – Fox czekał, aż tamten zdejmie rękę z klamki. – Musisz nam dać także Vassa.
- Dlaczego? – zdziwienie Wauchope'a wydawało się szczerze.
- Bo zamordował Vince'a Faulknera. A Vince był chłopakiem mojej siostry.

Wyraz twarzy Wauchope'a w lusterku nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Zrozumiał natychmiast: rodzina. I to był dla niego czytelny sygnał. W sprawach rodzinnych obowiązują całkiem inne reguły niż zwykle. Nic nie powiedział – nadal nie wierzył, że w samochodzie nie ma podsłuchu – ale spojrzął w oczy Foxa w lusterku i powoli pokiwał głową. Potem wygramolił się z auta, by po chwili jeszcze raz wetknąć głowę do środka.

- Nigdy o tobie nie słyszałem – oznajmił Foxowi.

Zamknął drzwi i ruszył z powrotem do pubu. Po drodze zabrał z sobą Vassa, obejmując go przyjacielskim gestem.

- Co to mogło znaczyć? – spytał Fox.
- Dał nam znać, że może się pozbyć Vassa – odparł spokojnie Breck.

Fox odwrócił twarz w jego stronę.

- Zasłużyłem na następną pochwałę?
- Co on miał na myśli na końcu?

Fox też się nad tym zastanawiał.

- Chyba dokładnie to, co powiedział. Że nigdy o mnie nie słyszał.
- Usadowił się wygodniej w fotelu.
- A dlaczego ten kawałek papieru, a nie wizytówka?
 - Im mniej o mnie wie, tym lepiej. – Fox zrobił przerwę. *Nigdy o tobie nie słyszałem...* Wypluł gumę za okno. – Wiesz, nagle strasznie głodniałem. A ty?

Breck rozejrzał się po okolicy.

- Zjadłbym coś hinduskiego... ale nie czuję się zbyt bezpiecznie w Dundee.
- Masz rację. Kiedy Wauchope zadzwoni, powinniśmy już być jak najdalej stąd.
- Starczy nam czasu na to wszystko? – spytał Breck. – Uprzedziłeś ich, żeby byli gotowi?
- Uprzedziłem.

- No i jak teraz oceniasz mój szalony plan? Działa?
- Na razie żyjemy – odparł Fox, uruchamiając silnik. – A to już dużo, jak sadzę.

Odjeżdżając, długo patrzył w lusterko wsteczne. Sierra nadal stała na środku ulicy, jakby to był jej stały, prywatny parking.

Bo też w jakimś szczególnym sensie rzeczywiście był.

Poniedziałek 23, lutego 2009

29

Poniedziałek po południu. Breck i Fox grali w domu Brecka w karty, kiedy zadzwonił telefon. Od rana pili na zmianę kawę lub herbatę. Przeczytali od deski do deski trzy gazety. Obejrzelili wiadomości w kilku programach telewizyjnych, słuchali muzyki, dzwoniли do Annabel i do Jude. Lunch obejmował kanapki z supermarketu i ekierki. Rano świeciło słońce i zapowiadał się cieplejszy dzień, teraz jednak niebo zasnuło się gęstymi chmurami, których kolor przypominał pomyje.

– To on – powiedział Fox, rzuciwszy okiem na ekranik telefonu.

– Skąd wiesz?

– Nie znam tego numeru. – Fox pokazał Breckowi telefon, ale nadal nie odbierał połączenia.

– Nie drażnij go – ostrzegł Breck. Próbował udawać beztroskę, ale było widać, że jest zdenerwowany.

Fox nacisnął w końcu klawisz słuchawki i przyłożył telefon do ucha.

– Malcolm Fox, słucham. – Zdał sobie sprawę, że mówi wyższym niż zwykle głosem; także jemu udzielił się nerwowy nastrój.

– To ja – odezwał się Byk Wauchope.

Myślał pewnie, że zachowuje się bardzo chytrze, nie przedstawiając się. Tak jakby współczesne technologie nie mogły sobie poradzić z identyfikacją głosu.

– Tak?

– Nadal nie jestem pewien, czy dobrze to rozumiem.

– Tu nie ma nic do rozumienia: spotykamy się, zadajemy ci parę pytań. Jeśli odpowiedzi nas zadowolają, otrzymujesz swoją skromną nagrodę.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– To dlaczego nie zapytasz przez telefon?

– Bo w telefonie może być pluskwa, jasne? Tak samo jak wczoraj

w samochodzie. Próbuje ci to uświadomić...

- To ja wybieram miejsce spotkania? – przerwał Wauchope.
 - Każde, które uznasz za bezpieczne dla siebie.
 - To U Lowthera.
 - Dobrze, tylko nie chcę tam widzieć za dużo ludzi. Możemy się spotkać po zamknięciu lokalu? – Fox spojrzał na Brecka, a ten odpowiedział mrugnięciem; już wcześniej dawał dwadzieścia funciaków, że Wauchope wybierze właśnie ten pub.
 - Załatwię, żeby do jedenastej wszyscy wyszli – zapewnił Wauchope.
 - No to będziemy tam piętnaście minut później.
 - Przywieziecie Brojana?
 - Dopiero jak sobie pogadamy.
 - Muszę mieć dowód, że wiecie, gdzie on jest.
 - Żaden problem.
 - I przysięgam na Boga, jeśli będziecie próbować jakichś sztuczek, to was rozwalę, zanim pierwszy z waszych kumpli wejdzie do środka.
 - Zrozumiałem. Tylko musimy mieć pewność: nie będziesz się targował o Heatona i Vassa.
 - Dostaniecie ich, jeżeli ja dostanę Brojana.
- Wyłączył się. Fox jeszcze przez parę chwil trzymał telefon w rękach.
- No i? – zagadnął Breck.
 - Mamy teraz parę rozmów do przeprowadzenia. – Fox podniósł telefon do oczu, by odnaleźć potrzebne numery.
 - Najdalej za pięć godzin musimy ruszać – policzył Breck. – Zdążymy?
 - Obyśmy zdążyli – odparł Fox i połączył się z pierwszym z wyszukanych numerów.

• • •

Zaparkowali samochód przed Lowtherem minutę przed jedenastą. Z baru wychodzili ludzie, nie wszyscy zadowoleni z tego, że skrócono im przyjemny wieczór. Ale te narzekania nie były zbyt głośne i zaczynały się dopiero wtedy, gdy wyproszony gość czuł się już bezpiecznie na ulicy. Pięć po jedenastej w drzwiach ukazał się Terry Vass. Rozpoznał ich samochód, lecz zignorował go. Najwyraźniej wyszedł na rekonesans. Chodził w tę i z powrotem, sprawdzając, czy Fox i Breck nie ściągnęli tu niepożądanego towarzystwa. Nie znalazł ni-

czego, więc uspokojony wrócił do baru. Dziesięć po jedenastej Fox spytał Brecka, czy jest już gotów.

– Mamy jeszcze pięć minut – odparł Breck, spojrzawszy na zegarek.

Siedzieli w milczeniu i obserwowali, jak wychodzi personel baru: ludzie naciągali na siebie kurtki, których nie zdążyli włożyć wcześniej, niektórzy zapalali jeszcze papierosa przed wyruszeniem w drogę do domu. Ponownie w drzwiach pubu pojawił się Vass; tym razem jednak dał wyraźny znak, że można już wejść. Fox i Breck wymienili spojrzenia, potem niemal równocześnie skinęli głowami.

Wysiedli, Breck zabrał z tylnego siedzenia swój laptop i przeszli na drugą stronę ulicy. W pubie nie było już nikogo, kto mógłby choć trochę posprzątać. Tylko parę odwróconych krzeseł leżało na stołach, a lada bufetu zastawiona była brudnymi naczyniami. Automaty z obrazkami owoców migwały światłami, kusząc potencjalnych graczy, których już jednak nie było.

Przy stole w kącie siedział Byk Wauchope z rękami szeroko rozciągniętymi na oparciu ławki.

– Przeszukaj ich – rozkazał.

Vass zbliżył się do obydwu detektywów.

– Zdjąć marynarki i rozpiąć koszule.

– Zapatrzyłeś się na *Goło i wesolo*? – skomentował Breck, kładąc laptop na najbliższym stole.

Zsunęli marynarki i rozpięli koszule, żeby Vass mógł sprawdzić, czy nie mają podsłuchów. Obmacał ich marynarki, ściskając kieszenie i sięgając do nich, ale znalazł tam tylko portfele i telefony.

– Spodnie, Terry! – szczechnął Wauchope. Vass przesunął rękami po nogawkach, sprawdził także skarpetki.

– Nic nie ma – powiedział, z trudem dźwigając się z podłogi.

– Zabierz im telefony, też mogą być na podsłuchu, nie?

Vass znalazł trzy komórki.

– Ten tutaj ma dwie – stwierdził i machnął głową w stronę Foxa.

Wauchope popatrzył na Foxa i Brecka, potem wskazał im krzesła po drugiej stronie stołu. Breck położył laptop między nimi.

– Mogę go tu włączyć? – spytał, spoglądając na ścianę w poszukiwaniu gniazdka.

– Po co to? – zażądał wyjaśnień Wauchope.

– Tu mamy dowód – powiedział Fox. – A skoro zabrałeś mi telefony, to muszę sobie pożyczyć twój.

Wyciągnął rękę w stronę gangstera.

– Oddaj mu jego telefon – rozkazał Wauchope Vassowi. – Ale ostrzegam...

– Nie marzę o ukrzyżowaniu – zapewnił go Fox.

Breck znalazł gniazdko na listwie pod ławką. Fox wybrał numer i przyłożył telefon do ucha. Wauchope podejrzliwie zmrużył oczy, jego wzrok wędrował od jednego do drugiego.

– Jesteśmy gotowi, Tony – powiedział Fox do telefonu, gdy uzyskał połączenie. Potem wyłączył aparat i rzucił go Vassowi.

Breck tymczasem uruchomił komputer i obrócił go w stronę Wauchope'a.

– Jeszcze minutka – powiedział, pochylając się nad klawiaturą, by poprawić ustawienia.

– Mogę...? – spytał Fox, wskazując wzrokiem miejsce na ławce obok Wauchope'a.

Gangster przekrzywił lekko głowę, co Fox uznał za znak przyzwolenia. Usiadł obok niego na tyle blisko, by widzieć ekran. Odór ciała Wauchope'a był porażający.

– Mamy tam – wyjaśnił, próbując jak najmniej oddychać – zainstalowaną kamerę.

Na ekranie otworzyło się trzycalowe okienko. Widać w nim było twarz. Twarz Charlesa Brogana.

– Kim jest Tony? – spytał Wauchope.

– To tylko ktoś, kto wyświadcza mi przysługę.

– On obsługuje kamerę?

– Chyba nie myślisz, że powierzylibyśmy to samemu Broganowi?

Wauchope pochylił się nad ekranem. Głowa Brogana poruszała się w obie strony, jak gdyby gimnastykował mięśnie karku. Nie było dźwięku.

– Dlaczego ten obraz jest taki mały?

– Komputer jest kiepski – wyjaśnił Fox. – Przy tych zarobkach Breck nie może sobie pozwolić na lepszy.

– Mógłbym powiększyć – dodał Breck – ale wtedy straci ostrość.

Wauchope tylko mruknął coś niezrozumiale. Odezwał się dopiero po paru sekundach.

– I twierdzicie, że to jest na żywo?

Fox nie odpowiedział, tylko ponownie wyciągnął rękę po telefon.

– Jedyne sposoby, żeby to udowodnić – stwierdził.

Vass spojrzął na swojego bossa, oczekując pozwolenia, a gdy je uzyskał, wręczył telefon Foxowi. Ten czekał przez chwilę na uzyska-

nie połączenia.

– Tony – rzekł – powiedz mu, żeby nam pomachał.

Brogan na ekranie najpierw przechylił się mocno w jedną stronę i trwał tak przez chwilę, jakby wysłuchiwał czyjejś instrukcji, potem wyprostował się i bez przekonania pomachał ręką.

Fox znów szybko wyłączył telefon, jednak tym razem zatrzymał go przy sobie. Wauchope wciąż uważnie wpatrywał się w ekran.

– No to teraz już wiesz, że go mamy – rzekł Fox.

– Wiem, że siedzi w areszcie policyjnym – próbował zaprzeczyć Wauchope, ale Fox stanowczo pokręcił głową.

– Masz przyjaciół w policji edynburskiej, Byku, i dobrze wiesz, że go tam nie ma.

Wauchope odwrócił się i spojrzał na niego.

– Czego chcesz?

– Chcę wiedzieć, dlaczego obecny tu mój kolega został wrobiony.

Wauchope zastanawiał się przez chwilę, potem znów wpatrzył się w ekran.

– On mnie nie słyszy? – spytał.

– Nie – upewnił go Fox.

Gangster jeszcze bardziej przybliżył twarz do ekranu.

– Idę po ciebie, skurwielu! – wrzasnął. Kropelki śliny upstrzyły obraz Brogana.

– Myślisz, że to wystarczy, żeby uspokoić gangi w Lanarkshire i w Aberdeen? – zapytał Fox.

Wauchope ponownie obrócił się w jego stronę.

– To tylko początek – powiedział. – Powiedziałem im, że nie żyje.

– Rozumiem. Kiedy zniknął z jachtu, próbowałeś zdobyć ich zaufanie. – Fox obserwował, jak zmienia się twarz Wauchope'a. – Zrobiłeś to, prawda? Powiedziałeś im, że sam go rąbnąłeś. Teraz jest jasne, dlaczego nie może nagle pokazać się żywy...

Wauchope znów wpatrywał się w niego tępo. Breck zakasłał sztucznie, by zwrócić na siebie uwagę.

– Malcolm... chyba robimy błąd.

– Co masz na myśli? – spytał Fox.

– Sprzedajemy go za jakieś nędzne strzępy informacji. A mnie się teraz wydaje, że on jest wart dużo, dużo więcej.

– Nie bądź taki chciwy! – warknął Wauchope.

– No to zacznij wreszcie mówić – powiedział Fox.

Wstał i przesiadł się na drugą stronę stołu obok Brecka. Oczy Wauchope'a znów były utkwione w ekran. Jego czoło zalśniło od potu. Miał jeszcze resztkę piwa w kuflu, wypił je i otarł usta wierzchem dłoni. Młasnął głośno, potem spojrzął na nich spode łba.

– Nie ufam wam – powiedział.

– I wzajemnie – odparł Fox. – A jeśli już o tym mowa, jest nas tu dwóch przeciwko tobie i twojemu gorylowi. To nie są równe szanse.

Wauchope mógł potraktować to jako dowcip i się uśmiechnąć, ale nie zrobił tego. Popatrzył na Vassa. Człowiek góra stał z założonymi rękami oparty całym ciężarem o bufet, dysząc ciężko przez otwarte usta. Fox dobrze wiedział, o czym Byk teraz myśli: jeśli chce dobić targu, na pewno będzie musiał stracić swojego adiutanta. I kiedy Wauchope ponownie odwrócił twarz w stronę Foxa, ten wiedział już, że decyzja zapadła.

Terry'ego Vassa można zastąpić kimś innym.

Ale chodziło też o coś więcej. Byk nie mógł po prostu wydać Vassa w ręce policji, bo ten mógłby zacząć sypać. Fox zrobił nieznaczny ruch głową, który jednak dla Wauchope'a był czytelny.

Byk zdał sobie sprawę, że to jego i wyłącznie jego problem.

– Gdzie on jest? – spytał, niemal wbijając tłusty paluch w ekran.

– Najpierw wszystko nam powiesz.

– Co tu gadać? – Wauchope wzruszył ramionami. – I tak już wiesz, o co poszło. Ten twój koleś za bardzo węszył koło jednego radnego, niejakiego Wishawa. A Broganowi Wishaw był potrzebny.

– Po co?

– Bo to była dla niego ostatnia deska ratunku. Brogan chciał sprzedać miastu niedokończone osiedle i jeszcze parę niepotrzebnych terenów, które wcześniej kupił. Miasto pewnie upchnęłoby tam wszystkich meneli z list oczekujących. Wishaw miał zostać szefem mieszkaniówki w ratuszu, ale jakoś nic z tego nie wychodziło. Ciągle jednak był w komisji mieszkaniowej i mógł kręcić lody. Ale nagle wpadł w panikę, mówił, że policja dusi go za jakieś prochy, które przewoził.

Wauchope spojrzął wymownie na Brecka.

– To o ciebie chodziło, tak naprawdę wszystko przez ciebie.

– I trzeba było mnie zdyskredytować? – spytał Breck.

Wauchope pokiwał głową na potwierdzenie i rozparł się znowu na ławce. Zaskrzypiała niebezpiecznie pod jego ciężarem.

– Znałeś już wcześniej Erniego Wishawa, prawda? – spytał Fox.

– Glen Heaton wyświadczył ci przysługę: nie pozwolił wciągnąć

Wishawa w sprawę tego kierowcy. Wishaw stał się twoim dłużnikiem, ale ty z kolei stałeś się dłużnikiem Heatona. A ten szybko zażądał rewanzu, bo groził mu proces. Gdyby do niego doszło, wszystko by się wydało. Trzeba to było zatrzymać. Dostałeś zadanie: zamordować Vince'a Faulknera i zrobić w to mnie.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, o czym mówisz! – Wauchope gwałtownie pokręcił głową. – Już ci przecież mówiłem: wiedziałem tylko o nim.

Wycelował palec w kierunku Brecka, więc teraz on się odezwał.

– Musiałeś znać kogoś w naszej firmie. Kogoś, kto znał tę sprawę z Australii. I miał dostęp do mojej karty kredytowej...

– Myślisz, że ci to powiem?

– Chcesz mieć Brogana, więc pewnie powiesz – przerwał Fox. – Tylko masz problem, bo przy okazji dostanie się twojemu tacie.

Wauchope spojrzął na niego wilkiem.

– To też już wiesz?

– Jestem w Zespole Kontroli Wewnętrznej, Byku. Inni gliniarze są dla mnie jak otwarta księga. Wystarczyło sięgnąć dostatecznie głęboko do archiwów. – Fox zrobił krótką pauzę. – Adam Traynor, dzisiaj zastępca komendanta głównego, dawno, dawno temu pracował tutaj, w Tayside. Prowadził kilka śledztw w sprawie twojego starego, ale żadne z nich nie zakończyło się procesem. Zabawne... w jaki sposób te sprawy zawsze spadały... Ojciec nigdy cię w to nie wtajemniczył?

Wauchope nadal rzucał na niego gniewne spojrzenia. Długo milczał. Kiedy w końcu poruszył głowę, trudno było zgadnąć, co ten ruch znaczy.

– To znaczy: tak? – spytał Fox.

– Tak – odpowiedział gangster.

– Wszystko zorganizował Traynor?

– Tak.

– Ze względu na starą przyjaźń?

– Zawdzięczał tacie parę rzeczy. Wielu gliniarzy dużo mu zawdzięczało, Fox.

– To prawdopodobnie tłumaczy, dlaczego przez tyle lat nie udało się go zamknąć. – Fox spokojnie obserwował grymas wściekłości na twarzy Byka. – No dobrze: Brogan chce zrobić sierżanta Brecka, a ty aranżujesz szczegóły. Ale co dalej? Brogan podsyła ci Vince'a Faulknera?

– Z tym Faulknerem to była amatorszczyzna. A dla Terry'ego

chodząca zniewaga.

– Nie dałeś mu rozkazu?

Wauchope pokręcił głową.

– Dowiedziałem się, dopiero gdy Terry zadzwonił do mnie.

Fox obrócił się na krześle, aby móc spojrzeć prosto na człowieka przy bufecie.

– Niekontrolowana sprzeczka? I przywaliłeś mu odrobinę za mocno?... Tylko że Brogan mówi co innego. Że Faulkner był torturowany, a jego krzyki, które słyszał w telefonie, miały być dla niego przestroga.

Vass nie odezwał się, więc Fox ponownie zwrócił się do Wauchope'a:

– Brogan kłamał?

– Co ty na to, Terry? – spytał gangster swojego adiutanta. Potem wobec braku odpowiedzi sam zaczął tłumaczyć Foxowi: – Już ci mówiłem: Terry poczuł się znieważony. Może zadzwonił, żeby to przekazać Broganowi. – Znów wgapił się w ekran komputera. – Ciągle tam siedzi. Możesz powiedzieć swojemu człowiekowi, żeby mu przypieprzył?

– Gdzie Vince został zabity? W tej twojej saunie na Cowgate?

Wauchope spojrział na Vassa.

– Terry?

– W furgonetce z tyłu – mruknął pod nosem Vass.

– Nie rozumiałem – powiedział Fox.

– Terry pojechał do Edynburga jednym z naszych vanów – wyjaśnił Wauchope. – Na pewno nie chciałeś go zabić, Terry, prawda? Chciałeś odwieźć go do szpitala?

Fox nie czekał na odpowiedź Vassa i spytał o co innego.

– Do czego ja byłem potrzebny?

– Ty? Do niczego. – Wauchope wzruszył ramionami. – Przynajmniej ja mc na ten temat nie wiem.

– Ale byłem śledzony... a potem wrobili mnie w sprawę sierżanta Brecka. Chcesz powiedzieć, że to zwykły zbieg okoliczności?

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Muszę wiedzieć więcej – spokojnie oznajmił Fox.

– Nie ma żadnego więcej! – Wauchope plasnął dłonią w stół.

– No to będziesz musiał poprosić Traynora o jeszcze jedną przysługę, bo jeśli ty naprawdę nie wiesz, to może on wie.

Wauchope pogroził palcem.

– Nic więcej nie zrobię, dopóki nie dostanę Charliego Brogana.

Przez chwilę mierzyli się nawzajem wzrokiem.

– Dam ci go – domyślił się Fox – a ty go rozwalisz przed specjalnie zaproszoną widownią.

– Taka była umowa.

Fox odwrócił się do Brecka.

– Miałaś rację. Spasowaliśmy, a trzeba było podnieść stawkę.

– Nadal możemy ją podnieść – stwierdził Breck.

– Jeszcze słowo, a nie wyjdziecie stąd bez pomocy pielęgniarzy!
– ryknął Wauchope. – Koniec zabawy! Dawajcie adres.

Fox przysunął sobie podstawkę do piwa i wyjął długopis.

– Jest za kwadrans dwunasta – powiedział. – Droga do Edynburga zajmie wam niewiele ponad godzinę. O wpół do drugiej mój kumpel wyjdzie stamtąd. Potem możecie robić, co chcecie.

Zapisał adres na podkładce i podsunął ją Wauchope'owi.

– A jeśli to zmyła?

– Dobrze wiesz, gdzie nas szukać. – Fox wrzucił ramionami.

Wauchope podważył podkładkę długim paznokciem, podniósł ją do oczu i popatrzył na zapisany adres.

– Jaja sobie robisz? – spytał.

– Żadne jaja – zapewnił go Fox, chowając długopis do kieszeni. – Tam są już dziesiątki gotowych mieszkań, chociaż to wciąż własność dewelopera. Niektóre są nawet umeblowane. Pewnie po to, żeby zachęcić nabywców.

Wauchope przeniósł wzrok na Terry'ego Vassa.

– A mówiłem ci, że tam najpierw trzeba szukać – wychrypiął.

– To jesteś mądrzejszy niż Breck i ja razem wzięci – stwierdził Fox. – Bo na naszej liście ten adres był dopiero na trzeciej pozycji. – Milczał przez chwilę. – Skończyliśmy?

Wauchope zmierzył go długim zimnym spojrzeniem. Breck wyjął wtyczkę z gniazdka i zamknął laptop.

– Skończyliśmy – odezwał się wreszcie gangster i odwrócił głowę. – Terry, przyprowadź vana...

30

Jechali do Edynburga najszybciej, jak mogli. Niemal przez całą drogę Breck telefonował. Celem podróży była Komenda Główna Policji przy Fettes. Kiedy wjechali na parking, nissan Tony'ego Kaye'a już tam był, naprzeciw głównego wejścia. Fox zaparkował obok i wysiadł, Breck poszedł w jego ślady. Kaye wyszedł do nich, by się przywitać. Charles Brogan pozostał na siedzeniu pasażera nissana.

- Jak on się trzyma? – spytał Fox.
- Robi w gacie ze strachu – odparł Kaye, szczerząc zęby.
- Wszystko słyszał?
- Czysto jak dzwon kościelny.
- A więc uwierzył, że tylko my możemy go wyciągnąć?
- Uwierzył. Choć nie jest szczęśliwy z tego powodu.
- Niech nie narzeka – odezwał się Breck. – Gdyby Wauchope wrzasnął na mnie tak jak na niego, uciekłbym gdzie pieprz rośnie.
- Przyciszyłem dźwięk – wyjaśnił Kaye. – Przedtem miałem trochę roboty...

Breck ugiął nieco kolana, zajął do samochodu i pokazał Broganowi podniesiony kciuk, ale Brogan go zignorował.

- Próbowalesz to nagrać? – spytał Fox Kaye'a.
- Mam wszystko: dźwięk i obraz z wyświetloną datą i godziną i kopią na zewnętrznym dysku.
- Dobrze, że nie zapytał o kamerę – powiedział Breck.
- Powiedziałbym po prostu – odparł Fox – że jest wbudowana w laptop, więc nic się nie da zrobić.
- A gdyby kazał go wyłączyć?
- To i tak mielibyśmy dźwięk. – Fox spojrzał na Kaye'a, oczekując potwierdzenia.

Kaye skinął głową i poklepał przyjaciela po ramieniu. Fox przypomniał sobie, że miał wcześniej pewne zastrzeżenia do Kaye'a, nawet zastanawiał się w pewnym momencie, czy Tony nie jest zamieszany w intrygę. Teraz było mu głupio z tego powodu... ale nie

aż tak bardzo głupio.

Z tych myśli wyrwał go telefon brzęczący w kieszeni. Dzwonił Bob McEwan z wiadomością, że oddział jest już na Salamander Point.

– Furgonetkę trzeba od razu przekazać biegłym – przypomniał Fox. – To może być ta sama, w której trzymali Vince'a Faulknera.

– Wyluzuj, Malcolm – odparł McEwan i zakończył rozmowę.

– On mówi, żebyśmy wyluzowali – powiedział Fox do Kaye'a i Brecka.

– Nie macie ochoty pojechać tam i popatrzeć? Może być niezła zabawa – powiedział Breck.

Fox spojrzął na zegarek.

– Jeśli nas tam zauważą – ostrzegł – zaczną coś podejrzewać.

– A co zrobimy z naszym wystrachanym gościem? – Kaye gestem ręki wskazał Brogana.

– Zostawimy go w komendzie głównej na przesłuchanie. Lepiej, żeby nie miał żadnego „wypadku”.

– Głównej? Myślisz, że w Leith nie będzie bezpieczny?

– A gdzie on teraz może być bezpieczny? – odparł Fox i zabrzmiało to bardzo poważnie.

Parę minut później pojawił się van z podsłuchem. Z Naysmithem za kierownicą i Gilchristem na fotelu pasażera. Fox niecierpliwie otworzył drzwi kierowcy.

– No i co? – spytał.

Naysmith zeskoczył na jezdnię, a Breck podał mu niepozornie wyglądający zasilacz sieciowy. To właśnie ten zasilacz wetknięty w gniazdko – bardziej niż podłączony do niego komputer – rejestrował głosy z pubu U Lowthera. Urządzenie zewnętrznie niczym się nieróżniące od zwykłej ładowarki kryło w swoim wnętrzu superczuły mikrofon i nadajnik zdolny przekazywać dane na odległość siedemdziesięciu pięciu metrów. Van mógł dzięki temu parkować za rogiem ulicy poza zasięgiem wzroku Terry'ego Vassa.

– Słyszeliśmy każde słowo – powiedział Naysmith, uśmiechając się szeroko.

– I sumiennie nagraliśmy – dodał Gilchrist, pokazując płytę CD.

Breck zaczął liczyć na palcach:

– Zeznanie Brogana... laptop... zapis z podsłuchu...

– I wszystko, co biegli znajdą w furgonetce – dodał Fox. – A jeśli jeszcze tamci zostaną złapani na gorącym uczynku...

– To powinno wystarczyć, nie?

– Powinno. – Wyglądało na to, że Fox jest tego samego zdania.

– No to w porządku – powiedział. – Jedziemy.

• • •

Przejazd na Salamander Point zajął im tylko parę minut. O tej porze ulice były puste. Pojechali samochodem Kaye'a, którego nie znali Wauchope i Vass. Siedzący za kierownicą Fox na czerwonych światłach tylko nieznacznie zwalniał, potem, jeśli nikt nie jechał z prawej ani z lewej, ponownie przyspieszał, nie czekając na zmianę świateł.

– Nie zobaczymy wiele, jeśli zostaniemy w samochodzie – narzekał Breck. – Nie da się tam korzystnie zaparkować.

Zostawili więc nissana w bocznej uliczce i ruszyli pieszo wokół osiedla. W miejscach, gdzie domy były wykończone, zdjęto już prowizoryczny płot, by kusić ewentualnych nabywców. Temu samemu celowi służyły ułożone trawniki i zasadzone krzewy. Pod adresem, który Fox przekazał Wauchope'owi, znajdował się szeregowiec złożony z sześciu segmentów. W jednym z okien na górze paliło się światło. Fox nalegał, by w jakiś sposób zabezpieczyć sąsiadów przed pomyłkową wizytą gangsterów. Wiele mieszkań na osiedlu miało już lokatorów, jednak w tym miejscu cztery spośród sześciu domów stały puste. Fox i Breck zachowywali bezpieczny dystans, obserwując dom zza muru śmietnika po przeciwnej stronie ulicy. Poza tym jednym światłem w żadnym z segmentów nie było oznak życia.

– Powinni tu już być – szepnął Breck. – Może ta furgonetka się popsowała albo stchórzyla...

– Ćśś! – przerwał mu Fox. – Słuchaj.

Rzeczywiście, słychać było zbliżający się samochód. Niechlujna biała furgonetka wyłoniła się zza rogu i wjechała w alejkę prowadzącą do „ich” segmentu. Na tyłach szeregowca znajdował się parking dla mieszkańców. Drogi dojazdowe od frontu były odcięte podwójną żółtą linią, ale kierowca wana zupełnie się tym nie przejmował, wyłączył tylko reflektory i dojechał do końca asfaltowej alejki. Kiedy silnik ucichł, Fox wstrzymał oddech. Zapalona żarówka w sypialni na górze to był pomysł Kaye'a. Dobry, jak się okazało.

Drzwi furgonetki otworzyły się ze zgrzytem i wysiedli z niej dwaj mężczyźni. Fox natychmiast rozpoznał obu. Podeszli wolno do drzwi domu. Twarz Wauchope'a oświetlił ekran komórki, prawdopodobnie gangster sprawdzał godzinę. Kiedy kiwnął głową, Vass nacisnął klamkę i nieznacznie uchylił drzwi, potem ostrożnie zamknął je z powrotem i zrobił kilka kroków, by zajrzeć do okien. Byk Wauchope cofnął się i podniósł głowę, by obserwować okno z zapalonym świa-

tłem. Coś szepnął do Vassa, co ten zaakceptował ruchem głowy; podszedł do samochodu, rozejrzał się dookoła, potem wyjął zwój sznura do bielizny oraz rolkę szerokiej taśmy klejącej i wrócił z tym pod dom.

Tym razem drzwi otworzył Wauchope, ale przepuścił Vassa przed sobą. Kiedy obydwaj znikli we wnętrzu, Fox skinął na Brecka. Opuścili swoją kryjówkę i wyszli na ulicę. W tym momencie otworzyły się drzwi obu sąsiednich segmentów, wysypali się z nich policjanci w kuloodpornych kamizelkach uzbrojeni w pałki oraz pojemniki z gazem pieprzowym i wbiegli do środkowego segmentu w ślad za Wauchope'em i Vassem. W oknie na górze też pojawiły się sylwetki policjantów. Słychać było wykrzykiwane komendy, potem odgłosy walki. Po chwili ekipa policyjna opuściła dom. Wyprowadzono Wauchope'a i Vassa skutych kajdankami. Jeden z funkcjonariuszy niośł dużą przezroczystą plastikową torbę, w której znalazły się dowody rzeczowe: sznur i taśma klejąca.

Breck obserwował to wszystko bez ruchu, ale Fox podszedł do furgonetki. Naciągnął na prawą dłoń rękaw kurtki, otworzył tylne drzwi vana i zajrzał do mrocznego wnętrza. Na ulicy pojawili się w końcu sąsiedzi obudzeni hałasem. Policjanci zapewniali ich, że nie ma się czego obawiać. Fox słyszał też głośnie przekleństwa rzucane przez Vassa pod adresem policjantów. Podjeżdżały kolejne radiowozy, migając światłami, co oczywiście wyciągnęło z domu kolejnych gapiów.

Fox użył komórki, by oświetlić wnętrze vana. Arkusz drewnianej sklejki oddzielał przestrzeń bagażową od foteli z przodu. Pod nim w kącie leżał duży, paskudnie wyglądający młotek. Był zardzewiały i oblepiony czymś, co bardzo przypominało ludzkie włosy. Ekran komórki zgasł, lecz Fox jeszcze długo patrzył w ciemne wnętrze. Wyrwał go z zadumy Breck, dotykając lekko jego ramienia.

- Dobrze się czujesz, Malcolm?
- Nie jestem pewien – powiedział Fox.

Na progu domu pułapki pojawił się Bob McEwan. Zauważył Foxa i Brecka, ale nie odezwał się ani nie wykonał żadnego gestu. Obrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do wnętrza.

Wtorek, 24 lutego 2009

31

O czwartej nad ranem Fox znalazł się wreszcie w domu.

Wauchope i Vass spędzili resztę nocy w oddzielnych celach, chociaż jechał już do nich z Dundee adwokat Wauchope'a, ten, który właśnie usilnie próbował uwolnić z więzienia Bruce'a seniora. Fox zdawał sobie sprawę, że teraz będzie musiał wyjaśnić to wszystko siostrze, ale z tym można było jeszcze trochę poczekać. Powinien także zadzwonić do Lindy Dearborn, obiecał jej przecież wyłączność relacji. Wiedział też, że materiału, którym dysponuje, wystarczy nie na jeden wywiad, lecz co najmniej na kilka. Wcześniej sądził, że po rozwikłaniu tej sprawy będzie mógł się odprężyć, jednak wciąż przyniatał go jej ciężar. Ulokował parę następnych książek na jednej z półek, ale szybko znowu usiadł z kubkiem herbaty w rękę. Nagle usłyszał, jak przed jego domem zatrzymał się samochód, i spojrzął w stronę okna. W salonie było ciemno, trochę światła wpadało z ulicy przez otwarte ciągle żaluzje. Silnik samochodu pracował przez chwilę na wolnych obrotach, potem ucichł, reflektory zgasły. Ktoś wysiadł i zatrzasnął drzwi za sobą. Fox nadal siedział z łokciami opartymi na kolanach, tuląc kubek w dłoniach. Przybysz nie użył dzwonka, zapukał tylko cicho, wiedząc, że Fox na niego czeka.

Minęło jednak dobre kilka sekund, zanim Fox wstał i odstawił kubek. Otworzył drzwi: stał za nimi Bob McEwan.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Fox pokiwał głową i zaprosił szefa do środka. Dużo czasu zabrało mu w sobotę przekonywanie McEwana do planu Jamiego Brecka. Weszli do salonu, Fox zapalił światło.

– Tony Kaye mówi, że udało wam się zarejestrować całą kupę rzeczy.

– Całą kupę – powtórzył Fox jak echo. Po chwili dodał: – No, może nie całą... Napijesz się czegoś?

– Chętnie, może whisky?

– Nie ma w tym domu alkoholu.

– Nawet na specjalne okazje, Malcolm?

Fox pokręcił przecząco głową. McEwan spostrzegł kubek z herbatą.

– W takim razie herbatę – zdecydował.

Przeszli do kuchni. Fox napełnił czajnik i włączył go.

– Nie było z nimi jakichś trudności? – spytał.

McEwan wsadził ręce do kieszeni spodni.

– Vass próbował paru numerów, ale chłopcy byli na to przygotowani. Dobrze, że ich ostrzegłeś. – Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i głośno wytarł nos. – Mam coraz gorszy katar.

Fox pokiwał głową ze zrozumieniem i wyjął z szafki następny kubek. Był na nim obrazek zamku edynburskiego. Zawahał się przez chwilę, potem postawił go na blacie.

– Nie mogę... – mruknął, podsuwając kubek McEwanowi.

– Czego nie możesz...?

Fox nie odpowiedział i wyszedł do salonu. Stał i patrzył w okno, kiedy dotarł tam również McEwan.

– Co się stało? – spytał.

Fox nie odwrócił się, ale zaczął mówić.

– Pamiętasz, co mi mówiłeś, Bob? Przez te wszystkie lata, odkąd jestem w Wydziale Spraw Wewnętrznych? Mówiłeś: „Żadnych przyśług, nikomu”. A to chyba znaczyło, że wszystkich mamy traktować tak samo: przyjaciel czy wróg, jeśli coś przeszkobił, to go ścigamy.

– Pamiętam – odparł McEwan cicho. Fox słyszał, jak Bob siada na kanapie.

– Adam Traynor poprosił cię o przysługę: chciał inwigilacji gliniarza. A ty powiedziałaś, że najlepiej załatwi to Zespół Ochrony Dzieci, skądinąd trafnie.

– Naprawdę myślisz, że tak było, Malcolm?

– Nie widzę innej możliwości. – Fox nabrał powietrza w płuca. – To było chyba w czwartek albo w piątek. Stawiałem ostatnie kropki nad „i” w sprawie Heatona... żeby przekazać wszystko prokuratorowi. Ale właśnie w piątek powiedziałaś mi, że może być dla nas robota w Aberdeen.

W końcu odwrócił się twarzą do McEwana.

– I to ci podsunęło pomysł. Może już wtedy wiedziałaś coś na temat Jamiego Brecka... jak dobrym jest agentem. I doszedłeś do wniosku, że będę chciał z nim współpracować: bo mnie zaintryguje, bo zauważę w nim różne dobre cechy, których sam nie mam... I wszedłeś w układ z Grampian: oni zaczną mnie śledzić, a ty zrobisz

wszystko, żeby śledztwo w Aberdeen nie wyrządziło im szczególnej krzywdy.

Podszedł bliżej i usiadł naprzeciw McEwana, który z zaciekawieniem przyglądał się książkom rozrzuconym wokół niego na podłodze. Niektóre nawet podnosił i udawał, że je przegląda.

– Miałeś cały weekend, żeby to sobie przemyśleć – kontynuował Fox. – Ja dostanę zadanie obserwowania Jamiego Brecka. Im więcej się o nim dowiem, tym bardziej będę ufał jemu, a nie cudzym świadectwom. A dobrze mnie znałeś i wiedziałeś, że prędzej czy później jakoś się w to zaangażuję. I tylko o to ci chodziło... żebyś popełnił jakiś błąd. Dokładnie tak samo i w tym samym celu trzeba było pogrążyć Brecka.

Przerwał na chwilę, potem mówił dalej.

– Jeżeli to prawda, ustawiłeś się w tej samej grupie co Byk Wauchope i Charlie Brogan... – znowu przerwał i czekał, aż oskarżenie dotrze w pełni do świadomości McEwana. Ten w milczeniu przerzucał kartki kolejnej książki.

– Jeżeli to prawda... – powtórzył mechanicznie.

– Jedynym prawdziwym przypadkiem w tej sprawie – Fox podjął przerwany wątek – było to, że Breck znalazł się w zespole badającym sprawę zabójstwa Faulknera. Przypadek na wagę złota, trzeba przyznać. Stwarzał sto nowych okazji, żebyś zrobił jakieś głupstwo...

Znowu przerwał, dając McEwanowi kolejną szansę odpowiedzi, ale i z tej McEwan nie skorzystał. Fox ciągnął więc dalej.

– Kiedy przeglądałem dossier Traynora, zajrzałem też do twojego, Bob. Przypomniałem sobie wtedy to, co mówiłeś mi na początku sprawy Heatona: że musisz się trzymać z tyłu. I miałeś rację, bo przecież kiedyś pracowałeś razem z nim. Prawda, że bardzo krótko, ale takie rzeczy mogą straszyć po latach. Z twojej teczki wynika jeszcze coś innego. W początkach kariery Heatona byłeś nie tylko jego partnerem z zespołu, ale i nauczycielem zawodu. Teraz chciałeś zniszczyć moją reputację, żeby jemu było się łatwiej bronić na procesie. Chciałeś rozłożyć kontrolerów, twój własny zespół, Bob...

McEwan po raz pierwszy podniósł na niego wzrok.

– I twoim zdaniem tylko tak można to wszystko wytłumaczyć?

– Pamiętasz, jak powiedziałeś mi, że Breck i Heaton nie są najlepszymi przyjaciółmi? Stwierdziłeś, że wiesz to od kogoś z Torphichen... ale tak naprawdę powiedział ci to Heaton, twój stary kumpel.

McEwan odkaszlnął.

- Glen Heaton wykonuje tylko polecenia, Malcolm.
- Ciągłe to słyszę! Nie macie już lepszej wymówki?

Fox liczył na to, że McEwan powie coś więcej, ale ten rzucił tylko na stolik książkę i odchylił się nieco na kanapie.

– Też początkowo myślałem, że to Wauchope stoi za Heatonem – przyznał Fox, uśmiechając się żałośnie.

– Byk Wauchope i Terry Vass to źli ludzie, Malcolm.

– A ty nie? – Fox popatrzył surowo na swojego szefa. Po chwili westchnął głęboko i dodał: – Rano, jak sądzę, powiesz głównemu wszystko na temat Wauchope'a, Brogana, Vince'a Faulknera...

– Wszystko? – spytał McEwan.

– Powiesz o Traynorze i zapewnisz Jamiemu Breckowi powrót do pracy bez cienia jakichkolwiek podejrzeń.

McEwan wolno pokiwał głową.

– A co z nami? – spytał.

– Zanim wyjdiesz z gabinetu komendanta głównego, złożysz rezygnację. Masz jeszcze parę godzin na wymyślenie uzasadnienia. Chcę, aby inspektor Stoddart wróciła na własne podwórko, a ja do mojej pracy. Tylko już bez ciebie.

– A jeśli odmówię?

– Wtedy ja będę się musiał wybrać do głównego.

– Będzie więc moje słowo przeciwko twojemu.

– Rzeczywiście tego chcesz? Proszę bardzo... – Fox wstał. – Myślę, że znajdę coś jeszcze przez te parę godzin.

McEwan popatrzył na niego uważnie, potem sięgnął do kieszeni i wyjął komórke.

– Jestem wstrząśnięty, że darzysz mnie aż takim szacunkiem – powiedział cicho, wybierając numer. Kiedy uzyskał połączenie, powiedział tylko cztery słowa. – Chyba powinieneś tu przyjść.

Fox jeszcze raz usłyszał zza okna odgłos otwierania i zamykania drzwi samochodu. McEwan wyszedł z pokoju, by wpuścić nowego przybysza. W holu słychać było cichą, szybką wymianę zdań. Fox stał bez ruchu. Chyba McEwan nie przywiózł tu z sobą Glena Heatona... Chociaż i na to Fox był przygotowany.

W drzwiach salonu pojawił się McEwan z jakimś dystyngowanym mężczyzną.

– Malcolm – powiedział tonem prezentacji – chyba nie znasz jeszcze naszego komendanta głównego...

Główny nazywał się Jim Byars. Wyciągnął rękę, by przywitać się z Foxem. Miał pod sześćdziesiątkę, a jego gęste siwe włosy zaczesane

były do tyłu.

– Panie komendancie! – powitał go oficjalnie Fox.

– Bob mówi, że błędnie ocenił pan sytuację – rzekł Byars. Jego głęboko osadzone oczy patrzyły badawczo na Foxa. – Może moglibyśmy wszyscy usiąść?

Usiadł i czekał, aż inni zrobią to samo, zanim ponownie odezwał się do Foxa:

– Przeglądał pan teczkę Adama Traynora, prawda?

– Tak, panie komendancie.

– Znalazł pan coś?

Fox pokiwał głową.

– Choćby pańskie własne oceny jego pracy... Między wierszami można wyczytać, że raczej nie widzi go pan jako swojego następcy.

Byars odwrócił głowę w stronę McEwana.

– Widzę, Bob, że to bystry chłopak.

– Tak, szefie – potwierdził McEwan. – Przeważnie.

Byars ponownie spojrzął na Foxa.

– Przypadkiem ma pan sto procent racji. Na temat Traynora zawsze krążyły dziwne pogłoski.

– Dotyczące jego służby w dawnych latach w Dundee? – domyślił się Fox.

– Były podejrzenia, że w przeszłości wpadł w złe towarzystwo. Po pierwsze: Bruce Wauchope...

– To prawdopodobnie Wauchope poznał Traynora z Glenem Heatonem – przerwał Bob McEwan, wbijając wzrok w Foxa. – Masz rację mówiąc, że ja i Heaton znamy się od dawna... ale ja nigdy nie sprzedałbym swojego człowieka, Malcolm.

Fox przełknął ślinę. Krew napłynęła mu do twarzy.

– Bob wiedział, że coś się dzieje na górze – ciągnął komendant główny. – Traynor nie mógł przecież zarządzić obserwacji pańskiej osoby tak, aby Bob się o tym nie dowiedział. Wcześniej już powiedziałem Bobowi, że są pewne podejrzenia wobec Traynora, podejrzenia, których on zresztą nie podzielał. Ale inspektor Stoddart przeprowadziła rozmowę ze swoim szefem, zastępcą komendanta z Aberdeen, a on przyznał, że to Traynor zażądał tej inwigilacji.

– Przyznał? Tak po prostu?

Komendant główny wrzucił ramionami.

– Umówmy się, że pewne szczegóły pominiemy.

– Inaczej mówiąc, nie powiemy głośno, że Traynor zaproponował mu układ: jeśli policja Grampian zacznie za mną łązić, to

kontrolerzy z Edynburga nie będą mogli prowadzić śledztwa w Aberdeen.

– Coś w tym rodzaju, rzeczywiście... Niech pan posłucha, rozumiem, że jest pan wzburzony...

– Ja jeszcze bardziej – wtrącił się McEwan. – Naprawdę myślałeś, że jestem w to zamieszany?

– Nie tylko ty stałeś się mięsem armatnim – mruknął Fox.

Zagłębił się w fotelu, potem przegarnął włosy palcami. Przypomniał sobie coś, co powiedział mu niedawno ojciec: *Musisz być ostrożny... Ta maszyneria... nie można jej ufać...* Okazuje się, że tata wcale nie mówił od rzeczy. Policja składa się z różnych powiązanych wzajemnie mechanizmów, a każdym z nich można manipulować, każdy można rozregulować albo uszkodzić...

– Dlaczego Traynor zlecił inwigilację Brecka? – spytał po dłuższym milczeniu Fox.

Odpowiedział mu McEwan.

– Przede wszystkim miał już was obu dosyć i chciał się was pozbyć. Im dłużej pracował tu taki Breck, tym bardziej nasilały się podejrzenia wobec Traynora.

– Przelew z karty kredytowej Brecka na rachunek SEIL wykonano pięć tygodni temu – zauważył Fox.

McEwan potwierdził to ruchem głowy.

– Ułożyli to sobie już wcześniej. Prawdopodobnie czekali trochę, żeby sprawdzić, czy on czegoś nie zauważył i nie bada tej sprawy.

– A może chodziło tylko o to – dodał Fox – żeby Wishaw wiedział, że Jamie Breck zostanie wywalony, i nie denerwował się... – Namyslał się przez chwilę. – A dane z karty kredytowej Brecka?...

– Pracował często razem z Glenem Heatonem – przypomniał McEwan – a Heaton lubi wiedzieć wszystko o wszystkich, bo nie wiadomo, co kiedy mu się przyda.

– Skopiował sobie te dane?

McEwan wzruszył ramionami.

– Tak przypuszczam – rzucił.

Podczas tej rozmowy komendant główny spoglądał to na jednego, to na drugiego. Teraz oparł dłonie na kolanach, jakby chciał już wstać i wyjść.

– A więc to Traynor? – spytał Fox.

McEwan kiwnął głową.

– Traynor – potwierdził. – Heaton poprosił go o przysługę, a Traynor wykorzystał to, żeby ustrzelić dwa ptaki jedną strzałą.

– Dlaczego nic nie mówiłeś, kiedy cię oskarżałem... zanim ściągnąłeś tu pana komendanta?

– Chyba każdy ma prawo do odrobiny rozrywki? – powiedział Bob McEwan z przymrużeniem oka. Potem jednak jego twarz spochmumiała. – Ale o tych twoich wnioskach to jeszcze będziemy musieli sobie w cztery oczy porozmawiać.

– Tak jest, szefie – zdołał wykrztusić Fox.

Komendant ruszył w stronę drzwi.

– Jeszcze jedno, panie komendancie – zwrócił się do niego Fox. – Myślę, że coś mi się należy...

Jim Byars stanął jak wryty.

– Należy?

– Tak, należy – powtórzył Fox. – Chcę, żeby Dickson i Hall dostali nauczkę.

Byars spojrział na McEwana, oczekując wyjaśnień.

– To ludzie Billy'ego Gilesa – powiedział.

– Dali mi po łbie – dodał Fox, pokazując ślady obrażeń na twarzy.

– Rozumiem – stwierdził komendant główny. Po chwili namysłu dodał: – Jest na to sposób, pan wie?

Fox nie odpowiedział, musiał więc wkroczyć McEwan.

– Myślę, że Malcolm wie, szefie. Jest przecież w Wydziale Spraw Wewnętrznych.

32

Zatrzymał się na podwójne espresso w kawiarni Starbucks, w pobliżu ulicy, przy której mieszkała Annie Inglis. Nie zasnął tej nocy ani na sekundę. Goście kawiarni wyglądali albo na studentów, których goni termin pracy semestralnej, albo na matki, które dopiero co odwiozły swoje dzieci do żłobka. W tle sączyła się muzyka – elektropop z lat osiemdziesiątych. Fox usiadł na wysokim stołku blisko drzwi i obserwował samochody przecinające skrzyżowanie Holy Corner. Kofeina nie dała na razie żadnego efektu, ale nie zdecydował się na powtórkę. Zresztą nie miał już na to czasu.

Przejechał samochodem jakieś sto metrów i zaparkował naprzeciw domu Annie. Tak jak poprzednio najpierw z bramy wyłonił się Duncan. Fox patrzył, jak zaspany jeszcze chłopak idzie do szkoły, powłócząc nogami. Potem wysiadł z samochodu i poszedł pod bramę budynku. Chciał już nacisnąć dzwonek z nazwiskiem Inglis, kiedy usłyszał kroki na wewnętrznych schodach. Odczekał więc jeszcze chwilę, a gdy drzwi się otworzyły, ukazała się w nich Annie Inglis we własnej osobie. Na jego widok uniosła brwi ze zdumienia.

– Malcolm? – wykrztusiła. – Co, u diabła...?

– Słyszałaś już? – przerwał.

– Co? – Zmierzyła go wzrokiem od góry do dołu. – Spałeś pod gołym niebem?

Zignorował ten żart i zaczął mówić, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

– Koniec kariery Traynora – stwierdził sucho. – Powinnaś uważać, żeby nie pociągnął cię za sobą.

Popatrzyła na niego, ale nic nie powiedziała.

– Kiedy Gilchrist dostał ten telefon – ciągnął Fox, recytując słowa, które wcześniej starannie sobie ułożył – telefon nakazujący odwołanie obserwacji Brecka... to ty dzwoniłaś, prawda?

– Malcolm...

– Należy mi się ta odpowiedź, Annie.

Zrobił krok w jej stronę, teraz ich twarze były oddalone tylko o kilkanaście centymetrów. Annie nerwowo bawiła się paskiem od torebki.

– Jesteś mi to naprawdę winna – nalegał.

– Nie wiedziałam, że to ustawka, Malcolm, musisz mi uwierzyć. Gdybym ci nie ufała... czy dałabym ci ten kontakt policyjny w Melbourne?

– Wykonywałaś tylko rozkazy, tak? Ale coś za to dostałaś, Gilchrista wykopano gdzie indziej. Nie tak działają zwykle rozkazy.

Pokręcił głową w milczeniu, potem ciągnął dalej.

– Może nie wiedziałaś, lecz na pewno coś podejrzewałaś, a jednak brnęłaś w to dalej. Zadzwońska tego dnia, kiedy powiedziałem Stoddart, że jestem chory. Założyłbym się, że na ochotnika zgodziłaś się sprawdzić, czy jej nie oszukuję. Zaproponowałaś nawet, że mnie odwiedzisz, by mieć całkowitą pewność. – Teraz z kolei on zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu. – Świetnie się spisałaś.

– Było tak, jak powiedziałam.

Jej twarz zdradzała, że nawet dla niej samej nie brzmi to przekonująco.

– To Traynor zasugerował ci, żeby wykorzystać kontrolerów do przygwożdżenia Jamiego Brecka. To on wskazał ci moje nazwisko...

– zrobił krótką pauzę. – Traynor, prawda? Nie McEwan?

– Nadinspektor McEwan? – Jej brwi uniosły się lekko. – On nie ma z tym nic wspólnego.

Fox wolno pokiwał głową, potem podniósł ją i popatrzył w niebo.

– Pomogłaś utopić dwu niewinnych ludzi – odezwał się cicho. Opuścił głowę, by znowu spojrzeć jej w oczy.

– Naprawdę nie wiedziałam...

– Zaprosiłaś mnie do domu. Czy to nie było zbyt ryzykowne? Chciałaś mnie zmylić, omamić?

– A może po prostu podobałaś mi się i chciałam cię ostrzec.

– Ale nie ostrzegłaś.

– Kiedy zdałam sobie sprawę, że grzebałaś w mojej teczce...

Przerwała.

– Tak? – zachęcił.

– Skąd mogłam wiedzieć, czy Adam czegoś tam nie wpisał albo czy nie wpisze później?

– Adam – Fox zmrużył oczy. – Masz na myśli Traynora?

– To stara historia.

Zamknęła na chwilę oczy. Zapadła męcząca cisza.

– Historia? – powtórzył jak echo Fox, ale ona tylko gwałtownie pokręciła głową. – I robiłaś to wszystko bez zastanowienia, a Traynor nie musiał się tłumaczyć?

– Był dowód przeciwko Breckowi...

– Ja mówię o mnie, Annie. Traynor nalegał, żebym to ja się tym zajął. Powiedziałem ci wtedy, że tu może być konflikt interesów, ale on chciał, żebyś mimo to mnie wkręciła.

Znowu zmrużył oczy.

– Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby go zapytać dlaczego? Tu wali się moja kariera, a ty nie robisz absolutnie nic?

– Mówił, że coś przeszkrobałeś i że kryją cię przyjaciele z Wydziału Spraw Wewnętrznych...

– Spróbowałaś choć raz spytać o jakiś dowód? O coś naprawdę mocnego?

Znów tylko pokręciła głową.

– No to następnym razem spróbuj. Coś mocnego nigdy nie zaszkodzi. Chyba że stanowi zawartość butelki – mruknął do siebie, odchodząc bez pożegnania.

• • •

Wrócił domu, by przeleżeć parę godzin na kanapie z zamkniętymi oczami. Po drodze kupił rolkę mocnych toreb na śmieci: postanowił wrzucić do nich te książki, których sterty zalegały podłogę, i oddać wszystko do sklepu organizacji dobroczynnej. Wziął prysznic, ubrał się w czyste ciuchy i nareszcie poczuł się trochę przebudzony, choć ciągle odrętwiały. Jamie Breck przysłał mu kilka SMS-ów, ale Fox nie miał ochoty na nie odpowiadać. Zamiast tego pojechał do Saughton-hall i zabrał stamtąd z sobą Jude.

– Zauważyłeś coś? – spytała, kiedy wsiadła do samochodu.

– Masz nowe dzinsy? – próbował się domyślić.

– Zdjęli mi gips – sprostowała, machając mu ręką przed nosem. – Lekarz, który go zdejmował, mówi, że w ogóle niepotrzebnie go nakładali.

Popatrzyła na niego surowo.

– Taki z ciebie detektyw.

– Gdybyś ty wiedziała, siostrzyczko...

W drodze do Lauder Lodge zrelacjonował jej część wydarzeń. Słuchała z uwagą i wzruszeniem, łzy płynęły po jej policzkach. Przeprosił, że mówi o tym wszystkim i niepotrzebnie ją martwi, ale odpowiedziała, że tak ma być, chce to wiedzieć.

– Wszystko – podkreśliła.

W Lauder Lodge Fox usiadł w recepcji, a ona poszła do łazienki, by odświeżyć twarz zimną wodą. Personel zajmował się swoimi sprawami jak każdego innego dnia.

Mitch Fox czekał na nich w pokoju pani Sanderson, siedzieli w fotelach naprzeciw siebie jak para starych przyjaciół. Jude pocałowała ojca w czoło.

– Pozbyłaś się już tego gipsu! – zauważył z radością.

– Jesteś bystrzejszy niż twój syn – odpowiedziała z uśmiechem.

Fox na powitanie ścisnął ramię ojca i cmoknął panią Sanderson w upudrowany policzek.

– Po twoim katarze nie ma już ani śladu – powiedziała.

– Po pani też.

Fox odwrócił się w stronę ojca.

– Zanim zapomnę: masz jeszcze jakieś pieniądze w Dunfermline Building Society? Z tego co słyszałem, to cienko przędą...

– Nasz chłopak martwił się o was – przerwała pani Sanderson z wymownym chrząknięciem.

– Obiecałeś: kwadrans po trzeciej – podchwycił Mitch, pukając palcem w lewy nadgarstek, choć nie było tam zegarka.

– Jest tłok na ulicach – wytłumaczył się Fox. – Grzebią się z tą przebudową ronda w Portobello. Komuś przyszło jeszcze do głowy wymieniać magistrale gazowe, jakby mało było bałaganu przez te tramwaje. A jak trzeba pomalować głupią zebłą na przejściu przez Grassmarket, to zabiera im to całe miesiące. Niedługo pojawią się w mieście turyści i Pan Bóg jeden wie, jak sobie z tym wszystkim poradzają. W „Evening News” piszą, że dachówki spadają na ulice. W mieście jest niebezpiecznie, w całej Szkocji wszystko się wali, a z tego co wiem, to na całym świecie też...

Przerwał, bo zdał sobie sprawę, że wszyscy obecni dziwnie na niego patrzą.

– Dość tych narzekań! – powiedział ojciec, wyrażając zapewne najgłębsze pragnienie pozostałych.